



Motta:

*Po deszczu świecą ślady,  
takie czyste,  
że można zobaczyć  
wszystko, co za nami.  
Rozsypały się drzewa,  
lustra na owocach,  
jakby świeciła  
droga powrotna,  
prawie jak do nas.*

Wiesław Kulikowski (1935–2021), *Po deszczu obraz*, z tomu  
*Okruchy obrazu*, Biblioteka „Frazy”, Rzeszów 1997.

*wiersz patrzy w okno zabrudzone przez ptaki  
na ulicę gdzie każdy przechodzień jest w drodze do czegoś  
lepszego  
przyciska nos do zimnej szyby*

Katriina Ranne, \*\*\* *Wiersz mieszka w słowach*,  
przełożyła Iwona Kiuru



© Copyright by Stowarzyszenie  
Literacko-Artystyczne „Fraza”  
Rok XXIX nr 3/2021 (113)  
PL ISSN 1230-4832  
Nr indeksu 332593

Redaguje zespół:

Magdalena Rabizo-Birek – redaktorka  
naczelnia, Anna Jamrozek-Sowa,  
Iwona Misiak, Janusz Pasternki,  
Jan Wolski, Matylda Zatorska  
(sekretarka redakcji)

Współpracownicy: Kazimierz  
Maciąg, Antoni Matuszkiewicz  
(Czechy), Ryszard Mściścz, Elżbieta  
Rokosz, Grzegorz Strumyk, Krystyna  
Walc, Edward Zyman (Toronto)

Projekt okładki: Antoni Nikiel

Recenzenci: dr hab. prof. UwB  
Ewa Katarzyna Ciłko, prof. dr hab.  
Bernadetta Kuczera-Chachulska  
(IBL PAN), prof. dr hab. Bolesław  
Mrozewicz (UW), prof. dr hab.  
Marek Stanisław (UR), dr hab. prof. UG  
Katarzyna Wojan, dr hab., prof. UAM  
Rafał Koschary

Adres do korespondencji:

„Fraza”, ul. Rejtana 16 C, p. 107,  
35-310 Rzeszów  
e-mail: fraza@univ.rzeszow.pl  
„Fraza” w Internecie:  
<https://fraza.univ.rzeszow.pl>

Wydawca: Stowarzyszenie

Literacko-Artystyczne „Fraza”  
35-310 Rzeszów  
ul. Rejtana 16 c, p. 107

Nr konta: PKO BP I O / Rzeszów  
89 1020 4391 0000 6602 0043 7079

Numer zamknięto: 15.09.2021 r.

Prosimy o teksty w wersji  
elektronicznej. Materiałów  
niezamówionych nie odsyłamy.  
Zastrzegamy sobie prawo do zmiany  
tytułów i skrótów.

Korekta: Iwona Misiak, Krystyna Walc,  
Matylda Zatorska

Skład i łamanie: „Otwarty Rozdział”

Druk: „Bonus Liber”

Spis treści:

#### FINLANDIA LITERACKA

Anna JAMROZEK-SOWA, Finlandia – sympatie.....	4
Aleksis KIVI, Pieśń mego serca, przełożyła Dorota Kyntjää.....	6
Runar SCHILDT, Aapo (fragment), przełożyła Agata Terepek.....	7
Agata TEREPEK, Obraz wojny domowej w noweli Aapo Runara Schildta.....	13
Isa ASP, Kolyanka dla fali, przełożyła Dorota Kyntjää.....	21
Mika WALTARI, Buty, które chodziły samopas, przełożyła Iwona Kiuru.....	23
Juhana Heikki ERKKO, Własna chata, przełożyła Dorota Kyntjää.....	26
Natalia NORDLING, O powieści Akwarele miasta Engela Jukka Viikilä.....	27
Jukka VIIKILÄ, Akwarele miasta Engela (fragmenty), przełożyła Natalia Nordling.....	28
Kirsi ELLILÄ, Szpital dla trędowatych (fragmenty), przełożyła Dorota Kyntjää.....	31
Eino LEINO, Święte przed domem są jarzębiny, Uśmiech Apolla (fragment), Pieśń letniej nocy, przełożyła Dorota Kyntjää.....	36
Virpi HÄMEEN-ANTTILA, Serce nocy jest z lodu (fragment), przełożyła Dorota Kyntjää.....	38
Daniel KATZ, Niemiecki swiniopis, przełożył Sebastian Musielak.....	41
Katri VALA, Kwitnąca ziemia, Odpoczynek, Życie, przełożyła Dorota Kyntjää.....	53
Juha ITKONEN, Wszystko jest cudem (fragmenty), przełożyła Dorota Kyntjää.....	55
Roope LIPASTI, Czas pociech (fragment), przełożyła Dorota Kyntjää.....	61
Dorota KYNTJÄÄ, Kirsi Kunnas, ikona fińskiej poezji.....	69
Kirsi KUNNAS, Dzika jabłoń, Samotność, Kolyanka Tullitusa, Uczuciowy jeź, Słońce i kogut, Pan Pej-Po, Półksiężyc i zaskoczenie, Kukulka zegarowa, przełożyła Dorota Kyntjää.....	71
Sofi OKSANEN, Krowy Stalina (fragment), przełożył Sebastian Musielak.....	76
Katriina RANNE, ***Wiersz mieszka w słowach..., *** Wszystko zaczęło się..., *** Jesteś zabawą..., przełożyła Iwona Kiuru.....	94
Paulina RAUHALA, Obciążeni grzechem (fragment), przełożyła Dorota Kyntjää.....	97
Riina KATAJAVUORI, ***Mama ma ogromne okulary..., Mamusia, Mama, przełożyła Dorota Kyntjää.....	115
Salla SIMUKKA, Bez śladu (fragment), przełożyła Iwona Kiuru.....	119

#### LITERATURA I CIERPIENIE

Kazimierz NOWOSIELSKI, Z latami, Pożegnanie z książkami, Dary, Co się liczy, To co kochane, Rzeczy.....	136
Marek R. LIPIŃSKI, Quidam i Vade-mecum Cypriana Norwida. Paralelna krytyka dwóch multi-społeczństw: antycznego (rzymskiego) i współczesnego poecie.....	142
Michał BZINKOWSKI, Czerwień, Twarze, Kości.....	160
Karol MALISZEWSKI, „W miejscu tego samego (aż do komizmu) cierpienia”. Zygmunt Krukowski i jego (nasz) świat.....	163
Zygmunt KRUKOWSKI, Rozdarcie, Lęk, Sen, Ścinanie wielkiego drzewa, Wspomnienie, Śmiechy, Na skrzydłach szafy.....	168
Teresa TOMSIA, Machnowski. Poeta znad Narwi.....	172
Tadeusz Franciszek MACHNOWSKI, Czy pamiętasz, *** Dopiero odchodząc..., Młyński kamień, Miejsca nadrzeczne, Procesje, Z oddalenia.....	179
Katarzyna LEWANDOWSKA, Cmentarz w śniegu, Przytulek, Rabbit Jumping.....	183
Jestem pisarzem ludowym. Rozmowa z Radkiem RAKIEM.....	190
Krystyna WALC, Baśń o Jakubie Szeli.....	200
Grażyna SZYMCZYK, ***Teraz wychodzę..., ***Życie uchodzi ukradkiem, Pszczola, Obraz, Pejzaż z cyborgiem, Prezent.....	204
Kazimierz NOWOSIELSKI, Mowa polskością wiązana. O twórczości Kornela Makuszyńskiego.....	208
Ryszard KOŁODZIEJ, Ammonia, Anestezjolog, Poczłówka z Hanoi, Poczłówka z Queenstown, Syrofenicjanka.....	216
Janusz PASTERSKI, Zwiążłość i sens.....	219
Andrzej SZUBA, Postscripta DCCCVIII–DCCCXV.....	221

## FRAZY OSOBISTE

Antoni MATUSZKIEWICZ, <i>Ossolineum, Ortae opticae</i> .....	223
Grzegorz STRUMYK, <i>Łatanina 38</i> .....	227
Roman SABO, <i>Cień jaskółki</i> .....	229
Robert SUWAŁA, <i>Proces w czasach zarazy</i> .....	232
Katarzyna TURAJ-KALIŃSKA, <i>Kompleks Tereni</i> .....	236

## SZTUKA

Sławomir PLATEK, „Czy ja mówię po chińsku?”. Chiny we współczesnym kinie polskim.....	243
---	-----

## O KSIĄŻKACH

Katarzyna KUCZYŃSKA-KOSCHANY, <i>Tytuł poety (A. Niewiadomski, Tytuł. Wiersze jednego sezonu)</i> .....	252
Marek KUSIBA, <i>Bestiarium Zymana (E. Zyman, Zapiski z innego świata)</i> .....	255
Tomasz PYZIK, <i>Poezja dobrej nadziei (R. Gawłowski, Dotknięcie)</i> .....	258
Grzegorz STRUMYK, <i>Brak końca (H. Bereza, Wypiski ostatnie, t. 1–2)</i> .....	260
Antoni MATUSZKIEWICZ, <i>Domowa ojczyzna (J. Petrowicz, Wielopolis)</i> .....	262
Joanna SARNECKA, <i>W bestiarium codzienności (T. Stawiszyński, Co robić przed końcem świata)</i> .....	265
Edward ZYMAN, <i>Oniemiała wobec ziemi i stońca (S. Jurkowski, Słowo pełne milczenia. Portret literacki Elżbiety Cichli-Czarniawskiej)</i> .....	268

### III Ogólnopolski konkurs na recenzję literacką im. T. Karłowicza

Maria MAGIERSKA, <i>Wojciech Engelking szuka głosu (W. Engelking, Serce pełne skorpionów)</i> .....	271
Aleksandra GÓRZECKA, <i>Na początku było... (A. Sosnowski, Trawers)</i> .....	273
Maciej KARABON, <i>Poetycko-ekonomiczny traktat o przebudzeniu (T. Bąk, Bailout)</i> .....	275
Anna FIAŁKOWSKA, <i>Autorka i jej wyznanie (D. Kotas, Cukry)</i> .....	276
Eliza CICHOCKA, <i>Jesteśmy słowozmęczeni (J. Concejo, M jak morze)</i> .....	278
Daria ZMIEJEWA, <i>Życie w zbroi (A. Zbroja, Mireczek. Patoopowieść o moim ojcu)</i> .....	279
Kinga SABAK, <i>Chodźmy do Żabki (A. Kaczanowski, Ultra)</i> .....	281
Paweł JASKULSKI, <i>Operacje na martwych duszach (D.F. Wallace, Niepamięć)</i> .....	282
Joanna NAJBOR, <i>Prosimy o dotykanie eksponatów (M. Wicha, Kierunek zwiędzania)</i> .....	284
Przemysław GLUCHOWSKI, <i>Groza odczłowieczenia (P. P. Reszka, Płuczki. Poszukiwacze żydowskiego złota)</i> .....	286
Izabela JABLŃSKA, <i>Przerwać cykl dziedziczenia traumy (J. Gierak-Onoszek, 27 śmierci Toby'ego Obeda)</i> .....	287

## KRONIKA

Gigant (wspomnienie Michała Fostowicza) (Antoni MATUSZKIEWICZ).....	289
Walka o najważniejsze sprawy (nie tylko) literatury – III edycja konkursu na recenzję literacką im. T. Karłowicza (Magdalena RABIZO-BIREK).....	290
Trzy wspomnienia o Wiesławie Kulikowskim (Marek PEKALA, Krystyna LENKOWSKA, Ewelina RADION).....	293

AUTORZY „Frazy”.....	306
ZAPROSILI NAS.....	317
PUBLIKACJE NADESŁANE.....	319
KOMUNIKATY.....	320

## W galerii Frazy:



Fot. Julian Kotelba

Krajobrazy Finlandii w fotografii

nakład 300 egz.

„Fraza” jest pismem redagowanym społecznie, a wszystkie dochody z pisma przeznaczamy na wydawanie nowych numerów. Dziękujemy wszystkim autorom za nieodpłatne udostępnienie zamieszczonych w numerze tekstów i ilustracji.

Rada Naukowa „Frazy”:

Joanna Chłosta-Zielonka (Uniwersytet Warmiński-Mazurski, Olsztyn), Elwira Grossman (University of Glasgow), Bogumiła Kaniewska (Uniwersytet im. A. Mickiewicza, Poznań), Marlis Lami (Universität Wien), Renata Makarska (Johannes Gutenberg-Universität Mainz), Małgorzata Mikołajczak (Uniwersytet Zielonogórski), Arkadiusz Morawiec (Uniwersytet Łódzki), Anna Nasiłowska (IBL PAN, Warszawa), Tomasz Swoboda (Uniwersytet Gdański), Tamara Trojanowska (University of Toronto), Maria Zadencka (Stockholms universitet)



Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz Polskiego Funduszu Wydawniczego w Kanadzie

# FINLANDIA LITERACKA

Anna Jamrozek-Sowa

## FINLANDIA – SYMPATIE\*

Helsinki, październik 2016 roku. Zadziwienie miastem. Zbyt płasko. Szukamy orientacji w przestrzeni. Myślę o Juhanim Pallasmaa, jego koncepcji odczuwania architektury wszystkimi zmysłami, doświadczaniu za jej pośrednictwem rzeczywistości otaczającego świata. Cisza, która zaskoczyła nas już na lotnisku, po wejściu w boczne uliczki Katajanokki, portowego cypla (w samym centrum Helsinek), wydała się niemal groźna. Sobotni późny wieczór. Szarość wypełzła na chodniki. Płochliwie przyspieszając kroku, wchodzimy na nabrzeże, które daje nam już oparcie. Jakiś celebryta wprowadza się do hotelu. Wianeczek ludzi oczekujących przy wejściu. Czyli jest tak, jak wszędzie.

Wiem coś i nie wiem prawie nic o Finlandii.

Przed wyjazdem przeglądnęłam przewodnik, *Historię Finlandii*, przetwarzałam kilka powieści. W pamięci utkwiła mi *Amalia* Sylvii Kekkonen (prywatnie żony jednego z najważniejszych fińskich polityków, Pierwszej Damy Finlandii). Zadziwił mnie wówczas wizerunek tytułowej bohaterki – kobiety hardziej i praktycznej, z powodzeniem radzącej sobie z trudami gospodarzenia na ziemi i wodzie, wbrew wojennej biedzie, niewiernemu i zapijaczonemu mężowi, wczesnemu wdowieństwu, śmierci dziecka... Amalia, powściągliwa i samodzielna w podejmowaniu decyzji, pełna wewnętrznej godności, otoczona szacunkiem wiejskiej społeczności z dystansu obserwującej jej zmagania – to wszystko było dla mnie zaskoczeniem. Nieoczywista była też godność portretowanych przez Kekkonen ciężko pracujących ludzi wsi, nienaznaczonych, jak polscy chłopci, piętnem niewolniczego upodlenia.

---

\* Dział „Finlandia literacka” przygotowała Anna Jamrozek-Sowa.

W Helsinkach zaskakiwało mnie to, do jakiego stopnia obdarzyć można dzieci wolnością. Przedszkolaki, nieskrępowane kontrolą zakazów i zezwoleń autoryzowanych podpisami rodziców, bawią się swobodnie na nieogrodzonym terenie parku, tuż przy morskim wybrzeżu. Nauczyciele ze spokojem patrzą na tarzanie się w trawie i inne formy radosnej ekspresji.

Stała wystawa w fińskim Muzeum Narodowym przyniosła kolejne zaskoczenie. Uzmysłowiła mi odwieczne zakorzenienie Finów w naturze. Odkryłam tam znaczenie rytuałów towarzyszących ceremonii wyprawianiu łowców na Północ. Żywiciele musieli zyskać magiczną moc czyniącą ich nieugiętymi w zderzeniu z potężną, nieustępliwą naturą.

Przygotowywałyśmy się z Agnieszką Myszką do zajęć, które są obowiązkowe dla pracowników uczelni wyjeżdżających w ramach programu Erasmus+. Helsingin yliopisto – Uniwersytet Helsiński. W języku szwedzkim: Helsingfors universitet (w Helsinkach napisy są dwujęzyczne). Wykład o polskim teatrze współczesnym, zajęcia na temat literackiej twórczości noblistki Wisławy Szymborskiej. Kilka godzin zajęć z fonetyki, ćwiczeń leksykalnych. Uważne spojrzenia studentów. Mój popłoch i forma stężenia w sobie, gdy przed wykładem gromadzący się dwudziestolatki w milczeniu oczekują na rozpoczęcie zajęć, a ja nie jestem w stanie nawiązać z nimi kontaktu wzrokowego. I zaskoczenie, gdy po prezentacji pojawia się wiele bardzo ciekawych pytań świadczących o uważnym słuchaniu.

Moje nietrafione próby przywitania się w windzie z mieszkanką chwilowo wspólnego bloku. Innym razem szczerze zapytanie o imię noworodka i niezrozumienie przerażania, które pojawiło się w oczach świeżo upieczonego ojca. Iza wytłumaczyła mi, że nie wolno zdradzać imienia dziecka aż do dnia chrztu.

Izabela Jakubek-Głąb, lektorka języka polskiego na Uniwersytecie Helsińskim, tłumaczyła nam świat Finów. Ona, jej mąż Leszek i ich dzieci – Franio i Łucja (a teraz też Klarcia). Dzięki Izabeli poznałam Dorotę Kyntäję, czytałam jej pierwsze tłumaczenie powieści o laestadianach – *Obciążeni grzechem*. Prezentacja literatury fińskiej na łamach „Frazy” nie miałyby obecnego kształtu, gdyby nie zaangażowanie Doroty, jej pragnienie dzielenia się bogactwem poznawanej poezji i prozy. To ona sprawiła, że zaproszenie do publikacji w naszym piśmie przyjęli doświadczeni i nieco młodszy tłumacze, otwierający Polakom szeroko drzwi (Konstanty Jeleński zwykł mawiać, że tłumacz to ktoś, kto otwiera drzwi) do fińskiej literatury i świata, który ona portretuje. Dzięki nim możemy zaprosić czytelników „Frazy” do lektury bardzo się od siebie różniących fińskich pisarek i pisarzy – od wieku XIX po XXI.

Aleksis Kivi

## PIEŚŃ MEGO SERCA

*(Sydämeni laulu)\**

W mrocznym borze, śmierci borze  
Do kołyski dziecię włożę,  
Tam me dziecko odprowadzę.

Będzie ono żyć szczęśliwie,  
Na podziemnej pasać niwie  
Trzodę wspaniałego Króla.

Będzie ono żyć u Króla,  
A wieczorem je ulula  
Na swym łonie Mroczna Panna.

Żyć szczęśliwie będzie tak:  
Do kołyski ciemny ptak  
Będzie mu piosenki śpiewać.

Las podziemny, śmierci bór,  
To od leż padołu mur,  
Schron przed złym, okrutnym światem.



Aleksis Kivi

Źródło: <https://www.finna.fi>

Przełożyła Dorota Kyntäjä

---

\* Wiersz pierwotnie pojawił się w powieści Aleksisa Kivi *Siedmiu braci* (1870) jako piosenka śpiewana dziecku przez żonę jednego z bohaterów. Powieść należy do kanonu literatury fińskiej.

## Runar Schildt

### AAPO

(fragment)

Słońce mocno świeciło i przejrzyste niebo rozciągało się nad Velką tego lipcowego dnia, kiedy najstarszy syn gospodarza kończył czternaście lat.

Wsparty o szpadel Aapo stał w ogrodzie i przez kratę zielonego listowia przyglądał się, jak wewnątrz dużego białego domu budzi się życie. Z komina kuchni unosił się delikatny dym, Aapo słyszał stukot tac i filiżanek do kawy i widział, jak rolety zwinęły się szybko niczym za sprawą czarów. Otworzono okna, które teraz drżąco trzepotały w zawiasach pod silnym naporem porannej bryzy. Głosy przywoływały się nawzajem w dużych jasnych wnętrzach. Wszystko odbywało się tego dnia wcześniej niż zazwyczaj; czternaścieletniego Magnusa ciekawiło, jakie dostanie prezenty, a jego młodsze rodzeństwo chciało być przy tym od samego początku, żeby nie przegapić rozdawania słodyczy.

Spotka go niemiła niespodzianka, myślał sobie Aapo. Należał bowiem do garstki wtajemniczonych, którzy poprzedniego wieczór byli obecni przy tym, jak w największej tajemnicy odbierano ze stacji osobliwy prezent gospodarza dla Magnusa.



Źródło: <https://www.finna.fi>

Runar Schildt

Wielmożni państwo to mają dziwaczne pomysły, rozmyślał dalej Aapo. Nawet gdyby był siedem razy bogatszy od gospodarza, nie przyszłoby mu do głowy, żeby marnować pieniądze na tak niepojęte wariactwo. Któż się jednak połapie w szaleństwach wielmożnych państwa!

Członkowie rodziny gospodarza jeden po drugim pojawiali się w oknach lub na werandzie. Dzieci śmiały się i dokazywały, jakby najadły się szaleju. W końcu, oczywiście po reprimendzie rodziców, wszystkie zebrały się na okazałych schodach. Było wyraźnie widać, że na coś czekają. Teraz to się wydarzy, pomyślał Aapo i po raz kolejny ogarnęło go zdziwienie z powodu osobliwej fantazji, której wytworem mógł być taki

niespotykany podarek urodzinowy. I żeby móc się dobrze przyjrzeć minom dzieci i służby, Aapo przysunął się bliżej schodów, nie opuścił jednak osłaniających go krzaków.

Obok niańki stała Lempi, wystrojona tego dnia w biały czapek i wykończony koronką fartuszek, jak podczas dużych przyjęć, gdy latem spraszano rodziny ziemiańskie z parafii. Szeptiała, chichotała i poczyniała sobie tak, jakby to jej przypadła tutaj główna rola. Co też to może być?! – Aapo słyszał, jak pyta i dostrzegał w tym przejaw kobiecej skłonności do fałszu i aktorstwa, bo tak się składało, że sam był świadkiem, jak zaraz po powrocie ze stacji woźnica wyjawiał jej cały sekret. Taki już był Volanen; żeby wkraść się w łaski Lempi, bez zastanowienia złamał daną gospodarzowi obietnicę milczenia. No, Lempi, myślał teraz Aapo, już ja ci wybiję z głowy te sztuczki, gdy tylko wszystko potoczy się tak, jak powinno, i nasze imiona gromko rozlegną się z ambony. Potem skierował wzrok w kierunku stajni.

Bardzo słusznie. Nadchodzili stamtąd woźnica i osobliwy podarek.

Ubrany w odświętną liberię Volanen – postawny, brązowooki woźnica gospodarza – kroczył miarowym, pewnym siebie krokiem w stronę okazałych schodów. Obok niego dreptał prowadzony za lejce zabawny mały osioł, który ciągnął za sobą wóz jak dla lalki.

Przez moment dzieci stały na schodach cicho, zastygłe w osłupieniu, po czym wybuchły niemającą końca radością. Chwilę później wspięły się na wóz. Z uśmiechem na ustach Volanen oddał im lejce, a wóz ruszył aleją. Osioł utrzymywał dobre tempo i ochoczo słuchał pokrzykującego Magnusa. W wozie siedziały też obie dziewczynki i trzymały na rękach najmłodszego brata.

Wesołe towarzystwo zrobiło rundkę po ogrodzie, po czym wróciło do schodów, gdzie czekali rodzice. Magnus zeskoczył z wozu i pognął do ojca, żeby mu podziękować; wcześniej zapomniał to zrobić z czystej radości i zaskoczenia. Dziewczynki zostały na wozie i wołały: – Jeszcze! Jeszcze! Zróbmy jeszcze jedną rundkę! Pojedźmy do drogi, aż do Zielonego Mostu!

Chyba się cieszą – zauważył Aapo – choć i tak dużo mądrzej byłoby dać chłopakowi prawdziwego konia. Jest ich przecież zdecydowanie za mało w gospodarstwie, odkąd Rosjanie zabrali tamte dwanaście do pracy na swoich pastwiskach. Paszy też nie ma w nadmiarze, a ta mała szkarada je z pewnością niemal tyle co prawdziwy koń, a pożytku z niej żadnego.

Wtem piasek znów zaskrzypiał pod lśniącymi czerwonymi kołami wozu. Dzieci udały się na kolejną rundkę po ogrodzie, tym razem nie



wróciły jednak pod schody. Przy oranżeriach Magnus skręcił do drogi, krzycząc i uderzając lejcami, skłonił osła do pełnego galopu. Cóż za godny pożałowania, a zarazem śmieszny widok – uznał Aapo – koń, co nie jest koniem, tylko jakimś dziwolągim z krowim ogonem i uszami zająca. Cicho prychnąwszy z pogardy, wrócił powoli do przerwanej pracy w ogrodzie.

Gospodarz wciąż stał na schodach. Można było odnieść wrażenie, że z całych sił stara się uchwycić i na zawsze zachować ten radosny obraz lata i przyjęcia, dzieci śmiejących się w wozie z polakierowanymi na czerwono kołami, które w delikatnej chmurze białego kurzu unoszące się z drogi odjeżdżają ku skąpanej w słońcu okolicy. Czuł się nieco przygnębiony i zmęczony, chociaż dzień pracy dopiero się dla niego zaczynał. W gazetach aż piętrzyło się od złych wiadomości o sytuacji w kraju, a w sąsiednich parafiach trwał zacięty strajk wyrobników grożący tym, że tegoroczne plony się zmarnują, mimo że w miastach ludzie głodowali. Gospodarz nosił się z wielkimi planami poprawy i rozbudowy; przekonania i tradycja rodzinna uczyniły z niego żarliwego i optymistycznie usposobionego patriotę, który snuł dumne marzenia o samowystarczalnym społeczeństwie w niepodległym kraju; teraz dostrzegął niebezpieczeństwo, że jego nadzieje, zarówno te konkretne, jak i ogólne, legną w gruzach. Stał więc na schodach domu ojców i zastanawiał się, czy to już ostatni akt, który przypadł mu w udziale – a jeśli tak, to czy los jest nieunikniony, czy da się mu jeszcze zapobiec siłą woli i wytrwałością. Ponieważ zdawało się jednak, że dzisiaj argumenty za i przeciw – podobnie jak wcześniej – pozostają w stosunkowej równowadze, otrząsnął się z przytłaczających myśli i poszedł do gabinetu, do ksiąg rachunkowych i raportów z mleczarni.

Chwilę później żona gospodarza wyszła do ogrodu, żeby zobaczyć, ilu chłopów pozostało. Jak zwykle przyjacielsko i wesoło przywitała się z Aapo, bądź co bądź dorastał w Velkkali na jej oczach.

– No i co też Aapo sądzi o naszym nowym zwierzęciu pociągowym?

Aapo zamyślił się.

– Hmm, a co mam sądzić...

– Czy Aapo widział już kiedyś osła?

– Czy ja? Nie, nie, nie widziałem. Järvensivu twierdzi wprawdzie, że w zeszłym roku był w mieście kataryniarz z osłem zaprzężonym do wozu, ale na własne oczy nigdy go nie widziałem, trudno więc stwierdzić, czy to prawda.

– Ach tak – uśmiechnęła się gospodarzowa. – Aapo wierzy tylko w to, co sam widział.

– Nauczyłem się tego od matuli. Powtarzała, że ludzie kłamią jak najęci, nigdy im nie wierz, o ile sam nie weźmiesz własnych oczu za sędziego i świadka.

– No tak, ale teraz Aapo widział już osła z bliska. Czy nie wyglądał zabawnie, gdy galopował po wiejskiej drodze?

Aapo nie odpowiedział od razu.

– Tak tylko sobie myślę po cichu – odparł z wahaniem – że prawdziwy koń...

– Na przykład kucyk? Tak, też byśmy go woleli, ale niełatwo zdobyć kucyka, ot tak na poczekaniu, więc zadowoliliśmy się osłem. Jak sądzę, będzie z niego taki sam pożytek.

Aapo uniósł wzrok na słowo „pożytek”, ale nic nie powiedział. Wielmożni państwo i biedota nie zrozumieją się, tę zasadę również wpoila mu matka, kiedy jako wdowa po zagrodniku mieszkała w Velkkali.

– A jakoś się wabi, ten no... osioł? – spytał Aapo po przerwie.

– Oczywiście. Jolly Boy.

– Aha – odparł Aapo i uśmiechnął się pod nosem. Przecież to jasne, że tak śmieszna kreatura musi nosić śmieszne imię, którego żaden prosty Fin nie wymówi w swoim języku.

O ile jednak Aapo czuł, że im więcej widzi i słyszy, tym bardziej rośnie jego pierwotna, czysto instynktowna niechęć do osła, o tyle zachwyty Magnusa i jego rodzeństwa był tak wielki, że po południu rodzice musieli podjąć stanowcze kroki, by syn nie zamęczył jazdą tego biedaka Jolly’ego Boya. Raz na zawsze postanowiono, że na przejażdżki wolno udawać się tylko o określonych porach i nie mogą być one dłuższe niż do Zielonego Mostu. I nie wolno galopować, podjeżdżając pod wzniesienie! – zarządził gospodarz.

Tego dnia Jolly Boy stał się w Velkkali i okolicach głównym tematem rozmów. W przerwie obiadowej, a jeszcze wyraźniej wieczorem nieustannie napływali ciekawscy, którzy gromadzili się wokół osła stojącego wśród krów w oborze i machającego ogonem. Tak, Jolly’ego Boya naprawdę ulokowano wśród krów, a nie wśród koni, po części dlatego, że wygodniej mu było jeść z niskiego koryta, a po części dlatego, że pożytek miał być z niego taki, że będzie ciągnął wóz z mlekiem do mleczarni. Dójki, którym w ten sposób odeszło męczące i żmudne zajęcie, w ciągu dnia wyrobiły w sobie serdeczne nastawienie do osła; poza tym wśród gapiów dominował cichy podziw.

Volanen, elegancki woźnica, został kimś w rodzaju samozwańczego obrońcy i tłumacza Jolly’ego Boya. Ten, który zazwyczaj w wytwornym odosobnieniu przebywał w przestronnej nowoczesnej stajni i wspaniałej siodlarni, teraz stał cały wieczór obok Jolly’ego Boya, a jego biegle palce dawno sprawdziły każdy mięsień i każde ścięgno małego, szarego osła. Obficie sypiąc szwedzkimi słówkami, które ze względu na swoją niezro-

zumiałość wywierały ogromne wrażenie na zebranych, wypowiadał się na temat prawdopodobnego wieku Jolly'ego Boya i guzków na tylnych nogach, które według niego świadczyły o szpacie. Bez cienia wątpliwości odpowiadał na masę pytań dotyczących nawyków osłów i ich zdolności do pracy. Pod wpływem tych niekończących się wyjaśnień można było odnieść wrażenie, że Volanen nie robi na co dzień niemal nic innego, tylko zajmuje się osłami, a w gruncie rzeczy ten był pierwszym, jakiego kiedykolwiek widział. Woźnica jednak uwielbiał odpowiadać na pytania, zalewać wiedzą i kompetencją osłupiały tłum nadstawiających uszu słuchaczy. Uwielbiał też śliczną Lempi, która teraz stała wśród mleczarek i powstrzymywała śmiech, żeby nie uronić ani jednego słowa z tych wywodów – czy jego elokwencja nie osiągała w tej chwili szczytów?

Z głęboką niechęcią Aapo przysłuchiwał się niemającej końca paplaninie i patrzył, jak lśniąco, brązowe oczy Volanena – iście rosyjskie oczy! – ogniście ogarniają kształtną postać Lempi.

– Tak – ciągnął Volanen nieporuszony ukłuciami nieustępliwych, szarych oczu Aapo – i występuje też gatunek, który zwie się mułem. Bierze się ogiera osła i klacz konia albo prawdziwego ogiera i klacz osła i po dwóch latach ma się muła, jest on silniejszy od konia i dożywa kilkuset lat. Ale natura tak to urządziła, że muł nie może mieć potomstwa, bo co wtedy ludzie robiliby z prawdziwymi końmi?

– Ojoj, ach ten Volanen, ależ on wszystko wie – powiedziała Fiina, stara gospodyni pracująca w kuchni dla służby.

Usta Aapo wykrzywiły się lekko w do połowy wypowiedzianym szyderstwie. Powinno się zawiesić Volanenowi na ramionach derkę niczym ornat, a potem okrzyknąć go osłim kaznodzieją, pomyślał zgorzkniały. Nie, osłim biskupem, bo tak prawi przy tym osłim ołtarzu.

I kiedy powstał dobrą chwilę, podjudzając się takowymi myślami, nie był już w stanie utrzymać języka za zębami.

– Osioł to piekielna istota – odezwał się nagle donośnym głosem i splunął między nogi Jolly'ego Boya. – Tak mnie nauczono i tak też najpewniej jest.

Lempi zachichotała i szturchnęła w bok jedną z mleczarek.

– Tylko posłuchaj Aapo – powiedziała. – Jak widać, małe ptaszki miewają wielkie dzioby.

Gospodyni Fiina posłała Aapo lekceważące spojrzenie przez krągłe ramię.

– Któż to nauczył Aapo takich rzeczy? – spytała.

Wpierw Aapo nie zamierzał jej nic odpowiadać. Patrzył tylko nadąsany na grube, ważne babsko, które zupełnie bez potrzeby atakowało go

i usiłowało zapędzić w kozi róg. Ale kiedy Fiina powtórzyła pytanie i poparło ją kilka głosów, Aapo raczył otworzyć usta:

– Kto mnie tego nauczył? Moja matula, rzecz jasna, i w szkole też się można tego dowiedzieć, jeśli ktoś ma uszy i wie, do czego służą.

– A do jakiejż to niby osobliwej szkoły chodziłeś? – zaśmiała się Fiina. – W moich czasach z samej kazalnicy można było usłyszeć, że Jezus wjechał do Jerozolimy na osła...

– Na osiołku – poprawiła ją Tilda, stara kucharka wielmożnego państwa.

– Oj tam, jedno i to samo – odparła lekko urażona tym dopowiedzeniem Fiina. – A skoro Jezus mógł jeździć na osła, to osioł nie jest piekielnym stworzeniem, a szacownym zwierzęciem, którym taki wielki pan jak Aapo powinien się zadowolić.

– Żeby na nim jeździć – dodała, rechocząc, Lempi.

– Może chcesz się przejechać, a my popatrzymy? – zaproponował żywo Volanen. – Rundka wokół ogrodu?

– A może od razu niech jadą do wsi – ciągnęła Lempi rozochociona poklaskiem ze wszystkich stron. – Chociaż to raczej zależy od osła niż od Aapo, bo osły mają swoje zdanie i zatrzymują się, gdy najdzie je na ochota. Aapo powinien się cieszyć, jeśli nie zostanie zrzucony do jakiegoś rowu.

Wszyscy głośno się śmiali. Sama myśl o Aapo skulonym na grzbiecie Jolly'ego Boya zdawała się im nicodparcie zabawna.

Zawsze tak było. Ich żarty stale kierowały ostrze w stronę Aapo, jakby w całym Häme nie było nikogo innego, z kogo można by się było śmiać. Aapo był do tego przyzwyczajony, ale tak mocno wwiercał dłonie w dno kieszeni, że pękła mu podszewka, a jego usta z trudem przytrzymywały słowa, które przeraziłyby każdego, gdyby tylko je wypowiedział.

Na razie jednak wolał milczeć.

Runar Schildt  
Przełożyła Agata Teperek

Agata Teperek

## OBRAZ WOJNY DOMOWEJ W NOWELI *AAPO* RUNARA SCHILDTA

### Fińska wojna domowa

Wojna domowa 1918 roku, choć krótkotrwała, okazała się wydarzeniem, które na długo podzieliło fińskie społeczeństwo<sup>1</sup>. Jej wybuch ściśle wiąże się z sytuacją polityczną w Europie, przede wszystkim w Rosji. Pomimo tego, że Wielkie Księstwo Finlandii nie brało bezpośredniego udziału w pierwszej wojnie światowej, pozostawało w unii personalnej z Imperium Rosyjskim, a kryzys gospodarczy i głód przyczyniły się do radykalizacji Finów. W listopadzie 1917 roku, krótko po rewolucji październikowej, w Finlandii wybuchł strajk powszechny. Robotnicy i bezrolni chłopcy, pozostający w wyjątkowo trudnej sytuacji, żądali przeprowadzenia długo oczekiwanych reform, które do tej pory blokował car. Po brutalnym stłumieniu strajku fiński parlament proklamował 6 grudnia 1917 roku niepodległość. Chociaż bolszewicy oficjalnie ją uznali, wkrótce do Finlandii ruszyła kolejna fala emisariuszy agitujących za rewolucją, a radykalna fińska lewica zaczęła rozbudowywać własną organizację paramilitarną, Gwardię Czerwoną. W odpowiedzi, aby zaprowadzić porządek, ugrupowania mieszczańskie i niepodległościowe tworzyły oddziały samoobrony zwane Białą Gwardią (z czasem uznano je za legalne siły zbrojne, gdyż do tej pory Finlandia nie miała własnej armii).

W styczniu 1918 roku konflikt wewnętrzny eskalował na wielu płaszczyznach. Siły Czerwonych i Białych były wyrównane, a nieznaczna przewaga tych ostatnich wynikała przede wszystkim z doświadczenia dowódców, z generałem Carlem Gustafem Mannerheimem na czele oraz wsparcia otrzymywanego z Niemiec. Zdobycie 6 kwietnia 1918 roku Tampere, bastionu Czerwonych, przesądziło o wyniku wojny i zwycięstwie Białych. Wojna zakończyła się oficjalnie 16 maja 1918 roku paradą w Helsinkach. Wielu Czerwonych zmarło później w obozach i więzieniach, a wzajemna niechęć, nieufność oraz wrogość robotników i mieszczan utrzymywała się jeszcze długo.

---

<sup>1</sup> Zaznacza się to m.in. w nazewnictwie – dla jednych była to wojna wyzwolenicza, dla innych powstanie – walka klasowa i rewolucja. Dopiero w latach 60. XX wieku udało się wypracować konsensus i przyjęto określenie „wojna domowa” jako neutralne i niestronnicze. Patrz: O. Jussila, *Rozmaitość nazewnictwa wojny z 1918 roku* [w:] O. Jussila, S. Hentilä i N. Jukka, *Historia polityczna Finlandii 1809–1999*, przeł. B. Kojro, Kraków 2001, s. 125–128.

Choć wydaje się, że fińskie społeczeństwo zdążyło już przepracować traumę, wspomnienie konfliktu Białych i Czerwonych stale powraca w literaturze i filmie<sup>2</sup>, a setna rocznica wojny domowej w 2018 roku, stała się okazją, by w ramach licznych projektów podjąć ten temat na nowo. Rola tekstów kultury w kształtowaniu pamięci o wojnie domowej i budowaniu jedności narodowej, szczególnie za sprawą powieściopisarza Väinö Linny, jest nie do przecenienia<sup>3</sup>. Jak zauważa historyk Sempo Hentilä: „badania nad Czerwonymi walczącymi w wojnie domowej 1918 roku zyskały znamiona obiektywności dopiero w latach 60. XX wieku. [...] Zaczęto ich rehabilitować. Szczególny wpływ na ówczesną debatę miała trylogia *Täällä Pohjantähden alla* (*Tu pod gwiazdą polarną*) autorstwa Väinö Linny, której pierwsza część ukazała się w 1959 roku”<sup>4</sup>.

We wcześniejszych latach wielu pisarzy podejmowało już ten temat, istotny z punktu widzenia wspólnoty narodowej. Jednak, jak przyjmuje fiński historyk literatury Johan Wrede, ich intencją było bądź gloryfikowanie wojny jako takiej, prezentacja bohaterstwa bojowników, męczeństwa ofiar, rozliczanie oponentów (co prowadziło do umacniania wzajemnej nienawiści), bądź poszukiwanie społecznych, psychologicznych i filozoficznych wyjaśnień okrucieństwa owej wojny<sup>5</sup>. Pisarze utrwalali w ten sposób przyjęte wersje wydarzeń, przy czym w oficjalnym dyskursie Czerwonych przedstawiano niemal wyłącznie jako zdzieczonych przestępców.

Wielu pisarzy z tamtego okresu, wyraźnie opowiadających się po jednej ze stron, zostało zapomnianych. Do historii literatury przeszli ci, którzy starali się przedstawić minione zdarzenie w miarę obiektywnie. Polski znawca literatury fińskiej, Bolesław Mrozewicz zalicza do nich przede wszystkim: Fransa Eemila Sillanpää, Joela Lehtonena, Ilmariego Kianto i Toivo Pekkonena, których – jego zdaniem – wyróżnia to, „że piszą wyłącznie o wojnie domowej, że próbują zgłębiać przyczyny zbrojnego konfliktu, że nie opowiadają się zdecydowanie po którejś ze stron i nie uważają żadnej ideologii za swoją własną. Dążą przede wszystkim do

<sup>2</sup> Na temat powstałych w XXI wieku filmów poruszających temat fińskiej wojny domowej, patrz np.: R. Mäki: „*Jokaisen on valittava puolensa*” *Suomen sisällissota 2000-luvun kotimaisessa elokuvassa*, „*Lähikuva*” 2018, nr 1, s. 44–63. O fińskiej wojnie domowej w literaturze pisał Bolesław Mrozewicz w monografii *Obrachunek z mitem Fina w twórczości Väinö Linny i Paavo Rintali*, Poznań 2004, s. 73–85; o nowszej literaturze pięknej i naukowej na ten temat patrz np.: S.P. Urmas, „*Tänään ei käydä oikeutta soitaan syillisistä*”. *Suomen sisällissodan julkinen muistaminen satavuotismerkkivuonna 2018*, Helsinki 2020, s. 53–73, [praca magisterska, dostęp online: 30.08.2021, [https://helda.helsinki.fi/bitstream/handle/10138/314349/Urmas\\_Saara\\_Pro\\_gradu\\_2020.pdf?sequence=3&isAllowed=y](https://helda.helsinki.fi/bitstream/handle/10138/314349/Urmas_Saara_Pro_gradu_2020.pdf?sequence=3&isAllowed=y)].

<sup>3</sup> Por.: H. Ylikangas, *Väinö Linna und die historische Wahrheit des Bürgerkrieges*, „Jahrbuch für finnisch-deutsche Literaturbeziehungen”, red. H. Fromm i M.-L. Nevala, Helsinki 1995, nr 27, s. 45–48 oraz B. Mrozewicz, *Obrachunek z mitem Fina...*, s. 83.

<sup>4</sup> S. Hentilä, *Der große Bruder wacht nicht mehr*, „Jahrbuch für finnisch-deutsche Literaturbeziehungen”, red. H. Fromm i M.-L. Nevala, Helsinki 1995, nr 27, s. 72–73.

<sup>5</sup> J. Wrede, *Inbrödeskriget i litteraturen* [w:] *Finlands svenska litteraturhistoria – Andra delen: 1900-talet*, red. C. Zilliaus, Stockholm 2000, s. 63.

stworzenia wiernego wizerunku narodu fińskiego, ukazując zarówno jego pozytywne, jak i negatywne cechy”<sup>6</sup>.

Wydaje się, że do tego samego nurtu można też zaliczyć Runara Schildta, który nie został wspomniany przez Bolesława Mrozwicza w jego monografii *Obrachunek z mitem Fina w twórczości Väinö Linny i Paavo Rintali* (2004). Badacz omawia bowiem przede wszystkim twórczość pisarzy fińskojęzycznych, a spośród szwedzkojęzycznych autorów fińskich wspomina w kontekście wojny domowej jedynie o Elmerze Diktoniusie i jego modernistycznej powieści *Janne Kubika* (1932). Pomija z tego samego powodu także Jarla Hemmera, który niedługo po wojnie domowej opublikował krytyczną w stosunku do Białych powieść *Onni Kokko* (1920), a za późniejszą prozę o zbliżonej tematyce *En man och hans samvete* (*Człowiek i jego sumienie*, 1931) otrzymał nagrodę dla najlepszej powieści nordyckiej Stora Nordiska Romanpriset.

### Sylwetka Runara Schildta

Runar Schildt, urodzony w 1888 roku mistrz krótkich form, starał się zaraz po wojnie domowej spojrzeć na jej przyczyny w obiektywny sposób, co wyróżniało go spośród fińskich pisarzy. Zaliczano go do grupy młodych realistów, tak zwanych *Dagdrivare*, którzy w latach 1907–1917 dążyli do oddania dekadencego ducha miasta. Schildt, zdaniem Virpi Zuck, stosował realistyczne opisy o wiele częściej niż „jakikolwiek inny szwedofiński autor w pierwszej połowie dwudziestego wieku”<sup>7</sup>.

W Polsce Schildt jest praktycznie pisarzem nieznanym. Do tej pory ukazał się tylko jeden przekład jego utworów – nowela *Stabszy* (1918, *Den svagare*) w tłumaczeniu Marii Olszańskiej w zbiorze *Żyźny granit*<sup>8</sup>. Również jego twórczość nie była do tej pory obszerniej omawiana w polskiej literaturze naukowej, co może wynikać z faktu, że Schildt jako Fin piszący po szwedzku plasuje się w „szarej strefie” między dwoma tradycyjnie wyróżnianymi w Polsce dziedzinami: skandynawistyką i fennistyką, a także z tego powodu, że żył zaledwie trzydzieści siedem lat (w roku 1925 popełnił samobójstwo) i pozostawił po sobie dorobek niemal wyłącznie nowelistyczny. Nie należy też do pisarzy budzących obecnie największe zainteresowanie wśród fińskich badaczy i czytelników, choć jego twórczość nowelistyczna jest nie do pominięcia przy omawianiu historii literatury fińskiej, szczególnie tej pisanej po szwedzku w drugiej i trzeciej dekadzie XX wieku i co jakiś czas pojawiają się artykuły lub opracowania na temat jego utworów<sup>9</sup>.

<sup>6</sup> B. Mrozwicz, *Obrachunek z mitem Fina...*, s. 74.

<sup>7</sup> V. Zuck, *Runar Schildt and his tradition. An approach through genre*, Helsinki 1983, s. 30.

<sup>8</sup> R. Runar: *Stabszy*, przeł. M. Olszańska [w:] *Żyźny granit*, red. Z. Łanowski, Poznań 1970, s. 40–71. W oryginale nowela ukazała się w zbiorze *Perdita* (1918) poprzedzającym zbiór *Hemkomsten och andra noveller* (1919), z którego pochodzi nowela *Aapo*.

<sup>9</sup> Z prac poświęconych twórczości Schildta większość dotyczy aspektów językowych jego utworów, np. R. Laitinen, *Språk och stil i Runar Schildts dramatik* (1965); H. Cederlöf, *Stilstudier i Runar*

Schildt spędził wojnę w Helsinkach, na własne oczy obserwował rozwój wydarzeń i słuchał relacji naocznych świadków, co zainspirowało go do napisania m.in. cyklu tak zwanych „noweli o wojnie domowej”<sup>10</sup>. Powstały one w czasie, „gdy cała Finlandia żyła w cieniu tego, co się wydarzyło. Zajmowało to myśli, uczucia były przy martwych i pogrążonych w żalobie, a przyszłość zdawała się groźnie odzwierciedlać nieodległą przeszłość”<sup>11</sup>. Nowele te ukazały się w zbiorze *Hemkomsten och andra noveller* (1919; *Powrót do domu i inne nowele*), a temat wojny Schildt podjął jeszcze później – w 1923 roku<sup>12</sup> – w dramacie *Den stora rollen* (*Wielka rola*).

W poniższym tekście chciałabym się przyjrzeć noweli *Aapo* ze wspomnianego zbioru i przybliżyć ją polskim czytelnikom, jako że stanowiąc „wnikliwie studium człowieka”<sup>13</sup> jest zaliczana do najważniejszych utworów w dorobku Schildta. W 1994 roku została ponadto zekranizowana przez Tero Jarttiego (film również nosi tytuł *Aapo*), a w tym numerze „Frazy” ukazuje się jej obszerny fragment w moim przekładzie.

### Obraz wojny domowej w noweli *Aapo*

Akcja noweli *Aapo* nie rozgrywa się w dobrze znanym Schildtowi środowisku miejskim, z którego literackich przedstawień pisarz słynie, a na prowincji, główni bohaterowie zaś nie wywodzą się z jego klasy społecznej, tylko z ludu. Tytułowy Aapo jest do tego – jako jeden z nielicznych bohaterów Schildta – fińskojęzyczny<sup>14</sup>. Akcja rozpoczyna się jeszcze przed wojną, w lipcu 1917 roku i obejmuje kilka miejscy, na przestrzeni których obserwujemy ewolucję głównego bohatera.

W dniu swych czternastych urodzin syn właściciela ziemskiego otrzymuje od rodziców osła, który wkrótce staje się kością niezgody między tytułowym bohaterem a gospodarzem. Aapo jest tzn. zagrodnikiem (bezołnym wyrobnikiem),

---

*Schildts novellistik* (1966), C. Airas, *Den narrativa strukturen i Runar Schildts novellsamling „Hemkomsten och andra noveller”: en metodprövning* (1979); A.-M. Londen, *Litterärt talspråk: en studie i dialogens struktur och form i Runar Schildts Helsingforsnoveller* (1982) oraz V. Zuck, *Runar Schildt and his tradition: an approach through genre* (1983). Pośród nowszych artykułów znaleźć można kilka dotyczących noweli *Aapo*, np.: S. Salin, *Kuka haluaisi olla aasi? Aasi symbolina ja samastymiskoteena* (2013), w którym autorka analizuje utwór z perspektywy *human-animal studies*. Warto też może wspomnieć o jedynej, jak dotąd, biografii Schildta, która ukazała się dwa lata po jego śmierci – Gunnara Castréna *Runar Schildt* (1927).

<sup>10</sup> Por.: G. Castrén, *Runar Schildt*, Helsinki 1927, s. 265–241.

<sup>11</sup> Tamże, s. 245.

<sup>12</sup> Z ustaleń Castréna wynika, że tekst dramatu był już gotowy w 1922 roku, ale Schildt wstrzymał się z jego publikacją ze względu na sytuację polityczną i wciąż bardzo świeże wspomnienia o wojnie. Por.: G. Castrén, *Runar Schildt*, s. 315.

<sup>13</sup> G. Castrén, *Runar Schildt*, s. 246.

<sup>14</sup> V. Zuck, *Runar Schildt and his tradition...*, s. 32 i G. C. Schoolfield: *Life as an outsider*, „Books from Finland. A Literary Journal” 1988, nr 3, <https://www.booksfromfinland.fi/1988/09/life-as-an-outsider> [dostęp: 31.08.2021 r.].



osobą niezbyt rozgarniętą i nieszczególnie lubianą przez resztę służby. Na co dzień kieruje się zasadami wpojonymi mu przez matkę, do których podchodzi bezkrytycznie. Nie rozumie sensu zakupu i żywienia osła. Jego zdaniem dużo bardziej przydałby się w gospodarstwie koń, szczególnie że dwanaście wierzchowców zostało zarekwirowanych przez Rosjan. Osła nazwano ponadto Jolly Boy, co również budzi sprzeciw Aapo: „Przecież to jasne, że tak śmieszna kreatura musi nosić śmieszne imię, którego żaden prosty Fin nie wymówi w swoim języku”<sup>15</sup>. Kiedy zapada decyzja, że osioł ma być używany do prac w ogrodzie, Aapo żywo protestuje, obawiając się, że stanie się przez to obiektem drwin<sup>16</sup>. Idzie więc do pana i żąda prawdziwego konia. Panu nie podoba się ton Aapo i wyrzuca go za drzwi. Śmieszny na pozór konflikt prowadzi do katastrofy, bo młodzieniec nie zapomina i nie wybacza zniewagi. Po wybuchu wojny przyłącza się do Czerwonych i zabija swego dawnego pracodawcę.

Schildt skupia się na jednostkowej historii konfliktu zagrodnika z właścicielem ziemskim. O sytuacji w kraju czytelnik dowiaduje się z informacji podawanych na marginesie: „W gazetach aż piętrzyło się od złych wiadomości o sytuacji w kraju, a w sąsiednich parafiach trwał zacięty strajk wyrobników grożący tym, że tegoroczne plony się zmarnują, mimo że w miastach ludzie głodowali” (s. 309). Z utworu dowiadujemy się, że problemy z wyżywieniem istniały też na wsi, dlatego Aapo za marnotrawstwo uważa utrzymywanie tak nieprzydatnego zwierzęcia jak osioł.

Biała Gwardia nie jest prawie w ogóle wspomniana w utworze, ale Schildt przedstawia sympatyzujące z nią postaci jako mądre i miłe, przez to wszyscy Biali przyjmują takie cechy. Przykładem jest gospodarz z żoną: „Gospodarz nosił się z wielkimi planami poprawy i rozbudowy; przekonania i tradycja rodzinna uczyniły z niego żarliwego i optymistycznie usposobionego patriotę, który snuł dumne marzenia o samowystarczalnym społeczeństwie w niepodległym kraju” (s. 309). Prowadzony na śmierć przez oddział Czerwonych kroczy z podniesionym czołem, pozostaje niewzruszony i zdaje się duchowym zwycięzcą. Autor podkreśla, że żona właściciela ziemskiego, która przed wojną troszczyła się o dom, traktowała służbę i pracowników niemal jak członków rodziny (s. 309).

W przeciwieństwie do nich Czerwoni są przedstawieni w noweli jako prostacy, żądni zemsty brutale. Pochodzą z niższych warstw społeczeństwa, marzą o pieniądzach, władzy i beztróskim życiu, które, ich zdaniem, wiodą w Finlandii panowie (z opisu życia gospodarza czytelnik dowiaduje się, że jest to wyobrażenie bezpodstawne). Taki obraz Czerwonych dość dobrze pokrywa się z oficjalną narra-

<sup>15</sup> R. Schildt, *Aapo* [w:] tenże, *Från Regnbågen till Galgmannen*, t. II, Stockholm 1988, s. 310. Kolejne cytaty z noweli zaznaczone w tekście podaniem numeru strony oryginału, przekład autorki szkicu (patrz też przekład fragmentu noweli w tej „Frazie”).

<sup>16</sup> Według Salin można tę obawę interpretować w taki sposób, że Aapo zna utrwalone w kulturze konotacje osła, ale nie potrafi zrozumieć ironicznego odwrócenia znaczeń – ironii i autoironii. Por.: S. Salin, *Kuka haluaisi olla aasi? Aasi symbolina ja samastymiskoteena*, „Elore”, t. 20, 2013, nr 1, s. 162–175.

cją na ich temat. W tym względzie można uznać, że Schildt poddał się stereotypowemu myśleniu i potwierdzał polaryzację społeczeństwa.

Jednak Czerwoni najpewniej nie byliby w stanie wystąpić przeciwko panom, gdyby nie stał za nimi ktoś inny, kto chce wykorzystać ich naiwność do realizacji własnych planów. W noweli podkreśla się negatywną rolę agitatorów. Podburzają chłopów przeciwko właścicielom ziemskim, opowiadając im kłamstwa lub w najlepszym razie półprawdy o tym, że ich bogactwo pochodzi z bezwzględniego wykorzystywania chłopów (wcześniejszy opis życia Aapo wcale na to nie wskazuje). Właśnie po rozmowach z agitatorem Räsänenem tytułowy bohater radykalnie zmienia swój pogląd na rzeczywistość. Uwierzył w to, że jego pracodawca „opływał w zbytkach i tuczył osły, i psy w swojej Velkkali, podczas gdy biedota w miastach i w wielu miejscach na wsi padała z głodu” (s. 314).

Po kłótni o osła Räsänen przekonuje Aapo, żeby pozostał na służbie u gospodarza, bo „po co przyplacać to więzieniem, skoro wkrótce da się to zrobić za darmo” (s. 321). Ten fragment może sugerować, że Czerwoni od początku zakładali krwawe przejęcie władzy i nie myśleli wcale o szukaniu kompromisu z Białymi ani o wspólnym budowaniu niepodległej Finlandii. Żeby osiągnąć ten cel, czyli przeprowadzić rewolucję społeczną, byli gotowi zabijać. Starali się także wspierać tych, którzy mogli być im później przydatni. Dawali im pocucie, że są w grupie akceptowani i szanowani. Räsänen zachowuje się tak, jakby był prawdziwym przyjacielem Aapo, rozumiał go, zawsze miał dla niego czas i niósł mu pomoc (s. 325). Zamiast go edukować, utwierdza go w błędnych przekonaniach, przyznając mu nieustannie rację, bo „człowiek, mimo że biedny ma przecie swoją dumę” (s. 321). Dlatego bez trudu może nim manipulować.

Inną przyczynę skuteczności działań agitatorów ujawnia Aapo, gdy mówi, że „wielmożni państwo i biedota nie rozumieją się” (s. 310). Nie jest jednak do końca jasne, kto za to odpowiada – czy to panowie nie mieli ochoty na zrozumienie racji klas niższych, czy raczej ludzie prości, jak Aapo, byli przekonani o tym, że porozumienie nie jest możliwe i nie chcieli słuchać argumentów drugiej strony.

Chociaż Aapo ulega wpływom Czerwonych, nie jest w noweli przedstawiony wyłącznie w złym świetle. Kiedy porówna się go z innymi czerwonogwardzistami, łatwo można dostrzec jego pozytywne cechy. Wprawdzie chętnie bierze udział w egzekucjach Białych, dzięki czemu ma pocucie, że niczym Bóg sprawuje władzę nad życiem i śmiercią, ale ich później nie okrada. Dziwi się nawet, jak coś takiego w ogóle można robić: „kim oni właściwie byli? Zabierali zegarki, pierścienie, portmonetki, portfele? Ściągali z martwych futra i obuwie? [...] nigdy nie rościł sobie prawa do żadnej części łupu” (s. 329). Jego naiwność i głupota (szczególnie podczas kłótni o osła) budzi współczucie i przyprawia czytelnika o uśmiech politowania. Jest bezbronny, gdyż nie odnajduje się w nowym świecie<sup>17</sup>.

<sup>17</sup> Podobnych „słabych” bohaterów można znaleźć w innych utworach Schildta i to nie tylko w tych dotyczących wojny. Por.: M. Ekman, *Finlands svenska litteratur 1900–2012*; Helsingfors 2014, s. 59–61.

Aapo zostaje pojmany przez Białych w pobliżu Lahti wraz z innymi czerwogwardzistami i skazany na śmierć (s. 329–330). Częste podkreślanie przez Schildta roli agitatorów nasuwa pytanie o ich rolę i motywacje wzbudzania nienawiści i wywoływania zbrojnego konfliktu. Rodzi także pytanie o winę i karę, która powinna zostać wymierzona oprawcom. Czy Aapo jest sprawcą, czy może jednak także ofiarą historii?

\*\*\*

W noweli *Aapo* Schildt pokazuje, do czego może prowadzić burzenie hierarchii społecznej. Krytykuje wojnę jako taką, a także Czerwonych, którzy marzą o rewolucji. Zdaje się twierdzić, że każdy powinien znać swoje miejsce i najlepiej, jak potrafi, wykonywać powierzone mu zadania. W świecie przedstawionym w noweli to pycha i brak rozsądku prowadzą do tragedii. Ponieważ Schildt skupia się na ukazaniu przemiany psychologicznej głównego bohatera, który sprzeciwia się zastanemu porządkowi i z prostego zagrodnika zmienia się do czerwogwardzistę i mordercę, monografista pisarza, Gunnar Castrén, scharakteryzował tę nowelę jako „studium psychologii buntu”<sup>18</sup>.

Krytycy współcześni Schildtowi chwalili go za obiektywność i neutralność. Później pojawił się krytycyzm w tej ocenie. Postawiono autorowi zarzut, że „bawi się w psychologa”<sup>19</sup>. Nie wszystkim podobało się to, że w swoich utworach starał się nie tylko pokazywać zaistniałe sytuacje, lecz doszukiwał się ich źródeł i skutków, nie potępiając jednoznacznie bohaterów. Ani w *Aapo*, ani w innych tekstach Schildta nie znajdziemy typowego przedstawiciela Czerwonych, o ile w ogóle można mówić o typowych Białych, czy typowych Czerwonych. Jego bohaterowie są ludźmi z krwi i kości. Jak pisze włoski skandynawista Massimo Ciaravolo, są to: „zwykli ludzie, którzy zbczyli z dobrej drogi w nieludzkich i ciężkich czasach”<sup>20</sup>. Mają oni zarówno wady, jak i zalety. Główny bohater noweli nie był zły do szpiku kości, nawet jeśli zbłądził, a Schildt tak go przedstawił, że sympatia czytelnika jest po stronie Aapo, który chciał być po prostu szanowany.

Historia Aapo może przywołać polskim czytelnikom na myśl losy innego bohatera literackiego, Juhy Toivoli, z wydanej po polsku powieści fińskiego noblisty F.E. Sillanpää *Nabożna nędra* (*Hurkas kurjuus*, 1919; polskie wydanie: 1962, przeł. Cecylia Lewandowska). Juha – podobnie jak Aapo – jest poniżanym zagrodnikiem, który ulega namowom agitatorów i przyłącza się do Czerwonych. Utwory Schildta i Toivoli powstały w podobnym czasie i opublikowano je w tym samym 1919 roku. Nie sposób dziś stwierdzić, czy autorzy wiedzieli o swoich pracach, choć byli rówieśnikami. Sillanpää, w przeciwieństwie do Schildta, nie mieszkał w tamtym okresie w Helsinkach. Być może po prostu należeli do podobnych kręgów akademicko-in-

<sup>18</sup> G. Castrén, *Runar Schildt*, s. 246.

<sup>19</sup> J. Mattlar, *De röda och upproret i Runar Schildts. Hemkomsten och andra noveller*, „Horisont” (Svenska Österbottens litteraturförening), t. 46, 1999, nr 1–2, s. 106.

<sup>20</sup> M. Ciaravolo, *Dagdrivare och Runar Schildt* [w:] *Finlands svenska litteraturhistoria – Andra delen: 1900-talet*, s. 54.

teligenckich, w których dominowała podobna narracja o wojnie domowej. W przyszłości warto byłoby przyrzeć się wpływowi, którym mogli ulegać w tamtym czasie obaj pisarze, a także porównać głównych bohaterów ich utworów. Inną możliwością interpretacyjną jest przyjrzenie się postaci Aapo na tle innych postaci z twórczości Schildta, który lubował się w antybohaterach, postaciach słabych i szukających swojego miejsca na świecie, a także porównanie Aapo z noweli Schildta do jego filmowym wcieleniem w interpretacji Tero Jarttiego.

Agata Teperek

### **The picture of the civil war in Runar Schildt's short story *Aapo***

#### *Summary*

The paper investigates how Runar Schildt, a Finish-Swedish writer of widely recognised short stories, presents the Finnish Civil War (1918) in one of his most famous short stories *Aapo* (1919). Although there are no doubts that Schildt supports the Whites, the way he describes the Reds, especially Aapo, the main protagonist, and examines his motivation, can be seen as an attempt to objectivize the event and humanize the Reds, which is consistent with the line of depicting the civil war represented by several Finnish writers whose texts about the war have stood the test of time.



Fot. Jędrzej Jedliński.

Wyspa Suomenlinna

Isa Asp

## KOŁYSANKA DLA FALI

Zaśnij, falo rozszalała,  
spać ci czas!  
Już się brzoza rozszumiała,  
szumi las!  
Szeptem drzew ukołysana  
zaśnij, falo, śpij do rana,  
spać ci czas.

Czyżbyś, falo, nie widziała?  
Cierpi świat.  
Drży natura obolała,  
wiednie kwiat!  
Usłysz, jak się ziemia żali,  
kiedy płomień drzewa pali,  
burzy ład.

Zaśnij, falo szalejąca,  
zaśnijże.  
Rankiem ciepłe światło słońca  
zbudzi cię  
i poczujesz, jak to z góry  
pocałunek swój zza chmury  
tobie śle.

Gdy promienie zbudzą ciebie  
już ze snów,  
kwiat zakwitnie, a na niebie  
ptaki znów  
opowiedzą swoim pieniem,  
pięknym jak kanteli brzmienie,  
baśń bez słów!



Isa Asp

Źródło: <https://www.finna.fi/>

I ty zaśnij, serce moje,  
śpij już, śpij.  
Odłóż smutki, niepokoje,  
słodko śnij.  
Oby sny ci lekiem były,  
a twe walki się skończyły.  
Śpij już, śpij.

*(Aallon kehtolaulu, 1872 r.)*

Przełożyła Dorota Kyntäjä

Fot. Julian Kotelba



Sysmä, wzgórze Kammiovuori

Mika Waltari

## BUTY, KTÓRE CHODZIŁY SAMOPAS\*

Było to wręcz niebywałe.

Wstałem rano, rozciągnąłem się, ziewnąłem, chwilę poleniuchowałem, umyłem się, podskoczyłem parę razy w miejscu, zrobiłem kilka skłonów i ubrałem się. W tym wszystkim nie było jeszcze nic dziwnego, ale kiedy otworzyłem drzwi, by sięgnąć po buty, moje ręce napotkały próżnię. Buty zniknęły, moje sprawdzone, eleganckie buty – najzwyczajniej w świecie i całkowicie zniknęły. O, to dopiero było dziwne! Musiałem wręcz przetrzeć sobie oczy i uszy, i na dodatek strzepnąć jeszcze pyłek z nosa, ale butów jak nie było, tak nie było.

– Halo, Jeanne! – zawołałem w głąb korytarza. – Halo! *Venez... ech... venez dans ma chambre!* – co oznacza mniej więcej tyle, co „rusz się tu, z łaski swojej”.

To była słaba francuszczyzna i powinien teraz szybko wyjaśnić kilka różnych rzeczy. Otóż wcale nie krzyczałem po francusku, aby zrobić na kimkolwiek wrażenie. Nie, musiałem krzyzczeć po francusku, jakkolwiek słabo mi to wychodziło, ponieważ Jeanne mówiła tylko w tym języku. Mianowicie byłem wówczas w Paryżu, w tym starym hotelu nad jasnozieloną rzeką, o którym już kiedyś wspomniałem, a Jeanne była sprzątaczką, do której zadań należało karmienie Souzou oraz, przede wszystkim, szczotkowanie i czyszczenie moich butów, które w tym właśnie celu co wieczór wystawiałem przed drzwiami pokoju, aby założyć je rano, gdy już będą czyste i błyszczące.

Jeanne na jednej nodze zbiegła po wąskich, stromych schodach i zapytała, co mi dolega. Oboje z głupimi minami spojrzeliśmy w miejsce, w którym jeszcze w poprzedni wieczór stały buty. I zupełnie nie rozumieliśmy, gdzie mogły się podziać. Szukaliśmy ich wszędzie. W szafce na bieliznę, w walizce, piekarniku i w przewodach wentylacyjnych. Wyjrzeliliśmy nawet za okno, na wypadek, gdyby buty wypadły na ulicę. Ale nigdzie ich nie było. Jeanne westchnęła ciężko i powiedziała:

– Poszły sobie!

---

\* Tekst ze zbioru *Kengät, jotka kävelivät itsekseen* z tomu *Kiinalainen kissa. Satuja ja tarinoita 1928–1946 (Chiński kot. Bajki i opowieści z lat 1928–1946)*, wyd. WSOY, 1983.



Źródło: <https://www.finna.fi/>

Mika Waltari

Zauważyłem, że była bardzo zadowolona, ponieważ nie zdążyła ich jeszcze wyszczotkować.

Zszedłem więc do biura Madame, gdzie moja gruba, biała i brudna kotka Souzou wylegiwała się na stole na stosie rzeczy do prania, Madame zaś siedziała w fotelu, usiłując dojrzeć przez kopertę treść listów.

Wydarzyło się to w czasie, kiedy moje stosunki z Souzou zostały drastycznie zerwane z powodu Raxa, mimo że Rax był najmilszym, najpoważniejszym i najspokojniejszym psem pod słońcem. Ale Souzou nie mogła znieść nawet psów pluszowych i jako istota obdarzona mądrością i rozsądkiem zaczęła się obnosić z pogardą również do mnie, swego pana.

Kiedy w samych skarpetkach i bardzo zmartwiony wkroczyłem do biura, Souzou leniwie wstała, odwróciła do mnie plecami i podniosła ogon na znak możliwie wielkiej pogardy. A potem niezgrabnie zeskoczyła i udała się do środkowego pokoju. Nie raczyła nawet na mnie spojrzeć.

Teraz już doskonale rozumiesz, że takie jej zachowanie zmartwiło mnie jeszcze bardziej, zwróciłem się więc do Madame dość opryskliwie:

– Cóż to za dziwny dom, z którego buty wychodzą sobie samopas!

A Madame, która była miłą, kochającą istotą o gołęmbim sercu, okrutnie się zmartwiła. Zmartwiła się tak bardzo, że ogarnęła mnie żałość. Poprosiłem ją o wybaczenie i powiedziałem:

– No, ależ to nie takiego! Jeśli butom chce się zabawiać na własną rękę, to niech sobie idą. Ja przecież zawsze mogę sobie sprawić nowe.

W rzeczy samej problem nie był specjalnie wielki. Buty, które zaginęły, towarzyszyły mi we wszystkich dużych miastach. Widziały meczet Sofii w Konstantynopolu i na wyścigi z szarymi osłami wędrowały przez górskie szlaki Czarnogóry. Kopały włoskich nicponi na schodach hotelowych i bardzo źle płały na popołudniowych tańcach w Negresco. Były już dość zużyte. Ale mimo wszystko bardzo je lubiłem, ponieważ były wygodne i zawsze mnie słuchały.



Wyszedłem w samych skarpetkach w górę Bulwaru Świętego Michała i kupiłem sobie nowe, piękne półbuty, które kosztowały całą setkę. Z okazji nowego nabytku włożyłem sobie jeszcze w dziurkę od guzika goździk i machałem laską, i cały byłem niezwykle szpakowaty i wytworny. Ale nowe buty okazały się jednak nazbyt eleganckie i niewygodne. Uciślały mnie w palce u nóg i pięty, aż musiałem przysiąść na krześle w kawiarnianym ogródku i zatęskniłem za moimi porządnymi starymi butami – wiernymi towarzyszami podróży, które wraz ze mną widziały tak niepojęcie wiele i ze wszystkiego, co oglądaliśmy, zrozumiały równie mało co ja.

Zastanawiałem się w duchu, czy jeszcze kiedykolwiek będzie mi dane je zobaczyć. Byłem naprawdę niemal pewien, że już nigdy nie napotkam ich na drodze swego życia. I w głębi duszy przesłałem tej niewiernej i zdradzieckiej parze rozpaczliwe pożegnanie i bardzo jej złorzeczyłem, wraz z moją walizką upstrzoną naklejkami hotelowymi, moim wiernym biurkiem i psem Raxem.

Tymczasem w Paryżu było przedwiośnie i marznące kwiaty, i żarzące się czerwienią kominki w restauracjach, i przejrzysta mgła nad wodami Jasnozielonej Rzeki, i praca, i smutek, i miłość, i nienawiść, i szczęście, i to wszystko, co przynosi życie. Na ulicach świeciły latarnie, a niebo stawało się wieczorami tak niezwykle niebieskie, jak zdarza się to tylko w bajkach i w Paryżu.

Zapomniałem o starych butach-uciekiniarach i żyłem własnym życiem. Ale wkrótce bajki mnie opuściły, a dni ochłodziły się i co rano, gdy wychodziłem z pokoju, Souzou na powitanie odwracała się do mnie pupą. Była niezwykle zadowolona z tego, że straciłem buty. Jej żółte oko oraz zielone oko błyszczały wręcz z ukontentowania na widok nowego buta, trącego moją obolałą piętę. Ale nie zwracałem na nią uwagi, miałem przecież swojego wiernego i włochatego Raxa, a czasem, gdy nikt nie widział, wtulałem w jego miękkie futro głowę, zmartwiony tym wszystkim, co minęło, bajkami i własną marnością.

Zapomniałem więc już całkowicie o zniknięciu butów, gdy pewnego poranka ujrzałem ciepłą, żółtą mgłę unoszącą się w powietrzu, która ukryła przede mną Jasnozieloną Rzekę i piękne szare wieże kościoła Naszej Matki. W żółtej mgłę postukiwały niewidoczne kroki.

Mika Waltari  
Przełożyła Iwona Kiuru

Juhana Heikki (Johan Henrik) Erkkö

## WŁASNA CHATA

*Oma tupa*

Nad niebieskiego jeziora brzegiem  
Dom stoi, maleńka chatka,  
Do niej me dziewczę mnie zaprosiło,  
Gdy pozwoliła jej matka.

Nad niebieskiego jeziora brzegiem  
Jest grządka, kawałek pola,  
Ryby unoszą jeziorne fale,  
Zboża zaś pełna jest rola.

Małe poletko i mały domek,  
Jak ptasie gniazdo ta chata,  
Lecz jeśli miłość w domu panuje,  
Zima ma słodki smak lata.

1898 r.

Przełożyła Dorota Kyntäjä

Natalia Nordling

## O POWIEŚCI *AKWARELE MIASTA ENGELA* JUKKI VIIKILÄ

Jesień 1816. Komitet odbudowy Helsinek angażuje niemieckiego architekta Johanna Engela. Jego zadania to zaprojektowanie i nadzór budowy centrum miasta, które ma rangę nowej stolicy Wielkiego Księstwa Finlandii. Engel pozostawia swoje dotychczasowe życie i razem z rodziną przeprowadza się na daleką nieznaną Północ. W założeniu krótki pobyt w Finlandii zamienia się w pracę jego życia.

*Akwarelleja Engelin kaupungista* to fikcyjny dziennik historycznej postaci, Johanna Carla Ludwiga Engela, który wraz z Johanem Albrektem Ehrenströmem stworzył neoklasycystyczne centrum Helsinek i pozostawił niezatarty ślad w architekturze całej Finlandii. Powieść powstała na podstawie szczątkowo zachowanej korespondencji Engela oraz nielicznych informacji o nim. Głównymi tematami powieści są próba odnalezienia się w nowej ojczyźnie, poczucie wyobcowania, bezgraniczna pasja, poświęcenie się pracy i pytanie o wartości, dla których gotowi jesteśmy poświęcić wszystko.



Fot. Marek Sabogal

Jukka Viikilä

Powieść otrzymała najważniejszą nagrodę literacką w Finlandii, Finlandiapalkinto 2017. W uzasadnieniu napisano: „*Akwarele* to niewiarygodnie piękny, zapierający dech w piersi diament. Każde zdanie jest dokładnie przemyślane i pełne uczuć. [...] W powieści łączą się różne dziedziny sztuki: poezja, historia sztuki, architektura i muzyka. Razem tworzą one ducha i głos Helsinek. Swoim dziełem Viikilä pokazuje w mistrzowski sposób, że mniej znaczy więcej. *Akwarele miasta Engela* nie są towarem jednorazowego użytku. Chce się po nie sięgnąć ponownie. Nastrój oczekiwania powieści napełnia czytelnika spokojem. Nie ma w niej nic zbędnego i jest w niej wszystko” (Baba Lybeck, fińska dziennikarka, członkini jury nagrody).

Jukka Viikilä

## AKWARELE MIASTA ENGELA

(fragmenty)

9 marca 1816

Obiecałem Charlotte, że pozostaniemy w Helsinkach sześć lat. Tyle, zakładam, potrwa odbudowa miasta i tyle też zostało zapisane w umowie. Nietrudno będzie obietnicy dotrzymać, gdyż jest to najbardziej odpychające miejsce, w jakie rzucił mnie los. Można by wręcz rzec, że jeśli coś spycha się na dalszy plan, spycha się to do Helsinek.

Tylko sześć lat, zapewniam Charlotte. Bo czyż znalazłby się architekt, który nie przyjąłby propozycji zbudowania całego miasta, nawet jeśli miałyby ono powstać w tak ciemnym, zimnym i dalekim miejscu?

Trudno mi teraz pisać, gdyż z zewnątrz dochodzą odgłosy wybuchów. Ehrenström chce widzieć każdego dnia kolejny wyrównany teren. Przenoszę się sprzed okna na brzeg łóżka. Spadające odłamki skał zabiły konie na podwórzach mieszkańców miasta. [...]

16 maja 1816

Nie mogłem zasnąć, więc otworzyłem na chwilę okno. W mieście nie jest bezgłośnie, jak można by sobie najpierw wyobrazić. Zawsze jest jakaś cisza mniej absolutna od drugiej, która łączy się z kolejną, może nawet już słyszalną dla ucha. Łańcuch odgłosów ciągnie się nieprzerwanie, jest tutaj od setek lat. W ten sposób, poprzez dźwięk zamykanego okna, jestem częścią życia, które było i które nadejdzie.

9 czerwca 1816

Pierwsze szkice budynku senatu są prawie gotowe. Przyznaję, że poświęcam im więcej czasu, niż jest to konieczne. Zupełnie jakby były nie pośrednim etapem budowy, lecz czymś końcowym. To właśnie moje szkice natchnęły Ehrenströma, a później cara do powierzenia mi budowy miasta. Moje propozycje owalnego teatru w Petersburgu oraz gmachu giełdy w Helsinkach nie doczekały się jednakże realizacji. Zdaje się, iż moje plany były zbyt imponujące. [...]

14 stycznia 1820

Nie wierzę ni krzty w tak zwane życie naturalne, o którym mówią ci wszyscy poeci przesiadający w tawernach. Wierzę za to, że najlepszym

sposobem na uniknięcie bólu istnienia jest skupienie się na pracy, wypełnianie obowiązków. Od zapłaty pieniężnej większym wynagrodzeniem jest odsuwanie pytań zasadniczych na dalszy plan. Bo czymże jest, myślicie, codzienne poranne wstawanie i pędzenie do kantorów, jeśli nie ucieczką przed mądrością, życiem zmysłowym i naturalnością? [...]

17 marca 1823

– Jakimi słowami modlisz się, synu? – zapytał pastor.

Zaprosił mnie do swojego biura, abym opowiedział o planach kościoła. Odrzekłem, że przed udaniem się na spoczynek powierzam siebie i swoje życie Bogu, wcześniej jednakże starannie przygotowuję wszystkie sprawy, o których On ma zdecydować. Innymi słowy, czynię wszystko, co w mojej mocy. Pastor powiedział, że powinienem zdać się na łaskę bożą. Nie trzeba zadawać sobie tak wiele trudu. Bóg jest wszechmogący. Odpowiedziałem pastrowi, że Bóg nie wybuduje kościoła – jest to zadanie człowieka. [...]

17 marca 1829

Cisza najpiękniejsza ze wszystkich słyszalnych – szmer pióra na papierze. Człowiek przy pracy, pies zalega obok na podłodze i wzdycha. Pióro kreśli słowo i zatrzymuje się przed kropką. Fragmenty myśli, nagle znużenie, radość klarownego uczucia poruszają się po pokoju, jakby otwierały się i zamykały drzwi. Minęła ponad godzina, od kiedy przyniesiono mi herbatę. Przede mną jeszcze druga i trzecia godzina, dzień chylił się powoli ku końcowi. Emilia wchodzi po schodach, słychać, że przybrała na wadze. Zapach wieczery, który podążał za mną do pokoju, powrócił do kuchni.

Wiele najważniejszych wydarzeń jest bezgłośnych. Gdy słońce z nagłą pewnością zalewa całą okolicę światłem. Błyskawica jest najpierw bezgłośna, a później słyszymy nasz strach. Gdy stuletnia ryba jest wyciągana z wody, walczy siłą wszystkich swoich wspomnień, a słychać przy tym tylko pluśnięcia.

6 kwietnia 1829

Znów sięgnąłem po starego Winckelmanna. Wynotowuję z książki tę oto mądrą myśl: „Piękno jest różnorodnością w prostocie. To kamień filozoficzny, którego artyści powinni poszukiwać, a który jedynie nieliczni znajdują. Słowa te zrozumieć może tylko ten, który sam z siebie stworzył to pojęcie. Linia obrazująca piękno ma kształt eliptyczny. Jest w niej zarówno prostota, jak i ciągła zmiana – eliptycznej linii nie sposób zobrazować za pomocą okręgu, w każdym punkcie zmienia kierunek. Łatwo jest to powiedzieć, ale trudno sobie przyswoić”. [...]

15 lipca 1829

Obudziłem się dzisiaj razem ze słońcem. Żółte, poranne światło padało na nagie plecy Charlotte. W nocy musiało być jej gorąco, skoro ściągnęła koszulę. Nie pamiętam, bym kiedykolwiek wcześniej patrzył na plecy mojej żony. Leżałem bez ruchu, bo czułem, że nie przynależę do tego poranka, poświęconego na odpoczynek człowieka i wczesną krzątanie reszty dzieła stworzenia. Gdzie była wtedy Charlotte? Rozrzutne pasażerki swiergotu ptaków były niczym kolorowe wyszywanki.

Pod lewą łopatką Charlotte ma odrobinę jaśniejszą od koloru skóry bliznę, której wcześniej nie zauważyłem. Skąd ona się wzięła? Czy Charlotte sama wiedziała? Łopatki Charlotte poruszyły się niczym namiastka skrzydeł od nagłego głębokiego westchnienia. Nie mógłbym o tym napisać, gdybym trudnił się pisaniem powieści. Tak wiele razy chwile podobne do tej były przekreślane żalnymi próbami opisu.

Jeszcze tylko chwila ciszy, nim rozbrzmia odgłosy ludzi. Poranne słońce jeszcze bardziej rozjaśniało. Stworzyło ten sam pałac miliony razy wcześniej, nim pierwsi ludzie pojęli i zaczęli podziwiać jego wyższość. Po zniknięciu człowieka będzie tak samo. Ptaki będą śpiewać dalej.

To ja przywiozłem tutaj Charlotte. Gdybym zdecydował się pozostać w Tallinnie, byłibyśmy teraz tam. Jeśli odmówiłbym przyjęcia posady intendenta w urzędzie zabudowy Helsinek, byłibyśmy teraz w Berlinie. Chociaż trudno mi to sobie wyobrazić – żadne miejsce nie jest tak odległe jak Berlin.

Jak żyłaby Charlotte, gdyby mnie nie poznała? Czy jej życie byłoby prostsze? Czy byłaby zadowolona? Czuję się źle, kiedy myślę, że Charlotte mogłaby chcieć być gdzie indziej niż tutaj, gdzie ją uwięziłem. Z tymi myślami wstałem z łóżka i postanowiłem przygotować żonie śniadanie. Nigdy wcześniej tego nie robiłem. Kiedy przyniosłem śniadanie do pokoju, ona nie chciała jeszcze zrezygnować ze snu, cicho tylko coś mruknęła. [...]

4 września 1839

Takiej koszmarniej chwili doczekałem! Zarządzeniem cara zaplanowany przeze mnie budynek wartowni przy katedrze zostanie zburzony, a w jego miejsce powstać mają szerokie monumentalne schody. A więc jednak zamierzają ingerować w plany mojego kościoła. I to w jaki sposób! Myśl o połączeniu schodów i placu jest dla mnie trudna do przyjęcia. Komitetowi tymczasem trudno jest zaakceptować obecność rzeźmieszków w sąsiedztwie budynku kościoła. Powiedziałbym, że już lepsze okrzyki grzesznych niż wylegający się na schodach próżniacy.

Jukka Viikilä

Przełożyła Natalia Nordling

Kirsti Ellilä

## SZPITAL DLA TRĘDOWATYCH\*

(fragmenty)

Trąd nigdy nie był chorobą często spotykaną w Finlandii w porównaniu z Europą kontynentalną. Ostatni i przez długi czas jedyny szpital dla trędowatych w Finlandii działał w Orivesi od 1904 do 1953 roku. To tam, w latach dwudziestych XX wieku, rozgrywa się akcja powieści. Przełożoną szpitala jest siostra Matilda – diakonisa, czyli członkini świeckiego stowarzyszenia kobiet, zajmującego się w kościele protestanckim działalnością charytatywną. Na początku ubiegłego stulecia diakonisy nie mogły w Finlandii wychodzić za mąż.

(Od tłumaczki)

\*\*\*

Z gabinetu lekarskiego dochodziło stukanie. Matilda zerknęła na zegar. Była w trakcie pisania szczegółowego sprawozdania. Chciała przekonać przełożonych Zakładu Diakonijnego, że szpital naprawdę potrzebuje więcej diakonis. Doktor Alho już dawno powinien był wyjść.

Stukot zza ściany rozpraszał Matildę. Podeszła do drzwi gabinetu i zapukała. Nie usłyszała odpowiedzi, więc zajrzała do środka.

Alho siedział za biurkiem, już bez fartucha. Miał poluzowany krawat i podwinięte rękawy.

– Proszę, proszę wejść – powiedział.

Matilda zamknęła za sobą drzwi. Alho uniósł szklankę.

– Poczłustuje się siostra?

– Dlaczego pan tutaj pije?

– Niech się siostra nie martwi, zaraz wyjdę.

Matilda stała przy drzwiach i czekała, aż doktor opróżni szklankę.

– Czy siostra wie, że *mycobacterium leprae* występuje w naturze tylko u ludzi i szczurów ściekowych? – zapytał doktor po chwili.

– Nie mogę powiedzieć, żebym wiedziała – odpowiedziała Matilda.

Zastanawiała się, o jakim szczurze mowa, choć szczur jak szczur – mówiąć wprost, tego rodzaju szkodniki jej nie interesowały.



Kirsti Ellilä

Fot. Sini Silvän

\*Tytuł oryginalny: *Lepra, Arkinen Banaani*. Helsinki 2019.

– Śledzę dyskusję naukową, wyczekując wiadomości o przełomie, który wniósłby przyszłość i nadzieję w życie trędowatych, i przy tej okazji znalazłem informację o tym dziwnym zbiegu okoliczności – powiedział doktor Alho.

Matilda skinęła głową.

– Trąd pozbawia chorego twarzy – ciągnął dalej Alho. – Nadaje jej fioletowy kolor, pokrywa ranami. Gdy choroba postępuje, ofiary wydają z siebie dźwięki przypominające skarżenie się dziecka. Ich ręce wykrzywiają się, paznokcie odpadają, a z opuszków palców sączy się zielona ropa. Chorzy z przerażającą dokładnością wyczuwają, co inni o nich myślą i są urażeni, jeśli odwracamy głowy z obrzydzeniem. Czy siostra Matilda to zauważyła?

– Zauważyłam, że wkłada pan w opiekę nad trędowatymi całe swoje serce – powiedziała Matilda. – Doceniam to. Ale teraz nie powinien pan już więcej pić. Nikomu nie pomogą ponure myśli, kłębiące się po alkoholu w pana głowie.

– Człowiek i szcur ściekowy. W taki sposób siostry Bóg, dobry i wszechmogący, to ustanowił. Trąd nie występuje u żadnego innego stworzenia na świecie. Co siostra Matilda na to?

[...]

Doktor Alho był dżentelmenem, człowiekiem serdecznym, wrażliwym i troskliwym. Stan silnego upojenia alkoholowego nie pasował do niego ani trochę bardziej, niż do innych ludzi. Matilda, rzecz jasna, rozumiała i bez pomocy doktora, że we wspólnym losie prątki trądu, szcura ściekowego i człowieka kryła się przerażająca tajemnica. W czasie swojej pracy wiele razy była zmuszona pytać, czy nadzieja ludzka jest daremna. Być może Boga nie ma. To by oznaczało, że cierpienie nie ma sensu, a życie znaczenia. Przynajmniej jeśli człowiek sam nie potrafiłby ich nadać. Wszystko zaczęło się przypadkiem, a my teraz tylko tutaj cierpimy, kiedyś umrzemy i zapomnimy, a sprawiedliwości nigdy nie stanie się zadość.

\*\*\*

To jest opowieść o Matildzie i Helmi oraz o ich wyjątkowym powołaniu. Nie powstałaby ona jednak bez Aune i bez Juha, którzy nie chcieli uwierzyć, że w szpitalu dla trędowatych człowiek nie należy do siebie samego, a jeszcze mniej należy do osoby, którą w swoim mniemaniu kocha. Nie zgodzili się przystać na to, że trędowaty pacjent należy do państwa, które płaci za jego utrzymanie. Niechętnie, z przymusu, jednakże płaci.



Opieka nad jednym pacjentem szpitala dla trędowatych kosztowała dziesięć razy tyle co opieka nad zwykłym pacjentem zwykłego szpitala. Trędowaty chory to nie był pierwszy lepszy chory. Wzbudzał strach, a w strachu, jeśli się chce, można zauważyć również pewien rodzaj szacunku. Trędowaty był cieniem przyzwoitego człowieka. Pokazywał, jaki jest los każdego z ludzi. Zdrowi mogą zapomnieć, żyć tak, jak gdyby nic na nich nie czekało u końca ich dni. Lecz trędowaty pacjent nie mógł zapomnieć.

Państwo troszczyło się o trędowatego, lecz było zimnym i beznamiętnym kochankiem. Nie interesował go człowiek. Nie interesowało go, co chory myślał, na co liczył, o czym marzył. Państwo pokrywało koszty i oczekiwało, że z wdzięczności trędowaty zrozumie, iż ma się dobrze zachowywać i nie roznosić choroby. Nie dbało o pacjenta ze względu na niego samego, lecz z uwagi na tych, którzy byli zdrowi i których nie powinno się narażać, gdyż w razie choroby zwiększiliby państwowe wydatki.

Juho i Aune nie chcieli należeć wyłącznie do państwa. Pragnęli należeć do siebie samych i do siebie nawzajem. W drugiej osobie chcieli znaleźć swe dopełnienie. A na pewnym etapie miłości wszystko wydawało się przez chwilę możliwe.

\*\*\*

Na szczęście tym razem Matilda szybko dobiegła do Aune. Ta wyrwała się, lecz dało się wyczuć jakąś rezygnację w jej ruchach, gdy Matilda wyciągała ją krok po kroku na brzeg.

– Za mojej... kadencji... nie będzie... więcej... samobójstw – sapnęła zdyszana Matilda.

Być może był to jakiś paradoks, że w tym właśnie momencie myślała o statystykach i własnej roli jako przełożonej szpitala. Juho rzucił cień na czas urzędowania Matildy i nie życzyła ona już sobie żadnej kolejnej noty w dokumentacji zakładu.

Gdy przyjęła funkcję przełożonej szpitala dla trędowatych, postanowiła uczynić z niego cichą i spokojną przystań, gdzie każdy miałby swoje miejsce i gdzie mógłby przeżyć własne życie. Każdy miałby swoją wartość, którą by szanowano. Matilda włożyłaby wszystkie swoje siły i całą energię w to, aby piękno, dobroć i trwałe porządek powoli łagodziły opór pacjentów. Aby mogli poddać się swojemu losowi i przyjąć dni swego życia takimi, jakie nadejdą. Aby nauczyli się kochać własny los i być za niego wdzięczni.

Sądziła, że czyściec jej poprzedniej placówki wypalił w niej niepotrzebny balast idealizmu, lecz być może wciąż jednak była nim obciążona.

żona, skoro czuła tak przytłaczające rozczarowanie, gdy walczyła z wolą śmierci Aune.

– W takim razie posiedzmy – powiedziała. – Pomarznijmy razem, tobie z pewnością też jest zimno.

\*\*\*

Któż zrozumie, jak to jest, gdy urodzi się silną, zdrową dziewczynkę. I będzie musiało się ją oddać...

Skażonymi piersiami nie można dziecka karmić, ani zjedzonymi przez trąd palcami nie da się prać zabrudzonej odchodami pościeli czy pieluszek. Po prostu się nie da. Trędowny nie utrzymuje nawet siebie samego ani się samym sobą nie opiekuje, jak więc miałby zająć się dzieckiem?

Pomyśl, gdybyś pozostała tutaj, wkrótce stałabyś się taka jak ja.

Nigdy nie mogłam cię potrzymać.

Nie dali mi ciebie na ręce. Od razu cię zabrali.

Marzyłam o tym, by móc pleść twe włosy, tak jak moja matka zaplatała moje. Obcinałabym twoje miękkie perłowe paznokcie, tak jak mama obcinała moje.

Lecz oni postanowili cię oddać.

Mogłabym karmić cię owsianką i ciasteczkami, pić ciepłym mlekiem i kakao, mogłabym usypiać cię w mych ramionach, szeptać do twoich uszu.

Ja jestem twoją matką, narodziłaś się ze mnie.

Ja dałam ci życie.

Wszystko to mogłabym robić, lecz oni postanowili cię oddać.

Byłam niegdyś taka jak ty.

Też miałam kiedyś serce pełne marzeń.

Miałam słomkowe warkocze i szare okrągłe oczy, byłam śliczna jak laleczka.

Lecz pewnego razu stanęłam bosą stopą na obciętą gałąź. Gałąź przecięła mi skórę i wbiła się głęboko w ciało. Rana ta nigdy się nie zagoiła.

Od tamtego momentu minęło dużo czasu, całe życie, a rana ta się nie goi.

[...]

Nie wiem, co uczyniłam, że zasłużyłam na taki los. Być może nie zrobiłam nic i moja dola to tylko przypadek. Lecz ta myśl również nie przynosi mi dużej ulgi.

Siostra Matilda powiada, że my jesteśmy chorzy, aby ona mogła zostać świętą. Śmieje się, kiedy tak mówi. Niektórzy z nas uważają ją za świętą już teraz.

Helmi też jest święta.

[...]

Opowiadano nam o tym, jak nasz Pan, wówczas gdy chodził po świecie, uzdrawiał trędowatych. Mnie jednak nie przywrócił zdrowia. Ani ten nowy lek, który wynaleziono; nim również nie dano rady mnie wyleczyć.

Nie wiem, jaką bym się stała, gdybym mogła żyć w zdrowiu. Być może zobaczę to kiedyś w niebie. Podobno wszystko jest tam doskonale. Tutaj patrzemy jak w polerowany imbryk. Owszem, odbija on całą rzeczywistość, lecz postacie są zniekształcone i niewyraźne. Tam zobaczymy twarzą w twarz. Cieszę się nadzieją na to, że kiedyś będę mogła ujrzeć siebie taką, jaką powstałam w zamyśle mojego stwórcy.

\*\*\*

Jak powiada siostra Matilda, na ten świat sprowadziła nas miłość. W niej jest nasze źródło. Nawet wówczas, gdy była zakazana, wybrakowana, sama sobie obca, zmieniona w pożądanie i wykorzystywanie, i w końcu gdy obumarła, to miłość dała nam życie.

Wszyscy znikniemy kiedyś z ludzkich umysłów. Również ci, którzy przyjdą po nas, zostaną z czasem zapomniani. Lecz miłość nigdy nas nie wyprze z pamięci. Z tysiąclecia na tysiąclecie będzie dalej triumfalnie kroczyć po świecie.

Szpitala dla trędowatych już nie ma. Budynki zostały zburzone, pozostał tylko płaski teren, a znajdujący się pośrodku niego kamień pamiętkowy opowiada o przeszłości tego miejsca. Trędowaci odeszli tam, gdzie nie ma nierówności. Gdzie nie słychać drwiącego śmiechu i dokąd nie dochodzą pogarda i lekceważenie. Ja też wkrótce się tam znajdę.

Piszę więc te słowa nieśmiało i ostrożnie. Nie chciałabym zakłócać waszego spokoju. Być może nie chcecie rozważać tego tematu, lecz mimo to zapytam. Jakie życie uważacie za cenne? Co sprawia, że warto je przeżyć? Jaka jest wartość człowieka wówczas, gdy wielu życzyłoby sobie, by się nigdy nie narodził, a i on sam w ten sposób o sobie myśli? Czy ktoś go jednak pragnie, czy miłość o nim pamięta?

Kirsti Ellilä

Przełożyła Dorota Kyntäjä

Eino Leino

## ŚWIĘTE PRZED DOMEM SĄ JARZĘBINY

Święte przed domem są jarzębiny,  
święty jest na nich kwitnący kwiat,  
świętsze owoce jarzębinowe.

Święta kukułka kuka w świerczynie,  
święty jest jasny i letni wieczór,  
świętsza jest od nich noc świętojańska.

Święte są usta jak jarzębina,  
święte jak róże policzki panny,  
najświętsza czystość i cichość serca.

Nóż wbito w drzewo jarzębinowe,  
gdy świętojańska trwała zabawa  
i gdy ptaszyna w świerku kukała.  
Okrutny chłopak dziewczynę młodą  
uwiódł swą słodką przewrotną mową  
pod świętym drzewem jarzębinowym,  
gdy stara matka głęboko spała.

1896

*Pyhät on pihlajat pihalla, z tomu Pieśni marcowe (Maaliskuun lauluja)*

## UŚMIECH APOLLA

(fragment)

Ach, dobrze zobaczyć, jak to nad brzegami  
fale cudne ślady w piasku zostawiają!  
Ach, dobrze usłyszeć, jak pod koronami  
ptaki cudne pieśni na drzewach śpiewają!



Eino Leino

Zródło: <https://www.finna.fi/>

Czy widzicie księżyc, gdy lśni wieczorami,  
czy słyszycie lasy, co szepczą nad nami?  
Ponad nimi chmury: obłoki srebrzyste  
wędrują spokojnie przez niebo przejrzyste.

1898

*Hymyilevä Apollo, z tomu Sto i jedna pieśń (Sata ja yksi laulua)*

## PIEŚŃ LETNIEJ NOCY

W uszach mych rozbrzmiewa pieśń derkacza,  
nad kłosami srebrny księżyc lśni,  
letnia noc dziś szczęściem mnie otacza;  
dym w dolinach, wokół wszystko śpi.  
Nie mam w sobie smutku ni radości,  
tęsknię tylko do leśnych ciemności,  
do promieni błyszczących zza chmury  
i do wiatru śpiącego u góry,  
cieni wody, woni zimozioła:  
na ich cześć niech serce me zawoła.

Tobie pieśń tę śpiewam, Panno Zboża,  
kiedy w moim sercu cicho tak,  
kiedy wiara moja jest jak zorza,  
jak dębowy listek, świeży krzak.  
Już ogników gonić mi nie trzeba,  
już znalazłem złoto, mój smak nieba,  
już się życia kręgi zacieśniają,  
czas nie płynie, wiatry też ustają,  
stoję na początku nowej drogi,  
co w nieznanie mnie zaniesie progi.

1905

*Nocturne, z tomu Zimowa noc (Talvi-yö)*

Przełożyła Dorota Kyntäjä

Virpi Hämeen-Anttila

## SERCE NOCY JEST Z LODU\*

(fragment)

Björk poczył żałować, że odszedł. Powinien być wytrwały, aby móc złapać taki łup. Co nim kierowało? Strach. Zaczął się bać, gdy zastanawiał się, dlaczego Kess nie przyszedł. Zaczął się bać, gdy pomimo wszystko nie udało mu się zrealizować planu. Powinien był pozostać na posterunku. W momencie obrócił się na pięcie, ponownie przeszedł przez ulicę Heikin-katu, wzdłuż ulicy Simonkatu i podszedł do stojącego na rogu domu.

Drzwi budynku nie dało się otworzyć. Dozorca zamknął je na noc.

Co jeśli w tym czasie Kess wszedł do mieszkania? Jeśli czeka na mnie – myślał Björk – podejdzie do zewnętrznych drzwi, by wyrzeć. Trzeba by pozostać jeszcze przez jakiś czas na miejscu. Björk stanął w cieniu pod ścianą sąsiedniego budynku fabryki tytoniu, przycisnął ramiona do tułowia, lecz przestawiał od czasu do czasu nogi, aby nie zeszywniały od stania i rozglądał się dookoła.

Powieki przymykały mu się ze zmęczenia i od wieczornego mroku.

Gdy zgasły latarnie przy pasażu handlowym, targ po drugiej stronie ulicy Simonkatu zmienił się w bezkształtną, szarą bryłę. W tamtym miejscu mogłaby zaczynać się bezludna pustynia lub ocean. Jeśli by wyciąć z zasięgu wzroku koszary w Töölö oraz wybudowany w miejscu teatru Arkadia budynek handlarza samochodami, Nikolajeffa, nie byłoby widać nic – nic, z wyjątkiem dachów i kominów, wyrysowanych to tu, to tam przez odległe światła nocy, odbijające się na nowych budynkach w Töölö i na fabryce cukru. Na ulicy, w polu widzenia, wyłaniały się także ciemne szczeliny w bramach i pod wystającymi częściami budynków. Wkrótce gładka, ołowiana czerń zaciemionych miejsc, w której nie wiadomo czego należało wypatrywać i chwilowe osłepienie spowodowane spojrzeniem na uliczne lampy lub w oświetlone okna, zaczęły oszukiwać zmysły.

Björkowi zdało się, że z prawa, po drugiej stronie ulicy, tam gdzie stał dom kupca Amosa Anderssona, dostrzegła w cieniu bramy dwie po-

---

\* Fragment pierwszej powieści detektywistycznej Virpi Hämeen-Anttila noszącej tytuł *Serce nocy jest z lodu* (*Yön sydän on jäätä*), opublikowanej w 2014 r. Rozpoczyna serię o Karlu Axelu Björku. Niedawno została wydana jej ósma część. Akcja wszystkich powieści rozgrywa się na początku lat dwudziestych XX wieku w Helsinkach (uwaga tłumaczkii).

Fot. Archiwum pisarki



Virpi Hämeen-Anttila

się bliżej, pełzająca postać znikwała, a ciemność napełniała się wirującymi i lśniącoymi punktami lub czerwoną i zielonkawą poświatą. Björk zamknął oczy i rozmasował powieki, aby rozwiać iluzje stwarzane przez napięty zmysł wzroku oraz przeklął lampy uliczne, które były wspaniałe, gdy szło się spokojnie przed siebie, lecz stwarzały problem, kiedy nie było bezpiecznie i kiedy oczy potrzebowały przywyknąć do ciemności.

Słuch również płatał figle, gdy Björk próbował wyłapywać delikatny dźwięk skradania się lub oddechu. Nagle słychać było tylko szum i nie dało się odróżnić, czy pochodził on z własnych uszu albo z maszyny lub pojazdu, czy też był to zgiełk miasta, drgający, stapiający się w jedno gwar, który w tym momencie unosił się znad targowego placu i od strony ulicy Heikinkatu.

Drzwi pilnowanego przez Björka budynku pozostawały zamknięte. Jeśli Kess był w środku, nie chciał wyjść na zewnątrz. Björk ponownie wyjął z kieszeni zegarek, lecz nie widział wyraźnie wskazówek. W pół do jedenastej? To nie mogła być prawda. Jeszcze nie było dziesiątej.

Miasto cichło. Gdy stało się w miejscu tak długo jak stał Björk, dało się usłyszeć, jak się zatrzymuje, obraca, zasypia, ziewa, pozwala snu płynąć przez swoje członki, oddechowi uspokajać się i wydłużać, jak gasi światła i kładzie się. Björk też powinien leżeć w łóżku. Irytowała go jednak myśl o powrocie z pustymi rękoma oraz fakt, iż następnego dnia musiałyby powiedzieć Marttiemu, że Kess nie wpadł w jego pułapkę i że dochodzenie nie posunęło się ani o krok naprzód.

staci. Gdy wyteżał wzrok, postacie znikwały w tle, lecz gdy patrzył na skos od nich, ukazywały się ponownie. Nie mogły jednak być prawdziwe, gdyż obie były nienaturalnie wysokie; Björk oceniał, że miały po dwa i pół metra.

Nieco dalej na ulicy, pomiędzy dwoma latarniami, również panowała ciemność, do której wpadał cień rzucany przez pozostawiony na ulicy wózek transportowy i w tej czerni Björk dostrzegł ruch, jak gdyby ktoś czołgał się zgarbiony naprzód; i znów, gdy próbował przyjrzeć

Wreszcie musiał przyznać się do porażki. Westchnął, rozciągnął ręce i nogi, i ruszył, tym razem w drugą stronę, do zakrętu ulicy.

Gdy mijał wózek transportowy, z prawej strony usłyszał strzał, jak gdyby ktoś otworzył butelkę szampana i zaraz potem głośny trzask tuż obok niego. W mgnieniu oka ocknął się. Co, co? Coś uderzyło w wózek. Błyskawicznie rzucił się na ziemię. Bang. Fiuu. Trzask. Tym razem uderzenie w ścianę.

Ktoś strzelał - -

Ktoś strzelał do niego.

Virpi Hämeen-Anttila  
Przełożyła Dorota Kyntäjä

Fot. Julian Kotełba



Laponia, Bihčosjávri



Daniel Katz

## NIEMIECKI ŚWINIOPIES

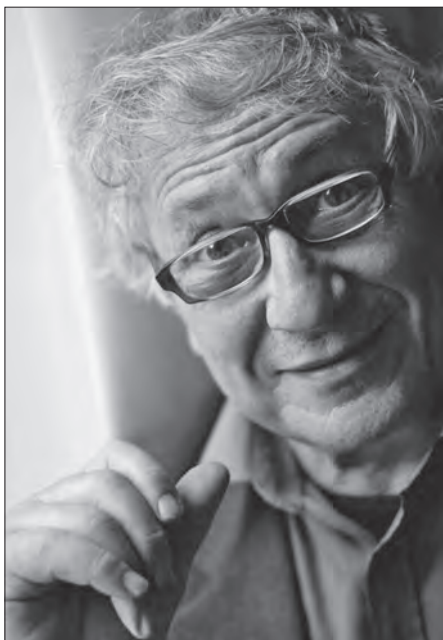
Prezentowany tu w krótkim fragmencie *Niemiecki świniopies* (*Saksalainen sika-koina*, WSOY, 1992) jest kolejnym – po debiutanckiej powieści *Gdy dziadek do Finlandii na nartach szedł* – częściowym powrotem Daniela Katza do historii rodzinnej: syn żydowskiego kuglarza, który w przededniu drugiej wojny światowej jeździł z cyrkiem po Rzeszy, wraca po latach do Niemiec, by zemścić się za krzywdy doznane przez ojca. Atutami tej niedocenionej powieści są doskonały humor słowny i sytuacyjny, płynne przejścia od komizmu do tragizmu, cała gama świetnie zarysowanych, drugo- i trzecioplanowych postaci. Mimo wagi poruszanych kwestii narracja Katza jest spokojna, by nie rzec – serdeczna; jego sztuka widać w tym, że potrafi w ten sposób podać tematy najważniejsze i najtrudniejsze: przemyślenia o sensie życia w świecie, który dla Żydów zatracił człowieczeństwo. Katz stara się je przywrócić, jakoś się z tym straszonym światem uładzić, pokazując bezsens zemsty ostatecznej. Czy może raczej: proponując nam inny jej wymiar.

Od tłumacza

### 1

*Ma nisztana halaila haze mikol haleilot?* „Czym ta noc się różni od wszystkich innych nocy?”. Te hebrajskie słowa przemknęły mi przez pamięć, zniknęły, i znów rozbłysły w świadomości niczym uporczywie migająca reklama na dachu kamienicy po drugiej stronie ulicy. *Ma nisztana?* W pytaniu nie było niczego niestosownego, bynajmniej – dobre pytanie. Ale co z odpowiedzią: „We wszystkie inne noce jemy to, co kwaśne, i to, co niekwaszone; tej nocy jemy tylko to, co niekwaszone”. I tak dalej. Ponieważ nie mogłem wymazać z pamięci natrętnie powracającego pytania, postanowiłem zniszczyć wspomnienie wspomnianiem; miałem w tym duże doświadczenie. Trującą, upartą myśl należy uśmiercić myśleniem.

A więc dobrze: wyraziłem pytanie głośno, wypowiedziałem je męskim głosem, surowo; wypowiedziałem je niepewnym, dziecięcym głosem, tak jak wypowiadałem je jako mały chłopiec podczas sederu, bojąc się, że pomylę słowa i pomieszam całą litanię pod nieznosnym naporem ośmielających spojrzeń rodziny. Paschalne wino zaczerwieniło mi policzki. Wyrecytowałem pytanie niepewnie i niewyraźnie, ale w odpowiedziach było już więcej rezonu: „...we wszystkie inne noce maczamy potrawy, to jest nie maczamy w ogóle, ale tej nocy maczamy dwukrotnie i spożywamy tylko gorzkie zioła, i tej nocy jemy opierając się na boku...”.



Daniel Katz

A zatem, dlaczego ta noc jest inna od wszystkich innych nocy? Czy dlatego, że we wszystkie inne noce byłem zdrowy i bałem się, że zachoruję, bałem się tego, że może już jestem chory, a tej nocy wiedziałem to na pewno? Czy dlatego?

Gdy więc słabym głosem dziecka zapytuję sam siebie, z jakiego powodu ta noc jest tak osobliwa, w ośmielającym spojrzeniu ciotki Rimmy już dostrzegam odpowiedź, która zamiera na moich delikatnych, wyciętych w łuk amora ustach, i ciotka kiwa energicznie głową, aż słyszę świst dochodzący z jej długiego nosa: „Tej nocy trawiony będziesz od środka, opierając się na boku, siedząc prosto i w każdej innej pozycji, a jeśli nie tej nocy, to kiedyś później, może

za trzydzieści, czterdzieści lat; w noc, po której będziesz się tego najmniej spodziewał – ty, który na tę noc zawsze z lękiem czekałeś”.

Ciotka Basze nalewa małemu zuchowi więcej wina, słodkiego wina Carmel do srebrnego pucharu, i pozwala mu się napić – bo pewnego dnia jej pytania się skończą i nie będzie już słyszeć powtarzanych w kółko odpowiedzi, bo będzie dostawać gorzkie zioła dwa razy dziennie, aż w końcu szcześnie i przestanie istnieć. Opieka terminalna, powiedziałaaby ciotka Basze, która była pielęgniarką – gdyby wówczas to określenie знаła. Ale wymyślono je dużo później, gdy była już przezroczystą, kruchą staruszką, która już nic nie pamięta, ciągle jednak potrafi oszukiwać w kartach.

To było jakieś pół roku temu – nie wieczera, lecz ów wieczór wspomnień – pod koniec wietrznego, marcowego dnia dziewięćdziesiątego pierwszego roku, a dokładniej: pod koniec ostatniego dnia marca. Dokładność nie jest moją mocną stroną, a w każdym razie nie jest moją cechą wrodzoną, musiałem się jej nauczyć, gdy dużo później zostałem dyrektorem liceum. Nie było to łatwe, mam bowiem, że tak powiem, pamięć emocjonal-

ną, pamiętam ludzi i ich twarze, lecz nie pamiętam imion, pamiętam o swoich zadaniach i obowiązkach, lecz nie zawsze o ich właściwej kolejności. Pamiętam swoje zasady, lecz nie zawsze, która z nich jest najważniejsza. Tę datę jednak zapamiętałem bez trudu, tak się bowiem złożyło, że jest to dzień urodzin mojej matki i zarazem dzień śmierci mojego ojca. W tym zbiegu dat jest sporo ironii, mimo że zdarzenia te dzieli wiele lat. Oboje moi rodzice już od jakiegoś czasu leżą w grobie, obok siebie, ojciec zaczął pierwszy, matka przyłączyła się do niego zaledwie kilka lat temu. Jednak rok śmierci matki wypadł mi z głowy, podobnie jak dokładna data. Takie luki w pamięci mają jakiś ukryty, wstydlivy sens psychologiczny, wie to nawet dziecko i nie trzeba wcale szukać głęboko. Wstydę się więc tego, jak przystoi w takiej sytuacji, i próbuję sobie przypomnieć, ale pamiętam tylko tyle, że była zima, no i że było mi źle. To połączenie było najzupełniej zwyczajne i dlatego mogę powiedzieć z całą pewnością, że musiało się to wydarzyć w ciągu trzech ostatnich lat. Ta dziura w pamięci mnie drażni, lecz nie mogę sprawdzić tej daty, ponieważ pisząc te słowa, jestem daleko od domu, w Vorpommern, w małym miasteczku w byłym DDR, który przez długi czas uważałem za jedyne prawdziwe Niemcy, przepraszam – NIEMCY. Z niezliczonych miejsc, w których mogłem zamieszkać, wybrałem, i to dobrowolnie, miejsce najmniej prawdopodobne, zważywszy na moje pochodzenie, moje sympatie i antypatie... Życie rzuca człowieka, gdzie chce i na oślep, rozłożyłem więc tylko szerzej poły peleryny i poddałem się mu, poszybowałem za nim i wylądowałem w skromnym, by nie powiedzieć: nic nie znaczącym miasteczku o nazwie Eggenau. I tutaj też się zatrzymałem. Na pewien czas. Był to niezależny wybór, miałem swoje powody, a w zasadzie to właśnie tu chciałem się dostać, wcześniej sprawdziłem na mapie, gdzie leży ta nieszczęsna miejscina, a nie na każdej mapie można było ją znaleźć. Na przykład na mapie samochodowej Auto-Europa szwajcarskiej firmy Kümmerly+Frey w skali jeden do miliona Eggenau nie było, choć można było na niej znaleźć nawet tak żałosne dziury, jak Krompaey w Tatrach, gdzie kierowcy tirów ze Słowacji spili mnie kiedyś z wielkiej przyjaźni bimbrem tak paskudnym, że wylądowałem w szpitalu. Przez dwa dni mocowałem się ze śmiercią, ale mój czas, jak to się mówi, jeszcze wtedy nie nadszedł. Uważam, że to bardzo głupio tak mówić. Jeśli ktoś rozmyśli nie zapija się prawie na śmierć i mimo to nie umiera, ma to tyle wspólnego z determinizmem, ile fakt, że wyrzucona moneta spadnie albo reszką, albo orzełkiem do góry. A zatem, kiedy mówię, że życie rzuca człowieka w miejsca najzupełniej nieprzewidziane, mam na myśli to, że gdyby ktoś pięć lat temu prorokował, iż osiedlę się w miejscowości położonej we wschodniej części połączonych Niemiec, uznałbym tę wróżbę nie tyle za absurdalną,

ile wręcz obraźliwą – z przyczyn, które może już za niedługo staną się dla wszystkich jasne, nie wyłączając mnie samego.

Aby dopełnić sumy tych zbiegów okoliczności: ostatni dzień marca to pierwszy dzień mojego Nowego Życia. Dzień numer jeden roku pierwszego mojej prywatnej rachuby czasu. W rzeczywistości roku zerowego, ale ponieważ w większości kalendarzy, w tym również w chrześcijańskim, przyjęło się, że rok pierwszy już upłynął w chwili, w której się zaczyna, więc i ja postanowiłem pominąć rok zerowy i zacząć od jedynki. Początek mojej rachuby czasu nie ma związku z dniem urodzin matki ani z dniem śmierci ojca, lecz z moją wizytą u pewnego lekarza i odczytanym mi wówczas wyrokiem, a miało to miejsce właśnie ostatniego dnia marca roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego pierwszego, starego kalendarza. Piszę to piętnastego września roku pierwszego nowej ery (nie przemianowałem miesięcy, wystarczą przecież stare, jeśli się zapamięta, że kwiecień to w moim systemie pierwszy miesiąc roku, mimo że zaczyna się o jeden dzień wcześniej. Na przykład czerwiec to w moim kalendarzu trzeci miesiąc roku, choć pozostaje czerwcem. A teraz, kiedy już to wiecie, możecie o tym zapomnieć).

– Mówiąc otwarcie – powiedział lekarz, którego dewizą była otwarta rozmowa z pacjentem – panie... Topor? Muszę powiedzieć panu otwarcie...

Podczepił zdjęcia rentgenowskie do podświetlanej tablicy i pokazywał ciemne pole na lewym płucu, w oklepianych frazesach zaczął mówić ogólnie o ciemnych polach i konkretnie o tym ciemnym polu, ogólnie o guzach i konkretnie o tym guzie; powiedział to, co musiał mi powiedzieć jak mężczyzna mężczyźnie i lekarz pacjentowi, z którym rozmawia otwarcie, choć nie z każdym tak otwarcie, jak ze mną, Maurim Toporem, ale to dlatego, że ja akurat dałem mu do zrozumienia, że jestem gotowy otwarcie go wysłuchać.

Powiedziawszy, co miał do powiedzenia, lekarz umilkł i zaczął oglądać swój nożyk do papieru z cynową rękojeścią. Chwytał go w dłoń i trzymał tak, jak Chińczycy trzymają raketkę do ping ponga, chwytem piórkowym; ba, zaczął jeszcze beztrwosko skręcać dłoń w nadgarstku i gest ten można było zrozumieć na przykład tak: „Teraz piłeczka jest na twojej połowie, śmiertelniku”. Tak to zresztą rozumiałem i musiałem przyznać, że zaserwował z bardzo kąśliwą, górną rotacją, a na domiar złego przed podaniem nie widziałem piłeczki na jego otwartej dłoni, jak nakazują przepisy. Na grzbiecie ręki, w której trzymał raketkę, zauważyłem duże plamy wątrobowe. Który z nas był bardziej chory? Który był starszy, czyj koniec bliższy? Mam duże dłonie, długie i silne, choć zakrzywione palce, paznokcie mają różowy odcień, czyż nie jest to oznaką zdrowia?

– Przecież mam dobrą kondycję – powiedziałem i zaśmiałem się z niedowierzaniem – biegam co drugi dzień, chodzę na salę gimnastyczną, nie palę... już nie... Jestem nauczycielem wychowania fizycznego...

Czułem, że twarz dziwnie mi się wykrzywia. Po co ja mu to wszystko mówię? Co ma do rzeczy mój zawód? Dlaczego się zaśmiałem? Czyż nie przygotowałem się na to spotkanie już wcześniej, czyż nie antycypowałem swoich reakcji w razie, gdybym miał usłyszeć z ust lekarza właśnie to, co przed chwilą usłyszałem? Czy nie ćwiczyłem przed lustrem, jak zapanować nad mimiką, ruchami rąk, mową ciała? Uznałem, że przyjmę ten wyrok w nieznacznym pochyleniu, w czujnej, spokojnej postawie – trochę jak w *zenkutsu-dachi* w karate, ale w pozycji siedzącej, z prawą, zakrzywioną w hak dłońią na wysokości piersi albo przy boku, z lewym ramieniem wyprostowanym i wzniesionym nieco ku górze...

Ale lekarz miał się na bacności i zripostował kopnięciem okrężnym:

– Żeby pan wiedział, ile osób zapada na tę chorobę, chociaż nie pali i nie pije.

To było stylowe *mawashi-geri* prosto w skroń. I jeszcze w pełnym kontakcie. Miałem ochotę natychmiast się poddać. I wyjść. Lekarz siedział w milczeniu, czekał może na pytania, na protesty. Stuknął nożykiem w szklany wazonik, który wydał bardzo czysty dźwięk. Otworzyłem usta, żeby dostroić głos. Łatwo mi poszło. Nie mam słuchu absolutnego, nie potrafiłbym wprost podać nazwy dźwięku. Ponieważ jednak człowiek, który właśnie usłyszał, że ma raka, obojętnie na wszystko, ustalenie nazwy właśnie tego dźwięku i ewentualnie towarzyszącego mu znaku chromatycznego wydało mi się nagle bardzo ważne. Zastosowałem najprostszą metodę. Wydobyłem z siebie najniższy dźwięk, jaki potrafię – jest to *c* oktawy wielkiej – po czym zacząłem podnosić głos półtonami, aż zrównałem się z owym szklanym dźwiękiem i stwierdziłem, że to *fis*. Ale mogło to też być *g*. W taki dzień wszystko jest możliwe. Wyszedł mi ten *fis* jak westchnięcie, coś pomiędzy „hoo” i „hee”, i lekarz spojrział na mnie z troską; z taką reakcją jeszcze się nigdy nie spotkał.

To oczywiście tylko przypuszczenie, moje przypuszczenie z perspektywy Eggenau, z dość już odległej perspektywy czasowej. Nie zapytałem wówczas lekarza, jak ludzie zazwyczaj reagują na wieść, że zżera ich od środka rak; nie zapytałem o to ani wtedy, ani później. Oczywiście potrafię sobie wyobrazić, że jeden się schyli i zacznie wiązać sobie sznurowadło, drugi zainteresuje się nagle swoimi paznokciami, a trzeci będzie próbował policzyć plamy wątrobowe na grzbiecie dłoni doktora i tak dalej. Jeśli lekarz ma w zwyczaju stukać swoim nożykiem do papieru w przedmioty wyko-

nane ze szkła, można przypuścić, że prędzej czy później ktoś spróbuje ten dźwięk złapać, śpiewając go, gwizdząc czy choćby miauczając, bo przecież jest on czymś zdecydowanie prawdziwszym, bardziej zrozumiałym i konkretnym niż to, co lekarz próbuje właśnie pacjentowi powiedzieć, mniej lub bardziej otwarcie: twoje dni są już policzone. Odliczanie właśnie się zaczęło i nie potrwa długo.

[...]

To, że pisząc te słowa, siedzę na strychu gdzieś w Niemczech, jest prostą zasługą mojego ojca. Nie wiem, co sam by o tym powiedział – o tym, że jestem teraz właśnie tutaj i do tego twierdzę, iż przyjechałem ze względu na niego. Czy zaakceptowałby moje motywy, czy by je w ogóle pojął? Tego mogę się jedynie domyślać. Powiem tylko, że swego czasu sam siedział w tym właśnie pokoju, siedział i leżał, próbując jakoś poskładać swoje pogmatwane życie. A teraz nadeszła moja kolej. Zmarłego ojca nie można zapytać o radę, a i żyjącego rzadko. Za to żyjącego stryja owszem, wbrew wszelkiemu rachunkowi prawdopodobieństwa wciąż żyjącego, jedyne go stryja zapytać można. I chyba to zrobiłem. Zapytałem go, czy pomysł mojego wyjazdu do małego miasteczka o nazwie Eggenau w celu wyjaśnienia, co też porabiał tam mój ojciec, uważa za całkiem bezsensowny. Nie powiedziałem, że to i owo na ten temat już wiem, nie zdradziłem mu też moich zupełnie osobistych motywów, które choć mają oczywisty związek z ojcem, dużo więcej łączy je jednak z pęczniczącymi we mnie grudkami, z chronicznym zapaleniem moich obsesji. Nie powiedziałem mu również, że wszystko wskazuje na to, iż nie mam już czasu do stracenia, co miało znaczyć, że jest mi najzupełniej obojętne, co zrobię z resztą mojego życia. Tego mu nie powiedziałem. Takich rzeczy staremu stryjowi się nie mówi. Stara męska Pytia, gdy w końcu zrozumiała pytanie, wyskrzyphała dwuznacznie:

– A jedź, jeśli chcesz. Tylko że to bez sensu.

– Co? To, że jadę?

– A co, jedziesz?

– Ale co nie ma sensu? – próbowałem się dowiedzieć.

– I tu jesteś podobny do ojca.

– Gdzie?

– To ty powinienesz wiedzieć. Gdzieś niedaleko Stettin, z tym że chyba na zachód od Oder.

[...]

Ojciec szukał przygód w Niemczech na początku lat trzydziestych, wielu tak robiło, ale o jego przygodach mówiło się w domu nadzwyczaj rzadko, a jeśli nawet, to bardzo oględnie. Dlatego też miałem raczej mgliste pojęcie o tym, co on tam właściwie robił. Ktoś mówił, że był agentem,

i puszyłem się tym przed innymi dziećmi z podwórka, rozповідаłem, że miał pistolet i fałszywy paszport i likwidował agentów obcego wywiadu. Co to byli za agenci, tego już nie potrafiłem powiedzieć, ale zgadywałem, że byli Niemcami. A potem ktoś z dorosłych wytłumaczył mi, że mój ojciec był agentem firmy drzewnej i papierniczej, i poczułem się wtedy okropnie rozczarowany.

Jeszcze inny dorosły opowiadał, że ojciec ni z gruszki, ni z pietruszki przyłączył się do trupy cyrkowej i włączył się z nią po tych całych Rzeszach, Daniach i Polskach – właśnie tak, w liczbie mnogiej. Ta wersja od początku wydawała mi się podejrzana, bo już mnie raz nabrali na bajki o agencie. Gdyby to było prawdą, należałoby przecież mówić o tym głośno i z dumą, a nie ścisząc głos. Sam go o to spytałem, w pięćdziesiątym drugim, kiedy ojciec był już bardzo chory. Miałem wówczas siedemnaście lat, słuchaliśmy sprawozdania z finału piłki nożnej na Olimpiadzie w Helsinkach, w którym Węgrzy grali z Jugosławią. Zapytałem, czy ta historia z cyrkiem jest prawdziwa i ojciec pokiwał głową, ale miałem wrażenie, że mnie nie słucha. Poprosiłem go, aby mi ją opowiedział, choćby szeptem, żeby matka nie usłyszała. Obiecał, że powie mi co nieco, tylko że nie teraz, a wszystko opowie mi później, kiedy będę starszy. Ale potem zabrali go do szpitala i usunęli mu drugą nerkę.

W finale zwyciężyli Węgrzy. Cieszyłem się, bo Węgrzy to nasi krewniacy. Ojciec trzymał stronę Jugoli, bo Jugosłavia wygrała ze Związkiem Radzieckim. Nie sądzę, żeby mój ojciec był titoistą. Myślę, że miał na myśli mecz eliminacyjny, a nie rozgrywki Tito ze Stalinem. Teraz wszyscy już nie żyją – Stalin, Tito i ojciec. Związek Radziecki się rozpadł, a Jugosłavia właśnie się rozpada. Tylko piłka nożna żyje, ona jest wieczna. I w niebie też jest liga, liga aniołów, z której się spada do niższej serii raz na tysiąc lat.

Gdy wrócił ze szpitala, znów poruszyłem z nim sprawę cyrku i obiecał opowiedzieć wybrane epizody historii, która przydarzyła mu się w Rzeszy.

– W Rzeszach, Daniach i Polskach – uściśliłem.

Ojciec spojrzał na mnie pytająco, po czym skinął głową i zamknął oczy. Był bardzo zmęczony.

Dorośli bardzo lubią obiecywać. Kto wie, może naprawdę chciał mi opowiedzieć, tylko że koniec końców nic z tego nie wyszło. Dorośli zawsze odsuwają na później to, co można zrobić od razu – może liczą na to, że śmierć zabierze ich w porę, zwalniając z danego słowa. Oczywiście ojciec nie zdążył mi nic powiedzieć. Rok później zmarł.

Po pogrzebie zapytałem matkę, co takiego mogło się przydarzyć ojcu w tej Rzeszy, ale matka nie wiedziała, a jeśli wiedziała, zachowała to dla siebie.

– Mogło mu się tam przydarzyć cokolwiek. Nie musiał tam jechać, ale skoro już pojechał, trzeba było chociaż sprzedawać ten papier, skoro taką miał pracę, trzeba było się trzymać firmy brata, a nie uciekać do cyrku, i to jeszcze niemieckiego. Tam nie potrzebowali magików ani błaznów, dość ich tam mieli rodzimego sortu, wszystkich tych nazistów z Hitlerem za głównego klauna, no, ale on był, jaki był..., uparty był. Hitler brał władzę w swoje ręce, a naród się nie przeciwstawił, wręcz przeciwnie. Ani ja, poznaliśmy się dopiero później. Nie, nie mówię o Hitlerze, o twoim ojcu mówię. Dobrze, że wrócił stamtąd cały i zdrów, aż dziw, że nie przyplacił tego wszystkiego życiem – powiedziała matka i rozplakała się.

Raz słyszałem, jak krzyczała do ojca, że lepiej by było, gdyby się nigdy nie poznali. Trochę mnie to dotknęło. Chyba nie mówiła tego całkiem poważnie.

[...]

Tak więc mój ojciec, zamiast zostać szanowanym bankrutem w fachu kupieckim, został szanowanym magikiem i objazdowym klaunem. Zawsze myślałem, że to było jego hobby, tak przynajmniej dawano mi do zrozumienia. Ojciec miał zawsze w kieszeni chusteczki i sznurki, czasem piłeczki i monety, rzadziej talię kart – karty były niebezpieczne, bo miał słabość do hazardu. Jako magik był taki sobie, zbyt często plątały mu się palce; przez picie, jak opowiadała mi później matka, choć ja tego nie zauważyłem, a i tak bym jej nie uwierzył za życia ojca. Zresztą wtedy matka by mi tego nie powiedziała. Czasem jednak trzymała jego stronę.

Gdy nagle się okazało, że już niedługo spotkam się znowu z ojcem, zacząłem zachodzić w głowę, czy spotkamy się jako dorośli mężczyźni. Czy będziemy rówieśnikami? Czy ja ciągle będę jego synem, czy też nasze role będą odmienne? Jakże jednak mogłem sobie wyobrażać nasze spotkanie, skoro nie wierzyłem w życie po śmierci, nie wierzyłem, że po śmierci może być w ogóle cokolwiek, a w każdym razie nic, o czym warto by marzyć? Ojciec też w to nie wierzył. Czyżby sprawa była aż tak piekielnie prosta, że ci, którzy wierzą... w to coś – że tylko oni będą mogli spotkać swoich zmarłych bliskich? Jak można dawać takie prawo takim idiotom?

Czy dlatego, że skoro świat, skoro całe to ziemskie życie jest złem, niesprawiedliwością i wyzyskiem, zjadaniem jednych przez drugich – mówię teraz o całym świecie ożywionym – to czyż nie jest logiczne, że cała ta pozagrobowa szczęśliwość i życie wieczne muszą być udziałem tych dzieciennie naiwnych głupców, bez względu na to, w co wierzyli za życia? Wszystkich tych, co to biją się w piersi i mówią, że mnie nie może się przydarzyć nic złego, ponieważ wierzę... wierzę, że Ktoś, albo Ktoś i Czyjś Syn,



albo Ktoś i Czyjś Prorok chroni mnie od zła wszelkiego, a jeśli mimo to coś złego przydarzy się mnie czy mojej rodzinie – wojna atomowa, zapchanie skrzynki przez reklamy, zatrucie pokarmowe czy śmierć z pragnienia – celem tego nieszczęścia będzie doprowadzenie mnie do progu, który do tej pory oddzielał mnie od szczęśliwości i życia wiecznego za grobem? I ich młodszych braci, którzy nie biją się w piersi, za to nieśmiało wbijają oczy w ziemię, choć mają to wewnętrzne przekonanie, że zostali wybrani i dlatego wstąpią do królestwa niebieskiego, i zasiądą po czyjejs prawicy... bardzo daleko po prawej, mimo to jednak zdecydowanie po prawicy, czyjejs tam – zapewne tego, kto siedzi po lewej i albo kiedyś bił się w piersi, albo był z tych cichych.

Ale powiedzmy, że ja... ktoś... ktokolwiek spróbowałby teraz uwierzyć – wyłącznie przykładowo – że rzeczywiście istniał jakiś Jezus i że to on wypowiedział te słynne słowa pożegnania, które wspomina się w Ewangelii Jana i które w pewien samotny wieczór spędzony w brudnoszarym hotelu przeczytałem w Biblii Gideona i z jakiegoś powodu zapamiętałem: „Niechaj się nie trwoży serce wasze; wierzcie w Boga i we mnie wierzcie! W domu Ojca mego wiele jest mieszkań”... I że powiedział, iż pójdzie przygotować im miejsce, że wróci i zabierze ich do siebie, a potem powiedział coś jeszcze i na koniec dodał: „I dokąd Ja idę, wiecie, a drogę znacie”. Chyba że to ostatnie zdanie w istocie było pytaniem: „A drogę znacie?”...

Jeśli zatem ten ktoś uwierzyłby, że Jezus tak właśnie powiedział i – jakby już tego nie było dość – że było to jeszcze prawdą, czy spytałby wówczas, tak jak niewierny Tomasz: Panie, nie wiemy, dokąd idziesz, jakże możemy znać drogę?

Oczywiście, że tak, oczywiście, że tak właśnie by spytał, i możliwe, iż usłyszałby jeszcze odpowiedź: „Ja jestem droga a prawda, i żywot, nikt nie przychodzi do Ojca, tylko przeze mnie”.

Jezus zatem był niejako bramą do nieba i ojca, a bramę tę można było otworzyć dzięki temu, że się w nią wierzyło; jeśli się w nią nie wierzyło, brama pozostawała zamknięta – takie to było proste. Pamiętam jeszcze, co powiedział Filip, i oczywiście zawtórowałem... to jest, ten ktoś zawtórowałby żywo Filipowi i jak on zapytał: Panie, pokaż nam Ojca, a wystarczy nam... Uchyl chociaż wrota... Pozwól zajrzeć przez dziurkę od klucza, a uwierzymy, że jesteś bramą, zamkiem, kluczem i czym tam jeszcze... pergaminem, kamieniem i nożyczkami...

I nawet gdyby ten ktoś mógłby zerknąć przez dziurkę od klucza do owej krainy wiecznej szczęśliwości, nie ujrzałby tam swojego ojca – nawet gdyby udało mu się przekonać najwyższego furtiana, jak szatniarza w knajpie: „Panie, ja tylko na sekundkę, czy w środku nie ma kolegi”, ale

ten patrzy na człowieka podejrzliwie i nie chce wpuścić, najpierw trzeba zostawić w szatni swoją ziemską powłokę: „Tylko żeby mi tam nie został...”. Bo choć wszedłby do środka, nie dostrzegłby ojca przy żadnym stoliku ani przy barze, ani w toalecie; nie widział go żaden ze znajomych, ani tego wieczora, ani w ogóle od pewnego czasu... od jakichś trzydziestu lat... Więc wróciłby człowiek do bramy i ze zdziwieniem zwierzył się furtianowi, który w międzyczasie zdążył się już zmienić – Jezus wziął wolne, stery przejął Piotr – że ojca rzeczywiście nie ma w środku, czego w sumie się spodziewał i o czym Jezus z pewnością wiedział, tylko że nie wpadł na to, aby mu o tym powiedzieć. I nie pomyślał, żeby przekazać Piotrowi, że ten typ wpadł tu tylko po ogień.

Piotr żąda numerka z szatni i człowiek, który przyszedł tylko na chwilkę zajrzeć do nieba, musi się teraz gęsto tłumaczyć i zapewniać, że właśnie to mocno podniszczone ciało, które wisi o tam, na tamym haczyku, to jest jego, ale Piotr nie daje wiary, bo powłoka wygląda coś podejrzanie za duża na grzbiet takiego grzesznika, co to przychodzi do szatni i nie ma numerka. Kiedy w końcu udaje mu się ją odzyskać za pokornie wybuloną podwójną opłatę i zarzuca ją na siebie, Piotr mięknie i podsuwa pomysł, że może spróbować poszukać gdzie indziej – podobnych miejsc przecież nie brakuje, bo jest i Al-Gannu muzułmanów, gdzie uwijają się z tacami półnagie hurysy i Nirwana Palace hinduistów, gdzie można lewitować od rana do nocy, no i ten żydowski Gan Eden Park, choć oficjalnie to go jeszcze nie otwarli, bo ciągle się kłóca o to, jak ma wyglądać. Pewne jest tylko to, że kartę członkowską trzeba będzie mieć, co do tego akurat jest pełna jednoduśność.

Nieszczęsny właściciel zbyt dużej powłoki cielesnej dziękuje za dobre rady, lecz wyznaje od razu, że jego ojciec nie wierzył w nic poza człowiekiem, pomimo wszystko, do samego końca, a on sam nie wierzy w nic poza Wielkim Wybuchem, od którego wszystko się zaczęło i którym wszystko się zakończy... i tak, poza człowiekiem, może on też, cokolwiek to oznacza. Wtedy Piotr odzywa się dwuznacznie: „Czyli jest was dwóch...”, po czym wypycha go za bramę i zamyka mu ją przed nosem, nim człowiek zdążył spytać, gdzie tacy, jak oni dwaj, mogą teraz siebie szukać.

Gdy przyszła mi do głowy ta myśl, uchwyciłem się jej kurczowo, bo znalazłem w niej pociechę: ojciec i ja jesteśmy takimi samymi wyjętymi spod prawa wyrzutkami, dobrymi, złymi i brzydkimi ptakami bez skrzydeł – a takie zawsze siebie odnajdą!

A może ojciec przed śmiercią wymyślił jakąś sztuczkę, której chciał nauczyć swojego syna, aby mogli się odnaleźć, gdy znowu się znajdą po tej samej stronie? Tylko w jakiej postaci mielibyśmy się z ojcem spotkać?

Może jednak skrzydlatej? Bylibyśmy wtedy nastroszonymi gołębiami, które startują z parapetów kamienic po drugiej stronie ulicy i chwiejnym lotem amerykańskich bombowców z drugiej wojny światowej nurkują na most, by trzepocząc histerycznie, wyhamować w ostatniej chwili i przysiąść na balustradzie, i tam, przestępując z nogi na nogę, kłuć przechodniów tym swoim świdrującym spojrzeniem? Jak syn takiego gołębia nawiąże kontakt ze swoim ojcem? I jak zareaguje rodzic? Zwłaszcza jeśli w pobliżu będą samice? Jak taki nerwowy, stary zakapior odniesie się do młodszego samca? Wiadomo – podziobie go i powyrywa mu pióra z tyłka, nim ten zdąży wygruchać: „Przestań, ojcze, jestem twoim synem! Sam zobacz, te same krzywe pazury, ten sam dziób!” Ale ojciec nie będzie go słuchał, tylko dalej tłukł owoc własnego jaja – i po co? Z powodu jakiejś zawszonej samicy?

Kiedy chodziłem do pierwszej klasy podstawówki, zachorowałem na zapalenie opon mózgowych, więc wylądowałem w klinice dziecięcej. Ledwo z tego wyszedłem. Mój stan zdrowia już się poprawiał, gdy ojciec przyjechał do szpitala, żeby pokazać dzieciom z oddziału kilka czarodziejskich sztuczek. To było tego lata, gdy sam dochodził do siebie po operacji, po której miał wyzdrowieć. Zawieziono moje łóżko na salę, abym i ja mógł zobaczyć pokaz; taki byłem dumny, że skoczyła mi temperatura i myślałem, że zaraz zemdleję – i nie było to wynikiem podniecenia, gorączka rzeczywiście mi się nasiliła.

Ojciec zaczął od zwyczajnych numerów, które dobrze znałem. Ale przygotował też parę nowych, specjalnie dla mnie, by zrobić mi niespodziankę; te sprawiały mi taką samą frajdę, jak pozostałym dzieciom, i wtedy już się nie denerwowałem, jak ojciec sobie poradzi, tylko patrzyłem na niego z rozdziawionymi ustami, lękając co jakiś czas gorącą ślinę.

Ostatnim numerem była sztuczka z pudełkami. Zaczynała się bardzo prosto, od pokazania trzech pudełek, umieszczonych jedno w drugim, które nie miały dna ani pokrywy, z wyjątkiem najmniejszego; tego tak naprawdę nigdy się nie pokazywało, o czym wiedziałem równie dobrze, jak o tym, że z pudełek ojciec powyciąga kwiaty, cukierki oraz małe podarki i rzuci je widzom. Jednak wtem ojciec wyczarował z ust małe jajko i wsadził je do najmniejszego pudełka, w którym zniknęło – ojciec pokazał, że jest puste. Następnie wykonał czarodziejski ruch i wyjął z pudełka pstrokatego gołębia – był to Arnold, ostatni z jego mądrych *palomino*, który zatrzepotał skrzydłami w jego dłoni, a gdy ojciec go puścił, zatoczył koło nad głowami dzieci i wylądował mu z powrotem na ramieniu. Wtedy ojciec zaczął raz jeszcze przeszukiwać pudełka, no i proszę: znalazło się jajko! Gdy pokazywał je publiczności, zamarkował niezdarność, lecz jego syn o tym nie wiedział, więc

serce podskoczyło mu do gardła, kiedy upuszczone jajko spadło z chrzęstem na leżący na stole talerzyk. W tejże chwili Arnold miękko pacnął na podłogę, przewrócił się na grzbiet i znieruchomiał. Ojciec sprawiał wrażenie, że bardzo go to dotknęło; gdy przykrył rozbite jajko jedną chusteczką, a Arnolda drugą, z oczu trysnął mu strumień łez, prosto do salowego nocnika.

Słyszac tak rozdzierający płacz, dzieci zrozumiały, że gołąb tak naprawdę wcale nie zdechł; niektóre roześmiały się z uczuciem ulgi, gdy inne patrzyły ciągle jeszcze niepewnie. Ojciec zrobił minę, jak gdyby przyszedł mu nagle do głowy jakiś pomysł, uśmiechnął się szeroko i pokazał na migi, że nie ma obawy, że zaraz przywróci ptaka do życia i naprawi jajko; zaraz też ścisnął przykryte chusteczką skorupki w swoich wielkich dłoniach, po czym ostrożnie ją uniósł, odsłaniając leżące na talerzyku całe jajko. Następnie zaczął delikatnie masować gołębia przykrytego drugą chusteczką, po czym powoli, powolutku ją z niego zsunął, no i prosił: Arnold przekręcił się na nogi i potrząsnąwszy główką i skrzydłami, wzbił się w powietrze. Przy wtórze gromkich braw gołąb zrobił najpierw jedną rundę honorową nad głowami publiczności, potem drugą, i już miał wylądować z powrotem na ramieniu ojca...

Właśnie wtedy gdzieś na oddziale zmarło dziecko. Serce jednego małego pacjenta właśnie wtedy przestało bić. Linia na monitorze EKG wyplaszczyła się i rozległ się głośny sygnał alarmowy; pielęgniarki, które siedziały przy pokraśniałych od emocji dzieci, skoczyły na równe nogi i rzuciły się na pomoc, a przestraszone dzieci spoglądały po sobie, pytając spojrzeniami: „Kogo brakuje?”. Pobladły ojciec zaczął składać pudełka, zapomniawszy o Arnoldzie, który spłoszony latał w kółko coraz to wyżej i wyżej, coraz bliżej kopulastego sufitu sali. Ojciec zawiózł mnie do mojego pokoju, rozmawiając półgłosem z pielęgniarką. Na miejscu przysiadł na brzegu łóżka i trzymając mnie za rękę, wpatrywał się przez okno gdzieś daleko przed siebie.

Nagle jego syn jakby się ocknął z letargu i wyszeptał pytająco: „A Arnold?”. Ojciec pobiegł do sali, lecz po gołębiu nie pozostał żaden ślad poza kilkoma plamami szarobiałej mazi na podłodze i krzesłach. Arnold przepadł.

– Może wziął ze sobą duszę tego chłopca – zastanawiał się jego syn, kiedy już wyzdrowiał i wrócił do swojego łóżka w domu. Ojciec pokręcił głową:

– Wszystkie okna były zamknięte – powiedział. Już nigdy więcej o tym nie rozmawiali.

Daniel Katz

Przełożył Sebastian Musielak

Katri Vala

## KWITNĄCA ZIEMIA

Ziemia wrze od purpurowych kiści bzu,  
białego nalotu na jarzębinach,  
od konstelacji czerwonych smółek.  
Po polach faluje szalone morze  
niebieskich, żółtych, białych kwiatów.  
A zapach!  
Wspanialszy niż święte kadzidło!  
Gorący i drżący, i do szaleństwa upajający,  
pogański zapach skóry ziemi!

Życ, żyć, żyć!  
Życ szaleńczo najwspanialszą chwilą życia,  
otwierać płatki szeroko,  
żyć cudownie kwitnąc,  
od własnego zapachu, od słońca szalejąc –  
upojnie, obficie żyć!

Cóż z tego, że nadejdzie śmierć!  
Cóż z tego, że wielobarwne piękno  
opadnie zeschnię na ziemię.  
Już się przecież raz zakwitło!  
Świeciło słońce,  
wielka i płonąca miłość nieba,  
wprost w serca kwiatów,  
aż do drżącego rdzenia istot!

Z tomu *Odległy ogród* (*Kaukainen puutarha*), 1924 r.



Katri Vala

Źródło: <https://www.finna.fi/>

## ODPOCZYNEK

Szłam do lasu po cichu, powoli,  
a drzewa patrzyły na moją bezradność  
i noc okrywała mnie swym ciemnym płaszczem.

Zbudziłam się – słońce bulgotało jak złote źródło  
w porannej mgłę,  
zawilce zakwitły poprzez me włosy,  
a w uszach szumiało  
srebrzyste morze śpiewu ptaków.

## ŻYCIE

Droga biegnie z daleka,  
droga wiedzie w nieznane.  
Nad drzewami płynie czas.  
Słońce zapala się i gaśnie.  
Na drodze pobłyskują płamy,  
na drodze drżą cienie liści.  
Wędrowiec przybywa z daleka,  
widzi błysk płam: jednej, drugiej,  
widzi jakiś cień - -  
i podróż trwa dalej.

Z tomu *Powrót (Paluu)*, 1934 r.

Katri Vala  
Przełożyła Dorota Kyntäjä

Juha Itkonen

## WSZYSTKO JEST CUDEM\*

(fragment)

Wjeżdżam rowerem na taras kawiarni. Kupuję cappuccino, batonik czekoladowy i zasiadam przy stoliku – nie w cieniu, w bezpośrednim słońcu. Jest dziwnie gorąco. Jakby to było lato, a nie wrzesień. Światło jest jedynie bardziej miękkie, w pastelowych kolorach – tak naprawdę piękniejsze niż w lipcu, który jest zresztą przereklamowanym miesiącem.

Są urodziny ojca. Dzwonię z życzeniami. Jest z mamą w markecie na zakupach, w drodze na lotnisko, na weekend lub przynajmniej na jedną noc. Skończy się na jednej nocy, to wiem na pewno, gdyż już następnego poranka ojciec będzie się śpieszył na pole golfowe. Poznają po jego tonie, że jest w dobrym humorze. „Dziękuję, dziękuję bardzo. Chociaż niezbyt świętuję”.

Słyszę głos mamy, która stoi za tatą. Przesyła pozdrowienia. Z mamą rozmawiałem ostatnio wczoraj, martwi się o nas i nie może spać. Ojciec ma tylko ogólne pojęcie o sytuacji. Mama nie chciała mu sprawiać kłopotu wiadomością, do której i tak nie umiałby się ustosunkować. Jestem tego samego zdania, prawdopodobnie też bym tak postąpił na jej miejscu. Tylko czy mnie nie spotka kiedyś to samo? Chociaż jestem tak nowoczesnym ojcem, tak obecnym, to role są być może jednak podyktowane biologią: w trudnych sytuacjach chłopcy uciekają się do matek, tak jak ja uciekam się do mojej.



Fot. Laura Malmivaara

Juha Itkonen

Jeszcze pół godziny do chwili, gdy trzeba będzie pojechać do przedszkola. Zdążę coś zrobić. Wyjmuję z plecaka laptop.

Jeszcze kawę. Jeszcze czekolady. I to też poproszę. Panie przy sąsiednim stoliku rozmawiają na temat imprez kulturalnych, o ofercie tygodni kultury.

Jeszcze kawę. Jeszcze czekolady. I to też poproszę. Panie przy sąsiednim stoliku rozmawiają na temat imprez kulturalnych, o ofercie tygodni kultury.

\* Od tłumaczki: „Wybrałam fragment książki, jednego z moich ulubionych fińskich autorów, Juhy Itkonena, *Wszystko jest cudem* (*Ihmettä kaikki*, Otava 2018), gdyż moją rodzinę łączy z rodziną pisarza opisaną w powieści doświadczenie intensywnej terapii dla noworodków i walki o życie dziecka”.

Rose odbywa w biurze rozmowę przez Skype'a. Gdybym ja miał w planie dnia takie rozmowy, czy byłoby mi teraz łatwiej? Czy myślałbym mniej?

Jest mi nieco lżej. Słońce świeci. Szumią fale. Dzięki Bogu to nie listopad.

Zastanawiam się, czy w ogóle chciałem tego, czego chyba chciałem w zeszłym tygodniu: żeby wszystko się skończyło i żeby nie było już nadziei? W życiu, a zwłaszcza w związku, może się zdarzyć tak, że chce się czegoś tylko dlatego, że druga strona wydaje się chcieć czegoś innego.

Jeśli miły starszy lekarz ma rację, wciąż możemy mieć nasze dziecko, nawet w miarę zdrowe. A „w miarę” wystarczy. Nie wymagam doskonałości.

Płuca pozostałyby słabe chyba nawet w najlepszym scenariuszu. Ale dziecko nie musi jeździć na nartach i tak będzie mieszkać w bezśnieżnej Finlandii.

Mała ilość wód płodowych naraża kończyny na zniekształcenie. Z drugiej strony można je podobno później skutecznie skorygować. Zresztą co z tego, co ma do rzeczy wykrzywiona w jakimś punkcie ręka? Napędzany tego typu strachem nie będę przecież wymagał zakończenia życia ludzkiego.

Mózg jest bezpieczny, miły, starszy lekarz tak powiedział podczas tej naszej pierwszej wizyty, pamiętam to zdanie. Mózg cierpi ostatni – całkiem niewiarygodny system został jednak tak mądrze zaplanowany. I nie stwierdzono w mózgu żadnej wady, rozwija się całkiem odpowiednio do tygodnia ciąży, zresztą tak jak cały płód.

Kontynuuję rozważanie. Rodząca się we mnie odwaga dodaje mi sił. Do cholery, nie jestem przecież żadnym tchórzem! Nie planowałem dziecka, zakładając, że wszystko od początku do końca potoczy się bez problemów.

Doświadczyłem już bycia rodzicem wcześniaka. Joonatan urodził się niespodziewanie w 33 tygodniu. Ważył dwa kilogramy, był duży jak na ten etap ciąży, lecz mimo to wyraźnie zbyt mały. Nie miał siły ssać. Na początku wyłączył się. Jego kości nie były w ogóle otoczone mięśniami.

W szpitalu, na oddziale dla wcześniaków, widywaliśmy jeszcze mniejsze dzieci, urodzone w 28 tygodniu. Ich rodzice płakali więcej i częściej, pamiętam to, i pamiętam, jak byliśmy szczęśliwi, że nasz dzidzius mógł dorastać w bezpiecznym łonie dłużej.

Nasz szpital przyjmował porody od 28 tygodnia ciąży. Młodsze wcześniaki były pod opieką bardziej wyspecjalizowanego. Nasze niemowlę będzie na pewno w tym drugim szpitalu – jeśli nie z powodu bardzo wczesnego porodu, to z powodu płuc. Ponadto najprawdopodobniej urodzi się przerażająco wcześnie, w 25 lub 26 tygodniu – oczywiście nie trafi bezpo-



średnio w nasze ramiona, jak Joonatan pomimo tego, że był taki mały, lecz do inkubatora i pod rurki z tlenem.

Jednak i w tych tygodniach bywają szczęśliwe zakończenia. Walki, historie przetrwania – googluję „rodzicielstwo małych wcześniaków” i czytam o nich na ekranie laptopa, zasłaniając ręką oczy przed oslepiającym jesiennym słońcem. Wcześniaki rodzą się często bojaźliwe i mocno przywiązane do rodziców. W rozwoju motorycznym i nie tylko są w pierwszych latach życia opóźnione w stosunku do rówieśników. Nadrabiają to jednak, a wiele problemów da się leczyć lub są do przezwyciężenia, to wiem już z doświadczenia z Joonatanem. Prawdopodobnie wcześniactwo pozostawiło na nim pewne ślady, lecz nie są to niepełnosprawności lub wady, to są jego cechy i rysy charakteru. One są nim.

Plód wciąż obecny w łonie Rose to też ono, dziecko. Chcę je spotkać. Chcę. Chcę spotkać.

Z odwagą czuję się lepiej niż z lękiem. Być może dam radę cenić tę znienacka odnalezioną w sobie odwagę. Rozwinąć ją i polegać na niej, przyjąć to, co nadejdzie.

Być może przyjaciółka Rose miała rację. Nie powinno się nawet próbować podejmować żadnej decyzji, kontrolować tego, czego kontrolować się nie da. Przyjąć tylko, zaakceptować i dostosować się.

Nie wiem. Naprawdę nie wiem. Prawie nigdy nie jestem niczego pewien, to mój życiowy problem.

Mimo to, właśnie teraz, tego nieprzyzwoicie ślicznego jesiennego popołudnia, mogę pojechać pod przedszkole, a potem do domu, mając w sobie jakieś ziarno odwagi. To już coś. To mi wystarczy. Kamień został na chwilę zdjęty z serca i znów mogę oddychać.

\*\*\*

Szukam mojej żony najpierw na siódmym piętrze, na oddziale, który zasugerowała mi moja siostra lekarka. Pielęgniarki nie znają naszego przypadku, sprawdzily nazwisko w komputerze i powiedziały, bym zszedł na dół, do sal porodowych.

Sal porodowych. Serce od razu zabiło mi mocniej. Rose nie zdążyła nawet napisać wiadomości – bliźnięta przyszły na świat, gdy odszedłem pod Dom Kultury, aby złapać oddech. Dlaczego, do diabła, to zrobiłem? Dlaczego się nie pośpieszyłem? Jak mogłem zostawić ją samą?

Sytuacja w sali była jednak spokojna. Gdy wszedłem do środka, Rose była tam sama. Leżała na łóżku szpitalnym na środku pokoju, otoczona butelkami kroplówek i monitorami. Wyglądało na to, że śpi, lecz wybudziło ją moje przyjscie. Odwróciła wzrok w stronę drzwi i spróbowała się słabo uśmiechnąć.

- Przyszedłeś.
- Przyszedłem. Trochę to trwało, przepraszam. Co za poranek.
- Nie chciałam cię budzić.
- Mogłaś obudzić.
- Wiem. Ale wtedy nie sądziłam jeszcze, że tutaj zostanę. Nie chcia-

łam tak myśleć.

Podszedłem do łóżka i wziąłem ją za rękę. Schyliłem się nad nią, pocałowałem, próbowaliśmy się przytulić, lecz było to prawie niemożliwe: łóżko zostało przechylone tak, żeby głowa była skierowana w stronę podłogi.

– Tak mnie teraz trzymają.

– To musi być niewygodne.

– I jest. Lecz podobno niektóre kobiety leżą tak tygodniami. To bardzo możliwe.

– Teraz też? Też w tym przypadku?

– Chyba tak. Nie wiem. Tych wód ubyto tylko trochę. A szyjka się otworzyła, ale tylko na parę centymetrów. W zasadzie mogłoby się na tym skończyć.

– Miejmy nadzieję.

– Tak. Choć z drugiej strony niemowlęta nie były tam chyba w najlepszej pozycji. Dziecko A siedzi na pępowinie.

– I to jest problem?

– Najwyraźniej.

Wziąłem krzesło spod ściany i postawiłem obok łóżka. Usiadłem na nim i chwyciłem ją ponownie za rękę. Wciąż byłem zdenerwowany, lecz jej bliskość natychmiast mnie uspokoiła. Byliśmy w tym razem. Byliśmy, byłem tego pewien, i gdy zdałem sobie z tego sprawę, lub raczej to poczułem, moje najgorsze poczucie *déjà vu* zaczęło ustępować. To nie była ta sama sytuacja. Nie byliśmy już nawet tymi samymi ludźmi. To, czego doświadczyliśmy, zmieniło nas, i chociaż nie zdążyłem przepracować w sobie tamtych wydarzeń, choć naprawdę nie byłem w żaden sposób gotowy, nie byliśmy już jednak tam, a to, co nas spotka teraz, nie może być gorsze niż tamto.

Dzieci żyły. Rozwinęły się normalnie. Nie pojawiło się nic niepokojącego.

Umieliby o nie zadbać. Opieka medyczna była najlepsza z możliwych. Finlandia, Helsinki, najbardziej wyspecjalizowany szpital położniczy, 2017 rok – byliśmy we właściwym miejscu we właściwym czasie historii ludzkości.

Poza tym braliśmy to przecież pod uwagę. Wiedzieliśmy, że tak się mogło stać. To nie było całkowite zaskoczenie, tylko jeden z możliwych scenariuszy, i w żadnym wypadku nie ten najgorszy. Damy radę.

Tak mówiłem. Tak Rose mówiła do mnie.

Była, rzecz jasna, i druga strona medalu. Całkiem inne myśli – na pewno miała je i Rose, która kontrolowała je lepiej niż ja. Dla niej azylem była metoda kontroli myśli, którą wypracowała w sobie zmuszona chaosem poprzedniej jesieni, która pomagała jej również w czasie obecnej ciąży, i którą próbowała mi kiedyś wytłumaczyć. Czy gdzieś się pali dokładnie w tym momencie? Czy jest coś, co natychmiast by trzeba lub nawet można zrobić? Jeśli tak, trzeba działać. Jeśli nie, należy tylko skoncentrować się na chwili obecnej i zachować spokój. Regularne stawianie sobie tych pytań ponoć naprawdę jej pomagało. Wyglądało mi na to, że metoda działa, ale to była metoda Rose, nie moja. Choć potrzebowałbym tego, nawet nie próbowałem wprowadzić niczego podobnego.

W porze lunchu poszedłem do miasta na spotkanie. Nie spróbowałem jedzenia, wszystko, o czym rozmawialiśmy, wydawało się całkiem bez znaczenia, lecz składanie zdań dobrze mi szło i nikt z trzech pozostałych mężczyzn niczego nie zauważył. Dopiero gdy zęgnąłem się z Anttim na rogu ulicy, dotarło do mnie, że mógłbym mu powiedzieć. Trzeba było, to przecież mój przyjaciel. To śmieszne, tak wszystko w sobie trzymać. Lecz on nic nie wiedział, nawet tego, że Rose była w ciąży, a jak w takim przypadku mógłbym pewnego słonecznego wiosennego dnia rzucić mu w twarz czymś takim... Nie mógłbym. Czy on by chociaż uwierzył? Najwycyżajniej w świecie nie wydobyłem z siebie słów. Było mi wstyd, dziwnie się czułem, zachowując się w ten sposób.

Z drugiej strony, jakie to miało znaczenie? Antti nie był na moim miejscu. Nikt nie był.

Wróciłem do szpitala. W sali był lekarz i oceniał sytuację. Tak naprawdę nic się nie zmieniło od poranka. Znaczące odroczenie narodzin nie było niemożliwe. Nie było jednak bardzo prawdopodobne, w końcu poród już się rozpoczął. Wyciek dużej ilości wód płodowych, wstukałem do notatnika na komórcę termin użyty przez lekarza.

Rose zapytała, czy powinna była zrobić coś inaczej. Czy trzeba było przyjść już w sobotę, gdy miała pierwsze dziwne odczucia?

– Wątpię, żeby to cokolwiek zmieniło. Poród zaczyna się wtedy, kiedy się zaczyna. Nie da się temu za bardzo zapobiec, chociaż by się próbowało. My tutaj też ostatecznie możemy na to bardzo mało poradzić.

Bezsilność. Całkowita bezsilność. Ciąży, wszystko, co z ciążą związane, od początku do końca. Całkowita bezsilność, utrata kontroli, i na to zdecydowałem się narazić. Najwyraźniej wierzyłem w to, że przetrwam, gdyż inaczej nie podjąłbym takiej decyzji.

– Tak naprawdę nie możemy zrobić nic innego, niż czekać. Czy ciężko pani?

– Owszem. Ale będę tu choćby miesiąc, jeśli to pomoże dzieciom.  
– Jutro będziemy najprawdopodobniej znów wiedzieć trochę więcej.  
A jeśli przedtem zaczniesz się coś dziać, to jesteśmy na to przygotowani.  
W każdym momencie możemy zacząć działać. Czy ojciec ma pytania?

– Nie. Chyba nie.

– Żadnych pytań?

– Nic takiego, co by mi tu teraz przyszło do głowy.

– W porządku. Dobrze. Jeśli państwo sobie życzą, mogę poprosić pediatrę z intensywnej terapii, aby przyszedł porozmawiać z państwem w którymś momencie. Mógłby nieco opowiedzieć o tym, co dzieci w tym wieku najprawdopodobniej czeka po porodzie.

Spojrzelśmy z Rose na siebie. Wiedzieliśmy to. Wciąż pamiętałem prawie słowo w słowo z tego, co powiedział nam ten jeden pediatra z intensywnej terapii, ten, który mnie do końca wystraszył. Nerozwinięte płuca, problemy jelitowe, ryzyko krwotoków mózgowych, wiedziałem już wszystko i raczej chciałem zapomnieć niż dowiedzieć się więcej. Próbowałem myśleć, że wówczas mówiono nam o całkiem innym przypadku. To też była prawda: pediatra z poważną miną mówił na podstawie tamtych informacji: o prawdopodobnej przyszłości wcześniaka rozwiniętego bez wód płodowych.

Niemniej: Mamy niesamowicie dobrą intensywną terapię. Ale jest ona również niesamowicie ciężka, zarówno dla rodziców, jak i dla dziecka.

Dla dziecka. Dla dzieci. Inaczej niż wówczas, dzieci w niebezpieczeństwie było teraz dwoje. Szczęścia potrzebowalibyśmy dla obojga. Czy takie szczęście nawet w ogóle istnieje? Czy mogłoby nas spotkać?

Lekarz pozostawił nas samych. Rose wyjęła notatnik. Chciała, abyśmy pomyśleli o imionach dla dzieci teraz, gdy akurat mieliśmy czas.

Próbowałem. Rozumiałem, że na ile to możliwe, chciała już uczynić z naszych prawdopodobnie przychodzących na świat dzieci prawdziwe osoby, nadać im tożsamość. Ja również tego chciałem, chciałem zrobić tak, jak życzyła sobie tego Rose, lecz nie dałem rady. Czułem, że robiliśmy to przedwcześnie, postępowaliśmy wbrew przeznaczeniu, przyciągaliśmy tą naszą zuchwałością złe sprawy, które w przeciwnym wypadku być może by się nie wydarzyły.

– Przestańmy. Jakoś źle się z tym czuję.

– Oj. Dziwnie.

– Przepraszam. Wydaje mi się tylko, że zdążymy później.

– OK. Niech będzie. Skoro nie możesz.

Juha Itkonen  
Przełożyła Dorota Kyntäjä

Roope Lipasti

## CZAS POCIECH\*

(fragment)

Po czym poznać, że z dziecko dojrzewa? Jeśli o to pytasz, to znaczy, że dojrzewanie jeszcze się nie rozpoczęło. Wygląda to mianowicie tak:

W ciągu jednej nocy nogi, ręce i szyja zabawnie się wydłużają. W tym samym czasie zarówno duchowy, jak i fizyczny kręgosłup zmienia się w rozgotowany makaron, co wpływa na wadliwą duchową i fizyczną postawę.

Jedzenia zaczyna ubywać w szalonych ilościach. Bynajmniej nie tego jedzenia, które się nastolatkowi podaje. Zamiast niego usta, życie i pokój młodego człowieka wypełniają chipsy, napoje słodzone i energetyczne, cukierki, hamburgery, pizza i kebaby. Jakby chcąc dobić rodziców, dobry Bóg zorganizował to tak, że nastolatek nie przybiera a wadze.

Na szczęście wcześniej czy później odegra się na nim otyłość.

Neurony w mózgu nastolatka się płaczą. Wynikają z tego pewne problemy. Na przykład to, że nastolatek nie dostrzega innych ludzi dookoła. Albo zauważa kolegów, lecz nie członków własnej rodziny. Na skutek splątanych neuronów młodociany zaczyna wyobrażać sobie, że świat został stworzony wyłącznie dla niego. U niektórych ten etap nie kończy się nigdy.

Życie również zmienia się w wielką karuzelę nastrojów. Jeśli zabraknie kakao, to właściwie jest tak samo, jak gdyby asteroida zniszczyła życie na Ziemi. Jeśli młody człowiek pokłóci się z dziewczyną lub chłopakiem, jako właściwą strategię – jedyną możliwą! – wybiera wizję swobodnego skoku z dachu najbliższego bloku.

Rytm snu zmienia się w taki jak u koali. Koale śpią bowiem dwadzieścia dwie godziny na dobę. Nastolatek z łatwością daje radę spać do czternastej, wstać na pięć minut, by zjeść i bez najmniejszych wyrzutów sumienia wrócić do łóżka. Żaden nastolatek nie wymyśliłby luteranizmu.

Młody człowiek jest utalentowany w wielu dziedzinach i może osiągnąć zdumiewająco wiele, jeśli go coś j a r a . Niestety, zazwyczaj niewystarczająco go j a r a j a obowiązki domowe i szkoła.

\* Tytuł oryginalny: *Jälkikasvukausi*, Atena 2019.

Szybko również wychodzi na jaw, że nastolatek urodził się wyjątkowo nieudolnym rodzicom, w wyjątkowo nieudolnej rodzinie. Na szczęście niej od niej nie potrzebuje.

Z wyjątkiem pieniędzy, jedzenia, podwożenia i nowej bluzy z kapturem. Witamy w du... – to znaczy w domu!

## Rozdział pierwszy

W pierwszą sobotę stycznia Eliasowi zakorkował się mózg. To nie wyjątkowego i było to do przewidzenia. Z każdym etapem życia wiążą się jakieś trudności.

Zawołaliśmy z Pią dzieci do stołu, na obiad była lazania, która jest szlachetniejszą wersją makaronu z mięsem mielonym. Juuso przyszedł szybko jak zawsze, lecz jego starszy brat się nie pojawiał. Elias zamknął się w swoim pokoju. Pukaliśmy do niego w panice: a jeśli mu się coś stało?! Waliliśmy w drzwi. Wreszcie z pokoju odezwał się głos:

– Nic chcę waszego jedzenia.

Zabraliśmy go do lekarza, do naprawdę drogiego specjalisty o germańskim nazwisku, lecz ten powiedział, że nic się nie da zrobić. Że to nie choroba, a cecha osobowości, trochę jak to, że awaria na drodze w przypadku francuskich samochodów nie jest defektem – one po prostu takie są.

Żartowałem.

Nie zabraliśmy bowiem Eliasa do lekarza, choć może trzeba było. Lekarz mógłby zrobić rezonans magnetyczny zatkanego mózgu i pokazać nam: o, tu się zakorkowało, widzicie? Nic się tam teraz nie przedostaje ani stamtąd nie wydostaje, z wyjątkiem przypadkowych kilkusylabowych wycieków. Potem lekarz by nas pocieszył i powiedział, że z czasem korek się otworzy i wykluje się stamtąd motyl.

– To, rzecz jasna, przenośnia – kontynuowałby lekarz, gdyż ludzie to nie gąsienice.

– Jaki motyl? – zapytałbym.

– Nie wiadomo – odpowiedziałby lekarz. – To zależy od tego,



Fot. Rikka Kantinkoski

Roope Lipasti

w jaki sposób był on żywiony do tej pory, a także, jak jest żywiony na obecnym etapie zakorkowania mózgu.

– Czyli bielinek pizzownik.

## Rozdział drugi

Na świecie wyznaczono oficjalnie czterdzieści stref czasowych, lecz każdy, kto ma dzieci w wieku dojrzewania wie, że tak naprawdę stref czasowych jest czterdzieści jeden. Ta dodatkowa to strefa czasowa nastolatków, przesunięta o pięć do ośmiu godzin w stosunku do strefy normalnych ludzi.

W praktyce przejawia się to tym, że kiedy normalni ludzie idą spać, w strefie czasowej nastolatków jest popołudnie. Gdy młodzież szykuje się do snu, w strefie czasowej normalnych ludzi mamy wczesny poranek. Z tego wynika, że gdy w strefie czasowej normalnych ludzi jest rano i trzeba wstać, w świecie nastolatków panuje głęboka noc.

I tu się zaczynają problemy, gdyż młodzież także powinna budzić się na początku dnia wraz z normalnymi ludźmi, skoro szkoła zaczyna się rano, a nie po południu (czasu normalnego).

\*\*\*

Tamtego poranka budzik zadzwonił pięć po szóstej, tak jak zawsze. Te dodatkowe pięć minut to moja wizja anarchii. Wstałem, Pia została jeszcze w łóżku. Chrapała raczej niekobieco, więc ją szturchnąłem, tak jakby nawet we śnie nie można było być całkiem sobą. Pia lubi rano spać dłużej niż ja, choć i ona od czasu studiów wstaje najpóźniej o dziewiątej. Gdy rodzą się dzieci, oboje rodzice tracą także umiejętność spania.

Praca mojej żony w parafii była elastyczna; Pia nie musiała wstawać nigdzie na siódmą. Prawdę mówiąc, czasami mi się wydawało, że wcale by nie musiała wstawać i nikt by jej tego nie miał za złe. W jej środowisku przebaczenie to podstawa.

Szkoła Juusa zaczynała się piętnaście po ósmej, Eliasa o wpół do dziewiątej i ludzkość nieczęsto zmierzała się z równie szaleńczym zadaniem niż zadbanie o to, by ci dwoje zdążyli do szkoły. Jaka udreka i jakie cierpienie były udziałem szósto- i ósmoklasisty, gdy każdego dnia powszedniego musieli zmartwychwstawać! Było to tym bardziej zadziwiające, że obaj to przecież byli ci sami osobnicy, którzy w dzieciństwie zrywali się z łóżek o szóstej, by oglądać Muminki – w weekendy zaś o piątej. Ponieważ sam też musiałem wstawać (Muminki dawały zazwyczaj pół godziny dodatkowego wolnego – dzięki, Jezu i Tove Jansson), nie jestem już w stanie spać dłużej niż do siódmej.

A teraz doszło do tego... Córka jako jedyna budziła się sama wtedy, kiedy było trzeba. Jeśli to by zależało od naszych synów, uczęszczanie do szkoły zakończyłoby się lata temu. A i radość z budzenia się córki nie potrwa już długo, ponieważ wkrótce będzie się ona budzić we własnym mieszkaniu.

Tamten poranek miał następujący przebieg:

Pia, która jest główną odpowiedzialną za przeprowadzanie akcji przebudzeniowych, poszła do pokojów po raz pierwszy o 7.20.

– Już... juuż.

Zeszła na dół do gazety, wyjęła z tostera swoje wystudzone kromki, posmarowała je masłem i usiadła przy stole. Na górze sytuacja nie ulegała zmianie. Pia pojawiła się tam znów o 7.30.

– Już... juuż.

Tym razem Pia zeszła na dół do swojej wystudzonej kawy. Na górze było cicho. Gdyby dzieci były małe, działałoby się tam coś niedozwolonego. W pewnym sensie tak właśnie było i teraz. Kiedy żona wspinała się po dwudziestu schodach już po raz trzeci – w tym tempie wyrabiała dzienną liczbę kroków przed lunchem – była godzina siódma czterdzieści. Krzyknęła podirytowana, że nie chce pokonywać schodów przez cały poranek.

– Już... juuż.

– Żadnego już-już. Wstawać. Za pół godziny macie transport. Ten, kto nie będzie gotowy, będzie się smażyć w ogniach piekielnych albo spotka go coś jeszcze gorszego: pojawię się na porannym apelu i wymienię wasze imiona przez szkolny radiowęzeł!

– Już... juuż.

Pia wróciła na dół. Gdy o 7.50 poszła znów na górę, tym razem nieźle rozszoszona, młodszy syn wstał, z czystego strachu przed matką. Przyszedł do kuchni w gaciach, trzęsąc się z zimna. Nie przyszło mu do głowy, że mógłby się ubrać.

O 7.55 Pia poszła jeszcze raz na górę, gdzie odbyła się rozmowa, którą z pewnością było słyhać na podwórku naszej sąsiadki Lotty:

– Nie idę do szkoły.

– Wstawaj, i to już! Albo złapię za przyrodzenie, poobracam, wykonam rzut jak młotem i doleczisz aż do szkoły.

Teraz nawet Elias ucichł. Rano Pia nie była politycznie poprawna.

W tym czasie Juuso był w kuchni całkiem bezradny, gdyż w ciągu nocy tajemniczo zniknęły jego wszystkie ubrania, a w dodatku dziwnie zapomniał, jak się robi śniadanie. Pia spojrziała najpierw na mnie, potem na Eliasa i warknęła:

– Zaprawdę, jest on synem swego ojca! Ty też mógłbyś czasem coś zrobić! Siedzisz jak jakiś słup soli.



Nie odważyłem się spojrzeć za siebie, ale złożyłem gazetę i włożyłem masło z powrotem do lodówki, zanim odszedłem do komputera. Pia wyruszyła z dziećmi sprzed domu o godzinie 8.13. Juuso się spóźni, to pewne, i jakoś domyśliłem się, że Elias też nie zdąży pojawić się w klasie przed dzwonkiem.

Wynikało to przede wszystkim z faktu, że w przedpokoju został jego plecak.

Rzeczywiście, wrócili na podwórko, gdy podrzucili najpierw do szkoły Juusa. Elias wziął plecak i zdążyli kontynuować podróż przez jakieś trzy metry, gdy auto znów się zatrzymało, Elias wbiegł ponownie do domu i złapał tym razem rzeczy na WF. Patrzyłem na to wszystko ze spokojem, tak jakby mnie to nie ruszało i wcale nie ruszało, gdyż miałem co innego na głowie.

Czekała na mnie orka dziennego pisania. Wcześniej dostałem od Pii wiadomość, w której zwałała na moje barki przeróżne zadania, takie jak pójście do sklepu oraz odebranie Juusa ze szkoły. Po tym, jak sformułowała wypowiedź, poznałem, że pisała, będąc rozżłoszczona i wyładowując się na mnie.

– Tak, kochanie – odpowiedziałem, gdyż wiedziałem, że to zirytuje ją najbardziej.

\*\*\*

Byłem dość niespokojny i nic mi z pracy nie wyszło. Surfowałem po internecie, lecz to również mnie znudziło. Wkrótce złapałem się na sprawdzaniu w komórce, czy w necie jest coś ciekawszego. Nie było. Dzisiejsze czasy wywołały u nas wszystkich zaburzenia uwagi. U wszystkich, z wyjątkiem, rzecz jasna, Pii. Ona nie dała się złapać w sidła cyfrowego świata, lecz nadal spotykała się z ludźmi twarzą w twarz i łatwo jej przychodziło zostawiać rano komórkę w domu. Była uduchowiona także i w ten sposób. To było irytujące.

Bez zapału napisałem kilka zdań:

*Dziecko nie potrzebuje sztuczek cyrkowych. Nie trzeba mu najnowszych gadżetów do komputera ani najmodniejszych ubrań. Zamiast nich dziecko pragnie obecności dorosłego i szczerego zainteresowania tym, co robi. Dla dziecka tysiąc razy ważniejsza jest rozmowa z rodzicem o tym, co słycać w szkole, niż wyjazd na luksusowe słoneczne wakacje. Oto trzy rzeczy, które czynią z dziecka zrównoważonego dorosłego: obecność, obecność i – obecność.*

Byłem zadowolony z tego ostatniego zdania. Zostawiłem je i usunąłem początek. Nie miałem dużo gotowego materiału, a im więcej upływało czasu, tym wyżej ustawiałem sobie poprzeczkę. Wkrótce mogę przelecieć

pod nią. Obiecałem Harriemu, że dam mu pierwsze strony już na początku roku. Na szczęście nie jest to bardzo dokładny termin. Poza tym Harri to również mój przyjaciel, na pewno zrozumie.

Zapłaciłem kilka rachunków. Zdenerwowałem się, gdyż drużyna Juusa żądała opłat częściej niż firma energetyczna, a nie uważałem za prawdopodobne, aby dostał się do NHL, choć on w to wierzył. Hobby Eliasa, deskorolka, było o wiele tańsze.

Zobaczyłem, że na podwórko sąsiadki wjechała taksówka. Trwało chwilę zanim drzwi domu się otworzyły i wyczłapała z nich Lotta z torbą w rękę. Kierowca pośpieszył w jej stronę; Lotta wyglądała tak, jak gdyby dziecko miało się urodzić lada chwila.

Ze szkoły przyszła wiadomość, że Elias oraz dwóch innych chłopców przeszkadzali na lekcji i zostaną po zajęciach, by się uspokoić. W opinii nauczycielki sytuacja w klasie od jesieni wciąż się pogarszała. Hałas, niedbałość, kłótnie. Podobno należy poruszyć ten temat w domu.

Zdecydowałem, że tekst może poczekać i poszedłem do garażu. To niezwykły magnes. W garażu człowiek czuje się dobrze. Tam można być sobą, można nawet śmierdzieć. Nie ma znaczenia, czy jest bałagan i czy rzeczy upadają na podłogę. To zacierany beton, na niego może sobie spadać cokolwiek. Pia próbowała kiedyś posprzątać garaż, choć zabroniłem. Oczywiście mnie nie posłuchała, tylko posprzątała „tak tylko troszkę”. Spytała, co ja tam tak w ogóle robię. Odpowiedziałem, że oglądam porno. Od tamtego czasu Pia już więcej nie pojawiła się w garażu, choć oczywiście nie takiego tam nie robię. Garaż nie jest wyjątkowo erotycznym miejscem. Co prawda porno też chyba nie jest wyjątkowo erotyczne. W każdym razie żona rozumiała aluzję: to mój teren. Pii została cała reszta domu.

Włączyłem światło, zebrałem narzędzia i glinę, odetchnąłem własnym, nieco terpentynowym powietrzem i zabrałem się do pracy. Pod moimi palcami wykluwała się powoli samica ropuchy, choć ja akurat nie umiałem odróżnić samicy od samca. Miałem nadzieję, że one same to potrafią. Samica była z pewnością nieco ładniejsza, co w płazim świecie mogło oznaczać też większą liczbę guzków – albo brodawek, co jest właściwym określeniem. Brzydka w każdym razie była przynajmniej z mojego punktu widzenia, lecz i ona ma swe własne miejsce. W tym przypadku było to miejsce na dolnej półce, wraz z innymi płazami. W pobliskim rezerwacie przyrody, Ruissalo, jest pięć gatunków płazów: traszka grzebieniasta, traszka zwyczajna, wspomniana wyżej ropucha szara, żaba trawna oraz żaba moczarowa. Zeszłego lata zauważono tam również stworzenie należące do żab wodnych, ale nie było mi dane go zobaczyć na własne oczy, gdyż właśnie wtedy byliśmy w podróży. Zdenerwowało mnie to. W każdym razie ono

też dołączy do moich pozostałych płazów. Dołożę żabę śmieszkę, chyba po prostu po to, aby przez swój głośny rechot przypominała mi o Juusie.

Żaby są beznadziejnymi rodzicami. Pozostawiają swoje tarło unoszące się na wodzie przy brzegu i wcale się nie przejmują, nawet jeśli wszystkie kijanki trafią do paszczy szczupaka.

Harri przysłał wiadomość. Zapytał, jak mi idzie pisanie i czy przyjdę na trening. Odpowiedziałem, że przyjdę, jeśli zdążę.

Musiałem być ogromnie pochłonięty pracą, gdyż ocknąłem się dopiero po południu, gdy zadzwoniła komórka i Juuso zastanawiał się, gdzie jestem. Przecież miałem po niego przyjechać. O tej porze roku dzieci trzeba było wozić, gdyż jazda na rowerze zwyczajnie nie wchodziła w grę. Rano było zbyt ciemno, a po południu zimno i ślisko. Pia słyszała o wielu przypadkach, w których dziecko wpadło pod samochód i stało się inwalidą lub nawet nie przeżyło. Podobno pewnego razu kierownica wbiła się komuś w oko i zatrzymała dopiero na lewej półkuli mózgu. Mimo to Pia wysyłała dzieci do szkoły na rowerze zawsze, gdy było to możliwe, bo choć na jednej szali mogła być śmierć, na drugiej było coś jeszcze gorszego: fatalna kondycja i zbędne kilogramy. Co prawda „zawsze, gdy to możliwe” oznaczało przeważnie ostatnie tygodnie roku szkolnego, jeśli akurat nie padało.

– Ok, jadę! – Krzyknąłem nieco rozgniewany, gdyż nie chciało mi się wychodzić na zimno. Dopilem w spokoju kawę, zanim włączyłem silnik. Juuso czekał na szkolnym przystanku autobusowym ze zsiniałymi wargami: wciąż nie potrafił się rozsądnie ubrać.

### Rozdział trzeci

Na podwórku Lotty pojawił się wózek dziecięcy. Pomyślałem, że pójść ją odwiedzić, lecz Pia mi zabroniła i powiedziała, że matce i niemowlęciu należy dać czas na zapoznanie się ze sobą bez zewnętrznych zakłóceń.

– Jeszcze tam zanieziesz grypę i dziecko zachoruje! – powiedziała, choć byłem całkiem zdrowy.

Cieszyłem się, że nie mamy niemowlęcia. One są tak maleńkie i człowiek cały czas się boi, że się zakrztuszą własnym sapaniem.

Pomimo rad Pii poszedłem zanieść Lotcie kwiaty i czekoladę. Pia powinna zrozumieć, że należy jak najszybciej przywitać nową parafiankę, gdyż nie ma ich obecnie na pęczki. Wybrałem chwilę, gdy Pii nie było, wymknąłem się z domu, nacisnąłem dzwonek i czekałem. Nie wiem dlaczego, ale pomyślałem o tym, jak samce w *Gorylach we mgle* opiekują się także dziećmi innych osobników i najwyraźniej nie wynika to z faktu, że cały

czas jest tak mglisto, że nie da się poznać, które dziecko jest własne, a które nie. Ojcowie goryle, którzy zajmują się dziećmi innych, sami bowiem zyskują więcej potomstwa, gdyż samice wysoko doceniają taką bezinteresowność, a także nagradzają ją w jak najlepszy sposób.

Długo trwało, zanim Lotta przyszła otworzyć. Wyglądała jakoś szaro i mizernie, mówiła szeptem.

– Spałam – powiedziała.

Wręczyłem jej kwiaty i czekoladę oraz złożyłem życzenia z okazji powiększenia się rodziny. Lotta podziękowała i spojrzała na mnie pytająco. Nie zamierzała zaprosić mnie do środka, by mi pokazać dziecko. Nieco się jąkałem, lecz udało mi się powiedzieć, że jeśli by potrzebowała pomocy, jakiegokolwiek, niech po prostu poprosi.

– Życie z niemowlęciem może być ciężkie – powiedziałem i jednocześnie podskoczyłem, gdyż z naszego podwórka dobiegł straszny hałas. Myśliwiec albo silnik spalinowy bez rury wydechowej. Lotta jakby się przestraszyła i zamknęła drzwi. Odwróciłem się w stronę podwórka. Był tam motorower, na którym Elias został podwieszony do domu. Kierowca katował przez chwilę swój pojazd, zataczając okrąg i z podniesionym przednim kołem pognął dalej. Odprowadziłem wzrokiem ten głośny obiekt i zwróciłem Eliasowi uwagę, że nie miał kasku.

– Nie krzycz! – odburknął Elias i wszedł do środka.

– Ja nie krzyczę! – krzyknąłem za nim – taka jazda jest niezgodna z prawem, za to jest mandat!

W przedpokoju potknąłem się o worek Juusa ze sprzętem do hokeja.

– Ten twój worek na łyżwy nie leży idealnie pośrodku podłogi! Dobrze by było przesunąć go o dwadzieścia centymetrów w stronę dużego pokoju! – zawołałem w kierunku pokoju Juusa. Wkrótce przeszedł koło mnie i powiedział, że przestawił worek.

– Teraz jest pośrodku.

Roope Lipasti  
Przełożyła Dorota Kyntäjä

Dorota Kyntäjä

## KIRSI KUNNAS, IKONA FIŃSKIEJ POEZJI

Kirsi Kunnas (ur. 1924 r.) jest cieszącą się uznaniem poetką, pisarką i tłumaczką uhonorowaną licznymi nagrodami, członkinią Fińskiej Akademii Nauk. Jej pierwszy tom poetycki, *Dzika jabłoń* z 1947 roku, nosi ślady doświadczenia cierpienia i ciężkiej choroby, na którą Kunnas zapadła podczas wojny fińsko-rosyjskiej. Z jej wierszy przebija jednakże pragnienie życia, wola istnienia i działania. Trzy kolejne tomy z lat pięćdziesiątych XX wieku uczyniły z Kirsi Kunnas jedną z najważniejszych przedstawicielek fińskiej poezji modernistycznej. Jej poetycki idiom jest odmienny od tego, którego używano przed wojną. Swoje gorączkowe poszukiwania formy odpowiedniej do wyrażenia wojennych traum poetka komentowała z odległej czasowej perspektywy: „Być może wszyscy byliśmy wówczas zawieszani pomiędzy przeszłością a przyszłością. Potrzebowaliśmy baśni tak jak dzieci, aby móc dorosnąć po wojnie. Szukaliśmy nowego słowa, nowego języka, nowego domu. Być może świat był dla nas zbyt prawdziwy, tak że musieliśmy wymyślić dla niego formę zabawy i zmienić się z dzieci w bawiących się dorosłych”.

Piąta dekada ubiegłego wieku to również początek zainteresowania Kunnas literaturą dla dzieci. Decydujące było zetknięcie z angielskimi rymowanymi Mother Goose, w których dziecięcego adresata traktowano na serio, jako istotę obdarzoną mądrością i wrażliwością. Pisarka odrzuciła paternalistyczny ton fińskiej literatury dziecięcej opisującej agrarny świat i odwołując się do nonsensu i humoru, dbając o językową finezję oraz czerpiąc z uważnej obserwacji świata zwierząt, stworzyła odmienny świat literacki. Uczyniła milowy krok w rozwoju fińskiej poezji dziecięcej, analogicznie do Tove Jansson budującej wówczas misterny świat prozatorskich opowieści. Kunnas przekładała ze szwedzkiego na fiński książki Astrid Lindgren oraz wspomnianej Jansson. Pisała też podręczniki do nauki języka fińskiego i przez wiele lat prowadziła kampanię na rzecz czytania dzieciom książek. Pomijając tłumaczenia angielskich wierszy, pierwszą książką Kunnas dla dzieci było *Baśniowe drzewo Tulitusia* wydane w 1956 roku (do 2018 roku doczekało się 46 wydań!). Autorka zamieściła w nim między innymi kołysankę dla siostrzenicy Tiiti. Od tamtej pory wiersze Kunnas są określane mianem „wierszy Tulitusiowych” (*Tiitiäisenrunoja*), a Tulitusz pojawia się w tytułach wielu jej utworów. Ich bohaterami są często zwierzęta domowe, leśne i polne. Kiedy spotkała popiskującego ze strachu jeża, który stał się bohaterem jednego z jej znanych wierszy, zapisała: „Pod okryciem z igieł można odkryć delikatną istotę, która jest w innych ludziach i nas samych”.

W Polsce ukazał się do tej pory tylko jeden utwór Kunnas – baśń *Fikołki długonogiego zajaczka* z 1979 roku. Przełożył go Bohdan Drozdowski, który kilka lat wcześniej otrzymał roczne stypendium na wyjazd do Finlandii, w trakcie którego gościł w domu pisarki. Baśń została opublikowana w czasopiśmie „Poezja” w 1983 roku i była odczytywana w Polsce w kontekście aktualnych wydarzeń politycznych. Gdy telefonicznie ustalałam szczegóły publikacji przekładów na łamach „Frazy”, Kunnas zaskoczyła mnie znajomością słów i wyrażeń w języku polskim. Okazało się, że w 1948 roku zawarła znajomość z kilorgiem pacjentów z Polski, przebywających, tak jak ona, w szwedzkim sanatorium. Zachwycała się wówczas brzmieniem języka polskiego i stworzyła na swój użytek prywatny słownik. Ucząc się form czasowników, wykorzystywała frazę z *Hamleta*, w której pytanie „być albo nie być” zastępowała różnymi użytecznymi czasownikami, np.: „jeść czy nie jeść”, „palić czy nie palić, oto jest pytanie”.

Dorota Kyntäjä

Ps.

Wiadomości na temat życia i twórczości Kirsi Kunnas zaczerpnęłam z opublikowanej w 2014 roku książki Leeny Kirstiny Kirsi Kunnas. *Sateessa ja tuulessa* (Kirsi Kunnas. *W deszczu i w wietrze*).



Kirsi Kunnas

## DZIKA JABŁOŃ

Choć to przysparza cierpienia,  
Dzika Jabłoni,  
gdy się gałęzie twe podcina,  
gdy się obce pędy do ciebie przyczepia,  
bądź dzielna.  
Twój nieuległy pień złamać się nie może,  
ani płomienna pieśń twych liści zgasnąć.

Dzika Jabłoni,  
wstrzymaj oddech,  
poczekaj!

W środku nocy zjawi się czar,  
sierpniowej nocy zdarzy się cud:  
owoce twe dojrzeją,  
a szlachetne twe gałęzie ugną się pod ich ciężarem.

## SAMOTNOŚĆ

Jasne światło rozdziela drzewa,  
ścina liście z nieba,  
żrenice są jak ostrza igły.

Gdzie mam ukryć me serce?  
Zamykam powieki, ślepnę,  
mimo to słyszę,  
jak strzały przekłuwają liście.

*Wiersze dla dzieci*

## KOŁYSANKA TULITUSIA

Noc już, leśny Tulitusiu,  
maleńki elfusiu.  
Włosy twe są z mchu gęstego,  
usta z soku wiśniowego,  
oczy jak z szafiru gwiazdy.

Noc już, leśny Tulitusiu,  
maleńki elfusiu.  
Niech cię wiatr do snu ulula,  
co w gałęziach świerku hula,  
zgaś już szafirowe gwiazdy.

## UCZUCIOWY JEŻ

„Ach” – powiedział jeż –  
„jam uczuciowy zwierz,  
jam miły, grzeczny, czuły,  
i to ze swej natury.  
Czy ktoś zaprzeczy temu?  
Lecz smutno mi, bo czemu  
uczucia me stos igieł  
pokrywa wzdłuż i wszerz?”

„Ach” – powiedział jeż –  
„jak smutny ze mnie zwierz,  
samotny jestem strasznie!”  
To była prawda właśnie:  
Samotny bardzo bywał,  
stos kolców go okrywał  
i pod pancerzem igieł  
cichutko popłakiwał.



## SŁOŃCE I KOGUT

Okrągłe słońce świeci na niebie,  
w namiocie nieba zamieszkało.  
Ono ma duży czerwony grzebień  
zdaje się, że właśnie piało!

Ależ to kogut był, oczywiście!  
Ruszył grzebieniem też zamasyście  
i właśnie wspiął się na mur.  
Ach nie, to słońce, nie kur!

## PAN PEJ-PO

Pan Pej-Po  
był czarodziejem.  
Wołał: „hej-ho!”  
i w ziemię uderzał,  
i czarował:  
szuwary  
komary  
pieczary  
towary  
opary  
koszary  
fanfary,  
tak więc  
pan Pej-Po  
znał czary-mary.

Raz  
pan Pej-Po  
szedł po dworze,  
zawołał: „hej-ho!”  
i w ziemię uderzył,  
po czym na motorze  
sobie jechał.

To był wielki błąd  
pana Pej-Po.

Widzisz, czarodziej nie włada  
maszynami  
motorami  
traktorami  
skuterami  
helikopterami  
motorowerami,

pamiętaj:  
maszyna własną moc posiada.

W każdym razie  
pan Pej-Po  
pojechał na dworzec,  
zawołał: „hej-ho!”  
potknął się na motorze  
i znalazł na torze  
pod pociągiem.

„Umrę przedwcześnie!”  
– krzyknął Pej-Po  
zlany potem.  
Zawołał: „hej-ho!”  
i umarł potem.

## PÓŁKSIĘŻYC I ZASKOCZENIE

Kiedy księżyc się składa  
w połowie ze srebra i w połowie z cienia,  
aż dziw, że się nie rozpada  
i nie budzi Zaskoczenia.

Zaskoczenie bowiem śpi i odpoczywa,  
a księżyc się nie zmienia,  
po czym światło dnia okrywa  
to, co ze srebra i cienia.

## KUKUŁKA ZEGAROWA

Ja się trochę boję,  
kiedy w dziupli stoję,  
że zegar, gdy wybije,  
po plecach mnie pobije  
lub w dziób mój będzie stukać.

Kukułka się wzburzyła,  
z zegara wyskoczyła  
i zaczęła kukać.

Kirsi Kunnas  
Przełożyła Dorota Kyntäjä



Fot. Julian Kotelba

Tampere, jezioro Näsijärvi

Sofia Oksanen

## KROWY STALINA\*

(fragment)

**Mój pierwszy raz** był inny. Myślałam, że będzie potwornie, że będę cała brudna, pomazana i poklejona. Myślałam, że chlusnę krwią, a brzuch będzie mnie bolał dwa razy gorzej. Myślałam, że nigdy się na to nie zdobędę, że nie będę w stanie, nie będę chciała, lecz gdy usłyszałam trzeszczące powłoki brzuszne, moje ciało zdecydowało za mnie. Nie miałam wyjścia.



Fot. Toni Härkönen

Sofia Oksanen

I było bosko.

Płomień zapalniczki odbił się w moich sennie błyszczących oczach. Mój pierwszy papieros po moim pierwszym razie. On też był boski. Wszystko było boskie.

Jedyne, co było po mnie widać, to zadowolenie i triumfalna radość. Może głos miałam trochę chropawy i nieco łamiący, ale co z tego.

I wiedziałam, że będzie drugi raz. Trzeci. Setny. Oczywiście nie wszystkim tak się układa. Dla niektórych pierwszy raz jest zarazem ostatnim, ale nie dla tych, które są w tym dobre. Które się w tym kochają.

Ja byłam w tym dobra od pierwszego razu.

\* Debiutancka powieść Soni Oksanen *Kobiety Stalina (Stalinin lehmät, 2003)* przedstawia losy Anny, alter ego pisarki: urodzonej i mieszkającej w Finlandii córki Estonki i Fina, rozdartej między krajem urodzenia i ojczyzną matki – złamaną i wtłoczoną siłą w sowiecki system Estonię. Powieść zdominowały dwa główne motywy: rozrachunek młodej Finki ze stereotypami obciążającymi relacje dwóch blisko spokrewnionych narodów, fińskiego i estońskiego, oraz jej walka z poważnymi zaburzeniami odżywiania (od tłumacza).

\*\*\*

Inna rzecz, że byłam niedoświadczona i za tym pierwszym razem zwymiotowałam do umywalki. Za drugim jeszcze też. Może muszla klozetowa kojarzyła mi się z czymś nazbyt przyziemnym, poniżającym. Przed umywalką człowiek nie musi jednak klękać, za to trzeba cały czas uważać, żeby nie zatkać odpływu. Bo jak potem uratować sytuację na przykład w gościach? Kiedy w umywalce pływają wymiociny, rury nijak nie można odetkać, a pod ręką nie ma nic, czym można by tę zupę wybrać? Co prawda zazwyczaj w łazienkach są jakieś kubki do płukania zębów, ale skuteczne zmycie z nich później śladów to osobna kwestia, bo właściciel kubka od razu wyczuje smak mydła czy detergentu, a odór rygowni i tak zostanie.

Prysznic to oczywiście dobra rzecz, tłumi odgłosy i najczęściej da się wyjąć kratkę z odpływu. Tylko ileż można w gościach chodzić pod prysznic? A do toalety – proszę bardzo. Przypudrować noskę, normalka. Poza tym wszyscy wiedzą, że kobietom schodzi na tym zawsze trochę więcej czasu, zazwyczaj więc nie trzeba się jakoś bardzo spieszyć – zdąży się spokojnie wszystko z siebie wyrzucić i doprowadzić do ładu.

\*\*\*

Jestem w tym dobra od czternastu lat i jeżeli sama się do tego nie przyznałam, nikt nigdy niczego nie spostrzegł, choć i wtedy ludzie wolą nie słyszeć, co się do nich mówi. A jeśli nawet, to wobec moich słów stoją zupełnie bezradni. Tak potężny jest mój Pan i Stwórca, tak rada mu jestem, bo w Jego mocnym uścisku kobiece me ciało rozkwita, jeśli tylko Go słucham i oddaję mu należny szacunek. Wtedy mój Pan daje mi to, czego pragnę, czyli doskonałe kobiece ciało, doskonałe dla mnie, doskonałe dla Niego i doskonałe dla świata. A doskonałe ciało kobiece czyni ze mnie kobietę doskonałą. Kobietę dobrą. Kobietę pożądaną. Kobietę inteligentną. Kobietę, której się zazdrości. Na którą się patrzy. Którą się podziwia. *Beauty hurts, baby.*

1971

Katariina przychodzi na pierwszą randkę więcej niż pół godziny spóźniona, ale on nadal czeka. Fin. Ten sam, który w ubiegłym tygodniu na potańcówce nie chciał słuchać wymówek i ciągle do niej podchodził, aż nie mogła już dłużej odmawiać. I w kółko tylko pytał ją po fińsku, ale czemu nie, a ona nie miała pewności, jak odbierze jej wytłumaczenie, że tak naprawdę to nie ma ochoty, że jest zmęczona, że przyszła tylko do towarzy-

stwa z koleżanką, która tak bardzo chciała iść, tak długo suszyła jej głowę, że w Rae będzie naprawdę fajnie, zobaczysz, chodź! I dopiero na miejscu się okazało, że Rae to nie kawiarnia, jak obie sądziły, tylko restauracja, a porządne dziewczęta nie przesiadują po restauracjach same, bez męskiego towarzystwa. Z początku kierownik sali kręcił głową, ale w końcu ulitował się nad nimi i zaprowadził je do stosownego dla nich, nierzucającego się w oczy stolika, a potem jeszcze podchodził do nich co jakiś czas, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku. Tym bardziej więc Katariina nie chciała tańczyć. Serio.

Ale Fin znowu po nią przyszedł. Po pierwszym tańcu podziękował, odprowadził ją do stolika, potem znowu zabrał na parkiet, chciał z nią tańczyć każdy kolejny taniec, a gdy orkiestra kończyła grać, Katariina słyszała z jego ust kolejne fińskie podziękowanie. *Kiitos* było pierwszym fińskim słowem, którego się nauczyła.

\*\*\*

Zgrzana i zdyszana Katariina przysiadła się do stolika czekającego na nią Fina i mówi, że weźmie kawę z koniakiem. Mężczyzna w ogóle nie jest zły z powodu spóźnienia, ale czy się nie zdenerwuje, kiedy Katariina mu powie, że ma tylko chwilkę? Gdy szuka czegoś w torebce, zastanawiając się, jak by mu o tym powiedzieć uprzejmie i serdecznie, ze środka wypadają na podłogę dwa zawinięte w gazetę, brudne od oleju krany oraz klamka drzwiowa i ułatwiają wyłuszczenie sprawy, bo oczy Fina domagają się wyjaśnić: dlaczego z torebki przychodzącej na randkę młodej damy wypadają brudzące jej delikatne dłonie i spódniczkę minimateriały budowlane?

Katariina mówi, że idzie właśnie wymienić je na części do instalacji, których brakuje na jej budowie.

Na jej budowie?

Tak, Katariina jest kierownikiem budowy. Nie wspomniała mu o tym, gdy on jej powiedział, że pracuje przy budowie hotelu Viru? Po jego minie widzi, że gdyby nie krany i klamka, to by jej nie uwierzył. Złości ją to, więc odrzuca głowę w tył i oświadcza, że musi natychmiast iść po zamówione części. Akurat tak się składa, że do restauracji po drugiej stronie ulicy. Czeką tam na nią z siatką pełną złączy rurowych inżynier z innego przedsiębiorstwa. W zasadzie Katariina umówiła się z Finem tutaj właśnie dlatego, że ma tę restaurację po drodze na tamto spotkanie. Możliwe, że w Finlandii kobieta nie może być kierownikiem budowy, ale w jej kraju owszem, może.

– Ale przerw na kawę nie macie – śmieje się Fin.

– Przerw na kawę?

Fin obiecuje, że opowie jej o nich pod jednym warunkiem: że Katarina usiądzie z powrotem i dopije swój koniak.

Przysiada na brzegu krzesła.

Przerwa na kawę to obowiązkowy kwadrans przerwy w pracy, kiedy pije się kawą.

Katariina jest zdumiona. Po co obowiązkowa przerwa w pracy na picie kawy? I w Finlandii naprawdę są wolne soboty?

O warunkach na budowie hotelu Viru, pierwszym wielkim przedsięwzięciu Estonii i Finlandii, który rozszłał fińskich robotników w całym Tallinnie, Katariina zdążyła się już nasłuchać. O fińskiej sile roboczej nikt nie mógł powiedzieć złego słowa i podobno hotel w ogóle by nie powstał, gdyby budowali go sami Estończycy. Ludzie powiadali, że Finowie od razu robią, co mają do zrobienia, że robią to dobrze i starannie, nie trzeba po nich poprawiać zaraz następnego dnia i z budowy nigdy nic nie znika; Finowie muszą mieć chyba po siedem par rąk i nóg, a i kombinezony mają z kieszonkami i szlufkami na wszystkie możliwe narzędzia, więc nie muszą po nie co chwila biegać jak kot z pęcherzem. Fin to zupełnie co innego niż ospały i nawet w powszedni dzień od rana wypity Estończyk w pękatej kufajce, w której w ogóle trudno się poruszać.

Katariina nie idzie do restauracji, w której miała dokonać wymiany kranów na złączki, zdąży z tym jeszcze jutro, nie pali się, albo wymyśli jakieś wytłumaczenie zaistniałego braku.

Bezrobocie w Finlandii wcale nie jest takie duże, jak się mówi w Estonii, choć to przecież zły, kapitalistyczny kraj zgnitego Zachodu. Poza tym jej Fin regularnie uprawia sport, pływa i biega na nartach. Kto by pomyślał, że u wrogów dobrych krajów socjalistycznych młodzi nie dostają nakazów pracy, tylko mogą cieszyć się życiem i swobodnie uprawiać sporty. Że mają powody do zadowolenia i śmiechu.

Katariina z kolei musi powtarzać Finowi kilka razy, że nie, nie chodziła do rosyjskiej szkoły. Tak, tak, w tym kraju można uczyć się po estońsku, naprawdę! I tak, jest przymus pracy, nie można nie mieć zatrudnienia i bezrobotnych rzeczywiście nie ma. Katariina wyciąga z torebki książeczkę pracy i pokazuje ją Finowi: taką samą ma tu każdy, dają ją już w szkole na pierwszych praktykach zawodowych i tam jest napisane, gdzie się pracuje, a gdy się wraca do szkoły, to w książeczce jest wpis, że się chodzi do szkoły. Kiedy kończy się nauka i dostaje się nakaz pracy, do książeczki wpisuje się nazwę firmy, zajmowane stanowisko i datę rozpoczęcia zatrudnienia. Gdy się zmienia pracę, to jest to znów odnotowywane. W datach nie może być przerwy, ani jednego dnia.

O zasiłku dla bezrobotnych Katariina nawet nie słyszała. Nie, czegoś takiego tu nie ma, no naprawdę, bo i jak – przecież bezrobocia nie ma! Cemu to dla Fina takie niepojęte? Niepojęte to są te urlopy letnie w Finlandii

i to, że w dzień wypłaty pieniądze przychodzą na konto w banku, a nie że odlicza się banknoty na rękę, jak u nas.

Fin zaczyna Katariinę interesować i może nawet chciałaby znowu się z nim spotkać.

Zerka na niego ukradkiem. Na oko jej rówieśnik, schludnie ubrany, pachnie czystością i w ogóle jakoś dobrze. Tak, Katariina chce znowu się z nim spotkać.

I że niby pracują tak cały czas, tylko nie podczas tych swoich „przerw na kawę”?

I dlaczego mają wolne soboty?

### **Skoczę tylko do toalety**

I w biodrach mam 93 cm.

Różowa miara krawiecka waży zaledwie kilka gramów. Mieści się w każdej kieszeni, w torebce, portmonetce, można nią nawet związać włosy, można sobie ją owinąć wokół nadgarstka i nosić jak bransoletkę, albo na palcu jak obrączkę, można ją obracać w dłoni, bo działa uspokajająco, jak wszystkie różańce.

Pójdę tylko przypudrować nos.

Biodra 92 cm.

Przepraszam, to gdzie jest ta damska toaleta?

92 cm.

To wy zróbcie coś, zapalcie sobie po kolacji, a ja w tym czasie skoczę do ubikacji.

Nadal 92 cm.

Kochanie, była straszna kolejka do toalety, nawet sobie nie wyobrażasz.

91 cm.

Nie, mamusiu, nie nie chcę... A, wychodzisz? Nie będzie cię cały wieczór? I tatuś też nie wraca do domu?

93 cm.

Oczywiście, mamusiu, wszystko zniknie z talerza.

93 cm... chyba śnisz; bawię się tym talerzem tak długo, że matka w końcu wychodzi, a wtedy wszystko ląduje w śmietniku albo w reklamówce.

Tak, dokładnie tak, szykuje się kinderbal, trzeba kupić ciastka dla pięćdziesięciu smarkaczy.

91 cm. Powtarzam „dzięki” tysiąc razy.

Nie, dziękuję, nie teraz, już jadłam.

Może zjem później.



90 cm?

Obiecuję, obiecuję ci, kochanie, że zjem, zjem na pewno.

92 cm.

Jadłam już dzisiaj chyba z pięć razy.

Serio mówię, jadłam już dzisiaj chyba z pięć razy.

J u ż jadłam.

Jadłam już w szkole.

Jadłam już u babci.

Jadłam już w domu.

Jadłam już u Ireny.

Jadłam już w szkole, u Ireny i w domu.

Jadłam już, poważnie mówię.

I najadłam się! Oczywiście, że tak!

...taa, na pewno. Kto głupi, niech wierzy.

## 1971

Drugie fińskie słowo, które poznaje Katariina, to *keskiviikko*, bo właśnie na środek umówiła się z Finem pierwszy raz i długo trwało, nim się dogadali, o który dzień tygodnia chodzi. Wyjęli jeszcze kalendarz i upewnili się, że mówią na pewno o tym samym dniu. Czyli *keskiviikko* to środa, środek tygodnia, a nie, jak w estońskim, „trzeci dzień”.

Niedługo potem Katariina kupuje rozmówki fińsko-estońskie i mężczyzna czyta je na głos podczas swojej pierwszej wizyty u Katariiny w domu. Finowie śmiesznie wymawiają „s”, jakoś tak szeleszcząco. A w ogóle niemożliwe jest to fińskie *älä*, bo jego estoński odpowiednik to *ärä*, więc ma wrażenie, że Fin mówi jak małe dziecko, które nie umie jeszcze wymawiać „r”.

Jeden z pierwszych fińskich wyrazów, których nie znalazła w słowniku, to *juustosukka*. W języku estońskim nie ma odrębnego słowa na noszone cały dzień i cuchnące jak stary ser męskie skarpety. Dlaczego Katariina nie pamięta, żeby nogi jej rodaków jakoś szczególnie śmierdziały, a oni sami przejmowali się kiedykolwiek czystością swoich skarpetek? Pewnie Hugo, jej były chłopak, byłby to jakoś skomentował. Zdaje się, że nie miał zbyt wielu par skarpetek. I na pewno nie zmieniał ich codziennie. Czy to możliwe, że Estończykom stopy pocą się jakoś mniej niż Finom, albo że ich pot nie cuchnie tak bardzo?

**W książkach piszą, że moje ślinianki przyuszne są opuchnięte i że wyglądam jak chomik.**

A mój Hukka nazywa mnie kotkiem. Swoim kociaczkciem.

W książkach piszą, że po sesji wymiotów jestem przygnębiona i mam poczucie, że jestem odpychająca.

A ja czuję się doskonale, jakby wyrosły mi skrzydła.

W książkach piszą, że mam zniszczone szkliwo.

A w moich ustach zęby mają nieskazitelny połysk i co najwyżej po-bolewają, a dziąsła są trochę opuszczone, poza tym jednak są doskonałe.

Mówią, że bulimiczki nie lubią się uśmiechać z powodu zniszczo-nych jedynek i dwójek.

Bzdura.

Śmiech na sali.

Czternaście lat i co? Nadal tu jestem.

I co powiecie na to, wy niby wszystko wiedzący znachorzy?

I co ty na to powiesz, szanowna pani doktor Joan Gomez, która twierdzisz, że bulimiczki nie mogą się malować, bo makijaż na ich skórze wygląda okropnie? Co powiesz, droga pani doktor, kiedy spojrzysz na moją twarz?

I moje włosy, Joan – bardzo jestem ciekawa, co byś powiedziała o nich? Przecież powinnam być łysym szkieletem z obozu koncentracyjnego, dziewczyną, który ma nieregularny stolec i cuchnący oddech, w której trupiej miednicy już nie zagnieździ się życie, a i serce nie pompuje krwi, tylko same kalorie. Żywcem wyjętą z Workuty! Powinnam wyglądać jak jeden z tych portretów, które artyści robią sobie przed śmiercią: niknące rysy, ziejące oczodoły, prześwitująca przez skórę czaszka. Moje usta powinny wypowiadać te same słowa, które pisarze notują w swój ostatni dzień, i podobnie moja dłoń powinna pisać niknącym i na koniec już tak drobnutki-maczkciem, że niemal nieodróżnialnym od ciągłej linii na monitorze po zatrzymaniu akcji serca. Czy to nie tak było, Peggy Claude-Pierre, czy to nie tak właśnie, że typową cechą pisma anorektyczek jest mikroskopijność praktycznie uniemożliwiająca jego odczytanie? Co powiesz? Że tak właśnie powinno ze mną być?

No to powiedz mi teraz, dlaczego wyglądam tak promiennie, kwitnąco jak róża? Dlaczego brzuch mam płaski, a nie wzdęty, dlaczego jest on spokojny, zamiast wydawać bardzo nieprzyjemny, żenujący wręcz odgłos – właśnie taki, przed jakim tak często nas ostrzegasz? Dlaczego w restauracji mam zawsze branie, dlaczego moi kochankowie po prostu nie mogą odkleić ode mnie rąk – czyżby moje pocałunki nie cuchnęły wymiocinami tak bardzo, nie odrzucały ich? Jak to możliwe, że egzaminny wstępne zawsze zdaję najlepiej, choć w oczekiwaniu na swoją kolejkę wychodzę czasem do damskiej toalety, aby o siebie zadbać i zwymiotować zjedzoną zawczasu

drożdżówkę? Czymże są przy tym wszystkim lekkie zawroty głowy, czym spierzchnięte usta?

Dlaczego więc miałabym odprawiać mego cudownego kochanka, mego Pana i Stwórcę?

1972

Katariina zna 1680 fińskich słów.

Fin ją chwali, że świetnie sobie radzi.

**Głowę babci porasta** źle zrobiona trwała, zagrzybiony policzek odbija się w szybkie potrójnego okna z widokiem na zimową biel i wygląda na przemarznięty, bardziej przypomina hubę niż ten od strony pokoju. Moje białe dziewczęce policzki powinny już się okryć taką samą szarzyzną, bo przecież mój Pan powoduje przedwczesne starzenie, czy jak to się nazywa. A tak, hipogonadyzm. To za jego sprawą powinniśmy być do siebie podobne, bo rodziną nie jesteśmy. Babcia mieszka ciągle w naszym dawnym bloku i po prostu mnie lubi, znamy się dobrze od tamtych czasów. Ta babcia, z którą jesteśmy rodziną, nie umie się ustosunkować do dziecka poczętego z zamorskiej krwi, podobnie jak cała reszta rodziny z dennie fińskiej prowincji. Moja mała dzielna mama z bałtyckiego kraju była w istocie pierwszą cudzoziemką, którą rodzicielka mojego ojca w życiu spotkała. No, wcześniej spotkała ludzi ewakuowanych z Przesmyku, i dlatego co drugie jej zdanie zaczynało się od tego, że Karelowie to albo Karelowie tamto. Gdy mama prosiła o kawę, babcia mówiła, że ci Karelowie to też piją kawę. Kiedy mama gotowała, babcia mówiła, że jedzenie u tych Karelów też tak dziwnie smakuje. Gdy mama wydmuchiwała nos, babcia mówiła, że ci Karelowie też tak robili. Inna rzecz, że dopiero po wielu latach mama się zorientowała, dlaczego jej poczynaniom zawsze towarzyszyły uwagi o Karelach.

Może gadki babci z rodziny były niezdatnymi próbami zbliżenia, może babcia wręcz się cieszyła, że zdołała wymyślić wspólny w jej mniemaniu temat rozmowy. Może nie była pewna, czy mama w ogóle rozumie po fińsku, w końcu ona sama nie znała innego języka poza własną gwarą. Może i tak było, ale Karelów babcia jednak nie lubiła. Lepiej by już siedziały tam, skąd przyszły, Ruski jedne. Mama nie wierzyła w to, że babcia chce dobrze, tylko głupio gada, i nigdy nie gotowała niczego, co choćby z daleka mogło trącić dennie fińską prowincją. A w każdym razie nie dla niej. Niczego estońskiego, ale i niczego dennie fińskiego, żeby babcia nie miała powodów do uzalania się nad synem, że też sprowadził sobie z za morza tak beznadziejną kucharkę.

\*\*\*

Babcia, która mnie lubi, podsuwa jabłko, weź, mówi do mnie i sięga jeszcze po coś do swojej torebki. Dobrze wiem, po co. Po swoją portmonetkę. Po co ona to robi, po co, ja tego jabłka nie chcę, bo co ja z nim zrobię, skoro na horyzoncie są już pieniądze, ile wszystkiego będę mogła za nie nakupować, będzie czym wymiotować przez cały wieczór i całą noc, bo na razie nie zdążyłam jeszcze niczego przygotować. Babciu kochana, bądź tak dobra i odłóż tę torebkę. Ale babcia nie jest dobra tak, jak można być dobrą dla mnie, tylko otwiera portmonetkę, w drugiej, wyciągniętej ręce wciąż trzymając jabłko, którego nie biorę, więc zdziwiona unosi głowę; dlaczego nie chcę, takie piękne, błyszczące jabłko, przecież lubię jabłka, ona to wie – ale nie wie tego, że lubię jabłka tylko dlatego, że mogę jeść je bez obaw w dniach bezpiecznego jedzenia. Wtedy babcia pyta, co mi jest, więc muszę wziąć to jabłko bardzo, bardzo szybko, ale nie za bardzo, nie podejrzanie szybko, tylko szybko na tyle, by odniosła wrażenie, że tylko się zamyśliłam i nie dostrzegłam wcześniej tego jabłka, i że nic mi nie jest. Że się nie zawahałam, nie zdenerwowałam, nie podjęłam przerażającej decyzji, choć właśnie tak było, decyzja zapadła w ułamku sekundy, kiedy czekałam na wysuwającą się z torebki dłoń z portmonetką. Gdyby babcia dała mi to jabłko wcześniej, a nie prawie w tej samej chwili, gdy sięgnęła po portmonetkę, mogłabym rzucić na przykład, że oho, zapomniałam o spotkaniu i muszę już lecieć, nim zdążyłaby w ogóle chwycić torebkę, a wówczas nie znalazłabym się w takiej sytuacji i nie musiałabym wybierać, tylko byłabym spokojna przez cały wieczór, czyli wystarczająco długo, aby zaryzykować prognozę, że również i noc będzie spokojna. Ale babcia nie rozumie tak prostych rzeczy i nie wie, że mnie nie wolno wodzić na pokuszenie, nie wolno mi dawać pieniędzy, kiedy ich nie mam, bo przecież doskonale wiem, na co je wydam. Powinnam już dawno od niej wybiec, wymyślić cokolwiek i zniknąć, ale ja siedzę nieruchomo i nie odrywam spojrzenia od ręki, która wysuwa z portmonetki gładki banknot i wciska mi go w dłoń, która z kolei przenosi go do mojej kieszeni. Czuję tam gorąco, które przenika mnie do szpiku kości. Banknot... jaki gładki. Najchętniej cisnęłabym teraz jabłko w kąt, lecz przy babci nie mogę tego zrobić. Obracam je więc w dłoniach, wpijając palce w skórę. A jej zebrało się jeszcze na gadanie. Kiwam głową, jak gdybym jej słuchała. Czuję mrowienie w stopach. Muszę się jakoś wyrwać. Zrobiło się cholernie późno. Za chwilę zamkną mi sklepy. Potem otwarty będzie już tylko kiosk, a tam jest drożej. Na co mi duży banknot, jeżeli nie starczy mi na to wszystko, co muszę kupić? Tego bym nie zniosła. Macham nogami. Ściskam jabłko. Nie mam pojęcia, gdzie je

odłożyć. Do kieszeni nie wejdzie, bo mam tam już banknot. Nie wolno mi teraz tego jabłka zjeść. Już zdecydowałam, co będzie wieczorem. Dlatego nie mogę nawet raz go ugryźć. Z chwilą otrzymania banknotu jabłko przeszło na listę produktów zakazanych. Stało się zbędne. Dziś nie będzie mi potrzebne. Dlatego więc musi ciągle tkwić w mojej dłoni i przypominać mi, że powinnam się zmyć, gdy tylko ręka babci zanurzyła się w torebce. Babcia myśli, że mi pomaga, w końcu moje konto świeci pustkami. Teraz będę mogła sobie kupić najpotrzebniejsze rzeczy: kawę i papierosy, mydło i szampon, podstawowe produkty spożywcze, takie jak chleb i masło, które innym wystarczą na kilka dni, a mnie na godzinę.

Uśmiecham się do babci, potakuję głową jak na huśtawce, z której chce się już zejść i sobie pójść. Przez tamte drzwi, powoli, jakby od niechcenia, na luzie, a za rogiem będę już mogła puścić się biegiem, zdążę jeszcze wszędzie. Ale ona ciągle gada i gada, poruszając powoli nogami. Skrzypi podłoga. Udaję spokój i zainteresowanie. Wypijam jeszcze filiżankę kawy. Aż się sobie dziwię, że jestem taka opanowana. Zauważam, że skupianie się na zaciśniętym przelętyku to skuteczny sposób na oderwanie uwagi od zegara i wyjścia, od palącego kieszeń banknotu i jego kojącej gładkości. Wreszcie krzesło trzeszczy w ten szczególny sposób, który mówi mi, że babcia lada chwila będzie chciała wstać.

\*\*\*

Zostało mi pół godziny.

Do sklepu staram się nie biec. Choć i tak przebiegam nogami jak na niemym filmie i czasem któryś obcas krzyknie na śliskim helsińskim chodniku. Szpilki mamy wydawały takie same odgłosy na kocich łbach tallińskiej starówki, choć już nie w dennie fińskim prowincjonalnym miasteczku mojego dzieciństwa, bo tam poza centrum nie było brukowanych dróg... Spieszyliśmy się, w Tallinnie zawsze nam było spieszno, bo czas był ograniczony, a załatwienie nawet najgłupszej błahostki trwało całą wieczność, której nie sposób było z góry określić, i dlatego trzeba było w zasadzie biec, ale tak, by nie rzucać się z tym za bardzo w oczy, trzeba było biec tak samo jak teraz, uważnie lustrując otoczenie, czy nikt nas nie śledzi, czy tamten facet nie wygląda czasem tak samo jak ten, który stał za nami w kolejce w domu towarowym? A może ma tylko taki sam płaszcz? – pytała mnie niepewnie mama, a ja nie umiałam jej odpowiedzieć. Ta bezustanna czujność szarpała nerwy i podniecała zarazem. Mama się bała. Ja wtedy jeszcze nie potrafiłam.

Tam to było normalne. I jest normalne tutaj. To mój normalny dzień. Tak samo jak wtedy w Tallinnie rozglądałam się czujnie i uważam, aby nie

nadziać się na znajomego, który mógłby spowolnić mój marsz do sklepu, a w sklepie nie spotkać kogoś, z kim byłam kiedyś na bezpiecznych zakupach i kto mógłby wiedzieć, że w życiu bym nie wsadziła do swojego wózka czegoś takiego, nawet przez pomyłkę. Albo kogoś, kto akurat dwa dni wcześniej widział mnie na ulicy, jak z wywieszonym językiem targam do swojej kawalerki rodzinne opakowania jaj i lodów. Dzięki Bogu nie używam już do sesji słodczy, więc obecnie mój wózek nie rzuca się tak w oczy, jak dawniej, kiedy był pełen ciastek, czekolad i budyniów. Potykam się i byłabym upadła, lecz podskakuję kilka razy na jednej nodze, zupełnie jak mama kiedyś tam, dawno temu... Na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych zarzuciła chodzenie w szpilkach nawet w Tallinnie. Jako cudzoziemka i Finka była tam bardziej wiarygodna w butach na płaskim obcasie. Na adidasy jednak się nie zdecydowała, może bała się spotkać na ulicy znajomych ze studiów, bo kwiat estońskiej rzodkiewki miał gdzieś renifery z Północy. Kwiat estońskiej rzodkiewki, która biła po oczach najczernerwiejszą czerwienią partii komunistycznej, że hej! – a pod skórką ukrywała najczystsza patriotyczną biel. Mama ich zdradziła, bo wyszła za Fina. To było czynem godnym potępienia, choć ona jedna z całego roku odmówiła wstąpienia do partii i nie zgodziła się śpiewać: „Niech żyje stworzony nam z woli ludów braterski, zwycięski, potężny Kraj Rad!”. Mama miała dość pogardy estońskiego kwiatu rzodkiewki i nie chciała dodatkowo jeszcze stygmatyzować się karygodnie fińskim chodzeniem w sportowym obuwiu. Bo z przyplływających do Tallinna promów Finowie zawsze schodzili w nowiuteńkich białych adidasach, oczywiście niby własnych, do własnego użytku, o czym musieli przekonać estońskich celników. Potem zatrzymywali się pod hotelem albo przy Bramie Viru, aż podchodził do nich spekulant i zagadywał o cenę – i już po chwili z kieszenią pełną rubli Finowie szli się nachlać.

\*\*\*

Ochroniarz już wyszedł na dwór na papierosa, jak gdyby mieli zamykać market. Wiem, że mam jeszcze czas, ale mimo wszystko strach ściska mnie za gardło. Co by było, gdybym nie zdążyła? Przemykam obok niego do środka. Słyszę w głowie swój świszczący oddech. Ale już po strachu. Jestem w środku. Teraz już nikt mnie nie wyrzuci, dopóki nie zrobię zakupów. Biorę wózek. Przyładzie z warzywami zwałniam, ale nie przystaję, jak w dniach bezpiecznego jedzenia, tylko jadę dalej, prosto w parujące pieczywo. Ono jest najważniejsze. Świeżuteńki chleb, dopiero wyjęty z pieca, w zaparowanej przezroczystej torbie. Jego odurzająco ciepłe boki. Do tego musi być prawdziwe masło, które zmienia się na takim chlebie w roztopione

złoto. Tuż przed zamknięciem sklepu takiego parującego pieczywa już się nie dostanie, nie pozwalam jednak, by jego obraz wyparował mi z głowy, na półce leży jeszcze kilka bochenków, do których moje palce lgną jak przysawki, gdy delikatnie badam ich świeżość. W końcu w domu mogę wrzucić chleb do piekarnika, będzie parujące pieczywo i rozplywające się masło.

Wędrując między półkami do ostatniej minuty. Na zakupy spożywcze zawsze mi schodzi bardzo dużo czasu. Oglądam uważnie nowości. Rozkoszuje się chwilą. Czytam wartości odżywcze. Tylko pieniędzy jakoś nie chce na wszystko wystarczyć. Nowy słodzik będzie się musiał zawieruszyć w koszu pod torebką. Wsuwam pod nią jeszcze suszone na słońcu pomidory, a w zasadzie słoik sam się tam toczy. Jezuu, ale ja jestem w tym dobra. Ochroniarz jak każdy inny. Kazali mu, to się gapi. A kasjerka to celnik. Z tą tylko różnicą, że ona się uśmiecha i pozdrawia – wbrew etykietce obowiązującej urzędników Kraju Rad.

\*\*\*

Lista produktów zakazanych na formularzach celnych była niezmienna przez te wszystkie lata. Nie, nie mamy broni ani amunicji, żadnych antyków, substancji odurzających ani urządzeń umożliwiających ich zażywanie, nie mamy również losów radzieckiej loterii. Każdy punkt trzeba dokładnie przeczytać i przy każdym napisać, że nie dotyczy. Poza tym „jest mi wiadomym, że poza wyżej wymienionymi ocleniu podlegają również: druki, maszynopisy, filmy, płyty gramofonowe, taśmy magnetofonowe, znaczki pocztowe, grafika itp., a także rośliny, owoce, nasiona, żywe zwierzęta i ptaki, nieprzetworzone produkty gospodarskie oraz zwierzyzna łowna”. I nie wolno wwozić niczego, co nie byłoby przeznaczone do własnego użytku podróżującego. W osobnym punkcie trzeba zaznaczyć metale szlachetne i biżuterię. Mama co roku wpisywała te same obrączki i kolczyki, pokazywała je zawsze celnikom... to jest moja obrączka ślubna... to są moje kolczyki... to moja gotówka... Przy kolejnym celniku trzeba otwierać paczki kawy i odkręcać tubki pasty do zębów, jakiś facet był na tyle głupi, że próbował szmuglować przez granicę Biblie... Za każdy razem prześwietlają też moją małą torbę, lektury na wakacje zawsze widać jako szare kreski. Czasem zaglądną, co to za książki, czasem nie. Ten głupi od Biblii sądził, że zmyli celników, jak zawinie książki w folię aluminiową, tylko że na rentgenie taką folię widać jeszcze lepiej. Idiota. Ja bym takiego błędu nie popełniła. Gdy mama ogarnia formularze i wsuwa kolejne torby do maszyny, ja ukradkiem przyglądam się celnikom i bagażom innych podróżnych. Różni ludzi nieraz proponują mamie, aby wsunęła to czy tamto do mojej torby, kto by tam podejrzewał taką małą dziewczynkę, kto by za-

glądał do takiej małej torebki, w której jest tylko fujarka i tabletki fluorowe, więc przecież można by do niej czasem to i owo dołożyć. Ale mama nigdy się na to nie zgadza.

Za pierwszym razem wsuwam do swojej torby sportowej dodatkową zabawkę, czerwonego plastikowego zajączka. Nie wiem, ile razy mama mi powtarzała, że nie wolno brać niczego, co nie jest absolutnie konieczne – bagaż i bez tego będzie bardzo ciężki. Zabieramy tylko to, co za granicą łatwo spieniężyć. Plastikowy zajączek to żadna waluta, choć bardzo go lubię, więc aby go zabrać, muszę się uciec do podstępny i sprytu, do niewinnych spojrzeń. Przed powrotem do Finlandii wsuwam sobie pod bluzkę wydrukowany w ubiegłym wieku modlitewnik baptystów, który znalazłam u babci na strychu... musi mi się udać, muszę dać radę... I znów mam na ustach ten swój uśmiech małej spryciary, od środka szeroki, a na zewnątrz niewinny, taki, z jakim dzieci bawią się w kotka i myszkę. Zawsze spada jakaś głowa, ale to nie może być głowa Anny ani jej mamusi... Z takim samym uśmiechem na ustach wracam między ludzi po zwymiotowaniu – jest może trochę bardziej rozespany, ale poza tym nie ma różnicy... A od środka ten uśmiech tańczy i krzyczy: figa z makiem!

## 1972

Katariina zostaje przydzielona do ekipy, która zabiera z biur przedsiębiorstwa maszyny do pisania na coroczny przegląd, ma dopilnować, aby transport przebiegł zgodnie z planem i te same maszyny wróciły do biur. W zakładzie zostaje sprawdzony i zapisany odcisk każdej litery, żeby później, w razie popełnienia jakiegoś przestępstwa – politycznego czy innego – można było ustalić, gdzie znajduje się maszyna, na której napisano dany pamflet, ulotkę czy co tam jeszcze. Co prawda wuj Katariiny ma jeszcze przedwojenną maszynę, której mu nie zarekwirowano, i na niej pisze listy, ale generalnie obywatelom nie wolno posiadać maszyn do pisania. Po co im one zresztą? Wszystkie potrzebne im pisma mogą sobie szybko i sprawnie wystukać w pracy.

Katariina myśli o Finii. Przysłał jej depeszę, że przyjeżdża za trzy dni. Czy w Finlandii też co rok sprawdza się wszystkie maszyny do pisania? Trzeba zapytać.

**Każdego lata, gdy** spędzałyśmy dłuższy czas u babci, mama dobrze jadła i przybierała na wadze parę kilo. Na delegacjach z pracy nie było takiej możliwości, tłumacz nie ma czasu dojechać ze swojego talerza, bo ciągle coś mówi albo pisze, ale na pozostałych wyjazdach, krótszych i dłuższych,



mama znów zaczynała odkładać trochę sadła, by potem, po powrocie do Finlandii, pozbywać się go po trochu i w końcu ważyć tyle co zawsze, czyli pięćdziesiąt kilogramów – tak jak ja teraz.

Wyglądamy zupełnie tak samo, mamy identyczną budowę ciała, identyczny wzrost, te same wątle barki, ptasie nadgarstki i rozmiar buta czterdzieści. Identyczne miseczki, identyczny obwód głowy. Przez czternaście lat tłukłam się wokół tych swoich pięćdziesięciu kilogramów, ale zawsze do nich wracam – wracam, choćbym nie chciała, choćbym nie próbowała, waga sama wraca. Czternaście lat temu osiągnęłam przepisane mi rozmiary i od tamtej pory mama i ja mogłybyśmy nosić te same rzeczy, gdybyśmy tylko nie miały tak diametralnie odmiennych gustów. Nie jadłyśmy tego samego; mimo że mama nauczyła się jeść fińskie potrawy, mnie nigdy do nich nie przymuszała. Byłam zresztą tak niemożliwym niejadkiem, że gotowała mi tylko to, co chciałam. Podsuwała mi pod nos desery i czekolady – w Finlandii dlatego, że dawano je tam dzieciom tak mało, a w Estonii z tego samego powodu, ale też z myślą o tym, że trzeba mnie utuczyć na zapas przed nadejściem dennie fińskiej zimy. Fińskiego kakao nie chciałam pić, więc babcia przysyłała mi kakao z Estonii, w pełnej czekoladek paczce zawiniętej w brązowy papier pakowy.

Z powodów finansowych mama w Finlandii nie mogła mi dawać tyle czekolady i torcików Runeberga, ile zdołałby pochłonąć mój wiecznie spragniony słodczy żołądek, lecz tam, gdzie warunki na to pozwalały, chciała dawać mi wszystko. Poza tym sama nie cierpiała nigdy na chroniczny głód cukru, bo preferowała słone przekąski i inne estońskie smaki, które przed powrotem do Finlandii magazynowała w dodatkowych kilogramach. Dlatego wszystkie słodkości, wszystkie bez wyjątku, dostawałam ja. Całe bombonierki... dla mnie... całe blachy tego i tamtego... dla mnie... kilogramy cukierków, kartony ciastek, placków, bez dla mnie i tylko dla mnie; jak w takich warunkach mogłam się nauczyć, co to znaczy umiar?

Chyba w życiu nie kupiłam jednego banana czy pomarańczy. Muszę ich mieć co najmniej kilogram. Do dziś z wózkiem pełnym jedzenia wyglądam przy kasie tak, jakbym robiła zakupy na cały weekend dla dużej rodziny, albo wybierała się z mężem i dziećmi na tydzień na wyspę, z której nie zamierzamy w tym czasie nigdzie się ruszać. Nie potrafię kupić garści salmiaków, muszę kupić od razu wielką pakę. Albo nic. Gotuję sobie dwa litry kapuśniaku i zjadam go zawsze tego samego dnia. Z pomidorową tak samo. Nie potrafię zrobić tak, żeby mi te dwa litry starczyły na dwa, trzy dni, ani nawet tak, by rozłożyć to wszystko na kilka posiłków w ciągu dnia – muszę zjeść wszystko od razu. Albo nic. Nie potrafię nałożyć sobie tylko tuszu na rząsy – muszę zaraz zrobić całe oczy. Nie potrafię wypalić jednego

papierosa, bo zaraz chcę odpalać jednego od drugiego. Nie potrafię rozsądnie dozować perfum, tylko spryskuję się tak, że czuć je na pewno na klatce schodowej. Nie potrafię nawet rozmawiać przez telefon przez kwadrans, tylko albo pięć godzin, albo pięć sekund.

Czajenie się z tłuszczem też nie prowadzi do niczego – o pół litra nie chodzi. Jak już balować, to na całego. Chleb, wiadomo, ser, ten najtłustszy, marmolada z pomarańczy, ciastka owsiane, ciastka czekoladowe, tabliczki czekolady, pizza, karelskie pierożki, placki, mrożone ciastka cynamonowe, lody o smaku mango i melona... pstryk piekarnik, pstryk ekspres do kawy, masło na stół, nie może być za twarde... to musi być masło, prawdziwe, podczas sesji wyłącznie prawdziwe masło... muzyka tak, telefony nie i jadziem. Najchętniej zaczynam sesję od lodów. Doświadczenie mnie nauczyło, że po wielodniowej głodówce nie zaczynać od chleba... Bo chleb ma to do siebie, że po takim poście już nie wyjdzie, choćbym wepchnęła całą dłoń do gardła. Lody dają najlepszy poslizg, treść wyjeżdża z żołądka bez najmniejszych problemów, więc reszta idzie już jak z nut. Poza tym lody są idealne do czystych szybkich sesyjek – w porę zwymiotowane zachowują początkowy smak i zapach. Czasem wrzucam po nich chleb z masłem, bez popitki, bo popijanie pieczywa utrudnia zwracanie, choć mogłoby się wydawać, że jest akurat odwrotnie... tralalalalalaa... padapampampaa... po prostu cudo... hop siup chlebek, hop siup serek... pizze w piekarniku już gotowe, więc... hop siup pizza, hop siup druga, i jeszcze, i jeszcze, a teraz wrzucamy do pieca bułeczki...

Jakże więc mogłam zachować jakikolwiek umiar w kontaktach z ludźmi, w relacji z Hukką, w bliskości, w łóżku, w czymkolwiek? Mogę się kochać, nie kochając, i kochać, nie kochając się, nie potrafię tylko jednego i drugiego naraz. I zależeć też mi może wyłącznie za bardzo, a że nie ma w tym żadnego napięcia ani romantyzmu, musiałam chyba postanowić, że nie będę nic czuła, że na powierzchnię nie przedostanie się żadne uczucie, a przede wszystkim to ja zdecyduję, czy zjem dwa litry kapuśniaku od razu, za jednym posiedzeniem – i nie będzie to miało nic wspólnego z tym, czy jestem głodna lub kiedy ostatnio jadłam, bo przecież ja nawet nie wiem, co to znaczy głód. Sama zdecyduję, czy zwymiotuję dwa kilo czekolady zaraz czy może już nigdy, albo czy zacznę się całować z tym gościem namiętnie właśnie teraz, w tej chwili, czy może już nigdy. Tylko że sama nie wiem, czy mam ochotę się całować czy nie, i nigdy nie miałam dolegliwości żołądkowych, którym towarzyszyłyby niekontrolowane torsje – wymiotowałam tylko wtedy, gdy sama tego chciałam. Jeżeli zdecyduję się na całowanie, to całuję. Jeżeli zdecyduję się na jedzenie, to jem. Jeżeli zdecyduję się wymiotować, to wymiotuję.

Podczas sesji niszczyć również jedzenie, które czeka na Hukkę. Czasem od tego zaczynam: kiedy się pokłócimy, mszczę się na nim, zjadając, a potem wymiotując produkty przeznaczone dla niego. Hukka się z tego śmieje, bo jego zdaniem to śmieszne, dla mnie jednak nie ma niczego poważniejszego i bardziej koniecznego. Bo przecież mszczę się na nim tym, co jest mu najdroższe, czyli sobą. Proste jak drut. Na przykład zwymiotowałam jego tort urodzinowy, który dla niego zrobiłam, zdążyłam go już nawet przynieść do jego mieszkania i wstawić do lodówki, ale potem wystąpiły między nami pewne różnice zdań, więc gdy Hukka poszedł do łazienki, wymknęłam się z tortem do siebie. Godzinę później przyszli do niego goście, którym zdążył już zareklamować mój mistrzowski wyrób cukierniczy. Nie wiem, jak im się z tego wytłumaczył.

Skoro Hukka mnie obraża, to nie potrzebuje mojego tortu. Skoro obraża mój tort, to nie potrzebuje mnie. Albo bierze cały pakiet, mnie i mój tort, albo nie będzie miał nic, a to przykrość podwójna, bo torty, które dla niego robię, są najlepsze z najlepszych. Tak jak najlepsze były torty, które mama robiła dla mnie, dla najważniejszej osoby na świecie. I babcia dla niej. Aby mama mogła skosztować wyrobów babki, musiałyśmy oczywiście jeździć do Estonii, gdzie na płycie kuchennej i w piecu w regularnych odstępach czasu wyrastało wszystko, o czym tylko można było zamarzyć. Babka była schorowana i nie mogła przyjeżdżać do Tallinna na spotkanie z nami, a zaproszenia miałyśmy właśnie do stolicy, nie na prowincję. Musiałyśmy więc w największej tajemnicy wymykać się z miasta i jeździć do niej na wieś. W tamtych czasach cudzoziemcy mogli przyjeżdżać do Związku Radzieckiego wyłącznie na podstawie oficjalnego zaproszenia; wyjątkiem były parodniowe wizy turystyczne, ale te uprawniały do pobytu tylko w określonych miastach, takich jak Moskwa, Leningrad, Ryga, Tallinn czy Wyborg. Pozytywne rozpatrzenie wniosku o wydanie wizy nie było wcale automatyczne i zależało od wielu czynników, o których ubiegający się o jej przyznanie nie mieli pojęcia. Poza tym zaproszenie mogła wystosować jedynie osoba blisko spokrewniona – brat lub siostra, jedno z rodziców lub dziecko – a zatem taką procedurą wizową objęci byli mieszkający za granicą członkowie najbliższej rodziny. Później sprawy się uprościły i zapraszać można było nawet znajomych.

\*\*\*

Podróże były zawsze bardzo emocjonujące. Najlepiej pamiętam te lata, kiedy spędzałyśmy najpierw noc w Tallinnie u Juuli, dobrej koleżanki matki, a potem z samego rana mama szła do kolejki na postój taksówek, gdzie mogła stać nie wiadomo jak długo, bo miałam wrażenie, że te ogonki

ciągną się w nieskończoność. Ale wreszcie słyszałyśmy zajeżdżającą na podwórze taksówkę i zaczynałyśmy znosić bagaże do samochodu. Gdy tylko kierowca się domyślał, że w grę wchodzi dobrze płatny kurs, sam łapał za bagaże, licząc na napiwek i kontakt z zagranicą. To był jedyny wyjątek od reguły, bo w każdym innym przypadku taksówkarze nie otwierali przed klientem drzwi samochodu, choć czasem bardzo trudno je było otworzyć, co je blokowało od środka czy od zewnątrz, i nie raczyli nawet otworzyć bagażnika, nie mówiąc już o tym, żeby się za cokolwiek łapali. Matka klęła i łajała ich za to, co jednak nigdy nam w niczym nie pomogło, choć i nigdy nie zaszkodziło. Taksówkarze byli niewzruszeni. Potem zaczęły się pojawiać prywatne taksówki i zanim się wsiadło, należało zapytać, czy kierowca zgodzi się pojechać tam, gdzie się chciało jechać. Nie było to bowiem nigdy takie pewne. Pytanie o to zawczasu oszczędzało nerwy i nogi. Najlepiej było mówić po fińsku. Wtedy nie było już z niczym żadnych problemów, choćby nawet kierowca z początku zrozumiał jedynie tyle, że ma do czynienia z cudzoziemką. W środku można już było przejść na rosyjski, aby mieć pewność, że zajadzie się tam, gdzie się chciało.

Pociągi i autobusy nie wchodziły w rachubę już choćby z powodu bagaży, bo wszystkie niezbędne produkty trzeba było kupić w Tallinnie. Na wsi nie mogłyśmy poruszać się tak swobodnie i gorzej tam było z zaopatrzeniem. Poza tym pociągi były zbyt publiczne – za dużo ludzi, za dużo złodziei, za dużo spojrzeń.

Oczywiście i taksówka na wsi za bardzo rzucała się w oczy, aby uznać ją za dobre rozwiązanie, bo tallińskich taksówek na prowincji w zasadzie się nie widywało, jedynie ciężarówki z kołchozów, ale innego wyjścia nie było. Mało kto z naszych znajomych miał prywatny samochód, a i tak mama nie ufała nikomu na tyle, by poprosić o zawiezenie na wieś. Po takiej przysłudze nikt by się już nie zadowolił żadnym prezentem – zawsze chciałby więcej i więcej. Poza im mniej osób wiedziało dokładnie, gdzie się znajdujemy, tym lepiej. Najbezpieczniej i najprościej było więc zamówić taksówkę i dać kierowcy porządną napiwek, czyli zapłacić podwójnie za kurs. Wtedy taksówkarz pomagał zanieść torby i worki na jedną stertę na podwórku przed domem babki i obiecywał, że w umówiony dzień wróci po nas i odwiedzie z powrotem do Tallinna, przypominał też mamie, że może na niego liczyć także później, w każdej sprawie. W jego twarzy widziało się wyraźnie żywe zainteresowanie podtrzymaniem kontaktu z Zachodem.

To jest prywatny świat Anny.

Świat Anny jest tam, gdzie jej mama jest szczęśliwa.

W świecie szczęśliwości wszystkie kobiety chodzą w spódnicach. Dlatego w domu Anna ściąga spodnie i wkłada spódnicę lub sukienkę od

razu po przyjściu ze szkoły. Bo w spódnicy lepiej się czuje. W latach osiemdziesiątych Finki nie noszą spódnic, nie noszą ich też dziewczynki w szkole, i z tego powodu Anna musi się w Finlandii przebierać za Finkę i nosić džinsy, zlewać z tłem, choć w zasadzie nie ma na to ochoty. Raz przychodzi do przedszkola w spódniczce, którą nosi w domu, i pani od razu ją pyta, czy ma dziś urodziny, że aż taaak ślicznie się ubrała.

Nawet w świecie szczęśliwości jest wiele takich miejsc, w których Anna musi się pokazywać w spodniach, tylko że z innego powodu: właśnie po to, aby się wyróżniać, uchodzić za cudzoziemkę. Spódnica jest dozwolona jedynie wówczas, gdy na pierwszy rzut oka wygląda na towar z i m p o r t u , jak spódnica z džinsu. Nie może być jednak za krótka ani za wąska, bo to krój preferowany przez miejscowe dziewczęta. Annie taki krój bardziej się podoba, jest po prostu zjawiskowy, ale publicznie będzie mogła chodzić w czymś takim dopiero piętnaście lat później, kiedy nastoletnie Estonki przerzucają się już na takie same biodrówki ze stretchu, jakie będą nosić ich rówieśniczki z Helsinek, i świat szczęśliwości, prywatny świat Anny, będzie istniał już tylko we wspomnieniach.

To niesprawiedliwe. Że Anna nigdzie nie może się pokazać w spódnicy, choć właśnie w takim stroju czuje się najlepiej. Weale jej się to nie podoba.

Również mama zrezygnowała w Finlandii ze spódnic, kiedy spostrzegła, że dzieci oglądają się za nią i pytają swoje mamy, co to takiego, ta dziwna płachta materiału. W świecie szczęśliwości moja mama też nie może chodzić w spódnicy, bo i ona musi wyglądać na cudzoziemkę.

Spódnicę zakłada się tam, gdzie panuje swoboda i człowiek czuje się dobrze, tak dobrze, jak nigdzie indziej... Gdzie są kocie łby, słońce i śmiech mimo przekleństw i kolejek. Dojrzewające wiśnie i lasy bzów. Niszczące dworki i wiatraki, strzechy z omszałej trzciny, pokiereszowane aluminiowe kotły na pachnących jałowcem podstawkach i drewniane składnice mleka na końcu jesionowej alei.

Mamo, mamo, wróćmy tam.

Sofia Oksanen  
Przełożył Sebastian Musielak

## Katriina Ranne

\*\*\*

Wiersz mieszka w słowach  
ale nie jest słowami  
wiersz to mężczyzna zapatrzony w dal  
który obciął sobie ucho  
dziewczyna smakująca rymy  
jak lizaka: oczy mrużące się raz po raz do śmiechu  
kobieta przemykająca nocą  
do łazienki by sobie popłakać  
Wiersz znajduje oparcie w słowach  
rozpiera się i jest u siebie  
W słowach ma odwagę rozpiąć guziki dżinsów  
pozwala by brzuch znaczony zmarszczkami  
odetchnął  
wiersz zmywa bez koszuli i suszy  
sutki ściereczką do naczyń  
wymachuje przed lustrem biodrami  
w tańcu jak nigdy dotąd  
Wiersz siada na podłodze w samych majtkach i  
przeogląda gazetę rozpoczynając od komiksów na końcu  
czyta o bezdomnych  
czyta o ludziach którzy mieszkają w pierwszej klasie samolotu  
pozuja przed swoimi domami wakacyjnymi w magazynach wnętrzarskich  
wiersz patrzy w okno zabrudzone przez ptaki  
na ulicę gdzie każdy przechodzień jest w drodze do czegoś  
lepszego  
przyciska nos do zimnej szyby



Katriina Ranne

Fot. Marek Sabogal

\*\*\*

Wszystko zaczęło się od jednego zdania. Zawsze wszystko zaczyna się od  
[jednego  
kiepskiego zdania które zapada w pamięć  
albo jednego dobrego zdania które ulatuje ale  
prowadzi do następnego. Wszystko zaczęło się gdy siedzieliśmy na  
[podłodze bez butów

i mówiliśmy a nasze stopy trafiły na siebie i mówiliśmy  
i żadne z nas nie odsunęło nogi. Wszystko zaczęło się  
od jednego tanecznego kroku: nagle tango stało się  
takim seksem, o którym nikt wcześniej mi nie powiedział.

Wszystko zaczęło się nagle. Wszystko zaczyna się zawsze nagle.  
Wszystko zaczęło się równie bez namysłu i równie absolutnie  
jak pies przynosi patyk rzucony mu przez pana. Byliśmy  
dziećmi które bawią się w parku, byliśmy tymi

na których patrzą siedzący na ławkach, ponieważ one nie widzą  
spojrzeń, ponieważ tylko one naprawdę się poruszają.  
Nagle wszystko było proste: byliśmy  
parą obrazów Matisse'a znalezionych na pchlim targu. Nikt nie zrozumiał,

ale ja od razu rozpoznałam podpis. Patrzyłam na  
ciebie. Czy wszystko zawsze zaczyna się od formy  
którą stopniowo wypełnia treść?  
Czy najpierw jest pełna treść, wytryskająca z uderzenia

i dla niej zaczynamy budować formę?  
Wszystko zaczęło się od nienasycecia: spotkałam cię z tym samym apetytem  
z jakim w wieku siedmiu lat zjadłam cały tort Sachera, zdumiona  
że nikt inny go nie chciał.

Nie myśląc o następstwach, nie myśląc o skutkach ubocznych, nie myśląc  
[o tym co inni  
myślą, nie myśląc, że od tego można umrzeć.  
Od tego *można* umrzeć. Ale ja połykałam potężne kawałki,  
usta pełne czekolady, usta pełne szczęścia.

\*\*\*

Jesteś zabawą  
Jesteś zaczarowanym zamkiem w piaskownicy  
Jesteś żeglowaniem w wannie na drugi brzeg oceanu

Jesteś piosenką którą nucę pod wodą w kąpeli  
Jesteś błyszczkiem do ust o smaku truskawki  
który nakładam nawet kiedy sprzątam  
sama w domu  
Jesteś pierścionkiem który znajduję w odkurzaczu

Jesteś zamarzniętym trzepakiem który muszę polizać  
Jesteś huśtawką skrzypiącą na placu zabaw  
Jesteś džinsami które uciskają mnie w pępek  
i dobrze leżą na pupie

Jesteś grą wstępną grą i zabawą  
Jesteś suflerem za kurtyną w chwili niemych myśli  
Jesteś zakładką do książki otwierającą właściwą stronę  
ciągłem dalszym historii

Katriina Ranne  
Przełożyła Iwona Kiuru



Pauliina Rauhala

## OBCIĄŻENI GRZECEM

(fragment)

### Prolog

Oddycha z trudem i trze po pościeli tak, że aż szeleści. Dziś obchodzi urodziny, dziewięćdziesiąte szóste. Wkładam goździki do wazonu na nocnym stoliku, choć wiem, że prócz pielęgniarki nikt ich nie zobaczy.

Mama wspomniała o nim przez telefon, o jego urodzinach, być może ostatnich, któryś kolejny raz być może ostatnich. Znowu rozmawiamy co tydzień, o tym, co łatwe i przyjemne. Wszystko, co trudne, przemilczamy zaś za obopólną zgodą. No, ktoś powinien do niego pójść, obiecałem, choć lekcje trwają do późna, a dzieci czekają jak zawsze. Tata stracił już cierpliwość do własnego ojca, który od dziesięciu lat nie rozpoznaje syna. W rzadkich momentach przejawów świadomości brał go za towarzysza z czasów wojny, wołając za każdym razem z przerażeniem: „Padnij, strzelają!”, dopóki tata się nie schylił lub nie wyszedł.

Dziadek jest tak niespokojny, że trudno na niego patrzeć, o dotyku nie wspominając. Czuję ucisk w gardle i nie wiem, co robić. Żałuję, że przyszedłem. Nie trzeba było. Dlaczego syn człowieczy musi odchodzić tak powoli i w bólu?

Z bezsilności zaczynam śpiewać. Nucę pierwszą pieśń, która mi przychodzi do głowy, gdy patrzę na szeleszczące wychudzone ciało. *O, słodkie miejsce spoczynku na Golgocie wzniesione w Jezusa krwawych ranach – ach, spójrz na nie.* Ku mojemu zdumieniu dziadek natychmiast przestaje pocierać pościel, jak gdyby usłyszał, a to nie zdarzyło się od dawna. Śpiewam dalej, a on nagle otwiera nic niewidzące oczy, z trudem obraca ku mnie głowę i zamglone spojrzenie, i mówi, przerywając co chwilę: Czy to Aaron?... Wróciłeś?... Czy ja... jestem w niebie?

Próbuję odpowiedzieć, lecz on znowu jest gdzieś daleko, teraz śpi, spokojniej. Patrzę na mężczyznę, z którego sił nic nie pozostało i który zbyt długo musi czekać na swą kolej, by wyruszyć w drogę. Lecz Bóg jest tak wielki, a Jego drogi tak niezbadane, że ma On moc i siłę zapomnieć o kolejności i porządku, przepuścić jednych przed drugimi i trzymać na siłę przy życiu tego, który już prawie czterdzieści lat temu myślał, że zbiera ostatnie

źniwa na swym skrawku pola, utrzymywać przy życiu tego, pod którego drzewem ostrze siekiery pokryło się brunatną rdzą, a trzon spróchniał i stał się bezużyteczny, jakby chcąc pokazać, pouczyć.

Dziadek znowu sapie. Trudno zrozumieć słowa. Przepraszam. Popeliłem błęd. Dobry Boże, dlaczego nie mogę prosić o przebaczenie?

Te czasy minęły, uspokajam dziadka, choć nie całkiem rozumiem, co mówi. Możesz otrzymać przebaczenie, oczywiście, już otrzymałeś, obiecuję, choć nie wiem, skąd pochodzi moje poczucie pewności. Głaszczę dłoń pokrytą cienką skórą, z żyłami jak niebieskie strumyki, lecz on nie słyszy tylko jęczy, mnąc pościel. Przepraszam, przepraszam! Oczy poruszające się pod powiekami w tę i z powrotem spoglądają dziesiątki lat wstecz. Gdy zniszczone jest śmiertelne ciało, gdy zdrowie, pamięć i najbliżsi odeszli, dziadek wraca do tego, co ukryte w najgłębszej ciszy. Aaronie, rzeka jest niebezpieczna! Aliiso, byłem surowy! Nie odchodź, Aurooro!

Pielęgniarka wchodzi do pokoju i wstrzykuje płyn do kroplówki. Ma łagodne spojrzenie. Niewiele już pozostało, mówi, a ja z początku myślę, że chodzi o lek. Taisto od wielu tygodni nie jest świadomy, dodaje wychodząc, a są i inne oznaki. Gorączka i urywany oddech. Już nie je ani nie pije. Niepokój, on też jest typowy pod koniec, urojenia, bredzenie i pocieranie palcami.

Nawilżam cienkie, suche wargi wacikami nasączonymi wodą. Lek działa i dziadek się uspokaja. Zastanawiam się, co znaczy być świadomym lub mieć urojenia. Dziadek mnie nie widzi, nie poznaje, tak jak nie widział i nie znał nikogo przez długi czas, lecz musi być jeszcze coś, do czego wraca i w czym żyje, choć wszystko inne w nim już gaśnie. Sprawy, o których nawet śmierć nie pozwala zapomnieć. Sprawy, które on oplakuje odchodząc, aż do ostatniego tchu. Sprawy, które mam uznać za zwykłe urojenia.

Smutek to pęknięcie czasu. Jest strata i jest wcześniej, i potem. Wkrótce stracę dziadka, którego zbyt dobrze nie znam i którego odejścia nie potrafię oplakiwać, lecz tylko błogosławić.

Dziadek zdenerwował się nagle własnymi stratami i jęczy na krawędzi śmierci. Ja jestem przywiązany do własnych pęknięć, tych, które uważałem za wyłącznie istotne, i z wysiłkiem staram się zrozumieć to, co słyszę. Nie potrafię połączyć chwili obecnej i odległej przeszłości, zrozumieć, jak odnoszą się do siebie nawzajem lub do mnie, ale z siłą młota uderza we mnie pewność: to tutaj są pourywane nici, które mam związać na nowo, tu przebiegają popękane drogi i splątane historie, które trzeba odszukać kawałek po kawałek i ponownie połączyć.

Wyciągam z plecaka notes w czerwonej okładce, który pod wpływem impulsu kupiłem wraz z bukietem goździków. Na pierwszej stronie

zapisuję wszystkie te słowa, które zdążyłem usłyszeć, gdyż są one być może ostatnie i mówią więcej niż którekolwiek wcześniejsze. Pod koniec zdań kreślę znaki zapytania i wykrzykniki.

Gdy dziadek śpi, zapisuję pośpiesznie przypadkowe refleksje: Pamięć ma granice, ustalone we wspólnocie. Nie wolno pamiętać zbyt wiele, błędnie lub niewłaściwie. Historia jest zapisana według czyjegós punktu widzenia. Jest opowieść zwycięzców, opowieść ojczyzny, opowieść Białych, opowieść ocalonych, jest opowieść właściwie wierzących, do której wiele rozłamów się nie zmieści i dla której nieodpowiednia, inna osoba reprezentuje tylko zagrożenie, porażkę, stratę lub winę. Opowieść podtrzymuje prawdę, a nie na odwrót. Nie istnieje prawda jako taka. Prawda i władza splatają się ze sobą. Prawda to jak najbardziej możliwe przedstawienie spraw z punktu widzenia własnego lub własnej grupy. Umysł broni się, odrzucając to, czego nie sposób pojąć.

Na trzeciej stronie zapisuję tylko dwa zdania. 1. Królestwo Boże w latach siedemdziesiątych XX wieku było królestwem wyjątkowej łaski i przebaczenia. 2. W laestadiankim ruchu przebudzeniowym w latach siedemdziesiątych miała miejsce największa fala przemocy duchowej w Kościele w czasach pokoju<sup>1</sup>.

Po tych zdaniach muszę zamknąć notes i schować go do plecaka, bowiem parzy już w palce, zdania spoglądają nienawistnie na siebie nawzajem, obruszają się, ściskają pięści i grożą, że się pobiją. Ktoś pohukuje mi o żonie Lota, która obejrzała się i zamieniła w słup soli, a ktoś inny szepcze o prawdzie, która wyzwała.

Mnie nie odrzucono w zborze, lecz u drzwi domu. To zachwiało kruchą rodziną w najbardziej niestabilnym momencie. Jeszcze tego nie przepracowałem. Grzechy ojców spadają na synów w trzecim pokoleniu. Muszę to zgłębić.

Dziadek znów jęczy, a ja biorę go za rękę i wracam do śpiewu. *To tutaj biedny pielgrzym odpoczynek znajdzie i w trudach swych pokrzepi się chlebem niebiańskim.* Dziadek uspokaja się i zasypia. Patrzę długo na jego fioletowe powieki i zapadnięte policzki, i myślę o miłości. Najpierw o tej, która wszystko przetrzyma i nie pamięta złego, następnie o tej, która nie cieszy się z niesprawiedliwości, lecz współweseli z prawdą. Najpierw o tej, która przykrywa wiele grzechów, następnie o tej, która się nie lęka,

---

<sup>1</sup> Laestadianizm to konserwatywny religijny ruch odrodzeniowy w luteranizmie. Ogólną liczbę jego wyznawców w Finlandii ocenia się na około sto tysięcy. Powieść *Obciążeni grzechem* (*Synninkantajat*, Gummerus kustannus, Maaliskuu 2018) została oparta na wydarzeniach, które miały miejsce w latach siedemdziesiątych XX wieku. Laestadianie tworzyli wówczas społeczność, w której obowiązywały surowe prawa regulujące wszystkie obszary życia członków.

ponieważ lęk kojarzy się z karą. Nie przestaje mnie zadziwiać to, jak wiele znaczeń ma miłość.

Siedząc przy łóżku pojmuję, że gdy dziadkowie umierają, są sprawy, których zapomnienie zwycięża nad pamiętaniem. Dobro ogółu zwycięża nad cierpieniem jednostki. Chwała większego nad ranami słabszego.

Zanim wyjdę, przytulam się policzkiem do jego zapadniętej twarzy. Robię to po raz pierwszy w życiu, gdyż w naszej rodzinie nie zwykło się dotykać, a jedynie podawać sobie rękę. Policzek dziadka to tylko szary marszczony papier, przez który przeblęskują spiczaste kości.

Śmierć rozsiewa słodki, wyrazisty zapach. Rozpoznaję go i nigdy nie zapomnę.

Ciepło mojego żywego ciała przenosi się na niego. Chłód jego umierającego ciała obejmuje mnie. Z moich oczu kapie deszcz, który nawilża jego wysuszone bruzdy.

Dziadek kwili niczym małe dziecko.

## Aaron

Wszystko zaczęło się od dnia moich narodzin. Nie wydarzyło się to w domu ani w naszej Wiosce, lecz w nowym szpitalu rejonowym, którego oddania do użytku oprócz matek oczekiwali również samotni mężczyźni. Prezydent wziął Miasto pod opiekę i dał mu w prezencie całą hutę stali i nowe życie, lecz przy okazji spowodował deficyt żon. Sytuacja poprawiła się nieco, gdy pielęgniarki w długich szeregach przybyły do szpitala, aby pomagać i leczyć. Opowiedziała mi o tym babcia Aliisa, która wie wszystko.

Urodziłem się tego samego dnia, gdy Fińska Partia Wiejska (FPW) odniosła przytłaczające zwycięstwo w wyborach do parlamentu. W książce pt. *Co, gdzie i kiedy* jest napisane, że komputery z programem wyborczym wówczas zawirowały. Czytuję książki naukowe, więcej niż inni chłopcy, gdyż chcę zgłębić prawdę. Kocham także tajemnice i trudne tematy oraz eleganckie słowa, i gromadzę je w Zeszytach Ważnych Spraw.

Pojawiłem się w ramionach mamy chudy i siny. Położna musiała trzymać mnie do góry nogami i klepać po plecach, żeby uwolnić śluz z gardła. Ale mimo to mama uważała mnie za najpiękniejszego ze wszystkich dzieci. Taka właśnie jest moja mama, Raakel, najpiękniejsza ze wszystkich mam.

Babcia Aliisa odwiedziła nas następnego dnia z ciotką Auroorą i zrobiła nam zdjęcie dużym aparatem Polaroid. Zdjęcie już pożółkło, lecz wciąż przechowujemy je w grubym albumie. Gdy na nie patrzę, rozumiem, co babcia ma na myśli, gdy mówi o uwięzieniu chwili i zatrzymaniu czasu.

Mama zmieniła mi właśnie tetrową pieluszkę i owija mnie w becik. Ja płaczę tak, że dziaśła się krzywią, a palce u rąk i malusieńkie paluszki u stóp przeczesują powietrze, lecz mama spogląda na mnie łagodnie, aż blask bije z jej twarzy, a ja wiem, że w moim życiu nigdy nie wydarzy się nic złego.

Skąd się wzięło to zwyczajstwo i czy miało coś wspólnego ze mną, pytam dużo później mojego taty, który czyta gazety, siedząc w fotelu. Co, jakie zwyczajstwo, tata pomrukuje, jak gdyby nie usłyszał, a ja znowu tłumaczę o FPW i dziecku w powijakach leżącym na kolanach mamy. A skąd ci to przyszło do głowy, denerwuje się tata, powinieneś już być na tyle dojrzały, żeby zrozumieć, że FPW nie ma z naszą rodziną nic wspólnego. Zwykli oszuści i populiści, poobiecywali, choć wcale się nie znali na nadwyżce masła lub zboża!

A co z komunistami, komuniści byli przecież dużo gorsi, odkrzykują.

No, niestety, i w naszej rodzinie takich nie brakowało, taistoistów, poła należą do wszystkich, a nikt o nic nie dba<sup>2</sup>.

Tata potrząsa głową tak, że aż mu w karku chrupie, lecz wówczas mama krzyczy z kuchennych drzwi, skończyłyś już, nie wszystko jest przeznaczone dla uszu dzieci.

Zaczyna mnie ogarniać złość. Wrzeszczę, że dziadek Taisto nie jest komunistą, jak możecie tak myśleć, dziadek jest wierzący i głosi kazania, dba o podwórze i ogród lepiej niż ktokolwiek, lecz tata wymyka się do prac przed domem, a mama wyciera oczy, spoconą dłonią głaszcze mnie po policzku i wzdycha, lecz nic nie wyjaśnia.

Dziadek Taisto jest ojcem mojego taty. Babcia Aliisa jest mamą mamy. Cieszę się, że mam zarówno rodziców, jak i w dziadkach jakby drugich rodziców.

Dowiaduję się później, że dzieciątko w żłobie urodziło się właśnie na pocieszenie w ponury dzień wyborów, pośród FPW-owców i komunistów, jako gwiazda na ciemnym niebie. Ja byłem znakiem od Boga dla mamy, która patrzyła na mnie z rozpromienioną twarzą i karmiła ciepłym mlekiem z piersi, oraz dla taty, który słuchał radia wyborczego z uchem przyłożonym do głośnika i ze złości sapał jak lokomotywa parowa.

Nie byłem zwykłym dzieckiem. Nie byłem kimkolwiek. Ze względu na mnie babcia Aliisa kupiła nawet magiczny aparat fotograficzny, który wypłuka zdjęcia. Przyszła z ciocią Auroorą do szpitala, aby mnie uwiecznić zaraz po porodzie, choć papier do wywoływania zdjęć jest okropnie drogi. Babcia przyniosła również kartkę, która znajduje się w tym samym grubym albumie obok zdjęcia. *Witam słodką dziecinę owiniętą w pierzynkę.* Tak

<sup>2</sup> Taistości stanowili proradziecką mniejszość w obrębie Komunistycznej Partii Finlandii. Nazwa pochodzi od nazwiska przywódcy frakcji, Taisto Sinisalo.

wykaligrafowała w górnej krawędzi kartki falującym pismem. Na dole kartki jest jeszcze dłuższy wiersz. *W uśmiechu maleństwa jest szczęścia kraina, a złoto najczystsze ma w oczach dziecina.*

Bóg pozwolił, abym zamieszkał nad brzegiem Rzeki, w Wiosce i w Finlandii, w rodzinie wierzących rodziców, którzy jednym głosem oznajmili w stronę Niebios: Pozwólcie dziecku przychodzić do mnie i nie przeszkodzili mu. To jest cud. To jest prawie tak samo niewyobrażalne jak narodziny Jezusa w małym Betlejem, i to jeszcze w stajni. Spośród milionów dzieci to właśnie ja zostałem wybrany i wzięty pod opiekę Boga, dlatego nie muszę bać się komunistów ani bomb jądrowych, ani FPW, ani kryzysu naftowego, nawet ograniczaniem upraw się nie przejmuję ani fabrykami w miastach, gdyż cokolwiek by się nie stało, będę bezpieczny.

Pola przecież nie znikną z Wioski. W encyklopedii jest napisane, że urodzaj zależy od wody. Moja Rzeka to nie byle jaka rzeka, cienka szumiąca wstęga z brzegami po obu stronach. Mieszkan w prawdziwej, żywej dolinie rzecznej, o czym nawet dziadek głosił kazanie, w Północnej Ostrobotni, gdzie dusza odpoczywa w czasach ostatecznych jak w Mezopotamii i delcie Nilu, pomiędzy nowym i starym korytem rzek. Tu krowy pasą się na zielonych łąkach, napełniają żwacze do syta i nie są głodne, tu ziemniaki rosną z szelestem, a nie dokuczają im zaraza ani plaga, lecz wywozi się je w wielkich pojemnikach daleko na rynek i sprzedaje, a i w miastach nie panuje głód. Tu ziemi nic nie grozi z wyjątkiem powodzi i nieposłuszeństwa ludzkiego. O nich mówi się też w Biblii. Na szczęście jednak tęcza jeszcze nie zgasła.

Gdy śpię, śpię spokojnie, gdyż znad łóżka spoglądają na mnie Bach i prezydent Kekkonen. Choć Bach ma podwójny podbródek i perukę z kręconymi włosami, dał mi w prezencie najpiękniejszą muzykę na świecie. Choć Kekkonen ma błyszczącą łysinę i jeszcze większe okulary niż ja, jeździ na nartach szybciej niż ktokolwiek inny i nieprzeciętnie przewodzi krajem. Obaj są prawie wierzący, takie odnoszę wrażenie, są bardziej jak my, niż jak inni, co trudno wytłumaczyć, ponieważ granice są zazwyczaj jasno ustalone, ale w tym przypadku jednak nie całkiem, a i tego nie można powiedzieć.

Gdy nie śpię, też jestem bezpieczny, gdyż ze ściany, ze złożonych ram, patrzą na mnie Luter w berecie i Laestadius w befcie. Obaj mają bardzo smutne oczy, ale nie przeszkadza mi to, gdyż rozumiem ciężar wiary. Nie jest łatwo być tym, który ma za zadanie nawoływać innych do nawrócenia. Nie jest, choćby Bóg tego chciał i dawał siłę.

Oprócz kilimów i dywanów, na ścianach są tylko portrety głów, co oznacza, że w człowieku ważniejsza jest część ponad szyją niż ciało pod

nią, zadaniem ciała zaś jest dźwigać i nosić głowę. Znam miejsce w pokoju, w którym najczęściej twarzy na mnie spogląda, jest to na frędzlach dywanu w paski. Z poważnych spojrzeń powstaje chroniący pierścień, który mnie otacza i nie pozwoli mi się zagubić. Choć czasy są złe i niedługo się skończą, choć Kekkonen musi ciężko pracować, aby utrzymać w ryzach komunistów i FPW, choć Stany Zjednoczone i Związek Radziecki się nie lubią, choć samoloty spadają, a rakiety tylko czekają na naciśnięcie guzika, choć na świecie panuje zimna wojna, ja się nie boję ani nie marznę.

Przeciwieństwem zimnej wojny jest łagodny pokój. Czuję go w sobie. Spływa na mnie z pasji Bacha, których słucham w łóżku z magnetofonowych kaset. Spływa z kazań, które głosi dziadek Taisto, lecz w których jednocześnie słyhać głos Laestadiusa, Lutra, a nawet Pana Jezusa Chrystusa. To chór pojedynczych ust o czterech głosach: w taki sposób je słyszę, te kazania, które pozostają takie same i nigdy się nie zmieniają, kazania, które zabiorą mnie do nieba.

### Taisto

Wiosna zbliża się boleśnie powoli. Wyczuwam wibracje wody i fale wytworzone przez ławice ryb gdzieś głęboko pod lodem, tęsknota ściska pierś w napięty łuk, lecz jedyne co mi pozostaje, to czekać. Spaceruję w tę i z powrotem przy ujściu rzeki i nad brzegiem morza, i wypatruję przez lornetkę, czy powiększyły się na lodzie oczy wody. Są one jednak wciąż leniwie na wpół zamknięte, tak samo śpiące jak i w poprzednie dni.

Nerwy mam napięte. Ciepło z początku kwietnia nadwyrężyło pokrywę lodową, lecz zimno, które po nim nastąpiło, opóźniło topnienie. Na lód nie można już wejść ani wjechać saniami, ale nie da się jednak jeszcze wypłynąć łodzią. Nie zdołam zastawić sieci podczas tygodnia Męki Pańskiej. Męczy mnie to jak choroba. W borze świerkowym rudzik dzwoni srebrnym dzwoneczkiem, a brzozy słuchają jego delikatnego śpiewu, wypuszczając pączki. Mój ból się nasila. W pełnych wody rowach płotki pływają w dwuszeregu, a czasem i szczupaki, tak że można podbierakiem wyciągnąć mnóstwo ryb prosto do cebra. Tylko co ja mam zrobić z płotkami, z całymi ich wiadrami. Zostawiam je na pokarm dla leśnych zwierząt, przynajmniej lisy i jenoty je jedzą, i gnieźdzące się w pobliżu bieliki, gdyż o poranku nie nie pozostaje ze stosu rybek, które wyłożyłem poprzedniego dnia.

Najbardziej tęsknię za pasiastymi okoniami z czerwonymi płetwami, które w tych wodach łatwo osiągają kilogram i więcej. Czuję, jak garbate karki niespokojnie pluszczą pod lodem oczekując ocieplenia wody, aby móc złożyć ikrę i mlecz pod przybrzeżnymi szuwarami. Jedna samica może

mieć dwieście tysięcy jajeczek, które złoży w galaretowatej wstążce wśród wodnych roślin. Młode wyklują się już w przeciągu kilku tygodni, przez co obfitość ryb będzie zabezpieczona na długi czas.

W tym roku postanowiłem zachować cierpliwość, gdyż nie chcę napotykać w domu wzroku, który zna moją słabość i próbuje ukryć rozbawienie. Oj, oj, gdacze kwoka, a to gdakanie szybko staje się nie do zniesienia, jak gdyby zbliżał się drapieżnik, a ja tymczasem pragnę tylko wypłynąć na ryby.

Wiatr kieruje w moje nozdrza zapach okoni z roztopionych części lodu. Łagodny, czysty i morski. Zatrzymuję się na skale nad brzegiem, wdycham powietrze i zamykam oczy. Zapach nie jest ostry ani zbyt rybi, lecz świeży i prawie niezauważalny, a przez to doskonały. Radość i ukojenie przenikają me niespokojne ciało. Pod zamkniętymi powiekami widzę oczy przejrzyste, a nie matowe, skrzela czerwone, a nie szare, w dłoni zaś czuję błyszczącą, śliską warstwę ochronną pokrywającą łuski. Rozdziera mnie tęsknota.

Dłużej już nie wytrzymam. Rezygnuję z postanowienia.

Pójdę do domu i zniosę tę zgrzytliwą kwokę, kwaczącą pardwę czy też ponuro śpiewającego kulika. Muszę zacząć działać, choćby nie wiem co. Zwinąć zimową osłonę z mniejszej łodzi i przyłączyć przyczepę do haka samochodowego. Pojechać na brzeg morza do osłoniętej zatoki, tajnego miejsca wiosennych łowów. Wypchnąć łódź na wody i zacząć orać cienki lód przy brzegu. Gdy się wystarczająco rozpędza, silnik zanurza się pod taflę lodu, lecz dziób unosi się do góry, będzie więc ciąć lodowe bruzdy niczym pług pole. Zrobię tarliska dla okoni. Zrobię słońcu kry do roztopiania. Zrobię otwarte wody do łowienia ryb oraz miejsca na sieci. Zrobię lato i roztopię całe morze!

Nie obchodzi mnie, że grubaśne gospodynie i niemrawi gospodarze przyczłapią nad brzegi ze swych oddalonych krzywych domów, by jak kwoki gapić się, cóż to dudni pośród lodu. Nie obchodzą mnie ich wykrzywione uśmieški, tych kaczek kwaczących, ani dobroduszne uwagi dochodzące sponad silnika do moich uszu. Dokąd się tak śpieszysz w tym gotowym świetle. Do tej pory lato przecież co rok przychodziło i nie potrzebowało pomocy. To pragnienie ryb sprawia, że stary człowiek podejmuje desperackie kroki.

Będę orać lody o poranku i odgarniać kry wieczorem. W każdym dniu roboczym, przez cały tydzień, będę pracować wraz ze słońcem. Podzielimy się pracą, ja będę łamać i siec w kawałki, ono topić. Silnik łodzi będzie mruzczeć pieśni zadowolony, a ja również będę śpiewać. Wiośnie, Bogu i zarybionym wodom będziemy nucić dwutaktem. Każdego dnia lo-



dowa granica będzie się przesuwać dziesiątki metrów w stronę horyzontu. Każdego dnia będę oddalał się od gapiących się na brzegu gęsi i zapomnę o nich. Będę pamiętał tylko o tym, że wkrótce okonie odbędą tarło, wkrótce popłyną stadnie przy ogrzanych słońcem skałach, wkrótce zarzucę tam sieci, wkrótce będę wyciągać ostre łuski z oczek sieci i głąskać czółenkowate stworzenia obiema rękami, wkrótce będę sortować kolczaste skrzelą w cebrach i sam decydować, dokąd je zabiorę.

Tak jak Piotr będę huścić się na falach i prosić o duży połów, tak jak Jakub i Jan będę się modlić o łagodne wiatry, tak jak Marek będę pisać i mówić o pokoju, który wraz z Duchem Świętym zstąpi na niespokojnych rybaków i zmieni zapalczliwość w mądrość, a niepewność w umiejętność przewodzenia. Nie na darmo prześladowani chrześcijanie wybrali rybę na swój znak rozpoznawczy, dwa łuki oznaczające, że Jezus Chrystus jest Synem Bożym i Zbawicielem. Prosta jest moja wiara, o kształcie okonia, tak jak i moja nadzieja i miłość, a choć czasy są złe i stają się coraz gorsze, choć chrześcijan znów zaczyna się prześladować tak jak prześladowano kiedyś, będę bez znużenia zarzucał sieci, rysował na piasku nad brzegiem pojedynczy rybi łuk i modlił się, żeby znaleźli się jeszcze ludzie, którzy zwyciężą swój strach i dopełnią rysunki ryby drugim łukiem, i żeby ta skała, którą Jezus ustanowił jako fundament, mogła być naszym Kościołem.

### **Sprawozdanie z podróży**

Dawno, dawno temu. W ten oto sposób rozpoczynam opisywanie absurdalnej podróży, która być może jest tylko bajką. Gdy wyruszałem, nie sądziłem, jakie będzie ona mieć znaczenie, ani nie potrafiłem się do niej w żaden sposób przygotować. Jeśli ukradłbym pomysł komuś innemu, tak jak zawsze kradnę te najlepsze, zacząłbym następująco: Pewnego razu, gdy miałem 36 lat, ujrzałem na wystawie sztuki piękną rzeźbę.

W notatniku z czerwoną okładką rysuję osły, takie jak ta rzeźba, melancholijne, o bardzo chudych nogach, a unoszące ciężary dwukrotnie większe niż wynikałoby z rozmiarów zwierząt. Pomiędzy rysunkami zapisuję budowę wątku i mapy myśli, to jedno na drugich, to obok siebie. Człowiek powinien zawsze wykorzystywać dany dzień ku czemuś, również wtedy, gdy 1) będąc nauczycielem historii ma obecnie przerwę w pracy w celu przeprowadzenia badań naukowych, gdy 2) pomimo wielkich planów rozpoczął doktorat utknął w martwym punkcie, gdy 3) opowieść skradła miejsce badań oraz gdy 4) opowieść również nie rusza z miejsca.

Zacząłem pisać opowieść o dziadku. Pogubiłem się we własnych przerywanych zdaniach, nie na Saharze, lecz gdzieś na małej wyspie w pół-

nocnym basenie Zatoki Botnickiej. Silnik się zepsuł, a łódź leży na piasku na brzegu, ta, która miała wypłynąć w dal. Czuję, jak gdyby otaczały mnie wulkany, które mogą się na nowo przebudzić, oraz drzewa wypuszczające niebezpieczne korzenie, a które trzeba na czas zrząbać. Nie mam odwagi wysłać ostatniego maila do profesora na uniwersytecie ani odpowiedzieć na pierwszy list z komentarzami promotora koła literackiego, którego słowa przenikają do moich snów i zabierają spokój nocny.

Opowieść jest jeszcze w powijkach. Muszę rozszerzyć zakres tematyki. Bohaterowie są ledwo zarysowani i widoczni tylko poprzez pryzmat tematu. Dziecko wypowiada myśli dorosłego i jest w danej chwili nieobecne. Język jest skomplikowany i odświętny. Głoszę kazania, a należałoby pokazywać zamiast pouczać.

Wyruszam wykonać prace przygotowawcze. Poszukać wyjaśnienia, rozwiązania lub analogii do opowieści o mojej rodzinie. Choć wiem już, że ani ludzki umysł, ani powieść nie dostosują się do schematu wątku i mapy myśli, a po całym wysiłku, po uderzającej falami pewności i żalonym unieważnieniu, w moich uszach brzmi jeden jedyny ponury wiersz. *Choćbym mógłbym Ciebie wołać / śpiewam z zamkniętymi ustami, a dom drży / w wodzie, echo, wielkie ciało nieobecności.*

Próbuję opanować przygnębienie pojawiające się u progu wieku średniego, które pogłębia dwie wyraźne zmarszczki pomiędzy moimi brwiami, a na Jej pięknej twarzy wywołuje cień zmartwienia. Tak, ona jest wciąż moją różą, choć w tych uświadomionych i łatwo obrażających się czasach nie powinno się tak nazywać żony, po niestabilnych latach nadal kwitnącą wiernie pod osłoniętą ścianą podwórza, o mocnych korzeniach i odporną na zimę i cień, taką samą jak miliony innych, lecz dla mnie wyjątkową, a mówię to śmiertelnie poważnie, a bynajmniej – broń mnie Panie Boże – nie szydząc.

Sama chroni się jedynie czterema kolecami, innych natomiast broni z lwią siłą, i mówi bez wahania, że zagubienie się ma sens, a opowieść nie powstanie na darmo, że ludzkie uczucia należy przedstawiać ludzkim językiem, że do zdarzeń należy zyskać perspektywę. Jej wiara jest tak pewna i szczerą, że aż mi wstyd. Patrzy pięknym wzrokiem nawet wówczas, gdy oddają się wyobraźni w zbudowanych przeze mnie ścianach i całkiem zapominam, że są sprawy, o których wciąż powinno się rozmawiać. Puka do mych drzwi każdego dnia, lecz szanuje moją przestrzeń, gdy zatrząskuje drzwiami przed Jej nosem i przekręcam klucz. Nie zamierzam Jej zapomnieć ani stracić podczas podróży, pomimo że stałem się podejrzliwy i sceptyczny, piszący o ziemskiej miłości z dużej litery, a o niebiańskiej z małej, zmazując i rozmazując litery w tę i z powrotem, nie potrafiąc określić hierarchii między erosem i agape.

Lis przychodzi do mnie w najbardziej desperackim momencie. Nie jest małym białym fenkiem pustynnym, lecz dużym rudym lisem, od czasu do czasu wchodzącym na terytoria ludzi i ślicznie przemawiającym. Ma liczne nory. W jednej z nich dorastają młode, a pozostałych używa do innych celów. Nory i łączące je tunele tworzą skomplikowany labirynt.

Choć jest tu zupełnie obcy, lisowi udaje się otworzyć moje drzwi. Naciska klamkę i wchodzi do środka tak, jakby wcale nie było zamka. Z łatwością odsuwa zasłonę na oknie, zasiada w moim fotelu i beztrudnie zakłada nogi na poręcz. Odczuwam strach na widok brunatnego blasku, lecz uspokajam się, gdy widzę przyjazny uśmiech lisa i postanawiam zaparzyć dla nas kawę. W szafce znajduję trzy czekoladowe herbatniki i marchew, które dzielimy po połowie, i jedząc rozmawiamy o pięknie wyrzekania się i o smutku, o wyrzekaniu się ze względu na wiarę i wyrzekaniu się wiary.

Mówimy do siebie trafiającymi do serca, acz nieistniejącymi słowami, słowami o różnych kształtach i szorstkich obrzeżach, gdyż stary świat się zawałił, a nowy się jeszcze nie pojawił, gdyż obrazy nie kształtują się wyraźnie, pojęcia nie tworzą całości, a długa wskazówka skacze dookoła w narastającym tempie. Lis ściska mnie na pożegnanie. Pachnie mokrym lasem i sosnową żywicą. Wydaję z siebie cichy okrzyk. Gdy gość odchodzi, jadę do sklepu z narzędziami, przekraczając dozwoloną prędkość, kupuję najmocniejszy zamek i zakładam go do drzwi jeszcze tego samego wieczoru. W nocy, przejęty, zapisuję wiele nowych kartek opowieści dla Auroory.

Mały chłopczyk, me wewnętrzne dziecko, również przychodzi i mówi, stawia żądania. Wraca do mnie zawsze wtedy, gdy go najmniej oczekuję, ciekawski i potrzebujący. Ma w sobie niezaspokojony głód prawdy i miłości, pragnie iść naprzód i chce wyjechać na koniec świata, choć za każdym razem mu powtarzam, że tutaj blisko wszystko jest teraz dobrze, trzeba się tylko dostosować. Chłopiec zabiera mnie ze sobą, a ja podróżuję wówczas po czasie i historii, do przeróżnych ludzi, choć tak naprawdę nie jest mi dobrze wśród obcych ani nie potrafię prowadzić naturalnych rozmów, a po pobieżnych spotkaniach czuję, że wybuchnę i muszę wybiec po małych ścieżkach w głąb lasu lub pojeździć na nartach po lodzie aż do białej pustki.

Chłopiec ma irytujący zwyczaj przychodzić i prosić właśnie wtedy, gdy moja rodzina mnie najbardziej potrzebuje. Zamieniam się wówczas w połowę człowieka, nieobecnego dla tych, którzy najbardziej zasługują na moją całkowitą obecność. Z delikatnością piszę o innych rodzinach i małżonkach, a sam dla swoich bliskich jestem niecierpliw. Staję się wobec nich niemy, a wyruszam rozmawiać z obcymi. I chociaż widzę, że oddalenie nam szkodzi, i odchodząc proszę o wybaczenie, to jednak opuszczam ich,

a oni muszą dawać sobie radę beze mnie. W czasie mojej nieobecności nie znajduję tego, czego szukam, wracam zmęczony i sfrustrowany, i łatwo wpadam w gniew.

Wyruszą w podróż, a odchodząc proszę zawsze, żeby ci, których zostawiam, wytrwale na mnie czekali. Wiem, że proszę o zbyt wiele. I wiem, że na ich miejscu nie dałbym rady, poddałbym się.

### Aliisa

Postawiła rower przy zaśniewanej bramie. Pakunki wyjęte z rowerowego koszyka ciążyły jej w rękach. Ciężała jej także niepewność, lecz nie było wyboru, musiała iść. Sroka wskoczyła na brzozę na podwórku i zaskrzeczała złowieszczo. Kołatka w drzwiach była stara, ozdobna i wykonana z kutego żelaza. Jej górna część miała kształt lwiej głowy.

Drzwi otworzyła Eeva, cicha i bojaźliwa żona, którą pojawienie się Aliisy wyraźnie zaniepokoiło. Eeva była zawsze w stosunku do niej taka jak do innych, może nieco oschła, lecz przecież życzliwa. Ten niepokój wynika zapewne z choroby, domyślała się Aliisa, że stawów zniszczonych reumatyzmem ograniczającym ruchy i z zaburzeń rytmu serca, przez które trzeba często odpoczywać.

Proszę, oto trochę ciemnego chleba, powiedziała Aliisa. Rano upiekłam. Przyniosłam też snopek owsa dla ptaszków na podwórku. Nie będę wam długo zawracać głowy, ale mam sprawę do Taista. Gdzie on może być?

Rąbie drwa w szopie, mogę iść go zawołać, zaproponowała Eeva, choć jej oczy spoglądały nerwowo.

Słysząc uderzenia siekiery, odpowiedziała Aliisa. Nie trudź się niepotrzebnie, sama pójde, jestem już ubrana.

Aliisa przystanęła koło szopy, nasłuchując. Taisto śpiewał przy pracy pieśń religijną. Wysoki tenor dobrze radził sobie z ozdobnymi elementami melodii. Uderzenia siekiery jaskrawie kontrastowały z czystym śpiewem. Aliisa poczuła nagłą czulość do Taista i do wiary tego człowieka pracy. Oby był to dobry znak.

Weszła do środka bez pukania. Taisto przerwał pieśń i pozdrowił ją, lecz nie od razu przerwał pracę. Grzejnik szumił w rogu szopy. Połana brzozy były ustawione w obwódce z dętek samochodowych. Mężczyzna rąbał bez trudu wiele drewna po kolei. Siekiera podnosiła się lekko i trafiała bez pomyłki.

Dobrze ci idzie, pochwaliła Aliisa, masz siłę do pracy.

Co masz zrobić jutro, zrób dzisiaj, mruknął Taisto, a po jego twarzy przemknęło zadowolenie. Od przybytku głowa nie boli.

Może byśmy jeszcze spróbowali porozmawiać, zaproponowała Aliisa głaszcząc dłonią równą krawędź stosu drewna. Aby nad gniewem nie zaszło słońce.

Muszę jeszcze dużo rąbać na zimę, nie tę, rzecz jasna, lecz na kolejną, drwa powinnyostać ponad rok i porządnie wyschnąć, aby się rozpałyły bez dymienia. Wzrok Taista był utkwiony w drewnianym stosie.

Przecież i wcześniej bywało, że się ze sobą nie zgadzaliśmy i jakoś to rozwiązywaliśmy, Aliisa podjęła próbę. Wtedy gdy Jalmari jeszcze żył. Jak również po jego śmierci.

Do chlebowego pieca schodzi siedem bloków drewna podczas lekkiej zimy, a dziewięć podczas mroźnej, gdy nastawia się kaloryfery na słabe ogrzewanie, a temperaturę na osiemnaście stopni. Zawsze trzeba być przygotowanym na mróz. A do sauny potrzebne są trzy kolejne bloki.

Aliisa ostrożnie zbliżyła się o parę kroków i mówiła dalej.

Ale wcześniej tak nie było. Z dziesięć lat temu pod koniec lata wiosłowaliśmy nocami razem, wszyscy z wioski. Zarzucaliśmy i podnosiliśmy sieci, gotowaliśmy raki w wielkich garach, i jedząc śpiewaliśmy pieśni ludowe. Na domowe spotkania modlitewne mógł przychodzić, kto chciał.

Na szczęście mamy własny lasek brzoźowy. Z jednego średniego drzewa wychodzą dwa metry przestrzenne, gdy wliczy się też gałęzie, powiedział Taisto, podniósł ostatnie drwa z podłogi i obrócił ciężą powierzchnią do góry. Stos był prosty i równy, choć niepodparty dodatkowymi palami.

Odpowiedz mi, poprosiła Aliisa.

Taisto obrócił się wreszcie, lecz pod czarnymi brwiami widać było oburzenie.

Czemu nie powiedziałaś, że ten bezbożnik, ten Juhani, zostawił Auroorę i odszedł?

To nie jest ogólnie dostępna informacja.

Właśnie, zawsze uważałaś, że grzech jest sprawą prywatną, odpowiedział Taisto, a w jego głosie dało się wyczuć urażony ton.

Auroora ma się już nieco lepiej, stwierdziła ugodowo Aliisa.

Dobrze słyszeć.

Ale co do tych reguł, ciągnęła Aliisa. Nie o to chodzi w nauce luterkańskiej, żeby co chwila ogłaszano coś nowego. Przeciwnie temu właśnie walczył Luter: papież i sobory przeczyli sobie i wiele razy się pomylili.

Nie udawaj mądrej i uczzonej. Musimy być posłuszni słowu Bożemu w naszej wspólnotce. To w niej, w królestwie Bożym, Duch Święty ogłasza opinię Ojca Niebieskiego na temat bieżących spraw.

Należy powrócić do Biblii. Dziesięć przykazań i złota zasada postępowania, kazanie na górze i trzeci rozdział Ewangelii Jana. Tego wspólnota potrzebuje, a nie własnych dodatków do Biblii.

Taisto rozciągnął rękę za karkiem i robiąc krzywy grymas, ziewnął.

Wspólnota Chrystusa jest zbudowana przez Niego. Jeśli zaczniemy ją oceniać, kogo wówczas tak naprawdę będziemy krytykować?

To brzmi niebezpiecznie, odpowiedziała Aliisa. Jeśli nie oddasz czci złotemu posągowi, znajdziesz się w rozpalonym piecu.

Dobrze wiem o posągu króla Nabuchodonozora. Ale ty znowu przekraczasz. Mężczyźni, którzy odmówili oddania czci posągowi, byli wierzący: Szadrak, Meszak i Abed-Nego. Oni nie chcieli brać wzoru z tego świata, tak jak i my teraz nie chcemy. O to chodzi. Bóg dał im siłę do słusznego działania w tej potwornej sytuacji.

Obawiam się, że stawiamy obecnie złoty posąg, który nazywa się bóg wspólnotowy. Chrystus pozostaje na uboczu, odpowiedziała Aliisa.

Gdzie jest pokora i posłuszeństwo, tam nie ma niepokoju i zbłądzenia, powiedział Taisto i pokręcił głową. Następnie znów odwrócił się i zaczął rozwieszać narzędzia na ścianie szopy. Najwyraźniej były tam miejsca dokładnie przeznaczone dla pił, nożyc i kos.

Przecież Jezus zakazał usuwać chwast z roli, przypomniała Aliisa. Ostrzegł, żeby przy zbieraniu chwastu nie wyrwać razem z nim i pszenicy. Należy obojgu pozwolić rosnąć aż do żniwa.

Czas żniwa jest teraz, stwierdził Taisto i zdjął z haka wygięty sierp. Jutrzenka powrotu Chrystusa zajaśniała już pośród ciemności. Pracownicy Pana ciężko pracują na klepisku, aby uratować dusze, zanim będzie za późno.

My, omylni ludzie, nie potrafimy, ani nawet nie jest nam dane, określać granic Bożego królestwa. Nie możemy wiedzieć o wszystkich, którzy należą do Chrystusowego Kościoła, rozciągniętego ponad historią i tym światem.

Och, ciemność i zbałamucenie! Sierp wysunął się z ręki Taisto i uderzył z hukiem o stojącą niżej strzędziarkę.

Aliisa nie mogła się poddać.

Luter pisze, że przekłeta taka miłość i jednomyślność, przez którą słowo Boże okraja się z treści wiary. To duża różnica, czy wiara jest oparta na strachu, czy na rozumieniu sercem. Na ciężarach ustanowionych przez ludzi, czy na miłosiernym Bożym pokoju.

Wzywam cię ten ostatni raz, abyś spokorniała, powiedział powoli Taisto i podniósł sierp z podłogi. Królestwo Boże obędzie się i bez nas, ale my słabi nie jesteśmy w stanie walczyć bez tej ochrony, którą ubogim chrześcijanom na ziemi daje świętych obcowanie.

Grozisz mi wydaleniem ze wspólnoty?

Nie ode mnie to zależy. Inni również zauważają i komentują. Żał mi rodziny i dlatego patrzę przez palce na to, co robisz.

Żółte światło w szopie padło na ostrze sierpa, które było skośne na górze i równe na dole. Krótki i gruby drewniany uchwyt był jak gdyby rzeźbiony pod rękę Taista.

Pragnę z całego serca, żeby tak się nie stało. Może moglibyśmy oboje się nieco porozumieć. Mamy wspólne wnuki. Niech ich dobro będzie najważniejsze. Pomyślmy o tym jak o pielęgnowaniu ogrodu: Ty umiesz budować idealnie piękne światy, gdzie każdy szczegół jest na miejscu. Ja tylko chodzę po lesie, a mój ogród rośnie jak rośnie. Doceniam twoją precyzyjną pracę. Lecz jednak pytam, czy do Stworzyciela nie da się również zbliżyć rosnąc dziko, a nie tylko w zaplanowanym porządku?

Brak wykończenia, tu właśnie leży twój problem, odpowiedział Taisto. Zagony porastają chwastem, a na grządkach pojawia się pokrzywa, sam widziałem. Przez twoją liberalną postawę rodzina jest w niebezpieczeństwie. Powinniśmy się obawiać i kochać Boga. Bojaźń Boża jest początkiem mądrości.

Mówisz o Bogu czy o sobie? Być może jedno z drugim ci się myli?

Ostrze sierpa machnęło w powietrzu. Nie w pobliżu Aliisy, ale jednak machnęło.

Zamilcz, kobieto! Wstydz się, poganko i celniku! Wynoś się z mojego domu, Nierzędnico z Babilonu i Belzebubie!

## List

*Droga Aliiso!*

*Podczas nadzwyczajnego zebrania kierownictwa Wspólnoty Pokoju dwudziestego szóstego lutego 1979 r. przyjęto i wpisano do protokołu wnioski wynikające z narady zboru, a które niżej podpisany jest zobowiązany Ci przekazać i niniejszym z ciężkim sercem to czyni.*

*Podczas zebrania omawiano sprawy wspomniane w zaproszeniu: przywiązanie do innych ludzi, duchowość ekumeniczną, nieprawowierność, przynależność do protestanckiego chóru kościelnego i protestanckiej grupy charytatywnej. Z bólem i smutkiem doszliśmy do wniosku, że popierasz takie postawy, chociaż z serca ostrzegano Cię przed nimi wiele razy.*

*Stwierdzono, że spotkania organizowane przez kościół luterński oddalają od żywej jedności w naszej wspólnotcie. Dotarło do nas wiele przykrych informacji o tym, że poprzez takie spotkania nasze wewnętrzne*

*sprawy dochodzą do uszu świata. Są one więc nie tylko niewłaściwe, lecz również bardzo niebezpieczne dla życia wiary.*

*Zostałaś pisemnie zaproszona na zebranie, lecz nie stawiałaś się na nie. Podczas zebrania stwierdzono jednomyślnie, że przez swoje własne działanie odstąpiłaś od członkostwa we wspólnocie, o czym niniejszym pisemnie Cię zawiadamiam. Głęboko bolejąc nad nieszczęściem, które Cię spotkało, wspólnota w duchu modlitwy wyczekuje otrzymania przez Ciebie łaski pokuty.*

*Pozdrawiając Cię, oświadczam, a ufam i wiem, że wszystkie dzieci Boże zgadzają się z tym w swoich sercach: serce Ojca Niebieskiego wciąż płonie miłością, a Matka Wspólnota z otwartymi ramionami przyjmie zagubione dzieci, które żałując powracają.*

*W imieniu Wspólnoty Pokoju*

*Taisto Kallio*

### **Auroora**

Nie w wijącym się w parku zaułku brzozowym ani nie w kawiarni pachnącej świeżym chlebem, nie na starych kamiennych schodach kościoła ani nie na uroczym mostku nad rzeką nagle Cię zauważyłam. Stoję na rogu za stacją autobusową obok wykrzywionych znaków drogowych, na chodniku, z którego jeszcze nie usunięto piasku nasypanego zimą, gdy Ty bez ostrzeżenia kroczysz po drugiej stronie ulicy w moją stronę. Zamieram w miejscu i nie mogę już odwrócić głowy.

Nie zdążyłam Ciebie nawet szukać, dopiero co dojechałam do obcego miasta, a Ty już pojawiaasz się jak fruwający ptak lub jak statek na horyzoncie. Sukienka w niebieskie kwiatki jest jeszcze w mojej torbie podróżnej, czemuż nie założyłam jej przed wyjściem z domu, w zwykłych dżinsach i wypłowiałej wełnianej kurtce spotkam Cię ponownie, ze zmierzwionymi włosami spiętymi na szyi w kucyk.

Już z daleka Cię, rzecz jasna, rozpoznaję, wyraźnie nakreślony jasny obiekt na zamazanym i nieistotnym tle, obiektyw moich oczu koncentruje się na Tobie. Patrzę w tajemnicy. Twa postać jest niewielka, lecz rośnie powoli, w miarę jak się przybliżasz. Zatrzymujesz się na światłach i przeczesujesz dłonią długie włosy, owszem, ja też myślę, że czerwone światło trwa zbyt długo, i tak, mogłabym znów ułożyć Ci włosy, przeczesywać je palcami tak długo jak tamtego razu.

Kroczysz żwawo w znanej mi lekko pochylonej pozycji, stopy stawiasz nieznacznie na zewnątrz, kołyszysz ramionami po nieco skośnej linii, masz na sobie tę samą jasnobrazową zamszową kurtkę i wytartą skórzaną



teczkę, nigdy bym ich nie zamieniła na inne i odczuwam ulgę na myśl o tym, że Ty też nie.

Idziesz beztrzesko i nie wiesz jeszcze, że mnie widzisz. Nie masz pojęcia.

Rozmawiasz i śmiejesz się, a ja badam każdą falę dźwiękową wyłapywaną przez moją błonę bębenkową. Twój głos jest wciąż tak niski jak wcześniej, a śmiech delikatny, ale czy przy mnie kiedykolwiek śmiałeś się tak długo? Słyszę muzykę z klarowną melodią, w niej brzmi coś starego i coś nowego, coś znajomego i głębokiego, a zarazem nieznanego i lekkiego, ale czemu śmialiśmy się zawsze tak krótko?

Nie rozmawiasz ani nie śmiejesz się sam, zaczynam to pojmować, lecz nie mam czasu zauważyć nikogo innego. Patrę tylko na Ciebie. Na Twe brwi, Twe policzki, Twój podbródek. W takiej właśnie kolejności przesuwałabym po nich swą dłoń.

Wciąż rośniesz, a Twe włosy falują na wietrze to po jednej, to po drugiej stronie. Lśnią w przenikającym przez gałęzie drzew słońcu. Wpatruję się w rytm Twych kroków i tańczące w Twych włosach światło. Słucham niskiego dźwięcznego śmiechu, który rozchodzi się po drutach telefonicznych i przenika do ulicznych lamp. Miasto pulsuje w rytm Twego chodu, tak jak i moje serce. Ulica faluje pod nogami Twoimi, pod moimi.

Temperatura wzrasta. Powietrze paruje i drży. Rośniesz, stajesz się bardzo duży, wiele wyższy niż wcześniej, głową sięgasz do czubków drzew, a Twój cień pokrywa całą szeroką ulicę. Echo Twych kroków odbija się od kamiennych ścian domów. Ptaki przestają fruwać i śpiewać, te skowronki, co dopiero powróciły. Drzewa poruszają się niespokojnie i wyciągają gałęzie, bezlistne brzozy, wsadzone w prymitywne dziury w asfalcie.

Zdażyłam się już przestraszyć, że mnie miniesz, próbując krzyknąć coś do Ciebie, ale nic nie przychodzi mi na myśl, nie znajduję żadnych odpowiednich słów, mam pustkę w głowie. Dopiero przechodząc obok mnie, odwracasz wreszcie wzrok. Włosy się kołyszą. Światło i śmiech gasną. W mgnieniu oka.

Koniec wszystkiego trwa krócej, niż myślałam.

Patrzysz na mnie tylko przez małą, konieczną chwilę.

W Twych oczach widzę wyłącznie zdziwienie i poirytowanie.

Prawie niezauważalnie potrząsasz głową.

Małeńki jej ruch zwiększa prędkość obrotu całej kuli ziemskiej, a ja muszę złapać się za pień brzozy. To jest jak gdyby przybrzeżne wody falowały w tę i z powrotem. Jak mała łódź wśród ogromnych fal. Jak drzewo wyginające się na wietrze aż do ziemi. Jak ciężkie wahadło wielkiego Bożego zegara. Jak ostrze kosy łapczywie ścinające śmierć.

Słońce traci blask, gwiazdy rozbijają się w gasnące wiązki światła, obumierające planety znikają za horyzontem, burza magnetyczna i cząsteczki tlenu barwią atmosferę na krwistoczerwony kolor.

Odwracasz wzrok.

Nie zatrzymujesz się, idziesz dalej.

Prowadzisz pod rękę tę drugą, która kroczy koło Ciebie i nie zdąża mnie zauważyć.

Pauliina Rauhala  
Przełożyła Dorota Kyntäjä

Fot. Sebastian Musielak



Kościół klasztoru św. Brygidy w Naantali

## Riina Katajavuori

\*\*\*

Mama ma ogromne okulary.  
Zasłaniają połowę twarzy.  
Widzi przez nie, czy jest mi źle.  
Zadaje pytania, na które czekam.  
Okrywa i słucha.

Mama ma oczy na plecach.  
Widzi nimi,  
że dotknęłam waty szklanej  
i założyłam worek foliowy na głowę.

Gdy mama zdejmuje wielkie okulary, kurczy się.  
Jest zmęczona i wzdycha na brzegu wanny.  
Nasłuchuję uważnie jej westchnień.  
W nich ocean uderza o ciemne urwisko.

Z tomu *Jaś i Małgosia (Kerttu ja Hannu, 2007)*

## MAMUSIA

Mamusi, mamusi dzwonicz do mnie właśnie teraz,  
gdy śpieszę się.  
Zazwyczaj się śpieszę.  
Śpieszę do pracy na tramwaj do wyjścia na zebranie  
do siłowni na imprezę.  
Jestem tu w środku. W środku życia.  
Mamusia na życia obrzeżu dzwoni i potrzebuje.  
Mamusia przebiera palcami i przeciąga, mówi o niczym,  
gorączkowo próbuje wymyślić, co by jeszcze powiedzieć.  
Moje kroki stukają o ulicę, milczę,



Riina Katajavuori

Fot. Veikko Somerpuro, Tammi

daję przestrzeń, która jest pustką  
prawie niczym.  
Nic nie daję, nie zdążę.

To znany schemat.

Mamo kiedy wrócisz  
Mamo czy wrócisz już zaraz  
O której wyjdiesz  
Ile godzin ci to jeszcze zajmie  
Czy wrócisz zanim zasnę

Mama pachniała perfumami,  
Chanelem piątką,  
ubrana w aksamitną kurtkę,  
na policzkach jedwabny szal.  
Mama była zdolna, ważna,  
umiała radzić sobie w życiu,  
w środku życia,  
w środku ważnego życia,  
umiała mówić, kochać,  
umiała przestraszyć, była odważna,  
mówiła publicznie na głos,  
kupowała bieliznę,  
pracowała, siadała na skraju łóżka  
gdy wracała do domu po pracy, podróży,  
spotkaniu, spacerze, imprezie,  
zdejmowała stukające buty,  
chłodny jedwabny szal,  
Mamusia.

## MAMA

Stara kobieta mówi o mamie i wiem, że ona jej nie ma  
takiej,  
mama jest jakąś skamieniałością  
jakimś marzeniem

jakaś modelką w stylu pin-up  
jakaś kochaną zawsze dobrą  
kołysanką

nie tą która nakrywała do stołu,  
choć to właśnie było ważne

mama jest jakaś syrenką  
jakaś ostatnią lampką czerwonego wina  
i uśmiechniętymi ustami  
życzeniem dobrej nocy na skraju łóżka  
jakimiś aksamitnymi spodniami  
biodrami w kształcie muszli  
kimś kto się uśmiecha  
wiadomością na WhatsAppie  
która swym strachem  
zapobiega lawinie śnieżnej  
i upadkowi samolotu.

Niech żyje stara matka  
i niech żyje ta która mamy już nie ma,  
która właśnie dlatego wspina się na scenę  
by mówić o swej mamie,  
graweruje w kamieniu wyrażone przez mamę od niechcenia słowa,  
gdyż każda mama to totem który wpatruje się w morze

Kroczę po piaszczystym brzegu wyżłobionym przez fale  
podczas chłodnego marca  
miesiąca urodzin mamy

Kroczę wzdłuż skraju wody  
nie chcę żeby zmokły mi nogi

powtarzam  
nie chcę mieć mokrych nóg,  
nie chcę marznąć bez mamy

i jako dorosła wówczas ostatecznie dorosła  
nie wiem jeszcze że  
na pewno będę umieć (skoro muszę)  
i nie chodzi o to

jak to jest gdy jest ciężko  
bez ciebie  
która jesteś słowem mama

*Z tomu Świat przewrócony przez wiatr (Maaillma tuulenkaatama, 2018)*

Riina Katajavuori  
Przełożyła Dorota Kyntäjä



Fot. Julian Kotelba

Sastamala, kościół Tyrvään Pyhän Olavin kirkko

Salla Simukka

## BEZ ŚLADU\*

(fragment)

### Rozdział pierwszy

Emmi przemyślała wszystko dawno temu i od samego rana działała zgodnie z wytyczonym planem. Był ciepły, majowy dzień, piątek.

– Co ty tam dzwigasz w tym plecaku? – zdziwiła się mama, kiedy Emmi zeszła na śniadanie i opadła na krzesło. Przed nią dymił talerz z owsianką.

– Mamy dzisiaj jakąś spartakiadę czy coś i musiałam spakować ciuchy na wuef – odpowiedziała Emmi, ziewając.



Fot. Anni Reenpää

Salla Simukka

W rzeczywistości upchnęła do plecaka puchowy śpiwór, ciepłe ubrania, konserwy, suchy prowiant i parę gazet. Zamierzała przetrwać z tym wyposażeniem przez następną dobę albo nawet dwie. Jeszcze się zobaczy.

– Dzień sportu całej szkoły, tak? – zapytała mama. – Myślałam, że już od dawna nie robią takich rzeczy.

– No... Właściwie każda grupa będzie się zajmować czymś innym – wyjaśniła Emmi.

Miała nadzieję, że mama nie zapyta, co będą robić. Trudno by było wymyślić coś odpowiedniego akurat dla nich. Bo rzecz w tym, że dla jej grupy nic nie jest typowe.

Było jej wstyd, że ma piętnaście lat i jest Potencjałem.

Dobrze wiedziała, co oznacza Potencjał. Tak naprawdę – nic.

\* Oryginalny tytuł: *Jäljellä*, Tammi 2012.

W gruncie rzeczy tacy jak ona nie powinni w ogóle istnieć, ale wciąż jeszcze tworzyli osobną grupę. Z dopiskiem: „Tymczasowo”. Potencjał znaczy tyle, co luzer i wykołajeniec.

Rodzice mówili kiedyś, że za ich czasów w szkole były podziały na klasy według rocznika. Nauczanie zindywidualizowane, oparte na różnicach osobowościowych, zajmowało tylko część godzin w tygodniu. A teraz do podziałów dąży się już na poziomie przedszkola i na to, kto w jakiej znajdzie się grupie, wiek nie ma większego wpływu.

Kiedyś szkolni psychologowie ją zapytali, do jakiej grupy chciałaby należeć, gdyby miała wybór. Głupie pytanie, bo przecież nie ma wyboru. W końcu wszędzie wokół trąbią właśnie o tym, jak ważna jest osobowość i jak to ona decyduje o odpowiednim programie nauczania.

Jedno jest pewne, nie chciałaby się znaleźć wśród Dramatyków. Ci to wszędzie odprawiają występy, wywewnętrzniając się, są kreatywni i artystyczni, i robią wokół siebie dużo szumu. Dramatyków nie można ograniczać, należy dać im przestrzeń do swobodnej autokreacji. W szkole są męczący i hałaśliwi, i należy ustępować im z drogi.

Nie chciałaby też dołączyć do Intelktualistów, którzy obnoszą się ze swoją bezbrzeżną wiedzą. Gardzą każdym, kto nie przeczytał tyle, co oni. Pograżają się w zapalczywych dyskusjach na tematy, o których Emmi nie ma zielonego pojęcia.

I właściwie nie chciałaby też być jedną z Atletów, Numeryków, Introwertyków, Analityków, Sentymentyków ani Aktywistów. Ani znaleźć się w żadnej innej z tych grup, które wydawały się jej dziwnie podejrzane. I które wyodrębniano zawsze wielką literą, ponieważ „obszar osobistych zdolności jest kwestią równie szczególną jak własne imię”. Emmi te duże litery kojarzyły się raczej ze znakami firmowymi.

A mimo to było jej wstyd, że jest Potencjałem. Piętnastoletni Potencjał to jedno wielkie dziwadło. Do tej pory powinna już znaleźć sobie tę właściwą grupę.

Na domiar wszystkiego nawet jako Potencjał czuła się naprawdę do niczego. Była jak ta nieposolona kasza z jej talerza. Zero koloru, zero smaku, zero osobowości. Nic dziwnego, że na widok Emmi psychologowie zaczęli kręcić głowami i powtarzać pod nosem, że chyba jednak powinna pozostać jeszcze wśród Potencjałów. I tak z roku na rok.

W szkole zresztą też hasło „Emmi Aalto” nikomu nie mówiło. Że kto? Jaka Emmi? Ale po tym dniu wszystko się zmieni. Stanie się przynajmniej dziewczyną, która zniknęła i której poszukuje policja.

– Co, nie smakuje ci? – mama spojrzała na nią pytająco znad płachty gazety.



Emmi przelewała łyżką kaszę z jednej strony talerza na drugą.

Dwa lata temu mama doznała kolejnego żywieniowego objawienia i zbkikowała na punkcie diety możliwie jak najbardziej bogatej w owoce. Wcześniej na pierwszym planie występowały multiwitaminowe batony stworzone według zasad zdrowego żywienia. Jeszcze wcześniej – jedzenie zgodnie z teorią koloru.

– Jedz, jedz, będziesz silna – rzuciła i powróciła do lektury.

Tak naprawdę wcale jej nie interesowało, czy Emmi je, czy nie. Musiała tak mówić, bo to było przypisane do jej roli dobrej matki.

Emmi zjadła, chociaż kasza zupełnie nie miała smaku. Ale już lepiej zniknąć z pełnym brzuchem.

Mama zagłębiła się w jakimś artykule. Na jej czole pojawiły się głębokie zmarszczki, jakby się czymś martwiła. Wyglądała trochę staro. Emmi pomyślała, że ona pierwsza zacznie się niepokoić, gdy starsza córka nie powróci do domu. To mama będzie dzwonić do szkoły i jej znajomych, a na końcu – na policję. Kiedyś, przed laty, były sobie bardzo bliskie i Emmi o wszystkim jej opowiadała. A mama, ślicznie uśmiechnięta, głaskała ją po głowie i zaplatała jej piękne kłosa. Za to teraz wiecznie się gdzieś spieszy i myśli tylko o swoich sprawach. Często patrzy na Emmi tak, jakby jej nie widziała. Jakby jej w ogóle nie było.

Zresztą Emmi domyślała się, że mama też się wstydzi swojej beznadziejnej córki. Nigdy nie powiedziała tego wprost, ale takie rzeczy łatwo wyczuć. Przestała z nią rozmawiać o szkole. Czasami, niby przez przypadek, próbowała wydobyć z Emmi jakieś zdolności, jakąś szczególną umiejętność. Pytała na przykład, czy Emmi postrzega cykl roczny w postaci kalendarza ze zdjęciami, ważnych wydarzeń, zmian pogody czy biegu czasu.

Każdy jest na swój sposób utalentowany.

Każdy jest ważny.

Każdy jest gwiazdą.

Tak mówią. Mama też w to wierzy. Ale Emmi nie jest gwiazdą ani nie ma żadnych talentów. Jest za to porażką swojej mamy. Schyliła głowę, gdy poczuła, że robi jej się gorąco pod powiekami.

Teraz cała uwaga mamy skierowana była na jej młodszą siostrę, siedmioletnią Millę. Milla jest Dramatyczką. To stało się jasne już w przedszkolu. Z kolei tata może godzinami rozmawiać ze starszym bratem Emmi, siedemnastoletnim Lassem, który, zdaniem wszystkich, jest nieprzeciętnie inteligentny i daleko zajdzie. Intelektualista.

Za to Emmi była pewna, że sama nie zajdzie daleko. Znajdzie się w przeciętnej masie, jako jeden z tych niezliczonych typów prowadzących nudne i nikogo nieobchodzące życie.

– O której dzisiaj kończysz? – zapytała mama, gdy Emmi wstała od stołu i włożyła talerz po owsiance do zmywarki.

– O drugiej.

– Wrócisz ze szkoły prosto do domu?

– Chyba tak.

– To dobrze, Milla będzie mogła przyjść wcześniej ze świetlicy, do-  
trzymasz jej towarzystwa.

Emmi wyobraziła sobie, jak mała Milla biegnie w podskokach przez podwórze, gramoli się po schodach na taras i naciska klamkę, ale drzwi się nie otwierają. Naciska więc dzwonek i czeka. Gdy Emmi wciąż jej nie otwiera, wyciąga z plecaka własny klucz, przekręca go w drzwiach, a gdy jest już w środku, krzyczy, że wróciła. Nikt jej nie odpowiada. Milla woła ją po imieniu, idzie do kuchni i zastanawia się, czemu Emmi nigdzie nie widać. Sprawdza wszystkie pokoje, nawet pokój Emmi, chociaż tam jest wstęp wzbroniony.

Próbuje do niej dzwonić, ale nie ma połączenia.

A potem dzwoni pewnie do mamy.

Dopiero wtedy rodzina zaczyna się zastanawiać, gdzie właściwie Emmi się podziewa.

Podniosła z podłogi wypchany plecak.

Czy na pewno chce to zrobić? Zniknąć i zmartwić ich wszystkich? Nie była pewna. Wiedziała tylko, że musi coś przedsięwziąć, bo inaczej złapie takiego doła, że przestanie istnieć.

W szkole wtapiała się w ścianę, tworzyła z nią idealną, jasnoszarą masę. Nawet w swojej grupie nie odróżniała się od reszty, choć była o głowę wyższa od pozostałych.

Nienawidziła tych wszystkich zdjęć, które pojawiały się co jakiś czas w ich klasie na głównej ścianie. Na najstarszych była głupawo uśmiechnięta pierwszoklasistką z pierwszego rzędu, mała główka z dwoma kucykami. A potem, ze zdjęcia na zdjęcie, przesuwiała się do dalszych rzędów.

Ze zdjęcia na zdjęcie, z roku na rok, stawała się coraz wyższa i coraz mniej uśmiechnięta.

Na ostatnich fotografiach stała już za resztą grupowiczów, sama jedna. Nastolatka, która jakimś cudem znalazła się wśród zgrai dzieciaków. Inni odchodzili, ona wciąż trwała. W grupie nie było już nikogo, kto rozpoznał szkołę razem z nią.

Nie chcieli z nią rozmawiać. Może niektórzy się bali, że jakoś ich zarazi swoją trwającą bezkończycapotencjalnością. Inni pewnie przypuszczali, że nie ma do powiedzenia nic ciekawego.

– No to ja idę! – zawołała, gdy już wciągnęła na nogi tenisówki i narzuciła na siebie dżinsową kurtkę

Gdyby mama przyszła teraz do niej z kuchni, uśmiechnęła się i pogłaskała ją po głowie, może jeszcze zrezygnowałaby z całego tego planu. Gdyby tylko spojrzała na nią tak, jak się patrzy na prawdziwego człowieka. Jakby rzeczywiście ją widziała. Ale ona mruknęła tylko coś w odpowiedzi.

Niech ci będzie, pomyślała Emmi. Siedź tam sobie, ty egocentryczko. Cała rodzina egocentryków. Zarzuciła plecak na ramiona i zatrzasnęła za sobą drzwi.

[...]

### Rozdział trzeci

Cienka strużka światła spłynęła spomiędzy zasłon prosto na jej twarz. Emmi musiała otworzyć oczy. Słońce stało już wysoko na niebie. Która godzina? Po dziesiątej. Dziwne, że spała tak długo. Przecież przez cały czas ucieczki robiła niewiele więcej. Skąd tak wielka potrzeba snu?

Ziewnęła szeroko i nagle sobie przypomniała.

Było coś jeszcze dziwniejszego.

Nie słyszała najbliższego odgłosu. Cały dom zdawał się spać równie głęboko jak ubiegłej nocy. Dlaczego nikt nie przyszedł, by sprawdzić, czy przypadkiem nie wróciła?

Rozejrzała się po swoim pokoju. Odniosła wrażenie, że podczas jej nieobecności nikt tu nie zaglądał. To też dziwne. Mogłoby się wydawać, że rodzice będą przetrząsać jej rzeczy w poszukiwaniu odpowiedzi na pytanie, dlaczego zniknęła. Wyglądało jednak na to, że nikt niczego nie ruszał.

Ogarnęło ją dziwne, przerażające uczucie.

Pospiesznie wstała i naciągnęła na siebie jakieś ciuchy. Musi jak najprędzej zbiec na dół, by ich zaskoczyć. Na pewno siedzą teraz w kuchni i jedzą śniadanie, a raczej próbują, bo z troski o nią nie są w stanie przełknąć ani kęsa. Ale ona zaraz się pojawi i ich uratuje od przejmującego smutku!

Zbiegła po schodach, po dwa naraz, z takim stukotem, że nie mogli jej nie usłyszeć.

– Cześć! – zawołała i wleciała do kuchni.

Do pustej kuchni.

– Halo no! Jestem w domu! – zawołała trochę głośniej.

Nikt jej nie odpowiedział.

Okrążyła cały dół, sprawdziła wszystkie pokoje, nawet toaletę. Nikogo. Wbiegła na górę i pootwierała wszystkie drzwi. Pustka. Gdzie oni wszyscy są? Poszli jej szukać? Wyjrzała przez okno. Samochód stał na swoim miejscu. Jedno jest pewne, a potem nie pojechali.

Znowu zbiegła na dół, tym razem do przedsionka. Zostawili swoje kurtki, co do jednej. Nie zniknęła też ani jedna para butów. Ze złością kop-

nęła czarne buty ojca. Odbiło jej? Nie miała pojęcia, o co tu chodzi. Gdzie jest mama, tata, Lasse i Milla? Nie mogli wyjść, skoro wszystkie ich buty zostały w domu. Nie mogą być tutaj, skoro ich tu nie ma! A może gdzieś się schowali? Zauważyli jej powrót i teraz z kolei chcą ją przestraszyć?

– Chodźcie już! – wykrzyknęła na całe gardło.

Nie odpowiedział jej najłżejszy szmer.

Wróciła do swojego pokoju i włączyła komórkę. Przez cały wczorajszy dzień i minioną noc nie przyszedł do niej ani jeden esemes. Wybrała numer mamy. Brak połączenia. W słuchawce rozległo się tylko podejrzanе brzęczenie. Spróbowała zadzwonić do taty. To samo. Więc do Lassego i nawet do Milli, ale odpowiedziały jej znów odgłosy jak z jakiegoś horroru.

Przysiadła na łóżku. Poczwała, że zaczyna się pocić i serce wali jej młotem. A równocześnie było jej zimno. To nie może być prawda. Śni jej się jakiś koszmar. Tak właśnie jest, na pewno teraz śpi.

Jednocześnie była do bólu pewna, że to nieprawda.

A co, jeśli policja zabrała jej rodzinę? Jeśli rodzice, Lasse i Milla byli tak wstrząśnięci i zszokowani, że musieli ich zabrać na komendę albo gdzieś indziej? No ale dlaczego bez butów? Chyba że policjanci mieli jakieś specjalne obuwie, jakieś policyjne kapcie, które dawali zabieranym ludziom? Nie, no, bez sensu zupełnie.

Spróbowała zadzwonić do Veery, ale komórka nie przestawała brzęczeć. Cholera jasna! Rzuciła telefon na podłogę. Czy musiał się zepsuć właśnie teraz?

Ukryła głowę w ramionach. Poczwała na policzkach zimne, wilgotne dłonie. Ohyda.

No, wymyśl coś! Co teraz? Może sąsiedzi coś wiedzą? Ci starsi państwo z naprzeciwka od rana do wieczora nic innego nie robią, tylko kontrolują resztę świata. Niemożliwe, by cokolwiek umknęło ich uwadze. Musi pójść zapytać.

Zerknęła do lustra. Czy wygląda dostatecznie zwyczajnie? Odważy się do nich pójść? Błyskawicznie zmieniła zwisające spodnie i T-shirt na dżinsy i niebieską bluzkę z długim rękawem. Z lustra spojrzała na nią blada twarz nastolatki, okolona jasnymi, matowymi włosami. W dużych szarych oczach odbijał się przestrah. Wyglądała jak jakieś zwierzę widmo.

Związała włosy w kitkę. Teraz przynajmniej odrobinę bardziej przypomina człowieka.

Na wszelki wypadek wzięła ze sobą komórkę, a nuż zacznie znowu działać. Schowała klucz do kieszeni. A potem zbiegła znów na dół i założyła buty. Nie zatrzymując się, zatrzasnęła za sobą drzwi i przeszła pospiesznie na drugą stronę ulicy, byle tylko nie dać się zatrzymać nagłym wątpliwościami.

Gdy położyła już palec na dzwonku do drzwi sąsiadów, poczuła przez chwilę zwątpienie. Czy na pewno ma odwagę? No ale przecież tu nie chodzi o żaden wyczyn. Nie ma innego wyjścia. Energicznie nadusiła przycisk. Wewnątrz rozległ się dźwięk dzwonka. Czekala.

Nikt nie nadszedł.

Zadzwoniła powtórnie, odrobinę dłużej. Nadal nikt nie nadchodził. Naciskała dzwonek wielokrotnie, do znudzenia, do bólu ręki. Nikt jej nie otworzył i poza ironicznym dźwięczeniem z wnętrza budynku nie dochodziły żadne odgłosy.

A sąsiedzi byli zawsze w domu. Staremu Lahtinenowi poruszanie się sprawiało tyle trudu, że właściwie przestał gdziekolwiek wychodzić, zresztą jego żona co najwyżej raz dziennie kuśtykała do skrzynki pocztowej i co trzeci dzień wybierała się taksówką do sklepu. Emmi zerknęła do środka. W salonie stały jak zwykle ich meble i inne przedmioty, ale nie zobaczyła żywej duszy. Inna rzecz, że starsi państwo w ciągu dnia przesiadywali zazwyczaj w kuchni, znajdującej się po drugiej stronie budynku i przez okno oglądali, co się dzieje na ulicy.

Obeszła dom. Wspięła się parę schodków po drabinie i zajrzała przez kuchenne okno do środka. I znów nikogo nie zobaczyła. No chyba nie wybrali sobie akurat tego dnia na wyprowadzkę? Albo na wykopyrtnięcie, jedno i drugie jednocześnie?

Drżały jej nogi, kiedy wracała do domu. Probowała znów do kogoś zadzwonić, ale komórka nie działała. Nagle wpadło jej coś do głowy. Wbiegła do sypialni rodziców.

No tak! Ich telefony leżały sobie w najlepsze na nocnych stolikach. Jak niby mogli bez nich dokądkolwiek pójść? Emmi chwyciła mamy komórkę i wybrała numer babci. I znów usłyszała to samo przerażające brzęczenie. Z komórką taty wcale nie było lepiej. Znalazła jeszcze telefon Lassego w jego pokoju. Ten też wygrywał tę samą upiorną melodię.

A jeśli znaleźli się w jakiejś martwej przestrzeni, w której nie działają aparaty telefoniczne? Emmi poszła do salonu i włączyła telewizor. „Brak sygnału”. Na każdym programie to samo.

Uruchomiła komputer i spróbowała połączyć się z Internetem. Na ekranie pojawił się napis „Brak dostępu. Nie jesteś podłączony do sieci”.

Ok, wszystko jasne. Coś nie tak z zasięgiem. Jeśli wystarczająco się oddali, może komórka zacznie znów działać?

Wybiegła z domu. Musiała biec. Biegła dopóty, dopóki starczało jej sił, do chwili, aż poczuła ból w płucach i dziwne zawroty głowy. Dopiero wtedy spróbowała zadzwonić.

No, działaj już, działaj!

Wciąż to samo brzęczenie.

Gapiła się na telefon, który trzymała w dłoni. Zadrżała jej ręka. Całe ciało zaczęło drżeć, a potem zwyczajnie się rozplakała. Płacz wybuchł silną falą, niedającą się zatrzymać. Nadszedł wraz z łzami i katarem. Trząśł nią od stóp do głów. Nie miała pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi. Dlaczego tak się dzieje? Gdzie są rodzice?

Majowa sobota była uderzająco piękna. Niebo przybrało barwę głębokiego błękitu, z kolei drzewa, krzewy i trawa wydawały się wręcz bezwstydnie zielone. Gdzieś wysoko latały jaskółki, wykrzykując do siebie piśkliwe pozdrowienia. Brzęczały trzmiele. Cała przyroda była pełna głosów.

Nagle zrozumiała.

Głosów natury. Nie – ludzi.

Nie słyszała przejeżdżających samochodów, szumu kosiarek do trawy ani nawet szczekania psów. Żadnych rodzin z dziećmi na sobotnich spacerach, żadnych chłopców jeżdżących na rowerach, ludzi rozmawiających przed domami.

Pobiegła do najbliższego domku jednorodzinnego i zadzwoniła.

Nikt jej nie otworzył.

Spróbowała w następnym, a potem znów w następnym i w jeszcze jednym. To samo.

Wreszcie poczuła, że musi się oprzeć o szarą ścianę. Zawroty głowy o mało nie przewróciły jej na ziemię. Zacisnęła palce na chropowatej przestrzni, aż zabołało.

Nie tylko jej dom opustoszał.

Nigdzie nikogo nie było.

Tak jakby wszystkich wokół ewakuowano z powodu wybuchu wulkanu albo nadejścia tsunami. Tyle że w pobliżu nie ma ani wulkanów, ani morza.

Wróciła do domu na ciężkich, sztywnych nogach. Ewakuacja? A może rzeczywiście? Może ich okolicy coś zagraża. To by wyjaśniło całkowite zniknięcie wszystkich wokół. Może jej rodzina też została zmuszona do tak nagłej ucieczki, że nie zdążyli zabrać ze sobą nawet komórek ani butów. Czy jednak Emmi przespałaby w domku Sellii tak szeroko zakrojoną akcję? Czy to możliwe, że zapadła w aż tak głęboki sen?

I najprawdopodobniej zagrożenie sprawiło, że telefony, telewizor i Internet przestały nagle działać.

Pomyślała o rodzicach, którzy, ukryci gdzieś daleko, drżą z niepokoju o nią. Znowu ogarnął ją płacz, ale tym razem mniej dojmujący. Wytarła nos w chusteczkę i zmusiła się do logicznego myślenia.

No dobra, założmy, że całą okolicę ewakuowano, a ona to wszystko przespała. Co powinna teraz zrobić? Wrócić do domu. Prędzej czy później

po nią przyjdą. Mama i tata powiedzą komu trzeba, że ich córce grozi niebezpieczeństwo.

Więc dobrze, wracamy do domu.

Gdy stanęła przed drzwiami, w jej oczach pojawiły się znów mroczki. Od dawna niczego nie jadła. Poszła prosto do kuchni i otworzyła lodówkę. Produkty stały na miejscu w miłym, znajomym porządku. Ale nie miała na nic ochoty. Zmusiła się do zrobienia sobie kanapki. Od razu zebrało jej się na wymioty, ale na siłę przełykała kęs za kęsem.

To najgorsze, co mogła sobie wyobrazić. A właściwie nie, nigdy nawet nie potrafiłaby sobie wyobrazić czegoś równie przerażającego, wszystkich tych uczuć i koszmarnej sytuacji. [...]

Może ewakuowali całe miasto. Albo całą Finlandię. Ale dlaczego? Za tak dużym przedsięwzięciem musi się kryć jakiś porządny powód. Miastu grozi na pewno coś potwornego. Co by to mogło być? Meteoryt? Opady promieniotwórcze? Wojna? Trzęsienie ziemi? Kwaśne deszcze? Plaga jakichś szkodników? I kiedy to coś miałoby nadejść? A może już się pojawiło? Może Emmi przy każdym wdechu zatruwa się jakąś trucizną?

– Co mam zrobić? – szepnęła.

Pytanie zawisło w martwym powietrzu.

Nie wiedziała. Nie miała zielonego pojęcia. Ani żadnej osoby, do której mogłaby się zwrócić o pomoc.

Znak. Musi jakoś dać znać o sobie, żeby ci, którzy nadejdą na poszukiwanie pozostawionych, potrafili ją odnaleźć. O ile ktokolwiek w ogóle nadejdzie.

Muszą po mnie przyjść.

Muszą po mnie przyjść.

Muszą przyjść.

Kreda Milli!

Emmi poszła do pokoju młodszej siostry i wzięła z biurka pudełko z kredami. Jej spojrzenie zatrzymało się na misiu leżącym na łóżku. Nazywał się Fafa i był ukochanym pluszakiem małej. Milla nigdzie się bez niego nie ruszała. Emmi musiała zagryźć zęby, żeby znowu nie dopadł jej płacz i nie potrząsnął nią jak szmacianą lalką.

Nie może teraz pozwolić sobie na szloch. Musi działać.

Więc na ulicę. Na asfalcie pojawiły się duże białe litery: JESTEM TUTAJ. POMOCY! A potem jeszcze strzałka wskazująca ich dom

Gdy skończyła, spostrzegła, że z wycieńczenia cała się trzęsie. Przepocona koszulka przyklejała się jej do ciała, wokół unosił się pył kredowy. Opuszki palców krwawiły, bo próbowała wykorzystać każdą drogocenną kredę do ostatniej okruszynki.

Była przeraźliwie głodna i spragniona. Nie miała siły o niczym myśleć.

Gdy wreszcie umyła ręce i twarz, wtuliła się w duży, miękki szlafrok i zrobiła sobie kanapkę i kakao, poczuła bezbrzeżną ulgę. Miała wrażenie, że przez jej mózg nie przepływa ani jedna myśl. Bezgraniczne zmęczenie sprawiło, że wszystko pozostałe wydawało się nierzeczywiste i spowite mgłą.

Tak jakby Emmi wcale nie była sobą. Jakby otaczający ją świat w ogóle nie istniał.

Dziś w nocy może nadejść zagłada. Możliwe, że jakaś siła zmiecie całe miasto z powierzchni, zetrze wszystko w pył, również ją samą. Ta myśl nie wydawała się nawet szczególnie przynębiająca.

Przynajmniej cały ten koszmar nareszcie dobiegnie końca.

## Rozdział czwarty

To był tylko sen.

Tak pomyślała, gdy otworzyła oczy. To był tylko zły sen. Tak naprawdę nigdzie nie uciekła i nie powróciła do pustego domu. Ludzie wcale nie zniknęli z całego miasta. Coś takiego nie mogło się w rzeczywistości wydarzyć. To by nie miało żadnego sensu.

Śmiertelnie cichy dom zdawał się jednak świadczyć o czymś innym.

Emmi oparła się na łokciach i nadstawiła uszu. Cisza, tyle tylko, że zza okna dobiegało agresywne ćwierkanie ptaków. Nie miała żadnych złych snów. A przynajmniej wcale się nie skończyły. Może to jakiś koszmar, w którym ugrzęzła. Może leży w śpiączce, w szpitalu i to wszystko jest tylko dziełem jej wyobraźni?

Głowa Emmi opadła z powrotem na poduszkę. Od intensywnego myślenia czuła tylko dokuczliwe ćmienie w skroniach. Miała wrażenie, że zaraz ulegnie jakiemuś szaleństwu. I nagle przyszło jej na myśl coś, na co dotąd nie wpadła. A jeśli ludzie wcale nie wywieziono w jakieś odległe miejsce, tylko wszyscy znajdują się w schronie? Gdzie jest najbliższy schron ewakuacyjny?

Wyskoczyła z łóżka. Czy mama i tata napomknęli kiedyś cokolwiek na ten temat? Nic nie przychodziło jej do głowy. W blokach chyba zawsze znajduje się jakiś schron, ale co z domkami jednorodzinnymi? Czy powinna teraz udać się do najbliższego blokowiska i zacząć walić w drzwi do pierwszego lepszego schronu?

Opadła z powrotem na łóżko.

Nie miała już siły.

Nie miała siły dłużej się zastanawiać, co robić i dokąd powinna iść. Pragnęła jednego, aby ten koszmar wreszcie się skończył.



Ogarnęła spojrzeniem swój pokój. Ściany wydały jej się odrażająco błękitne, spłwiała i nijakie. Kiedyś chciała, żeby jej pokój pomalowano na kolor morskiej zieleni, marzyła o pulsującej powierzchni, dzięki której miałyby wrażenie, że jest pod wodą. Rodzice sprzeciwili się, uznali, że tak radykalna zmiana koloru szybko by ją znudziła. Na ścianach pojawił się więc błękit, który natychmiast zniecierzyła i starała się możliwie jak najdokładniej ukryć pod zdjęciami wyciętymi z różnych gazet. Nie gromadziła plakatów filmowych czy muzycznych gwiazd, chociaż tata z okazji ostatnich świąt Bożego Narodzenia sprezentował jej wielkie ramki, w sam raz nadające się na cyfrowe portrety. Teraz opierały się bezużytecznie o ścianę. Emmi nie należała do żadnego fanklubu. Również pod tym względem była dziwna, inna niż wszyscy.

Zamiast tego wycinała z kobiecych – i nie tylko – czasopism zdjęcia ludzi o charakterystycznych wyrazach twarzy. Jej ściany śmiały się, stroiły miny, marszczyły czoła, pokazywały język, krzywiły się i puszczały sobie oczko. Lasse twierdził, że zawsze czuł się w jej pokoju niepewnie, obserwowany przez tyle par oczu. Z kolei Milla uwielbiała oglądać zdjęcia i słuchać, jak Emmi opowiada o nich najróżniejsze historie.

Ta myśl boleśnie ją uderzyła. Jak piłka, która na lekcji wuefu trafia w tył głowy.

A jeśli już nigdy nie zobaczy mamy, taty, Lassego ani Milli? Już nigdy więcej?

Ścisnęło ją w żołądku. Poczwała w ustach kwaskowaty posmak. Powlokła się na ciężkich nogach do toalety na piętrze, otworzyła drzwi na oścież i w ostatniej chwili zdążyła schylić się nad muszlą, tuż potem nadeszła pierwsza fala wymiotów. Fale następowały jedna za drugą, aż do uczucia całkowitej pustki w żołądku. Roztrzęsiona, oparła się o sedes. Była spocona i zmarznięta. Jej usta wypełniał obrzydliwy smak wymiocin, część włosów skleila się. Jakoś udało jej się podnieść i spuścić wodę. Wytarła nos i oplukała twarz. Z lustra spojrziała na nią twarz dziewczyny, którą ledwo była w stanie poznać. Wyglądała przeraźliwie, blada i chora.

Czy naprawdę tu jestem?

Czy to rzeczywiście ja?

Musiała pójść pod prysznic. Po skórze spływała ciepła woda, splukując z niej uczucie brudu i zniechęcenia. Nogi powoli przestawały drżeć. Może nie dopadł jej jeszcze żaden trujący gaz ani opady promieniotwórcze, ani żadna chemiczna broń. Złe samopoczucie zrodziło się tylko z tej myśli, że może już nigdy w życiu nie zobaczy swojej rodziny.

Nie, nie może tak być. Na pewno ktoś po nią przyjdzie. Trafi do rodziców, Lassego i Milli. Nie ma innego wyjścia. Powtarzała to sobie, dopóki nie zaczęła wierzyć we własne słowa.

Ubrana w podomkę, ruszyła do kuchni. Zjadła kawałek chleba i napiła się soku owocowego. W lodówce było dużo jedzenia, w zamrażarce też. Ale na jak długo jej wystarczy? Może tydzień, dwa. Emmi wołała nie myśleć o tak odległej przyszłości. Na pewno przyjdą po nią jutro, najpóźniej pojutrze. Muszą.

Na drzwiach lodówki wisiły rysunki Milli. Jeden z nich przedstawiał Emmi. Była na nim smutna i mała, szara. Wcześniej nienawidziła tego rysunku i chciała, żeby zniknął. Pozostawiłaby tylko te kolorowe i uśmiechnięte.

Dotknęła kartki. To ona. Tak właśnie się teraz czuła.

I znowu łzy. Płacz obezwładnił ją i potrząsał całym jej ciałem. W pewnej chwili zorientowała się, że leży zwinięta na kuchennym dywanie i lka całą sobą. Czy ten płacz nigdy się nie skończy? Skąd w niej tyle łez?

Emmi przewróciła się na plecy, próbując powstrzymać kolejną rozrywającą falę szlochu. Macała dłońmi powierzchnię szmacianego chodnika. Pamiętka po babci. Łzy spływały jej po policzkach, wpływały do uszu, a palce błdziły po dywanie. Czerwony pas, niebieski, trochę węższy, a potem zielono-żółty, który zdawał się odrobinę uniesiony. Gdy była niemowlakiem i małą dziewczynką, leżała na tym dywanie dziesiątki razy. Znała go, milimetr po milimetrze, pas po pasie. Teraz głaskanie szmaciaka z jakiegoś powodu przynosiło jej ulgę.

I nagle z jej ust wypłynęły słowa. Zrodziły się z nieznanego głębi, z jakiejś odległej toni.

*[...] ogień w sali balowej były ugaszone, wszyscy już pewnie spali, ale nie odważyła się nikogo szukać, teraz, kiedy była niema i na zawsze ich miała opuścić. Serce rozdzierał jej smutek<sup>1</sup>.*

Emmi zdumiał własny głos. Zabrział dziwacznie. Nie rozpoznała go. Odbił się echem po pustych ścianach. Ale słowa z „Małej syrenki” uspokoiły ją, łzy przestały płynąć. Powtarzała więc fragmenty, które znała na pamięć, czerpiąc z nich pocieszenie. Baśń kołysała ją delikatnie jak morska fala.

Udało jej się przestać płakać. Teraz może nawet się podnieść.

Wstała, wytarła nos i osuszyła łzy.

Teraz już nie czuła się tak, jakby utonęła.

Czasem zdarzało jej się zastanawiać, co by zrobiła, gdyby została w domu całkiem sama. Gdyby tak cała ta wielka przestrzeń została tylko do jej dyspozycji i nie musiała się obawiać, że zaraz ktoś wróci.

Mogłaby pić sok prosto z kartonu.

Włączyć muzykę na cały regulator i tańczyć do upadłego.

<sup>1</sup> Fragment *Małej syrenki* Hansa Christiana Andersena pochodzi z tomu *Baśnie*, przeł. B. Sochańska, Warszawa 2005.

Przetrzęsnać wszystkie rzeczy starszego brata i rodziców.  
Pomalować się drogimi kosmetykami mamy i poprzymierzać jej ciuchy.

Biegać dookoła domu, krzycząc i wygłupiając się.  
Zjeść całą paczkę lodów naraz.  
Upiec dziesiątki ciast, a potem każdego spróbować tylko po kawałku.  
Zapalić we wszystkich pokojach świeczki, wyłączyć światła i spacerować w morzu świec.

A teraz nie robiła nic z tego, o czym kiedyś marzyła. Kompletnie nic.

W środku nocy obudził ją przerażający huk, tak jakby jakiś wielki mebel roztrzaskał się na kawałki. Zerwała się z bijącym sercem. Hałas nie ustawał, za oknem błyskało. Dopiero gdy spostrzegła ulewny deszcz, bijący bezlitośnie po szybach, uprzytomniła sobie, że to tylko burza. Patrzyła w zamyśleniu na strugi deszczu. Więc od tego wszystko się zacznie?

Czy nadszedł już czas?

Nie wiedziała, czego się spodziewać.

Może deszcz zmieni kolor. Może wiatr osiągnie siłę huraganu i zmiecie z powierzchni pobliskie budynki. Może błyskawice rozniecą wszędzie pożar.

Grzmiało jeszcze przez około pół godziny. Potem burza osłabła, gromy ucichły, błyskawice zniknęły, a rześista ulewa zmieniła się w delikatną mżawkę. Wreszcie i ona ustała.

Emmi wróciła do łóżka.

Gdy rano wstała, w pierwszej kolejności ruszyła na ulicę, by napisać ponownie wiadomość kredą. Nocny deszcz wyplukał resztki wczorajszych liter, tak jakby nigdy ich tam nie było.

## Rozdział piąty

Przez trzy dni czekała, aż coś się wydarzy.

Czekała na ich przyście.

Czekała na ludzi, powracających do swych domów.

Czekała na wybuch katastrofy.

Czekała, aż telewizor, radio, Internet albo komórka zaczną działać.

Gdy padało, czekała, aż ustanie deszcz i po raz kolejny zapisywała kredą swą prośbę o pomoc. Poza tym spała i jadła, jadła i spała. Powracała do starego zbioru baśni tak często, że z czasem nauczyła się większości fragmentów na pamięć. Ostrożnie przewracała pożółkłe kartki, bojąc się nieustannie, że stronicie skruszeją jej w dłoniach. Wołała nie czytać ani

oglądać niczego, co mogłoby się okazać zbyt dołujące. Chciała odgradzić się od świata, skoro i tak nie było w nim nikogo poza nią.

Jakimś cudem codziennie udawało jej się zmusić do pójścia pod prysznic. Rano i wieczorem myła zęby. Zakładała czyste ciuchy i czekała, gotowa na to, że w dowolnej chwili zabrzęczy dzwonek do drzwi albo powrócą rodzice.

Z dnia na dzień jej pewność słabła.

Dlaczego wciąż nic się nie działo? Dlaczego nikt nie nadchodził? Dlaczego mijał dzień za dniem, a wszystkie równie piękne i ciepłe? Czemu przez cały czas świeciło słońce, z wyjątkiem tych krótkich chwil, kiedy pojawiały się orzeźwiająco przelotne deszcze? Nagle rozkwitły jabłonie, niepostrzeżenie cała natura zazieleniła się. Emmi odniosła wrażenie, że mieszka w świecie rodem z reklamy, w doskonałości pozbawionej jakichkolwiek czynników zakłócających w postaci innych ludzi. Nie miała zamiaru żyć w tej nierealnej idylli przez ani jeden dzień dłużej.

Więc co powinna zrobić? Rozsądek kazał jej nie oddalać się od domu, bo jeśli gdziekolwiek będą jej szukać, to tam. No właśnie, jeśli... Zwłaszcza wieczorami ogarniał ją podstępny, duszący strach. A jeżeli nic się nie zmieni? Jeżeli inni ludzie już nigdy nie powrócą?

Nie była pewna, czego obawia się bardziej: katastrofy czy wizji, że owa katastrofa wcale nie nadejdzie. Bała się bólu i nagłej śmierci, ale jeszcze większy strach budziło w niej to milczące cierpienie, identyczne dni, następujące po sobie w pustce.

Po trzech dniach zaczęła wstawać coraz później. Jeśli znajdowała w sobie siły, by się przebrać, to co najwyżej zamieniała piżamę na szlafrok. Odżywiała się wyłącznie ciastkami i piła tylko kakao. Odechciało jej się kąpieli pod prysznicem. Przestała w ogóle wychodzić z domu.

Już nie wypisywała nowych haseł z prośbą o pomoc, gdy deszcz zmył litery.

Nie chciało jej się nawet oglądać własnego odbicia lustrzanego. Zdjęła ze ścian, komód i parapetów wszystkie rodzinne zdjęcia. Rozmyśla się w wiecznej ciszy i nudzie, potrafiła godzinami wpatrywać się apatycznie w pustkę.

Przyszło jej na myśl, że jeśli kiedykolwiek wcześniej uważała się za niewidzialną pannę nikt, to nie mogła bardziej się mylić. Teraz oddałaby nawet zdolność mówienia, byle tylko powrócić do dawnego życia, do prawdziwego życia. Dopiero teraz wie, co naprawdę oznacza bycie nieobecnym. Jest nikim. Niczym. Równie dobrze mogłaby nie żyć.

Myśl o śmierci powracała do Emmi coraz częściej. Kiedyś się jej bała. Bała się uduszenia, utonięcia, pożaru, wszelkich przerażających objawów,

zatrucia. Strach nie minął, ale w tej chwili sama śmierć wydawała się coraz bardziej kuszącym rozwiązaniem. Emmi straciła nadzieję, że kiedykolwiek jeszcze zobaczy swoją rodzinę. Nie chciała być tu ani chwili dłużej. Nie chciała być, jeśli tak naprawdę nie istniała. Gdy zdarzało się, że jej wzrok zabłądził na taflę łazienkowego lustra, odwracała wzrok. Wyglądała jak trup, jak jakaś zjawa.

Minęły kolejne dwa dni. Emmi nie mogła pozostać dłużej w domu. Założyła na siebie jakieś porządniejsze ciuchy, uczesała się, umyła twarz i wyszczotkowała nawet zęby. Z lustra spoglądała na nią dziwna dziewczyna, ale tym razem Emmi nie przestraszyła się własnego odbicia. Dziewczyna nie wyglądała już jak trup. Była żywa. Musi wreszcie coś ze sobą zrobić, inaczej zwariuje.

Wsiadła na rower i skierowała się do centrum. Odniosła wrażenie, że jej mięśnie są wykończone i zapadły w letarg. Musiała jechać powoli i ostrożnie. Tak jakby nogi zapomniały, czym jest prawdziwy ruch.

Znów prażyło słońce. Emmi nawet już nie pamiętała, kiedy ostatnio nastąpiło tyle pięknych dni, jeden po drugim. „Marnotrawstwo” – pomyślała. Szkoda tych wszystkich uderzających zapachów i przepychu kolorów, bo nikt inny nie może ich podziwiać. Tylko ona, Emmi, która i tak nie zwraca na to wszystko uwagi.

Tymczasem jedzie na rowerze w spokoju, jakiego nigdy wcześniej nie doświadczyła. Nie musi uważać na samochody ani wyprzedzających ją rowerzystów, nigdzie nie ma ludzi wyprowadzających psy ani tarasujących chodniki dzieciaków. Gdzie nie spojrzeć, panuje koszmarna pustka. Przez cały czas miała nadzieję, że za następnym zakrętem zobaczy samochód albo chociaż pojedynczego człowieka. Niechby tak nadszedł ktoś z naprzeciwka.

Niechby nadszedł.

Ktokolwiek.

Słowa huczały jej w głowie. Jechała coraz szybciej. Po plecach i czole spływały jej strużki potu. Dojeżdżała już do kościoła w dzielnicy Kaleva. Wysoki, jasny i chłodny budynek wyrastał prosto w niebo. Lada chwila Emmi znajdzie się w centrum.

Pedałowała ulicą Niepodległości, a potem skręciła w Uniwersytecką. Nie planowała, dokąd pojedzie, ale widocznie ciało samo wybrało znaną trasę do domu Veery.

Veera.

Kiedyś były koleżankami. Nie, to za dużo powiedziane. Po prostu trzymały się razem, zmuszone do tego przez okoliczności. Były jedynymi

Potencjałami, które miały ponad dziesięć lat i chociaż Veera jest od Emmi o dwa lata młodsza, nauczyciele zawsze zakładali, że wszystkie prace grupowe będą robić razem. Właściwie nie miały sobie do powiedzenia nic, co by nie było związane ze szkołą. Ale lepsze i to, niż samotne spędzanie przerw. Kiedyś Emmi zdarzało się popełnić taką ekstrawagancję, ale potem musiała odbyć dodatkowe wizyty u szkolnej psycholożki.

Czasami się zastanawiała, jak by się czuła, gdyby miała przyjaciół. Albo chociaż jedną przyjaciółkę. Nigdy nie miała kogoś takiego. Życie na pewno wyglądałoby całkiem inaczej, byłoby radośniejsze, miało jakiś sens. Mogłaby naprawdę żyć, a nie tylko egzystować.

Gdy była mała, wyobrażała sobie różnych przyjaciół, ale ci nigdy jej nie odpowiadali ani nie śmiali się razem z nią. A mimo to wołała sobie wyobrazać kogoś nawet niemego, niż zaakceptować własną samotność.

Ale potem zrezygnowała nawet z wyobrażeń.

Wyrosła z tego.

I właśnie w tej chwili oddałaby cokolwiek, żeby tylko zobaczyć Veerę. Objęłaby ją i powiedziała, że tak naprawdę bardzo ją lubi, chociaż zdarzało jej się zachowywać wobec niej nieprzyjaźnie.

Wieżowiec Veery wznosił się już przed nią. Wybudowano go na płycie kolejowej, podobnie jak stojącą obok halę widowiskowo-sportową. Veera wiecznie zadzierała nosa z tego powodu, że u jej stóp występowały najróżniejsze supergwiazdy. Na Emmi koncerty nie robiły większego wrażenia, ale lubiła od czasu do czasu podziwiać z okien koleżanki znikającą pod płytą kolej dużej prędkości. Pociągi osiągały w okamgnieniu zawrotne tempo i znikwały w oddali, gdzieś indziej, pędząc do innego miasta i innego życia.

Emmi zatoczyła łuk przed domem Veery i zostawiła swój rower na środku podwórza. Odniosła wrażenie, że wieżowce pochylają się na jej widok ze zdumienia. Co to za dziwne stworzenie? Widział kto kiedy coś podobnego?

Wiedziała, że to na nic.

Nikt jej nie otworzy. A mimo to musiała naciskać na guzik domofonu, raz po razie, a potem na kolejne guziki, kilka naraz albo wszystkie pojedynczo, do wszystkich tych obcych ludzi, z których nikt nie chciał jej odpowiedzieć. Do bólu opuszków.

A potem znów wskoczyła na rower i pojechała środkiem Kolejowej. Skręciła na Hämeenkatu. Centrum Tampere, wypełnione ciszą i pustką, było przerażające. Nigdy dotąd nie widziała czegoś podobnego, nigdy w życiu. Pedałowała jak oszalała, minęła dom towarowy Stockmann i rząd butików, aż dotarła na most Hämeensilta. Zatrzymała się i zsiadła z roweru.

Patrzyła na kaskadę, kłębiącą się, jakby nic się nie zdarzyło. Woda płynęła, wznosiła się, kotłowała i wirowała bez celu. Świeciło słońce. Emmi znalazła się w jakimś pieprzonym folderze turystycznym. Witamy w wakacyjnym Tampere – najpiękniejszym mieście fińskim.

Miała ochotę krzyczeć i wrzeszczeć bez opamiętania. Miała ochotę cisnąć rower do wody. A potem rzucić się za nim w topiel. Otworzyła usta, by wyrzucić kłębiący się w niej ryk wściekłości i nienawiści, ale nie zdołała wydobyć z siebie nawet pisknięcia.

Więc znów zaczęła pedałowac, znudzona, apatyczna i obojętna, z powrotem na dworzec kolejowy. Zostawiła rower przed wjazdem i, kierowana odruchem, miała go zapiąć, gdy uprzytomniła sobie, że byłoby to po prostu śmieszne. Weszła więc do środka, nasłuchując echa własnych kroków. Nie słyszała niczego więcej. Hala, w której nie słychać było zapowiedzi odjeżdżających pociągów, gwaru podróżnych ani stukotu walizkowych kółek, robiła przygnębiające wrażenie.

Gdyby tak mogła jakoś dostać się do Helsinek. Gdyby tak udało jej się wejść do jakiegoś pociągu i nim pokierować. Dość z tym Tampere, musi sprawdzić, czy reszta świata też jest równie pusta.

I nagle poczuła, że musi usiąść. Na samym środku potężnej dworcowej hali, na twardej, zimnej posadzce. Nie miała kompletnie sił. Nigdy nie potrafiłaby prowadzić pociągu. Cały układ kierowniczy na pewno w ogóle nie działa. Co jej się wydawało, że co w ogóle może zrobić? Przejść się wzdłuż torów do Helsinek? Dojechać tam na rowerze? To może jakoś by się udało, gdyby znalazła w sobie wystarczająco dużo samopozaparcia i sił.

Ale nie znalazła.

„Zostanę tutaj – pomyślała. – Nigdzie więcej nie pójdę. Zostanę tu i umrę z głodu i pragnienia”.

Plan równie dobry jak jakikolwiek inny.

Sekundę później omal nie umarła. Ale nie z głodu ani pragnienia, tylko ze strachu.

Ktoś otworzył z rozmachem drzwi dworca i wrzasnął na całe gardło:

– Czy to możliwe, że na tym pieprzonym świecie naprawdę jest ktoś jeszcze oprócz mnie?!

Salla Simukka  
Przełożyła Iwona Kiuru

# LITERATURA I CIERPIENIE

Kazimierz Nowosielski

## Z LATARNI

Z okna mojej latarni  
widzę światła dalekie i bliskie  
iskrzą się na falach to wysokich to niskich  
inne giną w odmętach czasu  
Na nabrzeżach mieszkańcy osiedla  
dźwigają torby z zakupami  
wyprowadzają pieski gadają do smartfonów  
marzą o pięknych jachtach w Puerto Banus  
(widziałem je kiedyś – świeciły luksusem kabin)  
Biedacy grzebią w śmietnikach  
dzielą butelką taniego wina  
dalekie autostrady oplatają wyspy ich snów  
Na moim biurku obrazek Maryi  
kupiony niegdyś w Licheniu  
zeszyty z zapisami wydarzeń  
zaokiennych domowych – –  
Jedno w nich pewne:  
zajmie się nimi nicość  
– lecz ktoś to musiał uczynić

Ktoś mnie postawił na straży



## POŻEGNANIE Z KSIĄŻKAMI

Książki moje – za grosz ostatni  
kupowane – chronione latami  
jak skarb największy – co się z wami będzie  
kiedy mnie nie stanie – kto  
was obroni przed moim zniszczenia – –  
Coraz mniej księgarń w polskim krajobrazie  
introligatorzy polikwidowali swoje warsztaciki  
gdzie przywracano wam kształt utracony  
i piękno zszarzałe Dzisiejszym młodym  
już wystarczają tablety smartfony –  
A mnie się zdawało że się życie odnawia  
z każdą przeczytaną stroną  
z każdym zdaniem  
Żegnajcie zatem – i niech wam zostanie  
choć cień mej tęsknoty

## DARY

Marzył mu się świat  
na wyciągnięcie ręki

taki co to nawet  
w piórniku się zmieści  
jak ołówek gumka  
czy pióro

a jeszcze lepiej  
by pod okładką książki  
szeleścił

Bo ileż zdumień  
z każdym znaczkiem  
odklejanym z koperty

z monetą  
odkrywaną  
w babcinej szufladzie

Piękne kobiety  
wycinane z gazet  
rządziły jego tęsknotą

i był zachwyty  
nad roziskrzonym  
zimą księżycem  
kiedy w izbie ciepło  
przytulnie

Gorzkie żale  
śpiewane przez matkę  
w przedwielkanocny poranek  
„Opoki się twarde krają  
Z grobu umarli powstają”

Pojękliwe a skoczne skrzypce  
w ręku rybnieńskiego kowala  
pana Plamowskiego

Rozliczne nitki losów  
na chwilę wzięte w garść

Echo co się wplątało  
w międzygwiazdny las

## CO SIĘ LICZY

Ktoś jeszcze mówi – ale  
już siebie nie słyszy – –  
Mechaniczne gadżety  
wchłaniają nas do swego wnętrza  
trawią – i wydalają

Przymilne monstra  
kołyszą do snu nasze dzieci  
podczas gdy my  
udzielamy się na internetowych forach  
powierzamy serialom  
(dla świętego spokoju  
kłaniamy się obcym bogom)  
Marksściści po przejściach  
znów zachęcają nas  
do budowania nowych rajów  
Za murami wypalonych kościołów  
minarety oraz domy publicznego zapomnienia  
To co miał do powiedzenia Jezus  
– przeminęło W handlowych galeriach  
migające światełka  
imitują cud narodzin i zmartwychwstania  
Świadectwa prawdy  
wymiksowane z pamięci komputerów  
„bo pamięć – powiada poeta  
– i ci co pamiętają, nużą,  
a liczy się tylko dziś”\*

\* Z wiersza Henryka Bereski

## TO CO KOCHANE

A kiedy krzyczą  
że polskość jest kiczem  
– nie przystaję do nich  
Niech sobie idą  
w lepszy świat  
– a zaś mi zostawią  
te parę krzyży  
przy drodze i Bogurodzicę  
i kapłaństwo piękna  
z Norwidem  
bez własnego grobu

Bo i tam – widzę –  
również matkę moją  
i ojca jak idzie  
powoli za pługiem  
I mego syna  
kiedy wystukuje  
coś na komputerze  
(ale co – nie wiem)  
To co kochane  
nigdy kiczem nie jest  
gdyż z innym  
porządkiem serca  
związane  
– i nie na wszystkie  
sztandary postępu  
się nadaje

## RZECZY

Czasem  
trochę zazdroszczę rzeczom  
że są tym  
czym są

w zgodzie z własną naturą  
zawsze po stronie  
aktualnego znaczenia

tu kamień – kamieniem  
niebo niebem

i co tam rzece  
po niedorzecznościach istnienia

kot po wąsy  
umorusany w gołębiej posoce  
oblizuje się  
pomrukując

a gołębiowi już na nic  
jego bycie  
po życiu

– parę piór zaledwie  
i każda z łapek  
osobno –

a mnie – co po mnie

i czym  
ma istotność

Kazimierz Nowosielski



Fot. Sebastian Musielak

Espoo, dzielnica Kalajärvi

*Rok Cypriana Kamila Norwida (1821–1883)*

Marek R. Lipiński

**QUIDAM I VADE-MECUM CYPRIANA NORWIDA**

Paralelna krytyka dwóch multi-społeczeństw: antycznego (rzymskiego) i współczesnego poecie

*Cyprianowi Norwidowi, w 200 rocznicę jego urodzin (a było to 24 września 1821, o godzinie 20.00) – by uczcić jego wkład w sensowne i aktualne do dziś myślenie o Polsce i jej łączności ze światem.*

Henryk Markiewicz w historycznej już dziś pracy *O interpretacji semantycznej utworów literackich* (1983), przestrzega przed pokusą „interpretacji zgodnej z autorskim pojmowaniem dzieła”<sup>1</sup>. Przestrzega też jednak przed „nihilizmem interpretacyjnym”<sup>2</sup>, dopuszczającym każde, nawet najbardziej niezwykle i nieuzasadnione odczytanie utworu. Badacze twórczości Norwida i równocześnie jego najbardziej znani wydawcy (Zenon Przesmycki Miriam, Juliusz W. Gomulicki<sup>3</sup>) zauważyli już dawno, że interpretacja jego utworów „zgodna z intencją autora” – jest relatywnie łatwiejsza niż w przypadku wielu innych twórców. Pomagało to wielokrotnie w ustaleniach edytorskich<sup>4</sup>. Norwida oskarżano o niejasność myśli, i to „manierowaną”<sup>5</sup>, albo wręcz o zupełną niezrozumiałość. Został więc własnym krytykiem, objaśniającym często swoje utwory albo powtarzającym te same wątki w innych, w listach i notatkach. Główne intelektualne dokonania Norwida, jego

<sup>1</sup> H. Markiewicz, *O interpretacji semantycznej utworów literackich*, „Pamiętnik Literacki” 1983, z. 2 (74), s. 115–131, s. 126.

<sup>2</sup> Tamże, s. 123.

<sup>3</sup> C. K. Norwid, *Dziela zebrane*, t. 1–2, *Wiersze, Tekst, Dodatek Krytyczny*, oprac. J.W. Gomulicki, Warszawa 1966. *Przedmowa*, s. XCIV. *Źródła i zasady wydania „Dzieli zebranych”* (s. 817–934), gdzie w wielu miejscach Gomulicki zilustrował przykładami swoje dedukcje literackie dokonane na podstawie studiów porównawczych, odwołując się wielokrotnie do wcześniejszych interpretacji Miriama. Wszystkie cytaty z pism Norwida w artykule według: C. K. Norwid *Pisma wszystkie*, zebrał, tekst ustalił, wstępem i uwagami krytycznymi opatrzył J.W. Gomulicki: t. 1 i 2 *Wiersze*, Warszawa 1971; t. 3 *Poematy*, 1971; t. 4 i 5 *Dramaty*, Warszawa 1971; t. 6 *Proza*, Warszawa 1971; t. 7 *Proza*, Warszawa 1973, t. 8, 9 i 10 *Listy*, Warszawa 1971; t. 11, *Aneksy*, Warszawa 1976. Dalej w przypisach jako PW, pierwsza liczba – tom, dalsze – strony (s.) i wiersze (w).

<sup>4</sup> Na przykład historia identyfikacji wiersza LIV z *Vade-mecum* (PW 2, s. 386–387).

<sup>5</sup> Zarzut niezrozumiałości postawił pierwszy Seweryn Filleborn w roku 1840; w tym duchu wypowiedzieli się także Krasiński, Bentkowski, Koźmianowie, Siemiński, Klaczko, Nehring – i chyba jako ostatni profesor Pini w słynnym „komentarzu” do wydanych przez siebie w roku 1934 utworów Norwida.

obsesję i wątki tworzą naturalne bloki w obrębie jego twórczości. Nie jest tych bloków wiele. Dzięki temu, wczytując się w treść różnych utworów w obrębie jednego bloku, można z dużym prawdopodobieństwem zinterpretować nawet najbardziej złożoną myśl poety.

Jest mi bliskie podejście Marty Gaściewicz, która napisała w tekście na temat *Quidama* o „komparatystyce wewnętrznej”<sup>6</sup>. Podobnie i w moim artykule: komparatystyka wewnętrzna określa ramy metodyczne mojej pracy, która opiera się na szukaniu pomocy u samego Norwida (a mniej u jego komentatorów i badaczy), a więc obszernym cytowaniu wątków powtarzających się w jego utworach. Gaściewicz uznając „paraboliczny charakter *Quidama*”, dostrzegła jego związek z realnością dziewiętnastego wieku: „Zestawienie starorzymskiego świata z XIX wiekiem stanowiłoby istotę owego parabolizmu”. Autorka nie definiuje parabolizmu *Quidama* (jednakże „przypowieść”<sup>7</sup> to coś znacznie więcej niż parabola) ani nie wyjaśnia, jak i gdzie manifestuje się on w twórczości Norwida dotyczącej jego epoki.

Norwid był spośród polskich intelektualistów swoich czasów najcelniejszym (i najostrzejszym) krytykiem otaczającej go rzeczywistości. Jego krytyka opierała się na normatywach religii chrześcijańskiej<sup>8</sup>, pojmovanych jednakże jako zbiór zasad pomocnych, wspólnych, humanistycznych, nie zaś restrykcyjnych. Stąd jego częste konflikty z przedstawicielami Kościoła i niezgoda na stosowaną przez nich praktykę, nakazującą najczęściej podporządkowanie się a nie współpracę i oferującą „jedynie słuszną” wykładnię zasad ewangelicznych<sup>9</sup>. W Domu Opieki Św. Kazimierza Norwid był postrzegany jako heretyk przez niektórych współmieszkańców<sup>10</sup>, co mogło wpływać na postawę niektórych siostr zakonnych wobec niego. Istnieje hipoteza, że właśnie one spaliły po jego śmierci część jego dorobku, włączając w to prace o charakterze religijnym (zapewne także utwór *O Mszy Świętej*). Informacja o tym pochodzi (co prawda poprzez osoby trzecie) od księdza kapelana

<sup>6</sup> M. Gaściewicz, „*Quidam*” *Cypriana Norwida – utwór komparatystyczny* [w:] *Norwid wobec historii*, red. E. Chlebowska i Ł. Niewczas, Lublin 2014, ten i kolejne cytaty w tym akapicie: s. 299–310.

<sup>7</sup> C.K. Norwid, *Quidam* (PW 3, s. 79) (Do Z.K. wyjątek z listu).

<sup>8</sup> Na przykład Krystyna Laszczyńska-Fankanowska, *Człowiek i wartości w myśli Cypriana Norwida*, Praca Doktorska, Papięski Wydział Teologiczny we Wrocławiu, Wrocław 2017 ([www.dbc.wroc.pl/Content/47442/PDF/Laszczyńska.pdf](http://www.dbc.wroc.pl/Content/47442/PDF/Laszczyńska.pdf)).

<sup>9</sup> List do Augusta Cieszkowskiego, listopad 1850: „Jako *Kościół* – do którego przez lat parę wstąpić myśl miałem i pracowałem wewnątrz nad tym – to: że gdybym dziś zakonnikiem stał się – *jutro heretżę zrobiłbym* – nie mogąc wchodzić do Kościoła kontemplacji, bo w tym trwam i jestem, ale jako czynnik i pracownik – a *Kościół*, który na Anglię nie przez boleść irlandzką – a na Rosję nie przez boleść polską działa – nie obowiązuje mię w swej akcji i, *o ile jest w tej akcji*, zginic za niewiele już czasów, bo apostołstwo nie jest dyplomacją i kuglarstwem, i kabalistyką, ale prorocstwem szczerym” (PW 8, s. 110–111). List do JB Zaleskiego 8 stycznia 1852: „Pojmujesz, że łatwo zrozumiałem, jaki to mój duch – odciałem kartkę i wypadło tak, że z jednej strony listu było: »Kościelnicy mówią: my mamy prawdy monopol« etc., a z drugiej: «czego ja nie rozumiem, to dla mnie Szatanem i uwodzicielem jest» – dziwny wypadek!” (PW 8, s. 149).

<sup>10</sup> Na przykład Leonard Rettel (PW 10, s. 397).

Domu (najprawdopodobniej Pawła Dylli)<sup>11</sup>. Czy jest wiarygodna? Trudno wyrokować wobec szczupłości i pewnej chwiejności świadectw, ale brak rękopisów o treści religijnej jest uderzający, podobnie jak charakterystyczne szczyrby w *Vade-mecum*. Jest to więc hipoteza prawdopodobna.

Celem mojego artykułu jest próba odnalezienia i pokazania w *Quidamie* i w *Vade-mecum*, w jaki sposób Norwid potraktował zło przewyżczone dzięki walce jednostek (osób) w procesie historycznego rozwoju, a także zło ogrodzone i okopane (czyli będące normą socjalną), a rozpoznawalne poprzez fałsz, hipokryzję, powszechnie przyjęte a złe zwyczaje, i obowiązujące praktyki, z których najdotkliwszą było „falszywe serio”<sup>12</sup>. Poeta patrzył z nostalgią i sympatią na piękno świata starożytnego. Jednocześnie z najwyższym niepokojem i odrazą obserwował rzeczywistość, w której musiał żyć (i umrzeć).

Lektura *Quidama*, w opinii Norwida najambitniejszego jego dzieła<sup>13</sup>, wymaga dobrego przygotowania humanistycznego. Ułatwia to fakt, że w ostatnich dwudziestu latach utwór ten jest często przedmiotem analizy polonistycznej<sup>14</sup>. Dzieje się tak nie bez powodu. Najambitniejsze dzieło Norwida jest równocześnie najbardziej hermetyczne ze wszystkich jego dokonań literackich, stanowi zatem potężne wyzwanie dla czytelników i badaczy. Aby czytać *Quidama* z pełnym zrozumieniem, należy znać całą ocalałą twórczość Norwida; pomaga też znajomość, choćby pobieżna, lektur poety do roku 1857 i wszechstronna wiedza o starożytnym Rzymie. To ostatnie jest ważne, bo odczucie piękna i trafności tego utworu jest częścią jego zrozumienia, a dzieje się to niejako automatycznie, jeśli tylko odczuwa dobrze przygotowany humanista. Można przytoczyć wrażenia Tadeusza Micińskiego<sup>15</sup>, który zwiedzał Rzym z *Quidamem* w rękę i był oczarowany oraz zdumiony tym, jak dokładnie jego własne odczucia dotyczące Wiecznego Miasta przylegały do opisu Norwida. Po powrocie do Polski spróbował przeczytać *Quidama* (na głos) raz jeszcze. I czar prysł: zostały słowa bezładne, ciężkie i niezrozumiałe. Takie też wrażenie odniósł (czemu towarzyszyła w tym czasie niechęć do autora) jeden z pierwszych czytelników *Quidama*, Zygmunt Krasiński<sup>16</sup> (który Rzym znał bardzo dokładnie i sam o nim pisał, ale poemat Norwida czytał nie w Rzymie,

<sup>11</sup> C.K. Norwid, *Dzieła zebrane*, t. 1, Warszawa 1966, s. 860–863.

<sup>12</sup> C.K. Norwid, *Rzecz o wolności słowa (Poematy: PW 3, s. 598–599, w. 152–170)*.

<sup>13</sup> List do Władysława Bentkowskiego maj 1857 (PW 8, s. 307–308).

<sup>14</sup> Subiektywny wybór najważniejszych prac: Z. Zaniewicki, *Rzecz o „Quidam” Cypriana Norwida*, Lublin 2007 (Praca doktorska, Uniwersytet Warszawski [1938]), prace Krzysztofa Trybusia, szczególnie *Pielgrzym w stolicy Cesarstwa*, „Colloquia Norwidiana” 2007, nr IX; P. Chlebowski, „Pomiędzy światem a nocy zniknięciem”. *Próba nowej lektury Norwidowskiego poematu „Quidam”*, „Pamiętnik Literacki” 2014, z. 2, s. 107–125; „*Quidam*”. *Studia o poemacie*, red. P. Chlebowski, Lublin 2011.

<sup>15</sup> T. Miciński, *Źródło w górach. Cyprian Norwid*, „Literatura i Sztuka” [Warszawa] 1914, nr 1.

<sup>16</sup> Relacja Andrzeja Egberta Koźmiana: „Mówi (Krasiński – dop. M.R.L.), że Norwid zupełnie zwariował: napisał poemat o dwóch tysiącach wierszy, które drukować mu kazał, a z którego ani wiersza, ani on, ani nikt nie rozumiał. Oczywiście drukowany nie będzie” (PW 2, s. 347–348).



lecz w Paryżu – PW 11, s. 84, fragment 314). Krasieński (wedle trafnego wyrażenia samego Norwida) był architektem słowa (PW 11, s. 84, fragment 314). Architekt, stwarzając swoje dzieło, musi znać jego przeznaczenie. Cel, punkt dojścia, jest dla niego wszystkim. W *Quidamie* Krasieński celu nie znalazł, bo go tam nie ma; zastosowanej w nim nowej metody opisu społeczeństwa starożytnego nie rozumiał i nie akceptował. Dobrze opisał tę metodę Piotr Chmielowski<sup>17</sup>, który scharakteryzował *Quidama* w sposób następujący:

Chciał wyrazić, a raczej dać uczuć pojęcia nieskończone za pośrednictwem takich połączeń słów, któreby działały na czytelnika suggestywnie. Posługiwał się tedy symbolami. W przedmowie do swego najobszerniejszego poematu, nazwanego przypowieścią p.t. *Quidam* [...] uprzedzał, że „intrygi i węzła dramatycznego wiecej się wystrzeżał”<sup>18</sup>.

W latach, w których *Quidam* powstał, taka metoda literacka była czymś więcej niż rewolucją: była nie do pomyślenia. Norwida często uważa się za nierozpoznanego i pobocznego (ze względu na język) prekursora europejskiego symbolizmu<sup>19</sup>. Jednak w *Quidamie* osiągnął więcej niż symbolizm: w formie przypowieści zmanifestował w praktyce odczytanie „metafizyki społecznej” (*signum temporis*, niewidzialnego wyznacznika danych czasów, który jak duch unosi się nad społeczeństwem). Są to myśli, odczucia i działania ludzi z czasów cesarza Hadriana, jednego z bardziej oświeconych rzymskich władców. Można powiedzieć, że jest to jedynie hipoteza, której nie można w żaden sposób zweryfikować. To częściowa prawda, kompletna weryfikacja jest bowiem niemożliwa. Norwid jednakże, po dokładnym przestudiowaniu źródeł, także bardzo niekonwencjonalnych (jak na przykład nigdzie niezarejestrowane rzeźby, rysunki i napisy), pokusił się o holistyczne przybliżenie tych czasów. Tak powstał *Quidam*.

Dlaczego *Quidam* i praca nad nim były dla Norwida tak ważne? Pytanie, z którym poeta zmagał się przez całe życie, brzmiało: starożytność stworzyła świat skuteczny, logiczny i piękny. Jej model świata był dobry, miał niezwykłą moc<sup>20</sup>. Jak to możliwe że zastąpił go – w krótkim czasie – model chrześcijański? Jak to się stało? *Quidam* jest jedną z odpowiedzi Norwida na to pytanie<sup>21</sup>. Jest to pytyjskie proroctwo dla epoki: pokaż mi jakieś swoje przypadkowe zdarzenie, a powiem ci,

<sup>17</sup> P. Chmielowski, *Historia literatury polskiej*, Warszawa 1900, t. 5, s. 135.

<sup>18</sup> Jeszcze lepsza jest charakterystyka Zygmunta Łapińskiego: „Trzeba zresztą dodać, że podporządkowanie zewnętrznych stron cywilizacji jej wewnętrznym wartościom, jej głęboko pojętemu stylowi, przyniosło nawet z punktu widzenia jakości obrazowych wyników niezwykle. Czytając *Quidama*, fizycznie niemal obcujemy ze światem starożytnym”. Tęgoż, *Norwid*, Kraków 1971, s. 74.

<sup>19</sup> W. Rzońca, *Symbol w dziele Cypriana Norwida*, Warszawa 2011.

<sup>20</sup> W twórczości Norwida pojawia się wiele różnych odniesień, m.in. w *Plato i Archita* [w:] C.K. Norwid, *Dzieła zebrane* t. 1, Warszawa 1966, s. 518–519; C.K. Norwid, *Rzecz o wolności słowa* (PW 3, s. 563–617).

<sup>21</sup> Innej odpowiedzi na to pytanie Norwid udzielił m.in. w utworze *Słodycz. Tragedia w scenie jednej* (PW 4, s. 269–278).

kim jesteś – i co cię czeka. *Quidam*, „młodzian z górnego Epiru” jest *tabula rasa* – świeży, niewinny, szuka dobra i prawdy. I ginie przypadkiem na targu. Śmierć na targu, w drodze do dobra i prawdy, gwałtowna i drastycznie niesprawiedliwa, jest wyrokiem dla społeczeństwa. Przypadek jest proctwem i wyrokiem. To na tej zasadzie kamień, który odrzucają budowniczo, staje się kamieniem węgielnym. Czegóż brakowało systemowi starożytnemu, tak logicznemu i pięknemu, który i dziś mówi do nas z wielką siłą, po upływie dwóch tysięcy lat? Co podpowiada nam *Quidam*?

Przez bramę miasta, przez winnic kwadraty,  
 Furtki owiane w roślin aromaty,  
 Którym bluszcz służy jak zwiewna zasłona,  
 Strzegą zaś ręką nie sadzone kwiaty –  
 Przechodzić trzeba do Mistrza Jazona.  
 Nareszcie, skutkiem tej różnaitości,  
*Dziwniej niż przedziej*, stoisz tuż przy murze,  
 W który się schody zanoszą nieduże  
 I wisi młotek brązowy, w kształt kości,  
 Zerdzony spodem, od wierzchu świecący,  
 Że go gość każdy oczyszcza niechęący.  
 Tym raz uderzasz, i wchodzisz w ciemnicę [...]

(PW 3, s. 124, w. 1–12).

Jest to krótka, ale istotna migawka świata antycznego w przypowieści Norwida (całość w drobnym fragmencie). Opis to zapewne symboliczny: naturalną harmonię zmysłów i natury, powolną a zaskakującą, i świat filozofii antycznej („Mistrza Jazona”) dzieli tylko dźwięk gongu. Ale rzeczywistość *Quidama* to także niesprawiedliwa przemoc pominięta i zignorowana przez współczesnych, bo wydaje się im zwyczajna. Na rynku przypadkowo zginął „młodzieniec z górnego Epiru”. Należy tu zwrócić uwagę na obecność kwiatów: w *Quidamie* towarzyszą one i filozofii, i przemocy, bowiem wobec niedoskonałości ludzkiej natura jest zawsze taka sama. Zaś „ogrodnik” symbolizuje tutaj zmartwychwstanie Jezusa (takim wydawał się Jezus Marii Magdalenie w pobliżu grobu, rankiem, w niedzielę wielkanocną).

Ogrodnik tylko, obecny tej sprawie, [mowa tu o zabójstwie Epirczyka na targu – M.R.L.]  
 Wyciągnął rękę i rzekł: „Błogosławię  
 Duszy twojej – a wy! Co znaczy skonanie  
 Młodzieńca tego, kiedyś się dowiecie –  
 Którzy jesteście ślepi Kainanie,  
 Rozbijający braterstwo na świecie,  
 Obrazy stawiając własnego zbłąkania  
 Czynami, z których każdy was odslania –

(PW 3, s. 212, w. 1–8).

[...] Młodzieńca cichy trup leżał, okryty  
Kwiatami z koszów gwałtem wyrwconych –  
Pies jakiś wietrzył krew – jakieś kobiety,  
Przechodząc, kilka róż mało zboczonych,  
Podniosły – cicho było i zielono

(PW 3, s. 213, w. 25–29).

Wypowiedź ogrodnika Gwidona, cytowana wyżej, to chrześcijańska diagnoza zła w świecie antycznym. W świecie tym wiedziano doskonale<sup>22</sup>, czym jest świętość, dobro i prawda, ale istniały one głównie w pismach i mowach filozofów, nie w dotykanej i codziennej rzeczywistości. Ostatni raz widziano je ucieleśnione w postaci i przykładzie Sokratesa. Brakowało ich zwłaszcza w czasach cesarów, gdy Rzym stał się scentralizowanym, jedynowładczym, potężnym mocarstwem militarnym. To wówczas, w czasach cesarów, powstała „rzymskość” jako pojęcie socjalne, mimo ogromnej różnorodności ludzi zamieszkujących to państwo. „Rzymskość” jest tutaj zdefiniowana jako niekwestionowana akceptacja i entuzjastyczna aprobata wszystkich powszechnie obowiązujących praw i zwyczajów Cesarstwa Rzymskiego od czasów Augusta do czasów Konstantyna Wielkiego (nie włączając jednak tego ostatniego), a więc do roku 306 n.e.

Norwidowska krytyka rzymskiego antycznego społeczeństwa polegała na wykazaniu, że ktokolwiek w tym społeczeństwie szukał sokratejskiej prawdy i realnego, skutecznego dobra (niezależnie od jakiegokolwiek religii) – ten narażał swe życie i sumienie na wielkie ryzyko. Większość ludzi w każdym czasie historycznym ucieka od niepotrzebnego i negatywnego ryzyka. Dlatego chrześcijaństwo, ryzykując życiem swoich wyznawców, w imię miłości, dobra i prawdy o Bogu i o człowieku, przezwyciężyło świat starożytny. Nietrudno zauważyć w *Quidamie* wzajemne znoszenie się różnych postaci i różnych starożytnych idei; mocnym wyrazem tego jest chaos życiowy bohaterów poematu. Badacze twórczości Norwida podejmowali już ten temat<sup>23</sup>. Tylko chrześcijaństwo wzywało w starożytności do wspólnego budowania (wokół osoby i ofiary Chrystusa) – rozpoczynając krętą i czasem tragiczną drogę, prowadzącą w późniejszych czasach do uznania świętości życia i uszanowania godności osoby ludzkiej. Czy w swojej współczesności Norwid dostrzegł te same cechy, które zauważył w społeczeństwie Rzymu doby cesarów i które opisał w *Quidamie*? I czy je świadomie zestawił? Jakie wyciągnął wnioski z tego zestawienia?

<sup>22</sup> Por. Diogenes Laertios. *Żywoty i poglądy słynnych filozofów*, przeł. K. Leśniak, Warszawa 2004, s. 87–104, 163–211, 369–442, 599–658.

<sup>23</sup> Trzy kręgi kulturowe obecne w *Quidamie*: grecki, żydowski i rzymski nie tylko są w głębokim kryzysie, w stadium schyłkowym, ale są dynamicznie przeciwstawne. Zob. Z. Zaniewicki, *Rzecz o „Quidam” Cypriana Norwida*, dz. cyt. Ten wątek rozwinął Piotr Chlebowski analizując symbolikę chaotycznych wędrowek głównych bohaterów po Wiecznym Mieście. Zob. tegoż, „*Pomiędzy światem a nocy zniknięciem*”. *Próba nowej lektury Norwidowskiego poematu „Quidam”*, dz. cyt., s. 107–125.

Odpowiedzi na te pytania można znaleźć w *Vade-mecum*, a użyteczne podpowiedzi w samym *Quidamie*: „Klaskaniem mając obrzękłe prawice... / „Czemu? Dlaczego? W przesytu-Niedzielę / Przyszedłem witać i żegnać tak wiele?... (odpowiednik w *Quidamie*: rozbicie braterstwa; patrz wyżej, s. 6, w. 6), „Nic nie uniósłszy na sercu prócz szaty – / Pytać was – nie chcę i nie raczę: katy!...” (odpowiednik w *Quidamie*: „ślepi Kainanie”<sup>24</sup>; patrz wyżej, s. 6, w. 5). Ciąg dalszy tego samego utworu zawiera gnomiczne i skondensowane wnioski Norwida wynikające z zestawienia cech starożytności dostrzeżonych w *Quidamie*, i cech współczesności poety:

Mając pod stopy katakomb korytarz,  
Nad czołem słońce i jaw, ufny w błędzie,  
Tak znów odczyta *on*, co ty dziś czytasz,  
Ale *on* spomni mnie... bo mnie nie będzie!  
(PW 2, s. 17, w. 13–16)

Mimo pamięci o dorobku chrześcijaństwa i jego ofierze („katakomb korytarz”), mimo tej samej „rzymskiej”, pełnej uroku natury („nad czołem słońce i jaw”), człowiek współczesny jest „ufny w błędzie”, uznając tylko twórczość bez twórcy („Ale *on* spomni mnie... bo mnie nie będzie!”). Czy jest w tym uznanie dla osoby człowieka? Norwid rozwija te wątki w *Quidamie* i w *Vade-mecum* w podobny sposób. Dalsze dowody przedstawione są poniżej:

Z Epiru młodzian, wśród czasowych mętów  
Zawiei, mroku pełnej i łyskania,  
Nie znał był jeszcze onych dyamentów,  
Co do kolebek dżdżą dziś przez podania –  
Nad piersią matki paciorkami wiszą,  
U nianiek nawet uszów się kołyszają –  
I pod dziecięcą ochrzczonego stopy  
Że położyły się raz jako snopy,  
Urasta z czasem człek do tyła dziki,  
Iż nogą depce zbloconą te skarby,  
Co mędrce w pocie, we krwi męczenniki  
Powykreślali i ubrali w farby --  
-----  
(PW 3, s. 189, w. 20–32).

A oto ten sam motyw w *Vade-mecum*, ograniczony do stwierdzenia faktu profanacji Źródła – w czasach już chrześcijańskich:

– ten deptał modrą Źródła żyłę,  
Jakoby wstęgę, która mu sandał oplotła,

<sup>24</sup> Przeciętny Rzymianin nie miał pojęcia, kim są „Kainanie”. Oba cytaty z Norwida: PW 2, s. 16, w. 21–24.

Lub szargała się w prochu, gdzie ją stopa wgniotła.  
 Śmiech człowieka był wścickły – wymowa odrębna:  
 Coś – jak tętno za trumną noszonego bębna,  
 Którym wybrzmiewał sarkazm, chrypnąc z nienawiści:  
 „Patrzenie!... jak Duch-stworzenia obuwie mi czyścić!...”  
 (XCIII, *Źródło*, PW 2, s. 133, w. 12–18).

Bohater *Quidama* jest ideowo bezradny (szuka dobra i prawdy, ale brak mu możliwości wyboru), bo „dyjamentów” wypracowanych przez chrześcijaństwo w ówczesnej rzymskości nie było. Motyw sprofanowanego źródła jest bardzo częsty w twórczości Norwida. Oto fragment listu do Władysława Bentkowskiego z maja 1857, dotyczącego prób wydania *Quidama*:

Grubianie bez serca i sumienia – od czasu do czasu gniewający się, że im maltretują tradycje i język, i uczucia narodowe, a **depcący** od rana do wieczora płuca własne człowieka-zbiorowego pospolitej rzeczy. [...] Aż im z-hańbią języka własnego godność instytucyjnymi obcymi potęgami, aby poznali, że nie tam się ratuje język, ale w *źródłach jego*. Aż im wodę powylewają z karafek i szklanek, aby poznali, że ona tam ze *źródła* naczepywana jest [tłusty druk: M.R.L.; italika: C.K.N.] (PW 8, s. 307–308).

Jakie są konsekwencje sprofanowania źródeł? Jest to endemiczny, uświęcony normami socjalnymi, brak uszanowania dla oryginalnej i użytecznej, prawdziwej twórczości. Czytamy w *Quidamie*:

Niejeden stawał, nie tykając ziemi,  
 Wszech-skrytykowan i wszech-opuszczony:  
 Konając w sobie z pragnienia i głodu,  
 Współcześnie plwany i współcześnie czczony,  
*Jak na pal wbity na dumę narodu.\**  
 – Ci zaś, co prawd mu z serca dobywali,  
*By wiedzy dostać, nie spociwszy czoła,*  
 Nie znali, biedni – ach! – że kryształ soli  
 Każdy ma prawa swe – i Archaniola,  
 Co im pogwałcić tych praw nie pozwoli.\*\*  
 (PW 3, s. 190, w. 11–20)

\* W Efezie po wygnaniu jednego obywatela wniesiono prawo tak brzmiące: „Niech nikt nie śmie nikogo w niczym przewyższyć!”

\*\* Wiadomo, czemu np. Sokrates już nie mógł używać poufnego sposobu nauczania, ale mawiał, przypuszczając zawsze naprzód, że słuchacz wie dobrze, co mu powie-dzieć miał.

[przypisy Norwida – M.R.L.; PW 3, s. 190]

Norwid pisze tutaj o sobie i o zachowaniu się jego literackich przyjaciół, o nieuszanowaniu twórczości indywidualnej w imię socjalnego konwenansu. Nie

powinno nas zanadto dziwić, że adresat tych wierszy (Zygmunt Krasiński) *Quidama* drukować nie chciał. Jaka paralela dla przytoczonych powyżej wierszy znajduje się w *Vade-mecum*? Jest to okrutny, sarkastyczny, czarny wiersz końcowy *Do Walentego Pomiana Z.*, który bezpośrednio nawiązuje do *Quidama*:

Również – gdy mam już prawdę mówić tym Ichmościom –  
 Zgon Zygmunta toż winien „Polskim Wiadomościom”\*\*\*  
 Inaczej bowiem: „Owszem! – rzekliby – przy zgonie  
*Czuliśmy blask, co jego ustoneczniał skronie,  
 Rok żałoby, jak Grecja, nosząc po Byronie!*”  
 A kto by śmiał zaprzeczyć, byłby to już istny  
 „Machiawel i demagog, i człowiek zawistny!”[...]  
 Otóż – tych rzeczy wcale ubarwiać nieskory,  
 Marzyłem o powieści bynajmniej okazałej,  
 A która działałaby się prozaicznej pory [...]

[Dalej następuje streszczenie i objaśnienie *Quidama* – M.R.L.]

O! tak, o! tak, mój drogi... czas idzie... śmierć goni,  
 A któż zapłacze po nas – kto? – oprócz *Ironii*.[...]  
 Kto przy mnie jest, i fałsze wyrzucą macosze?  
 Owszem: *quantumque reges delirant, Achivi  
 Plectuntur...*<sup>25</sup> I jest w błędzie, kto się temu dziwi.[...]  
 I właśnie, gdy rzecz wszczynam poziomego toru<sup>26</sup>,  
 To nie przeto, ażebym sługą był wyboru,  
 Lecz że mię wciąż dolata trumny zatrzask nowój.  
 Dziennik donosi: „*Ten się struł, zabił się owy:*  
 Pracował w Ossolińskich księgozbiorze sporo –  
 Zbyt czuwał – konstytucję nie dość krzepił chorą...”\*\*\*\*

\*\*\* „*Wiadomości – Polskie*” – numer pisma, w którym jest doniesienie, *jak?* Była uszanowaną chwila zgonu świętej i coraz wiekopomniejszej pamięci największego poety czasu swego, Zygmunta Krasińskiego – co wszelako następnie wraz się zatarło i pokryło.

\*\*\*\* *Felicjan Lobeski* (pisarz-malarz), a następnie i ten, do którego niniejszy list był *pisany!*... Przyczyna tragiczna, dla której wiersza tego nie położyło się na wstępie do przypowieści *Quidam*: raz, że zalegał list ten w papierach zgasłego; drugi raz, że boleśnie było przez długi czas do rękopisu tej treści, i treści *naprzód określonej*, zbliżyć się. – C.N. (PW 2, s. 153–154; 157–158).

<sup>25</sup> Horacy, *Epistolae* I 2, w. 14: *Quidquid delirant Reges, plectuntur Achivi!* „Kiedy tylko coś złego zrobią królowie, odpowiedzialnymi czyni się Achiwów” (czyli zwykłych Greków). Przekład M.R. Lipiński.

<sup>26</sup> Ponowne nawiązanie do *Quidama* i śmierci Epirczyka.

*Quidam* i *Vade-mecum* to dwa różne utwory niosące tę samą ideę: „nieuszanowanie osoby człowieka” ma fatalne konsekwencje dla społeczeństwa (a w *Vade-mecum* szczególnie nieuszanowanie dla osoby twórcy). W *Quidamie* jest to przegrana rzymskości z chrześcijaństwem (w rzeczywistości była to klęska pożądana i pozytywna w rozrachunku historycznym, lecz pełna ofiar w czasie bieżącym). W *Vade-mecum* jest to zatrata najwartościowszych, twórczych ludzi (takich jak Szopen czy Walenty Pomian Zakrzewski) na skutek endemicznego zła w życiu społeczeństwa (Norwidowski opis i synteza powyżej).

Wedle świadectwa współczesnych<sup>27</sup> Norwid był człowiekiem czynnym, współczującym, pomocnym i skutecznym, gdy udzielał komuś pomocy. Ale był też krytyczny i niekiedy złośliwy, co wynikało z wielkiej bystrości umysłu, zdolności obserwacyjnych, bezkompromisowości w dążeniu do prawdy i mówieniu o niej, a także piętrzących się trudności życiowych. Cechy te są najbardziej widoczne w drugiej połowie jego życia, po powrocie z Nowego Jorku; ich manifestacja wywoływała często gwałtowną reakcję otoczenia i niewątpliwie przyczyniła się do wzrastającej samotności poety<sup>28</sup>. Jednak Norwid umiał, różniąc się głęboko, cenić równie mocno i głęboko. Wiersz *Do Walentego Pomiana Z.* jest apoteozą jego fałszywego przyjaciela i prześmiewcy, Zygmunta Krasińskiego. Norwid potrafił docenić jego talent i zasługi, i nie wahał się swej oceny upublicznic, choć widział i rozumiał świetnie<sup>29</sup>, że to on był instygatorem jego klęski artystycznej i literackiej, którą tak podsumował Józef Ignacy Kraszewski: „Norwid w ostatnich swych poezjach dorznął się na sławie swej. Nikt, zdaje się, nie kupi [...]” (PW 9, s. 576). Wybrzmiewa ona również w powiedzeniu powtarzanym w polskich salonach od Londynu i Paryża do Petersburga: „Na nic ci perspektywa (czyli lornetka – uwaga M.R.L.) we śnie się nie przyda; Tylebyś przez nią widział, co w wierszach Norwida”<sup>30</sup>.

W odpowiedzi na oskarżenia o niezrozumiałość Norwid podjął realizację programu stworzenia moralistycznej poezji polskiej, trudnej w treści, nowatorskiej w formie, głęboko intelektualnej. Przedmiotem tej poezji miała być współczesność, a jej zakresem – „europejskość”. W tym kontekście „europejskość” może być zdefiniowana jako zespół praw, zwyczajów i zasad socjalnych, a także szeroko pojęte ich

<sup>27</sup> W listach Norwida znajduje się wiele świadectw jego współczucia dla innych i udzielania im skutecznej pomocy (na przykład pani Glaubrecht czy rodzinie zmarłego malarza Szermentowskiego) (PW 11, s. 447–501).

<sup>28</sup> Najbardziej jest to widoczne w jego relacjach z Krasińskim i kręgiem jego przyjaciół (ale nie przyjaciółek!), z Teofilem Lenartowiczem i z kuzynem Norwida, sinologiem Michałem Kleczkowskim.

<sup>29</sup> Nie zgadzam się tutaj z Gomulickim, który reakcję Norwida na chorobę i śmierć Krasińskiego tłumaczył niewiedzą. Norwid, obracający się jeszcze na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych dziewiętnastego wieku wśród polskiej arystokracji mieszkającej stale lub czasowo w Paryżu, był świetnie poinformowany o tym, co o nim mówiono w salonach, a także kto i kiedy to mówił. Plotka i „szpila” salonowa w tamtych czasach były zresztą tak skierowane, by szybko dotrzeć do zainteresowanego lub zainteresowanej i jak najboleśniej uderzyć.

<sup>30</sup> C.K. Norwid, *Pisma wybrane*, t. 5, *Listy*, wybrał i oprac. J.W. Gomulicki, Warszawa 1968, s. 386.

praktykowanie (na przykład zwyczaje panujące w salonach; zasady obowiązujące przy zawieraniu małżeństw; stosunek do pracy twórczej) w wieku dziewiętnastym w Europie w latach 1840–1880, niezależnie od dominujących w tym czasie prądów i postulatów intelektualnych wykształconej części społeczeństwa, i niezależnie od granic państw, różnic narodowych i polityki. Najcelniejsze realizacje programu poety to *Vade-mecum*, *A Dorio ad Phrygium*, *Emil na Gozdawiu*, *Aktor* i *Pierścień Wielkiej Damy*. Treścią Norwidowego programu była krytyka europejskości w świetle moralnych i intelektualnych dokonań chrześcijaństwa. Jakie były najważniejsze punkty tej krytyki? Zawierają się one w odpowiedziach Norwida na pytanie, co we współczesnych mu czasach zrobiono z osobą ludzką i wartościami, wypracowanymi w pocie czoła przez niezgrabne, ale ciężko pracujące chrześcijańskie średniowiecze. Kolejno przytaczam najważniejsze świadectwa znajdujące się w *Vade-mecum*.

Takiej to podobna jędzy  
Ludzkość, co płacze dziś i drwi;  
– Jak historia?... – wie tylko: „krwi”!...”  
Jak społeczność?... – tylko: „pieniędzy!”...”

XIII. *Larwa*

*Sukces* bożkiem jest dziś – on czarnoksiężstwo  
Swe rozwinął jak globu kartę;  
Ustąpiło mu nawet i *Zwycięstwo*  
Starożytne – wiecznie coś warte!  
Aż spostrzeże ten tłum u swej mogiły,  
Aż obłądana ta spostrzeże zgraja:  
Że – *Zwycięstwo* wytrzeźwia ludzkie siły  
Gdy *Sukces*, i owszem... *rozpaja!*...

LXXXVII. *Omyłka*

Cywilizacji dwie – widzę ustawnie:  
Jedna – chce wszystko *odkrywać* na serio,  
Druga – chce wszystko *pokrywać* zabawnie  
Świetną liberią!...  
Odkrywająca?... – wciąż idzie do słońca:  
„*Czekajcie!* – mówiąc pokoleniom – *bowiem*,  
Gdy szereg odkryć mych spełnię do końca,  
*Coś – i wam powiem!*...”  
Zakrywająca?... – cieszy znów inaczej:  
Pokaż jej łez zdroj?... – ona odpowiada:  
„*Nie trzeba zważać na to... co? to znaczy!*...  
*Może – deszcz pada.*”

XXIV. *Sieroctwo*



– Jak gdy się czyje zmysły umyślnie zatwardzą,  
Lub... jak kiedy *się kochać Ludzkości nie umie!*

LII. *Tajemnica*

Z wszelakich kajdan, czy? Te są  
Powrozone, złote czy stalne?...  
Prześlątkami najbardziej krwią i łzą –  
*Niewidzialne!...*

LIII. *Zagadka*

(Wszystkie wiersze według: PW 2, s. 30–122).

Stawiam hipotezę, że w ostatnim wierszu Norwid mówi o związku mężczyzny i kobiety w czasach sobie współczesnych i o wypaczeniu ideału małżeństwa (kajdany „złote”)<sup>31</sup>. Za taką interpretacją (uprawnioną wyłącznie w odniesieniu do *Vade-mecum*) przemawiają relacje między wierszami tworzącymi ten cykl<sup>32</sup>. Wiersz LI. *Moralności* mówi o dwóch tablicach chrześcijańskiego prawa: całej „historycznej” i rozbitej „socjalnej”, którą dopiero w przyszłości złoży w całość „gniew, co zbił tablice” (PW 2, s. 79, w. 9). Wiersz następny (LII. *Tajemnica*) próbuje wyjaśnić, co przeszkadza złożyć w całość zbitą tablicę „socjalną” wieku dziewiętnastego: jest to brak miłości chrześcijańskiej (poprzez odniesienie do świata antycznego Rzymu!), a w następstwie brak, lub fałszerstwo, miłości personalnej, jednostkowej. Brak ten jest przedmiotem utworu LIII. *Zagadka*. To, że w małżeństwie dziewiętnastowiecznym brakowało prawdziwego szacunku dla człowieka (na poziomie personalnym Norwid mówi najczęściej o kobiecie, co jest widoczne w bardzo wielu jego pismach<sup>33</sup>), miało rozliczne (najczęściej tragiczne) konsekwencje. Poeta

<sup>31</sup> C.K. Norwid, *Dzieła zebrane*, t. 2, dz. cyt., s. 804 w. 1–3. Krytycyzm Norwida wobec współczesnej mu instytucji małżeństwa najmocniej wybrzmiewa w jego listach. Oto przykłady: Kamila Lemańska, narzeczona poety, poślubiona przez p. Biernackiego, a następnie porzucona (PW 8, s. 112); córka marszałkowej Kuczyńskiej, poślubiona dla posagu przez hr. Tadeusza Ostrowskiego, a następnie doprowadzana przez niego do choroby nerwowej; zwyczaj ówczesne zmuszały ją do utrzymania męża nawet po ucieczce z Paryża do matki, do Korczewa. (PW 9, s. 246–250; 578; 581–582).

<sup>32</sup> Łapiński odmawia uznania zidentyfikowanych i opublikowanych zasad, według których Norwid ułożył *Vade-mecum*, choć przyznaje, że zasady takie istnieją: „*Vade-mecum* skomponowane zostało przez autora w pewną całość. Nad zasadą, która wskazywałaby na charakter związków występujących między poszczególnymi utworami, zastanawiano się dostatecznie często (najwięcej miał do powiedzenia J.W. Gomułicki), ale spekulacje te były dosyć dowolne i chyba mało kogo przekonały. Mimo to musimy przyjąć, że istnieje elementarny poziom, na którym spotykają się wszystkie utwory”. Tegoż, *Pieśń zwycięska*, „*Studia Norwidiana*” 1994–1995, nr 12–13, s. 147. Uwagi te pozostawiam bez komentarza.

<sup>33</sup> PW 1, s. 396–398 (*Vanitas vanitatis*, gdzie są też uwagi na temat duchowieństwa), PW 9, s. 246–250; list do Joanny Kuczyńskiej z lipca 1866 (PW 9, s. 559) i wiele innych listów. Także rozprawka prozą dla dwóch zaprzyjaźnionych kobiet (!): Konstancji Górskiej i Joanny Kuczyńskiej (*Archeologia*, PW 6, s. 71–76). Znamienna jest także historia pierwszego małżeństwa ojca poety z trzynastolatką, która zmarła w wieku lat szesnastu. Wszystkie te pisma i fakty (jak ostatni) odnoszą się do poglądu Norwida, że społeczeństwo dziewiętnastowieczne nie miało istotnego

odmawiał uczestnictwa w tej „farsie”; w latach późniejszych grzecznie, ale zimno odsuwał wszelkie próby „ożenienia go” ze strony dobrych i więcej niż życzliwych mu przyjaciół, właśnie ze względu na swe szerokie i dobrze uzasadnione poglądy na sprawy polskich małżeństw i polskich rodzin<sup>34</sup>.

Takiej interpretacji wcale nie przeczy dołączenie przez Norwida *Zagadki* (jednakże bez tego tytułu) do listu do Karola Ruprechta z dnia 2 listopada 1865 (PW 9, s. 196–197), dotyczącego dziennikarstwa i ruchu umysłowego w Polsce (a więc tematu bardzo szerokiego). W liście tym znalazło się bowiem znamienne zdanie: „Jeżeli więc przyjmuje się formy, aby się wycofać od obowiązków... zaiste że nie wiem, czemu taki liryczny utysk na Turzonów i Murawiewów?” (PW 9, s. 196–197). To stały motyw twórczości Norwida, dotyczący małżeństwa i rodziny w Polsce. Jednak poeta większość swych utworów traktował polifonicznie – w planowaniu i wykonaniu. Tę polifoniczność podkreśla wielokrotnie Zbigniew Łapiński w swej książce<sup>35</sup>. Małżeństwo i rodzina to niejedyne kajdany przywoływane w *Zagadce*. W innym liście, do Mariana Sokołowskiego (PW 9, s. 198–201) treść tego wiersza (cytowanego w tymże liście w innej niż w *Vade-mecum* redakcji) nawiązuje do faktów niemożności mówienia prawdy w społeczeństwie. Są to jakby kajdany polskiego społecznego zakłamania.

Trzy kolejne wiersze wyjaśniają te tragiczne konsekwencje: LIV *Jak...* przedstawia smutek takiego wyboru, wynikający z konieczności odrzucenia małżeństwa w wieku dziewiętnastym – wobec piękna kobiety i uroku niektórych romantycznych sytuacji (jest to jeden z najpiękniejszych liryków Norwida). LV *Kółko* bezpośrednio opisuje przepaść „w zabawie poufnej”; LVI *Czułość* dotyczy czułości historii i natury przeciwstawionej czułości wdowca, który „zwykł” nosić zegarek (srebrny) na plecionce z włosów zmarłej żony. Ironia Norwida doszła tu do swoistego apogeu<sup>36</sup>.

Jak niewiele jest ludzi i jak nie ma prawie  
Pragnących się *objawić!*... – Przechodzą – przechodzą –  
Odpychają się, tańcząc z sobą lub w zabawie  
Poufnej, kłamią płynnie, serdecznie się zwodzą: [...]  
*To – nasi!*” – szczerzej Niebo łączy lazurowe  
Tysiąc ludów, co rzną się przez wieki, bo szczerzej  
Z każdego aby jeden w wspólne Niebo wierzy.  
LV. *Kółko* (PW 2, s. 84)

i prawdziwego szacunku dla kobiety.

<sup>34</sup> PW 10, s. 362 (biografia Marii Ksawery Bolewskiej, która, jak się zdaje wielokrotnie, próbowała Norwida ożenić). PW 9, s. 36–39, list do Joanny Kuczyńskiej, maj 1862 (PW 9, s. 305–306); listy do Konstancji Górskiej z 13 i 15 września 1867 (PW 9: s. 607–608); najbardziej chyba ironiczny i wręcz jadowity wyraz poglądów Norwida na współczesne mu polskie małżeństwo.

<sup>35</sup> Z. Łapiński, *Norwid*, s. 28–35. Autor używa cokolwiek skomplikowanego słowa „wieloperspektywność” w odniesieniu głównie do praktyki językowej Norwida.

<sup>36</sup> Zgadzam się tutaj z interpretacją J. W. Gomulickiego (jedną z wielu interpretacji tego wiersza). Por. C. Norwid, *Dziela zebrane*, t. 2, dz. cyt., s. 810–813.

Prześlizne i okrutne, sarkastyczno-ironiczne, niepełne poematy *Emil na Gozdawiu* i *A Dorio at Phrygium* (PW 3, s. 299–330) (zakończenia zatracone przez mających dostęp do spuścizny literackiej po Norwidzie a nie przez poetę, który kaligraficznie przepisał swoje bruliony, co widać po tym, co ocalało – PW 3, s. 746–752), bardziej jeszcze niż *Vade-mecum* akcentują bez-chrześcijańską ultrakatolicką – tylko z nazwy – polską prowincję. Łączność tych poematów z *Vade-mecum* dokumentuje fakt, że wiersze LIV *Jak...* i LV *Kółko* występują zarówno w *Vade-mecum*, jak i w *A Dorio ad Phrygium*.

Do tej pory omawiane były utwory poety zawierające ogólną krytykę dziewiętnastowiecznego społeczeństwa. Twórczość i tworzenie w tym kontekście były wspomniane marginalnie, choć wyraźnie. Jak Norwid widział traktowanie artystów (jako posłańców dobra i prawdy) przez społeczeństwo? Czy byli cenieni? Czy znajdowali tak potrzebną pomoc? Czy ich dziedzictwo było szanowane? W zakończeniu *Vade-mecum* powraca motyw z początku zbioru: „ale on spomni mnie... bo mnie nie będzie!” (PW 2, s. 17, w. 16):

– I oto: jak zacna myśl człowieka,  
 Poterany jest gniewami ludzi,  
 Lub *jak – od wieka*  
*Wieków – wszystko, co zbudzi!*  
 I – oto – jak ciału Orfeja,  
 Tysiąc Pasyj rozdziera go w części;  
 A każda wyje: „*Nie ja!*...  
*Nie ja*” – zębami chrześci - -  
 Lecz Ty? – lecz ja? – uderzmy w sądne pienię,  
 Nawołując: „*Ciesz się, późny wnuku!*...  
*Jękły – głuche kamienie:*  
*Ideal, sięgnął bruku - -*

XCIX. *Fortepian Szopena* (PW 2, s. 147, w. 6–17)

*Fortepian Szopena* jest świadectwem (bardzo gorzkiego) „tryumfu”, który wprowadzić zapewnia byt wielkiej sztuce, ale zabija twórcę, jest więc w swej naturze pogański, antyhumanistyczny<sup>37</sup>. Chciałbym w tym miejscu przywołać argumenty przemawiające za taką interpretacją jednego z najsłynniejszych wierszy Norwida. Był on poetą potężnych, pozytywnych, twórczych kwestii moralnych, których klęskę społeczną starał się jak najostrzej piętnować. Walka o nie była zawsze obecna w jego osobistym działaniu, w prywatnych listach, w twórczości artystycznej i literackiej. Do najważniejszych świadectw ich pogwałcenia należały: zlekceważenie i następujące po nim rozmyślnie lub bezwiednie niszczenie i zniszczenie czyjejs ważnej, istotnej twórczości (*Coś ty Atenom zrobił, Sokratesie; Do Walentego*

<sup>37</sup> Por. moją interpretację *Fortepianu Szopena*?: M.R. Lipiński, *Człowieku, co chciałbyś wiedzieć?*, Poznań 2019, s. 99–103.

*Pomiana Z.*, PW 2, s. 151–158, 235–236)<sup>38</sup>; opór i unicestwienie twórczości proporcjonalne do ich wartości humanistycznych i chrześcijańskich<sup>39</sup>; sytuacja, gdy niszczące ją osoby i grupy udają, że wcale tego nie robią, wypierają się wszelkiej odpowiedzialności za wynik swych działań<sup>40</sup>; wysoka cena smutnego zwycięstwa twórczości, ofiarą bowiem w większości przypadków pada sama osoba twórcy; zwycięża tylko sztuka, a sam twórca zostaje zniszczony, często w sposób okrutny, barbarzyński, niechrześcijański (np. *Coś ty Atenom zrobił, Sokratesie i Wielkość* – PW 1, s. 235–236, 348–349). Jeśli odczytamy fragment końcowy *Fortepianu Szopena* według tego klucza, to jasne staje się, że nie jest to „pieśń zwycięska”, ale raczej pieśń nieciernej i barbarzyńskiej ofiary dla, choć nigdy w imię, prawdy, miłości i sztuki. Interpretacja ta jest odmienna od dotychczasowych odczytań tego utworu. W ograniczonym objętościowo artykule nie sposób omówić wszystkich interpretacji – można jednak podać „główne filary”, używając określenia Artura Sandauera<sup>41</sup>.

<sup>38</sup> Także wiele listów; np. drastyczny komentarz dotyczący odwlekania publikacji Jana Długosza (list do Karola Ruprechta z 2 stycznia 1871 (PW 9, s. 471–472), zwłaszcza ostatnie trzy zdania.

<sup>39</sup> List do Bronisława Zaleskiego z dnia 31 sierpnia 1867 (PW 9, s. 302–303).

<sup>40</sup> Na przykład list do Marii Trembickiej 15 września 1856 (PW 8, s. 285–289); pocmat *Rzecz o wolności słowa* (PW 3, s. 593–600).

<sup>41</sup> A. Sandauer, *Norwidowska „Pasja Św. Fortepianu”*, „Kultura” 1969, nr 51–52, s. 3; przedruk: A. Sandauer, *Pasja św. Fortepianu* [w:] tegoż *Matecznik literacki*, Kraków 1972, s. 22. „Filar pierwszy: antyfraza jako zakończenie utworu. Norwid (w rzeczywistości) każe się «późnemu wnukowi» smucić, a nie cieszyć, bo utwor od początku do końca przepojony jest sarkazmem i ironią. Filar drugi: «ujmowanie całości jako lamentu nad pokaleniem świętości narodowej»”. Sandauer słusznie wykazuje wewnętrzne sprzeczności obu składników takiej interpretacji i proponuje interpretację własną, w myśl której *Fortepian Szopena* jest ukazaniem prawdziwej antynomii, zawsze obecnej w sztuce: „sztuka Szopena domagała się wtargnięcia rzeczywistości – a choćby przez trzaśnięcie instrumentem o bruk, że zagłada była w niej zawarta immanentnie, że tryumfy artystyczne Szopena domagały się uzupełnienia przez – pośmiertne chociażby – męczeństwo, harmonia – przez loskot strun pękających. [...] «Defenestracja» staje się symbolem nie tyle pokalania świętości, co Pasji, będącej koniecznym warunkiem zmartwychwstania. Aby muzyka mogła uzyskać nieśmiertelność, Orfeusz musi być rozszarpany: Menady kaukaskie odnajdują w tym obrzędzie swą sakralną rolę. Dysonans końcowy jest nie tyle «trudno uchwytny», co po prostu – nie istnieje. «Ciesz się, późny wnuku» – to nie gorzka ironia: to wypowiedziane z całą powagą proroctwo”. Interpretację tę rozszerza i pogłębia Łapiński: „Dramatyczny i wieloznaczny finał tego utworu wspiera się na owym, żywym zawsze dla Norwida, nakazie, by dzieło «sięgnęło bruku», by sztuka powiała się w swym odbiorze i by mogła inspirować wszelkie zachowania, najdalsze nawet od swych źródeł” (tegoż, *Norwid*, dz. cyt., s. 77–78). Te przekonania Łapiński podbudowuje poprzez analizę formalną gatunku literackiego i języka, konkludując, że *Fortepian Szopena* to oda – zatem z definicji musi być „pieśnią zwycięską” (Z. Łapiński, *Pieśń zwycięska. O „Fortepianie Szopena”*, „Studia Norwidiana” 1994–1995, nr 12–13, s. 137–155]. Prekursorem tych poglądów i takiej interpretacji jest J.W. Gomulicki (C. Norwid, *Dzieła zebrane*, t. 2: *Wiersze, Dodatek Krytyczny*, oprac. J. W. Gomulicki, dz. cyt., s. 670–690). Badacz napisał: „«Ideal sięga bruku» – lapidarnie sformułowane symboliczne zbliżenie dwóch biegunowo obcych dla siebie sfer i światów, dojrzane przez poetę w upadku na «bruk», symbolizujące Realność (konkretnie zaś: martwe i twarde społeczeństwo), fortepianu, symbolizującego z kolei genialną twórczość Chopina, czyli sztukę, czyli – «Ideal». [...] Otóż to «rozwieranie» więzów pomiędzy Realnością a Idealem zostało teraz symbolicznie naprawione. Norwid odczytał bowiem warszawską katastrofę fortepianu Chopina jako parabolę, parabolę zaś dowodzą «analogijnego stosunku pomiędzy prawami rozwoju rzeczy świata tego a prawami rozwoju ducha»

Ostatni, setny wiersz *Vade-mecum* przynosi jedyne światło dostrzeżone przez Norwida w konfrontacji z dziewiętnastowieczną fałszywą moralnością. Jest to „zacość” dojrzałego życia. Ale nie jest to wiersz bez drugiego dna i wymownej glosy w postaci dodatku do *Vade-mecum* – poetyckiego listu do tragicznie zmarłego przyjaciela, niezwykle pracowitego człowieka wielu talentów (poliglota), czołowego (a dziś zupełnie nieznanego) polskiego intelektualisty wieku dziewiętnastego – C. Na zgon śp. Józefa Z., oficera wielkiej – armii, rannego pod Paryżem jednego z naczelników powstania w Polsce:

Dlatego to w czasie tym, gdy więcej  
Jest *Roztraskań* – niżeli *Zamknięć*;  
Dlatego to na teraz, gdy więcej jest daleko  
*Śmierci* – niżeli *Zgonów*:  
Twoja śmierć, Szanowny Mężu Józefie,  
Doprawdy, że ma podobieństwo  
Błogosławionego jakby *uczynku!*  
(PW 10, s. 407–408).

Według Norwida wiekowi dziewiętnastemu można było służyć tylko przykładem pogodnej śmierci, bo pogodne życie nie mogło być udziałem twórców pracujących „na pierwszej linii strzału”. Wstrząsającym pomysłem autora *Vade-mecum* było właśnie to zestawienie: wiersz o pogodnej śmierci zacnego oficera Józefa Zaleskiego i wiersz do przyjaciela Walentego Pomiana Zakrzewskiego, zmarłego śmiercią samobójczą już po napisaniu do niego przez Norwida tego właśnie poetyckiego listu. Poeta wierzył głęboko w biało- i czarno-kwiatowość naszej rzeczywistości<sup>42</sup> i ta wiara sprawdziła mu się zadziwiająco w tym przypadku. Z całego *Vade-mecum*

---

(*Milczenie*, cz. II). Stąd też radość poety, wierzącego, że odczytana przez niego parabola zapowiada jak gdyby przyszłe zwycięstwo Ideału...[...]. Skądże zatem w *Fortepianie Szopena* „sądne pienię”? Gomulicki objaśnia to następująco: „uderzmy w sądne pienię – zaśpiewajmy głośno niby na Sądzie Ostatecznym (podtekst: osądzmy opisane przed chwilą wydarzenia)”. Czy głośno śpiewa się na Sądzie Ostatecznym? Czy też raczej „sądny dzień”, „sądne pienię” to gwałt, zamieszanie, zamęt, straszna chwila. Por. *Słownik ilustrowany języka polskiego M. Arcta*, t. 2, Warszawa 1925, s. 776.

<sup>42</sup> „Są bowiem powieści i romanse, i dramy, i tragedie w świecie niepisany i nieliterackim, o których się naszym literatom *ani śniło*, ale – te określać – czy warto?... już?...” (*Czarne kwiaty i Białe kwiaty*, PW 6, s. 186) Jak Norwid w *Czarnych kwiatkach* i *Białych kwiatkach* przybliżył, czym jest czarno- i biało-kwiatowość? Kwiaty dla Norwida jawią się jak z przypowieści Chrystusa o liliach, co „nie przędą, ani nie tkają [...] nawet Salomon w całej chwale swojej nie był tak przyodziany, jak jedna z nich” (Łukas 12\_27 [w:] *Cztery Ewangelie*, Londyn, s. 149). Są świadectwem piękna natury i Boskiej mądrości. Tak samo i z człowiekiem, który napotyka na swej drodze bezwiednie przypowieści i objaśnienia. Jest to coś, co zdarza się naprawdę ale rzadko bywa zrozumiane. Świat jednak objaśnia człowiekowi mechanikę, tok (następstwo) i znaczenie różnych prawd, i weale nie dzieje się to bardzo rzadko. W tym sensie list do Zakrzewskiego (PW 2, s. 151–158, cytowany wcześniej w tekście) był prorocstwem jego losu. Czy była to zasługa „proroka” Norwida? Bynajmniej – prorocstwo to leżało w logicznej naturze rzeczy – a artysta tylko je wypowiedział, nie widząc oczywiście *a priori*, co się zdarzy. Podobnie można objaśnić nowelę *Menego* (wspomnienie o malarzu Byczkowskim).

przeziera niezwykła Norwidowska świadomość ryzyka, jakie podejmowali w wieku dziewiętnastym wszyscy Polacy, dzięki którym polska inteligencja zaistniała na mapie świata. Ceną była często gwałtowna i przedwczesna śmierć lub może gorszy nawet dla ambitnego i zdolnego twórcy – dom opieki dla ubogich emigrantów, taki jak Dom Św. Kazimierza<sup>43</sup>. Ryzyko to było jednak krańcowo odmienne od ryzyka, na które decydowali się chrześcijanie wzmiankowani (lub raczej „przemilczani”) w *Quidamie*. Ich ryzyko było ryzykiem potrzebnym i twórczym, ofiarą z bólu i śmierci, ale jednak bez zraty osoby człowieka w pełnym wymiarze humanistycznym (nie tylko historycznym) (PW 1, s. 166 w. 1–12).

Świat starożytnego Rzymu dopiero dorabiał się korzyści płynących z nauki i praktyki chrześcijańskiej. „Lecz ten który nie znał, choć popełnił coś karygodnego, odbierze razów niewiele. Komu wiele dano, od tego wiele będzie się żądać, a komu wiele powierzono, od tego więcej będzie się wymagać” – tak poucza Ewangelia<sup>44</sup>. A świat współczesny? „[Z]e wiedzieli już o tym wszyscy» – rzec, jak gdyby wiedza / Nie potępiła!” (*O historii*, PW 1, s. 166, w. 99–101). W świecie mu współczesnym – zdaniem Norwida – dorobek chrześcijaństwa został zignorowany lub wypaczony<sup>45</sup>. Natomiast zasługą średniowiecza było to, że naukę chrześcijańską zrozumiano, zastosowano i rozwinięto w sensie praktycznym:

Bawi mię, gdy dziennikarz albo publicysta  
 Klnie średniowieczną ciemność, z której wciąż korzysta.  
 Ta ciemnota musiała nieźle być użyta,  
 Gdy się jak świeca topi, a przy niej się czyta.  
 Ciemnota – która mimo niezgrabne praktyki,  
 Stworzyła Arcydziała – stworzyła *Języki!*  
 Tych się nie tworzy sennym natchnienia połotem,  
 Zboże po burzy wstawa, lecz nie siane grzotom,

<sup>43</sup> Norwid opowiada o swoich doświadczeniach w domu opieki w listach do Bronisława Zaleskiego z 21 listopada 1877 oraz do Zofii Radwanowej z 16 marca 1883 (PW 10, s. 108–109, 202). Uważa się niekiedy, że „odium jakie otacza Dom Św. Kazimierza w polskiej literaturze” (a chciałoby się dodać: i w filmie) jest niesprawiedliwe. Korespondencja i zachowanie się Norwida nie pozostawiają jednak wątpliwości, czym było dla niego przeniesienie się do tego Domu. Po pierwsze Norwid uważał się za arystokratę i tak też charakteryzują go wspomnienia współczesnych. Przeniesienie się do Domu uważał za bezpowrotną utratę tego statusu, co było dla niego wielką tragedią (ilustracja uczuć Norwida: epizod z Gen. Zamojską). Po drugie utracił niezależność w poruszaniu się po Paryżu (epizody z planowanymi odwiedzinami u rodziny Mieczysława Geniusza). Po trzecie pobyt tam wpłynął na pogorszenie się jego stanu zdrowia i praktycznie zamknął mu możliwość wyjazdu „na południe” dla jego podratowania. Wreszcie nietrafność socjalna: Norwid po pewnym czasie odmówił wspólnego jadań obiadów z innymi pensjonariuszami, ze względu na burdy przez nich wywoływane, co zaburzało ogromnie jego spokój duchowy, tak potrzebny do pracy twórczej.

<sup>44</sup> Łukasz 12\_48 [w:] *Cztery Ewangelie*, Londyn, s. 150.

<sup>45</sup> Por. wiele listów poety. Na przykład: do Karola Ruprechta z 10 kwietnia 1866 (PW 9, s. 213–214); do Augusta Cieszkowskiego z 1 marca 1871 (PW 9, s. 476–479); do Joanny Kuczyńskiej z 7 sierpnia 1866: „O! Dziewiętnastego wieku społeczeństwo, co? ty jesteś... czegoż? ty nie sponiewierzasz i nie zniweczysz, i nie zmarujesz na nic. Spanoszyli się Chrześcijanie, czując lub wiedząc, że dziewiętnaście wicków prawdy daje im Bożą prawdy moc” (PW 9, s. 256).

I raczej praca długa a wierna literze  
Całokszały takowe urabia i strzeżę<sup>46</sup>.

*Rzecz o wolności słowa* (PW 3, s. 607–608)

Marek Roman Lipiński<sup>47</sup>

***Quidam and Vade-mecum* by Cyprian Norwid. A parallel critique of two multi-societies: the Roman state in antiquity, and Europe, contemporary to the poet**

*Summary*

The author has used the method of extensive quotes from, referrals to, and comparisons of various Norwid's texts, to interpret the same motifs in *Quidam* and *Vade-mecum*, two most ambitious of the poet's works. The main question of the paper is the following: Can the critique of the two multi-societies portrayed in these Norwid's creations be considered as strongly parallel? A comparative analysis, drawn from all known Norwid's writings, suggests a positive answer. The main idea of the paper is the following: "Roman-ness", cruel and anti-Christian but largely unaware of the Christian norms, was eventually conquered by the Christianity, leaving a priceless legacy of visual arts, philosophy, literature and understanding of the human condition. In contrast, "European-ness" was given the sacred and powerful Christian norms on a silver plate; yet, it was (in the 19<sup>th</sup> c.) cruel, uncaring, false and hypocritical, and therefore condemned by the historical process. Such were the views expressed by Norwid in these two of his works.

---

<sup>46</sup> Wartość średniowiecza ponownie odkryto dopiero w naszych czasach. Por. E. Grant, *The foundations of modern science in the middle-ages: their religious, institutional and intellectual contexts*, Cambridge University Press 1996; R. Michałowski, *Historia powszechna. Średniowiecze*, Warszawa 2009.

<sup>47</sup> Za wielką życzliwość i merytoryczną pomoc dziękuję redaktorkom „Frazy”. Za pomoc w użyciu koniecznie do pracy materiałów: Józefowi Smolińskiemu, Marcie Badowskiej i Wandzie Dorociak. Za życzliwe *stand by* profesorom Andrzejowi Białasowi (Kraków) i Tomaszowi Linkowskiemu (Gdynia). Moim recenzentem: prof. Markowi Stanisłowi i prof. Bernadecie Kuczerze-Chachulskiej, a także prof. Grażynie Halkiewicz-Sojak – serdeczne podziękowania za wnikliwe uwagi (wszystkie uwzględnione, ale nie zawsze w sugerowanym przez nich kształcie, co jednoznacznie określa zakres odpowiedzialności za artykuł).

Michał Bzinkowski

## CZERWIEN

zapach lip  
jest wszędzie taki sam  
miesiąc temu w Padwie  
dwa tygodnie temu w Beskidach  
i teraz w Gripsholm  
zamku w którym uwięziona  
Katarzyna Jagiellonka  
tęsknie spoglądała w niebieskie wody  
jeziora Melar  
czasami zatrzymując wzrok  
na matowej czerwieni domów  
podskórnie przeczuwając  
że niebawem zapach lip  
jej ojczyzny za morzem  
zmiesza się z wonią krwi  
wszak Falu Rödfärg – faluńska czerwień  
to ulubiony od wieków  
kolor Szwedów

jednak we wrześniu  
trzydziestego dziewiątego  
polski okręt podwodny  
zacumował tutaj  
u stóp łagodnego wzgórza  
gdzie prastare dęby rezerwatu Hjorthagen  
zstępują ku jezioru  
wraz z wielkookimi danielami  
by czerpać z wodopoju  
pamięci

7.07.2018 Taxen Slott, Gripsholm



## TWARZE

twarze nie do odczytania  
zetlałe barwy kruchoego tynku  
syckiego jak piasek

twarze z ciemnego tunelu  
krople bladego światła  
smującego czerń

twarze odległe znajome  
odcinające się na białym tle  
pulsującym zarysem

twarze w tafli czasu  
umykające kręgami  
do krawędzi lustra

twarze pożyczone  
tylko w oczach iskry  
pierwszy żar

17.12.2019 Berlin

## KOŚCI

na plaży zbieraliśmy kości

oszlifowane miękko  
wprawnymi mackami fal  
kręgi szyjne bielejące  
wśród żyłkowanych kamyków  
kości grzbietowe  
rozproszone

lśniące klawisze  
roztrzaskanego nagłym przyływem  
instrumentu życia

podążając ścieżką kości  
znaleźliśmy  
zastygły uśmiech dolnej szczęki  
jakiegoś morskiego ssaka  
zęby wyszczerzone ciszą

czego szukaliśmy  
usiłując poskładać  
niekompletny szkielet

te drobne zęby  
miały przeżuwać  
trawy suchej źdźbła

światło dnia  
wydobyło z mroku  
rozmażane kształty

jak ta drobna koza  
utknęła w morskiej toni

czego szukaliśmy  
rozgarniając gęstniejącą  
na szerokiej plaży  
pajęczynę zmierzchu

jakiego niezadanego pytania  
jakiej żywej obecności

sierpień 2020

Michał Bzinkowski

Karol Maliszewski

## „W MIEJSCU TEGO SAMEGO (AŻ DO KOMIZMU) CIERPIENIA”

Zygmunt Krukowski i jego (nasz) świat

1.

Z wielu niepublikowanych utworów noworudzkiego poety, Zygmunta Krukowskiego (1951–2013), wybrałem kilka z plików „Tygodnik Powszechny” i „Twórczość”. Miały być wysłane do redakcji wspomnianych czasopism, ale chyba nigdy do tego nie doszło bądź zostały wysłane, lecz nie podjęto decyzji o druku. W każdym razie „Polska Bibliografia Literacka” nie wymienia tych publikacji<sup>1</sup>. To nie są jedyne pliki, jakie otrzymałem od syna poety, Marka Krukowskiego. Jest ich znacznie więcej, zawierają kilkaset wierszy oryginalnych (w tym także utwory dla dzieci), kilka fragmentów prozy, sztuki teatralne oraz przekłady poetyckie. Sądzę, że udałoby się z tego materiału stworzyć co najmniej kilka interesujących książek. Tylko mała część zawartości tych plików ujrzała światło dzienne w postaci dwóch zbiorów poetyckich – *Kosztowna esencja* (Noworudzki Klub Literacki „Ogma”, Nowa Ruda 1993) i *Rzeczy R* (Biblioteka „Topos”, Sopot 2012).

Być może nazwisko Krukowski niewiele mówi współczesnemu czytelnikowi poezji, zatem w następnym fragmencie nieco przybliżę tę postać.

2.

Etniczny skład mieszanki społecznej, tworzącej się w Nowej Rudzie (dawniej Neurode) po 1945 roku, był dość osobliwy<sup>2</sup>. „Wedle spisu ludności przeprowadzonego przez Zarząd miasta 17 IX 1946 r. statystyka mieszkańców wedle narodowości przedstawiała się następująco: Polaków 6. 520 (1626 rodzin), Niemców 3. 600 (900 rodzin), Żydów (861), Rumunów 4, Jugosłowian 3, Amerykanów 2, Czechów 2, Włochów 2, Litwin 1, Węgier 1. Wśród Polaków było 2318 repatriantów tj. przymusowo wysiedlonych z ziem wschodnich zajętych przez

<sup>1</sup> „Polska Bibliografia Literacka” wymienia: pięć wierszy Krukowskiego opublikowanych w „Toposie” w roku 1995 (nr 9/10), trzy wiersze zamieszczone w tygodniku „Sprawy i Ludzie” w 1989 roku (nr 26) oraz tłumaczenia dwóch wierszy Gary Snydera („Rita Baum” 2004, nr 83), trzech poematów Williama Blake’a („Odra” 1998, nr 3) i jednego poematu Blake’a zamieszczonego w „Stronach” z roku 1998 (nr 1/23).

<sup>2</sup> Tu wykorzystuję fragment wcześniej publikowanego szkicu. Zob. K. Maliszewski, *Poezja i okolice. Między krytyką literacką a historią literatury*, Kraków 2018, s. 242–245.

Z.S.R.R., 3842 przesiedleńców z centralnej Polski, z okolic przeludnionych lub zniszczonych podczas wojny<sup>3</sup>. Obraz tego kulturowego tygla byłby niepełny, gdybyśmy pominęli reemigrantów z Francji i Belgii. Na apel ówczesnej władzy zareagowali górnicy polskiego pochodzenia, chcący pomóc w uruchomieniu i zagospodarowaniu wałbrzyskich oraz noworudzkich kopalni. Wśród nich był ojciec poety, Józef Krukowski. Natomiast matka, Irena Doręgowska, przybyła z Kresów, z miejscowości Krzywokonna (powiat Wołkowysk, woj. grodzieńskie, obecnie Białoruś)<sup>4</sup>. Sam poeta, „dziecić nomadów”<sup>5</sup>, urodził się po ich kilkuletnim pobycie w Nowej Rudzie, w roku 1951.

Wspominam o tym, szukając w wierszach śladów emigranckiej, a potem osiedleńczej, epopei. Niewiele tego. Wydaje mi się, że o tym próbował pisać w swojej prozie. Wciąż nie wiemy, co kryją przepastne szuflady, co tak naprawdę zostało po poecie, choć przepisane przez syna i umieszczone w komputerowych plikach fragmenty powoli zbliżają nas do prawdy o całości dorobku. Małeńki fragment prozy wypłynął w pierwszych numerach „Gazety Noworudzkiej”. Będąc wtedy jej redaktorem, zachęcałem Krukowskiego do współpracy. Mimo że pracował jeszcze wtedy w kopalni i może nie miał zbyt wiele czasu, regularnie dostarczał felietony, a dodatkowo zaproponował powieść w odcinkach pt. *Gołęb i czarna góra*. Ukazało się zaledwie kilka fragmentów. Pamiętam, że opowiadały o wdrórze z Francji, prezentowały nadzieje emigrantów na nowe życie. Pamiętałem pełne zachwyty opisy miejsca, które mimo kopalnianego, industrialnego charakteru miało w sobie coś dzikiego, naturalnego, prawie magicznego.

Jeśli chodzi o wiersze, pozostała w nich tylko magia, historię zagospodarowywania miejsca oddano prozie. W utworach Krukowskiego trudno znaleźć ślady konsternacji, charakterystycznej dla niektórych przekazów poetyckich dotyczących zasiedlania nowej przestrzeni, poczucia krzywdy czy zażenowania z powodu zajęcia czyjegoś miejsca, przejścia cudzego życia<sup>6</sup>. Bohater tych wierszy czuje się

<sup>3</sup> Ks. M. Białowąs, *Kościół i parafia rzymsko-katolicka w Nowej Rudzie*, Nowa Ruda 1948, s. 4. Zachowałem pisownię oryginału.

<sup>4</sup> Opiaram się na wspomnieniach syna poety, Marka Krukowskiego. W tym samym mailu od niego (z 21.11.2017 r.) czytamy: „Pamiętam dziadka śpiewającego francuskie piosenki od czasu do czasu i ten jego stoicyzm, babcię zawsze stąpającą po ziemi i troszczącą się o wszystkie”.

<sup>5</sup> Nawiązuję do tytułu książki Andrzeja Zawady, będącej poetyckim opisem stanu świadomości mieszkańców takich dolnośląskich miasteczek, jak Nowa Ruda: „Dziecić nomadów uśmiecha się uprzejmie, zarówno gdy słyszy, że ziemia, którą zamieszkuje, była zawsze niemiecka i gdy mówić mu, że nigdy nie przestała być polska. Prześladuje go myśl, że dziedzina wiedzy, czy może narzędzie polityczne zwane historią, wykazuje brzydką skłonność do ulegania chwilowym emocjom i zbiorowym złudzeniom. Przygląda się układowi ulic i kształtom architektury, wioskom jak z landszaftów, krytych czerwoną dachówką i z wieżą kościółka pośrodku, sylwetkom drzew na horyzoncie za rzeką i głęboko wciąga do płuc wilgotne, treściwe powietrze” (A. Zawada, *Dziecić nomadów*, Kłódzko 1998, s. 37).

<sup>6</sup> Motyw znany choćby z twórczości Anny Zelenay. Zakłopotanie, niepewność, poczucie obcości zajmowanego terenu, kłódzka ponemieckość jako problem do literackiego i ludzkiego „opracowania”. Np. „stoimy załkniczeni [...] / przed ogniem domowym, / gdzie z kuchenną pedanterią / wyszczerzone napisy «Salz» i «Pfeffer»” (A. Zelenay, *Zielona hemoglobina*, Wrocław 1962, s. 29).

w danej mu przestrzeni, którą postrzega jako skończoną, spełnioną w metafizycznym sensie, jak u siebie. Jakby jego duch przebywał tu od zawsze i już na zawsze w tej przestrzeni chciał pozostać. W niektórych wierszach odnajduję coś, co można chyba nazwać „sakralizacją przestrzeni”. To już nie tylko obecność sensotwórczej wiedzy, znaku transcendencji, to poczucie żywego działania Absolutu<sup>7</sup>. W utworze *Środek i okrąg* typowy dla tego autora obraz przebudzenia przeistacza się w afirmację istnienia. Bohater wybiega z domu i czuje się zjednoczony ze światem, „rosną mu skrzydła w biegu”<sup>8</sup>. Wtedy dochodzi do ekstatycznego przekroczenia tego, co tu i teraz, do mistycznej transgresji. I ona tu nie może być inna, jak tylko rozwiązująca problem czasu. Bóg pojawia się po to, by chwilę uniesienia zatrzymać na zawsze. „A Bóg owinął ten poranek w kokon, / w którym mam teraz moją wieczność”<sup>9</sup>.

Poeta mówił mi nieraz, że tu ma wszystko<sup>10</sup>, że w tej naszej małej dolinie zawiera się oczywistość i głębia, „idealny model istnienia” – chyba nawet kiedyś takie sformułowanie padło z jego ust. Nie jestem jednak tego tak pewien, jak tego, co poeta powiedział mi, podczas przypadkowego spotkania na ulicy, o Williamie Faulknerze, a co skojarzyło mi się potem także z Janem Drzeżdżonem i jego postawą twórczą mocno zakorzenioną w regionalizmie. Krukowski przytaczał słowa autora *Światłości w sierpniu* o wystarczalności jednej małej okolicy (dla osiągnięcia skończonej wiedzy o świecie), porównywał ją do kropli wody i ziarenka piasku jako odzwierciedleń kosmosu. „Kosmos mamy pod ręką, jeżeli nie umiemy go odczytać na miejscu, to i dalekie podróże nie pomogą”, tych słów poety jestem pewien<sup>11</sup>. To zupełnie tak, jak w postawie Faulknera, którego słów w *Piętnie Smętka* Jan Drzeżdżon, opowiadający z pasją o lokalnych źródłach literatury, nie omieszczał przywołać: „Tworząc *Sartoris*a zrozumiałem, że mój ojczysty skrawek ziemi, wielkości znaczka pocztowego, zasługuje na moje pióro, że nie wystarczy mi życia, aby wyczerpać ten temat, że sublimując rzeczywistość w apokryf będą nieskrępowany

<sup>7</sup> W pewnym sensie Krukowski na wiele lat przed pojawieniem się literatury „korzennej” czy też „małych ojczyzn” uprawiał coś, co Andrzej Zawada za Robertem Trabą nazwał „spirytualizacją prowincji”, czyli „wynoszeniem jej do roli mistycznego miejsca nadającego sens istnieniu człowieka” – R. Traba, *Kraina tysiąca granic. Szkice o historii i pamięci*, Olsztyn 2003, s. 225 [w:] A. Zawada, *Pochwała prowincji*, Wrocław 2009, s. 24.

<sup>8</sup> Z. Krukowski, *Kosztowna esencja*, Nowa Ruda 1993, s. 6.

<sup>9</sup> Tamże.

<sup>10</sup> Dla pełnego obrazu przywiązania poety do „małej ojczyzny”, skomplikowanej relacji łączącej go z nią, zacytuję dedykację, jaką otrzymałem od autora *Kosztownej esencji* na stronie tytułowej tego tomiku: „Karolowi Maliszewskiemu w miejscu tego samego (aż do komizmu) cierpienia. Zygmont Krukowski”.

<sup>11</sup> W jakimś stopniu wtóruje im wypowiedź syna poety, Marka: „To ta kolidacja światów w powojennej Nowej Rudzie miała na ojca wpływ. I choć z opowieści dziadka brała się nostalgia i wspomnienia, jaki to raj dając ziemia francuska, on jako jeden z nielicznych twierdził, że tu mu jest dobrze, jest u siebie. Ważne było dla niego to zakorzenienie w Nowej Rudzie i chyba nie potrafiłby wyjechać, zamienić miasto na inne tylko z powodu lepszego startu materialnego. Tutejszy mikrokosmos był jego światem, ze wszystkimi niedogodnościami i przeciwnościami” (mail z 21. 11. 2017 r.).

w wykorzystaniu do maksimum talentu, którym rozporządzam [...] odkryłem, że nie tylko jedna książka, ale całe dzieło artysty musi mieć jakiś cel”<sup>12</sup>.

### 3.

Wiersze z plików „Tygodnik Powszechny” i „Twórczość” nie przypominają utworów z debiutanckiej książeczki. *Kosztowna esencja* gromadziła najlepsze, zdaniem autora, teksty z wielu lat, częściowo siedemdziesiątych, a częściowo osiemdziesiątych XX wieku. Krukowski w latach dziewięćdziesiątych dopracował się innej poetyki, bardziej swobodnej, uciekającej od dostojnej i klasycznej frazy. Ten etap jego twórczości można nazwać przejściowym, fazą przygotowującą do radykalnego opracowania nowych podstaw poezjowania. Postulat estetycznej powściągliwości, czego efektem stało się оголоcenie przekazu poetyckiego do „minimum piękności”, będzie przyswiecał jego poszukiwaniom rozpoczętym wraz z przełomem wieków. Sam poeta myśląc o nowej książce, będzie tego w pełni świadomy. Pierwotny tytuł planowanego zbioru, jak widzę w zapiskach, miał wskazywać na zerwanie z czymś starym, nieodpowiadającym szybko postępującym zmianom kulturowym. Tytuł ten powtarzany w różnych formach brzmi *Wiersze nowego wieku*. Ostatecznie, tuż przed decyzją o druku, przybrał kształt – *Rzeczy R*.

A więc tym razem wracam do owej epoki przejściowej, świadczącej o załamaniu wiary w zbyt krągłe słowo, w przejętą od starych mistrzów frazę. W otrzymanych plikach utworów z lat dziewięćdziesiątych XX wieku, kłębiących się w różnych konstelacjach, jest tyle, że można by skomponować z nich interesującą książkę poetycką. Przekazując czytelnikowi niektóre, chciałbym dołączyć kilka zdań komentarza.

Przed wszystkim widzę w nich przestrzeń tak znajomą, obsesyjnie powielaną i rekonstruowaną, że być może już czytelną tylko dla noworudzian. To, co widzę, może być przykładem wyobraźni „ukorzonej” – Krukowski nigdy w gruncie rzeczy nie opuścił tego konkretnego „małego świata”, do odnalezienia przez ciekawskich w Sudetach Środkowych, między Górami Stołowymi i Sowimi, w Obniżeniu Noworudzkim otoczonym przez Wzgórze Włodzickie. Rozliczne aluzje, które czyni, do miasteczka ułożonego na dnie doliny taki pejzaż przywołują. To jest ważne dla niego samego, jak również dla bohaterów opowiadań, powieści, felietonów, a przede wszystkim wierszy. Bo właśnie w wierszach ta zakłębiona i zakłęta przestrzeń dostępuje czegoś jeszcze, a mianowicie lirycznej i metafizycznej uniwersalizacji.

Jednak, jak myślę, można na chwilę zapomnieć, czytając te utwory, o topograficznym konkretności, można odsunąć go na dalszy plan, ponieważ ważniejsze jest ludzkie „samopoczucie” w tym miejscu (i tego miejsca), wrażliwość kogoś, kto z miejscem związał się na dobre i złe, tworząc swoją wątłą egzystencję w

<sup>12</sup> Słowa Faulknera cytuję za: J. Drzeżdżon, *Piętno Smętka. Z problemów kaszubskiej literatury regionalnej lat 1920–1939*, Gdańsk 1973, s. 184.

Zygmunt Krukowski

Rzeczy R



Zdjęcie Z. Krukowskiego z okładki tomiku *Rzeczy R* (Biblioteka „Toposu”, Sopot 2018)

Nie sądzę, że tylko współziomek, mieszkaniec tego miejsca, może odczuć rozmach i siłę obrazowania wyrastającego z tych zmagających się imperatywu przekraczania. To właśnie zapewnia poczucie trwałości, a miejscu, które uświetnił swoim trudem, daje uniwersalne znaczenie. Nowa Ruda zanim trafiła do prozy Olgi Tokarczuk i dzięki temu stała się szerzej znana, już trwała godnie i szlachetnie w poezji Zygmunta Krukowskiego. Nowa Ruda jako punkt wyjścia... A do czego można było przez nią dojść, do jakiej samoświadomości i do jakiego artyzmu, pokazują te wiersze.

Karol Maliszewski

przestrzeni między szpitalem a cmentarzem, między kościołem a kopalnią. Niczego więcej nie ma – mówi każdym wierszem Krukowski. I jest tego jednocześnie tak wiele, i spełnia się w tym życie, jego przewidywalna (i nieprzewidywalna) twórcza nieskończoność. To jest ta jego metafizyka kropli wody czy ziarenka piasku, o której tyle razy mówił (nawiązując nie tylko do Faulknera, ale i do tłumaczonego przez siebie Williama Blake’a), świadomy swego miejsca na Ziemi, a także tego, co z tym miejscem zrobić, jaką urządzić mu oryginalną transcendencję poetycką.

I może szarpał się niekiedy, mówiąc, że chciałby się wyrwać czy wydostać z tego skazania i wyroku, to jednocześnie nie wyobrażał sobie życia poza „wyrokiem”. Najlepsze rzeczy napisał właśnie w tak rozumianych granicach. Bo on świadomie nie widział tych granic. A jeśli dawały o sobie znać, przekraczał je każdym słowem, każdym zdaniem.

Zygmunt Krukowski

## ROZDARCIE

Przyjechałem do kraju gdzie nie było nazw  
Chodziłem w milczeniu między rzeczami  
Chciałem się wydostać ale nie mogłem  
Dusiłem się chciałem uciec ale nie znałem  
Słowa nie było słownika z którego można by  
Wziąć słowo przekleństwo na ten kraj bez słów  
Chciałem tu nie żyć ale nie byłem pewien  
Czy to jest sen czy jawa w tej fazie  
Snu czy jawy nie do rozpoznania mózg  
Nie daje rady gdy nie ma nazw jest niepokój  
Narasta chce się wyjść ale nie można nazwać  
Można czuć się nieswojo wykonywać  
Gesty na migi ruchy ciała podskoki  
Co miało znaczyć muszę się wydostać  
Z tej ziemi z siebie z milczenia  
Muszę się wydostać

## LĘK

Chłodno się robi  
Stygnie palec ręki i nogi  
Idzie z kotami do polnej kapliczki  
Te wszystkie zmysły  
Opiekuje się nimi z dobroci serca  
Matko kto mnie stworzył i teraz gasi  
Zimno wchodzi na mnie bez miłości  
To znaczy bez litości  
Wszyscy tak sobie żyliśmy na  
Lazurowym wybrzeżu  
Wygłupialiśmy się w obliczu piasku



Który niczemu nie jest winien  
I najlepiej na tym wychodzi ma  
Czyste każde ziarnko  
Ma suche łzy  
Czeka bez lęku

## SEN

Śniło mi się, że goni mnie cmentarz,  
rzuciłem mu pod nogi miasto, fabrykę rowerów,  
lot na księżyc, trzy tomy słownika języka polskiego,  
stary uniwersytet, sad z rozkwitającymi jabłoniami,  
strumień, kasztany, niczego nieświadome ptaki,  
leżące odłogiem chmury, dzieci, które znalazły w lesie trupa  
i zbiegały akurat ze wzgórza, przysięgając sobie nawzajem,  
że nikomu o tym nie powiedzą  
Ale cmentarz ciągle mnie gonił, więc  
rzuciłem mu wiarę, wtedy się zatrzymał i zaczął  
obgryzać kość mojej wiary  
Później umarłem i szukałem usprawiedliwienia.  
Nie znalazłem. Stałem w chłodnym przeciągu,  
który uderzał mnie po twarzy ciemnym warkoczem.

## ŚCINANIE WIELKIEGO DRZEWA

W tamtym czasie po kinie biegliśmy za mur bramy  
na podwórze Jacaków; sikaliśmy na ścianę powyżej  
naszych głów. Teraz na spacerze, kiedy wchodzę  
w krzaki, żona się niecierpliwi: nic nie wie dziewczyna  
o męskiej ambicji i pogodzeniu się z losem,  
o powolności spowodowanej przerywaniem  
myśli i zwracaniem uwagi na liście, suche pątyki,  
porzucone tu puszki po piwie; o ziewaniu  
i niemożności przyspieszenia czegokolwiek.  
Myję ręce w strumieniu, przeskakuję rów.  
Idziemy dnem doliny, z daleka widzimy:  
ścinają wielkie drzewo.

## WSPOMNIENIE

Porucznik Damasiewicz uczył matematyki w naszej szkole górniczej. Pojechaliśmy na wycieczkę do Oświęcimia. Przy wejściu na teren obozu powiedział: „Tutaj spotkali się koledzy, profesorowie filozofii – oprawca i ofiara”. Oglądaliśmy sterty włosów, butów, grzebieni. Jaka straszna jest ta filozofia – myślałem. Ale z drugiej strony ten filozof, który był ofiarą... Coś nie grało na świecie. Chodziliśmy po pawilonach. Później pojechaliśmy do Krakowa. Na Rynku w księgarni kupiłem podręcznik do nauki esperanta.

## ŚMIECHY

W letni poranek idzie z kanką zakurzoną drogą w niebieskim dresie z białym napisem: G.K.S. Piast Nowa Ruda. Idzie wzdłuż szczytowego boku cmentarza za ogrodzeniem w cieniu wielkich kasztanów. Wspina się krokiem sportowca do gospodarstwa widocznego wyżej za zakrętem drogi. Bierze tam mleko z porannego udoju dla swego małego syna. Schodzi później tą samą drogą. Patrzy w dół na groby w słońcu. Widzi wyraźnie uśmiech, ale udaje, że mu się tylko zdawało. To nic dziwnego, że cmentarz się uśmiecha w taką pogodę. Lekko buja kanką i nieco mleka wycieka spod przykrywki w kurz drogi. Po tamtej stronie w dolinie i na zboczu piętrzy się miasto: wybucha śmiechem, przekomarza się.

## NA SKRZYDŁACH SZAFY

Latem chodzili po łąkach na zboczu góry  
w kolorowych kapeluszach. Wychowali  
dzieci, mieli bezmiar wolności i płonęli.  
Schodzili wczesnym popołudniem do łóżka:  
po miłości drzemali ocienieni murem domu  
z naprzeciwka. O piętnastej budził ich dzwon  
z wieży kościoła. Wstawali, on zamykał szafę, ona  
szła do kuchni robić kawę. Kiedy zmarła, umarł  
natychmiast: chodził po chleb, taszczył węgiel,  
palił papierosy... Sezony, co za różnica. Lato  
nie lato. Chłodny płaszcz nocy i dni. Ognisty  
jeź wyszedł z piersi i szedł w otchłań, szukając.  
Straż pożarna musiała wchodzić przez okno.  
Na wewnętrznej stronie przypadkowo otwartych  
drzwi szafy przed łóżkiem zobaczyli kolorową  
pornografię. Zawsze te skrzydła. Skrzypią  
i płaczą w pustce tutaj.

Zygmunt Krukowski

Teresa Tomsia

*W pamięci, w odbiciu (6)*

## MACHNOWSKI

Poeta znad Narwi

Wyobraźnia poety Tadeusza Franciszka Machnowskiego scalała w jedno to, co doczesne, niskie, z tym, co wiekuiste, podniosłe, przeplatała czasy i miejsca, a rzekę Narew, „kraj rozpaczy i tęsknot”, jak w wierszu dedykowanym synowi Kamilowi (*Odwiedziny K.*), przemieniała w Styks. Pisał poezję elegijną z przewodnim motywem rozmowy żywego z umarłymi, bytując wśród bliskich cieni krążących wokół, którzy – jak wcześniej zmarli matka, potem ojciec – powracają do domu w ciernistej koronie.

Przyszedł na świat we wsi Ostrykół Dworski nad rzeką Narwią 4 października 1937 roku. Część wojennego dzieciństwa przeżył w rodzinnym nadnarwiańskim majątku, a gdy dom i gospodarstwo zajęli Niemcy, na wygnaniu. Matka, Janina z Długoleckich, zmarła wkrótce na zapalenie płuc, małego Tadeusza i starszą o dwa lata Teresę wychowywał ojciec z pomocą niani Marianny Zajdy, siostry Heleny i brata Bolesława. Chłopiec dorastał w trudnych powojennych warunkach, musiał liczyć na własne siły oraz intuicję w poznawaniu rzeczywistości. Gdy ujawniła się jego wrażliwość na piękno przyrody, a także skłonność do pisania, tuż po szkole podstawowej wyruszył do Warszawy, gdzie ukończył z wyróżnieniem dwuletnią Zasadniczą Szkołę Zawodową, kierunek mozaikarstwo. Chciał nadal kształcić się i korzystać z biblioteki, więc rozpoczął naukę w technikum w Ostrołęce, tam często zatrzymywał się w księgarni, by oglądać albumy malarskie i przyrodnicze.

Nauczanie przerwały nagle władze komunistyczne – rugowano go z technikum jako syna obywatela sprzyjającego podziemiemu niepodległościowemu. Bracia Stanisław i Bolesław Machnowscy zostali skazani na pięć lat więzienia za pomoc dowódcy jednego z oddziałów Narodowego Zjednoczenia Wojskowego, Janowi Kmiołkowi<sup>1</sup>, pseudonim „Wir” i jego żołnierzom wyklętym. Przewozili ich przez Narew łodzią, dawali schronienie. W tej sytuacji czternastoletni Tadeusz musiał zająć się gospodarstwem, a po odświeżeniu zasadniczej służby wojskowej szukał dla siebie miejsca gdzie indziej, gdyż rodzina starszej siostry powiększała się. Znalazł pracę jako sadownik w PGR w Pawłowicach koło Kopany w powiecie grójeckim.

---

<sup>1</sup> Postanowienie Najwyższego Sądu Wojskowego z dnia 30 listopada 1951 roku, sygn. akt S. 2502/51. J. Kmiołek 27 sierpnia 1951 aresztowany po prowokacji, w wyniku procesu politycznego jako wróg systemu skazany na karę śmierci. Zamordowany w Warszawie w więzieniu przy ul. Rakowieckiej przez funkcjonariuszy Min. Bezp. Publicz. PRL 7 sierpnia 1952. Biuro Poszukiwań i Identyfikacji IPN, w ramach prac prowadzonych pod kierunkiem prof. K. Szwagrzyka, odnalazło jego szczątki w kwaterze „L” (tzw. Łączce) w 2016 roku.

W bliskości natury czuł się najlepiej, zaczął intensywnie pisać wiersze i wysyłać do czasopism, zapisał się do Stowarzyszenia Twórców Ludowych. Upowszechniający poezję wsi Jan Szczawiej docenił jego utwory i pierwszy zauważył, że twórczość Machnowskiego, wsłuchująca się wprawdzie w balladowe rytmy i czerpiąca obrazy z wiejskiego pejzażu, zmierza w inne obszary – poeta od początku prowadził dialog z tradycją romantyczną i podejmował tematykę eschatologiczną. W tym czasie związał się z Korespondencyjnym Klubem Młodych Pisarzy w Warszawie (na jednym ze zjazdów poznał poetę Dionizego Maliszewskiego, z którym się zaprzyjaźnił), tam uzyskał wsparcie na wydanie pierwszej książki poetyckiej *Wiersze* (LSW, Warszawa 1971). Jego utwory sławiące urodę kurpiowskiej ziemi były cytowane w Polskich Kronikach Filmowych.

W 1971 roku Stanisław Machnowski podzielił swoją własność ziemską, zapisując jedną połowę na syna Tadeusza, a drugą część na córkę Teresę. W tym czasie poeta zamieszkał w Ostrołęce, pracując na początku jako konserwator zieleni miejskiej (mieszkał kątem u ciotecznego brata Antoniego Jaworowskiego na Łęczysku), a następnie w Zakładowym Domu Kultury przy Ostrołęckich Zakładach Celulo-

zowo-Papierniczych na stanowisku gospodarza obiektu, którym kierował Dionizy Maliszewski. Starszy o sześć lat od Tadeusza Dionizy miał już doświadczenie w pracy, zapewnił mu w tym obiekcie służbowy pokój z kuchnią i otoczył opieką młodszego kolegę po piórze. Rozumiał jego trudną sytuację społeczną, sam przeżył bowiem więzienie, gdy osadzono grupę licealistów za wolnościową gazetę szkolną.

Tymczasem nadszedł nowy czas dla miasta – w 1975 roku powstało województwo ostrołęckie i w części budynku ZDK, gdzie nadal z Maliszewskim byli pracownikami, dokwaterowano Wojewódzki Dom Kultury. Związek małżeński z poetką Ireną Knapik Tadeusz F. Machnowski zawarł w kwietniu 1976 roku, gdy ich syn Kamil miał już sześć miesięcy. Od tej pory wspólnie upowszechniali poezję. W 1979



Fot. Lukasz Bakula

Tadeusz F. Machnowski prezentuje w Miejskiej Bibliotece Publicznej zbiór opowiadań *Legenda Narwi*. Ostrołęka, 27 czerwca 2001 r.

roku Irena otrzymała przydział na trzypokojowe mieszkanie w spółdzielczym wieżowcu przy ulicy Władysława Reymonta na pierwszym piętrze, tam się przeprowadzili, a na jedenastym piętrze został przydzielony lokal dla Klubu Literackiego „Narew”. Gdy w sierpniu 1988 zmarł Dionizy Maliszewski, Tadeusz zatrudniony był już w Wojewódzkim Domu Kultury i stał się niewygodny dla nowego kierownictwa (nie miał odpowiedniego wykształcenia, były skargi, że za dużo czyta i często choruje). W 1992 roku otrzymał wypowiedzenie z pracy w trakcie zwolnienia lekarskiego. Przez kilka miesięcy był bezrobotny, w końcu zdobył etat szatniarza w szpitalu i tam pracował kilka lat do uzyskania renty chorobowej, dzięki czemu miał więcej czasu na pisanie.

Machnowski był współtwórcą Grupy Literackiej „Narew”, którą założył wspólnie z Dionizym Maliszewskim i Alfredem Sierżputowskim. Ceniony zwłaszcza jako autor liryków o przyrodzie nadnarwiańskiej wydał kilkanaście tomików poezji, m.in. *Za podwójną gardą* (Klub Literacki „Narew” przy Oddziale Warszawskim Związku Literatów Polskich, Ostrołęka 1982); *Las* (Klub Literacki „Narew”, Ostrołęka 1984); *Wieżowce* („Narew”, Ostrołęka 1985); *Małe mauzoleum* (Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1987); *Niebieski prom* (Klub Literacki „Narew”, Ostrołęka 1991); *Mały koncert ziołowy* (Towarzystwo Przyjaciół Ostrołęki, 1999); *Nagle łódź się zachwiała* (Ostrołęcki Ośrodek Kultury, 1999); *Jutro będzie inaczej* (Wydawnictwo Miniatura, Kraków 2012); *Odmarsz rówieśników* (Stowarzyszenie Artystów Kurpiowskich, Kadzidło 2014); *Spowiedź safandudy* (Stowarzyszenie Artystów Kurpiowskich, Kadzidło 2015); *Monogramy i ornamenty* (Towarzystwo Przyjaciół Ostrołęki, 2018). Publikował prozę, także w odcinkach w miejscowej prasie: *Legenda Narwi* (Towarzystwo Przyjaciół Ostrołęki, 2001); *Nadnarwiańskie niezapominajki* (Towarzystwo Przyjaciół Ostrołęki, 2003).

W jego poezji znajdujemy kilka motywów, których autor wiernie się trzymał: przemijanie, ojcostwo, przyroda, rzeka, pamięć. Biograficzne odniesienia, dedykacje dla krewnych i opis pobliskiego pejzażu świadczą o silnym przywiązaniu do miejsca urodzenia. Najważniejszą postacią, do której najczęściej się odwołuje, jest jego ojciec Stanisław, zmarły w 1978 roku, patriarcha ukazywany jako widzialny i niewidzialny jednocześnie, opiekun i Charon, nauczyciel i przyjaciel. W cyklu wierszy *Zanim zgasną usta*, rozpoczynającym tomik liryków *Nagle łódź się zachwiała* (1999), autor podkreśla silną więź z ojcem objawiającym synowi tajemnice natury – urodę rzeki Narew, ale też kruchość bytu. Jest on też opiekunem i przewodnikiem w ludzkiej drodze krzyżowej, jak również błogosławiącym z wiekuistej przestrzeni. Wersy powracają w rytmie fal, litanijne zaklęcia i powtórzenia przywołują obrazy ojca rzeczywistego i wyobrażonego, nakładają się na siebie, zacierając granice snu i jawy. Wielokrotnie postać ojca została przedstawiona na podobieństwo Jezusa w cierniowej koronie (*Powitanie ojca I*):

Uspokojony i wolny nareszcie  
– położono kompres na głowę na ciernie –  
w wiecznozielone pastwiska niebieskie  
uzdrowiony na wicki wstąpisz niepodzielnie.

Wiersze zebrane w tomiku *Nagle łódź się zachwiała* zredagował Wojciech Woźniak, polonista i dziennikarz, autor felietonów literackich. Był redaktorem naczelnym czasopisma literackiego „Pracownia”, które do szóstego numeru należało do Klubu Literackiego „Narew”, a po jego rozwiązaniu w 1990 roku znalazło miejsce w Ostrołęckim Ośrodku Kultury. W tej starannie graficznie opracowanej serii ukazywały się tomiki, m. in. w 1994 roku *Negatyw*, poetycki debiut Mariusza Grzebalskiego, którego późniejsza twórcza droga znakomicie się potoczyła. Ostrołęka przyciągała pisarzy z różnych stron kraju na Kurpiowskie Dni Literatury i Ostrołęcką Jesień Kulturalną. Gośćmi różnorodnych artystycznych spotkań bywali: Leszek Bakula, Józef Baran, Kazimierz Brakoniecki, Jan Zdzisław Brudnicki, Zbigniew Chojnowski, Tadeusz Chudy, Mieczysław Czychowski, Henryk Gała, Stanisław Grochowiak, Anna Janko, Erwin Kruk, Jan Kulka, Piotr Kuncewicz, Piotr Matywiecki, Aleksander Nawrocki, Kazimierz Sopuch, Bohdan Urbankowski i wielu innych uznanych autorów.

Działał tam Salon Literacki prowadzony przez Edwarda Kupiszewskiego i Irenę Knapik-Machnowską w Galerii Ostrołęka, toczyły się dyskusje o sztuce – Edward przedstawiał poetów z okazałym dorobkiem książkowym z dawnego klubu „Narew” i gości z kraju, a Irena prezentowała debiutantów. Imprezom towarzyszyła zwykle wystawa i koncert w wykonaniu solistów Szkoły Muzycznej. Tadeusz był tam stałym gościem. Ostatnie urodziny poety, malarza i rzeźbiarza Mieczysława Czychowskiego właśnie tam wspólnie świętowano 22 maja 1995 roku, co można odnaleźć w publikacji archiwalnej Salonu Literackiego Ireny Knapik-Machnowskiej i Edwarda Kupiszewskiego nr 2 Towarzystwa Przyjaciół Ostrołęki.

Wczesna utrata matki, a także represje wobec ojca i stryja pogłębiały w Tadeuszu poczucie samotności i zagrożenia ze strony władz PRL-u. Czuł się wyobcowany, pominięty, obawiał się założyć rodzinę i uczynił to dopiero w wieku prawie czterdziestu lat. Przeżywał głęboko oddzielenie od ojca, śmierć przyjaciół poetów (w wierszu *Poboki* żegna Bruna Milczewskiego dedykacją: „pamięci Ryska Milczewskiego / trubadura wyzwolonej poezji”). Późniejsze zagubienie egzystencjalne, bezradność wobec przemian społeczno-gospodarczych, w których nie potrafił się odnaleźć, a także rozluźnienie więzi rodzinnych spowodowały, że pozabawiono go własności – późniejsze starania o zwrot ojcowizny dla jedynego syna Kamila szezęły na niczym. Jego żona Irena rozwiodła się z nim w 1993 roku, lecz nadal mieszkali razem. Gdy wyjeżdżała w 2004 roku z Ostrołęki do Gdańska, przepisała mieszkanie w połowie na syna, w połowie na byłego męża, aby mu zabezpieczyć codzienną egzystencję. Utrzymywała z nim do końca przyjazny kontakt korespondencyjny. Pozostały z tamtych lat wymowne listy, jakie czternaście lat starszy Tadeusz pisał z troską o zdrowie jej i syna, nazywając ją Córeńką, przeproszał za przykrości powstałe z jego przyczyny, użalał się nad losem, jednak nie był w stanie przejść do żadnych konkretów, by coś zmienił<sup>2</sup>. Ironią losu jest to, że gdy schorowany poeta

<sup>2</sup> List Tadeusza do Ireny pisany z Ostrołęki 13 lipca 2012 roku: „Droga Córeńko! Przepraszam za wszelkie zaniedbania listowe z okazji Twoich różnych rocznic imicinowo-urodzinowo-świętecz-

potrzebował na starość pomocy, wsparli go i otoczyli opieką była żona i wydziedziczony syn, a nie krewni gospodarujący na ojcowiznie nad Narwią.

Poezja Machnowskiego przesycona jest w szczególności doświadczeniem utraty, nie do końca wypełnioną rolą społeczną męża i ojca, nostalgiczną nutą osamotnienia. Pokazuje człowieka pogodzonego z nieuchronnym przemijaniem, bezsilnego wobec losu, wychwytyjącego przeważnie te doświadczenia, które mówią o odchodzeniu. W metaforach mógłby odnaleźć nadzieję, lecz i słowa zawodzą, umykają ich pierwotne znaczenia: „ptak ptaka goni / słowo wasłowem / ucieka” (\*\*\*) *Dopiero odchodząc*.

„Najbardziej zmienne są miejsca nadbrzeżne / woda wciąż nowej poszukuje formy”; „gdzie jest łąd taki i u jakiej Narwi / wolny od wspomnień pamięci i marzeń” – pisał w wierszu *Miejsca nadbrzeżne*. Pejzaż brzegów Narwi był najważniejszą inspiracją twórczą poety, w niej dostrzegał naturalny porządek świata. Patrząc na rzekę, widział przemienność zdarzeń i różnobarwność obrazów natury, a zmysłowe doznania zapisywał w wersach o łowieniu szczupaków, o starych wysłużonych młynach, o pływaniu łódką z ojcem. Pobrzmiewały wtedy w jego lirykach na romantyczną nutę echa *Sonetów krymskich* Mickiewicza, głosy „z bieguna wieczności” (*Czy pamiętasz*).

Szukał różnych form przekazu – od klasycznego sonetu po wiersz biały, aby ukazać różnorodność otaczającej go rzeczywistości, jej rytmy, gdzie tradycyjne ustępuje nowoczesnemu, a dom budują z betonu zamiast z drewna – z czym nie mógł się pogodzić, zaakceptować miejskiego życia i buntował się na swój indywidualny sposób, trudny do zaakceptowania przez rodzinę i sąsiadów, gdy jadał w pokoju z gołębiami i tracił kontakt z synem. Cóż, wyobraźnia poety potrafi wiele, nie każdemu udaje się być zarówno świetnym autorem, jak i odpowiedzialnym ojcem czy troskliwym mężem dbającym o rodzinę, wiele jest takich historii, ale to już temat na inną opowieść, z obecnej jasno wynika, że otwarta postawa Ireny – poetki, dziennikarki, pedagoga – była dla Tadeusza wsparciem przez lata<sup>3</sup>.



Fot. Archiwum I. Knapik-Machnowskiej

Irena i Tadeusz F. Machnowscy na ostatnim spacerze w Ostrołęce w 2007 r.

nych, chociaż w myślach, modlitwach i aktach strzelistych ciągle jesteś żywa, a nawet bardziej niż kiedykolwiek. Zwłaszcza, że tak w zdrowiu, jak i sprawach wydawniczych, a nawet finansowych nie idzie tak jak niegdyś. [...] Nicraz myślę: gdybyśmy tak w trójkę razem gdzieś tam się zeszli, to może z tej Trójrozbitkowości zrobiłaby się Jedna. [...] Ach! Wszystkiego Najlepszego, Córeńko! Ścisłkam. Całuję! Pozdrawiam. Może Ktoś nam pomoże. Tadeusz”.

<sup>3</sup> To właśnie była żona Irena napisała pisma do Sądu Wojewódzkiego w Warszawie, starając się o unieważnienie Wyroku Wojskowego Sądu Rejonowego w Warszawie z 1951 oraz rehabilitację Stanisława i Bolesława Machnowskich, co też uzyskała 10 maja 1996 roku. Sygn. Akt VIII-Ko.155/93/Un.



Zapamiętajmy poetę, który rozślawiał kurpiowską ziemię strofami czuлыми, serdecznymi, a tak przejmującymi, że zaczynały boleć i wzywały pomocy: „otoczcie moje myśli / lasem ramion / niech złągodnieją / labirynty mroku” (*Zaczyna*). Echo skrzywdzonego pokolenia, któremu wojna odebrała młodzieńczą radość i niewinność (podobnie jak u Tadeusza Borowskiego: „Zostanie po nas złom żelazny / i głuchy, drwiący śmiech pokoleń”) i u Machnowskiego pobrzmiewa w rytmie żalu i niespełnień, jednak mniej dramatycznie, raczej ironicznie. Na każdego człowieka czyhają wszak noce ciemne i doświadczenia ponad ludzkie siły, chodzi o to, by się nie poddawać, nie ugiąć pod nimi, lecz zмагаć się o godne trwanie do ostatka – jak w wierszu *Wzrastanie*:

Jeżeli upaść to z wysoka  
spod przepastnego ziemi stropu  
piąć się po stokach i po zboczach  
pod skrzydła chmur i samolotów

tak się wyzwolić tak się unieść  
ponad honory tytuły stopnie  
a na myśl o nas nikt nie spleunie  
i kości naszych nikt nie kopnie.

Katastroficzna wizja poety opuszczonego przez wszystkich nie do końca się wypełniła, w końcowym etapie życia został otoczony w chorobie opieką przez syna Kamila z synową i byłą żonę, poetkę. Tadeusz F. Machnowski nie wrócił nad ukochaną rzekę, zmarł w Zakładzie Opiekuńczo-Lecznicznym św. Jerzego we Wrocławiu 30 sierpnia 2020 roku. Pochowano go wspólnym staraniem rodziny i władz miejskich Ostrołęki, dzięki otwartości władz Wrocławia w Alei Głównej na Cmentarzu Osobowickim / pole 54, grób 496.

Niech z „orzeźwiającej studni” jego poezji – jak w wierszu *Modlitwa studzienna* – czerpią następcy sztuki słowa z Ostrołęki i nie tylko, niech wczytują się w poetycki testament, bo słowo indywidualnej prawdy o świecie jest otwarte dla wszystkich, staje się uniwersalnym losem człowieka, niekiedy gorzkim, drażniącym sumienie i wymagającym dogłębnych przemyśleń. O mistrzu poetyckiej frazy z kurpiowskiej ziemi pamiętają poeci – Czesław Mirosław Szczepaniak obecnie opracowuje do druku wybór jego wierszy we współpracy z Ireną Knapik-Machnowską, która dysponuje literacką spuścizną poety, z życzliwością udostępnia archiwalne materiały i opowiada ich wspólną historię.

Poetycką drogę Ireny poznałam, gdy odwiedziłam ją z okazji wydania tomiku (I. Knapik-Machnowska, *Sonata gdańska*, Rhythmos, Poznań 2011). Pisałam o jej wierszach i życiu w Gdańsku<sup>4</sup>, a obecnie z zainteresowaniem wysłuchiwałam dopełnienia losu ostrołęckich poetów. W poźegnalną mowę na cmentarzu syn poety

<sup>4</sup> T. Tomsia, *Z szarego notatnika. Podróż do Gdańska i Sopotu*, „Topos” 2011, nr 6.

Kamil włączył liryki ojca i przyrzekł, że synka Ludwika, który urodził się dwa tygodnie po śmierci dziadka, zawiezie nad Narew i popłyną łódką, jak niegdyś on pływał z ojcem, żeby poznał jego ukochaną rzekę i dotknął kory starych dębów rosnących na rodowej glebie Kępy Machnowskiej:

Trzeba cię tato żalem ukolysać  
byś w mroku zasnął mocno i głęboko  
nie płaczcie – ojciec schodzi z krzyża  
musimy go jeszcze ostatni raz objąć.

*(Mocno i głęboko)*

Liryki poety znad Narwi przejmują metafizycznym pojmowaniem śmierci w łączności świata żywych i umarłych, poruszają niczym śpiew starożytnego chóru w lamencie nad tymi, których skrzywdził zły los – stają się uniwersalną skargą człowieka nad nieuchronnością przemijania i utraty.

Teresa Tomsia

Fot. Julian Kotelba



Outokumpu, półwysep Vekarusniemi

Tadeusz Franciszek Machnowski

## CZY PAMIĘTASZ

Płynęliśmy ojcze dawno i cichutko  
– ja młody byłem ty nie byłeś stary –  
więc co się stało z tamtą łódką  
kto ją pamięta jeszcze oprócz Narwi?

pamiętasz ojcze jak nieśmiało fala  
pluskąła w wiosła omywała dłonie  
było cicho – naraz Matka zawołała  
zamarliśmy z przejęcia na moment

jesteśmy – szepnąłeś – bo głos był z daleka  
dalej niż zza morza – z bieguna wieczności  
tylko najcichszy głos serca dobiega  
inne się rozbijają o progi i mosty

inny głos zamiera zanim zgasną usta  
– pamiętasz ojcze – płynęliśmy obaj...  
czy pamiętasz? – lecz i ty nie słuchasz  
i nie odpowiesz – Jedynie zawołasz.

\*\*\*

Dopiero odchodząc  
widzisz ile pozostawiasz  
czego nie dopiąłeś  
nie dokonałeś  
nie znenawidziłeś  
do końca

odchodząc – widzisz  
w kurzu nagłych dróg

wydzwania podzwonne  
przygaszonych uczuć

nie zawracaj z drogi  
pierzchliwie i prędko

– ptak ptaka goni  
słowo za słowem  
ucieka.

## MŁYŃSKI KAMIEŃ

A jeszcze trzeba  
napisać o wrzosach  
o dniach pochmurnych  
nieprześnionych nocach  
jeszcze sumienie  
– kamień młyński  
poruszyć

i wszystkim chwilom  
w których  
na lekarstwo  
miłości  
nie było  
– wiarę przywrócić.

## MIEJSCA NADRZECZNE

Najbardziej zmienne są miejsca nadrzeczne  
woda wciąż nowej poszukuje formy

gdzie łąka puszysta i olszyny gibkie  
niedawno ujeżdżałem szczupaki  
jeszcze emocja potrząsa wędziskiem  
jeszcze dech zapiera zanurzony sępawik

gdzie jest ład taki i u jakiej Narwi  
wolny od wspomnień pamięci i marzeń  
który by ze snu zawracał umarłych  
co by odmieniał biegi lat i zdarzeń.

## PROCESJE

Byłem na procesji  
w dzień Bożego Ciała  
i zapomniałem Kogo niesli  
na śmierć zapomniałem

gdzie okiem rzucisz  
– w krąg oślepia  
wielka ukrzyżowana Ziemia

chwilowo zamieszkałem  
ze ślimakiem w skorupce  
duch opuścił mnie – ciałem  
dalej śmierci się uczę.

## Z ODDALENIA

Odbiegłem znów  
ojcze –  
z oddalenia  
wyraźniej widać

dogasasz już  
wiecznym słońcem  
w dojrzewających  
żytach

wieczór zachodzi  
na pogodę

rankiem błysnie życie  
– bliźnięca rana –

dla ciebie nieczułe już  
i chłodne  
jak opadające liście  
na skronie cmentarza.

Tadeusz Franciszek Machnowski

Fot. Sebastian Musielak



Espoo

Katarzyna Lewandowska

## CMENTARZ W ŚNIEGU

W białych ramach okna ten widok jest całkiem jak obraz. Coś jak z Friedricha, zwłaszcza teraz, w śniegu. Leżąc, podpira się na łokciu i patrzy przez szybę. Uśmiecha się do szarych tablic, pokrytych białym puchem, do krzyży, pomimo ludzkich zwątpień dzielnie stojących na baczność. Jest w nich nadzieja, której jej potrzeba.

– Patrz. – Zgrabiałymi dłońmi gładzi futro kota. – Kiedyś tam dotrzemy.

Opowiada o szkole, w której pracowała: o zeszytach w linie i o Mickiewiczu, harcerskich rajdach, Tomku, który zawsze przeszkadzał na lekcjach i Zosi, która nigdy nie miała drugiego śniadania.

– Starość jest jak błąd w dyktandzie – mówi, a w odpowiedzi dostaje mruczenie.

Już drugi rok tkwi tu przykuta do łóżka. Wcześniej jeszcze dało się o własnych siłach dojść do toalety, teraz już nawet tego zrobić nie sposób. Na szczęście dzięki pani Marii jakoś daje radę. Tylko słuchać nikt nie chce, oprócz Baltazara, bo jemu nie przeszkadza, że mylą się słowa, a terażniejszość miesza z przeszłością. Teraz też zwinął się obok, jak zwykle do usług, gotowy przyjąć na siebie porcję wspomnień, niekoniecznie nową.

– A o mojej siostrze, Marcysi,



Fot. Archiwum K. Lewandowskiej

Katarzyna Lewandowska

ci opowiadałam? Miałyśmy pewnie dwanaście lat, jak żeśmy sobie umyśliły, że będziemy do siebie mówić jednocześnie. I tak gadałyśmy cały wieczór, bo pisano, że to bardzo niebezpieczne, że od tego każdemu w głowie się miesza. Chciałyśmy pokazać, że wcale tak nie jest, ale udało nam się dowieść, że to połowa prawdy. Mnie nic nie było, ale Marcysia od tej pory nigdy nie była już sobą. Całymi wieczorami chodziła nago po kamieniach na brzegu Sanu i śpiewała łemkowskie piosenki. Widziałeś ją może? Jak to szło? A ty, myła, a ty, myła, sztos dumała, ked soj h weczer, ked soj h weczer zo mnom stała... Którejś zimy poszła nad rzekę i wskoczyła do przerębli. Jej ciało znaleziono wiosną. A teraz sobie siostrzyczka obok nas tu mieszka. – Łagodnym spojrzeniem obejmuje cmentarz. – A o moim Antku, który mnie do ślubu wiózł na motocyklu?

– Mówiłaś mu, mówiłaś. – Maria staje w drzwiach z talerzem zupy zmielonej mikserem. Przegania kota z łóżka i siada w fotelu. – Teraz czas na obiad, a nie na wspominki.

\*\*\*

Czarne futro Baltazara błyszczy w promieniach zimowego słońca. Może jeszcze nie wie, że dziś ich dotyk będzie jedynym, którego zazna. Nie rozumie, skąd wzięła się ta cisza, przetkana zdławioną modlitwą rur centralnego ogrzewania. Ta świadomość pojawi się później, kiedy spróbuje dotknąć nosem chłodnych dłoni, albo nie pojawi się wcale.

Wolimy myśleć, że wie, że jednak coś przeczuł. Ma przecież zmysł, który pozwala mu przewidzieć wybuchy wulkanów i trzęsienia ziemi, a dla niego to chyba coś w tym rodzaju.

Tymczasem siedzi na parapecie i spogląda przez szybę. Łapie źrenicami spadające płatki, jakby polował na ptaki. Myje językiem łapki – może też szykuje się do wyprawy w nieznane? Nikt nie wie, nad czym naprawdę się głowi.

Potem mruży oczy i długo patrzy przed siebie, wypatrując czegoś. Nigdy nie dowiemy się, czego.

A może czuje się jak na wystawie w Museum für Bildenden Künste?

W białych ramach okna ten widok jest przecież całkiem jak obraz Friedricha.



## PRZYTUŁEK

Niebieski koralik potoczył się po stole i już, już upadłby na podłogę, ale złapałam go przy samej krawędzi blatu. Od tego tu jestem, żeby łapać wypadające z rąk koraliki, pomagać w trudnej sztuce nawleknięcia ich na drucik, zaginania drucika szczypcami, czyli w tym, co nieporadne dziś dłonie zdążyły zapomnieć, nawet jeśli kiedyś były sprawne jak palce wybierającego mak z popiołu Kopciuszka. To do moich zadań należy głaskanie nieposłusznym umysłowi rąk słowami: „damy radę”, „na pewno nam się uda”. Nigdy nie mówię „dasz radę”, „uda ci się” – to byłaby hipokryzja. Teraz też biorę do rąk niebieski koralik i kładąc go przed Marią, pytam:

– Robimy klipsy?

Maria podnosi wzrok znad pudełka z błyskotkami. Odkąd postawiłam je na stole, zanurzyło się w nim wiele rąk: pomiętych jak wyrzucona do śmieci kartka, pokrytych plamami, powykręcanych artretyzmem. Większość znużonych, uśpionych, a tylko Marii ciekawskie, łakome, zachęcone do działania blaskiem świecidełek. Przebierały, wybierały, przekładały z miejsca na miejsce kolorowe koraliki, kamyczki, srebrne i złote druciki – co kto lubi. Najpierw złapała szkiełka imitujące brylanty. Ukradkiem wyciągnęła z kieszeni koszuli małe podręczne lusterko. Specjalnie zabrała je z pokoju, wiedząc, że dziś na warsztatach będzie robić biżuterię. Drżącymi dłońmi przyłożyła brylanty do uszu, długo i z powagą przyglądając się swojemu odbiciu, jakby coś sobie przypomiwała. Potem szybko odłożyła je do pudełka, zamieniając na skromne niebieskie kuleczki. Teraz Maria patrzy na mnie ze wstydliwym, spłoszonym uśmiechem, potakująco kiwając głową.

– Robimy.

Rozkładałam przed nią narzędzia, chociaż wiem, że w końcu sama będę musiała ich użyć. Nie, to nie kłamstwo, to możliwość, przekonanie jej i siebie, że nie można przestać próbować. Maria przejrzała jednak moje myśli, zresztą już od dawna jest świadoma, że czas zabiera ze sobą wszystko, co wpadnie mu w ręce: sprawność, urodę, pamięć, wspomnienia. Choć niektórych wspomnień za nic w świecie nie da sobie zabrać – na przykład tego o synach, którzy zginęli w wypadku. Gdyby nie ten pożar – nie byłoby jej tu teraz. Spędzałyby właśnie letnie przedpołudnie u swojego najstarszego; może w tej chwili słuchaliby razem muzyki albo siedzieli w ogrodzie i rozmawiali, popijając sok ze świeżych truskawek... Młodszy zabrałby ją do siebie na zimę, a najmłodszy zaprosiłby na święta. To tylko dzięki tej myśli co dzień wstaje z łóżka z ochotą, zdejmując z włosów papiloty, za-

kłada kolorowe apaszki i nie przejmując się, że przez nietrzymanie moczu zmuszona jest nosić pieluchy. Codzienna dawka wspomnień to dla starości najlepsze lekarstwo.

Teresa i Zosia też noszą pieluchy, też drżą im ręce i szwankuje pamięć. Staśka chodzi z balkonikiem, ale za to sama załatwia swoje sprawy w toalecie. Barbara ostatnio przeszła zawał; wyratowali ją, choć sama nie wie, czy dobrze zrobili.

Czas płynie tu innym rytmem niż poza budynkiem. Zdarzenia powtarzają się cyklicznie: poniedziałki – pokazy filmowe, wtorki – biblioterapia, środa – warsztaty teatralne, czwartek – spotkania relaksacyjne, piątek – terapia zajęciowa. Do tego codzienne posiłki, muzykoterapia, zajęcia z fizjoterapeutką i krótki spacer. Kulminacyjnym punktem każdego dnia jest podwieczorek. Poza tym powtarzalnym schematem istnieje jeszcze sen. To on daje prawdziwą wolność. We śnie wszystko jest możliwe: można być młodą, zdrową, można nawet zakochać się pierwsza, szaloną miłością. We śnie ma się dzieci, które chcą być blisko, które wciąż kochają. W snach nie ma lęku, samotności, niedoświadczenia. Dlatego kobiety z „Przytuliska” uwielbiają noc. Wszystkie oprócz Marii. Ta, dla odmiany, woli dni wypełnione po brzegi. „Księżna” – zgryźliwie mówią o niej inne. Teraz też przyglądają się jej z wyraźną niechęcią. Drażnią pokręcone na przekór wszystkiemu włosy, kolorowa chustka na szyi i niezrozumiały, w stosunku do czasu i miejsca, zapach

– A ta znów zadowolona – komentuje półgłosem Zosia.

– Pewnie, gdyby żyli, już najstarszy zajechałby po nią najnowszym Rolls-Royce’em. – Cicho śmieje się Staśka. – Wyszłyby na jego przywitanie z brylantami na uszach.

Pozostałe też parszają śmiechem, najwyraźniej dowcip się jej udał.

– Tak, tak. I pewnie zawióźły ją do swojej willi a potem przyniosłyby jej do łóżka własnoręcznie pieczone ciasteczka.

– A ten średni zrobiłby masaż stóp, a potem natarł pachnącym olejkami.

– A najmłodszy zabrałby na wczasy na Hawaje.

Teresa z Barbarą rechoczą stłumionym śmiechem. Plecy trzęsą się im, ramiona podskakują – dawno tak dobrze się nie bawiły. Nagle myślą o swoich niespalonych w pożarze dzieciach, o które Maria lubi pytać. Plecy, ramiona i myśli zastygają w bezruchu, przestrzeń wypełnia się gęstym, duszącym powietrzem. Niewidzialny dym dosięga ich skurczonych ciał i uparcie wciska się do oczu. Coraz ciężiej oddychać, coraz trudniej żyć.

– Przerwa na podwieczorek – oznajmiam, patrząc na zegarek. Idą powoli, przygarbione, z uśmiechami sztucznyymi jak ich szczęki.

## RABBIT JUMPING

Ojciec miał pięćdziesiąt cztery lata, kiedy matka zostawiła go dla hodowcy koni. Jej nowy wybranek mieszkał w górnej części wioski i mówiono o nim Zwycięzca, bo kiedy był młody, jego konie często wygrywały w lokalnych zawodach jeździeckich. Powiadano też, że ma rękę do zwierząt i kobiet. W dzieciństwie często przyglądałem się jego dłoniom, szukając wyjaśnienia jego sukcesów. Nie widziałem w nich niczego wyjątkowego, poza wiecznie brudnymi paznokciami.

Kiedy matka odeszła, ojciec całkiem załamał się nerwowo. Najpierw sporo popijał, później całkiem zamknął się w sobie. Przyplątały mu się jakieś dziwne tiki: zaczęło się od uporczywego mrugania, zdarzało mu się też pochrząkiwać i mlaskać. Z czasem dołączyła do tego potrzeba wypowiedziania nieprzyzwoitych słów lub zdań, zwłaszcza w towarzystwie obcych osób. W każdym razie – jego zachowanie momentami stawało się bardzo osobliwe. Miałem już dziewiętnaście lat i przypadości taty nie tylko bardzo mnie niepokoiły, ale także utrudniały mi utrzymywanie kontaktów z dziewczynami, które notorycznie były przez niego obrażane. Dlatego pewnego wiosennego dnia zawiozłem go do lekarza.

– Nie pamiętasz tego, bo wtedy jeszcze nie było cię z nami.

Doktor zbadał go dokładnie i przeprowadził ze mną wnikliwy wywiad, dotyczący jego problemów. Wszystko wskazywało na pojawienie się u ojca schorzenia zwanego kopolalią, którego przyczyną miały być alkohol i niemające ujścia emocje. Po skrupulatnej analizie jego dolegliwości zalecił wizytę u psychoterapeuty, na co tata zareagował dość nerwowo.

– Na chuj mi jebany psychoterapeuta? – zapytał retorycznie.

Poznałaś mojego ojca i myślę, że wcale cię to nie dziwi.

Zamiast szukać wsparcia u specjalisty, kazał zawieźć się na giełdę, na której zakupił osła i parę królików. Miał własny pomysł na poradzenie sobie z kłopotami. Zdecydował, że to właśnie zwierzęta zostaną jego powiernikami i terapeutami.

Tak też się stało. Ojciec codziennie rano, przed wyjściem w pole, odwiedzał stajnię. Rozsiadał się na stołku i rozpoczynał prywatny seans. Opowiadał im o swoich problemach, o radościach i smutkach, słuchał ich milczenia i wydawanych przez nie odgłosów. Twierdził, że te codzienne spotkania bardzo mu pomagają. I rzeczywiście, jego dolegliwości stopniowo zaczęły ustępować; po kilku tygodniach terapii niemal całkiem wyzwoił się z przymusu przeklinania, wydawał też znacznie mniej niekontrolowanych dźwięków.

Jego ulubionym powiernikiem stał się jeden z królików. Ojciec nazywał go Raptus, bo zawsze pierwszy skakał, by się z nim przywitać i najszybciej wyrwał mu z rąk marchewkę. Był też doskonałym słuchaczem: kiedy ojciec mówił, Raptus zastępował przed nim, poruszając wąsami, jakby dawał znak, że pomimo pozorów obojętności, pozostaje czujny. Więż łącząca tatę z króliczkiem była tak silna, że czasami zastanawiałem się, kto z nas w istocie jest mu bliższy.

Wiem, co myślisz i masz całkowitą rację – tak, czułem się trochę zazdrosny.

Pewnego dnia ojciec trafił w gazetce na informację dotyczącą pewnej dyscypliny sportowej, którą uprawiano w Stanach Zjednoczonych oraz niektórych europejskich krajach. Był to Rabbit Jumping, sport dla królików, który polegał na przeskakiwaniu barier na torze. Przeszkody wyglądem przypominały te, które na parkurze pokonują konie, były jednak, oczywiście, stosunkowo mniejsze.

Ta notatka rozbudziła jego wyobraźnię. Najpierw ciągle opowiadał o tym z wypiekami na twarzy i błyskiem szaleństwa w oczach. Potem przysniło mu się, że Raptus zostaje mistrzem króliczych skoków, a jemu samemu przypada tytuł Niepokonanego. W końcu przystąpił do działania. Z kawałków znalezionych we wsi desek i pustaków wybudował w ogrodzie tor dla królików. Od tej chwili codziennie ćwiczył je w skakaniu przez przeszkody. Poświęcał temu sporo czasu i równocześnie namawiał innych mieszkańców wioski do tresury swoich długouchów. Miał nadzieję, że nikt nie osiągnie nawet w połowie tak dobrych rezultatów. Tylko on znał przecież drogę do króliczych serc i umysłów, tylko jemu udało się uczynić je swoimi przyjaciółmi.

Ludzie początkowo stukali się w głowę, z czasem jednak jawnie zaczęli z niego szydzić i nazywać Króliczym Czubkiem. On jednak, nie zważając na nic, uparcie kontynuował tresurę swoich zawodników. Zdarzało się, że chłopcy z wioski dla draki podmieniali nasze króliki z królikami sąsiadów, ojciec jednak dość szybko orientował się w takich przypadkach.

Pewnego ranka jak zwykle zabrał ze sobą sporą porcję zieleniny i udał się w stronę klatek. Miał zamiar podnieść dziś poprzeczki o kolejne dziesięć centymetrów, wcześniej jednak zamierzał to uzgodnić ze swoimi podopiecznymi. Na wszelki wypadek wziął jeszcze z piwnicy parę dorodnych marchewek, które miały wzmocnić jego propozycję.

Już z daleka zauważył, że coś jest nie tak: klatki były otwarte. Kiedy podszedł bliżej, okazało się, że jego zawodnicy leżą wewnątrz zupełnie nieruchomo. Dotknął ciała Raptusa i poczuł przeszywający go chłód, a później falę gorąca. Zrobiło mu się słabo, a jego oczy wypełniły się łzami. Nie mógł

uwierzyć w to, co się stało: króliki nie żyły. Ktoś otrął je nocą i zostawił tu, żeby zrobić ojcu kawał.

Wiesz przecież, jak bezmyślni ludzie mieszkają w naszej wiosce.

Tato wyszedł do ogrodu, zabierając ze sobą przyniesione warzywa. Przez chwilę stał nieruchomo, głośno przeklinając, a później kucnął, zjadł jedną z marchewek i zwinnym susem pokonał wszystkie przeszkody. Powtórzył tę czynność kilkanaście razy z zaciętym wyrazem twarzy, po każdej udanej próbie przydzielając sobie liść sałaty. Nie mogłem na to patrzeć. Nie chciałem stać bezczynnie, zwłaszcza że obok naszego ogrodzenia zebrała się grupka gapiów, wytykając go palcami i śmiejąc się z niego. Ugiąłem nogi w kolanach i dołączyłem do treningu.

Jesteś ciekawa, co stało się później? Opowiem ci wszystko za chwilę. Najpierw muszę cię wydoić i przynieść ci trochę siana, bo widzę, że ta opowieść była dla ciebie dość wyczerpująca.

Katarzyna Lewandowska

## JESTEM PISARZEM LUDOWYM

Rozmowa z Radkiem Rakiem<sup>1</sup>

**Kinga Matuszko:** Zaczniemy od klasycznego pytania o to, skąd czerpiesz pomysły i co lub kto cię inspiruje. Przyznam, że najbardziej ciekawi mnie, co inspirowało cię przy pisaniu twojego debiutu książkowego, powieści *Kocham cię, Lilith*.

**Radek Rak:** To jest strasznie trudne pytanie, bo nie racjonalizuję swojego pisania w żaden sposób. I trudno mi potem zastanawiać się nad nim. Najczęściej inspiracją jest to, że muszę coś napisać, bo potrzebuję funduszy. Tak było zwłaszcza na samym początku. Kiedy byłem na studiach, zachorowałem i nie mogłem pracować tak, jak większość moich kolegów, znalazłem więc konkursy literackie, które okazały się kopalnią złota. Ale to tak żartem.

Na pewno nie można uciec od pewnych własnych doświadczeń i zawsze pisze się samym sobą, swoim życiem. Jeżeli chce się pozostać szczerym w swojej twórczości, to inaczej się po prostu nie da. To nie jest tak, oczywiście, że jakieś konkretne doświadczenia chłopca pańszczyźnianego są mi bliskie, bo jestem człowiekiem ze wsi lub moi przodkowie byli chłopami pańszczyźnianymi. Na moje życie nie ma to wielkiego wpływu, ale zawsze miał na mnie duży wpływ brak, niedostatek, to, że jestem kimś, kto czegoś nie może. Tego doświadczyłem bardzo wiele razy. Od wczesnych lat dziecięcych, później na studiach i w życiu dorosłym również, być może dlatego moi bohaterowie wywodzą się przeważnie z nizin społecznych. Gdy patrzę na swoje pisarskie plany, to dalej będę się zajmował tymi, którzy są raczej na dole niż u góry. Bo nigdy nie byłem u góry, a na dole byłem wystarczająco długo, by móc o tym opowiedzieć i opisać w nadziei, że to wyjdzie jako szczerze i fajnie.

Pytacie o rzeczy dziwne, fantastyczne obrazy, które pojawiają się w moich tekstach. Czasami jest to pokłosie snów, na przykład *Puste niebo* wzięło się z takiego snu, w którym idę przez stary Lublin i patrzę, a tam, nad Alejami Racławickimi i Krakowskim Przedmieściem, lecą księżyce. Lecą trochę jak Skittlesy w reklamie. A na Wieży Trynitarńskiej stoi stary człowiek i puszcza te księżyce, niczym latawce.

Wpływają na mnie przede wszystkim własne doświadczenia i oczywiście lektury, które czytam. Dawniej miewałem długie przerwy w pisaniu, ale kiedy przeczytałem dobrą książkę, było to dla mnie szalenie mobilizujące. Zresztą do tej pory jest tak – jak pisał Ryszard Kapuściński – żeby napisać jedną stronę, trzeba przeczytać sto. I coś w tym jest. Bardzo potrzebuję wysokoenergetycznej, wysokokalorycznej literatury, która będzie mnie mocno stymulowała do napisania czegoś, co się nadaje, żeby pokazać to ludziom.

<sup>1</sup> Spotkanie zostało przeprowadzone za pośrednictwem platformy MS Teams 19 kwietnia 2021.

**KM: Twoje pierwsze próby literackie pojawiały się na forum „Nowej Fantastyki”. Czujesz się związany ze środowiskiem fanów fantastyki? Byłeś aktywny w fandomie i pojawiałeś się na konwentach? Rozpoznawano cię w środowisku fantastyki przed nagrodami dla *Baśni o wężowym sercu*?**

**RR:** Jestem skrajnie introwertyczną osobą. Dla mnie wybranie się w miejsce takie jak Pyrkon nie jest proste. Jechałem tam jedynie wtedy, gdy byłem zapraszany, potem starałem się uciec, bo przecież na małej przestrzeni, na Targach Poznańskich, mieściło się tyle osób, ile żyje w moim rodzinnym miasteczku. Każdy wyjazd na konwent był dla mnie przerażającym doświadczeniem. Na Falcon jeździłem zawsze, bo był w Lublinie, gdzie studiowałem. Do Lublina mam duży sentyment, więc często tam jeżdżę. Ale przez większą część życia byłem fantastą, który był poza fandomem, a na konwentach nie bywał, bo jest tam za dużo ludzi. Pierwszym konwentem, na który pojechałem z własnej chęci, bo namówił mnie Paweł Majka, był Polcon w Bielsku-Białej w 2014 roku. Było całkiem fajnie. Na każdej imprezie – podobnie dzieje się na targach weterynaryjnych – szwendam się po opłotkach.

Natomiast jeśli ktoś mnie prosi o rozmowę, nigdy nie odmawiam. Wychodzę z założenia, że skoro wyszedłem przed szereg, coś napisałem i wydałem, a ktoś chce ze mną o tym porozmawiać, powinien mieć taką możliwość. Nie wiem, czy powiem mu coś odkrywczego, ale to zawsze jest bardzo miłe. Kiedy jadę na jakiś konwent, staram się wziąć udział w kilku panelach i pokręcić się w kularach, ale przeważnie idę spać po 21 albo spędzam czas z żoną i najbliższymi przyjaciółmi. Ponieważ moja żona jest zaangażowana w fandom mangowy, to i ja się o niego otarłem. Tam było zupełnie inaczej, dziwnie i osobliwie, choć nigdy nie byłem otaku. Moim jedynym kontaktem z tą formą sztuki było oglądanie filmów ze Studia Ghibli, co pewnie wychodzi w moim pisaniu. Wolę kameralne spotkania. Bardzo dobrze wspominał Fantasmagorię w Gnieźnie, która jest małym konwentem, bywało na niej najwyżej dwieście osób.

Organizatorzy zwykle chcą, żebym coś o sobie opowiedział, ale mówienie o sobie jest trochę nudne. Co mogę powiedzieć? Wstaję rano, idę do pracy, wracam z pracy, piszę, spędzam czas z żoną i idę spać. Tak właściwie wygląda moje życie. Przez trzy lata, aż do wybuchu pandemii, jeździłem po różnych konwentach, parzyłem tam herbatę i to było dla mnie idealne rozwiązanie, bo nie musiałem mówić o sobie, tylko mówiłem o herbacie. Za każdym razem brałem inną, nietypową herbatę i robiłem miniwarsztaty, z czym wiąże się kilka anegdot. Na którymś konwencie bardzo potrzebowałem miękkiej wody i poprosiłem o odkamieniony czajnik. Spojrzałem do środka – ani śladu kamienia. To była japońska herbata, bardzo subtelna, o lekko wodorostowym posmaku. Zalałem ją, podnoszę pokrywkę, by sprawdzić, czy nadaje się do picia i czuję kwas cytrynowy oraz sodę.

**Mikołaj Głos: Interesuje mnie to, jak podchodzisz do gatunków i konwencji literackich. Czy klasyfikujesz gatunkowo swoje utwory, czy unikaszesz sztywnych podziałów między nimi na rzecz eksperymentowania?**

**RR:** Nie zastanawiam się nad tym. Jestem przekonany, że wszystko, co napisałem, jest fantastyką. Wychowałem się na fantastyce i właściwie sześćdziesiąt

procent rzeczy, które czytam, jest fantastyką. Ale rozumiem, że to, co piszę, jest inną fantastyką niż ta, do której są przyzwyczajeni jej miłośnicy.

**MG:** Kinga w części teoretycznej swojej pracy magisterskiej poświęconej twoim powieściom ma spory problem z włożeniem cię do jakiejś szufladki.

**RR:** Jeśli do jakiejś szufladki pasuję, to mogę tam siedzieć. W empikach byłem już na półkach z fantastyką, współczesną literaturą polską i kobiecą, nie wiem jeszcze gdzie...

**KM:** Według mnie twoja twórczość jest fantastyką, a nie realizmem magicznym. A z taką klasyfikacją twoich powieści, szczególnie tej ostatniej, spotykam się bardzo często w jej recenzjach i omówieniach.

**RR:** Realizm magiczny to śmieszne pojęcie – możemy tam wszystko wrzucić. Dla mnie do tego nurtu przynależy Marquez i bałkańscy mistrzowie prozy, Miodrag Bulatović i Danilo Kiš. W ich powieściach jest zabawa czasem; to, co jest zwyczajne, jest niezwykle, a to, co niezwykle, jest zwyczajne. W *Baśni o węzowym sercu* tego nie ma, w *Kocham cię*, *Lilith* nie ma, w *Pustym niebie* także. *Puste niebo* to najbardziej „gatunkowa” fantastyka ze wszystkich rzeczy, które napisałem i opublikowałem. Czuję się pisarzem fantasta.

**KM:** Fantastyka wciąż nie jest zbyt popularna wśród badaczy literatury. A jak mają się sprawy z polską fantastyką? Czy nadal jest to getto, jak często mawiają jej fani?

**RR:** To nadal jest getto. Kiedy zaczęły się nominacje *Baśni o węzowym sercu* do różnych nagród literackich w ubiegłym roku, ośmieliłem się powiedzieć, że może uda mi się wyjąć cegiełkę z murów dzielących fantastykę od mainstreamu. Pamiętam z pierwszego dziesięciolecia XXI wieku, który był dla mnie najbardziej formacyjnym okresem, że wiele się wówczas działo. Jacek Dukaj pisał i wydawał swoje największe powieści. Wit Szostak pisał literaturę typowo fantastyczną. Szczepan Twardoch tworzył fantastykę. Jakub Małecki także. Łukasz Orbitowski pisał horrory. Anna Kańtoch stworzyła swoje pierwsze powieści. Marek Huberath wydał *Miasta pod skałą* i *Vatran Auraio*. Czytałem te książki i chciałem pisać tak, jak oni. Wtedy też pojawiła się seria „Uczta Wyobraźni” w wydawnictwie MAG, czyli wspaniałe książki przetłumaczone często byle jak na polski. Ale one wychodziły. Przeczytałem wtedy *Dworzec Perdido* Chiny Miéville’a. Dla mnie to jedna z ważniejszych, formacyjnych książek. Jednak po tym, gdy Anna Kańtoch wydała powieść *Czarne*, coś w fantastyce zamarło. Zakopała się w swoich okopach, bardzo konserwatywnych. Niekoniecznie konserwatywnych światopoglądowo, raczej formalnie... Tu pojawia się Fabryka Słów. Nie zaczynamy tego tematu, bo prędko nie skończymy. Z książkami wydawanymi przez Fabrykę miałem zawsze taki problem, że czytałem je, ale się nie zaciągałem.

Polska fantastyka po 2012 roku okopała się w książkach bezpiecznych, niezbyt zaskakujących, które nie są poszukujące, a mało skomplikowane i operują ograniczonymi schematami. Oczywiście też lubię od czasu do czasu przeczytać taką książkę, ale nie chcę się żywić tylko tego rodzaju literaturą. Tymczasem w zachodniej fan-



tastyce dzieje się naprawdę bardzo wiele. Ostatnio dostałem propozycję napisania blurba do książki, która jest fantastyką z Finlandii. To jest coś tak bardzo mojego, że po lekturze dziesiątej strony się w niej zakochałem. Książka nosi tytuł *Polowanie na małego szczupaka*. Już jej tytuł jest fajny. Kiedy ukaże się w Polsce, krytycy na pewno powiedzą, że to realizm magiczny, ale tak naprawdę to wysokiej jakości fantastyka z różnymi stworami, które kojarzą się z leszymi, węzami i innymi istotami ze słowiańskiego bestiariusza. Tam natomiast pojawiają się istoty z folkloru Laponii. A ponieważ kiedyś miałem okazję odwiedzić Laponię, byłem zachwycony.

Po 2012 roku zacząłem mieć wrażenie pewnej jałowości w polskiej fantastyce, bowiem to, co się czytało i to, co się sprzedawało, to były rzeczy mało odkrywcze. Gdybym miał pokazać głos, który w tym okresie był najciekawszy, byłby to Paweł Majka, ale on też wydawał mi się „bezpieczny”. Pisał rzeczy, z których miał pieniądze, które nagradzano – jak sam mówił. Napisał wspaniałą dylogię *Pokój światów* i *Wojny przestrzeni*, które są postmodernistyczną mieszanką różnych elementów literackich. To jest jazda bez trzymanki, a przy tym czyta się ją jak książkę przygodową. Ale nie przebiła się do szerszego obiegu. Paweł pojawia się niemal na każdym konwencie, ale gdyby zapytać zwykłego czytelnika fantastyki, który nie jeździ na konwenty, kim jest, mógłby go skojarzyć tylko jako autora książki z serii „Metro”.

Istnieje także bariera między fantastyką fandomową i niefandomową, to są dwa różne obszary. Bardzo chciałbym dotrzeć z książką, nad którą teraz pracuję, do czytelnika fantastyki spoza fandomu, czyli nienależącego do tych dwóch czy trzech tysięcy osób, które jeżdżą na wszystkie konwenty w Polsce i się znają. To bardzo fajni ludzie, ale to zamknięty krąg. Dla pisarza to wyjąłwiające, gdy czytają go sami znajomi. Nie rozumiem, skąd ta martwota w polskiej fantastyce, nie wiem dlaczego nie ma w niej silnych, osobnych, poszukujących głosów. W ubiegłym roku ukazała się w wydawnictwie Vesper świetna powieść Jakuba Bielawskiego *Dunkel*, którą przeczytałem tylko dlatego, że miałem do niej napisać blurba. To autor wyrazisty, który ma taką parę w piórze jak mało kto, ma wizję i rękę do tworzenia charakterów. To jest mroczna powieść. Byłem rozczarowany, że nie dostała nominacji do Nagrody im. Żuławskiego. Jeśli tam przepadła, wątpię, czy będzie miała nominację do Nagrody im. Zajdła, choć głosowałem na nią. Wychodzą ciekawe rzeczy, które jednak przepadają. O ile można dostrzec, że w mainstreamie pojawia się wiele książek autorów poszukujących, wybierających mniej oczywiste rozwiązania, o tyle na polu fantastyki nie zdarza się to zbyt często.

**MG:** Albo pojawiają się stereotypowe i upraszczające rzeczy, jak twórczość Anety Jadowskiej.

**RR:** Nie przeczytałem żadnej książki tej pisarki, więc się nie wypowiem.

**MG:** Powiela pewien szkodliwy stereotyp kobiety, eksponujący wyłącznie jej seksualność, a ja oczekiwałbym bardziej złożonego, wielowymiarowego portretu. Jadowska to rozpoznawalna autorka, mogłaby zrobić sporo dobrego dla zmiany wizerunku kobiet w fantastyce i w popkulturze.

**RR:** Przemyślałem pewne rzeczy po napisaniu *Baśni...* I większą frajdę sprawia mi tworzenie złożonych postaci kobiecych w powieści gatunku *young adult*, nad którą teraz pracuję. Nie będzie już tak, jak do tej pory.

**MG:** **Chcesz zmienić sposób, w jaki pisałeś o kobietach? Co cię do tego skłoniło?**

**RR:** To były tematy, nad którymi, przynajmniej, nie zastanawiałem się wcześniej. Uzmysliłem sobie jednak, że to jest rzecz, która w mojej prozie kuleje i pomyślałem, że teraz rzucę się na głęboką wodę i główną bohaterką powieści uczynię kobietę. Zbuduję jej postać na innej zasadzie niż dotychczas i zobaczę, czy mi się to uda. Oczywiście kiedy coś piszę, zawsze jestem przekonany, że z tego wyjdzie wielka literacka katastrofa. Ale podpisałem już umowę, więc muszę tę książkę skończyć.

**MG:** **Przy okazji *Pustego nieba* wspomniałeś o motywie snu, więc zapytam, co sądzisz o psychoanalizie. Bliżej ci do Freuda, Lacana czy Junga, a może w ogóle nie odnajdujesz się w psychoanalitycznych teoriach?**

**RR:** Musicie pamiętać, że nie jestem humanistą. Nie czytałem ani Freuda, ani Junga, ani tego pana na „L”, o którym nawet nie słyszałem. Wiem, że teraz panuje moda na chwalenie się swoją ignorancją, ale ja tego nie lubię. Wit Szostak często tłumaczy mi różne rzeczy i opowiada o humanistyce, bo mam na tym polu ogromne zaległości, których, rzecz jasna, nigdy nie nadrobię. Po pracy czytam Eliadego, który chyba nie jest już tak bardzo popularny, ale mnie jego książki sprawiają ogromną przyjemność. I wiem, że z tego Eliadego wyciągam inne rzeczy niż te, które dostrzegłaby osoba z wykształceniem humanistycznym. Podobnie jest z gnozą, z którą się zapoznałem na potrzeby moich książek. Czytałem na przykład Hansa Jonasa *Religię gnozy*. Nie wiem jednak, jak stoją jego notowania w humanistyce i czy to jest poważna literatura, a nie na przykład ktoś podobny do Rudolfa Steinera...

Bardzo lubię śnić i mam bogate sny. W większości są to barwne sny, mocno oddziałujące na zmysły, często długie, posiadające wewnętrzną logikę i przyjemnie mi się je wspomina. Z pewnością obrazy ze snów przechodzą do moich książek. Podróż do podziemnego świata w *Baśni o węzowym sercu* wzięła się z jednego z wielu moich snów. Nie wiem, jak psychoanaliza ma się do snów, za co przepraszam, ale nigdy mnie to szczególnie nie interesowało. Sen jest zawsze wiadomością od siebie do siebie. Mogę opowiedzieć, jak wygląda neuromechanizm snu, ale nie o tym, jak sen przedstawia się z perspektywy nauk humanistycznych. Jestem i czuję się przede wszystkim przyrodnikiem i sądzę, że to manifestuje się w moich książkach. W snach pojawiają się często motywy przewodnie. Jeżeli regularnie powracają, mogą się zastanawiać, czego są symbolem. Zastanawia mnie symbolika snu o czarnym psie, który prześladował mnie przez cały okres życia nastoletniego.

**MG:** **To już brzmi bardzo freudowsko.**

**RR:** Przypominam sobie, że analizy Freuda często odnosiły się do seksualności. Pamiętam, że czytałem *Fausta* Goethego i tam Mefistofeles objawia się pierwszy raz jako czarny pies. Bohater wypowiada wtedy zdanie: „oto pies czarny

przez ścierń ku nam zmierza”. Pamiętam, że byłem tym zdaniem przerażony, to było jedno z najbardziej przerażających zdań, które w życiu przeczytałem. Nie wiem dlaczego. Bardzo często zdarza mi się śnić świadomie – wiem, że to, co widzę, jest snem, że znajduję się we śnie. Zdarzają mi się także sny we śnie, takie piętrowe incepte. O dziwo, we śnie jestem w stanie się w tym połapać. Sny są ważną częścią mojego życia. Gdy mam straszny natłok pracy, wiadomo że są tylko o niej, ale kiedy odpocznę, pojawia się ich bogata różnorodność.

**MG: Zazdroszczę ci świadomości śnienia. Nigdy nie pamiętam tego, co mi się śniło, a jeżeli zdarza mi się coś zapamiętać, to zwykle jest to coś straszego.**

**RR:** Mnie też zazwyczaj śni się coś straszego – głównie operacje, kiedy dochodzi do krwotoku i tu mi podcieka, i tam mi podcieka.

**MG: Wielu współczesnych pisarzy jest dobrze zorientowanych w różnych teoriach humanistycznych i celowo wedle nich komponują swoje utwory. Do tego grona można zaliczyć choćby Joannę Bator, która obok kariery pisarskiej ma także osiągnięcia naukowe w dziedzinie antropologii. Jej doktorat był poświęcony filozoficznemu aspektowi feministycznych teorii oraz dyskusji, którą feministki prowadziły z psychoanalizą. Twoje powieści są czytane przez literaturoznawców i krytykę z perspektywy różnych metodologii. Wspominaliśmy o psychoanalizie, ale można ich wymienić dużo więcej, sami napisaliśmy tekst, w którym spoglądaliśmy na *Baśń o węzowym sercu* przez pryzmat ekokrytyki.**

**RR:** Są twórcy, którzy, niczym pająki, tkają sieć swojego dzieła, całkowicie świadomi materiału, z którego je tworzą. Nie należę do tego grona – jestem raczej twórcą ludowym i naiwnym. Dużo czytałem, zwłaszcza przy pisaniu *Baśni o węzowym sercu* poznałem rozmaite teorie humanistyczne. Wprawdzie niewiele rozumiałem, ale to i owo Wit mi wytłumaczył. Wiem, że czasem uda mi się stworzyć coś interesującego, co można będzie interpretować na gruncie literaturoznawczym. Piszę głównie dla rozrywki, także dlatego, żeby coś w swoim życiu zrozumieć i naprawić, bo każda książka, każde opowiadanie mniej lub bardziej mnie zmieniła. Jest to zatem także forma psychoterapii. A finalnie piszę dla drugiej osoby, która czytając moje powieści, odnajdzie w nich ślady mojego doświadczenia, będzie potrafiła się z nim utożsamić. Innymi słowy: „złapie” moją myśl i to najbardziej lubię w literaturze, w pisaniu. Nie ukrywam, że piszę także dla zarobku, bez tego musiałbym znaleźć sobie inne hobby. To są powody mego pisania.

**KM: Kiedy mówiliśmy o psychoanalizie i o snach, przysłała mi na myśl twoja debiutancka powieść. Jak trafiłeś na postać Lilith?**

**RR:** O tej postaci dowiedziałem się, czytając różne legendy. Zafascynowała mnie. Muszę się do czegoś przyznać – po uporządkowaniu swojej gnostycznej wiedzy doszedłem do wniosku, że się pomyliłem, za co bardzo przepraszam. Przywołana przeze mnie w powieści postać to nie Lilith, a Sophia. Miała być symbolem czegoś bardzo osobistego. Sophia ma teologiczny aspekt, po ucieczce z raju błąka się po świecie i w pewien sposób go stwarza. Jeśli spojrzymy na apokryficzne przekazy o Lilith, na przykład z Księgi Henocha, to okaże się, że to zupełnie inna postać.

Sophia jest tą, która odchodzi z raju, ale pozostaje w bliskiej relacji z Bogiem. Tu warto wspomnieć o duecie maga i nierządniczy, który ma starożytne korzenie, przykładem takiej relacji są Szymon Mag i Helena. Helena nie jest wcieleniem Lilith, lecz Sophii. Wyłożyłem się, za mało znałem wtedy ten wątek religijny i wybrałem nie tę postać, którą powinienem. Wybrałem Lilith, ponieważ sądziłem, że czytelnicy mają większą świadomość pochodzenia tego imienia, zaś mało kto zna Sophię.

**KM:** *W Baśni o węzowym sercu też odwoływałeś się do legend. W pewnym stopniu jest to opowieść historyczna, która wpisała się w aktualną tendencję przywracania głosu tym, którzy przez długi czas byli go pozbawieni, w tym przypadku chłopom. Sądzisz, że można uniknąć prezentyzmu w pisaniu o przeszłości? I czy myślisz, że tworzenie historii ludowej jest dzisiaj możliwe, skoro piszemy głównie o tym o tym, co nas aktualnie boli? Także pisząc o przeszłości, zawsze piszemy o sobie, o współczesności.*

**RR:** Po pierwsze nie wiem, czym jest prezentyzm. Na pewno to, co nas boli, jest takie samo, bez względu na to, czy jesteśmy chłopami pańszczyźnianymi w dziewiętnastym wieku, czy na przykład mieszkańcami małego miasteczka w XXI wieku, którzy musieli czytać bardzo wiele literatury o tym, jak na Podkarpaciu jest źle. Wszyscy w małych miasteczkach piją, mają żółte paznokcie i, o zgrozo, chodzą do kościoła – w ogóle nie dobrego, istny Mordor. Książką, od której się odbiłem, było *Ciemno, prawie noc* Joanny Bator. Wiem, że to jest kryminał, wszystko jest w nim przerysowane i jest to, nieco baśniowa, literatura popularna. Jednakże gdy przeczytałem tę powieść, było mi zwyczajnie przykro. W tym opisanym przez nią Wałbrzychu cały czas widziałem swoją Dębicę. Wciąż jest mi bliżej do tego małego miasteczka niż do wielkomięskiej świadomości, może dlatego poczułem, że w tego typu literaturze gardzi się ludźmi takimi jak ja. Było to jeszcze wtedy, kiedy czytałem wszystkie książki, które dostały Nagrodę Nike, później się na nią pogniewałem i sięgałem tylko po powieści Tokarczuk i Myśliwskiego. Myśliwski jest wolny od wszelkich uprzedzeń i wszelkiego klasizmu, jest bardzo mądry w swojej literaturze, chociaż z punktu widzenia czytelnika fantasty czasami przynudza. Dla mnie najważniejsze jest to, jak on pisze o wsi – z szacunkiem, bez uprzedzeń. I chciałbym, żeby prowincja była tak właśnie przedstawiana w kulturze.

Inną rzeczą, która mnie boli, jest doświadczenie przemocy: zarówno tej, której doświadczyłem w szkole, jak i tej pańszczyźnianej, która była powszechna w życiu naszych przodków. *Baśń...* wzięła się właśnie z takiego powodu, z własnego bólu. Zdaję sobie sprawę, że to może zabrzmieć jak narracja pewnej partii politycznej, co nie było to moim zamysłem. Bałem się, już po wysłaniu książki do druku, że recenzenci i krytycy momentalnie to wychwycą i błędnie zinterpretują.

**MG:** *Wspominałeś o legendach jako tworzywie Kocham cię, Lilith. Inspiracje legendami są widoczne również w Baśni o węzowym sercu. Które z nich wpłynęły na kształt twojej ostatniej powieści?*

**RR:** Wykorzystałem na przykład opowieści o czarnoksiężniku Mruku z okolic Jasła. Jest ich bardzo wiele i są podobne do legendy, którą wplotłem w moją powieść.

W *Baśni o węzowym sercu* legendarne korzenie ma także wzmianka o najeździe tatarskim. W baśniach i legendach najpiękniejsze jest to, że obrastają w treści, które wcale nie muszą być historycznie prawdziwe. Opowieść kota Kocmołucha o Magurze i Tataarach jest moja, lecz wykorzystuje również legendy o Mruku. Ciekawe pochodzenie ma także opowieść o Xenesie Raku, który wędruje w trakcie zamieci i zostaje uratowany od zamarznięcia przez Jakuba Szelę. Ten każe mu wejść do brzucha wołu i w nim dociera do domu. Tę opowieść jako dziecko słyszałem od swojego dziadka. Czy ona ma jakiś pierwowzór, czy zmyślił ją dziadek – podejrzewam, że raczej to drugie. Wydaje mi się, że jest stylizowana na legendę o Szeli, która rzeczywiście istnieje, chociaż chłop nie nazywa się w niej Rak. Ze zbioru Marii Krüger *U złotego źródła* pamiętam legendę o węzowej wdzięczności. Skąd wzięto się przeświadczenie, że węzowa wdzięczność jest największa, tego nie wiem. Legendarne korzenie w mojej powieści ma wątek Szeli rozbójnika, jego pracy jako szabesgoja, a także dwóch gospodarzy Żydów, Kohlmana i Tintenfasa. Rzeczywiście było dwóch Żydów, którzy się tak nazywali. Kohlmann rzeczywiście był nazywany Kohlkopfen. Natomiast większość tego, co o nich wiemy, znamy z przekazów ustnych. Nie mówię tutaj o opowieściach zmyślonych, na przykład o mitologii. Jeśli popatrzeć na podróż do podziemnego świata z mojej powieści za książką Josepha Campbella *Bohater o tysiącu twarzy*, to można powiedzieć, że Szela zmaga się z potworem, którym jest on sam.

**KM:** Nie tylko wybór głównego bohatera powieści wzbudził kontrowersje, ale i perspektywa spojrzenia na niego, którą przyjąłeś. Jakiś czas temu ukazał się artykuł, w którym sugeruje się, że polemizujesz z twórczością Sienkiewicza i Herberta oraz snujesz narrację postkolonialną.

**RR:** Masz na myśli artykuł w „Do Rzeczy”?

**MG:** Tak, pojawiłeś się na okładce obok Olgi Tokarczuk, na czerwonym tle. Jak ustosunkowujesz się do oskarżeń o antypolskość oraz wpisywanie się w zjawiska, które, zdaniem autora artykułu, w polskich realiach nie miały miejsca, gdyż kolonializm dotyczy kolonii, a Polska ich nie miała?

**RR:** Jeśli masz w dawnej Polsce niewolnictwo i nie nazywasz go niewolnictwem, tylko pańszczyzną, to czy staje się ono bardziej moralne i lepsze? Oczywiście, że pańszczyzna była niewolnictwem. Są takie definicje niewolnictwa, które pańszczyzna spełnia. Czytając polską literaturę, zwłaszcza lektury szkolne, miałem wrażenie, że to nie tylko moja opowieść. Moi rodzice byli małomiasteczkową inteligencją, a dziadek pochodził z rodziny o pepeesowskich korzeniach – dzięki nim miałem świadomość klasową w wieku czterech lat. Pamiętam, jak mówił: „Twoi przodkowie byli chłopami, a tamci, o których się pisze w książkach historycznych, to była szlachta i wcale nie było tak, jak jest napisane w tych książkach, jak mówią w telewizji czy w szkole”. Kiedy poszedłem do szkoły, było dla mnie jasne, że to nie jest prawdziwy obraz, a dotyczyło to nie tylko przedmiotów humanistycznych. Miałem w szkole przerabane jako pyskaty gówniarz.

Nie było takiej narracji, w której chciałbym uczestniczyć, więc doszedłem do wniosku, że fajnie byłoby, gdybym ją napisał. Mając lat prawie dwadzieścia,

uznałem, że napiszę wielką epicką opowieść o Jakubie Szeli, ale, oczywiście, porzuciłem ten pomysł bardzo wcześniej, po napisaniu dwudziestu czy trzydziestu stron. Zorientowałem się, że zbyt mało wiem na ten temat, a poza tym jestem za młody i zwyczajnie nie udźwignę tego tematu. Kiedy miałem prawie trójkę z przodu, pomyślałem, że to już ten moment, że mogę napisać o Szeli i nie polec. Zresztą zawsze się polegnie, bo nie napisze się tego, co się chciało napisać i nie napisze się tak, jakby się napisać chciało. Najciekawsze myśli przychodzą wtedy, gdy książka już jest wydrukowana. Zawsze trzeba liczyć się z tym, że nasze teksty są w jakiś sposób upośledzone. Ale nie wyszło najgorzej. Bardzo potrzebujemy powieści o przeszłości, która byłaby książką nieszlachecką. *Baśń o węzowym sercu* to literatura środka. Miała być popowa z ambicjami. Wyszło mniej popowo, bardziej z ambicjami, nad czym trochę ubolewam. Mam nadzieję, że pojawi się taka książka i zaczniemy trochę inaczej patrzeć na własną historię.

Zasługuję na umieszczenie na okładce prawnicowego tygodnika z czerwonią w tle. Mimo iż nie czuję się mocno „czerwony”, to z perspektywy prawnicowej pewnie taki jestem. Wydałem wtedy cztery złote na wersję elektroniczną tego tygodnika. Żałuję. Nagłówek był pistoletowy, wiele obiecujący, ale artykuł okazał się bardziej stonowany. Traktował o tym, że tworzę mitologię polsko-żydowską, a nie trzeba tego robić. Cytaty pochodziły z pierwszej części książki, zapewne redaktor Masłoń doczytał ją do pewnego momentu. Może mu się nie spodobała, więc przestał czytać. Myślał, że tyle wystarczy, żeby coś o niej napisać. Najmieszniejsze było to, że powoływał się na pewne cytaty, którym treść *Baśni...* zaprzecza w dalszym toku fabuły. Ale to nie mój problem, tylko redaktora Masłonia. Nie chciałbym się wypowiadać o książkach, gdybym któreś nie doczytał do końca, bo można się niezłe pomylić w ocenie. A mogłem za te cztery złote kupić sobie lody.

**KM: Mitologia polsko-żydowska to ciekawy temat do opracowania.**

**RR:** Chciałbym kiedyś napisać książkę o żydowskich mieszkańcach mojego rodzinnego miasta. Jest taka historia, o której wam nie opowiem. Jeśli uda mi się napisać książkę w oparciu o materiały źródłowe, które posiadam, to, jak podejrzewam, nie raz trafię na pierwsze strony prawnicowych tygodników. Każde miasteczko ma pełno takich opowieści. W Dębicy przed drugą wojną światową burmistrzami na zmianę byli Polacy i Żydzi. Było wiadomo, że po Polaku będzie Żyd, a po Żydzie Polak. Relacje między tymi społecznościami były bardzo wyboiste, lecz wypracowanie tego układu świadczy o tym, że toczył się dialog między stronami. Najwspanialsza żydowska historia z Dębicy wygląda tak: była polska rodzina – on lekarz, ona pielęgniarka. Przez prawie dwadzieścia miesięcy ukrywali u siebie rodzinę Żydów. Ten lekarz pracował dla gestapo, co więcej, mieszkał drzwi w drzwi z osobami z gestapo. Przez blisko dwa lata nie zorientowali się, że tam przebywa rodzina żydowska. Wyszli z ukrycia po tak zwanym wyzwoleniu Dębicy przez Armię Czerwoną. Doktor Mikołajków został wezwany do pacjentki gdzieś na obrzeżach miasta, a kiedy wracał, żołnierze Armii Czerwonej zastrzelili go dla zabawy, wcześniej torturowali. Albo historia Ottona Schimka. To był żołnierz SS, który według

ludowej legendy z okolic Dębicy miał odmówić strzelania do osób cywilnych, za co miał zostać rozstrzelany przez Niemców. Prawda o Schimku okazała się mniej chwalebna. Najważniejsze jest to, jakim kultem otoczono tę postać. Jest ponoć pochowany w Machowej koło Pilzna, to najwspanialszy grób na cmentarzu, prawdopodobnie należący do jakiegoś anonimowego esesmana, nie Schimka, choć jest tak podpisany. Schimek miał się objawiać wiejskiej ludności i jej pomagać. Biskup tarnowski musiał wydać dokument, że nie należy go czcić, bo nie był katolikiem i na pewno nikomu się nie ukazywał. Podobno do tej pory w rocznicę jego urodzin odbywają się nabożeństwa przy jego grobie, takie spontaniczne, organizowane przez starsze kobiety. Takie zwyczaje powoli zanikają. Pewnie kiedyś to opiszę, choć najpierw, dla odstresowania, muszę skończyć powieść, nad którą teraz pracuję. Tylko jej objętość mnie przeraża. Nie wiem, dlaczego fantastyka ma tendencję do nabierania w trakcie pisania kosmicznych rozmiarów.

**KM: Być może wynika to z konieczności kreowania całego świata. Autorzy starają się jak najszczegółowiej opisać to, co wymyślą, by reguły rządzące światem przedstawionym były zrozumiałe dla czytelnika.**

**RR: Być może. Zobaczymy, czy to w ogóle wypali.**

**KM: Dziękujemy za rozmowę. Mamy nadzieję, że uda nam się ją w przyszłości kontynuować w murach Uniwersytetu Rzeszowskiego, być może z okazji wydania twojej nowej powieści.**

**RR: Dziękuję wam również i życzę powodzenia w pisaniu prac magisterskich.**

Krystyna Walc

## BAŚŃ O JAKUBIE SZEŁI

Pisanie na nowo historii znanych postaci (także literackich) stało się wręcz „modą” w najnowszej literaturze. Gdyby ktoś pokusił się o zestawienie tytułów tekstów należących do tej kategorii, bibliografia byłaby ogromna. Książki ukazują czasem „jasną stronę” bohaterów uważanych dotąd za negatywnych, jak i mroczne oblicze postaci ocenianych pozytywnie. Autorzy próbują uzupełnić własną wyobraźnią te fragmenty życiorysów, które są bezpowrotnie stracone dla historii. Po szczególne teksty zajmują różne miejsca na kontinuum: biografia – fabularyzowana biografia – fikcja literacka.

Radek Rak bohaterem swej wielokrotnie nagradzanej powieści *Baśń o wężowym sercu albo wtóre słowo o Jakóbie Szeli*<sup>1</sup> powieści uczynił postać kojarzoną zazwyczaj negatywnie – Jakuba Szelę (funkcjonują także narracje o Szeli – obrońcy chłopów, ale nie ulega wątpliwości, że figura „przywódcy rzezi galicyjskiej” narzucała się zbiorowej wyobraźni). Autor najnowszego opracowania naukowego poświęconego jego osobie podkreśla: „O Jakubie Szeli słyszał niemal każdy współcześnie żyjący Polak. Mówi się o nim w szkole na lekcjach historii i języka polskiego, od czasu do czasu pojawiają się sztuki teatralne z jego imieniem w tytule lub treści. Ale czy faktycznie znamy tego chłopca spod Tarnowa, z dawnego zaboru austriackiego, habsburskiej c.k. Galicji i Lodomerii? [...] To, czego dowiadujemy się o nim jako o człowieku, stanowi mizerną część mitów, którymi tak obrósł, że niemal zupełnie przesłoniły jego cielesną powłokę”<sup>2</sup>.

Czego mógłby się spodziewać czytelnik po jeszcze jednym utworze literackim poświęconym Szeli? Być może właśnie próby „ocieplenia” wizerunku, ewentualnie wypełnienia pisarską wyobraźnią „białych plam” w życiorysie. Autor *Baśni o wężowym sercu* poszedł częściowo inną drogą – uczynił Szelę postacią baśniową. Umieścił go w świecie przedstawionym, gdzie obok dziewiętnastowiecznej Galicji istnieje podziemny świat zmarłych, a także wężowa kraina, znajdująca się w trzewiach pogrążonego we śnie Króla Węży. W świecie tym takie słowa jak „oddać serce” i „być bez serca” mają dosłowne znaczenie. Jest to świat, gdzie bez rzezczonego serca można żyć, a umarli wracają do świata żywych. I właśnie po serce Króla Węży wyprawiony zostaje młody Kóba<sup>3</sup>, jako że własne ofiarował kochance,

<sup>1</sup> R. Rak, *Baśń o wężowym sercu albo wtóre słowo o Jakóbie Szeli*, Warszawa 2019–2020.

<sup>2</sup> T. Szubert, *Jak(ó)b Szela. 14 (15) lipca 1787 – 21 kwietnia 1860*, Warszawa 2014, s. 7. Zob. też: F. Ziejka, *Jakub Szela [w:] Życiorysy historyczne, literackie i legendarne, seria pierwsza*, red. Z. Stefanowska i J. Tazbir, Warszawa 1984, s. 207–228.

<sup>3</sup> Takiej (dawniej) pisowni używa autor – Jakób, Kóba.



a raz oddanego serca nie można odebrać. Znajdziemy w powieści znane baśniowe motywy – wdzięczność zwierząt za ocalenie życia ich pobratymca, wyprawę po skarb i walkę ze strzegącym go potworem, dzieci zamienione w kołysce, podmianie ciał czy, najważniejsze – spełnienie wypowiedzianego przez bohatera życzenia.

Młodego Szelę poznajemy jako szabesgoja – służącego w karczmie Rubina Kohlmana. Towarzyszy mu stary Myszka, o którym dowiadujemy się, że znał wiele opowieści (a Kóba lubił ich słuchać). Jak to w takich historiach bywa, chłopaka pokochała córka karczmarza, a młody Szela zakochał się w innej. Baśniowa przygoda zaczyna się, kiedy Żydówka i starzec nie żyją, a kochanka odeszła do dziedzica. Wszystko to za sprawą ogromnych węży spotkanych w lesie, gdzie chłopak zabłądził. Za to, że kiedyś, pracując w polu, ocalił gada śpiącego przy trującym źródle, nie tylko nie zostaje pożarty, ale dostaje szansę spełnienia życzenia. Po odrzuceniu innych pragnień jako zbyt zwyczajnych, Kóba wypowiada słowa, które zapoczątkują serię baśniowych wydarzeń – chce zostać panem. By życzenie się spełniło, zostaje wysłany po skradzione kiedyś serce Króla Węży. A dotrze do skarbu, szukając czegoś zupełnie innego.

Obok postaci o znanych z historii nazwiskach bohaterowi towarzyszą: Kocmołuch, który raz jest czarnym kogutem, raz kocurem, wiedźma Sława, Zły Człowiek, trudniący się między innymi wyprawianiem zbłąkanych dusz w zaświaty, diabły Azaradel i Amazarak (towarzysze wiedźmy, niewykluczone, że mający udział w rozwiązywaniu problemu bezdzietności we wsi), czy mieszkańcy wężowej krainy.

Kulminacyjnym punktem powieści jest zdobycie przez Jakóba wężowego serca. Od tej pory następuje zamiana ciał – Szela budzi się w ciele Wiktoryna Bogusza, Dziedzic – w ciele Szeli. I chociaż z czasem każdy z nich coraz bardziej przejmuje tożsamość i wspomnienia tego, którym się stał, chwyt ten wywraca narrację historyczną. Bo też kto – Szela czy Bogusz – wyprawia się do Lwowa, by uzyskać zwolnienie z wojska dla przybranego syna (i kto wcześniej obcina sobie palce, by jego samego do tego wojska nie wzięli)? Kto jest przywódcą rabacji i jakie motywy nim kierują? Wątpliwości opadają samego Szelę: „Nie wiem, który to z nas [...] Który ja, który on. Kto pan, kto cham. Który z nas to przeżył”.

Autor wprowadza czytelnika w realia galicyjskiej wsi, z jej biedą i zabobonami. Znajdujemy w powieści sceny wyganiania bólu z ciała starego Myszki, podobny zabieg wykonany przez Sławę nad starszą. Przywołany zostaje smutny zwyczaj odchodzenia członków rodziny „na pomirki” podczas zimowego głodu, a także wiara chłopów, że Żydzi nie posiadają duszy (to samo zresztą twierdzili Żydzi o gojach, co zresztą nie przeszkadza im żyć we względnej zgodzie). Ukazano w powieści „złych panów” (ich sylwetki zasługiwałyby na dłuższe omówienie), jak i okrucieństwa, jakich dopuszczano się podczas rabacji. Unika przy tym autor schematów, opisując poszczególne grupy. Karczmarz Rubin Kohlmann na przykład ukazany jest konsekwentnie jako dobry człowiek, czego nie można już powiedzieć o jego synu.

Zjawiskiem wartym uwagi jest obecność w powieści Raka żywiołu kobiecego. Obok żon Szeli, których nazwiska odnotowuje historia (choć przedstawione kobiety z ich pierwowzorami niewiele mają wspólnego), spotykamy „trzy miłości” Jakóba, z każdą z nich bohater spotyka się również trzykrotnie.

Miłość dziewczęca to Chana Kohlmann, córka pracodawcy młodego Szeli, meszugene czyli szalona, w księżycowe noce tańcząca na dachu. Za dnia „chuda i brzydka” (chociaż, jak przeczytamy w innym miejscu „dobra i miła”), w tańcu piękna. Ta, która robiła „najpyszniejszą pamułę na świecie”, piekła białe bułki i chałki, chorego poila tłustym rosołem z kury. Dwukrotnie oddała Kóbie serce, zamieszkała z nim w krainie znajdującej się w trzewiach króla węży po tym, jak przywróciła go do życia, zamordowanego przez diabelskich „pomocników”, wreszcie, na koniec przybyła do niego na Bukowinę. Zmysłowości w tym niewiele. Sprowadzana z dachu dziewczyna „Ignie przy tym do Kóby cała, aż mu się dziwnie robi koło serca”. Czy rzeczywiście przyszła nocą do chłopca, leżącego w gorączce? Pozostał po niej korzenny zapach i ciemny włos na poduszce. Spełnienie przyszło dopiero w węzowej krainie. I, co ważne, to ona, a nie Jakób, zdobyła serce Króla Węży. Strażnik skarbu powie z rozbijającą szczerością: „Tak to. Oddałem dziewczynie [...] Przyszła, poprosiła. Nie groziła, nie kurwowała, szablą nie wymachiwała. W dodatku całkiem ładna była. No to dałem. Co miałem nie dać”.

Miłość zmysłowa to Malwa, o której nie wiemy do końca, kim była. Może rusalką z pieśni starego Myszi? „Powiadają, że takiej dziewczyny nie było i nie mogło być, ale w to Kóba nigdy nie uwierzył”. Malwa o włosach koloru wody, której obecność wywołuje niepożądane roślinne vegetacje w otoczeniu. Dziewczyna potrafi zamienić niechcianego zalotnika w drzewo i sprawić, by wszyscy o nim zapomnieli. Z kolei kiedy ona sama znika, nikt nie pamięta, że w ogóle istniała. „Malwa potrafiła widać grzebać ludziom w głowach i kikać im myśli”. Dwukrotnie porzuca Jakóba dla Wiktoryna Bogusza, co jest pierwszym i głównym powodem antagonizmu między mężczyznami.

I wreszcie miłość dojrzała – wiedźma Sława, piękna kiedy chce, ani za stara, ani za młoda. Odnajduje młodzieńca (właściwie jego duszę) śpiącego pod korzeniami leszczyny, myje, karmi mlekiem z własnej piersi. Jakób zostaje jej pomocnikiem, uczniem, potem kochankiem. Po spaleniu pod jego nieobecność domu wiedźmy zstępuje w jej poszukiwaniu do podziemnego świata. To ona towarzyszy Szeli po przejściu dworu Boguszów. W ostatniej odsłonie ukazuje się jako bajkowe wyobrażenie czarownicy – stara kobieta, odlatująca na sztachecie wyrwanej z płotu.

Opowieść o Szeli pełna jest aluzji literackich, począwszy od podtytułu, nawiązującego do poematu Brunona Jasieńskiego i cytatów z tegoż tekstu rozsypanych po jednym z rozdziałów. Autor wkłada w usta bohaterów cytaty z Mickiewicza i Gombrowicza, pobyt Wiktoryna w uzdrowisku zaczyna się podobnie jak u bohatera *Czarodziejskiej góry*, imiona diabłów są imionami postaci z *Dziejby leśnej* Bolesława Leśmiana<sup>4</sup>. Szela budzi zdziwienie starosty Breinla, kiedy zwraca się doń

<sup>4</sup> Nie są to imiona wymyślone przez Leśmiana. Azaredeł w etiopskiej Księdze Henocha jest jednym z upadłych aniołów, którzy objaśniają ludziom bieg Księżyca, Amazarak (właśc. Amezjarak, znany także jako Amazarek, Semjaza, Szamhazaj) – w tejsze księdze – aniołem, który nauczył rzemiosła czarnoksiężników i zielarzy, jednym z dwustu lub jednym z wodzów dwustu aniołów, którzy zstąpili z nieba na ziemię i współżyli z córkami ludzkimi. Za: G. Davidson, *Słownik aniołów w tym aniołów upadłych*, przeł. J. Ruskowski, Poznań 1998, s. 15, 70.

słowami ze *Zbójców* Schillera. Pojawiają się zwroty biblijne, mało tego – w słowach więdźmy o pająkach rozpoznajemy przetworzony tekst *Hymnu o miłości z I Listu do Koryntian*.

Zdarza się, że autor mruga porozumiewawczo do czytelnika. Sługa Wiktoryna gotów jest pójść za swoim panem „w najdalsze kraje, choćby i na koniec świata” – „po to na ten przykład, by zniszczyć czarodziejski pierścień w ognistej górze, jak w pewnej baśni, którą Samuel kiedyś był czytał”. Podobnie jest z wypowiedzią Józefa Dietla (osoba autentyczna), iż „Przyjdzie jakiś Pohl, Staff, Lesman czy Lehm, może spolszczy nazwisko, a może nie, i napisze wam kulturę [...]”.

Powieść pełna jest wzmianek o książkach – wiemy, co czytał Bogusz (a właściwie Szela w ciele Bogusza, który po przemianie musiał zmierzyć się z problemem nagłej niepiśmienności; z czasem posiadał na nowo tę umiejętność, czytał nawet po łacinie). Dominik Rey, szwagier Wiktoryna, na uwagę, że do książek warto czasem zaglądać, odpowiada: „Byle nie za często. To szkodzi na myślenie i ocenę rzeczywistości. Nawet ksiądz dobrodziej a kościoła świętej Jadwigi w Emaus prawił ostatnio, że książki prowadzą do grzechu”. A Wiktorynowi radzi „Ty się, mój kochany, naprawdę powinieneś ruszyć z miejsca. Bo cię melankolja zeżre i jeszcze książki zaczniesz czytać. Albo, co gorsza, pisać”.

Powieściowa materia *Baśni o węzowym sercu* pełna jest odbić, symetrii, powtórzeń. Oprócz Szeli-Bogusza i Bogusza-Szeli pojawia się porównanie Jakóba do legendarnego Mruka z przytaczanej opowieści. Siedzącemu nieruchomo pod drzewem Mrukowi odpowiada też sparaliżowany senior rodu, porastający pnączami na strychu. Strzegący węzowego serca strażnik wygląda identycznie jak Kóba. Taniec Chany znajduje odbicie w tańcu Jakóba, próbującego czarami przywołać Malwę, ale także – chodzeniu we śnie Katarzynki, przybranej córki Szeli.

Narrator wciąż sugeruje że to, co czytelnikowi przedstawił, jest tylko opowieścią. Kolejne rozdziały rozpoczynają słowo „powiadają”. Prawdziwość przedstawionych wydarzeń jest wciąż kwestionowana. Scena, w której Kóba decyduje się przyjąć chłostę zamiast starego Myszki, opatrzona zostaje komentarzem: „Ale to są wszystkie opowieści spisane potem przez panów i dla panów, bo to panowie wygrali historię i napisali ją dla siebie. W tych opowieściach Kóba też jest panem i myśli jak pan, chociaż nosi chłopską sukmanę”. Podobnie jest w przypadku rozgromienia rabacji: „Powiadają, że takiej bitwy nigdy nie było, lecz wśród chłopów pamięć o niej przetrwała przez wiele pokoleń”. I chyba właśnie to wieczne wątplenie, fakt, że wszystko zostaje opatrzone znakiem zapytania, czyni tę opowieść jeszcze bardziej intrygującą.

Jest więc *Baśń o węzowym sercu* opowieścią stworzoną z innych opowieści. Bo, prawdę mówiąc, czymże jest historia, jeśli nie zbiorem cudzych narracji?

Krystyna Walc

## Grażyna Szymczyk

\*\*\*

*Dla J. Ś.*

„Teraz wychodzę,  
i nie mogę się doczekać, kiedy wrócę” –  
brzmiało ostatnie zdanie kartki pocztowej.

Innym razem  
pozwoliła patrzeć, jak wysypuje z siebie wiersz,  
litera po literze czarne koraliki na biały papier, chyba  
przyrównywała starszą kobietę do jaskółki.

Wiersz był z tych,  
które pisze się jeszcze raz,  
w zachłyśnięciu czasem,  
gdy czeka się na własny powrót.

\*\*\*

Życie uchodzi ukradkiem  
po złodziejsku  
w nocy  
zabiera  
róże z warg  
gwiazdy z oczu  
ciemny las z włosów

domaga się podziękowań  
zmieniło przecież cały ten kicz  
w harmonijne odcienie  
szarości i cienia.

## PSZCZOŁA

Kto mi założył gumową maskę na twarz? Jaki to klej sprawił, że przylgnęła?

Dlatego moje usta z trudem układają się w kształt potrzebny do uśmiechu, do śpiewu, do pocałunku.

W rozchylenie warg, które przypomina pysk ryby, udaje się przyjmować niewielkie kęsy pożywienia a także hausty powietrza, chwytane i wypuszczane. Może wkrótce zacznę oddychać skrzelami.

I, kiedy się zdarzyła ta historia z maską? Jak mogłam nie zauważyć, roztargnąć moment jej nakładania – bo był to na pewno moment, a nie dni, miesiące czy lata.

Wiem, to musiało się stać, gdy obserwowałam pszczołę. Usiadła w środku słonecznika, który właśnie zakwitł, i skupiła się na dookolnych pręcikach. Opróżniała je zaczynając od górnej części koła, przemieszczała się metodycznie w prawo ku dołowi i dalej, wciąż ruchem wskazówek zegara.

Prawdopodobnie zasnęłam. Nie wiem, ile razy pszczoła zdążyła obejść w tym czasie zegarową tarczę – środek kwiatu, już to spijając nektar, już to zbierając łapkami pyłek. Mogły minąć dni, a nawet miesiące i lata.

Przez wycięcia na oczy patrzę teraz w lustro i stwierdzam, że użyto kleju nie najlepszej jakości. Maską marszczy się na policzkach, w okolicy oczu, w miejscu gdzie styka się z szyją. Od nosa do kącików ust biegną słabo przyklejone bruzdy.

I kolor mogłaby mieć bardziej żywy, na przykład taki jak skóra na twarzy jednej dziewczyny, którą kiedyś znałam.

Moje wątpliwości biorą się stąd, że nie wiem, w jakim celu założono mi tę gumową maskę.

Nie planowałam przecież napadu na bank. Nie biorę też pod uwagę pójścia na bal maskowy – ostatnio gorzej mi się tańczy.

## OBRAZ

Na samym dnie strach w gruzłach,  
dla niepoznaki przykryty białą warstwą niepokoju,  
w którą powtykano różnofarbne obawy.  
Sterczą ostro, na każdej kołyszce się  
niepewność.

Tak było zawsze.

Śni mi się, że śpię i że budzę się z krzykiem.  
Budzę się.  
Sięgam łyżką do dna szklanej miseczki,  
obserwuję kolory. Zanim je zmieszam.  
język zbada fakturę.

## PEJZAŻ Z CYBORGIEM

Stawy zarosły rzęsą  
i coraz trudniej poruszać kończynami.  
Rzęsy wyprostowane jak trzcina,  
trzeptanie prostymi może zaintrygować tylko okulistę.  
On też wyjawi przyczynę powłóczystych spojrzeń:  
zmętnienie soczewki.

Działam na baterie long life, producent  
zapomniał dodać, że niewymienialne.  
Istnieją więc dzięki sztuczce marketingowej.  
Dowód życia to kielkujący w każdym fibrze  
– ból? (Zaproponuj lepsze słowo,  
może „słonecznik”?).

Obrzeża tego wiersza są granicami mojego ciała.  
Wiersz opiera się przekładowi,  
ciała nie sposób przetłumaczyć na żadne inne,  
bardziej zrozumiałe,  
przytulne,  
współczulne.

## PREZENT

Moja radość  
odbijała się wtedy od podłogi  
jak gumowa piłka w różowe i błękitne grochy,  
prezent na dzień dziecka.

Gdy tylko wyprasuję pomięty pergamin policzków,  
kupię sobie taką piłkę  
i będę ją odbijać o niebieską ścianę  
do skutku.

1 czerwca 2020

Grażyna Szymczyk

**Redakcja „Frazy” składa Grażynie Szymczyk wyrazy najgłębszego współczucia z powodu tragicznej śmierci najstarszego wnuka, Romana Szymczyka.**

Kazimierz Nowosielski

## MOWA POLSKOŚCIĄ WIĄZANA

O twórczości Kornela Makuszyńskiego

Pod koniec lata 2018 roku odwiedziłem Pęksowe Brzyzko w Zakopanem. Wędrując po tym niezwykłym cmentarzu, zatrzymałem się między innymi przy mogile Kornela Makuszyńskiego – i zdumiałem się. Minęło 65 lat od śmierci autora *Listu z tamtego świata*, a na jego grobie – jak na żadnym innym – nie tylko świeże i nieco już zasuszone kwiaty (cięte oraz w doniczkach), ale nade wszystko poprzytwierdzone czym się da i poutykane w różnych miejscach szkolne tarcze, dziecięce maskotki, a wśród nich: królujący, różnej wielkości i z rozmaitych materiałów wykonany... Koziołek Matołek. Zaskakujący, niezwykajny sposób wyrażania wdzięczności i pamięci! Po paru dniach od mojej po cmentarzu wędrowki udałem się do usytuowanego przy ulicy Tetmajera domu, w którym do 1953 roku zamieszkiwał pisarz, a gdzie teraz są przechowywane rozmaite pamiątki po nim. I tam również przed wejściem do willi przywitał mnie, tym razem odłany z brązu kozioł, z dumą prezentujący biało-czerwoną wstążkę owiniętą wokół długasnej szyi, a przy jego kozich stopach wiązanki kwiatów. (Chciałem napisać „kopytkach”, ale się zreflektowałem: przecież nosi on nie tylko czerwonawe gatki, ale i tego samego koloru ucieszne buciki, które na kopytkach raczej by się nie utrzymały...). Kwiaty zapewne niebawem halny rozniesie, deszcze pozbawią szarfę wyrazistych kolorów, ale nic nie zapowiada, że nie pojawią się nowe... Koziołek jest ciągle kochany, a *Bezgrzeszne lata*, raz po raz wznawiane, nadal cieszą starych i nowych czytelników.

Co takiego zawiera się w tej twórczości, iż kto w niej raz zasmakuje, będzie do niej wracał, a przynajmniej – będzie ją pamiętał? Mimo usilnych starań stalinowskiej władzy (książki Makuszyńskiego wycofywano z antykwariatów oraz z bibliotek, i przeznaczano na makulaturę!) Matołek nie zakończył swej wędrowki na międzywojennym dwudziestoleciu. Wystarczyło trochę politycznego „luzu” w gomułkowskich latach, by stęsknieni za Koziołkiem czytelnicy znów z niesłabnącym zainteresowaniem towarzyszyli swemu ulubieńcowi w poszukiwaniu mitycznego Pacanowa i poniekąd... siebie samych. I tak do dzisiaj: poddają się urokowi wspaniałej jak zawsze u Makuszyńskiego polszczyzny, pokrzepia ich i raduje językowy oraz sytuacyjny humor zawarty w opowieściach i rysunkowych przedstawieniach, porywa wartki nurt aranżowanych przez pisarza zdarzeń, bawi niezwykajnością przygód znanego wszak każdemu polskiemu dzieciakowi zwierzaka. Oto – okazuje się – można być stąd i na swój sposób stale sobą, i jednocześnie doświadczać życia oraz świata w całej ich niezwykajności i niezwykłości, niebezpożytecznie



zaznawać jednego i drugiego; nawet w najcięższych chwilach smutku czy zwątpienia przypominać sobie, iż w ostateczności wszystko ma swój sens i cel, i że nawet głupota – jeśli z należnym dystansem rozeznawana – ma również swoje miejsce w Bożym dziele stworzenia.

Naiwnego Koziołka cieszy wszystko i w końcu także wszystko uczy – i na tym też między innymi polega dyskretna pedagogika zawarta w tym arcydziełnym w swoim rodzaju wspólnym dziele Walentynowicza i Makuszyńskiego. Bo gdzież to nie był Matołek! W Afryce, w Chinach, w Ameryce, na Księżycu..., i jakże wiele zajął: obcięta brody i obcięta głowy, więzienia i cesarskich dostatków, na skrzydłach „ptaka straszliwego” pokonywał kosmiczne przestrzenie i w małej balii potężny ocean..., ale w ostateczności dochodzi do wniosku, że choć wszędzie dobrze, to u siebie najlepiej, oraz że tak czy inaczej jakoś trzeba się zgodzić na swą kozią dolę. Sam się przy tym nie tylko na własnych błędach uczy, ale i niejako przy okazji uczy innych: astronomii, geografii, historii, etnografii, patriotyzmu... Łatwowierny, prostoduszny i – co tu dużo mówić – nieco matołkowaty, z trudem bo z trudem, ale jednak pozyskuje wcale niebagatelny rodzaj mądrości: że nie ma tego złego, co by na dobre wyjść nie mogło, i nie ma takich nieszczęść, przy których nie można by się uśmiechnąć... Czasem nawet głupota potrafi być zabawna, a smutek objawić swoją ucielną stronę, zaś Pacanowa wcale nie trzeba szukać daleko: bywa na wyciągnięcie ręki, a czasami także w każdym z nas...

*Przygody Koziołka Matołka* to jedna z najsłynniejszych książek Kornela Makuszyńskiego; słynna i kochana. Swego czasu (a może i nie tylko „swego”?) spotykało się ją na półkach w wielu dziecięcych pokoikach. Była wydawana w niemal już dziś niewyobrażalnych nakładach. Sporo z zawartych w niej powiedzonek oraz przez Walentynowicza zobrazowanych sytuacji weszło do powszechnego obiegu i polskiego imaginarium. Ale nie tylko ona podbiła serca młodych czytelników. Obok *Koziołka* ogromną popularnością cieszyły się również powieści dla młodzieży: *Szatan z siódmej klasy*, *Panna z mokrą głową* czy wspomnieniowe *Bezgrzeszne lata*. Co takiego w nich było (i jest), że nie przemija nimi zainteresowanie?

Spośród lat ludzkiego żywota czasy dzieciństwa oraz młodości, jak się zdaje, Makuszyński upodobał sobie i umiłował najbardziej. Na swój sposób żył nimi i poniekąd dla nich – bo może sam, jak wspomina go wielu, do końca życia był też trochę dzieckiem i nieco niesfornym młodzieńcem? Być może... Wszak podobnie jak dziecko i młokos całym sobą powierzał się życiu i przejmował się nim, dystansował doń i żartował z niego... Radowała go nieobliczalność ludzkiego świata, umiał bawić się jego konwencjami i cieszył niesionymi przezeń niespodziankami; smakował jak się da i czym się da (również językiem!) każdy kęs egzystencji. Dawał się uwodzić zawartej w dzieciństwie niewykalkulowanej nadziei, uwielbiał chłopiące psikusy, nadzwyczaj cenił szczerłość i bezpośredniość dziecięcych reakcji. Pozwalał dziecku mówić o sobie, ale też czuwał nad tym, aby jednak samemu zanadto nie zdziecinieć, bo stąd wszak już tylko krok ku bezwolności i ponuractwu. „Figle i łajdactwa

– powiadał – urzęda się w miarę, tylko tyle, by nie zgnuśnić i by wisielczy humor miał jednak jaką taką reprezentację”<sup>1</sup>.

Sądził, iż każdy etap ludzkiego żywota ma swoją mądrość, do której człowiekowi trzeba tak w sobie, jak i w kimś drugim dotrzeć, by rozeznawszy jej sens i wartość jak najciekawiej wyrazić – a przy tym możliwie jak najszerzej radować się z niej i dzielić się nią. Makuszyński, jak się zdaje, był chyba dość głęboko przekonany, iż nie ma ludzi zbyt cnych ani ich cech mało interesujących; są tylko osobniki źle przez nich samych lub też przez drugich rozpoznane i niezbyt udanie (głównie przez sztukę!) w obręb użytecznej prawdy o naszym świecie włączone. Każdą mądrość, twierdził, nade wszystko zdobywa się drogą prób i błędów: poprzez upadki i dźwiganie się z nich – i w oparciu o to przekonanie budował swą strategię akceptacji każdej fazy życia oraz każdego z jej przejawów. Każdemu człowiekowi, sądził, zostało wyznaczone choćby pięć minut genialności, trzeba tylko dać jej szansę; nie przegapić tej chwili, nie zlekceważyć jej pojawienia się. Dla jednych to może być podkradanie jabłek w cudzym sadzie, dla kogoś innego zbudowanie domu, a dla jeszcze kogoś napisanie wiersza, przy którym ktoś inny łzę wyleje albo wybuchnie serdecznym śmiechem... Tyle powinno wystarczyć, aby możliwie tu na tej ziemi ciekawie zaistnieć i wedle miary daru się spełnić. Reszta nie do nas należy. Wspaniałe bywają w jego prozie sceny dziecięcych psot, młodzieńczych „zakochań” czy np. uczniowskich „wynalazków” w „nieśmiertelnej – jak pisze – sztuce” skutecznego na lekcjach podpowiadania. O tej ostatniej napisał nawet swoisty traktat, w którym zawarł między innymi takie oto „spiżowe mądrości”:

Podpowiadanie jest sztuką dostojną, szanowną i starą, jak szkoła; nie ma człowieka, który by sam kiedyś nie podpowiadał i któremu nie podpowiadano, inaczej bowiem nikt by dotąd szkoły nie skończył i bardzo brodaczy chodziliby do niej ludzie. Dla tej dobroczynnej instytucji mają niejaki szacunek i sami profesorowie, z tego prostego względu, że i oni kiedyś chodzili do budy; byle podpowiadać w miarę i niebezpieczelnie, na to właściwie godzi się machnięciem ręki każdy profesor<sup>2</sup>.

I tu następują przewspaniałe zaprezentowane sceny praktycznej realizacji owej wiekopomnej umiejętności.

Także na swoje niegdyśjsze „artystyczne” aspiracje oraz ich dzisiejsze spełnienia umiał spojrzeć z charakterystycznym dla siebie dystansem i okrasić dawką łagodnej ironii. Przeto:

Godzi się to opowiedzieć, jak z milego i porządnego chłopca za podstępem szatana i wskutek tego, że go w chłopięctwie za wszystko bijali, rzadko zaś za to, co było zapowiedzią nieszczęścia – wyrasta człowiek zgubiony, zmarnowany i niepożyteczny, taki, jednym słowem, co pisze wiersze i książki. Opowiadam to ze zgrozą ku nauce innych, których najpierw czart kusi, a wydawca potem obdziera ze skóry. Opowiem

<sup>1</sup> K. Makuszyński, *Bezgrzeszne lata*, Kraków 1980, s. 136.

<sup>2</sup> Tamże, s. 127.

tedy, jak i kiedy przywiedziony zostałem do zguby, nieszczęsny człowiek, którego teraz wytykają palcami z litościwym szeptem:

– Patrz, patrz! To ten, co tak pisze...<sup>3</sup>.

A „pisze” – powiedzmy jak tylko można najszczerzej – z ogromną swobodą, z humorem i niezwykłą znajomością dziecięcych tęsknot oraz młodzięczych uniesień.

Charakterystyczne dla tego okresu rozkosze i cierpienia Makuszyński podniósł do rangi nie tylko egzystencjalnego, ale i pisarskiego wydarzenia. Kieruje nim przekonanie, skutecznie uwiarygodniane własnym doświadczeniem, iż „największy filozof – jak powiada narrator w *Szaleństwach panny Ewy* – nie znajdzie prawdy, którą odkryją sprytnie i niezbyt niezmacone oczy dziecka”<sup>4</sup>, a zaś w *Kartkach z kalendarza* o młodości rzece, iż ponad nią „nie ma nic na świecie, bo w niej jest jeszcze to wszystko, co być może”<sup>5</sup>. On głęboko w to wierzył i – co najważniejsze! – wierzyli mu duzi i mali czytelnicy. Uwielbiali go za humor i... za życiową prawdę; za jej zwyczajność i niezwykłość zarazem. Zachwycali się treściowym bogactwem jego dzieł i ich językową barwnością jednocześnie. Za przykład tego ostatniego niechaj posłuży rozliczność określeń młodych bohaterów, zawarte choćby tylko w jednym felietonie ze wspomnianej książki. I tak opisywane postaci to: „ludzkie żrebięta”, „rozbrykane rumaki boże”, „urwipolcie”, „szelmy”, „szympany, które uczą się, jak zostać człowiekiem”, a zaś w innym z tekstów z tego tomu określane są jako „cieleńta rozbrykane na łące życia”. W okresie dorastania wszystko, uważa Makuszyński, pozostaje w stanie tożsamościowego wrzenia i choć bywa utrapieniem dla innych, to i samo siebie nie oszczędza – a przez to jest nadzwyczaj ciekawe i *per saldo* pożyteczne. (Może czasem – zdaje się sugerować – mądrze też być choć trochę niemądrym? Niekiedy i to nie zaszkodzi...). Żywa pamięć dzieciństwa zdaje się też dla niego wcale niebagatelnym rodzajem samopoznania i jedną z ważnych ścieżek wiodących do prawdy naszego ludzkiego świata. Makuszyński uczynił z niej istotny rys swego pisarskiego dorobku.

Ale i na rzeczywistość dorosłych patrzy on z pełnym wyrozumiałości dystansem i charakterystycznym dla siebie uśmiechem. W ogóle w utworach Makuszyńskiego niezwykle trudno o ludzi do cna złych. Można pójść o zakład, czy w którymkolwiek z jego utworów w ogóle dałoby się takie osobniki odnaleźć... On nawet w najgorszym egzemplarzu ludzkiego gatunku zawsze znajdzie coś pozytywnego: jakieś światelko uczynionego kiedyś dobra czy choćby ślad tęsknoty za nim. Autor *Bezgrzesznych lat*, jak się zdaje, nie potrafi przyszpilić człowieka raz na zawsze do jego słabości, wyłączyć z obszaru nadziei, przekreślić czarną krechę negacji. Nie ma też dłań takich mroków sumienia, z których człowiek, przy odrobinie dystansu do swej ludzkiej kondycji, nie mógłby się wydobyć – a jako najlepsze lekarstwo

<sup>3</sup> Tamże, s. 51.

<sup>4</sup> K. Makuszyński, *Szaleństwa panny Ewy*, Kraków 1981, s. 169.

<sup>5</sup> K. Makuszyński, *Kartki z kalendarza*, Kraków 1985, s. 55.

na zło Makuszyński proponuje postrzeganie ludzkiej natury choćby z odrobiną humoru. Jakaż to dziwna – zdaje się twierdzić – istota ten człowiek: niby to zawsze chce dobra, a zazwyczaj wychodzi na odwrót, brzydzi się grzechem, a jednocześnie rozsmakowuje się w nim; niby wie, że trzeba zła unikać lecz bywa, iż z lubością mu się oddaje – a potem krzyczy, żeby go ratować! Ludzie z poczuciem humoru wiedzą, że czyste typy moralne (czy też amoralne!) nie istnieją na tym świecie. Stwórca musi mieć niezłą uciechę patrząc na to widowisko! I pisarzowi – uważa Makuszyński – niechaj będzie wolno także z tego uśmiechu Pana Boga korzystać; wszak jest On hojny i szczodry również w tej dziedzinie. Bo jakże by inaczej?!

Bawiły go, choć i czasem – mimo wszystko – nieco irytowały ludzkie słabości czy niedostatki oraz niewydarzoności człowieczych natur, temperamentów i charakterów. Dotyczyło to zwłaszcza pewnych kobiet i... Żydów. Te pierwsze uważał za w swej istocie dość fascynujące stworzenia, w rozmaitych aspektach niezmiernie pozytywne – zwłaszcza jeśli chodzi o życie rodzinne i o... dogadzanie męskiemu światu. Nie znosił jednakże ich wystylizowanej na „postęp” bezmyślności; bywało, iż podrwiwał z kobiecych snobizmów oraz ideologicznego zaczadzenia emancypacją. Bez wątplenia fascynowały go kobiece wdzięk i powab; w zasadzie nie wyobrażał sobie życia bez towarzystwa niewiast. Swoją drogą napawała go nieklamana wdzięcznością cicha wierność żony, (którą to wierność, jak się zdaje, spontanicznie i całym sobą odwzajemniał). Najogólniej rzecz ujmując, zapewne rzec by trzeba, iż prawdziwa kobieta spełniała się dlań głównie jako matka, gospodyni domowa albo... kochanka. Niewątpliwie bardzo wysoko cenił niewieścią roztropność i praktycyzm, które przeciwstawił „artystycznej” niefrasobliwości takich jak on niesfornych mężczyzn. I tak na przykład w *Pertach i wieprzach*, opowiadając dzieje dwóch „gołodupców” z artystycznymi aspiracjami (pisarz – narrator, jak się zdaje trochę *porte parole* autora i malarz Chrząszcz), ukazuje, jak to z powodu notorycznego braku pieniędzy obaj panowie zostają zmuszeni do korzystania z jadłodajni dla ludzi mniej zamożnych, którą dla fasonu nazywają „pierwszorzędną restauracją”. Jej właścicielka, „baba swoją drogą dobra i słabość mająca do wszelkiego rodzaju artystycznej hołoty” zwykła dawać im posiłki na kredyt, czyli na tzw. wieczne nieoddanie, a ci zaś zwykli się jej odwzajemniać wyszukany „komplimentami”. „Niewiasta ta – konstatuje pisarz – wysłuchawszy słodkich naszych słów, kończyła zawsze jednako: – Nie gadaj pan dużo, żryj pan obiad i róbcie miejsce, bo insze czekają”. I dodaje” „Niech cię zacna matrono, anioły kiedyś na rękach poniosą do nieba”<sup>6</sup>. Ot i w niej wszakże dobro na swój sposób jedyne i niewyczerpalne! Dzięki Bogu i za to!

A Żydzii? Jego stosunek do nich nieco podobny jak do (pewnych!) kobiet, a cechuje go nade wszystko lekko zgryźliwy humor lub pobłażliwa ironia. Są bo są... Widocznie Stwórca tak chciał, ale ich miejsce w naszym życiu niekoniecznie najbliżej serca oraz naszych moralnych wyborów. Czasami, uważał, trzeba się do

<sup>6</sup> K. Makuszyński, *Perty i wieprze*, Kraków 1957, s. 96.

kogoś zdystansować, żeby zostać sobą, a zaś śmiech, ironia, satyra to w rzeczy samej niezgorsze sposoby poznawania tak samego siebie, jak i innych – i ustalania oraz ocalania własnej tożsamości. W jego powieściach i felietonach Żydzi to typy poniekąd egzotyczne, ale też na swój sposób swojskie jednocześnie; w istocie osobowościowo dość jednowymiarowe, choć z pozorami starannie przez nie same reżysrowanej tajemnicy. Wydaje się, iż drażnił go ich uzurpatorski ekskluzywizm, a jeszcze bardziej: naiwność wierzących i dających się na niego nabrać gojów. W pewnym sensie podziwiał żydowską zdolność do mimikry, umiejętność „robienia”, jak pokazywał w *Fatalnej szpilce* (satyrycznej opowieści z podtytułem *Przeraźliwa historia do głębi wzruszająca*), za Araba, Indianina, Murzyna, Polaka – byleby tylko wyjść na swoje. Nie ma przed nimi ucieczki – oto konkluzja bohatera książki. Oczywiście, zdaje się uważać autor owej historii, jeśli nie ma się dość pewności co do tego, kim się jest i po co – a tej nam ciągle nie staje. Nasz strach przed nimi wiąże się nade wszystko z niedostatkiem polskości w nas samych – uważał. Nie demonizował ich, ale i też nie lekcewał. Traktował Żydów jako swego rodzaju osobliwość w obrębie ludzkiego gatunku i, choćby z tego względu, znakomicie nadających się do satyrycznych ujęć oraz przedstawień nie tylko współczesnego nam świata. Jak wielu w tamtej epoce cenił karykaturę i z powodzeniem ją uprawiał.

Ale i samego siebie pod tym względem nie oszczędzał: śmiał się ze swych słabości, z rozmaitych swoich poczynań, nawet z wyglądu... W felietonach zazwyczaj przedstawiał siebie jako biednego literata z „łysą pałą” w chmurach, wesołka, smakosza rozmaitych restauracyjnych i kawiarnianych rarytasów, kawalarza, zapamiętałego pokerzystę... To jakby w jednej osobie: krotochwilny Zagłoba, który w przeciwieństwie do swego powieściowego pierwowzoru przeczytał sporo książek i Wołodyjowski – przedni szermierz (stylista) w swoim fachu, w sumie: ktoś jedyny, samoswój, nie do podrobienia. Patrzył na siebie, na drugich, na świat z przymrużeniem oka; z wyrozumiałością należną ludzkim słabościom, acz czasem nie bez pewnej goryczy lub ze smutkiem, kiedy zło zdawało się przekraczać swoją ludzką miarę. „Pomyślał sobie każdy przy sposobności, – powiada narrator w *Perłach i wieprzach* – że uczciwe życie tyle jest warte, ile człowiek zrobi głupstw podczas jego trwania, lekkomyślności miłych i nikogo niekrzywdzących; podwiązać sobie zęby kraciastą chustką i żreć melancholię na surowo, to każdy potrafi, aby złości życia jednakże zaśmiać się w pysk plugawy, na to trzeba odwagi. Podobno dlatego życie tak nie znosi artystycznej hołoty. Życie wygląda czasem jak opuchły dorobkiewicz z grubym, apoplektycznym karkiem byka, syty i arogancki – jakżeż więc może uczciwy człowiek przejść obok takiej figury spokojnie?... A czasem to aż złość bierze”<sup>7</sup>. Ale tylko złość – dodajmy. Na swój sposób bawiła go nawet swoista szczerzość głupoty. Zło, jak się zdaje, to dla niego jedynie brak dobra – i chyba niewiele więcej.

Nie napisał wspomnień, nie stworzył klasycznej autobiografii. W każdej ze swoich książek i w każdym z jej bohaterów był sobą po trosze. Każdemu z nich się

<sup>7</sup> Tamże, s. 149.

udzielał i każdemu z nich oddawał cząstkę swoich doświadczeń, a nade wszystko obdarzał swoją tęsknotą za dobrem i poczuciem humoru. Zróżnicowany świat swoich powieściowych typów budował z przemyślnie cieniowanych kontrastów; każdy inny, ale też każdy jakoś jeden drugiemu bratem – i w ostateczności jakoś jeden drugiemu potrzebny. Jakże nudno byłoby na świecie, uważał, gdybyśmy byli niczym dwie krople wody do siebie podobni... Brrr!

Najbardziej autobiograficzna z jego książek, *Bezgrzeszne lata*, to stworzona z rozmaitych barwnych epizodów historia jego młodości – rzecz traktująca o niezwykłościach tamtego czasu, o jego urokach, pokusach i niebezpieczeństwach, a zarazem wspaniała gawęda o tym, czym jest sam w sobie dar dzielenia się tym doświadczeniem. A jest on, jak powiada narrator, podobny do promyka, w którego mocy „pocieszać i ogrzewać serca” – i to dlań najważniejsze. Wszak mieć dzieciństwo i młodość, to także w każdym okresie życia traktować je jako coś żywego, ciągle ważnego – i umieć je w sobie odnajdywać, i zajmując o nich opowiadać. Pod jego piórem owe czasy odsłaniają się w całej swojej niepowtarzalności, niezwykłości i soczystości; w rzeczy samej żyją i żywią całe ludzkie życie – magią mowy przywoływane i wciąż o magię słowa wołające. W *Bezgrzesznych latach* dzieciństwo i dorosłość cieszą się sobą, bawią i igrają, a także zdają się smucić, kiedy jedno o drugim zapomina lub gdy odwracają się od siebie. Makuszyński relacje między nimi zamienia we wspaniałą grę powagi i humoru, zmyślenia i prawdy, dystansu i utożsamienia. Tak się między innymi dzieje w części poświęconej młodzieńczym uniesieniom, której pisarz nadał jakby formę antropologicznego traktatu, uwiarygodnianego tym, co sam przeżył:

„Ja osobiście – powiada – byłem w sprawach miłosnych dziwnie powściągliwy. W okresie od roku dziewiątego mego życia do piętnastego kochałem się – zawsze nieszczęśliwie – tylko sto siedemnaście razy, co było niczym w porównaniu z rekordową ilością miłosnych zaburzeń moich kolegów. Każdy wypadek wielkiej miłości notowało się w notesie, aby mieć przegląd ścisły i więcej nad trzy razy nie wracać sercem do tej samej osoby. Opisałem to w książce pt. *Awantury miłosne*<sup>8</sup>.”

Przedstawiający ową kwestię czyni swą powinność z pasją należną sprawom arcyważnym i zarazem zasługującym na nieodzowną porcję przedniego, soczystego humoru. One są z prawdy żywej przeszłości i z chwili, w której się dzieje opowieść. Ten, kto inicjuje tę ostatnią, niemal od razu poddaje się jej wartkiemu nurtowi i wyczynia w niej młodzieńcze harce i dziecięce figle; pozwala przemawiać drobnym falom i spienionym bałwanom, szelmowsko puszcza oko do czytelnika i raz po raz – jakby dla zdyscyplinowania związanych z tym czasem i z owym aktem emocji – strofuje siebie, przywołuje do porządku; karcą z uśmiechem na ustach. Narracja mieni się różnymi poziomami znaczeniowych głębi oraz całą gamą językowych wybrzmień i sytuacyjnych zróżnicowań. Kolokwializm spotyka podniosłość i razem wyprawiają najrozmaitsze „fikołki” albo też tańczą na majówce życia; wszak to są

<sup>8</sup> K. Makuszyński, *Bezgrzeszne lata*, s. 155.

„bezgrzeszne lata”, żyjące z własnych energii, żywiące się własnymi prawami oraz własną niepowtarzalnością. Mają swoje smutki oraz swoje nieszczęścia – i chwala im za to.

Język jego prozy to polszczyzna w całej swojej krasie, w pełni swoich możliwości; kiedy trzeba – witalistyczna i ekstatyczna, a kiedy przyjdzie jej dotykać spraw poważnych – powściągliwa i zdyscyplinowana. Zdumiewa stosowane w niej bogactwo epitetów, zdrobnień i zgrubień, giętkość zdaniowych okresów, różnicowanie brzmieniowych walorów fraz i poszczególnych słów. Makuszyński, jak rzadko który prozaik potrafi pełnymi garściami czerpać z zasobów pisanego i mówionego języka, dzielił obfitością barw oraz smaków ojczyściej mowy, a także cieszyć się tym gestem – darem. On najwyraźniej polszczyznę kocha, z upodobaniem ją pielęguje; raduje się z jej plonowania i martwi, kiedy ta choruje i usycha. Cechuje ją szlachetna służebność i jednocześnie zdolność do świętowania własnej niezwykłości. Ona zdaje się tu zarówno z cudu, jak i z trudu swego bytowania. Styl jego dzieł charakteryzuje niewymuszona elegancja i niewykalkulowana spontaniczność. To polszczyzna najwyższej próby.

Makuszyński umiał zajmująco opowiadać. Znakomicie panował nad tokiem opowieści; wiedział, kiedy przyspieszyć, a kiedy zwolnić tempo narracji. Bez skrępowania czynił swego narratora raz wszechwiedzącym, a więc i z pasją komentującym referowane wydarzenia, a innym znów razem przedstawiał się jako ofiara własnej narracyjnej zapamiętałości, którą raz po raz trzeba mu dyscyplinować i przywoływać do porządku. W uprawianych opowieściowych gatunkach był nieco staromodny, ale i na swój sposób współczesny. Wykazywał się na przykład zdumiewającą ruchliwością zajmowanych pozycji (z góry, z boku, ze środka) w przedstawianiu zdarzeń, z powodzeniem grał ich szczegółowymi i panoramicznymi ujęciami, zaskakiwał zmianami tonacji swych wypowiedzi; nieobcy mu patos, ironia, rubaszność czy kolokwializm. Powołując się na życie takie, jakie jest (zmienne, nieobliczalne, fascynujące...), pełnymi garściami czerpał z przy tym z rozmaitych kulturowych źródeł: z Biblii, z Szekspira, z Sienkiewiczowskiej Trylogii, z opowieści Dickensa i Prusa, z Fredrowskiej *Zemsty czy Ślubów panieńskich*, ale też: z ludowych przysłów, z młodzieżowego slangu i z zasłyszanych na ulicy powiedzonek. Był rozkochany w polszczyźnie jako idei (doświadczeniu dłoń jak najgłębiej osobistym i wspólnotowym) – i w polskiej mowie. A kochał je pięknie i mądrze, co się, niestety, coraz rzadziej zdarza naszym współczesnym artystom.

Kazimierz Nowosielski

Ryszard Kołodziej

## AMMONIA

tłoczyłam oliwę  
piekłam chleb  
oddzielałam  
ziarno od plew  
myślałam  
odpocznę  
na starość  
a tu  
serce płoszy  
noc  
sen  
ale nie jęczę  
nie uśmierzam pytań  
za życie  
wznoszę toasty

choć w codziennej  
krzątaniu  
rodzę się  
i spalam  
jak wszechświat...

## ANESTEZJOLOG

myli się pan  
układałam do snu  
za darmo  
kasuję tylko  
za pobudkę



## POCZTÓWKA Z HANOI

stragany  
garkuchnie  
skutery wymijają pieszych  
na pasach  
handlarki  
w stożkowych kapeluszach  
dźwigają na barkach  
żerdzie  
z pełnymi koszami  
w pagodzie wierni  
pałą kadzidełka  
ofiarując przodkom  
owoce  
papierosy  
potem  
zapadają w sen  
głęboki  
jak suma zdziwień  
dociekliwych turystów...

## POCZTÓWKA Z QUEENSTOWN

lodowce karmią  
turkusowe jeziora  
stado czerwonych jeleni  
pasie się na farmie  
foki pływają  
przy wodospadzie  
papugi dziobią  
wycieraczki samochodów  
łódź z turystami  
kręci piruety  
w kanionie  
ponton nurkuje

w rwącej rzece  
pies wtóruje  
śpiewającemu gitarzyście  
młoda para  
skacze na bungee  
w arktycznym barze  
smakosze  
sącą drinki  
z lodowych kubków  
na lodowym kontuarze  
słońce odchodzi za góry  
jak nasza młodość...

## SYROFENICJANKA

niepotrzebnie  
gorączkujesz się  
przyjacielu  
szafując wyrokami  
chcesz dowieść  
swojej lojalności  
nie jesteśmy psami  
wyjdź z klatki  
otwórz oczy  
ślepa ortodoksja  
zabija  
tylko niepokorna wiara  
czyni cuda

Ryszard Kołodziej

Janusz Pasterski

Notatnik otwarty

## ZWIĘZŁOŚĆ I SENS

W lirycznych zapisach pewność ma zwykle mniejszą rangę niż rozterka czy zwątpienie, wyżej stoi poszukiwanie niż mocne przekonanie. Manifesty będą chwilowe zainteresowanie, po czym przykrywa je kurz z bibliotecznym półtek. Z kolei niepewność rodzi namysł, mnoży ścieżki, otwiera możliwości. Dociekanie sensu bywa na ogół ciekawsze niż deklaracje i fantazyjne ściegi możliwych światów. Poezja może tu być ważną sferą myśli, nie gorszą od filozofii, która jest także poszukiwaniem prawdy i racjonalizowaniem wszelkich aspektów istnienia.

Uprawiana przez Andrzeja Szubę z niezwykłą konsekwencją liryka gnomiczna odsłania się właśnie jako forma tego rodzaju refleksji. Ze względu na swój ogólnie zakreślony kształt „strzępu” (jak nazywa ją poeta w niektórych zbiorach) ma ona ograniczone możliwości ekspresywne, a za to zwiększoną zdolność aforystycznej kondensacji czy kreowania sensów. Nie znaczy to zarazem, że to teoretyczne ustruktrowanie jest niezmiennie i stale wysuwa myśl nad formę. Jest raczej tak, że w zwięzłym, esencjonalnym zestawieniu poszczególne ogniwa zyskują większą wyrazistość, mocniej dźwięczą, ostrzej się rysują, głębiej zapadają w pamięć. Dlatego jakości estetyczne są równie ważne jak sens, jedno bez drugiego nie istnieje i nie jest w stanie wyrazić się w pełni.

*Postscripta* Andrzeja Szuby potwierdzają, że sens lirycznych, zagęszczonych fragmentów jest znacznie szerszy niż same kontury wierszy. Począwszy od łacińskiej formuły dopisku do listu, poprzez ciągłość numeracji i brak odrębnych tytułów, a skończywszy na rozległych kontekstach literackich i kulturowych. To wszystko rozszerza pole semantyczne każdego pojedynczego utworu i rodzi pytania wybiegające w wielu możliwych kierunkach. Widać to wyraźnie w utworach numerowanych od DCCCVIII do DCCCXV. Są one refleksją na tematy religijne i metafizyczne i – jak wiadomo – częścią stale obecnej problematyki w twórczości autora. Paradoksalnie dzięki temu minimalizmowi udaje się chwycić złożoność wielu trudnych do zrationalizowania tematów. Na przykład, gdy mowa jest o milczeniu Stwórcy, to przecież jest to milczenie skierowane do człowieka, a więc rodzaj komunikatu i przesłania (*Postscriptum* DCCCIX). Milczenie w ujęciu poety jest tajemnicą, ale równocześnie świadectwem obecności. „Nie milczeniem / pomijasz nas / a ciszą” – czytamy w *Postscriptum* DCCCXI i te proste słowa brzmią w sposób najbardziej przejmujący. Cisza może być dowodem pustki, zaś milczenie jest śladem obecności, wprawdzie ukrytej i trudnej do uświadomienia, ale wyraźnie odczuwanej. Wiele tego rodzaju niezwykle celnych spostrzeżeń czy iluminacji znaleźć można w tych krótkich zapiskach o przygodzie poznawania. Wszystkie one będą namysł

i otwierają przestrzeń refleksji, która jest niejako przedłużoną i integralną częścią każdego utworu. W ostatnim zapisku autor mówi już więcej i nazywa adresata „zamaskowanym / trzymającym dystans / nieznanym sprawcą świata” (*Postscriptum* DCCCXV).

*Postscripta* Andrzeja Szuby są też przykładem tego, że o tematyce metafizycznej nie da się pisać bez użycia metafory, bez stawiania pytań, bez odwoływania się do odczuć. W ten sposób liryczne miniatury stają się instrumentem do poruszania najważniejszych kwestii związanych z istnieniem człowieka i świata. Instrumentem czułym i zarazem niezwykle donośnym.

Janusz Pasternski



Fot. Sebastian Musielek

Helsinki, wyspa Lauttasaari

Andrzej Szuba

## POSTSCRIPTUM DCCCVIII

mówisz  
że cię nie ma  
i wszystko się wyjaśnia

## POSTSCRIPTUM DCCCIX

milczę  
do ciebie  
człowiecze

## POSTSCRIPTUM DCCCX

usłyszeć: idź  
a nie umieraj  
więcej

## POSTSCRIPTUM DCCCXI

nie milczeniem  
pomijasz nas  
a ciszą

## POSTSCRIPTUM DCCCXII

kto jak ty  
tak widomie  
nie istnieje

**POSTSCRIPTUM DCCCXIII**

jakby można było  
napisać coś  
co nie jest nekrologiem

**POSTSCRIPTUM DCCCXIV**

bo każesz się szukać  
tak żeby nie znaleźć  
żeby móc szukać bez końca

**POSTSCRIPTUM DCCCXV**

zamaskowany  
trzymający dystans  
nieznany sprawco świata

Andrzej Szuba

# FRAZY OSOBISTE

Antoni Matuszkiewicz

*Góry Orfickie*

## OSSOLINEUM

Zmęczony wchodzę do czytelnicy Ossolineum, właściwie tylko po to, aby zająć tam jakieś miejsce i spokojnie coś zjeść, ponieważ po drodze nigdzie nie było takiej możliwości, wewnątrz jest inne, co pewnie ma zaznaczyć czasowy i społeczny dystans dzielący mnie od studenckich czasów, to nie ten obszerny, wysoki klasztorny interior, raczej nieco tylko większa współczesna sala wykładowa, widna, wymalowana na biało, obchodząc całą, ale mimo iż nie ma tu prawie nikogo, wszystkie miejsca są zajęte, leżą na nich jakieś przedmioty, ubrania, śpiwory, kubek z kefirem, widocznie więcej przyszło tutaj takich jak ja, w ogóle więcej wniknęło życia zewnętrznego, u stołu bibliotekarza stoi student i rozmawia z nim na temat ewentualnej pracy o Żydach występujących w czyimś dzienniku, domyślam się, że podczas wojny i że ten epizod ma podkreślić trwający wciąż charakter tej instytucji, ponieważ jest upał, częściowo otwarte są oszklone drzwi na zewnątrz, tam w obniżeniu, zaczynającym się parę kroków od ściany budynku, płynie rzeka, na brzegu kilka młodych osób, które pewnie tak jak ja wyszły z czytelnicy, przezroczysta woda płynie z prawa na lewo, nie jest taka szeroka, jak powinna być Odra w tym miejscu, ot, może ma dziesięć metrów, może troszkę więcej, myślę, że jest zmniejszona analogicznie do czytelnicy, nie ma też charakterystycznych murowanych umocnień, jest nad nią raczej zielono, rekreacyjnie, bardziej przedmiejsko lub prowincjonalnie, spostrzegam, że właśnie zanurzyło się w niej, mniej więcej do połowy, dwoje studentów, idą w ubraniach, na skroś, a potem zgodnie z prądem wzdłuż przeciwległego brzegu, rozmawiają o czymś, pewnie o wspólnej przyszłości, doskonale widać żółty piasek na dnie, w którym tkwią tu i ówdzie zielone kępy roślin, łodygi wyraźnie poruszane są ruchem wody, jedna z nich, niewielka, kwitnie różowo, tymczasem tą bliższą mnie połową toni coś nadpływa, zdaje mi się, że to dwa wianki, jakie się puszcza na wodę, gdzieś tam obchodzono święto i dopłynęły aż tutaj, ale także stanowią parę, zastanawiam się, co znaczą, co łączy je z tamtą dwójką, przypatruję się, a one, coraz większe, obracają się w nurcie, są to okazałe wieńce pogrzebowe, ktoś je

wrzucił, albo woda wymyła skądś spod cmentarza, jeden jest cały zielony, drugi ma wokół otworu wewnątrz wianek z kilku różowych kwiatów przypominających róże, spodziewam się, że jak tamci będą chcieli powrócić na ten nasz brzeg, to akurat się z nimi spotkają, wieńce poruszają się szybciej i dogonią ich, w oddaleniu spostrzegam same głowy, jak pośpiesznie, z wysiłkiem zmierzają na mój brzeg, w ostatniej chwili przecinając fatalnym postaćom drogę...

11 kwietnia 2020 r. przed 6.00

## *ORTAE OPTICAE*

Wyjeżdżamy, droga jest taka, jaka była tam, w Górach Żółtych, kręta, obsadzona drzewami, jaworami pewnie, jak mi się z tamtejszych czasów przypomina, po prawej stronie, pod każdym z nich, grupka dzieci z długiej rozproszonej kolumny, trzeba więc uważać, to pewnie pożegnanie z naszym niegdysiejszym mieszkaniem w jednej i drugiej szkole, z pracą Iwony, ale dzieci nie idą drogą, nie jadą także samochody, widać, że stoją tam dalej, pod drzewami, gdzieś z przodu jest wielki korek, przeszkoda, nie wiemy, co zrobić, ale jest nam dane, dzięki łaskawości montażu sennego, znaleźć się jakby nieco z boku, tuż koło owej przeszkody, to płaski teren pokryty białą substancją chemiczną, później domyślałam się, że to pewnie mączka marmurowa ze strońskiej Białej Marianny, że oznacza tę miejscowość, jaka zgodnie z logiką drogi tutaj by się miała znajdować, wszyscy więc, z owej Doliny Białej Łądeckiej, którą jechaliśmy, zostają w tym korku niejako u siebie, odgradzeni swoim miasteczkiem, ale nasz los jest inny, człowiek w średnim wieku, stojący wśród białości i zawiadujący tutaj ruchem, jest dla nas łaskawy, przepuszcza wielkie ciężarówki z tym ładunkiem, widzimy odcisnięte wyraźnie w bieli ich olbrzymie opony, głębokie koleiny, z jakich korzystaliśmy kilka dni temu, aby dostać się poprzez wysoki śnieg do domu, więc jakby i aluzja do tego, gdzie jesteście teraz, nie wiem, jak to się dzieje, ale już jesteście poza tamtą okolicą, tamtym naszym czasem, dojechaliśmy do większego miasta, choć widok ulicy nie mi nie mówi, zarazem wiem, że to Świdnica, stoimy przed moją kamienicą, odbywa się coś, co jest niby odsłonięty na chwilę sekret tworzenia się snu, snów, może tworzenia w ogóle, mojego tworzenia, jakby przenikały się w semantycznej ugniatance warstwy różnych elementów, ingrediencji, dzieje się to na wprost mnie, w obrębie mniej więcej pionowego prostokąta o wielkości półarkuszowej karty, na powierzchni, niby wycięte z połyskującej srebrem, częściowo wytłaczanej blaszki litery, szeroka majuskuła, poniekąd z moją pomocą składająca się w słowa, które sam odczytuję, a raczej pojmuję jakby z powietrza, pojmuję równoległe z obrazem, gdy poza nimi, poruszają się, analogicznie do zjawiających się znaków, fragmenty owej kamienicy, deski, poręcze, słupy, jej rozproszona materia wewnętrzna, a zarazem jakby i przestrzeń, obdarzona mocą ekspresji, wypowiadała się poprzez



owe litery, powstawało tak inne jeszcze „pismo”, nie z lewa na prawo, lecz w głąb, wszystkie te rzeczy, i cały proces jako taki, przemawiają zbornie, jednak przy swej złożoności nie na tyle klarownie, bym je szczegółowo rozumiał, zostaje mi zbitka łacińska, jako aluzja może do łaciny szkolnej, której uczyłem się, mieszkając tutaj, do historii i mojej skłonności do niej, *ortae opticae*, czyli istniejące optycznie, albo pochodzące z widzenia, jako przeszłość mam to przeżywać, dlatego widoki klatki schodowej, którą idę nie są tymi, które pamiętam, są posunięte daleko w czasie, to znaczy w stanie zachowania budowli, widzę ściany, pułapy, listwy, zdegradowane mocno, trzymające się jakby dzięki prowizorycznym działaniom, łatom, podpórkom, mam wrażenie, że nie ma nikogo, ale uświadamiam sobie, że zaraz ma przyjechać, ze studiów, z wojska, z daleka Janusz Kaczmarzyk, niegdysiejszy młodszy kolega, że jest jego mama, postawna i energiczna, dobrze reprezentująca wszystkie matki i ciotki moich kolegów, baby z sąsiedztwa, starszych mieszkańców w ogóle, w mojej pamięci pozostało dotąd jedno jej zasłyszane zdanie, kiedy to w rozmowie z innymi kobietami, będąc w zaawansowanym już wieku, powiedziała – ja zawsze rodzę łyse dzieci, ona to w ich mieszkaniu na trzecim piętrze czeka na syna, gotuje zupę, jest także chłopczyk, ciemnowłosa, ciemnooki, jakby Wilek, ale jeżeli to on, teraz jest młodszy, niż był, kiedy tam zamieszkałem, nie czuję między nami przyjaźni, zdaje się spolegliwy w tej swojej młodości, występuje jako przewodnik, posłaniec, któremu ta funkcja sprawia satysfakcję pomagania dorosłemu, chociaż jednocześnie oddaje coś z jego późniejszego charakteru, on, który z racji konsekwentnie stosowanego przez sen ogarniania uobecnia wszystkich moich znajomych chłopaków, opowiada mi o Januszu, o tym gdzie mieszka, wnet biegnie zapytać i ogłasza mi, że zupa zaraz będzie, i znów goni na górę, sprawdzić, czy już jest, przepada we wnętrznościach kamienicy, ja tymczasem staję się niecierpliwy, nabieram pewności, że tamten już trafił do siebie, choć jestem przecież cały czas na schodach i nic nie zauważyłem, nie, nie będę czekał, aż zje tę zupę, o której wiem zaraz, nie wiadomo skąd, jaka jest porządna, zawieszista, wspinam się po schodach, a ponieważ widok się różni, nie rozpoznaję pięter, wszystko wokół odpryskane, zarysowane, byle deskowatość, belkowatość, prażność z reliktami mahoniowych lakierów, jestem, nadspodziewanie rychłe, na tym trzecim niby, ale zdaje mi się, że przeszedłem, że zbyt już tandetnie tutaj, już bardziej wygląda mi na czwarte, zawsze takie strychowe prawie, tak, to czwarte, bo słyszę z głębi, jak matka krzyczy na Wilka, że łązi nie wiadomo po co, że na zupę do ludzi, jakby ich było nie stać, on musiał jej jednak rzeczywiście skosztować, bo teraz grymasi, że mu nie smakowała, że była z „pryskierzycy”, czyli po czesku z żywicy (*pryskyřice*), co jest symboliczne ze względu na język, ale i dlatego, iż zapisując to, przypominam sobie o istnieniu u furtki do ogrodu starej czereśni, która była dla mnie poniekąd „drzewem poznania”, dzięki owocom, pierwszej zerwanej z pnia grudzie żywicy i gnieżdżącym się w dziupli „czerwonodupcom”, czyli kopciuszkom, także, uprzytamniam sobie teraz, narożnik kamienicy, gdzie znajdowało się mieszkanie Janusza, zdołał półokrągły wykusz spoczywający na pnium i konarach drzewa, aby tam trafić, muszę więc wrócić

piętro niżej, ale nadal mam kłopot z identyfikacją poszczególnych podestów, będę musiał zejść na sam dół, a potem znów na to trzecie, jakbym miał zacząć akcję od początku, tymczasem trafiam do niegdysiejszego pokoju moich ciotek, na naszym pierwszym piętrze, tak się domyślam, ponieważ pośrodku na stołku leży poduszka, białym odwrociem ku górze, ale wiem, że jej lico stanowi zrobiona dla mnie dawno, dawno temu wspaniała wyszywanka Cioci Koci, przedstawiająca ze szczegółami, barwami i walorami mojego ulubionego karmazynowego koguta, a teraz ja na owej jasnej, pustej stronie, jakby w czasie wówczas nieistniejącym, układam znowu coś, coś innego, z gałązek *picea pungens*, srebrzystego świerka kłującego, jakich kilka posadziłem w swym obecnym ogrodzie, jakby asystował temu ksiądz, niewidoczny, nieznany mi, postać mityczna symbolizująca ówczesną sytuację polityczną, dowiadując się, poniekąd z owego swego układania, że był za tamtych, milicyjnych czasów zamknięty dwa razy i miał układany życiorys.

18 lutego 2021 r. przed 5.00

Antoni Matuszkiewicz



Fot. Sebastian Musiałak

Helsinki, wyspa Lauttasaari, cypel Särkiniemenpuisto

Grzegorz Strumyk

## ŁATANINA 38

Ktoś szpera w mieszkaniu, w sąsiednim pokoju, otwiera szuflady, szeleści papierem, kładzie sztucce na blacie.

Zrywam się, ale jak dziecko boję się zajrzeć. Staję w oknie i macham rękami przez szybę.

W dole na rozległym skwerze, nazywanym polem, spaceruje matka w rytuale codziennego wychodzenia na powietrze po pracy. W domu się mówi. – Wychodzę na powietrze.

Niewyobrażalna jest przeszłość, zaległości czasu do odrobienia. Powyjmowani z niego ludzie na dnie przepaści. Można tylko się rzucić w ich stronę.

Przyglądam się na fotografii oczom i twarzy, ubraniu, otaczającym przedmiotom, czynnościom ciała w bezruchu. Przyglądam się przede wszystkim głowie. Całej głowie, nie tylko twarzy. To ważne. Patrzenie z zamknięcia w zamknięcie. Zakrywając palcem na zdjęciu pół twarzy, wpatruję się w osobne przesunięte spojrzenie oka. Jest od jednej do trzech postaci w człowieku.



Fot. Grzegorz Strumyk

Z fotografii nie da się poznać, że oczy już przestały widzieć. Nie dowierzam, że teraz jestem, a ich nie ma i miejsc ich nie ma, są tylko moje. W jednym miejscu i czasie. Wiara nie dodałaby pewności. Nie muszę jeszcze mocniej odczuwać, kiedy stało się takie jasne, dochodzi jak światło albo mrok w jednym spojrzeniu, że byli całością ze swoim miejscem i czasem. I nie pamięć, wyobraźnia, pozostawione dowody pozwalają ich zobaczyć.

Ich wszystkich jeszcze nie ma, spóźnionych o moje spojrzenie. Gdyby było już po ich życiu, mnie musiałyby nie być.

Fotografie, namalowany portret, wyrzeźbiona pierwsza miłość do dotknięcia zatrzymała życie, które nie zatrzymało się nigdy na żadnym etapie, ani tym napiętniejszym, ani tym będącym już oznaką rezygnacji. Przypominają słowa, ale nie tak puste jak „czas”, tylko pełne jak „łono czasu” Zagłębianie się w obecność. Jestem w momencie błędnie nazywanym upływem czasu. W głębokim, wirującym punkcie znikającym do najmniejszego śladu. W jednym punkcie dążącym do swojego środka. Jeden wir wyzwalał pożądania. Ten jest powtórnymi narodzinami, tyle, że w lęku i wiedzy o samotności i swojej bezsilności.

Grzegorz Strumyk

fot. Sebastian Musiałak



Helsinki, wyspa Lauttasaari, cypel Särkiniemenpuisto

Roman Sabo

*Kondygnacje czasu i przestrzeni*

## CIEŃ JASKÓŁKI

Czegoż to o preludiach Chopina nie napisano. Jakich pytań nie postawiono, z tym naczelnym: preludia do czego? Czegoż w nich nie usłyszano? Pani i Panna Sand pobily w dziedzinie semantycznych skojarzeń rekordy wszystkich światów, wszechświatów i stadnin: „fortepian odzywał się głosem archanioła, zamieniał w orkiestrę zbrojne zastępy, wściekły ocean, stworzenie kosmosu i koniec świata [...]. Te łyż w głębi chłodnego krużganka! To niecierpliwe drżenie bitewnego konia” – uff, starczy.

Ryszard Przybylski uważa i przekonywująco dowodzi w *Cieniu jaskółki. Eseju o myślach Chopina*, że Chopin układając dźwięki, myślał nimi i nimi o sobie snuł opowieść. Jeżeli Przybylski ma rację, to bezsłowne, niepotrzebnie werbalizowane w różnych onomatopejach o szumiącym deszczu czy ptasim świergocie, jest myślenie Chopina zaproszeniem do snucia myśli na wszelkie zrytmizowane sposoby. Dalekie od rozważań czy w e-molowym czwartym preludium Chopin myśli, aby „się wyjęzyczyć” przy pianinie o melancholijnej radości związanej z zaręczynami „na próbę” z Panną Witwicką, czy o spokojnej pamięci pierwszych uniesień miłosnych z Panią Sand, kobiecość której pozwolił był sobie przed zauroczeniem podać w wątpliwość, czy o przyjacielskiej konwersacji z prawdziwym przyjacielem Delacroix, czy o perypetiach pobytu na Majorce. Wszelkie rozważania tego typu są i mało ważne, i nie do określenia.

Ważne bardzo jest, trzymając się tropu Przybylskiego, jak Chopin w tym e-molowym preludium myśli, jak się nim wyjęzycza, jaka jest struktura tej gadki – a jest spokojna, rozważna, odrobinę rozmarzona, powściągliwa, opanowana, przez co jej wewnętrzny potencjał, właśnie to opanowanie wrzących uczuć, czyni ją tak niezwykle atrakcyjną z punktu widzenia konwersacyjisty. Tak nam rozmowy ze sobą prowadzić. Tak je rozwijać i tak je modulować. A jak nie prowadzić, można usłyszeć w również minorowym preludium osiemnastym, gdzie rozmowa zaczyna się od nawału wzburzonych słów, a potem to już nic, tylko walenie pięścią w stół w celu podkreślenia jedynej słuszności własnej racji. Istny sejm. Preludium dwudzieste z kolei ma strukturę tzw. rozmowy zasadniczej. Mocne, stanowcze wyłożenie racji, której odpowiada cichszy, subtelniejszy głos, rację rozważający, modulujący jednostronność zarzutów, udzielający delikatnych odpowiedzi.

Preludia to wzory rozumowania spokojnego, rozważnego, subtelnego, stanowczego, spontanicznego, prowokacyjnego, rozmarzonego, wzburzonego, gniewnego, burzę myśli wyciszającego w wybrzmiewających nutach, raz jeszcze burzę

rozpętlającego zdecydowanymi uderzeniami lewej ręki w klawiaturę, sokratycznie dialogowego, pewnego swojej racji, rację swą podważającą, jak u tych dwóch włoskich braci mechaników, który rozwiązywali każdy postawiony przed nimi mechaniczny problem, kłócąc się zawzięcie i na cały głos, co chwilę wymieniając się obiekcjami – gdy jeden udowodnił już, że białe to czarne, natychmiast przejmował od brata rolę udowadniania, że jest akurat naabarat.

W swojej książce Przybylski to wszystko bardzo ciekawie zasugerował, a ja, towarzysząc mu własną ułomną myślą, jak zwykle bazgrałem na marginesach.

63.

„klecenie wierszy jest ciężką chorobą Polaków i gdyby cudzoziemcy znali nasz piękny skądinąd język, moglibyśmy uchodzić w świecie za naród nieugiętych grafomanów”

ważną lekturą tej myśli zaczynać każde rano  
gdy aby pisać śwędzi skwapliwe *mano*  
gdy głowa opuchła słowami  
myśl zaspaną na manowce mani  
gdzie jakże często liter nadmiar i dźwięków huk  
miast głośniejszy salwy daje cichy puk

200.

„jedna jest roztropność w życiu: skoncentrować się, i jedno w życiu zło: rozproszyc się”

podzielić się rozproszkować zagubić wśród małych spraw  
płynąć jak w morzu trocin wplaw  
i ciągle jak młyn wodny mieląc rękami  
rozdrabniać życie godne większej sprawy

201.

„pyszne słowo łacińskie *aerumna*”

Słowacki zaraz zrymował z rzeczownikiem trumna  
u Lindego rymuje się z żal:  
żał jak stal tnie żalującego  
i kroi na plasterki żal wzbudzającego

214.

„są słowa skrzypcowe lub obojowe. Żal (to słowo) fortepianowe”

i jaki żal że skupienie niszczy słowa bębnowe  
a wrogość potęgują – słowa co nie nowe

236.

„bowiem w chmurach, jak w muzyce, każdy widzi coś innego”

i każdy chmur harmonię inaczej pojmuje  
każdemu chmura kształtem inaczej rymuje  
co przed oczami z myślą głęboko ukrytą –  
spryt Odyseusza z posępną Eurydyką

252.

„Zadnych złudzeń. Egzystencja człowieka jest tragiczna. Dlatego jego żywot powinien być heroiczny. Wyrazem heroizmu powinna być ironia”

na nic tutaj wielkiego Szekspira królestwo za konia  
na nic Odysa sprytnego szalbierstwa  
myśli przewrotnej uczone złodziejstwa  
na nic wieńce laurowe światowe zaszczyty  
lazury włoskie himalajskie szczyty

dystans – ironia – czasem człowiek godnie kona

256.

„Tere fere kuku. Otóż, największa prawda na świecie”

plączmy z dna serca śmiejemy się po rdzeń rozpuku  
nie mówmy staroświecko że czas nas wymiecie  
cała prawda nieśmieszna – życie pełne huku  
zanim stąd odejdziemy da nam w kość a gnicie  
ciała myśli pragnienia duszy i powodów  
sprawi że z braku odmiennych dowodów  
ciało leżąc na desce jeszcze pofigluje  
a myśl zanim wygaśnie fraszkę zafunduje:

tere fere kuku  
strzela baba z łuku  
a kto się przygląda  
ten cymbał i trąba

Roman Sabo

Robert Suwała

*Obrazy i anamorfozy*

## PROCES W CZASACH ZARAŻY

*Książka żyje o tyle tylko, o ile jest w stanie nas poruszyć, i to poruszyć za każdym razem inaczej; o tyle tylko, o ile przy każdej lekturze inaczej się przed nami otwiera.*

D.H. Lawrence, *Apokalipsa*<sup>1</sup>

Nieoczekiwanie, niczym w powieści Kafki, obudziliśmy się w okolicznościach, których finał jest – jak się okazuje – niedocieczoną zagadką. Dookolność ku powszechnemu zaskoczeniu objawiła się jako Kafkowska hipostaza. I nawet jeśli rzeczywistość Józefa K. to tylko projekcja lęków i urazów autora *Procesu*, to właśnie teraz jej nieprzewidywalność wydaje się doskwierać bardziej niż kiedykolwiek, my zaś – nie tylko podczas lektury – odnajdujemy się w roli spiskowców sensu, który coraz częściej okazuje się własnym pozorem. Podejmujemy więc kolejne próby uszeregowania tajemnicy w ramach uznawanych hierarchii społecznego porządku, inaczej mówiąc – pragniemy znaleźć dykcję adekwatną do nowej empirii.

Z fabuły *Procesu* Franza Kafki przebija nieokreślony i przez to tak niepokojący przymus. Stał się on także – w sposób niezauważalny – udziałem naszej codzienności, wypełnia światy wyobraźni, naznacza je nieokreślonością, przez co zdają się pozbawione wewnętrznej spistości, jak gdyby samo przeczcucie tego przymusu pozbawiało je woli życia. Bohater Kafki wpada w pustkę, być może pozorną, jednak odczuwa ją bardzo realnie. W jego oczach staje się ona obrazem utraty logiki objawiającym się nieoczekiwanie jako bóstwo naszych czasów. Ten świat pozbawiony jest indywidualnego gestu wolności, przeciwnie, okazuje się bezkształtną masą zdarzeń, w której człowiek jako jednostka sprowadzony jest do rutynowego przypadku w zdekompletowanym materiale dowodowym. Poza jego świadomością odbywa się nieustanna praca, jej przebiegu może się najwyżej domyślać, ludząc się, że labirynt sytuacji, w jakim się znalazł, stanowi element jakiegoś niezrozumiałego wprawdzie, lecz jednak spójnego planu. Zbyt późno dociera doń, iż jest tylko statystą w teatrze życia, które opowiadane jest niezależnie, a nawet wbrew jego woli.

Sytuacja, w jakiej znalazł się Józef K., jest anomalią. Nieskończonością niosącą niezapadły jeszcze wyrok. Świadomość tej aberracji wyostrza zmysły, sprawia, że wzrok sięga głębiej, spod podszewki zdarzeń wydobywa subtelne przeczcucia zabarwione dwuznacznością potęgującą i tak już dojmującą przeciw

<sup>1</sup> D.H. Lawrence, *Apokalipsa*, przeł. R. Kuczyński, Warszawa 2018, s. 10.



uczucie dezorientacji. I zmęczenia. Zauważmy, bohaterowie Kafki cierpią wręcz na chroniczne zmęczenie. Symbolizuje ono zarówno ich odbiegający od normy stan, jak również, by nie rzec: przede wszystkim, patologię świata, który z milczącą rezygnacją kontempluje własną degradację. Oczywiście, świat starych wartości zdaje się tkwić mocno na fundamentach społecznego ładu. A jednak... A jednak przychodzący skądś z zewnątrz przymus podważa tę konstrukcję, nadając jej skazę mistyfikacji. „Z kłamstwa robi się istotę porządku świata”<sup>2</sup> – przypomnijmy sobie pełne rozgoryczenia słowa Józefa K.

Lektura *Procesu* odsłania zwichrowany aksjologicznie świat. Sytuacja w jaką wplątały Józefa K. niezrozumiałe przezeń okoliczności, zawiesza go jako pełnoprawnego uczestnika społeczności. Pozornie nic się nie zmieniło, nadal przecież zjawia się w biurze, wraca do domu, słowem żyje, jak każdy inny obywatel. Lecz nad tą codziennością unosi się nieznośnym lejtmotywem nowa sytuacja, która początkowo tylko w niewielkim stopniu, potem zaś coraz wyraźniej zaczyna wypełniać dotychczasowe życie Józefa K. W ten sposób unieważnia jego ontologiczny status. Zniekształca tożsamość. Za kogo może uważać się teraz Józef K.? Czy tylko za naznaczonego piętnem niezrozumiałego procesu ciągnącego się za nim nieokreśloną myślą? Jego sytuację przyrównać można do choroby, którą otoczenie wprawdzie toleruje, lecz odruchowo izoluje zainfekowanego. Przez fakt „zakażenia” procesem nad Józefem K. rozpościera się aura wstydu sprawiająca, że staje się inny. Jego egzystencję naznacza niedocieczony w swych najgłębszych motywach wyrok, w którym nie ma jednak miejsca na jawny obraz śmierci, dlatego ostateczny cios Józef otrzymuje na obrzeżach miasta, w kamieniołomie, gdzie umiera „jak pies”<sup>3</sup>.

Śmierć Józefa K. pozbawiona jest indywidualnego wyrazu. To tylko punkt w danych statystycznych. Wymowa traumy samotności wywołana tym ostatecznym aktem nabiera szczególnego znaczenia. Już nie jesteśmy zainteresowani samym trzymaniem śmierci na dystans, teraz, jak Kafka, na co zwrócił uwagę Maurice Blanchot, „potrzebujemy śmierci po to, żeby nią zawładnąć”<sup>4</sup>. Kafka nie traktuje faktu zgonu jako negacji. Jednakże we współczesnym dyskursie eschatologia ustąpiła pola aksjologii przyjemności. Społeczeństwa stopniowo wyzbywają się zdolności, mówiąc za Blanchotem, poruszania się w przestrzeniach śmierci. „Nie sposób nauczyć się umierania”<sup>5</sup> – rzekł Vladimir Jankélévitch. Lecz głos filozofa ginie w zgiełku współczesności. To, co ostateczne, objawia się więc jako eksces wzbudzający niezrozumiałą, a tym samym nieakceptowaną, z perspektywy racjonalnej myśli, frenezję emocji. Nie da się śmierci pomyśleć, jest zatem gwałtem na świadomości, na powszechnie przyjmowanej konwencji estetyki i etyki. Obwarowujemy się więc

<sup>2</sup> F. Kafka, *Proces*, (bez podania tłumacza), Warszawa 1991, s. 177.

<sup>3</sup> Tamże, s. 183.

<sup>4</sup> M. Blanchot, *Wokół Kafki*, przeł. K. Kocjan, Warszawa 1996, s. 121.

<sup>5</sup> V. Jankélévitch, *To, co nieuchronne*, przeł. M. Kwaterko, Warszawa 2005, s. 30.

zakazami i nakazami, dającymi złudne poczucie panowania nad chaosem. Skutek tych zabiegów jest odwrotny – jesteśmy coraz mniej odporni na absurd. Tę sytuację ilustruje diagnoza D.H. Lawrence'a, że „zbiorowisko ludzi słabych zawsze będzie demokracją zakazów”<sup>6</sup>.

Józef K. porusza się w obrębie przyswojonego paradygmatu porządku. Nagle w to *decorum* z całą niszczycielską autorytatywnością wkracza proces, narzucający obcy i niezrozumiały sposób zachowań. Wewnętrzny imperatyw nakazuje Józefowi podjąć próbę nadania tej nowej sytuacji jakiegoś semantycznego kształtu, który mógłby stać się punktem odniesienia wobec znanych pojęć, przede wszystkim, „aby zdać sobie sprawę ze swego położenia”<sup>7</sup>. Jego poczynania rozmywają się jednak – ku narastającej frustracji – w bezcelowości. Ogólna bezkierunkowość osiada na jego rzeczywistości lepkiem nalotem powodującym paraliż woli. Życie stacza się w tymczasowość, przypomina metaforę balansującą pomiędzy ukonkretnieniem a amorficznością. Rzeczywistość nie jest – jak możemy się przekonać – zjawiskiem noumenalnym. Przypomina raczej teatr, w którym wszyscy – widzowie i aktorzy – zakładają maski. Znaleźli się więc – jak pisze Giorgio Agamben – „w sferze, w której realne życie i scena teatralna stają się nieokreślone i tracą wszelką tożsamość”<sup>8</sup>. Czyż właśnie dziś ów stan teatralnej umowności nie narzuca się ze szczególną intensywnością?

Powieść Kafki odczytać można jako metaforę niedosiężnych mechanizmów motywacji, w obliczu których jednostka z niemiłym zaskoczeniem odkrywa własną ignorancję. Odnajduje się pośrodku bezradności, a przecież korzysta z wszelkich narzędzi, w jakie wyposażył ją postęć. Mimo to nie może mieć pewności, co jest rzeczywistością, a co iluzją.

Percepcja jest sumą zaskoczeń. A autor *Procesu* podpowiada nam, że świat, pomimo pozorów normalności, tkwi w sytuacji granicznej. Wiedzę o chorobie toczącej istniejące struktury społecznego porządku zdobywamy dopiero w trakcie poszukiwania dróg wyjścia z impasu, który dotyka w równym stopniu jednostki oraz całe zbiorowości. Ale wszystko, czego się dowiadujemy, jednoznacznie wskazuje, że porządek i związane z nim instytucje, przedstawiane jako trwałe podstawy uznawanych wartości, ukazują swą iluzoryczność (przypominajmy sobie przewrotne słowa powieściowego malarza Titorellego, pouczającego Józefa K., że uwolnienie z pęt procedury sądowej nigdy nie jest całkowite, a tylko pozorne). Nasze doświadczenie rzeczywistości zapośredniczone przez media mieści się w ramach dopuszczalnego dyskursu, w którym aktualne zdarzenia zyskują, mówiąc za Blanchotem, materialność słów. Ta osobliwa reifikacja wykorzystywana jest w celu rozwiązania aporii, jaką okazuje się sama rzeczywistość. Zabieg ten, podstępnie przekonywający, sprawia, że ludzie zwykli bezrefleksyjnie przyjmować zastany stan rzeczy. Lecz

<sup>6</sup> D.H. Lawrence, dz. cyt., s. 42.

<sup>7</sup> F. Kafka, dz. cyt., s. 7.

<sup>8</sup> G. Agamben, *Pulcinella, czyli Rozrywka dla dzieci*, przeł. J. Ugniewska, Warszawa 2019, s. 82.

przyjdzie dzień, w którym każdy z nas obudzi się z męczącym przeświadczeniem ciężącego oskarżenia...

Roberto Calasso słusznie zauważył, że „Kafki nie można zrozumieć, jeśli nie czyta się go dosłownie”<sup>9</sup>. Dlatego właśnie dzieło pisarza z Pragi, z całą swą niejednoznacznością ukazujące dialektykę władzy – choć może trafniej będzie powiedzieć za W.G. Sebaldem: bardziej jej „pasożytnictwo niż przemoc”<sup>10</sup> – stawia bardzo konkretne i realne pytania dotyczące obecnej kondycji człowieka. Czy jednak starczy nam odwagi, by zmierzyć się z odpowiedzią?

Robert Suwała

Fot. Sebastian Musielak



Helsinki, stocznia Hietalahti

<sup>9</sup> R. Calasso, *K.*, przeł. S. Kasprzysiak, Warszawa 2011, s. 26.

<sup>10</sup> W.G. Sebald, *Opis nieszczęścia. Eseje o literaturze*, przeł. M. Łukasiewicz, Wrocław 2019, s. 104.

Katarzyna Turaj-Kalińska

*Lampa z końskiej czaszki (5)*

## KOMPLEKS TERENI

Kiedy chodziłam do szkoły w Nowej Hucie, było tam całkiem sporo dzieci, dla których płynne czytanie bez mozolnego składania liter, ortografia i tabliczka mnożenia bywały szczytami nie do zdobycia. Niektórzy uczniowie po trzy lata z rzędu zostawali na drugi rok. Pamiętam pewną rodzinę romską – zwano ich wówczas bez żenady Cyganami, co zresztą miało swój urok, bo w słowie „cygański” jest pewien romantyzm, a w „romskim”, mimo zachęcającej nazwy, wyczuć można tylko nadmiar politycznej poprawności. Romowie mogą być innego zdania. Spośród tamtych dzieci trójka rodzeństwa w różnym wieku znalazła się w pierwszej klasie. Żadne nie przeszło do drugiej. Zapewne nie brakowało im uzdolnień, tylko były kompletnie zaniedbane. Bo przecież trudno przypuszczać, by wszystkie na raz miały ADHD, autyzm, lub dysleksję. Schorzenia te nie były wówczas znane i nikt nie mógł nimi usprawiedliwiać opóźnień w szkolnych postępach.

Nie było trudno zostać prymusem w nauce i zachowaniu tam i wtedy. Ale zostać prymusem w domu mojej babki – to było jak siedem prac Herkulesa. I wszelkie inne mity, baśnie i legendy o zleceniach nie do wykonania, powierzanych najczęściej poczciwym wiejskim głuptasom, którym już to boginie, już to wróżki, już to leśne zwierzęta pomagały osiągnąć cel.

U babci zresztą nie było żadnych prac do wykonania. Wprost przeciwnie, nie wolno było nic robić. Bo zrobienie kanapki – jak wiadomo – grozi śmiercią lub kalectwem – przecież chleb kroi się nożem, narzędziem śmiertelnie niebezpiecznym! Ze smarowaniem kromki z kolei łączy się zrzucanie na podłogę kawałeczków masła, co grozi dalszym rozdeptywaniem i roznoszeniem po całym mieszkaniu. Nalewanie mleka do kubka to tylko niewinny początek rozlewania naokoło i tak czy siak mamy gotowy bałagan, którego babcia bała się bardziej niż pożaru, mimo że na Friedleina paliło się w piecach, z których często wypadały iskry i rozżarzone węgle. Doprawdy piec był jak uśpiony Wezuwiusz, ale babka traktowała go jak niewinny mebel. W łazience, cóż, można było umyć ręce, ale tylko pod ścisłym nadzorem, czy aby się nie nachłapie! Tak przyjemne przelewanie wody z kubeczka do kubeczka nie wchodziło w ogóle w grę.

W przedpokoju było mnóstwo ciekawych przedmiotów, między innymi łąty dziadzia – tyczki geodezyjne w brezentowym pokrowcu związanym rzemieniami. Moim zdaniem świetnie nadawały się do zabawy, zdaniem babci jednak mogły służyć wyłącznie do poobijania ścian. Taśma parciana w pudełku z grubej, sztywnej

skóry zaopatrzoną w korbkę, która odwrócona zamieniała się w zamykaną klapkę, mogła być najwyżej wzięta do ręki na chwilę pod okiem dziadka, inaczej zapewne nie nadawałaby się już do użytku, wciągnięta na zawsze do ślimaczej skorupy zbytym szarpaniem.

Dziadek pod nieobecność babci pozwalał mi na więcej, ale pod ścisłym nadzorem. I tylko on wiedział, jak się obchodzić z najbardziej fascynującą rzeczą, jaką był arytmometr. Wolno mi było pod jego nieobecność zakręcić korbką najwyżej dwa razy, za trzecim z pewnością by się rozpadł. A doprawdy szkoda byłoby dopuścić do rozsypania się tego przedmiotu w stylu *steampunk*, przypominającego mały, błyszczący parowóz.

Tę czarną lokomotywę usianą wypukłymi, białymi cyferkami chętnie postawiłabym sobie dzisiaj na komodzie, ale przeprowadziła się na tamten świat razem z dziadkiem. Podejrzewam jednak, że nie została włożona do trumny, bo babcia była skrajnie nieromantyczna i zapewne bezdusznie ją sprzedała. Ocalał za to optyczny teodolit, dziś, w dobie GPS, też bezużytecznie piękny okaz *steampunku*. Został zamknięty w drewnianym pudle jak w trumnie, a ja nie mogę dotąd znaleźć kluczyka.

Dziadek miał także w szufladzie niezliczoną mnogość ołówków twardych i miękkich – te mogłam tylko „zaraz złamać”, piórka stępić, cyrklami się pokłuć. Największym pożądaniem obdarzałam pewien tusz, dla niespotykanej intensywności jego koloru. Nie mogło się z nim równać najprzedniejsze czerwone wino, pasowe różę a nawet rubiny z sułtańskich szkatuł. Była to czerwień niedościgną i absolutna – po prostu czysta idea czerwieni, która stała się ciałem, *pardon*, krwią właściwie i w postaci eliksiru przeniknęła do kwadratowej buteleczki.

Żaden Aladyn nie trząśł się tak do dżina w żadnej lampie, jak ja do czerwonego tuszu mojego dziadka. Ale nie wiem, czy miałam go bodaj raz w rękach, gdy akurat babci nie było, a dziadek „pozwalal na wszystko” – jak to lubiła nazywać. Udało mi się za to kiedyś poplamieć palce innym tuszem, na niebiesko. Zrobiłam to specjalnie, bo takie plamy miały dzieci chodzące do szkoły. Pokazywałam je na dowód, że i ja jestem już pierwszoklasistką, ale żaden prawdziwy uczeń nie chciał mi uwierzyć. „Przecież to wcale nie jest atrament!” – usłyszałam. Dzieci są stanowczo zbyt spoztrzegawcze, by się nabrać na takie oszustwo. Najadłam się tylko komu wstydu i nigdy więcej już nie miałam ochoty udawać kogoś, kimś nie jestem.

Były jeszcze dwie podstawowe świętości i absolutne dotykowe tabu. Szybki w biblioteczkę i koldra. Na koldrze nie wolno było siadać, bo się „wygniatała”. Po szybach – w których wycięte były rowki na paznokcie do przesuwania – nie wolno było „pacać”, bo zostawały na niej widoczne gołym okiem odciski palców. Nie potrzeba było lupy detektywa z Baker Street, by je zauważyć i awantura gotowa.

Po śmierci babci i różnych remontach – już w innym zupełnie mieszkaniu – biblioteczka stanęła w kuchni. Fornir zgrabnego przedwojennego mebelka poplamiał się i powybrzuszał, bo wkładano tam naczynia, trochę zawsze jeszcze mokre. Szybki nigdy już domyć się nie dało, zresztą oklejone zostały zdjęciami, a tych

byłoby szkoda. Kiedy i to mieszkanie po latach zostało sprzedane, biblioteczka, nie mogąc budzić sentymentów nowych właścicieli, zapewne wylądowała na śmietniku razem z niemożliwym do usunięcia kawałkiem ostatniego zdjęcia – mojej córki w wieku lat siedemnastu.

Tak doczekałam upadku kolejnego fetysza. A jeśli nie doczekam upadku wszystkich, jakie znałam w stanie ich świetności, to tylko dlatego, że życie jest na to za krótkie.

Co jakiś czas próbowałam przeforsować na Friedleina prawo do zrobienia czegoś zakazanego. Czasami nawet zrobić coś takiego, nie czekając na prawo. Wówczas słyszałam tę największą obelgę:

– Terenia by tego nigdy nie zrobiła.

Terenia była wnuczką pewnej dalszej sąsiadki – mieszkała u swojej babci w połowie ulicy Friedleina lub w każdym razie często tam bywała. Zdaniem mojej babki był to ideał dziewczynki. Naśladowanie jej powinno było zostać pierwszym celem mego istnienia, choć Bóg mi świadkiem, że nie była ani Chrystusem, ani Matką Boską, ani świętą Teresą z Ávili czy Lisieux, lub nawet inną, podrzędniejszą świętą, tylko dziewczynką starszą ode mnie zaledwie o pół roku, która poszła do szkoły z wcześniejszym rocznikiem.

Już samo to było bolesne. Niektóre dzieci zostały wyróżnione pójściem do szkoły w wieku sześciu lat – ja nie, mimo, że od dawna biegle czytałam. Czulałam, że też bym sobie dała radę i miałam pretensje do rodziny, że pozbawiła mnie tego przywileju. Dziś, gdy słyszę, jak niektórzy rodzice wraz z podlizującymi się im politykami forsują w Polsce zatrzymywanie sześciolatków w domu, włos mi się jeży na głowie. W tym wieku dzieci rwą się do szkoły i czują się upośledzone wobec tych, które są już uczniami. Zresztą, co najczęściej mają im do zaproponowania w domu rodzice? Edukacyjne zabawy i ciekawe, długie rozmowy, czy może raczej swoje zabieganie, roztargnienie i wzrok utkwiony w smartfonie?

Babci najwyraźniej nie zależało, abym naśladowała świętych. Nie była dewotką, do kościoła chodziła *pro forma*, albo też gdy miała coś ważnego do uproszenia na kolanach. Na przykład gdy leżałam umierająca w szpitalu. Byle czym głowy Panu Bogu nie zawracała. Taki ideał jak Terenia nie w niebiosach, nie w telewizorze, ale o kilka kamienic dalej na tej samej ulicy, doskonale nadawał się do drażnienia mojej ambicji. I tu narzuca się oczywiste pytanie: „Czy Terenia była doskonała tylko w tym, czego nie robiła, czy też umiała zrobić cokolwiek pozytywnego?”

Dosyć długo moja babka poprzestawała na powtarzaniu mantry o Tereni, która „nigdy by tego nie zrobiła”. Pewnego dnia jednakże w końcu usłyszałam opowieść, która na zawsze pograżyła mnie w otchłani kompleksu, wobec którego wszelka psychoanaliza jest bezradna – kompleksu Tereni.

– No ciekawa jestem, czy ty byś coś takiego potrafiła... – mruknęła babcia pod nosem, czym od razu rozpałała moją ciekawość do białości. – Bo Terenia była na placu po jajka i...

Skamieniałam, ukarana za ciekawość, jak żona Lota. Imię Terenia nie mogło wróżyć nic dobrego. Skamieniały wszakże nie potrafi podnieść rąk, by zatkać w porę uszy.

– Baba na placu włożyła Tereni jajka do koszyka – ciągnęła babunia obojętnym tonem, nie zdając sobie chyba sprawy z tego, jak głęboki sprawia mi ból – ale Terenia, mądra dziewczynka, brała po kolei te jajka i ło-tak-ło...

Tu Babcia popisała się nieskazitelnym zaśpiewem kresowego akcentu. Owo „ło-tak-ło”, towarzyszące pokazywaniu rękami jakiejś czynności, brzmiało jak wysokie „c”. Drżały od niego szyby w biblioteczkach, złknięte, że coś przewyższył je czystością. Tego by nie potrafił najlepszy jodler z Północnego Tyrolu.

– ...ło-tak ło... – Babcia podniosła do ucha swoją dużą dłoń zwiniętą jakimś cudem w garstkę i wykonała subtelny ruch przypominający potrząsanie przy uchu suchą makówką w celu sprawdzenia obfitości nasion w jej wnętrzu.

Świat jest niezwykle skomplikowany. Dobre jajka są na przykład zupełną odwrotnością dobrych makówek. Przy potrząsaniu nie powinny grzechotać. Tego właśnie nauczyłam się tamtego dnia raz na zawsze. Właściwie jest to wiedza bardzo pożyteczna. Zarazem dość banalna, bo każdy się o tym kiedyś dowiaduje, z wyjątkiem może ortodoksyjnych wegan trzymających się z daleka od jajek. Ale czy każdy musi zdobywać ją w tak traumatycznych okolicznościach?

Nie wiadomo, co było tym razem gorsze: to że Terenia znów wykazywała się wyższym stopniem wtajemniczenia niż ja, czy to, że miała odwagę demonstrować to jakiejś obcej, dorosłej kobiecie na wielkim placu targowym zwanym Nowym Kleparzem. A może najgorsze było, że ja nie mogłam nawet pomarzyć o tym, aby posłano mnie kiedykolwiek po jajka!

Czasami, w sobotę, kiedy akurat nie było w domu dziadka ani wuja, którzy by mnie upilnowali przed czyhającymi zewsząd niebezpieczeństwami – najwięcej wypadków zdarza się w domu, to naukowo dowiedzione – babcia zabierała mnie z sobą na zakupy. Nie przepadałam za tym, bo droga przez Friedleina wydawała się nie mieć końca. Była nudna i bardzo męcząca dla nówek, które musiały nadrabiać dwukrotną częstotliwością przebierania, by dorównać dorosłym nogom stąpającym jak gdyby od niechcenia pomimo dźwiganych siat.

Na rynku zwanym Nowym Kleparzem roilo się od babin będących karykaturami mojej niani, które się tam zjeżdżały z okolicznych wsi: Bibice, Węgrzce, Michałowice czy Zielonki. Cały tydzień czekałam na zniknięcie mi z oczu pani Helenki, a tu znów musiałam oglądać niespecjalnie kochaną towarzyszkę szarych, wlokących się niemilosiernie dni rozmnożoną w odłamek jakiegoś Andersenowskiego, stłuczonego przez diabły lustra. Niektóre z kobiet miały stragany, te jednak moja babka omijała szerokim łukiem jako „handlary” żądne nadmiernego zysku.

Kierowała się pomiędzy długie drewniane ławy, gdzie wieśniaczki rozkładały towar z własnych gospodarstw, przydźwigany na plecach w wielkich koszach przymocowanych za pomocą ogromnych, białych chust, a może po prostu przeście-

radeł. Był to labirynt nieco inny niż labirynty dzisiejszych hipermarketów, gdzie można znaleźć wszystko prócz tego, czego się szuka.

Babunia bezbłędnie odnajdowała znane sobie, zaufane już kobiecinę i ogłaszała wśród nich milcząco, na wpół rytualny konkurs, w którym była jedynym arbitrem. Baby dwoiły się i troiły, rozwijając gomóły twarogu ze szmatek, by odciąć plasterki i podać go na końcu noża. Babcia próbowała tego czy tamtego, czasami zachęcając i mnie do wzięcia kawałeczka. Faktycznie każdy smakował inaczej, ale który najlepiej? Nie znosiłam białego sera i mogłam go ścierpieć tylko w towarzystwie kiszzonego ogórka, a w ostateczności z solą, rzodkiewką, szczypiorkiem i dobrą śmietaną, w której to mieszaninie właściwie stawał się już tylko ledwo wyczuwalnym dodatkiem.

Próbowało się także śmietany, palcem z przykrywki, tu nie chodziło już tylko o smak, ale i o to, czy nie jest podrabiana mąką dla większej gęstości. Kubki smakowe babci potrafiły to rozstrzygnąć same bez pomocy ołówka zwanego „kopio-ym”, który podobno w fałszowanej śmietanie puszcza farbę w obecności skrobi.

Nigdy nie wiedziałam, kiedy powie „ym”, mając usta pełne sera lub śmietany, a kiedy „ym-ym”. Pierwsze oznaczało dezaprobatę, a drugie przychyłość i wieńczyło wybór. Podobnie ważyło się na ręce i poklepywało kawał cieleciny czy żywą kurę, żeby ni z tego, ni z owego odejść albo przeciwnie – dokonać zakupu. Ale z jajkami nie było żadnej filozofii, żadnego grzechotania koło ucha! Zupełnie jakby babcia miała w oczach żarówkę do ich prześwietlenia, której używano niekiedy w sklepach, na życzenie podejrzliwego klienta.

Były to czasy, gdy jaja sklepowe dzieliły się na świeże, „chłodnicze”, które odkiblowały swoje w jakichś lodówkach, i „wapienne”, które jak trupy przechowywano w niegaszonym wapnie z solą dla ochrony przed gniciem – te podobno pochodziły z wymiany magazynów wojskowych. Proponowano nam zjedanie mumii niedoszłych kurczaków! Przy tym wszystkim Bułhakowski „jesiotr drugiej świeżości” to pestka.

Widocznie grzechotanie jajkiem koło ucha to był taki sposób odpowiedni dla dziewczynki, które posyłano na rynek. W tej konkurencji mogłabym wziąć udział, a zarazem wiadomo było z góry, że takiej szansy nigdy nie otrzymam! Zawsze już będę chodziła na rynek i wracała z niego w towarzystwie babci, wstępując po drodze jeszcze do piekarni przy Wrocławskiej, czyli „do Pachla”, czy też „Pachlia” – jak się to wyrażało w akcencie wołyńskim.

To był najmilszy punkt wyprawy. Na placu targowym zawsze trochę śmierdziało mieszaniną zgniętej słomy, błota, gołębic odchodów i kwaśnego mleka, a piekarnia pana Pachla była miejscem, z którym pod względem zapachu nie mogły się równać lawendowe pola Prowansji, kościoły pełne kadzideł czy buduary dam używających najsłabiej perfum. Piekarnie i cukiernie mnożą się dzisiaj jak grzyby po deszczu i czynią wysiłki, by roztaczać podobne zapachy poprzez rozpylanie specjalnych olejków – podobnie jak kawiarenki w centrach handlowych dla przyciągania klientów. Lecz gdyby im nawet sam diabeł co dzień dostarczał



pieczywa w zamian za regularną dostawę dusz, nie dołączą zapachem ani smakiem wypieków z tamtej piekarni o głębokich drewnianych szufladach z wierzchu pomalowanych na biało. One zapach i smak latami przechowywały i w cudowny sposób rozmnażały jak mannę na pustyni.

Babunia kupowała „u Pachlia” biały chlebek, zwany „rybką” z powodu pletwy grzbietowej czyli paska z ciasta przez całą długość. „Wekę” – rodzaj grubej i gładkiej bagietki ulubionej przez wujka Jurka, ponadto bułki „slimaczki”, „sztangielki” i „grahamki”. Czasami dawała się uprosić o „placuszki” – spłaszczone i zaopatrzone w dziurki bułki imitujące podpłomyki, ale znacznie bardziej od nich wyrośnięte. Te właśnie lubiłam najbardziej – przekrojone i grubo posmarowane masłem.

Pieczywo nie było pakowane i babka w celach higienicznych opalała je potem w domu nad palnikiem gazowym, nie mając zapewne świadomości, że to jajka stanowią prawdziwe bomby biologiczne. Fakt faktem, że ich opalić się nie da.

Niezliczone piekarnie wielkich i małych sieci mają dziś rozleglejszy repertuar. U pana Pachla nie było zbyt wiele ciemnego pieczywa i brakowało chlebów z ziarnami, bułek z żurawiną, cebulą czy amarantusem lub innym wymyślnym dodatkiem. Brak było tam w ogóle idei „pełnego przemiału”, „makrobiotyki”, „weganizmu”, „bezglutenowości” czy po prostu zdrowia. Pieczywo nie było jeszcze wtedy elementem wielkiej światowej sieci kłamstw marketingowych – było po prostu sobą, czyli biblijnym cudem, podobnie jak stół od początku do końca zrobiony przez stolarza, który zawsze miał w sobie coś z ołtarza, świętego od włożonej wń starannej ręcznej pracy.

Raz tylko jeszcze miałam poczuć zapach znajomej piekarni, wiele lat później. Szłam sobie z moim najmłodszym wnukiem Tadzim szwajcarską ulicą, gdy nagle do moich nozdrzy doleciała znajoma woń. Zanim zdążyłam otworzyć usta, on mnie uprzedził:

– Czujesz, babciu, jak pięknie pachnie pizza? Tu jest przecież niedaleko nasza pizzeria Dieci.

No tak. Jego piekarnią pana Pachla będzie zapewne pizzeria Dieci.

A jajka? Cóż, były i pozostaną jeszcze długo prywatnym cudem kur, nawet jeśli te kury są na swoje nieszczęście skoszarowane w obozach pracy. Wszystko, co może zrobić człowiek dla zniesionego już jajka, to dostarczyć je jak najszybciej do konsumenta, aby nie zaczęło grzechotać jak makówka. Wprost do rąk jakiejś superdziewczynki mieszkającej w połowie ulicy Friedleina, która prześwietliła swoją niezmierną inteligencją, porusza każdym z nich przy uchu i powie triumfalnie:

– To jest nieświeże! Niech mi je pani zaraz zamieni!

Tak właśnie powiedziała wtedy ta bezczelna Terenia. Podobno, bo nie było mnie przy tym. Wiem to od babci, której też przy tym nie było. Babka moja powtórzyła zaś jedynie historię opowiedzianą jej przez inną babkę.

Moje cierpienie zasadało się więc na zaufaniu do tego ustnego przekazu, być może zbyt pochopnym. Nie jestem dziś wcale pewna, czy Terenia w ogóle ist-

niała, a jeśli nawet, to czy babcia nie zmyśliła jej cech w celach propagandowych. Wtedy wierzyłam. Lecz czy miliony dorosłych ludzi nie postępują tak samo, wierząc w to, co usłyszą w telewizji albo wygrzebią sobie w internecie? I nieraz bywają potem wściekli, a w konsekwencji gotowi do sprawienia komuś lania.

Po tej opowieści miałam wielką ochotę wlać porządnie Tereni. Ugryźć ją w rękę, jak to miałam wypróbować na niani Helence. Rozbić jej na głowie tuzin jajek – przede wszystkim to zgnile, które tak sprytnie wykryła.

Istniała jednak zasadnicza przeszkoda. Nie dane mi było nigdy w życiu spotkać się z Terenią, ba, nawet zobaczyć jej z daleka! Za to uderzyłam kiedyś koleżankę z klasy o tym samym imieniu. Nie miało to żadnego związku, czy mi wierzycie? Po prostu mama wyczytała w gazecie, że w Szwecji rodzice biją dzieci po twarzy. Uznałam, że to bardzo stylowe. *Cool* – jakby się dzisiaj powiedziało. Ponadto rycerze policzkowali się przed pojedynkami, a ja chciałam zostać rycerzem. Długo czekałam na okazję, żeby to na kimś wypróbować i przy pierwszej nadarzącej się różnicy zdań spoliczkowałam dziewczynkę imieniem akurat Terenia. Zresztą – dość lekko.

Nie muszę dodawać, że satysfakcję z tego miałam niewielką, a kłopotów całą masę. Najbardziej zszokowana była nasza pani, że Kasia coś takiego... Na miłość boską, z jakiego powodu?!

Moja odpowiedź jest prosta. Chciałam sprawdzić, co się czuje, gdy się policzkuje. Jeśli jednak chcecie wierzyć w inną, psychoanalityczną wersję, to wierzcie.

Katarzyna Turaj-Kalińska

# SZTUKA

Sławomir Płatek

## „CZY JA MÓWIĘ PO CHIŃSKU?”

Chiny we współczesnym kinie polskim

*Patrzę w niebo, jakbym czekał na znak*

*Gwiazdy Smoka znów nie dają mi spać*

*I co noc*

*Coś mi każe poznać Chiny.*

(*Chiny*, zespół Universe, rok 1984)

W dalszym ciągu przywołanego w motcie tekstu mowa jest o kilku popularnych kodach kulturowych, liczmanach („las posągów, setki świątyń”) i można sobie zadać pytanie, skąd pochodzi problem: „jak poznać Chiny”, powracający w refrenie, skoro twórcy o tym kraju wiedzą już to, co chcieli wiedzieć i zwięźle to opisali.

Chiny z punktu widzenia Polaka, myślącego w kategoriach takich jak w przytoczonym tekście, to miejsce obce, geograficznie, duchowo i frazeologicznie. Potoczne pytanie: „czy ja mówię po chińsku”, wyraża absolutną obcość. W rozpoznaniu kultury własnej i kultur obcych film już od swojego powstania odgrywa ważną rolę. Tu jednak rodzime kino nie ma szczególnych zasług. W najnowszym polskim kinie mamy właściwie do czynienia tylko z czterema obrazami, w których pojawiają się Chiny, choć jest to liczba uprawniająca do tego, by przyjrzeć się im bliżej. Owe cztery filmy to: *Kochankowie Roku Tygrysa* (reż. Jacek Bromski, 2006), *Statyści* (reż. Michał Kwieciński, 2006), *Miliard szczęśliwych ludzi* (reż. Maciej Bochniak, 2011) oraz *Szanghaj – polscy emigranci* (reż. Adrian Kilar, 2015). I w przypadku wszystkich tych filmów stereotyp jest dominantą.

Orient jest tematem trudnym dla Europejczyka o tyle, że komunikacja z myśleniem i postawami Dalekiego Wschodu wymaga sporego nakładu pracy i kompromisów. Spośród niewielu przykładów poświęcenia uwagi przez filmowców Chinom cztery, do których się tu odnoszę, dobrze oddają wyobrażenia dotyczące tego miejsca, choć o samym kraju mówią raczej niewiele. Dwa z nich są dokumentami, dwa mają charakter fabularny. Ich rozpiętość tematyczna pozornie daje sporo tropów, jed-

nak większość z nich wraca do tego samego punktu, którym jest stereotyp<sup>1</sup>. Zanim przyjrzymy się temu, jak ten stereotyp działa, warto przywołać kategorię Innego. „Pojęcia – *inność* i *obcość* – są często używane zastępczo, bowiem oba, w użyciu potocznym jak i akademickim, posiadają podobne cechy, negatywne zabarwienie, a ich nieograniczony znaczeniowo zakres pozwala na dużą swobodę interpretacji”<sup>2</sup>. Oba terminy łączą w sobie pojęcie odmienności i niezrozumienia. Inny w zależności od kontekstu może oznaczać takiego Obcego, z którym komunikacja jest z różnych powodów niemożliwa, ale też Inny to po prostu „nie taki sam, różny, odmienny”<sup>3</sup>, co nie musi wykluczać porozumienia. Inny nie musi być kimś nieznanym. Zresztą każdy z nas jest inny od drugiego człowieka. Ale nie wszyscy są sobie obcy.

Co ciekawe, pomimo że trudno to wyraźnie rozgraniczyć, twórcy filmów fabularnych zdają się traktować Chińczyków jako Innych i zawierają akcenty postkolonialne, natomiast autorzy dokumentów opisują raczej kontakt z Obcym. Obcy to ktoś nieznan, różniący się od nas zasadniczo. „Terminu Obcy używamy w kontekście tych kontaktów, w których stopień obcości jest relatywnie wysoki, a stopień zaznajomienia relatywnie niski”<sup>4</sup>. Może tu chodzić o obcość wynikającą z dystansu terytorialnego, ale też z odmienności kulturowej. Obcy, czyli nie-swój. W tych kategoriach wspomniana i szeroko opisana przez Edwarda W. Saida „przerazająca żywotność orientalizmu”<sup>5</sup> okazuje się wciąż głównym czynnikiem kształtującym nie tylko dyskurs, ale i sztukę filmową.

### Filmy dokumentalne – co właściwie dokumentują?

„Chińczyków jest dużo i jest to kraj tandety” – to pierwszy ze stereotypów, a stoi za nim nie tylko temat filmu *Miliard szczęśliwych ludzi*, ale i sami bohaterowie tego obrazu. Zespół Bayer Full idzie za ciosem, w Polsce są królami sprzedaży (w tym tonie wypowiada się Sławomir Świerzyński, komentując swoje „platynowe płyty”). Podejmują próbę zdobycia rynku chińskiego, zaczynając od wyuczenia się na pamięć swoich tekstów po chińsku, kończąc na nieudanym *tournee*. Z opowieści wyłaniają się dwie dominanty: przekonanie o wyższości Polski w kontekście innych kultur (monolog o tym, że świat będzie się niedługo uczył polskiego jako najważniejszego języka) oraz ilość. Discopolowi twórcy najwyraźniej wyobrażają sobie

<sup>1</sup> Stereotyp w rozumieniu potocznym, które stopiło się ze słownikowym, jest to „funkcjonujący w świadomości społecznej, skrótowy, uproszczony i zabarwiony wartościująco obraz rzeczywistości odnoszący się do rzeczy, osób, grup społecznych, instytucji, itp.” Por. *Słownik wyrazów obcych PWN*, red. J. Tokarski, Warszawa 1980, s. 703.

<sup>2</sup> H. Gruchlik, *Inność a obcość w kontekście filozoficznym*, „Antropos” 2007, nr 8–9, <http://www.anthropos.us.edu.pl/anthropos5/texty/gruchlik.htm>, dostęp 15.02.2021.

<sup>3</sup> *Słownik języka polskiego*, t. 1, red. S. Puchała, Warszawa 1978, s. 792.

<sup>4</sup> W. B. Gudykunst, Young Yun Kim, *Komunikowanie się z obcymi: spojrzenie na komunikację międzykulturową*, przeł. J. Rączaszek [w:] *Mosty zamiast murów. O komunikowaniu się między ludźmi*, red. J. Steward, Warszawa 2000, s. 527.

<sup>5</sup> E. W. Said, *Orientalizm*, przeł. M. Wyrwas-Wiśniewska, Warszawa 1991, s. 29.

Chiny jako większą Polskę i w najprostszy sposób, kopiując lokalne rozwiązania, robią to samo, tylko więcej. W filmie *Miliard szczęśliwych ludzi* mamy do czynienia wyłącznie z oglądaniem masy, mającej kupić płyty. Z jakiegoś powodu na podstawie wyliczenia okazuje się, że miałyby to być 67 milionów płyt, ale nikogo nie interesuje, kim są ich odbiorcy. Ważne, że „Chińczyków jest dużo” i są oni traktowani jak energia z elektrowni atomowej, masa.

Przypomina się jedno z opowiadań Jacka Londona, *Chińczak*<sup>6</sup>. Tam także podejście jest stereotypowe – tytułowy emigrant z Chin, współtworzący państwo amerykańskie, posądzany jest przez narratora o bogactwo przeżyć wewnętrznych w sytuacji katastrofalnej i choć zapewne nie jest to myślenie Chińczyka, a raczej wyobrażenie Amerykanina o jego myśleniu, to przypisuje mu się bogatą i rozległą w swej naturze indywidualność. Otoczenie „Chińczaka” traktuje go jednak zupełnie inaczej – uważa go za element masy, pozbawiony jednostkowej wartości. Dla zespołu Bayer Full rzecz zaczyna się i kończy na „67 milionach płyt” i na „miliardzie” tańczących bądź przytupujących słuchaczy. Jest to depersonifikacja mieszkańców tego kraju, potraktowanie ich nie tylko uogólnione, ale przede wszystkim przedmiotowe. Chińczycy to ci, którzy zapłacą, a że jest ich dużo (stereotyp), to i suma będzie spora.

Najgorętszym tematem przy recenzjach tego filmu był sam Bayer Full, prymitywne rozumienie obcej kultury, nieudolność biznesowa, bardzo zła muzyka i powody, dla których jest popularna w Polsce; również przyczyny, które umożliwiły zespołowi sukces frekwencyjny i finansowy, oczywiście na miarę średniego, europejskiego kraju o naruszonej kulturowej ciągłości. Niezupełnie natomiast przyjrano się w nim obrazowi Chin i wizerunkowi Chińczyków. Poza wybijającą się tezą, że skala tego kraju jest poza zasięgiem wyobraźni polskiego „biznesmena w traktorze”, niewiele się tam pojawia informacji na jego temat.

Jednocześnie w filmie, w którym wytknięte są szablony i utarte spostrzeżenia, opowiada się o Chinach w podobnie szablonych ramach. Pokazano więc kulawą próbę wejścia na chiński rynek, opartą na przekonaniu, że „Chińczyków jest dużo”, ale klęska tej próby bierze się także z faktu, że „Chińczyków jest dużo”, o wiele więcej, niż polski twórca i menedżer potrafi objąć przedsiębiorczą wyobraźnią. Tu upatruje się przyczyny klęski. Jedno i drugie jest dokładnie tym samym stereotypem, różnica w interpretacji bierze się z drugorzędnego (w tym oczywiście przypadku) odróżnienia tego, że „Chińczyków jest dużo” od tego, że „Chińczyków jest za dużo”. Dla zespołu Bayer Full to niuans, choć wbrew jego strategii – decydujący. Dla realizatorów filmu *Miliard szczęśliwych ludzi* najwyraźniej także. Być może więc twórcy filmu chcą ten aspekt zaakcentować, a może sami wychodzą z założenia, że „Chińczyków jest dużo”, a jest to ilość przerastająca wyobraźnię nie tylko polskiego muzyka (mimo wszystko mowa o ludziach, którzy robiąc złą muzykę, potrafią jednak grać na instrumentach), ale i polskiego filmowca. Ostatecznie, zarówno w przedstawionej w filmie historii, jak i w sposobie jej opowiedzenia, pozostajemy w kręgu stereotypów.

<sup>6</sup> J. London, *Najciekawsze nowele*, przeł. G. Karski, Warszawa 1968, s. 212–226.

Podobne opinie i sądy padają w późniejszym filmie dokumentalnym *Szanhaj – polscy emigranci*. Jest to zbiór wywiadów, które nie tyle mówią coś o samych Chinach, ile o rozumieniu Chin przez przyjezdnych. Jednym z pojawiających się w nim stereotypów jest zwyczaj jedzenia psów. Film jest osnuty na tym motywie w sposób, który utrudnia skupienie się na pozostałych wątkach. Są to opowieści o tyle cenne, że pochodzące z ust ludzi przebywających w Chinach stosunkowo długo i oswojonych z tym miejscem. Jednak sposób eksponowania ich wiedzy o tym kraju jest nadal oparty na stereotypach. Można odnieść wrażenie, że bohaterowie filmu kierują się najprostszym etnocentryzmem/europocentryzmem. Z jakiegoś, być może, *nieuświadomionego* powodu osoba taka wyraża przeświadczenie, że własny naród z jego kulturą i językiem jest punktem odniesienia i wartościowania, zaś język chiński i kultura Orientu są dla niego w najwyższym stopniu obce. Ów Obcy to „nienależący do jakiegoś kręgu osób, spraw, rzeczy; niewłaściwy komuś, nieobjęty czyimś zainteresowaniem”<sup>7</sup>. Bohaterowie filmu patrzą zarówno na siebie, jak i na tubylców „po polsku”.

Sposób myślenia o Azjatakach jest w tych filmach bądź próbą oswojenia i „przetłumaczenia” na lokalny tryb, bądź eksponowaniem egzotyki, która im bardziej jest niezrozumiała, tym bardziej atrakcyjna. Nie pojawia się natomiast próba spotkania z Innym.

### **Ile można opowiedzieć o Chińczykach w filmie fabularnym?**

Cesarz chiński zdjął mandaryńską czapkę i usiadł na tapczanie. Odpiął smokowi smycz i smok natychmiast wlaź na tenże tapczan, i tapczan zatrzeszczał; smok ziewnął. Cesarz powiedział:

– Podobno piszesz wiersze. Wygłoś więc wierszyk, bo my, Chińczycy to lubimy”<sup>8</sup>.

W krótkiej prozie, z której pochodzi cytowany fragment, Witold Wirpsza dokonuje szczególnej wolty: naśmiewa się nie tyle ze stereotypów o Chinach, ile z samego tkwienia w tych stereotypach. Nie próbuje czegoś o Chinach powiedzieć, mówi raczej o tym, o czym się mówi, kiedy mówi się o tym państwie. Tej autoironii zdecydowanie brakuje w polskich filmach fabularnych, będących próbami stawiania na serio rzeczy, które nawet dla laika muszą wyglądać jak „chińska tandeta” z tą różnicą, że jest polska.

Skrajne opinie budzi film *Kochankowie Roku Tygrysa*, wyreżyserowany przez Jacka Bromskiego w 2005 roku. Posądzany z jednej strony o „głębie”, z drugiej o „nudę”, w jakimś stopniu podzielił widownię<sup>9</sup>. Jego treść: polski uciekinier z zesłania na Syberię resztkami sił dociera do Chin. Tam trafia pod opiekę rodziny,

<sup>7</sup> *Słownik języka polskiego*, t. 2., red. S. Puchała, Warszawa 1978, s. 407.

<sup>8</sup> W. Wirpsza, *Varia. Eseje. Prozy*, red. D. Pawelec, Mikołów 2016, s. 410.

<sup>9</sup> Na portalu Filmweb w podstronie filmu wciąż toczy się dyskusja, nie jest to spór o wysokiej temperaturze, jednak najnowsze posty pochodzą z roku 2021, a więc 16 lat po zrealizowaniu obrazu.



Kadr z filmu *Kochankowie Roku Tygrysa*, reż. J. Bromski, źródła internetowe

która (bezsukutecznie) próbuje uchronić swoją córkę przed romansem z Polakiem. Na końcu wypędzony bohater odjeżdża. Fabuła dałaby się sprowadzić do krótkometrażowej noweli, a brak puenty, anegdoty, czy klasycznego przeprowadzenia bohaterów „od–do” nie jest wynalazkiem XXI wieku. Jeśli jednak odbiera się widzowi klasyczną fabułę, a do tego miejsce akcji osadza się akurat w Chinach, warto byłoby wiedzieć dlaczego. Film Bromskiego, jakim by nie był, wchodzi w relację ze znanym i nieznanym, a obie te relacje są grą z widzem. W tym przypadku gra prowadzona jest na niejasnych zasadach i przede wszystkim (z punktu widzenia tego artykułu) niewiele o Chinach mówi.

W filmie nie pokazano odejścia od stereotypów, tylko wybór spośród nich. Trudno się dziwić, ogrom tej kultury nie ułatwia świeżego spojrzenia i kanalizuje sposoby myślenia. Jednak można spytać, co właściwie powiedziano i czemu służył obraz, który można streścić w kilku zdaniach. A zrobiła to Maria Pawlikowska-Jasnorzewska już w roku 1924. Jej krótki liryk *Chinoiserie* zawiera właściwie całą fabułę filmu Bromskiego:

Nie po to chcę jechać do Chin  
by widzieć piękne świątynie,  
więcej jakąś Ming czy Tsin,  
lub pejzaż w Kao–linie.  
Przecież

póki mam twarz białą z różowem,  
 bez kurzych łapek na skroni,  
 marzyć o tem lub owem  
 nikt mi nie wzbroni.

Otóż:

Chcę jechać do chińskiej miłości,  
 chcę jechać do chińskiej wiśni,  
 najłatwiej tam i najprościej  
 sen chiński mi się wyśni.

Może

jakiś szumiący dostojnik,  
 nieznan, żółty i ciemny,  
 w ramionach mięśniami zbrojnych  
 nauczy mnie chińskich tajemnic?

Jakich?

Tajemnic laki, herbaty,  
 płaskich jak liść kapeluszy,  
 pagód i smoków rogatych,  
 i mojej własnej duszy<sup>10</sup>.

Tytuł liryku dotyczy szerszego zjawiska. Jak podaje słownik, *chinoiserie* jest pewnym zjawiskiem w kulturze zachodniej, dotyczącym nie tyle Chin, ile wyobrażeń o nich. Są to wyobrażenia po pierwsze ogólnikowe, po drugie stereotypowe, po trzecie wynikające z oczekiwania obcości<sup>11</sup>. Chińska prowincja jest tu bezpośrednio skopiowana z uproszczonej wersji *chinoiserie* i gdyby zestawić ten obraz na przykład z prozą Andrzeja Stasiuka, można by ją w sporej części przetransportować do Polski. Jeśli połączyć to ze sceną polowania na niedźwiedzia i rolą Michała Żebrowskiego, skojarzenie z niewiele wcześniejszym (1999) filmem *Pan Tadeusz* (reż. Andrzej Wajda) zaczyna się wręcz narzucać. Różnica jest to, że oba dzieła, jakkolwiek nie-  
 domknięte puentami, mają inną wagę.

Zdarzył się romans nie tylko bez *happy endu*, ale ogólniej – bez historii. Zdarza się. Człowiek przyjechał i wyjechał. Tak bywa. Był Polakiem, a oni Chińczykami. Tę samą fabułę dałoby się osadzić w innym miejscu, czasie i w innych okolicznościach. Wieś, jakich wiele, zaczerpnięta wprost z przytoczonego wiersza, nie daje wglądu w kulturę Państwa Środka, mało tego – bohaterowie porozumiewają się po rosyjsku. Jeśli więc była to próba zbudowania sentymentalnej opowieści, której sednem jest spotkanie odległych kultur, nie otrzymaliśmy ani tego spotkania, ani obrazu tej kultury. A jeśli rzecz jest w czym innym, trudno znaleźć uzasadnienie dla osadzenia w Chinach akcji, która równie dobrze mogłaby toczyć się w Indiach czy Egipcie, gdyż i tam rzucało polskich emigrantów i zesłańców. Chiny znów są tu

<sup>10</sup> M. Pawlikowska-Jasnorzewska, *Różowa magia*, Warszawa 1924, s. 16.

<sup>11</sup> W. Kopaliniński podaje w swoim kompendium: „*chinoiserie* [...] dosł. chińszczyzna [...], termin obejmujący składniki kultur Dalekiego Wschodu, pojawiające się od XVII w. w sztuce europejskiej”. Tegoż, *Słownik wyrazów obcych i zwrotów obcojęzycznych*, Warszawa 1988, s. 92.



podane jako coś, czego właściwie nie znamy, ale o czym mamy wyrobiony pogląd, miejsce, gdzie ludzie noszą „plaskie jak liść kapelusze” i piją herbatę.

Bez szczególnego odzewu przeszedł też film *Statyści*, choć zdobył kilka nagród i recenzji, nie został zapamiętany i wzmiankowany jest w dwóch zdaniach przez Tadeusza Lubelskiego w jego *Historii kina polskiego 1895–2014*<sup>12</sup>. Dyskusja o nim skończyła się niecały rok po premierze („Dziennik Polski”, „Gazeta Wyborcza”, „Kino”, „Przekrój”, „Rzeczpospolita” i in.)<sup>13</sup>. Film opowiada o chińskiej ekipie filmowej, która decyduje się na realizację filmu w Polsce. Powodem jest przekonanie, że Polacy są smutni, a fabuła ma być właśnie smutna, stąd przydadzą się polscy statyści. Ci jednak powoli przejmują kontrolę nad produkcją, rozwiązując przy okazji własne problemy. Główne pytanie, które można postawić przy recepcji tego filmu, brzmi: „Dlaczego pojawiają się w nim Chińczycy?”. Fabuła osadzona jest na stereotypowej polskiej prowincji (obecnej w wielu krajowych filmach i pokazanej na wszelkie sposoby), jednak upraszczanie obrazu Polski wydaje się być drobiazgiem wobec banalizowania w nim Chińczyków. Po pierwsze – nie są pełnoprawnymi bohaterami filmowymi. Aktor grający chińskiego reżysera wyróżnia się swoją tlenioną fryzurą (co nie ma zapewne żadnego związku z wprowadzonym przez Andrzeja Wajdę kodem sztucznego blondyna w *Niewinnych czarodziejach*, panuje tu raczej chaos i przypadkowość w operowaniu symbolami). Niczym innym jednak ów reżyser się nie wyróżnia, jest nijaki, może nieco nerwowy, ale to także podpada pod stereotyp filmowca. Inni Chińczycy w tej ekipie także są nerwowi, nie istnieją jednak jako ludzie i odrębne postacie. Mogliby na tych samych prawach przyjechać do Polski i bez żadnych konsekwencji fabularnych występować w nim: Mongołowie, Kanadyjczycy czy Aborygeni. Zatem dlaczego pojawiają się w tej fabule Chińczycy?

Odpowiedzią może być fakt komunikacyjny, a dokładniej potoczne zapytanie: „czy ja mówię po chińsku?” – czyli niezrozumiałe w najdoskonalszym wcieleniu niezrozumiałości. Do tego w zasadzie sprowadza się oś fabularna – wszystko, co najbardziej obce, identyfikujemy z Chinami, w związku z tym ekipa filmowa, która przyjeżdża do Polski, wprowadzając kryzys komunikacyjny, pochodzi z tego kraju. Nic ponad to nie wynika z ich „chińskości”. Nie mamy pokazanych motywacji postaw, sposobu myślenia zagranicznych gości, nie poznajemy nawet fabuły owego kręconego w Polsce chińskiego filmu. Dowiadujemy się jedynie, że jest to film słaby, w Chinach kupuje się kobiety za pieniądze, ekipa filmowców jest nadpobudliwa, a Polacy mają rację we krwi. To zresztą kolejne potoczne skojarzenia: towar chiński kojarzy się z tandetą i w tym znaczeniu wszedł do przysłów, a Polaków Polacy lubią widzieć jako naród niezborny, z anarchizującymi skłonnościami, które wszakże zawsze prowadzą do szczęśliwego końca (tak zresztą opowiadają o nas komercyjne polskie filmy, z wielu przykładów warto przywołać ekranizacje powieści Sienkiewicza).

<sup>12</sup> T. Lubelski, *Historia kina polskiego 1895–2014*, Kraków 2015, s. 729.

<sup>13</sup> Pełna lista dostępna jest w bazie <https://filmpolski.pl/rec/index.php/rec/63104>, dostęp 27.02.2021.

Niezupełnie jest też zrozumiałe przedstawienie opinii o Polakach, jako o „najsmutniejszym narodzie na świecie” i dlaczego mielibyśmy uważać, że ktoś (ktokolwiek, a w szczególności Chińczycy) mieliby tak o Polakach myśleć. Jest to próba już nie tyle powołania się na stereotyp, ile wytworzenia go na raczej wątych fundamentach.

Ostatecznie w filmie Kwiecińskiego dochodzi do spotkań, ale nie są to spotkania kultur. Spotykają się w nim Polacy sami z sobą w ujęciu terapeutycznym. I choć zakończenie pozostaje otwarte, to wszystkie losy i drogi życiowe w nim przedstawione są losami i drogami polskimi. Chińczycy wyjeżdżają z naszego kraju „ubogaceni” wyższą cywilizacją, która nauczyła ich, że zakończenie filmu ma być dobre, a polscy statyści „wiedzą” lepiej niż chiński (niezbyt rozgarnięty) reżyser. Nie dowiadujemy się natomiast, dlaczego ten chiński film ma być taki, jaki powstaje, z czego wynikają motywacje twórców i dlaczego traktujemy ich w sposób pusty i odwartościowujący. Mamy tu „Chińczaków” nieróżniących się od tych, którzy budowali kolej i drążyli kopalnie w Ameryce. Kino chińskie ma długą i bogatą historię, podobnie jak większość narodowych kinematografii. O czym jest więc film „Chińczaków”, o którym opowiada Kwieciński? Otóż nie dowiemy się, jaki jest. Czy faktycznie polska kinematografia żywi się szczęśliwymi zakończeniami? Nie. Czy jest to zgodne z jakąś, wyobraźmy ją sobie, „polską duszą”? Trudno z tym polemizować, bo teza jest niejasna i nieprecyzyjnie w fabule skonstruowana. Niełatwo byłoby jednak, sięgając do historii polskiego kina, stworzyć opinię, że jest to kino *happy endów*, a dyktat postawy *gloria victis*, charakterystyczny dla naszego kraju, niezupełnie zgadza się z finałem tego obrazu i jego wymową. Najważniejsza jednak w tej analizie jest odpowiedź na pytanie: dlaczego i po co pojawiają się w *Statystach* Kwiecińskiego Chińczycy?

Brak korespondencji z chińskim kinem nie bierze się znikąd. Polskie rozpoznanie tamtejszego obiegu kinematograficznego istnieje, owszem, jednak wiedza ta nie jest powszechna, zwłaszcza w popularnym odbiorze. W dziełach monumentalnych, poświęconych historii kina, miejsce Chin jest marginalne, nawet jeśli zestawie je z dorobkiem sąsiednich kultur, takich jak Indie czy Japonia. W tomie *Kino klasyczne* współautor, Jacek Flig pisze, że dla chińskiego kina był to „okres niezwykle barwny i burzliwy”<sup>14</sup>. Jego opis zajmuje jednak tylko szesnaście stron, podbudowany czterema źródłami, co autor wyjaśnia następująco: „Czytelnik zainteresowany tekstami dotyczącymi złotej ery chińskiej kinematografii skazany jest na literaturę obcojęzyczną”<sup>15</sup>. Późniejsze dekady chińskiego filmu doczekały się równie krótkich i bazujących na obcojęzycznych lekturach omówień<sup>16</sup>. Nie świadczy to o osiągnięciach polskich badaczy, oddaje jednak potoczne rozpoznanie (a raczej jego brak) kina chińskiego, którego idealnym wręcz przykładem jest film *Statysci*.

<sup>14</sup> *Historia kina*. T. 2. *Kino klasyczne*, red. T. Lubelski, I. Sowińska, R. Syska, Kraków 2012, s. 1099.

<sup>15</sup> *Historia kina*. T. 2. *Kino klasyczne*, s. 1115.

<sup>16</sup> *Historia kina*. T. 3. *Kino epoki nowofalowej*, red. T. Lubelski, I. Sowińska, R. Syska, Kraków 2012, s. 1295–1306, a następnice tamże, s. 693–711.

Poza faktem, że do Polski przyjeżdżają (i Polską zajmujemy się do samego końca fabuły) jacyś Chińczycy, kręcą film, są nerwowi i noszą dziwne stroje, nie mamy śladu informacji, jakie filmy kręci się w tym kraju. Odbywa się to bez wrogości czy zrywania komunikacji (nie ma Obcego), ale spotkanie z Innym okazuje się jałowe i nawet *chinoiserie* opisane przez Pawlikowską-Jasnorzewską nie znajduje tu miejsca. Spotykamy jedynie Londonowskiego „Chińczaka”.

### **Kompleks braku postkolonializmu?**

Oddzielnym problemem, wartym osobnego opracowania, jest manifestujący się w tych filmach postkolonializm. Warto zasygnalizować, że w narracji omawianych filmów mamy do czynienia zarówno z kompleksem nacji skolonizowanej (i wyniszczanej, co jest w pewien sposób symetryczne po obu stronach polsko-chińskiego niezrozumienia), jak i z kompleksem kolonizatora, mało tego – kolonizatora właśnie nieudanego, czerpiącego swoje poczucie wyższości z innych racji niż fakty. Polski kolonializm sprowadził się ostatecznie do żartobliwie już dziś przytaczanych rojeń na temat Madagaskaru, choć w swoim czasie traktowanych zupełnie serio, jednak zakończonych porażką. Tym bardziej mogą zaskakiwać postawy orientalistyczne, reprezentowane przez polskich bohaterów i twórców opisanych filmów – nieszczególnie odbiegające od postaw obecnych tradycyjnie w świadomości dawnych mocarstw kolonialnych. Oddzielnego przyjrzenia się wymagałaby więc specyficzna wspólnota mentalna Europejczyków, jej przyczyny, mechanizm przenikania między narodami i dziedziczenia stereotypów.

Urszula Żydek-Bednarczuk napisała: „Obcy bowiem zawsze kojarzy się z niechęcią, ale i zagadką, Inny natomiast z zaciekawieniem i w zasadzie z tolerancją”<sup>17</sup>. W opisaną tu dość ubogiej historii wprowadzania Chin na współczesne polskie ekrany Inny jest obecny, jednak zdecydowanie brakuje spotkania z nim. Nawet tam, gdzie ukazano kilkumiesięczne mieszkanie pod jednym dachem zakończone kontaktem intymnym, istotą zdarzeń jest brak komunikacji. Pytanie: „czy ja mówię po chińsku”, jest wciąż zasadne dla polskiego kina i nim odpowiedź nie będzie oznaczała automatycznego zerwania kontaktu, może minąć jeszcze wiele czasu.

Sławomir Płatek

---

<sup>17</sup> U. Żydek-Bednarczuk, *Spotkanie kultur: komunikacja i edukacja międzykulturowa w glottodydaktyce*, Katowice 2015, s. 19.

# O KSIĄŻKACH

Katarzyna Kuczyńska-  
Koschany

## TYTUŁ POETY

(Format książeczki dziecięcej, a na nim męska dłoń, trzymająca słowo „tytuł” – jak zabawkę, jak rekwizyt dorosłej zabawy?)

Być może – powiem tajemniczo, że wiem o tym skądinąd – nawet poeci, którzy wydają jedenasty tom wierszy, a takim poetą jest publikujący od ponad trzydziestu lat Andrzej Niewiadomski, potrzebują weryfikacji. Stawia poeta wprost – tak a nie inaczej nazywając tom – kwestię, czy ma wciąż tytuł do pisania wierszy? Pyta o to czytelników (zwrot do czytelnika to jednocześnie tytuł wiersza na s. 57–58 – *Au lecteur*, a zatem z konotacją Baudelaire’iańską – „*mon semblable, mon frère*”, a zarazem ze sceptyczną sugestią nieustannej, ironicznej diagnozy chorego i nieuleczalnego świata). Podtytuł równie ciekawie tematyzuje tradycję poetycką. Niewiadomski umieszcza bowiem taką informację na s. 83: „Wszystkie wiersze powstały w latach 2015–2016”, co – na pierwszy rzut oka – nie jest niczym więcej jak wiadomością dla przyszłego monografisty tej twórczości. A jednak od razu słyszymy echa Brunona Schulza („noc wielkiego sezonu” – tom

zamyka dłuższy wiersz pt. *Piąta pora roku*), Arthura Rimbauda („sezon w piekle”), Rafała Wojaczka („sezon”) i Andrzeja Sosnowskiego („sezon na Helu”). Podtytuł jest i tym, i tamtym jednocześnie – i informacją bio-bibliograficzną, i odwołaniem (może żartobliwym, może nie tylko) do rozpoznawalnych fraz z ostatnich dwu stuleci poezji europejskiej. Tym bardziej, że ‘sezon’ w znaczeniu potocznym (od pewnego czasu – synonim wakacji) bardziej przypomina tu własne przeciwieństwo – rok szkolny / akademicki, nie czas wytchnienia, lecz tworzenia. Co więcej, ‘sezon’ – słowo Rimbaudowskie (dzięki autorowi *Illuminacji* weszło do polszczyzny poetyckiej), ma inne znaczenie w liczbie pojedynczej, a inne w mnogiej (podtytuł jednego z wcześniejszych tomów Niewiadomskiego brzmiał „wiersze trzech sezonów” – i był deskryptywny w swej zasadniczej wymowie); podobnie jest zresztą z innym słowem recypowanym z francuskiego poety, słowem, którego forma pluralna zrobiła w polszczyźnie artystycznej oszałamiającą karierę – myślę, oczywiście, o ‘głodach’.

Gra między skojarzeniami potocznymi a aluzjami do znanych poprzedników w poetyckim rzemiośle jest u Niewiadomskiego, miejscami, powiązana z obniżaniem rejestru: apostrofa „moja wierna mapo” (s. 19) ma na zapleczu zarówno, co oczywiste, „moją wierną mowę” Miłosza (z tomu *Miasto bez imie-*

nia, 1969), lecz także prawdopodobnie zawołanie Mickiewicza „Niemnie, domowa rzekomoja” z sonetu *Do Niemna*.

Zresztą – tu niewielka dygresja czytelniczki kolejnych tomów poetyckich i esejistycznych Andrzeja Niewiadomskiego (na temat tytułów): koncept semantyczny, a niekiedy semiotyczny, urzeczywistnia się na różnych poziomach. Czasem jest to słowo, jak w *Kruszynie* albo w tytułach *Locja czy Tremo* (słowa osobliwe, nie z tego świata szalejącej inflacji znaczeń i sposobów ekspresji), czasem zestawienie wyrazów, znakomicie wspomagane graficznie czy wręcz architektonicznie, jak w tomie *Pan Optico* albo eseju pt. *Mapa. Prolegomena*. Bywa, że osoba czytająca ma łaknąć tajemnicy (*K. Esej podróży*), bywa inaczej – ma się czuć zaniepokojona (*Prewentorium. 21 i pół wierszy*) albo nawet zagrożona – tak działa autorski tytuł wyboru wierszy z lat 1999–2015 – *Podwójna kosa*.

Czytałam najnowszy tom kilkoma spazmami – tak ten tryb lektury chyba trzeba by określić; były one kompatybilne z częstkami kompozycyjnymi, zaproponowanymi przez autora. Spazmatyczność, przedłużanie bólu lub rozkoszy – w zależności od wiersza, wiązała się także z „poematowością” (i nie) kolejnych utworów: nawet gdy myślałam, że wiersz na pewno będzie na następnej stronie, że nie może się teraz skończyć, już go tam często nie było. Zatem wiersze dłuższe (jak poematy), lecz urywające się nagle i nieoczekiwanie, snujące się i niedokończone. Wiersze jak poematy pojawiają się zwłaszcza począwszy od *Pięćdziesięciu jeden prostych wersów*, wydłużają się coraz bardziej, stają się poematami *tout court*, przedzierają się przez kolejne strony jak przez chaszczę (potem znów stają się krótsze – nagle). Próbowalam wyznaczyć równonoc wiosenną i równonoc jesienną tego tomu – bezskutecznie. Najpiękniej (jak mgła w listopadzie – po staropolsku nazywanym ‘pajęcznikiem’) snuło się *Sprzątanie* (poemat antyautobiograficz-

ny) (s. 23–28). W jego ostatnich wersach (cóż) zostało po poecie:

*przechodzę  
przez ogień, jest suchy, czysty listopad i nie mam,  
nie mam już żadnej przeszłości, biografii, zdania,  
racji, słowa, litery* (s. 28).

Częstki są cztery – cztery pory roku – stąd tytuł wiersza wygłosowego, wierszacydy: *Piąta pora roku*. Anarchia, rodem z Schulza, rządzi zresztą nie tylko kompozycją; kulawa przerzucnię fraza z wiersza *Parasol* „siedziałem obok / czasu” – też jest taka. Nie tyle wyniosłe *désintéressement* (zdarzają się odniesienia do dojmującego świata „tu i teraz” albo, nieco tylko łaskawszego „tam i wtedy”), ile własną osobność (siebie obok siebie) sugeruje Niewiadomski między wierszami. Zatem ład, lecz inny ład – nazwałabym go poetyckim, rzecz pomiędzy *arché* a anarchią. Można by rzec, iż – jak we wszelkiej literaturze wysokiej próby – czas zostaje pokonany i czytamy raczej pory roku jako pory przestrzeni, jako sygnały aury, wyimki pamięci. Na przykład, czwarta pora wiersza to pora na literę A – ćwiczenie więcej niż stylistyczne.

Tu uwaga osobista. Od lat czytam wiersze (a także eseje) Andrzeja Niewiadomskiego z niegasnącą radością. Są niebywale dotlenione (mogłyby chronić przed różnymi koronawirusami), a jednocześnie konsekwentnie gęste (mogłyby być instrukcją obsługi dla niegładsiejszych gorseciarek). Gorset z tłenu, uroda oddechów wypowiedzianych, ich kontur. Swoboda mówienia wierszem. Składają się – prawie wyłącznie – z fraz nieoczekiwanych (hipotez, obserwacji, wejść *in medias res* – lecz, podkreślam, jako frazy – nieoczekiwanych). Na przykład, w tomie najnowszym – z nieoczekiwanych incipitów. Wybieram kilka najprostszych: „Pod niebem nic. Pod ziemią nic” (*Pod, ponad*; s. 7); „Každy świat kończy się nieco inaczej” (*Bez nazw*, s. 8); „Deszcz nad miasteczkiem podobnym do bicza” (*Deszcz*, s. 9);

Czasami incipitowa teza się komplikuje, ma swe rozwinięcia (wersze wydłużają się i kurczą, jak dni podczas roku, podług udziału światła) – poprzez przerzutnię („Co miało być, to już było. Smutne nieprawdy / roznoszą ponure wieści”, *Stos*, s. 47) albo dopowiedzenie, dopełnienie. Oto kilka przykładów (niektóre są związane z kondycją poety i jego rzemiosła, czasami ironicznie i autoironicznie):

*Wysokie trzciny, warstwy trzcin, wysokie  
pod niebo, trzeba krążyć, by pasma wody  
i błękity wyznaczyły wąski szlak  
nie wiadomo ku czemu.*

*Trzciny*, s. 13

*Moja wierna mapa, nigdy nie stawałem  
przed tobą miseczek z kolorami, nie wierzyłem  
też własnej, zawodnej, pamięci; to ty wszystko  
przechowałaś, od ciebie pożyczałem kolory,  
niewiele więcej mogłem zrobić;*

*Moja wierna mapa*, s. 19

*To już nie jest literatura. Ale o czymś tak kapryśnym,  
mimo niezliczonych doświadczeń, nic na pewno  
powiedzieć się nie da. Można to jednocześnie  
robić: prorokować i marzyć.*

*Umyte dusze (Genezyp 2015)*<sup>1</sup>, s. 35

*W największej księgarni, w najbardziej  
nasyconym poetami mieście kraju,  
przeoglądam półkę z poezją.*

*Man kann. Aber*, s. 39

*A wokół nas noc była ciemna.  
W pociągu z Krakowa do Chełma  
jechała ładna panienska  
i ja jechałem – niepiękny poeta;*

*Ballada na początek zimy*, s. 40

*Wolny? Co znaczy „być  
wolnym”? Do tej pory  
wydawało się, że wystarczy  
tylko oko.*

[inc.] *Wolny? Co znaczy „być*, s. 48

*Po zmroku, chory, wyszedłem z domu, nie wiedząc,  
dokąd idę i po co. Nie uważałem na*

<sup>1</sup> Nagle wyskakuje Witkacy – gdyby tworzyć katalog aluzji literackich u Niewiadomskiego – trzeba by napisać przynajmniej osobny rozdział w przyszłej monografii na temat twórczości poety.

*drogi, ludzi i rzeczy. Ocknąłem się,  
zstępując jedną z ostatnich brukowanych  
ulic w mieście, na peryferiach światów.*

*Orion*, s. 50

*A. mawiał zawsze: „życie jest mądrzejsze  
od ciebie”. Nigdy nie zapytałem go,  
co lub kogo ma na myśli, mówiąc „życie”.*

*Amore*, s. 64

„Ja” tych wierszy bywa autobiograficzne, czasem anty- (niech nie zwiódą nikogo znane i nieznane imiona, nazwiska, inicjały – to przemienie w lekturze następnych pokoleń, nie będzie miało znaczenia albo będzie miało przypisy), ale przede wszystkim jest autoimaginacyjne i autooniryczne, czasem erotyczne (nigdy: autoerotyczne<sup>2</sup>). Mieszka w zakątku biblijnym, lecz chodzi tam z psem na spacer („Po siedmiu dniach rozstały się chmury. / Było późne popołudnie, wzięłem psa”; *A. Przedwiośnie*, s. 55). Im bliżej końca tomu, tym bardziej „ja”, ale (znow Rimbaud) korzystając z najlepszych poetyckich tradycji trzecio- lub jedno-osobowych:

*Dojść do (krańca) siebie i ani kawałek  
dalej. [...]*

*Dojść do (krańca) siebie i więcej już nie  
Wracać. Ani nie przekraczać. [...]*

*Dojść do (krańca) siebie i nie patrzeć w żadną  
ze stron, krawędź skarpy jest dobra, został tu  
niezgaszony ogień. Płomieniami szarpie  
wiatr, kiedy chce, kiedy kraniec, przypadkiem, od  
niechcenia; dotrzeć tu: jak w lustrze, przez ogień  
i wodę widzieć twarz lub twarze, śladów nie  
zostawiać, tylko nurty, podmuchy, płomienie*  
(*Antycypacje*, s. 70–71).

To, co pisałam na temat gorsetu z tlenu, pulsującej swobody tej poezji, zapisał autor

<sup>2</sup> Zob. K. Kuczyńska-Koschany, *Studia podmiotu (miłosnego)* [w:] „Wreszcie nie pojawia się nikt”. *Szkieleto twórczości Andrzeja Niewiadomskiego*, red. A. Jarzyna, K. Kuczyńska-Koschany, A. Szulc-Woźniak, J. Zabnicka, Brama Grodzka – Teatr NN, Lublin 2016, s. 75–80.

wprost (choć w trzeciej osobie) – jako marzenie – w wygłosowej *Piątej porze roku*, swego rodzaju relacji z życiodajnej porażki:

*Chciał być inny niż oni. Nie opowiadać Historii. Omijać je szerokim łukiem. Dotykać wszystkiego, od razu. Opowiedziały się same, za sobą, za nim; nie docenił tego, ślepy i głuchy, poza wszelkim terytorium, choć w środku, uczy się od A zaczynać, B wypowiadać po cichu, C nie słyszeć i ledwo tchnąć w dalsze litery. [...] [...] wie tylko, że tego się nie da – jak do tych pór – opędzić, ominąć, dotknąć, i ciągle myśli, jakby stanąć samotnie, bez prognoz i bagaży, z liter wyciągnąć szpik albo niczego już nie pragnąć, poruszać ustami, zdawać sprawę, nie różnic się, kiedy rozpościera swój szyk pora jasnych nocy, kiedy go widać jak na dłoni, kiedy poddaje się i wstępuje, odsądzony od wierszy, dni – czysty, jakby w sobie znalazł inne i nich, jakby zastygł i stygnąc, uwierzył*

maj 2021

Katarzyna Kuczyńska-Koschany

Andrzej Niewiadomski, *Tytuł. Wiersze jednego sezonu*, Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział w Łodzi, Łódź 2020.

Marek Kusiba

## BESTIARIUM ZYMANA

Na okładce *Zapisków z innego świata* Edwarda Zymana widnieją: dwa pieski, kot, papuga, rybka i fizjonomia autora. I podczas gdy z jasnych pyszczków naszych braci mniejszych można wyczytać pogodzenie z losem (no, może z wyjątkiem zamkniętej w klatce papugi o wdzięcznej nazwie Oskar oraz rybki, uwięzionej w akwarium), poeta prezentuje marsowe spojrzenie kontestatora. Już ten jeden portret nasuwa pytanie o jakość

relacji autora ze swoim bestiariem. Czyżby pisanie o pieskach i kotku miało być kompensatą za emigracyjne niespełnienie, czy tylko odreagowaniem codziennej, niewdzięcznej kategorii wychodzenia z ciepłych pieleszy na spacer w kanadyjską zimę? Ale co tam pociec pluchy i zawieruchy południowego Ontario, jego posłannictwem jest oddanie się dwóm pasjom emigracyjnego życia: karmieniu swojego zwierzynka pichconymi dla niego specjalnie specjałami oraz karmieniu swojego komputera wierszami, poświęconymi także swoim ulubieńcom.

Już od pierwszych linijek wiersze rozwiewają wątpliwości co do powodu ich napisania. Przepelnione są szlachetnym uczuciem humanisty do braci mniejszych, mniejszych może rozmiarami, ale za to jak głośnie! Za czasów przedkowiidowych bywałem często w domu przy Mississauga Valley Boulevard – w Mississaudze właśnie, czyli jednym z pięciu miast będących częścią składową wielkiego Toronto. Witały mnie zawsze przemiłe zachęty papugi: „Get lost! Get lost!” oraz ujadanie teriera, chyba szkolonego przez swego pana do polowań na Polonię. Nie pomagały wyjaśnienia, żem żadna Polonia, a wręcz a-polonia, Tytus vel Bandyta i tak czynił swoją powinność – i łapał mnie za nogawki. Pudlowata Kiwi była bardziej przyjazna, dawała się pogłaskać, a swemu panu patrzyła tęsknie w oczy. To było uczucie odwzajemnione: Edward kocha swoje psy, które uratował i leczył gotowaną dwa razy w tygodniu strawą, pomny na upomnienia czworonoga: „.... przypominam mam / chorą wątrobę i muszę jeść trzy razy / dziennie” (*Znowu zapomnieliś*, s. 6).

Nie to, co taki Gombrowicz. W zapisach *Dziennika* z 1959 roku swój stosunek do rodziny psowatych wyraził jednozdaniowymi komunikatami, stylizowanymi na groteskowe ogłoszenia prasowe, podane wersalikami: „PIESEK MOKRY, LUB TYLKO WILGOTNY, DO WYBORU; PIESEK BIAŁY, SMACZNY, DOBRZE ODŻYWIONY; PIES

ŻÓŁTY, NADGRZYZIONY, ZRESZTĄ NO-WY”<sup>1</sup>.

W ogóle psy w polityce i w literaturze, nie mówiąc o lisach (*Lis Przechera* Johanna Wolfganga Goethego) czy kotach (np. kotka Petronella Józefa Wittlina), ptakach (np. sęp wyjadający wątrobę przykutemu do skały Prometeuszowi, czyżek Krasickiego tęskniącą za wolnością) – to przeciekawy temat. Pozostawimy na chwilę przy skrzydłach: Zymanowy Oskar nieznośnie kojarzy się ze szlachecką Polską – z pawiem narodów i papugą (Słowacki). No a Żeromski z profetycznymi krukami i wronami, co nas mają rozdziobać? Zimno się robi przy tej menażerii. Nie lepiej w sekcji rybnej, gdzie Zyman czuje się jak ryba w wodzie. Kojarzy się baśń *O rybaku i złotej rybce* braci Jakuba i Wilhelma Grimmów czy opowiadanie *Stary człowiek i morze* oraz wiele innych „rybackich” tekstów Ernesta Hemingwaya.

Alte najczęstszym tematem literackim bywa jednak pies. Psy Zymana dołączyły do towarzystwa wręcz doborowego, jako że psi parnas wypełniają nie byle jakie czworonogi. Od razu na myśl przychodzi chiuhauha z *Cesarza* Kapuścińskiego: „To był mały piesek rasy japońskiej. Nazywał się Lulu. Miał prawo spać w łożu cesarskim”<sup>2</sup>. Psi bohater *Granicy* Zofii Nałkowskiej wabił się także Lulu – rozpieszczona sunia domowa wykazywała cechy pańskie, bo nie zwracała uwagi na podwórzowego Fitka na łańcuchu. Pudel Gaga z *Przedwiośnia* Żeromskiego „zdechł z tęsknoty za intronizacją do rodzinnego pałacu” – jak pisał Józef Łobodowski. Zdycha również pies Odyszeusza Argos, który czekał na swego pana całe dwadzieścia lat i rozpoznał go po powrocie, choć złośliwa Atena zamieniła Odyszeusza w żebraka.

Albo taki Szarik – jeden z najbardziej lubianych polskich psów. Owczarek nie-

miecki, walczący z załogą polsko-rosyjską z Niemcami i reagujący na komendy wydawane po polsku i rosyjsku – dość to absurdalny pomysł Janusza Przymanowskiego. Owczarkiem niemieckim był także pies Józefa Piłsudskiego, wabiący się po prostu Pies. Chadzał z Marszałkiem na spacerzy po Sulejówku, przyjaźnie merdał ogonem, ale co bardziej wrażliwe damy padały przed nim plackiem na ziemię (dosłownie), jak na przykład poetka Kazimiera Iłłakowiczówna, autorka tomu *Dziwadła i straszylaki...* Z kolei Henryk Mann nie ruszał się z domu bez swego Titina, jak pisał jego brat, Tomasz Mann: „Titino, pogodny realista, działał jak odtrutka, gdy smutek omraczał młodzieńczą duszę jego pana”<sup>3</sup>.

To samo można powiedzieć o pieskach Edwarda Zymana – wspaniałomyślnie wybaczą potknięcia i słabości dwunożnych. Jeden z nich tak pociesza autora:

[...] twoich ludzkich błędów staram się nie pamiętać zresztą to i tak byłoby bez sensu bo żyjemy w dwóch różnych światach i nasze wszystkie pakti i układy najczęściej z twojej winy zdają się psu na budę

(*Znowu zapomniałeś*, s. 6)

Elżbieta Sawicka w mejlu do mnie wyznaje, że psi temat to: „temat na esej, a może i na książkę. Przykładów – dziesiątki. Bo przecież jeszcze Psina Gombrowicza, psy Giedroycia (jednego poznałam osobiście, zeżarł na moich oczach tekturowe pudełko po torciku wedlowskim), Dyl Marii Dąbrowskiej, Tropek Iwaszkiewicza, Puzon Waldorffa, bokser Albin Kazimierza Brandysa... I wreszcie Blondi – owczarek Hitlera w wierszu Wisławy Szymborskiej *Monolog psa zaplątanego w dzieje*. Bezlik, jak mawiał nicodząłowany Jerzy Pilch. Bezlik”. Ze znanych mi czworonogów przyjaciół – to jannik Lonia także

<sup>1</sup> W. Gombrowicz, *Dziennik (1957–1961)*, Paryż 1984, s. 125–129.

<sup>2</sup> R. Kapuściński, *Cesarz*, Warszawa 1978, s. 11.

<sup>3</sup> Tomasz Mann, Henryk Mann, *Korespondencja 1900–1949*, przeł. Tadeusz Zabłudowski, Warszawa 1975, s. 302.



nieodżałowanego Henryka Dasko oraz Hugo Justyny i Jacka Budzików z Krakowa.

Psi bezlik uzupełniają zapewne psy Edka Zymana, zaplątane w „emigracyjne blaski i nędze” swego pana. Józef Wittlin, twórca tego terminu oraz właściciel i wielbiciel nowojorskiej kotki Petronelli, jest autorem porównującego szkicu *Zwierzęta w Paryżu*. Tam policjant zatrzymuje ruch uliczny, a „posłuszny tłum staje i rozstępuje się jak fala Morza Czerwonego na rozkaz łaski Mojżesza, aby przepuścić foxteriera lub jamnika, który w tej powodzi ożywionych maszyn i żywych ludzi, ludzi odzianych, okrytych, szczelnie pozapinanych lub kokieteryjnie obnażających swe wdzięki – jedyny jawi się publicznie w swej odwiecznej, niewinnej nagości”<sup>4</sup>.

No właśnie – niewinność braci mniejszych, zdanych na łaskę dwunożnych... Od wyjazdu z kraju gryzie mnie (nomen omen) sumienie: nie mogliśmy zabrać ze sobą trzyletniego Gucia, trafił na farmę na Podlasiu. Zabrakło nam determinacji Julity Karkowskiej: wylądowała z mężem w Stanach, choć marzyły jej się Antypody. Ale urzędnicy z ambasad i konsulatów Nowej Zelandii tudzież Australii nie chcieli przyjąć do wiadomości, że bokser Supel jest pełnoprawnym członkiem rodziny Karkowskich. Na szczęście Stany Zjednoczone nie rozdzielały (jeszcze wtedy) rodzin imigrantów i Supel przeniósł się z Wrocławia do ojczyzny Jacka Londona, który psom poświęcił powieści *Biały kiel* oraz *Zew krwi* (Buck, mieszańiec bernardyna i owczarka szkockiego). No a *Lassie wróć* Knighta? A *Piesek przydrożny* Miłosza? To jedna z najważniejszych książek esejistycznych noblisty. Tak wpadł na tytuł: „Myślałem nie tylko o ludziach, którzy tam mieszkali, także o pokoleniach piesków im w codziennej krzątaninie towarzyszących, i raz, nie wiadomo skąd, pewnie we śnie nad

ranem, zjawiała się ta śmieszna i czuła nazwa: «piesek przydrożny»<sup>5</sup>.

Tytus, *west highland white terrier*, znany powszechnie na tym kontynencie jako westie, to żwawe, wesołe, wręcz serdeczne w kontaktach z dwunożnymi stworzenie. Podobne cechy posiada też pudelkowata suczka Kiwi. Oba pieski Zymana urodziły się i egzystują w najlepsze na ziemi kanadyjskiej. Czerpią pełną, owłosioną miniwersją powietrze wolności i szacunku dla człowieka oraz zwierzęcia. Dziwią się tylko każdego dnia, dlaczego ich pan podnosi z chodnika produkty ich przemiany materii. Przecież ich polscy pobratymcy załatwiają swoje potrzeby w dowolnym miejscu i nikt po nich nie sprząta.

Maja Elżbieta Cybulska w zajmującym szkicu *Spaniel panny Barrett* zadaje retoryczne pytanie: „Jak wyglądałaby literatura bez zwierząt? Zwłaszcza bez psów i kotów? Dla nieodróżnianej Nałkowskiej ubyłby jeszcze jeden obiekt pysznych charakterystyk. Zawsze przeglądała się w zwierzętach jak w ludziach. Kochają ją jeszcze? Nie kochają? A jakie rzeczy przemilczałby Konwicki, gdyby nie sprął go kot Iwan? Albo Brandys: czym zapełniłby kartę w *Miesiącach*, gdyby nie zobaczył absurdalnie wytresowanego psa postępującego za swoim panem, któremu należałoby życzyć, żeby sam zaczął chodzić na czterech łapach! [...]. Doprawdy, trudno mówić o jakimś ważnym teście literackim bez obecności czworonoga”<sup>6</sup>.

Idąc tropem tej myśli, skłonny jestem stwierdzić, że obecność czworonogów w wierszach Zymana przydaje tym tekstom ingrediencji zwanych w ludzkim słowniku empatią, czułością, humanizmem. Że w odniesieniu do braci mniejszych? Jak najbardziej. Co się przekłada na relacje z ludźmi. W wierszu-komunikacie *Moja żona jeszcze pracuje* alter

<sup>4</sup> J. Wittlin, *Z walizy francuskiej (1929–1932)* [w:] tegoż, *Orfeusz w piekle XX wieku*, Paryż 1963, s. 178.

<sup>5</sup> C. Miłosz, *Piesek przydrożny*, Kraków 1998, s. 7.

<sup>6</sup> M. E. Cybulska, *Spaniel panny Barrett* [w:] tegoż, *Tematy i pisarze*, Londyn 1982, s. 148.

ego autora wyznaje, że nie może sprzedać domu, aby poprawić los rodziny, bo musiałby skrzywdzić czworonożnych jej członków, pozbawiając ich

*porannych*

*przebieżek w ogrodzie rytualnych spacerów po arcyprzyjemnej (gęstej od psów różnej maści) okolicy przyjaznych dwunożnych z całego wprowadzie ludzkiego lecz oswojonego od dawna świata.*

(s. 13)

W galerii odniesień do literackich odpowiedników pośród czworonogów pojawia się też budzący grozę pies Baskerville'ów z detektywistycznej powieści Conan Doyle'a – tam, wysłany w pogoń za cnotliwą córką sąsiada przez rozpustnika Hugona Baskerville'a zagryzł właściciela, tu, w wierszu Zymana potulny terierek jedynie pilnuje swych dwunożnych przed nadużywaniem wolności: „nie daj Boże ulec ich żądaniom / aż się boję myśleć co mogliby uczynić / z tą swoją wolnością...” (*Ani na chwilę*, s. 12). Mądre psisko widzi przecież, co tak zwana polityczna emigracja uczyniła ze swoją wolnością, jak sama zaprzecza jej idealom, jak dezawuuje błogosławieństwa demokracji.

Miałby na ten temat sporo do powiedzenia swojemu Jasperowi Waclaw Iwaniuk. Jasper był czarnym kotem, który miał humor, dzięki którym zaistniał w poezji. Krzysztof Lisowski wyznaje w wierszu *Do Waclawa Iwaniuka*:

*nie pisałem długo panie Waclawie  
mam wobec pana dług nieobecności  
ale ciągle pamiętam tamte drzwi kuchenne  
obrażony kot Jasper biegł przez nie  
w stronę wąskiego ogrodu*<sup>7</sup>.

<sup>7</sup> K. Lisowski, *List 42; do Waclawa Iwaniuka* [w:] *Podróż w głąb pamięci. O Waclawie Iwaniuku szkice, wspomnienia, wiersze*, red. J. Wolski, H. Wójcik, E. Zyman, Toronto 2005, s. 388.

Nigdy się już nie dowiemy o powód złego humoru Jaspera, można się tylko domyślać, że nie został należycie wynagrodzony za kocią wierność (jeśli istnieje coś takiego) – przez poetę, zajętego robeniem kawy innemu poecie. Nie każdy bowiem poeta na tym nieludzkim świecie potrafi nie tylko gotować osobne posiłki dla swych braci mniejszych, ale jeszcze poświęca im zbiorek wierszy.

Marek Kusiba

Edward Zyman, *Zapiski z innego świata*, Mordellus Press, Berlin 2020.

Tomasz Pyzik

## POEZJA DOBREJ NADZIEI

W tomiku poetyckim Roberta Gawłowskiego *Doknięcie* napotkamy utwory napisane charakterystycznym stylem autora, często w biblijnej szacie, z dominującą trzecioosobową formą wypowiedzi, z przenikliwą diagnozą stanu kultury duchowej. Szczególną uwagę zwracają trzy wiersze, które tworzą swoistą ramę kompozycyjną. Zbiór otwiera liryk *\*\*\*Błękit nieba...*, niemal dokładny środek wyznacza *\*\*\*Co nie jest z ciała...* a całość kończy *\*\*\*Zatrzymany jest płomień...* Różnią się one od pozostałych brakiem wyodrębnionego tytułu, lecz ich pozorne niedokończenie może wynikać z żywej relacji, z potrzeby bezpośredniego przekazu rozumianej rzeczywistości. To wiersze będące tchnieniem ducha, czystą konstatacją płynącą ze szczególnej obserwacji świata. Jest w nich zachwyt i zadziwienie, jest duchowość i wieczność, są słowa obejmujące „Wszystko”. Poetycka triada zwiera treść całego zbioru, tworząc metafizyczne impresje, które wzmacniają przesłanie rozpisane w pozostałych wierszach. Te trzy utwory przeno-

szą uwagę odbiorcy na to, co jest istotne dla odczuwania artysty. Podmiot poznający jest tożsamy z tym, co widzi. Najważniejsze jest bowiem duchowe wejście w drugą przestrzeń, fascynacja otchłanią nieskończoności i zagłębianie się w jej warstwy.

Obcowanie z niepoznawalnym przejawia się w materiale lirycznym epistemologiczną zachłannością, którą zauważymy właśnie w pierwszym utworze zbioru. Znaczeniowa gradacja w wierszu *\*\*\*Błękit nieba...* rozpoczyna się od nieba, by poprzez gwiazdy, galaktyki i czarne dziury dojść do punktu kulminacyjnego: „Wszystko i to, co otacza Wszystko. // Niewymowne, niewypowiadalne, niepojęte, / niepojmowalne”. Oto werbalny kres. Zasób słów został wyczerpany, by nazwać odczuwalne. Nie jest to jednak w żadnym wypadku poznawcza czy też artystyczna porażka. Z ostatnich wersów promieniuje zachwyt i spełnienie. W inicjalnym wierszu *Dotknięcia* słychać echo znanych słów Immanauela Kanta: „Są dwie rzeczy, które napelniają duszę podziwem i czcią, niebo gwiaździste nade mną i prawo moralne we mnie. Są to dla mnie dowody, że jest Bóg nade mną i Bóg we mnie”. Najlepsza poezja zaczyna się tam, gdzie kończą się słowa opisujące rzeczywistość. Robert Gawłowski jest twórcą, który potrafi wskazać byt poza słowami. Ta rzadka Kantowska umiejętność koncentruje się na badaniu objawów „niepojętego” w tym, co jest wypowiadalne. Powstała dzięki temu synteza stanowi znak rozpoznawczy wrocławskiego poety, jego szlachetny herb artystyczny.

Mówi o tym drugi utwór ze wspomnianego tryptyku, przywołujący wykorzystanie duchowego paradygmatu otwierającego najszerszą perspektywę oglądu rzeczywistości: „Co nie jest z ciała, widzi ten świat, / człowieczy i nieczłowieczy”. Percepcyjny dualizm, na którym osadza się sposób poetyckiego widzenia świata, naprowadza na pozawerbalną głębię. Nie chodzi tu o uchwycenie Bożej emanacji w słowie, gdyż – jak

wiemy – jest to niemożliwe. Autor zbioru mistrzowsko zarysowuje sytuacje liryczne, w których dochodzi do spotkania, czy też – użyjmy najwłaściwszego w tym przypadku określenia – metafizycznego „dotknięcia” w fizycznym świetle. Odczucia płynące z takiego doświadczenia tylko w części zatrzymują się na słowach. Najważniejsza ich partia pozostaje niewypowiedziana, ale istniejąca w formie, która może objąć niewyraźne, czyli w wierszu.

Najlepszym tego przykładem będzie liryk *Dotknięcie*, którego waga jest na tyle znacząca, że przeszła w tytuł całej książki. Przyjrzyjmy się temu utworowi w całości:

*Pod palcami naga ściana. Porowata  
i zimna skóra kamienia.*

*Pierwotne milczenie, pierwotne  
skupienie, pierwotna ciemność.*

*Niewymówiona, bo niewymowna.  
Jest modlitwą bez twarzy.*

Metafizyczno-fizyczna kontaminacja jawi się tu jako nadrzędny koncept poetyckiego przekazu. Fizyczny dotyk prowadzi do swojej redukcji fenomenologicznej odkrywającej transcendentálną strukturę podmiotu poznania. Pierwotność milczenia, skupienia i ciemności jest, jak się wydaje, dojściem do *eidos*, do spotkania/dotknięcia czystego *sacrum*, jest wglądem absolutnym, „modlitwą bez twarzy”, gdzie „ja” poznające i przedmiot poznania stanowią jedno. Między nimi jest pustka rozumiana jako niczym niezakłócona relacja bez jakiegokolwiek, nawet werbalnej, przeszkody. W ostatniej strofie utworu *Który* przeczytamy: „Który wraca nadzieję, jest milczeniem, / ciało jego z ciszy i pustki, nie ima się / zaimków i nazw”. Peryfraza Boga uzmysławia nieprzystawalność Stworzyciela do ludzkiej semiotyki.

Wyjątkowość twórczości Gawłowskiego polega na oszczędnym doborze słów, przez co namysł idzie w kierunku nienazwanej przestrzeni. Każda z czterech strof wiersza *Który*

rozpoczyna się frazą: „Który wraca nadzieję...”, podkreślając konieczność odzyskania jednej z cnót teologicznych za przyczyną bohatera utworu. Powtarzane słowa jednocześnie gorzko charakteryzują współczesność, która odwraca się od boskich cnót. Odzyskanie nadziei staje się warunkiem koniecznym do spojrzenia na życie jako fragment wieczności.

Twórczość liryczna autora *Dotknięcia* stanowi artystyczne wołanie o opamiętanie się i ocalenie świata, czym wpisuje się w rozważania obecne w *Przedmowie* Czesława Miłosza. Parafrazując pytanie z utworu noblisty, możemy powiedzieć, że poezja Roberta Gawłowskiego w jakimś sensie niesie w sobie ocalenie narodów i ludzi. Pisana „z krawędzi «ja»” (zob. ostatni dystych *Nawiedzenia*), podsuwa widzenie istnienia w perspektywie transcendentnej, czemu m.in. służy zarysowana z maksymalną starannością i duchowym wczuciem sytuacja liryczna z tytułowym bohaterem wiersza *Gabriel*. Znajduje się on na granicy światów osadzonych w Jedni Absolutu, w bezkresie nieskończonego Bytu. „I stoi Gabriel jakby w bramie” – przeczytamy we fragmencie utworu. Jest to ta sama brama, o której pisał Czesław Miłosz w liryku *Nadzieja*: „A wszystkie rzeczy, które tutaj znałem, / Są niby ogród, kiedy stoisz w bramie. // Wejść tam nie można. Ale jest na pewno. / Gdybyśmy lepiej i mądrzej patrzyli, / Jeszcze kwiat nowy i gwiazdek niejedną / W ogrodzie świata byśmy zobaczyli”.

Niewątpliwie Robert Gawłowski potrafi patrzeć na ogród świata „lepiej i mądrzej”, co przekłada się na najważniejszą impresję wyrażoną w ostatnim wierszu tomiku: „Zatrzymany jest płomień. / Zatrzymana nadzieja. // Zmieszały się chwila i wieczność”. Intertekstualne nawiązanie do fragmentu 10 części *Pieśni o Bogu ukrytym* Karola Wojtyły podpowiada niemal mistyczną interpretację epigramatu. Poetyka paradoksu, widoczna już w poprzednim zbiorze artysty (*Pył*, 2020), otwiera świadomość na istnienie ponad do-

czesność i daje nadzieję życia wiecznego. Uchwycenie „chwili pełnej śmierci dziwnej”, będącej metafizycznym doznaniem podmiotu w poemacie Wojtyły, a z którą niewątpliwie mamy też do czynienia w finałowym wierszu Roberta Gawłowskiego, jest ufnym zanurzeniem w tajemnicę, zrozumieniem wszystkiego bez jednego słowa (zob. ostatni dystych utworu *Gabriel*), jest niegasnącą nadzieją na spotkanie, które obrodzi takim dotknięciem, jakiego doświadczył apostoł Tomasz.

Autor omawianego tomiku poetyckiego nie marnuje czasu. Jego twórczość już teraz synonimicznie wypowiada najbardziej znane słowa Apostoła: „Pan mój i Bóg mój!” (*J* 20,28). Oto *Dotknięcie*, duchowe świadectwo nadziei, które mogło się skryształować tylko w najlepszej materii poetyckiej.

Tomasz Pyzik

Robert Gawłowski, *Dotknięcie*, Towarzystwo Przyjaciół Sopotu, Sopot 2020.

## Grzegorz Strumyk

### BRAK KOŃCA

Zapisywane na kartkach wielu formatów, w wielu tezkach, w wielu zeszytach, przez wiele lat. Kartki. Zeszyty. Papiery. Papierowe teckki. Głęboko ściśnięte w małych meblach, w stosie na wierzchu, pomiędzy książkami. Od podłogi. W pokoju i przedpokoju. Taki zjawia się obraz miejsca życia Henryka Berezzy. Wszystko przyniesione, przysłane, zasiedziało, z zewnątrz, z zewnątrz świata, z ulicy, kawiarni, redakcji, ze świata innych i z niezliczonych światów książek, przez lektury od porannych godzin i wieczornych codziennie przez dziesiątki lat.

W 2020 roku Państwowy Instytut Wydawniczy wydał dwutomowe *Wypiski ostatnie* Berezzy. Razem z *Alfabetycznością* z roku

2018 mamy już trzy obszerne tomy pozostawionych przez krytyka tekstów, zapisów, prowadzonych przez niemal całe jego życie. A czeka nas jeszcze poznanie zapisywanych przez Berezę snów w planowanej przez PIW pełnej wersji *Oniriady*, na ułożenie której trzeba będzie poczekać kilka lat. Wtedy to zakończy się etap zachowania w uporządkowanej formie zapisu pracy krytyka i pisarza, którego nie da się porównać do nikogo w uprawianiu życia poprzez lektury i nakładanie na nie własnej wyobraźni.

W nocie redaktorskiej dwutomowej edycji pod koniec czytamy: „Redaktorzy *Wypisków ostatnich* pragną w tym miejscu wyrazić miłczący podziw nad swoistą niezłomnością lub nawet heroicznością Henryka Berezy oraz ogólne przerażenie tym samym. Otwarte pozostają pytania o to, ilu ludzi szeroko rozumianej kultury prowadziło tego typu zapiski o charakterze półprywatnym, oraz ile z nich nigdy nie ujrzy światła dziennego. Każda z odpowiedzi zdaje się nieprzyjemna...”.

Teraz po przeczytaniu *Alfabetyczności* i *Wypisków ostatnich*, będących siłą rzeczy wyborem tylko pozostawionych przez Berezę pism, można domyślić się, mieć nawet pewność, że w nieopublikowanej części ogromnego materiału, znajdują się jeszcze zapisy ukazujące sposoby przetrwania autora bliskie heroizmowi. Nie mogło tak się nie zdarzyć przy tak napiętym zmysłowo odbiorze życia w całości, jak nie mógł się zdarzyć napięty odbiór literatury bez tej samej rozbudzonej zmysłowości w życiu.

Wartością tych zapisów, w *Wypiskach ostatnich* dotyczących tylko ostatnich lektur czytanych książek, ale trzeba je włączyć do całości poznanych zapisów autora, jest ich ciągłość, z codzienną regularnością, niezadko regularnością godzin, lektur przedpołudniowych i po przerwie lektur wieczornych.

Nie można oderwać wyobraźni od obrazowania sobie sposobu życia, codziennego spędzania czasu nad książkami, wpływu czasu, atmosfery i nastroju dzielących pierwsze

czytanie od kolejnego, nieraz powrotu po latach, jak to się Berezie zdarzało.

Wypiski opatrzone datami dziennymi przybierają postać powieści o czytaniu. Swój bohaterem staje się lektura, to ona przyjmuje postać czytającego, nacechowana jego osobowością, jego wyobraźnią, a więc tym, o co Bereza upominał się dla odbioru literatury na pierwszym miejscu. Wyobraźmy sobie inną wyobraźnię od swojej, nieprzeniknioną, dającą się poznać tylko po zdaniach prozy, wersach wiersza, po ogólnej wymowie dzieła literackiego, tego nieznanego nam do tej chwili organizmu. Czy dostaje się w nim szansę na uruchomienie niesprawdzonej jeszcze własnej wyobraźni, czy słowa i zdania są tylko po to, by nas lepiej lub gorzej poinformować i poprowadzić?

Mistrzostwo nadrzędne wypisków prowadzonych przez Berezę jest w ciągłości, w naturalnej konsekwencji życia i życia z literaturą. Brak tu jałowych zerwań z tym, co minione, lektury następują po sobie, by czasem zmienił się ich odbiór. Najmniej tu chęci posłużenia się literaturą do wykazania swojej wiedzy o tym, jak można i trzeba pisać. Coś jest albo tego czegoś nie ma, co przenosi w książce na inną stronę, w niepoznaną przestrzeń słów z jej regułami do rozpoznania. To wszystko, co w znikomym procencie daje się uchwycić poprzez język, a mimo to, jeśli się w ułamku zdarzy, to odczuwa się jego żywą obecność w najskromniejszym dziele. Dlatego w wypiskach Bereza notuje swoje odczytania nieznanymi szerzej autorów obok pretendentów do uznanej nagrody. U jednych i drugich znajduje albo nie znajduje przestrzenie do poznawania dopiero w napisanym utworze znaczenia słowa.

Przejęć przez wszystkie otwarte zapisy Henryka Berezy byłoby przygodą, przez zapisy z wędrowek po sklepach, przez zapisane przeżycia po zobaczeniu w sekundzie twarzy, po lekturach książek, przesyłkach maszynopisów do niego, wejść w zapisane sny liczone w tysiącach, przedrzeć się przez li-

sty pisane w odpowiedzi na nadesłane książki, listy pisane z potrzeby serca, nawet kiedy nie ma na nie odpowiedzi. Tego wszystkiego nie pomieści wielotomowa w zamyśle edycja Państwowego Instytutu Wydawniczego pozostawionych przez Berezę pism, ale że w ogóle na rynku wydawniczym, gdzie decyduje wymierny zysk, wychodzi dorobek Berezę w możliwie szerokim wyborze, tego nie przewidział autor, to jak dodana nadzieja do jego myśli, że „dwoje innych powinno człowiekowi wystarczyć”. Sam pisał przez większość czasu swojego życia dla siebie i dla kogoś drugiego. Ciągłość historii jest jak to samo powietrze, każdy czas historyczny coś daje i coś odbiera. Jest jeden czas konkretnego człowieka i trzeba go przyjąć, tak jak czas życia artysty tworzącego sztukę, Henryk Berezę to rozumiał i czuł rodzaj braterstwa z piszącymi. Istotnym wyborem dla niego był indywidualny sposób dochodzenia przez pisarza do prawdy swojej wypowiedzi, dobrze wyczonej i odnajdującej własny ton i znaczenia słów. Jego wrażenia z lektur w *Wypiskach ostatnich* mogą zaboląć i pocieszyć, ale nie mogą być obojętne. Pisał je ktoś, kto nabierał wiedzy o literaturze z każdym przeczytanym tekstem i łaknął prawdziwego życia ponad często zafalszowane w sztuce. Ze swoim poczuciem względności dawał otuchę, że jak w literaturze, tak w życiu nic nie jest ostateczne. W którymś momencie w *Wypiskach ostatnich* czytam: „Ciekawe, jak będę czytał to, co mi się napisało –”.

Powtórzę: to, co się napisało, nie jest wiadome na zawsze, odczytywane za każdym razem w innym czasie tak, jakby zapisywało się dalej samo, brak końca jest tym, co wyróżnia sztukę słowa, można skończyć obraz, utwór muzyczny ale nie zapis, każdy z nich jest zapisem rozpoznanej chwili.

Grzegorz Strumyk

Henryk Berezę, *Wypiski ostatnie, 2004–2012*, t. I i II, Oprac. Paweł Orzeł, wstęp Andrzej Skrendo, Państwowy Instytut Literacki, Warszawa 2020.

Antoni Matuszkiewicz

## DOMOWA OJCZYŻNA

*Wielopolis* to kolejna humanistyczna książka Jarosława Petrowicza, ukazująca się pięć lat po bardzo bogatej erudycyjnie jego pracy *Związek z miejscem. Śląsk historyczny w prozie, eseistyce i reportażu polskim po 1989 roku*. Tutaj również autor pozostaje na gruncie problematyki toposu, tutaj również podchodzi do niej wielorako, korzystając z warsztatu nie ograniczonego jedynie do literaturoznawstwa, ale wykorzystującego inne nauki społeczne. Wśród nich – podobnie jak w dziele poprzednim – poczesne miejsce zajmuje historia. Można powiedzieć, że to Klio jest wizaż Petrowicza. Nad obydwoma jego książkami unosi się zmieszany aromat przeszłości i współczesności. Jakby z uwagą, dwuwidząco, patrzył ktoś na rzeczywistość i w teraźniejszym dostrzegał poprzednie płaszczyzny czasowe.

Ważną, wielokrotnie przewijającą się postacią w *Związku z miejscem* jest Henryk Waniek. Można powiedzieć, że w swojej następnej książce Petrowicz kontynuuje i rozszerza jego postawę twórczą. „Być we własnym domu, to dla pisarza (ale i czytelnika) znaczy – należać do geografii; znać swoje miejsce; wiedzieć, kiedy jest się u siebie. Być dosłownie, jak to uściśla Heidegger – *dasein*”. Waniek ma do paradygmatu akademickiego stosunek dość swobodny, korzysta z przywileju artysty, jaki po Blake’owsku daje pierwszeństwo wyobraźni: „rozpoznać w nas tych, którzy o tym samym myśleli i mówili mniej więcej sto lat temu, i dwieście, i zawsze, stojąc przed krajobrazem, do którego należy ten Dom, z którym trzeba się liczyć. Którego trzeba się uczyć. Który jest mistrzem naszej nauki. I który nas wchłonie, gdy nadejdzie czas” (*Cmentarz nieśmiertelnych*,

s. 133). Petrowicza cechuje natomiast większa ostrożność wypowiedzi, zawodowa odpowiedzialność naukowca, nawet tam, gdzie górę bierze literackość ujęcia, bogactwo skojarzeń i zmysł metafory.

Wspomniane „dwuwidzenie” autora jest w *Wielopolis* eksponowane szczególnie, ponieważ mamy tutaj do czynienia nie tylko z mniej lub bardziej partykularną historią regionu, ale także z dziejami osobistymi piszącego. Otóż krajobraz i dom, przed którym stoi w swojej nowej książce, jest dlań jak najbardziej własny, łączy jego rodzinne okolice z nie tak znów odległym, aktualnym miejscem zamieszkania. To Głucholazy („Urodziłem się na granicy Polski z Czechosłowacją...”) i Wieluń, gdzie założył rodzinę i zamieszkał. „Z domową ojczyzną w sercu” – te słowa ze szkicu o Andrzejku Zawadzie można z pewnością odnieść do samego Petrowicza. To akceptacja swojego miejsca (miejsca) na Ziemi, nie mimo, ale również w ich prowincjonalności, peryferyjności, transnacionalności, to akceptacja innego i innych, szacunek dla człowieka w ogóle, dla jego małych historii (także małych historii ludzi wielkich). To dialog z naturą i pokora wobec wspólnej jej i nam tajemnicy. Wszystko to można by określić terminem *topophilia*, wprowadzonym przez Yi-Fu Tuana a pojawiającym się u Petrowicza w jego poprzedniej książce. Tam też przeczytamy: „Jeśli użyć pojęcia ‘osobowości regionu’, można powiedzieć, że jej tożsamość umożliwia samokontrolę. Niewyartykułowane obszary samowiedzy można nazwać *wiedzą rozlaną*. W literaturze ta niejasna, rozmazana i niezycielna treść się krystalizuje” (s. 74).

Jeżeli odliczyć wstęp, jakim w imieniu wydawcy (Wieluńskiego Towarzystwa Naukowego) opatrzył *Wielopolis* Zdzisław Włodarczyk, to objętościowo dzieli się ona niemal dokładnie na dwie połowy. Część pierwsza to zbiór przeważnie ogłoszonych już wcześniej tekstów poświęconych Wieluniowi i nieodległym terenom środkowego Śląska, druga

Głucholazom i ich polsko-czeskiej okolicy. Całość ma wyraźnie osobisty charakter, jeśli nawet nie jest w całości pisana w pierwszej osobie, to i tak zawiera bezpośrednio wtręty odautorskie. To właśnie powoduje, iż czytelnik nie ma poczucia pęknięcia, jest przez cały czas jakby „u siebie”, w towarzystwie elokwentnego przewodnika, tubylca, którego mowa robi wrażenie bezpośredniości, wszystko jedno, czy mówi o swoim życiu, czy losach osób z bliższego i dalszego – historyczno-literackiego – otoczenia, interpretując przy tym ich twórczość. Rzec nawet można, że jest to jakby jeden polimorficzny, zróżnicowany wewnętrznie utwór, wypowiedź liryczna w formie eseju kulturowego, w którym autor spowiada się ze swojej wielomiejskości – jeśli tak zinterpretować tytuł książki. A ponieważ oryginalne brzmienie tytułu nasuwa asocjacje ze spektaklem Kantora *Wielopole, Wielopole...*, tym wyraźniej widać, że autor, analogicznie do obecnego w widowisku twórcy i reżysera, przyjął podobną konwencję i osobiście prezentuje przeszłość – hojnie korzystając z pamięci własnej i zbiorowej. To przemawiając z akademickiego krzesła, to ochoczo stając na scenie.

Patrząc przez pryzmat kultury, nie ma miejsc „małych”, każde jest za jej sprawą wielkie. Każde miejsce jest bowiem wielorakie, przez wielość światów ludzkich w nim i z nim związanych, multiplikującą się dodatkowo z prądem czasu, zaś każdy świadomy mieszkaniec powinien starać się unieść ten ciężar i to bogactwo. Wziąć z sezamu, w jakim przyszło mu się znaleźć, ile zdoła. Zawrzeć jak najwięcej znajomości w owej odwiecznej sieci komunikacji społecznej. W publikacji Petrowicza wstępują zatem na scenę ludzie. W pierwszym szkicu, od którego pochodzi tytuł książki, są to wielunianie utrwaleni poprzez zabytki, legendy i innego rodzaju źródła pisane.

Bohaterem następnego *W dolinie Stobrawy* (swoistego homagium dla mistrza) jest profesor Andrzej Zawada. Pojawiają się

w nim, prócz rodziny autora, mieszkańcy nieco dalszej, kluczborskiej okolicy, m.in. Jan z Kluczborka, Adam Gdaczusz, Gustav Freytag, Heinz Piontek, Jan Dzierżon, Hans Lipinsky-Gottersdorf i Juliusz Gabryel. Trzeba tu jednak koniecznie dodać, że prócz ludzi bohaterami (zbiorowymi) tego eseju są motyle, pszczoły i mrówki. Główną postacią pracy następnej (prócz samego autora, występującego w towarzystwie znajomych oraz nieznanymi kierowców na parkingu) jest Józef Lompa z Olesna Śląskiego. Esej *Anna znaczy Łaska* traktuje o fenomenie sanktuarium na Górze Świętej Anny, zasłużonym dlań rodzic Gaszynów i pochodzącym z pobliskiej wsi opolskim poecie Janie Goczołe.

Proza wspomnieniowa *Caprae Colium* roi się od wyraziście, nieraz kilkoma słowami, narysowanych sylwetek towarzyszy dzieciństwa i młodości oraz charakterystycznych postaci powojennych Głuchołaz. Po niej następuje szczegółowe omówienie „tomu baśniowych narracji” (wraz z całkiem sporą grupą ich protagonistów) Patrycji Prochot-Sojki pt. *Baj-o-dużenie*, rozgrywających się w Głuchołazach. Młody Franz Kafka zostaje przypomniany *Listem ze Złatych Hor*, a głównym bohaterem prozy dziennikowej *Kartki z Jesenka* jest Zygmunt Krasieński, przebywający tam na kuracji (pojawia się również pionier wodolecznictwa Vincenz Priessnitz oraz – za sprawą swej twórczości – dwaj czechy pisarze – Jiří Červenka i Jaroslav Rudiš oraz kolega autora, Zbyszek).

Ostatni esej zatytułowany *Rzeczy to coś więcej niż rzeczy* łączy szczególnie mocno *Wielopolis* z poprzednią książką Petrowicz, a zarazem pozwala mu niejako znaleźć się spośród innych, występujących także w *Związku z miejscem* pisarzy, tutaj dających świadectwo przedmiotom, destruowanej bazie materialnej zastanego bądź wygnanego dziedzictwa. Te „listy z przeszłości”, jak je określa Petrowicz, w której to nazwie słychać poniekąd echo *Listów z nieba*, tytułu jednego z tomów epepe Stanisława Vincenza, okre-

ślającego tak rzeczy epifanijne, stające się (lub zdające się być) nośnikami objawienia, udzielające „czegoś więcej”. Epifanie Petrowiczowe na pierwszy rzut oka są bardziej „z tej ziemi”, ale ich znaczenie sięga nadspodziewanie daleko.

W ogóle dzięki lekturze *Wielopolis* uświadomiamy sobie, że istnieje coś takiego jak kryterium wyboru, przyjęcie owego historycznego (nieraz trudnego) dziedzictwa, które wymyka się doraźności. Jest to proces, ufundowany nie na zapożyczonym z zewnątrz światopoglądzie, lecz narastający poniekąd w sposób naturalny (swego rodzaju indywidualna „praca organiczna”). W tym zakresie podejście Petrowicza bliższe jest np. koncepcji Kazimierza Brakonieckiego, konsekwentnie realizowanej w jego twórczości literackiej i aktywności społecznej w odniesieniu do regionu mazurskiego. Widziana z takiej perspektywy Polska zostaje wzbogacona w świadomości swoich mieszkańców o materialną i duchową kulturą ziem włączonych w jej granice w 1945 roku. Do Polski tak – ale z naszymi umarłymi! Umarłymi tutaj. Ojczyzna to ziemia i groby – również owe groby „nieojczyste”... A jeśli tak, to „Polakami” stają się obok potomków Polan i Wiślan rodowici Niemcy etc. Tak jak w innych czasach, innej konfiguracji politycznej, dla milionów kresowiaków swojskie, „polskie” stawało się to, co ruskie, poleszuckie, o Litwie, ojczyźnie nie wspominając...

W *Związku z miejscem* tendencję tę Petrowicz zauważył i opisuje w innych twórców, przywołując również refleksję teoretyczną na ten temat. W swej najnowszej książce występuje natomiast także jako jeden z nich, przecząc tym samym konstatacji zawartej w ostatnim zdaniu wcześniejszej swej pracy: „Można zaryzykować tezę, że opisywany tu zespół tekstowy jest już zamkniętym zjawiskiem”:

Z czego mogę odczytać przesłanie miasteczka? Może z biegu rzeczki Stobrawy, rozdzielającej Górny Śląsk od Dolnego, obserwacji motyla na wietrze,



sluchania przyjaznego brzęczenia pszczół, zapachu miodu, wędrowek mrówek. Spadają mi kolejne laski niewiedzy z oczu, i kolejne, kolejne... Patrzę daleko, ale chyba nie tak daleko, jak odeszli dawni pszczelarze, mnisi, pastorzy. Poznają miejsca, łąki, place, parki, ulice, ścieżki. Pokazują to dzieciom. Przemierzone ścieżki, szczerze uśmiechy, życzliwe słowa. Wiem, że jest to naiwne, tymczasowe, może nawet archaiczne... tak jak słowo szaficować się... Trzymam to szczęście, które jest jak szkło – „aby nie upadło, to i nie przepadło”. Może szczęściem jest to, czego będzie mi żal? Ale tego jeszcze nie wiem. (*W dolinie Stobrawy*)

Antoni Matuszkiewicz

Jarosław Petrowicz, *Wielopolis*, wstęp Zdzisław Włodarczyk, Wieluńskie Towarzystwo Naukowe. Wieluń 2020.

Joanna Sarnecka

## W BESTIARIUM CODZIENNOŚCI

Współczesność przypomina muzeum osobliwości. Jako jej uczestnicy sami nie możemy przestać się temu dziwić, a czasem przerażać. Fenomeny pojawiające się w otaczającej nas rzeczywistości nie tylko pozwalają się oglądać, jak klasyczne, muzealne artefakty, ale przede wszystkim włączają nas w swoją, nie zawsze czystą, grę. Ani się obejrzymy, a sami stajemy się fenomenami, dziwnymi straszącymi w naszym tu i teraz.

Tomasz Stawiszyński w książce *Co robić przed końcem świata* nie tylko oprowadza nas po współczesnym bestiariusz, ale również wskazuje na nasze uwikłanie lub zagrożenie uwikłaniem. Ma też dla nas pozytywną propozycję. Żeby zachować dystans, przydadzą nam się narzędzia naukowego poznania. Chłodna analiza zjawisk, precyzyjne wnioskowanie, lokowanie fenomenów społecznych w odpowiednim kontekście i szukanie ich zrozumienia przy jednoczesnej krytycz-

nej nieufności – to stosunkowo bezpieczna droga między Scyllami i Charybdami dzisiejszego świata.

Zrekonstruujemy na początek owo bestiariusz, o którym pisze Stawiszyński. Spiskowe teorie, reptilianie, mieszejące się i współwystępujące mitologie – w tym biblijna – skutecznie wypierające w XXI wieku racjonalne myślenie, bańki informacyjne i hejt, czyli przeróżne zjawiska wynikające ze specyfiki naszego równoległego życia w internetowych społecznościach, wirtualizacja naszych relacji – to tylko niektóre ze zjawisk znanych nam przecież z codzienności, którym nie raz dajemy się uwieść. Autor podaje nam je wypreparowane, wyizolowane w zwarte i spójne minieseje, czy też felietony. Krótkie formy wywodów są jak soczewki wyodrębniające nasz obserwowany kulturowo-społeczny preparat. Pozwala to bardziej analitycznie i na chłodno interpretować i szukać zrozumienia, bo w codzienności kłaczasty, rozrastający się mętlik zjawisk nie ułatwia zadania.

Stawiszyński, filozof i eseista, dysponuje także zapleczem wiedzy z zakresu psychologii. Dopiero te dwie perspektywy umożliwiają skuteczne wniknięcie pod powierzchnię mechanizmów i zjawisk społecznych. Za wieloma z nich oprócz lęku, frustracji, poczucia konfuzji w związku z komplikującą się nieustannie rzeczywistością, kryje się także szeroko rozumiana polityka lub polityczność. Dominujący dziś dyskurs kapitalistyczny czy neoliberalny, wzmagający indywidualizm, obarczający jednostkę odpowiedzialnością za losy nie tylko własne, ale także przyszłość świata, zostaje przez Stawiszyńskiego zdekonspirowany między innymi w popularnym nurcie mindfulness, czy powszechniejszej się ucieczce w depresję klimatyczną i apokaliptyczne wizje. Oczywiście nie chodzi tu o odrzucenie dbałości o równowagę psychiczną czy los Planety, ale dostrzeżenie w popularności pewnych promowanych sposobów myślenia interesów tych, którym zależy na spacyfikowaniu nas i ukryciu wła-

snej, systemowej odpowiedzialności. Ten mechanizm widać szczególnie w obszarze problemów klimatycznych. Jeśli uświadomimy sobie, że w ciągu ostatnich trzydziestu lat zaledwie około sto globalnych firm odpowiada za większość emisji gazów cieplarnianych, dostrzeżemy zjawiska we właściwych porporcjach.

### Różne sposoby myślenia

Kilka lat temu, w „Tygodniku Powszechnym” pojawił się alarmistyczny artykuł. Oto wraz z małymi, endemicznymi kulturami, rdzennymi mieszkańcami przeróżnych miejsc na świecie giną różne wizje świata i sposoby myślenia. Świat się unifikuje. Z jednej strony proces ten jest zrozumiały i wiąże się z upowszechnianiem nauki, która odczarowuje rzeczywistość dotychczas przetwarzaną za pomocą mitologicznych kategorii i wyobrażeń. Zyskujemy więc nową perspektywę. Nie ma jednak wątpliwości, że także wiele tracimy. Nie chodzi tylko o metafizykę. Raczej o rozwiązania społeczne, rozumienie relacji między ludźmi oraz między nami a światem natury. Wydaje się, że ten proces, z pewnością mający swe źródło w kolonializmie i jego późniejszych wersjach, ma dziś swoje nieprzewidziane skutki uboczne. Kto wie, może alternatywne widzenia świata, wyrugowane przez naukę, powracają w popkulturze, zakwitają dziś nie gdzieś w Amazońskiej Puszczy, ale pośród nas, w miejskich, industrialnych dżunglach? Bo ludzie, w swej istocie, w sposobach myślenia, w gruncie rzeczy wszędzie i zawsze są tacy sami, a kategorie mitologiczne w patrzeniu na świat i rozumieniu go są głębiej zakorzenione niż te naukowe. To jedynie moja hipoteza i refleksja. Nasunęła mi się ona podczas lektury, w której kumulacja współczesnej irracjonalności każe pytać o przyczyny takiego stanu rzeczy.

Żyjąc dziś w plemionach informacyjnych baniek, w których proponuje się i kulturuje „lokalne” mity i przekonania, niewyrotne –

jak określa je autor – bo samopotwierdzające się teorie, faktycznie powracamy do stylu życia, który takim sposobom myślenia sprzyja i je utrwała. Oczywiście ma to swoje konsekwencje szczególnie wtedy, kiedy jako społeczeństwa musimy wspólnie debatować i podejmować decyzje. Te tak charakterystyczne dla demokracji sytuacje w naszej nowej plemienności kończą się wojnami, nienawiścią i chęcią coraz głębszej izolacji, tzw. domykaniem informacyjnych baniek. Służą temu nowe rytuały: choćby zbiorowy hejt, który zastąpił publiczną chłostę czyli pęgierz. Być może nie żyjemy już nawet w odrębnych plemionach, ale na innych planetach. Odsuwamy się od siebie w niechęcią, nie uznając już za wartość niesionej przez wielu z nas na sztańdarakach różnorodności.

Autor książki *Co robić przed końcem świata* stara się uniknąć mechanizmu wykluczania. Dlatego podkreśla: nie chodzi o to, że spiski są niemożliwe, czy teorie alternatywne są z gruntu głupie i złe. Rzecz tylko w tym, by nie poprzestawać na przyjmowaniu na wiarę opowieści, ale szukać dowodów i stawać po stronie wiedzy, a nie wiary, w starciu ze współczesnością. Wówczas, o ile znajdują się dowody choćby na istnienie człękoksztaltnych jaszczurów, czy innych zjawisk bizarnych, trzeba będzie przyjąć, że one rzeczywiście istnieją. Tymczasem dowodów brak, zajmijmy się więc faktami. To prosta, Okhamowska zasada, która mogłaby złożoną rzeczywistość uporządkować. Niemniej, z jakichś powodów, opowieści i mitologie, oparte – jak wskazuje Stawiszyński – na emocjach, wyobraźni i intuicji nie przestają uwodzić.

### Jak powrócić do wspólnoty

Wiele miejsca w książce autor poświęca trudnościom komunikacyjnym i rozbięciu wspólnoty, którą tworzyliśmy w demokratycznym świecie. Jednym z opisanych zjawisk jest dyskusjofobia. Analizując to zjawisko, Stawiszyński przywołuje Renę Girarda

i jego koncepcję mimetyzmu, według której nie pragniemy niczego sami z siebie, ale pragniemy tego, czego pragnie ktoś inny. Zjawisko szeroko pojętego mimetyzmu znajduje swoje potwierdzenie w neurologii. Odzwierciedlanie to podstawowy mechanizm komunikacji i zarazem edukacji. Ma oczywiście swoje dobre adaptacyjne efekty. Jednak w przypadku odzwierciedlania pragnień konsekwencje są destrukcyjne i prowadzą do rywalizacji o obiekt pragnień. Mechanizm ten wydaje się być czynnikiem fatalnym, przyczyną konfliktów, wojen i przemocy. Autor książki zachęca do przyjęcia postawy, która może – chociaż w nas samych – złagodzić negatywne skutki naturalnych oddziaływań mimetyzmu: nawet z naszym największym wrogiem coś nas łączy, a my sami nie jesteśmy ani lepsi, ani gorsi od tych, których ustawiamy po drugiej stronie barykady.

Znajdziemy w książce próbę zrozumienia dziwnych, zdawałoby się, zjawisk politycznych, popularności populistycznych partii. Pod powierzchnią zjawisk, na które można zareagować rytualnym oburzeniem, są realne potrzeby ludzi i narastająca nierówność w dostępie do dóbr, której nie można w nieskończoność przykrywać neoliberalną opowieścią o jedynie słusznym kierunku rozwoju ekonomicznego.

Co proponuje nam autor wobec trudności komunikacyjnych, których doświadczamy w sterowanym mediami społeczeństwie? „Nigdy nie uznawać, że ma się bezwzględna racja. Zachować nieustanną gotowość do zmiany poglądów. Nie ustawać w zdziwieniu światem i poczuciu, że wiele jeszcze o nim nie wiemy i wiele jeszcze może przed nami odsłonić” (s. 232).

### **Żyjemy w supermarkecie**

Tłem współczesnych fenomenów jest nie tylko wspomniana już przeze mnie politycz-

ność, ale także, a może przede wszystkim ekonomia, a konkretnie rynek. Oto właściwy mechanizm rządzący mediami społecznościowymi. To dla jego większej skuteczności polaryzacja segmentuje nas i tworzy wyodrębnione targety, do których łatwo jest adresować reklamowe i promocyjne komunikaty. Doskonałym przykładem jest ekologia. Kupując produkty eko (opatrzone certyfikatem, albo jedynie odpowiednią nazwą, ujęte w odpowiednio zaprojektowane opakowania), czujemy się włączeni w rodzinę ludzi wrażliwych na sprawy planety i doświadczamy chwilowego komfortu. Pytanie, czy z naszych zakupowych wyborów faktycznie wynika cokolwiek dla przyrody, czy nie jest to jedynie przykrywa dla bezwzględnej chęci zysku? Wszechebny *storytelling* sprawia, że sprzedaje nam się opowieść, której szukamy, a za którą ukrywa się produkt z całym bagażem efektów ubocznych jego tworzenia i dystrybucji. Podobnie rzecz ma się z tzw. kulturą terapeutyczną, która za opowieścią o harmonii skrywa zyski sprzedawców terapii, które trzeba nieustannie powtarzać, od których jest się zależnym, o ile chce się przynależać do grupy ludzi świadomych i zdrowych.

Ciekawie w tym kontekście brzmi tytuł książki Stawiszyńskiego. Wszak naddająca apokalipsa to jeden z najpopularniejszych współcześnie mitów organizujących nasze myślenie i wyobraźnię. Tytuł mógłby więc być wstępem do reklamowego hasła: co robić? Ano kupić, zastosować, odbyć seans. Ale Stawiszyński proponuje inną odpowiedź na to pytanie. Prowadzi nas ku doświadczeniom egzystencjalnym, tak dziś niechcianym i wyrugowanym poza obręb codzienności. Śmierć – nasz indywidualny koniec świata, choroba, porażka, niemoc – oto realne ludzkie doświadczenia. Tylko konfrontacja z nimi, ze słabością, kruchością jest drogą filozofa – osoby, który szuka prawdy. Jedyne w świetle tych ukrywanych przez społeczną urynkowaną kulturę obszarów ludzkiego życia możemy rzeczywiście pogłębić świadomo-

mość, próbować integrować nasze złożone, psychofizyczne istnienie, możemy też budować relacje, bo – jak konstatuje autor – „potrzeba wspólnoty w stawianiu czoła drastycznym niedogodnościom wynikającym z faktu istnienia” (s. 102).

### Wspólna rozmowa

Ogromnym walorem książki jest włączająca przejrzystość wywodu. Nie ma tu charakterystycznej dla współczesnej humanistyki hermetycznej bełkotliwości, która izoluje środowisko tych „co wiedzą” od maluczkich. Jednocześnie autor nie popada w redukujące dydaktyzmy, infantyilizacje. Jego opowieść jest erudycyjna, zaprasza do sięgnięcia po kolejne lektury. To doskonała retoryczna szkoła, której zasadą jest formalna prostota i przejrzystość, dzięki którym przekaz książki może się upowszechnić, zarażać krytycznym myśleniem także tych, którzy po filozoficzne rozważania nie sięgnęliby, czując bezradność wobec złożoności i komplikacji. Zatem wszyscy jesteśmy włączeni i zaproszeni do rozmowy, którą Stawiszynski prowadzi także w mediach, w autorskich audycjach: „Kwadrans filozofa” i „Godzina filozofów” na antenie Radia Tok FM, oraz w swoich znakomitych podcastach „Skądinąd” ([www.stawiszynski.org](http://www.stawiszynski.org)). Namysł nad współczesnością wcale nie sprawia, że staje się ona prosta i oczywista, ale być może zyskujemy narzędzia, by rozbrajać zastawiane przez nią pułapki, zachować czujność i dystans myślenia, wobec pączkującej tu i ówdzie irracjonalności, nie uciekać w fikcje ani poznawczy dysonans, ale świadomie mierzyć się z tym, co realne i nieuchronne.

Joanna Sarnecka

Tomasz Stawiszynski, *Co robić przed końcem świata*, Wydawnictwo Agora, Warszawa 2021.

Edward Zyman

## ONIEMIAŁA WOBEC ZIEMI I SŁOŃCA

W kieleckiej Oficynie Wydawniczej Ston 2, w serii zatytuowanej „Sylwetki współczesnych pisarzy”, ukazała się zasługująca na uwagę monografia Stefana Jurkowskiego *Słowo pełne milczenia*. Obiektem krytycznoliterackiej refleksji autora, pisarza o znaczącym dorobku twórczym, stała się poezja Elżbiety Cichli-Czarniawskiej, której pisarstwo (poezja, proza, krytyka literacka) od dawna wymaga pogłębionych studiów i analiz. Jej imponujący dorobek obejmuje siedemnaście tomów poezji, sześć wyborów, w tym trzy dwujęzyczne, siedem powieści, trzy tomy opowiadań, małych próz, wspomnień i szkiców, cztery prace krytycznoliterackie poświęcone twórczości: Jalu Kurka, Władysława Sebyły i Zdzisława Łączkowskiego oraz dwa wybory wierszy (Kazimierza Wierzyńskiego i Juliana Tuwima), które zredagowała i poprzedziła erudycyjnymi wstępami. W sumie blisko czterdzieści woluminów, które ukazują nie tylko ogrom pisarskich dokonań, lecz także ich wzbudzającą podziw rozległość i wielonurtowość.

W kontekście przytoczonych faktów z zakresu twórczej biografii pisarki stwierdzenie, że jej dorobek nie jest dostatecznie znany, zabrzmi niczym herezja. A jednak ośmielam się postawić taką tezę, zwłaszcza w odniesieniu do poezji. Wcześniej, w latach dziewięćdziesiątych XX wieku (gdy Elżbieta Cichla-Czarniawska miała na swoim koncie osiem tomów wierszy, pięć powieści i dwie prace o twórczości Jalu Kurka) podobną opinię sformułował Andrzej Krzysztof Waśkiewicz, jeden z najwnikliwszych znawców ówczesnego życia literackiego w Polsce. Szukając wyjaśnie-

nia tego bolesnego paradoksu, krytyk wskazywał na fakt, że poetka „nie uczestniczyła w żadnym z opiniotwórczych ugrupowań różnicujących”, a – jak wiadomo – w pamięćci „utrwalają się nazwiska, które wyraziście wpisują się w układy odniesienia”.

Cichla-Czarniawska, związana najpierw z Częstochową, a później z Lublinem, chadzała samotnie, nie włączając się w żadne środowiskowe konfiguracje. To z pewnością ważny trop, wiele tłumaczący, zwłaszcza we współczesnym, niezwykle chromym i wielce zatamizowanym obiegu literackim, lecz warto wskazać również na uwarunkowanie dodatkowe: osobność tej poezji. Pisarka od początku poszukiwała własnego języka, który pozwoliłby najtrafniej wyrazić bliskie jej wrażliwości problemy egzystencjalne. Nie uczestniczyła w wystąpieniach zbiorowych, nie podpisywała żadnych manifestów, nie wadziła się z opresyjną rzeczywistością polityczną Polski lat sześćdziesiątych, siedemdziesiątych czy początku osiemdziesiątych XX wieku. Od pierwszych opublikowanych wiersów jest to twórczość bliska człowiekowi w jego egzystencjalnej wyjątkowości i niepowtarzalności, identyfikująca się ze światem jego, nie zawsze łatwych, doświadczeń, poszukiwań i błędzeń. Jest to równocześnie poezja pełna swoistego optymizmu i ufności, co jest szczególnie widoczne we wcześniejszych tomach. A zatem – poezja postawy otwartej, afirmatywnej, pełnej trudnej wiary i nadziei, jakie młoda poetka wiązała u początków swej drogi ze słowem poetyckim. Pisała w inwokacji debiutanckiego tomu: „Glino, pokory wizerunku / w twój śpiew wstępuję – bądź łaskawa”. Przyszłość spełniła to życzenie w pełni. Nie oznacza to wcale, że nie zdawała sobie sprawy ze skali trudności, z jakimi przyjdzie się jej zmierzyć, gdy podejmie próbę wyrażenia tajemnicy egzystencji, a ta interesowała ją najbardziej. W tomie *Wielkie małe głody* znajdujemy charakterystyczne autowyznanie:

*bramy wyobraźni  
bramy rozstajne nazywania  
wielkie i małe bramy  
pochylona przejeżdżę  
nie spotkana przez pewność  
i rozwarta na oścież  
słów potocznemu biegowi.*

Tak się złożyło, że autorka *Spojrzeń w półobrocie* była w moim życiu w pewnym sensie od zawsze. Towarzyszyłem, jako recenzent, jej kilku pierwszym książkom poetyckim i prozatorskim. Już jej debiutancki tom *Określając światłocień* (1966) nie budził moich najmniejszych wątpliwości, że oto na mapie poezji polskiej pojawiła się osobowość odrębna i znacząca. Książka wstępującej poetki wyróżniała się nie tylko wyjątkową kulturą literacką, koherencją zamysłów i ich poetyckich realizacji, wewnętrzną spójnością, lecz także wyraźnie zarysowaną aksjologią. Była, inaczej mówiąc, książką dojrzałą. Podobną konstatację odnajduję u Stefana Jurkowskiego, który, omawiając debiut Cichli-Czarniawskiej, stwierdza z pełnym przekonaniem: „Debiut dojrzały w każdym calu, zapowiadający narodziny świetnej poetki, co wyraźnie potwierdzają jej kolejne tomy” (s. 26).

Starając się przybliżyć czytelnikowi walory tej twórczości: własny, indywidualny język, wnikliwość rozpoznań, oryginalność wyobraźni i istotność zawartych w poszczególnych wierszach przesłań oraz rozszerzające się z tomu na tom pole artystycznych eksploracji, Jurkowski dokonał trudnego i mogącego budzić wątpliwości wyboru interpretacyjnego. Zdając sobie z pewnością sprawę, że czytelnik jego książki będzie miał małą (albo żadną) szansę dotarcia do poszczególnych tomików poetki, przyjął dla swej krytycznej narracji porządek chronologiczny. Wiedzie on od juveniliów do wydanego w 2019 roku tomu *Zanurzeni w mroku*. W praktyce oznacza to, że dzieli się z czytelnikiem swoimi refleksjami z lektury poszczególnych zbiorów, wychwytyjąc i defi-

niując ich specyfikę oraz śledząc artystyczny rozwój omawianej poezji.

Stwierdziłem, że jest to wybór trudny. Dlaczego? Bo zmusza krytyka do udowodnienia, że przyjęta przezeń teza o jednokierunkowej dynamice twórczości Elżbiety Cichli-Czarniawskiej, która z każdym tomem staje się – jak pisze – coraz doskonalsza, jest słuszna. Nie kwestionuję bynajmniej tej tezy. W istocie bowiem poezja tej autorki jawi się czytelnikowi w coraz pełniejszym wymiarze artystycznych możliwości i spełnień. Poetka, na co słusznie wskazuje Jurkowski, praktycznie z każdą nową książką staje się coraz bardziej świadoma własnych możliwości, lecz także ograniczeń. Tajemnica świata, jego nieprzenikalność, metafizyka egzystencji nie chcą się poddać słowu, albo inaczej: poddają mu się z oporami i nigdy do końca. Ale poetka zdaje sobie doskonale z tego sprawę i znajduje na ów, dotyczący każdego ambitnego twórcy, dylemat sugestywną w sensie artystycznym odpowiedź.

Silą jej poezji, podkreśla krytyk, jest to, że w swej interpretacji złożonej tajemnicy bytu niczego nie przesądza, lecz wręcz przeciwnie – wyzwała jej nowe możliwości odczytania. Sens swej twórczości, jak każdy cechujący się wysoką autoświadomością pisarz, widzi w stawianiu ważnych, inspirujących i zmuszających do refleksji pytań, nie zaś w udzielaniu na nie odpowiedzi, gdyż wie, że tych odpowiedzi nie ma. Rzecz w tym, by wynikał z tego określony sens artystyczny, poetycki, by, inaczej mówiąc, z uświadamianych sobie przez poetkę niemożności precyzyjnego nazwania tajemnicy świata i naszego w nim miejsca powstał ważny, poruszający naszą wrażliwość wiersz. By niósł z sobą nowe doznania, by nas, czytelników, duchowo i intelektualnie wzbogacał. Zgadzam się z autorem tomu *Słowo pełne milczenia*, że poezja Cichli-Czarniawskiej funkcję tę bezdyskusyjnie spełnia.

Stefan Jurkowski, prowadząc czytelnika po rozległych obszarach liryki Cichli-Czar-

nawskiej, sięga często do źródła, czyli cytując fragmenty omawianych wierszy i dając im sugestywną, przekonującą interpretację. I to jest jeden z ważniejszych walorów sporządzonego przezeń portretu poetki, daje bowiem nie tylko przykład często bardzo przenikliwego i odkrywczego odczytania artystycznego przesłania jej wierszy, lecz również tak niezbędnej (i niezbyt częstej) empatii, którą przekazuje czytelnikom swego opracowania.

Jednym z jej przejawów jest to, że omawiając odrębne w tej twórczości tomy *Zielny żartopis* (1993) i *Piękna skończoność* (1997) dostrzega w nich nie tylko wyjątkową wyobraźnię, niezwykłą sprawność, wręcz wirtuozerię poetyckiego warsztatu i lingwistyczną pomysłowość, lecz także warstwę głębszą – znaczeniową. Autorka w pierwszym z tomów prezentuje subtelny i wyrafinowany humor poetycki, dla którego punktem wyjścia jest nazwa konkretnej rośliny, w drugim zaś, zbudowanym z siedemdziesięciu dwu sylabotonicznych czterowerszy, przekazuje czytelnikowi zawarte w tych w lapidarnych, urzekających swą błyskotliwością utworach głębokie przesłanie filozoficzne, ujawniając niebanalne, często zaskakujące prawdy o otaczającym nas świecie.

W debiutanckim tomie *Określając światłocieni* pisała Cichla-Czarniawska: „Onie miała wobec ziemi i słońca / milczenie swoje przenoszę / nad struną czasu / najcieńszą”. Analizując kolejne tomy jej autorstwa Stefan Jurkowski udowadnia, że jest to milczenie niezwykle inspirujące i poetycko nośne, owocujące wielu świetnymi wierszami, które w sposób trwały zapisały się w historii polskiej liryki współczesnej.

Empatia Jurkowskiego, o której wcześniej wspomniałem, dotyczy całego tomu *Słowo pełne milczenia. Portret literacki Elżbiety Cichli-Czarniawskiej*. Krytyk przybliży bowiem nie tylko twórczość liryczną bohaterki książki, lecz także jej postać; sięga do biografii, przywołuje jej dzieciństwo i mło-

dość, charakteryzuje najbliższe środowisko, przytacza obszerne kalendarium jej życia i twórczości, wzbogaca narrację bogatym materiałem zdjęciowym, zamykając książkę pełną bibliografią podmiotową i przedmiotową tego interesującego pisarstwa. To z pewnością ważna i potrzebna pozycja, choć jako czytelnik podczas jej lektury czułem pewien niedosyt. W tym miejscu muszę nawiązać do przyjętego przez autora chronologicznego układu krytycznej narracji. To z jednej strony walor, z drugiej sygnał pewnego niedostatku. Odczuwanego paradoksalnie przez czytającego tym silniej, im ciekawiej i wnikliwiej krytyk wywiązał się z podjętego zadania. Wyjaśnijmy ten pozorny paradoks.

Zdarzyła się Elżbicie Cichli-Czarniawskiej, jako poetce, niezwykła przygoda. Jej poezja, nasyciona niepokojem egzystencjalnym, nie zawsze łatwa w odbiorze, znalazła w osobie Stefana Jurkowskiego wnikliwego i wrażliwego czytelnika. Autor książki sam jest poetą, co ma w tym przypadku szczególne znaczenie. Pozwala mu to wyjątkowo precyzyjnie czytać pojemne sensy opisywanych utworów, wychwytywać bogactwo brzmień i urodę słowa, nade wszystko zaś wnikać w pełną mądrego namysłu, otwartą na nieogarnione bogactwo egzystencji i równocześnie niestroniącą od ciemnych stron ludzkiego bytu, filozofię tych wzbogacających nas wierszy. To w czasie wyjątkowo marnym dla literatury, poezji szczególnie, zdarczenie niezwykle. Niosące nadzieję, że być może nie zatraciliśmy się zupełnie. Że jesteśmy wciąż świadomi funkcji i znaczenia poetyckiego słowa, które, choć pełne milczenia (a może właśnie dlatego), niesie w sobie olbrzymie pokłady prawdy o tajemniczy świata, w którym żyć nam przyszło, a więc i o nas samych.

Równocześnie jednak chciałyby się osadzić tę interesującą twórczość w panoramie współczesnej poezji polskiej, ukazać jej wielorakie związki kontekstualne z dokonaniem jej najwybitniejszych przedstawicieli, które

zresztą Jurkowski wymienia we wstępie do swego interesującego opracowania: Wisławy Szymborskiej, Ewy Lipskiej, Krystyny Miłobędzkiej, Urszuli Kozioł, może także wywodzącej się z bliższej Cichli-Czarniawskiej Częstochowy – Haliny Poświatowskiej.

Mam oczywiście świadomość, że w tym momencie zgłaszam zapotrzebowanie na odmienną, całkowicie inaczej pomyślaną książkę. Należy ją jednak chyba napisać, jeśli chcemy dostrzec pełniej wymiar, znaczenie i recepcję omówionej przez Stefana Jurkowskiego poezji.

Edward Zyman

Stefan Jurkowski, *Słowo pełne milczenia, Portret literacki Elżbiety Cichli-Czarniawskiej*. Seria „Portrety Literackie” pod redakcją Stanisława Nyczaja, Oficyna Wydawnicza Ston 2, Kielce 2020.

### III Ogólnopolski Konkurs na recenzję literacką im. T. Karpowicza

II miejsce

Maria Magierska

## WOJCIECH ENGELKING SZUKA GŁOSU

Reprezentantów i reprezentantek pokolenia urodzonego po 1989 roku na polskiej scenie literackiej jest żałośnie mało. Tych wartych uwagi – jeszcze mniej (konkretnie dwójka: Natalia Suszczyńska i Dorota Kotas). Wbrew temu, co próbowano mówić dawno temu Dominice Ożarówskiej czy Dominice Dymińskiej, nikt z polskich milennialistów nie zasłużył na miano nowej Doroty Masłowskiej. Nie było wśród nas żadnego spektakularnego debiutu osiemnastolatki. Nikt nie przenicował zasad języka. Nikt nie rapował ani nie odkrył warszawskim intelek-

tualistom nieznanego świata klasy robotniczej. Krytyka literacka próżno szukała wśród nas nowego talentu i młodzieńczej energii – nie nadawali się do niczego.

I wśród tej naszej mizernej gromadki pojawił się Wojciech Engelking. Jedyne autor z tego pokolenia, który opublikował już nie tylko debiut, ale aż cztery książki i każdą w dobrym, dużym wydawnictwie, o jakim zaczynała w Niebieskiej Studni Dorota Kotas mogła tylko pomarzyć. Mimo dość mizernych recenzji dotychczasowych propozycji Engelkinga jego najnowszą powieść *Serce pełne skorpionów* wydało niedawno wydawnictwo W.A.B.

O swoim najnowszym dziele autor mówi, że dopiero w nim odnalazł swój pisarski głos. Na przekór krytykom i krytyczkom oczekującym z jakiegoś powodu od naszego pokolenia językowych zabaw *à la* Masłowska, jest to głos z konstrukcyjnego punktu widzenia bardzo konserwatywny. Są bohaterowie, są perypetie, jest Warszawa lat sześćdziesiątych XX wieku – żadnych stylistycznych rewolucji. Niestety, aż za bardzo.

Jeżeli coś z tej wartko napisanej powieści sensacyjnej w czytelnicze zostaje, to jest to najwyższe przekonanie o bezgranicznym uwielbieniu autora dla opisywanej przez siebie epoki. *Serce pełne skorpionów* jest przede wszystkim pełnym tęsknoty listem miłosnym do tamtych czasów i powieści. To historia, która bardzo chciałaby być swoimi mistrzowskimi pierwowzorami. Niestety, jakby to powiedział klasyk z innej epoki, autor pomylił niebo z gwiazdami odbitymi nocą na powierzchni stawu.

Najgłośniej w *Sercu...* słychać *Madame* Antoniego Libery. Choć bezpośrednie odwołanie nie pojawia się ani razu, to niektóre strony pobrzmiwają odległym, przebrzmiałym dawno echem tamtej historii. Trochę jakby Engelking dopisał jej dalszą część, która, co prawda, rozgrywa się w tym samym uniwersum, ale już bez wdzięku wersji kanonicznej.

Pozornie wszystko się zgadza: liceum, lata sześćdziesiąte, główny bohater, pierw-

sza miłość, intryga. W *Madame* młody inteligent zakochiwał się w swojej tajemniczej dyrektorce; u Engelkinga to marysueiczna koleżanka z Leningradu. I tutaj, poza wszystkim, cała historia ma wprowadzić głównego bohatera w dorosłość i stworzyć go pisarzem. Kiedy bohaterowie na zmianę recytują wiersze polskich i rosyjskich poetów, przywodzi to na myśl francuskojęzyczne szermierki z *Madame* – a raczej ich bardzo wypaczone, wymuszone i pretensjonalne odpowiedniki. Dyskretna intryga w nowej wersji to szalona, choć dość przeciętnie napisana sensacja, która ma w założeniu równoważyć wątek miłosny. Całość okraszona jest bogatym sztafażem z epoki – tu puszczane oczko, tam nawiązanie; dużo faktów historycznych i bardzo wysoki poziom szczegółu (zamieszczony na końcu powieści dodatek z obszerną bibliografią jest imponujący).

Niestety, za tą rozbudowaną ornamentyką nie się nie kryje. Najbardziej demaskuje to język powieści. Engelking ma właściwie kilka technik stylistycznych, z których wszystkie wykorzystuje do granic czytelniczej percepcji. Nie zliczę, ile razy przejście do nowego akapitu otwiera fraza „jeśli zaś chodzi o X, to...”, względnie „co zaś do Y, to...”. Fakty historyczne, skądinąd ciekawe, narrator wprowadza równie monotennie, zazwyczaj w didaskaliach do dialogu. Bohater słyszy na przykład od rozmówcy o jakimś miejscu i mówi „od razu domyśliłem się, że chodzi mu o...”, i dzieli się informacją historyczną na jego temat. Czasem zastanawiałam się, czy naprawdę to byłoby właśnie to, o czym w takiej chwili pomyślały ten chłopak, warszawianin z lat sześćdziesiątych?

Ta powieść jest jak echo – w treści słychać Libere; w języku mieszankę stylu pisarskiego z tamtych lat. Nie słychać natomiast niemal w ogóle Engelkinga. To bardzo rozczarowujące, bo nie wydaje mi się, żeby naprawdę nie miał niczego do powiedzenia. Nie można mu odmówić erudycji, zdolności obserwacyjnych i fantastycznego języka – wi-



dać to bardzo dobrze w jego publicystyce czy dłuższych, esejujących tekstach do magazynów. W powieściach ta swada zupełnie znika, a cały talent autora chowa się za imitacją tego, co już dawno zostało napisane i pomyślane przez innych. Chętnie przeczytałabym jego eseje. Wydaje mi się, że dopiero w tej formie mógłby zrealizować swój prawdziwy potencjał. Co zaś się tyczy powieści, to jeszcze nie tym, czwartym już, razem.

Maria Magierska

Wojciech Engelking, *Serce pełne skorpionów*, W.A.B., Warszawa 2021.

### III miejsce

Aleksandra Górecka

## NA POCZĄTKU BYŁO...

Światło. Ciało. Ruch „chybotliwy”. Struktura. Liczba pi. A to wszystko by się „zwinąć, zwarzyć, rozpaść i roznieść” na wszystkie strony. Świat ograniczony, strukturalny, wciąż nawołujący się do życia, ale nieustannie kończący się. Trwający i skończony, odliczający i odliczony. Taka rzeczywistość, zainicjowana w języku, a może nawet zniewolona przez język, podporządkowana algorytmom, liczbom i muzyce wylania się z wierszy Andrzeja Sosnowskiego.

Zapewne nie jest niespodzianką, że *Trawers* jest przechadzką (choć czasem wydaje się, że bardziej „przebieżką”) po własnej twórczości. Poniekąd sugeruje to znaczenie słowa „trawers”, które zawiera w sobie ruch: to wspinaczka, wejście na szczyt jedną drogą, a zejście inną. Sosnowski wspiną się więc po własnej sztuce, rewiduje ją, weryfikuje, zmienia. Pozwala jej (wy)płynąć, (wy)puszcza myśli na wolność. Widzimy bezustanny monolog, błąkający się po języku, ciągle szukanie własnego „pozajęzyka”. Wszystko przemawia: „kurz niemal szeptem”.

Twórczość Andrzeja Sosnowskiego poszukuje nowych, niegotowych, kształtów. „Chodzi o przejęcie jakiegoś tradycyjnego języka i wprowadzenie go poza znajome punkty odniesienia.” – komentuje autor. Tomik *Trawers* nie tylko jest zgrabnym połączeniem utworów z *Po Tęczy* i *Poems*, ale ich reanimacją, a poeta bawi się nimi, dopasowuje do sytuacji, coś odejmuje, coś dodaje. Przemienia frazy, nadaje im nowe znaczenie lub pokazuje, że tego znaczenia nigdy nie było.

Wiemy już, że na początku było słowo. Ale jakie? Rozrzucone, rozsypane, byle jakie, gdzie wszystko do wszystkiego pasuje, jak w wierszu *Gdzie koniec tęczy już dotyka ziemi*. Próbuje tę układankę poskładać, nadać sens, ale zjeżdżamy po słowach w dół. Coraz szybciej i szybciej przez coraz więcej słów i znaczeń. Niebezpieczna gra, gdzie jedna literka zmienia znaczenie, zmiana dokonuje się na naszych oczach. Dokonują się „najmniejsze poruszenia”. Hobbesowskie *conatus*, czyli ruch przez punkt w chwili, dzieje się nie tylko w budowie wierszy, ale także w jego warstwie znaczeniowej. *Conatus* jako próba ucieczki od ograniczenia językowego, od formy, „zakresu” przy jednoczesnej świadomości, że nie istnieje niejęzykowa myśl.

Matematyczny świat Sosnowskiego, gdzie nawet ludzkie dążenie jest różniczką, a pomieszczenie znaczeń można opisać jako odległość na polu semantycznym, jeszcze bardziej niż język pokazuje granice rzeczywistości, granice ciała jako struktury wpisanej we wzory. Wszystko przemija, pędzi, jest naznaczone ruchem:

*Szybkość tej pochylni  
Olbrzymi pęd nurtu  
Prowadzą do przez, niebywale światła  
I chemiczne innowacje*

Światło, obecne niemal w każdym wierszu, jednocześnie kreuje i „rozpada się na fale”. Czuć już nie jest metafizyczne, ale fizyczne. Słowa piętrzą się, a pozbawione głębszego znaczenia powodują chaos, roz-

proszenie. Wszystko dzieje się jakby spontanicznie, zgodnie z zasadą termodynamiki – entropia (zawsze) rośnie. Sosnowski nie musi nam o tym mówić, wystarczy, że pozwala słowom płynąć, a one tworzą coraz trudniejszą do uchwycenia ciągłą znaczeń, tym samym ponownie zamykając się w rachunku różniczkowym. Rachunku stworzonym przez Leibniza jako odpowiedź na problemy teodycealne, których w *Trawersie* nie brakuje: kompromitacja przymierza, przeinaczenie opozycji pierwszy – ostatni, wszystko – nic, rozproszone światło i puste słowo. Umniejszone przymioty Boga sprowadzone do sił fizycznych. Boga, którego próbowali udowodnić teorie zbiorów nieskończonych. A jednak Jego wielkość schowana jest między jednym a drugim rozbitym słowem. Dlaczego?

W trakcie czytania wierszy Sosnowskiego może wydawać się wielokrotnie, że to fragment piosenki, która brzmi znajomo. Autor twierdzi, że „muzykę stanowi sam tekst, operowe słowo, które można sobie czytać, gwizdać, mruzczyć, nucić, szeptać, wykrzykiwać [...]”. *Na na na, Ballala lealala*. Poeta odpowiada na Steinerowskie pytanie: „czy istnieje poezja, muzyka myślenia?” bez wahania, a same wiersze, ich budowa, rytm, metaforyczność są tego potwierdzeniem. W *Trawersie* siła połączenia fizyki, matematyki i muzyki z otaczającym światem tkwi właśnie w metaforze, która nawet melodię przenosi na grunt niedosłowny. Wszystko wynika z siebie: translacja muzyki to ruch, w który wprowadza nas dualność sensu i znaczenia, ruch w fizyce, to różniczka w matematyce. Gdzie zatem znajdujemy Boga?

„Kiedy Bóg sobie pośpiewuje, śpiewa algebrę” – pisał Leibniz. Przestrzenie *Trawersu* są niejako transkrypcją tego śpiewu. Zgodnie z twierdzeniem Pitagorasa o odwrotności kwadratów, gdzie muzykę można ująć algebraicznie, każdy wiersz ma inną melodię, różnorodną także w środku, zmieniającą swoje metrum, opadającą, wznoszącą, głośną i cichnącą. Słowa i muzyka są splecione ze

sobą i dzieją się spontanicznie. Płyną, nie tłumaczą się z siebie. W tym właśnie spełnia się ich ontologiczność: „jestem, które jestem”.

Jednocześnie można odnieść wrażenie, że Sosnowski chce opisać rzeczywistość jak najlepiej, co widoczne jest w nieustającym potoku słów. Wszystkiego wydaje się za dużo. I kiedy chaos ma już osiągnąć swoje apogeum, następuje cisza, *schtum*. Obserwujemy koncert wielkiej orkiestry, która na jedno drgnięcie dyrygenta cichnie. Wiersz jest z początku rosnącym chaosem, powiększającym się „horyzontem zdarzeń”, by pod koniec zniknąć, nie zostawić śladu. Paradoksalnie jądro sensu tkwi w tym, co niewypowiedziane. Autorytarne *schtum* potwierdza słowa Zygmunta Haupta: „Entropia wzrasta do zera”.

*Trawers* jest próbą – można nawet zaryzykować stwierdzenie nerwową – przedłużenia trwania ze świadomością zbliżania się końca, usiłowaniem zatrzymania chwili, soczewki, spod której uciekają słowa, szybkie i rozmazane. Kolejne dodane zdania przywręcz obsesyjnym spoglądaniu na zegarek i odliczaniu minut, są aktem kreacji nieskończoności, ucieczką od śmiertelności, od ciała, od struktury.

Z książką powinien zmierzyć się każdy, kto choć raz zastanawiał się, czy można uciec od świata i języka. Najbardziej jednak polecam ją tym, którzy uważają, że „należało zwątpić”.

Aleksandra Górecka

---

Andrzej Sosnowski, *Trawers*, Biuro Literackie, Stronie Śląskie 2017

Wyróżnienie

Maciej Karabon

## POETYCKO- EKONOMICZNY TRAKTAT O PRZEBUDZENIU

Widmo krąży nad tomem *Bailout* Tomasa Bąka – widmo kapitalizmu. Poeta, którego w trzech poprzednich tomach poznaliśmy jako życiowego przegrywa, starającego się odnaleźć w małomiasteczkowym zastoj, ponownie staje w kontrze do neoliberalnego dyskursu. Bąk w pierwszych słowach poematu zaznacza: „Niniejszym nieco się porywam. / Bo nie tylko czuję, ale i poczuwam się”. To „poczuwanie się” jest *differentia specifica* nurtu poezji zaangażowanej, zwracającej uwagę na polityczny kontekst rzeczywistości, której Bąk stał się już ikonicznym przedstawicielem. Wkurzenie na pełną nierówność, zideologizowaną rzeczywistość, podbudowuje *Bailout* – ogromny poetycko-ekonomiczny traktat, mający ocucić nas i uzdrowić z miłości do wolnego rynku.

Orężem, którym poeta chce rozpracować kapitalizm, jest przejście języka ideologii: „Tak zwanych ekspertów, / poza drogim garniturem, wyróżnia właśnie język”. Bąk, świadomy relacji języka i władzy, informuje nas *explicitie* o swoim pomysle:

*Z góry zaznaczam, że będę mówił językami  
menedżerów i księgowych,  
bo to w języku wąskiej grupy specjalistów od  
[finansów  
kryje się tom do otwarcia systemu*

Osią, wokół której nieustannie krąży *Bailout*, jest kryzys finansowy z roku 2008. Poeta wciąż na nowo stawia pytanie o jego przyczynę i przechodząc od odpowiedzi

„ekonomicznych”, wyrażonych w fachowej terminologii i liczbach, dociera do głębiej ukrytych powodów. Front krytyki stale się rozszerza: siła mitów (o racjonalności kapitału, wspólnotowości, wyciąganiu z biedy, skuteczności obniżania podatków), bezduszność instytucji finansowych, chciwość, uwidmowienie kapitału, szowinizm, europocentryzm, liberalna edukacja ekonomiczna. Krytyka ma więc charakter wielowymiarowy i totalny.

Poemat nie tylko tematyką, lecz także samym językiem – odartym z liryczności i metafor, czasem wręcz podręcznikowym – bardziej niż poezję przypomina wystąpienie prelegenta na konferencji TED. „Wkurw” na osobistą sytuację prekariusza, będący emocjonalnym motorem poprzednich tomów, został tutaj poddany racjonalnej obróbce. Bohater poematu jest obok tekstu, a nieliczne prywatne wzmianki mają charakter anegdot dodanych dla uatrakcyjnienia przekazu. To odsubiektywizowanie osłabia możliwość zaangażowania czytelnika. Jeżeli bowiem poezja ma nas porwać, to skuteczna droga do tego wiedzie nie przez racjonalnie wyłożone argumenty, lecz przez emocje, wypływające z osobistych (autora i czytelników) doświadczeń. Można, oczywiście, przeczytać *Bailout* na jednym tchu i wymamrotać pod nosem: „Bąk masakruje kapitalistów”. A jednak należy oczekiwać po poezji zaangażowanej czegoś więcej niż (dobrego, a jakże!) artykułu umieszczonego w „Krytyce Politycznej”. Tej poezji brakuje tego, co dla zaangażowania najważniejsze – by nas zabolalo.

Łączy się to z drugim problemem *Bailoutu*. Tym, co gasi w czytelniku rewolucyjny żar, pozostawiając w zamian miłe samopoczucie, jest iście hollywoodzka struktura dzieła. Jak dokumentalne filmy o palących problemach współczesności, tak poemat Bąka, po serii katastroficznych wizji, kończy się kojącym fragmentem pełnym nadziei. Trudno przeczytać ostatnie partie poematu, nie nucąc pod nosem wraz z Lennonom *Imagine*:

*A widzę to tak:*

*wstaniemy o świcie, w pierwszych odbłyśkach dnia,  
skrzące latarnie wskażą nam drogę  
do fabryk i biur, które będą nam drogę  
i nigdy nie będziemy chcieli pamiętać  
czasów, w których należały do kogoś innego,  
nasze dniówki będą pełne niby żrebne klacze,  
nasze cele zostaną ustalone wspólnie,  
nasze deadline'y wreszcie będą bezpieczne.*

A jednak, w sposób nieoczekiwany, poemat działa. Prowadzeni przez Bąka mamy wrażenie, że rozumiemy powody kryzysu. Mieszanka racjonalnie brzmiących tez, okraszona fachowym żargonem wprost z „Pulsu Biznesu”, sprawia wrażenie argumentacji opartej na solidnych podstawach. Jest to kołysanka wprost z wnętrza ideologii, która powoduje, że zapadamy w neoliberalną drzemkę. Lecz nagle, i to ten punkt zaskoczenia stanowi o krytycznej mocy projektu, następuje moment przebudzenia. Orientujemy się, że to, że coś z tego pojmujemy, jest jedynie złudzeniem. Nikt przecież nie rozumie co się dzieje: „Jeśli jesteś bankiem, zawsze możesz powiedzieć, / że nie wiesz, co się stało, / i nie wiesz, co z tym zrobić”. Jak działa ta kołysanka? Posłuchajcie:

*Zyski mierzono według wyceny mark to market.  
Kiedy wystąpiła zniżka na rynku nieruchomości,  
finansiści musieli podjąć próbę spieniężenia aktywów,  
żeby nie zbankrutować – co okazało się niemożliwe.  
Na tym właśnie polegał deleveraging.  
Po pewnym czasie kredyty subprime,  
których rynek tak gwałtownie się załamał,  
zaczęto nazywać pożyczkami neutronowymi.*

Brzmi wiarygodnie, prawda? Bąk jest świadomy swojej sztuczki, co sam demaskuje we frazie kończącej wykład o derywatywach: „Brzmi mądrze, / zwłaszcza jak na coś, co nie istnieje”. W eksperymencie na czytelniku poeta pokazuje, jak pozornie racjonalny dyskurs potrafi zgasić potencjał rewolucyjny. Wiemy od samego początku, że elity finansowe nie mają pojęcia, co się właściwie dzieje, a jednak wciąż dajemy się nabrać na ich słowotok. To „przebudzenie” jest orzeźwiające i to właśnie w nim, a nie w pozytywnych

postulatach autora i racjonalnie opracowanej krytyce, kryje się nadzieja. Tutaj ukrywa się moc poezji Bąka.

W *Bailoucie* autor stara się iść wąskim przesmykiem, na granicy dyskursu ekonomicznego oraz poezji, by z owej granicy opisywać i poddawać krytyce neoliberalny koszmarm. Poemat jest próbą wyjścia poza dylemat Slavoja Žižka, który wskazywał, że kapitalizm nie można skutecznie krytykować ani od wewnątrz, ani z zewnątrz. Poeta, przebijając się w kostium liberała robi to z przestrzeni „pomiędzy”. Kiedy w hollywoodzkim stylu próbuje dać nam nadzieję, to się nie udaje – wpada bowiem natychmiast w mechanizmy rządzące wolnym rynkiem. Lecz kiedy uważnie balansuje, trzymając się owego „pomiędzy”, zauważamy prześwity w zdawałoby się tak doskonałym, racjonalnym i szczelnym kapitalistycznym systemie. I nagle słyszymy, że dzwoni budzik i pora już wstawać.

Maciej Karabon

Tomasz Bąk, *Bailout*, Wojewódzka Biblioteka i Centrum Animacji Kultury, Poznań 2019.

Anna Fiałkowska

*Wyróżnienie*

## AUTORKA I JEJ WYZNANIE

Dorota Kotas zadebiutowała w zeszłym roku dobrymi – i bardzo dobrze przyjętymi – *Pustostanami*. Wydana przez niewielkie wydawnictwo Niebieska Studnia niedługa powieść fragmentaryczna zgarnęła niespodziewanie dwie bardzo ważne nagrody literackie. Może się wydawać, że to istotne tylko z historycznoliterackiego punktu widzenia, ale *Cukry*, czyli druga książka Kotas, w dużej mierze dotyczy przemiany autorki z debiutantki w laureatkę.

Na początek warto zadać pytanie: czym są *Cukry*? Nie jest to powieść fragmentaryczna ani też, jak wielokrotnie określano *Pustostany*, zbiór opowiadań. To wyznanie. Gatunkowo tkwi gdzieś pomiędzy szkicem a dziennikiem. Co więcej, kategoria wyznania idealnie opisuje drugą książkę Kotas, ponieważ próbuje ona powtarzać gest Jeana-Jacques'a Rousseau. *Cukry* otwiera znaczące zdanie: „Chciałabym napisać samą prawdę” (s. 5). Następnie wskazany zostaje czas ich napisania. Narratorka opisuje własny proces diagnostyczny, w wyniku którego otrzymała informację, że jest osobą w spektrum autyzmu oraz ma zespół Aspergera. W procesie wzięła udział „pomiędzy Nagrodą Literacką Gdynia a Nagrodą im. Josepha Conrada. To jest odpowiedź dla osób, które lubią pytać, ile jest autorki w narratorce (lub na odwrót). Teraz podaję właściwą odpowiedź: jest po równo. Dokładnie tyle, ile dałam radę spisać” (s. 10).

Gest usunięcia figury narratora nie jest innowacyjny. Kotas w *Cukrach* próbuje zaprzeczyć śmierci autora, wielokrotnie podkreśla, że to właśnie ona, autorka, której nazwisko figuruje na okładce, jest w książce osobą mówiącą. Wszystkie snute przez nią opowieści, począwszy od wtajemniczenia czytelnika w dorastanie i relację z rodziną, poprzez doświadczenie spotkań autorskich oraz otrzymania nagród literackich, aż po orientację seksualną i postrzeganie świata w sposób nieneurotypowy, mają być postrzegane jako autentyczne. Druga książka Kotas jest w warstwie treściowej skoncentrowana na uświadamianiu odbiorcy, że w trakcie czytania ma dowiedzieć się, co znajduje się w głowie autorki. W efekcie stałe podkreślanie, że autorka „postanowiła [...], że napisz[e] książkę tak, żeby wpuścić wszystkich, którzy ją przeczytają do środka [jej] głowy [...]” (s. 108) sprawia, że trudno jest *Cukry* potraktować inaczej niż jako zmuszenie czytelnika do docenienia ich nie jako literatury, ale jako obrazu samej autorki.

Przesunięcie punktu ciężkości z treści i formy książki na to, że ma być postrzegana jako autentyczne wyznanie, nie pozwala odbiorcy na sformułowanie krytycznej opinii bez uczucia, że jednocześnie krytykuje osobę twórcy. W *Cukrach* to właśnie autorka, a nie jej dzieło, są na pierwszym miejscu. Kotas sporo czasu poświęca własnej reakcji na odbiór debiutu. Podkreśla, że „[p]rzed pisaniem tego tekstu przeczytała [...] na swój temat wszystkie złe opinie w internecie. Postanowiła [...], że wyciągnie wnioski i ulepszy[ę] warsztat” (s. 9). Domaga się także wyrażonej wprost oceny: „ostatnio ktoś mi powiedział, że za mało wchodzę w kontakt z czytelnikami, to prawda, dlatego zdecydowałam się wejść. Czy to działa, czy moja książka jest teraz lepszą wersją siebie i jest lepsza niż pierwsza książka?? Proszę o odpowiedź. Można zakreślić ją tutaj: tak/nie. Sprawdzę to przy autografach” (s. 108). Trudno zrozumieć decyzję o oparciu siły działania *Cukrów* na osobie autorki. Jest to co najmniej anachroniczne; zdaje się wskazywać, że inni autorzy i inne autorki w swoich książkach nie wpuszczają czytelnika do swojej głowy.

*Cukry* są zapisem doświadczeń. Jest to zbiór opowieści, notatek i obserwacji. Autorka przegapiła jednak bardzo ważną sprawę: dzieło nie może zawierać w sobie jego oceny. Nawet jeśli twórca chce podkreślić, że jest narratorem swojej książki, a poprzez czytanie odbiorca ma dostęp do jego przemysłów, nie sprawia, że jest to automatycznie literatura ciekawa czy dobrze napisana. Wyznanie nie usuwa możliwości jego wartościowania. Doświadczenie to źródło inspiracji twórcy, obserwacja to jego narzędzie. Podkreślanie, że *Cukry* pozwalają na wgląd do głowy Doroty Kotas wywołuje śmieszność – czy w takim razie czytanie *Braci Karamazow* lub *Absolutnej amnezji* nie jest wejściem do głowy ich autorów? Skoro nie zaznaczyli oni, że piszą o czymś „autentycznym”, o swoich doświadczeniach lub „prawdziwych” obser-

wacjach, to w kontekście *Cukrów* ich proza nie może odbiorcy zafascynować, dotknąć lub wzruszyć poprzez pokrewne emocje albo doznania?

Dorota Kotas wykorzystała swoją szansę na opublikowanie autoterapeutycznych notatek. Być może *Cukry* pomogły jej uporządkować drogę do terażniejszości, w której, jak sama mówi o sobie, „z czasem została [...] znaną pisarką” (s. 29). Ciężkość wyznania i uciążliwa autotematyczność – czy to w postaci osadzania dzieła w rzeczywistym czasie i miejscu, czy to jako pisanie o procesie pisania – usuwają ciekawą lekkość obserwacji, za którą zostały docenione *Pustostany*. Urywana narracja, niespójny język oraz afabularne snucie opowieści dają obraz książki pretensjonalnej i egotycznej.

Są w *Cukrach* fragmenty, które sugerują, że z zapisków mógł powstać zbiór ciekawych opowiadań. Najlepiej książka broni się, kiedy mówi o traumie międzypokoleniowej, toksycznej relacji z rodziną, odczuciach związanych ze zderzeniem postpamięci i późnego kapitalizmu. Chwilami świetnie oddaje rozterki pokolenia millenialsów. Później jednak powraca zawsze do „autentyczności” i wybija odbiorcę z immersji kolejnym przypomnieniem, że czyta on „całą prawdę”. W efekcie *Cukry* Doroty Kotas zapadają się pod swoim własnym ciężarem. Oprócz narratorki, będącej autorką, wiele znaleźć w tej książce nie można.

Anna Fiałkowska

Dorota Kotas, *Cukry*, Wydawnictwo Cyranka, Warszawa 2021.

Eliza Cichocka

## JESTEŚMY SŁOWOZMĘCZENI

M. miał niebieskie oczy i chciał być morzem. Morzem bezkresnym. Morzem słonym jak lzy. Bo w morzu można się schować przed samotnością i przed słowami. Słowami, których za dużo i tymi, których wypowiedzieć nie sposób”.

Joanna Concejo, ceniona polska ilustratorka, prezentuje kolejny picturebook – zatytułowany *M jak morze*. Przedstawia M. – zagubionego chłopca i samotną duszę. Chłopca ze światem na dłoni i statkiem w butelce. Z morzem w sercu. Doświadczającego nieskończoności, dzięki kilku łagodnym falom szaroniebieskiej wody. Morze jest w jego wspomnieniach, w spacerach z dziadkiem, w niebieskim szkieleku znalezionym na plaży. Morze przechowuje w sobie wszystkie wakacje sprzed lat, przywołuje je niespodziewanie. Powracają jak echo.

M. nie chce być już mały. Chce wykrzyzczyć złość i smutek, ale własny głos wydaje mu się dziwny, jakby odbijał się od tego drugiego brzegu. Po tamtej stronie fal. Przemówić nie jest bowiem łatwo ani w dzieciństwie, ani w dorosłości. Odróżnić swój głos od innych, unoszonych na wietrze – równie trudno. M. chce być wolny jak morze, bo ono zawsze jest pełne tajemnic, nieuchwytnie. Chowa w sobie kolejny świat. Tak jak M., choć on jeszcze nie potrafi i nie może odkryć wszystkich jego barw.

Morze zazwyczaj jest spokojne, tylko w szare dni zalewa brzeg niespokojnymi falami. Joanna Concejo z wrażliwością i fantazją prezentuje wiele odsłon morza, zamykając cząstkę jego bezkresu na każdej ilustracji. Bo ilustracje mają tu ogromne znaczenie.

Picturebooki to bowiem nieprzeciętna forma literatury – i bardzo niepopularna,

choć doskonale wpisująca się w dzisiejszy szybki świat. Literatura ze słowem jako dodatkiem. Słowem, które nie przytłacza, ale zaprasza do podróży. Czule prowadzi. Z ilustracją, która delikatnie otula. Z ich więzią, jakby nigdy nie istniały bez siebie.

Książka Concejo jest dla mnie jak chwila oddechu po długim biegu. Chwila, w której świat wokół lekko się rozmywa, a ja przenoszę się do mojej własnej wewnętrznej przestrzeni i odkrywam ją. Czy potrzebuję więcej akcji, więcej bohaterów? Wiem, tak jak M., że słowa to odpowiedzialność. Bo wszyscy jesteśmy słowozmęczeni. Z perspektywy roku 2020, burzliwego i pełnego sztormów, próba ucieczki od zbędnych słów stała się wyjątkowo trudna. Bo żyjemy w nieustającej, rozległej narracji. Często cudzej. W szumie informacyjnym i przeciążeniu bodźcami. W dobie obietnic bez pokrycia i słów wypowiedzianych zbyt pochopnie. W dobie ukrywania emocji.

Picturebooki przypominają mi, że nadal potrafię czuć, nie tylko analizować, że potrzebuję przestrzeni na pogubione myśli, nie gotowych odpowiedzi. Bo nigdy nie wiadomo, czy ktoś nie stoi po drugiej stronie morza. Nie czuje i nie czeka tak jak ja.

Eliza Cichocka

---

Joanna Concejo (tekst i ilustracje), *M jak morze*, Wydawnictwo Format, Wrocław 2021.

## Daria Zmiejewa

### ŻYCIE W ZBROI

Mireczek. Podtytuł zdradza mi, o czym jest ta książka: „Patoopowieść o moim ojcu”. Wiem, że będzie osobiście i szczerze. Od pierwszych stron Ola Zbroja zagłębia mnie w swoją historię, wciąga w orbitę zdarzeń i ludzi skupionych wokół jej relacji z ojcem. Alkoholikiem.

Ola Zbroja (będę mówić Ola, nie Aleksandra - przeczytałam książkę i wydaje mi się, że Olę już trochę znam) buduje opowieść za pomocą odwróconej chronologii. A zaczyna się jak u Hitchcocka - od śmierci Mireczka. Dalej napięcie rośnie, moją pierś uciska coraz cięższy kamień, bo ciężar doświadczeń dorastania w rodzinie trawionej rakiem alkoholizmu jest przytłaczający. Mimo tego choć Oli towarzyszyć w tej trudnej retrospektywnej podróży w głąb osobistej historii złożonej z dłuższych i krótszych rozdziałików. Cofamy się, ja i Ola, coraz dalej w czasie w poszukiwaniu źródeł, przyczyn przeobrażenia się Mirosława Zbroi w Mireczka.

Ola pisze reportażowo, z pierwszej linii frontu. Krótko, zwięźle. Ale też poetycko, metaforycznie. Ten eliksir starannie skomponowany ze słów i zdarzeń łyka się szybko i gładko, strona za stroną. Później ma się od tego kaca, boli brzuch, ścisza w gardle. Ola o doświadczeniach bolesnych pisze pięknie i celnie. I choć treść jest bardzo intymna, to nie traci egzaltację. Szczerość i prostolinijność nie sugeruje nadmiernej wylewności, nie wprawia mnie w zakłopotanie.

Studium przypadku Mireczka odbywa się z udziałem badaczy, naukowców, filozofów, pisarzy i innych światłych głów. Ola robi szeroko zakrojony research, z różnych stron próbuje spoglądać na relacje ojca z wodą oraz ojca z resztą otoczenia (w tym z nią samą).

Pomaga to sprofilować Mireczka, trochę go wyjaśnić, ale czy przynosi rozwiązanie? Zaspokojenie?

Lektura nasuwa egzystencjalne pytania o poszukiwaniu ja – czy musi się ono odbywać przez pryzmat bycia dzieckiem alkoholika? Czy nie można amputować z autobiografii ojca-pijaka i być po prostu sobą, a nie córką tego a tego? Czy ustalanie swojej tożsamości zawsze odbywa się pod pręgierzem więzów krwi? Razem z Olą próbuję znaleźć właściwy stosunek między córką a ojcem alkoholikiem, który przecież nie jest tożsamy ze zwykłym układem dziecko-rodzic. To jest patoopowieść, a więc dotyczy patorelacji. Ola otwiera je, przywołuje, bada, porównuje, a ja jej towarzyszę. Słucham uważnie, przysłucham się. Kibicuję, ale w gruncie rzeczy nawet nie wiem, czemu konkretnie.

W książce pojawia się jeszcze jeden wątek, który trzyma w napięciu, a zarazem stanowi klamrę tej opowieści. Mianowicie zagadka kryminalna. Przez całą książkę Ola (i ja) oczekujemy na wynik sekcji zwłok. Co zabiło Mireczka? Mirosława zabrała wódka, ale co spowodowało zgon Mireczka? Nie wiem, ale się domyślam. Prawdziwa odpowiedź przychodzi dopiero na końcu książki. Czekam w napięciu razem z Olą, niecierpliwie się. Jak umarł? Przecież to oczywiste. Ale jednak nie. Może ktoś go zabił? Nie mogę ponaglić babci, jak Ola. Muszę czekać do końca, czytać dalej.

Książka Oli Zbroi jest ostrą krytyką kulturowego niedoszacowania zagrożeń płynących z nadmiernego picia, powszechnego przyzwolenia na sięganie po wódkę przy dowolnej okazji, nieufności wobec abstynentów, pobłażliwości dla pijacków. Często ironią i sarkazmem wymierza ciosy w niezdrawe polskie relacje z wódką.

Od początku lektury dręczy mnie myśl, że jest to książka uniwersalna. Niby dotyczy tego jednego, niepowtarzalnego Mireczka, ale tak naprawdę są ich dziesiątki tysięcy. Występują osobno lub parami, całymi rodzi-

nami, są dowolnej płci i w każdym wieku. Każda osoba dotknięta mireczkolizmem jest nosicielem nieszczęścia i zguby, którymi infekuje kolejne osoby, szczególnie te bliskie. Alkoholizm to bardzo złośliwa odmiana nowotworu.

Książka zostawia w poczuciu niepokoju. Jeśli coś się nie zmieni, to czeka nas zguba. Choć w swoim życiu tylko otarłam się o alkoholików, tę prawdę znam. Wojtek, ojciec mojej przyjaciółki z dzieciństwa, koczował na dworcu w Piastowie wiecznie obsrany i na rauszu, do czasu aż umarł. Bliska mi osoba została niepijącym alkoholikiem w wieku nastoletnim. Wcześniej prawie straciła życie, leżąc nieprzytomna w zaspie. Często obserwuję, jak dzieci znajomych moich rodziców oglądają swoich najbliższych pijanych, natarczywych i bełkotliwych. Widziałam, jak ojczym innej przyjaciółki rzucił kocieciem o ścianę po wrocie z własnego wesela, na którym on (albo małżonka – też wstawiona) zgubił kopertę z pieniędzmi (kocię nie przeżyło). Znam koleśka, który zaczynał od piwka pod blokiem, a po odsiadce nie pije nawet kawy.

Założę się, że każdy kogoś zna, coś słyszał, sam doświadczył. Ta lektura to gorzko uświadamia. Ola wyjaśniła mi Mireczka. Dzięki temu uważniej patrzę na świat. Dzięki temu znam zagrożenia. Boję się tylko, że nie potrafię im zapobiec.

Daria Zmicjewa

---

Aleksandra Zbroja, *Mireczek. Patoopowieść o moim ojcu*, Wyd. Agora, Warszawa 2021.



Kinga Sabak

## CHODŹMY DO ŻABKI

W świecie Kaczanowskiego ludzie mają do wyboru dwie opcje. Pierwsza: godzić się na zasady rządzące światem, tj. pracować w korporacjach, konsumować dużo i szybko, żyć bezmyślnie i zlewać się w szarą masę. Druga: nie godzić się i starać się żyć po swojemu, oddzielnie. Ostatecznie ani jedni, ani drudzy nie są szczęśliwi, ale autor w swojej powieści kolejny już raz skupił się na tych pierwszych, obnażając ich beznadziejną kondycję w równie beznadziejnym świecie.

Sklep Żabka. Symbol szybkiego życia, kompulsywnego nabywania i jednolitego krajobrazu. „Na kasie” nowy pracownik, wytatuowany kasjer legionista, który równie dobrze mógłby wystąpić w teledysku do utworu *Chleb* Doroty Masłowskiej (gdymy tylko Masłowska dotarła wówczas do Żabki). Przy kasie dwie osoby: „grubawy, przepocorny facet po pięćdziesiątce” z identyfikatorem państwowego archiwum i Alicja, dyrektorka w lokalnej firmie produkującej zabawki. Mężczyzna chce kupić wodę mineralną, ale nie jest to tak proste, jak mogłoby się wydawać. Najpierw kasjer zadaje mu pytanie o aplikację sklepu, później informuje, że w asortymencie pojawiła się nowość – mrożone mięso. Klient czuje się osaczony i napaśtowany, reaguje złością. Alicja nie rozumie jego zachowania i staje w obronie legionisty: „Nie rozumie pan, że kasjer ma obowiązek zadać te pytania, że jest z nich rozliczany? Taki to problem odpowiedzieć dwa razy «nie» grzecznie i spokojnie?”. Ostatecznie przepocorny mężczyzna oblewa Alicję kupioną przez siebie wodą (a może nie zdążył kupić?) i wychodzi. Pracownik państwowego

archiwum jest zatem tym, który nie godzi się na nowe zasady rządzące światem, w którym zawsze można kupić coś jeszcze, kupić więcej. Alicja jest zaś tą osobą, która się na nie godzi. Kasjer wyjęty ze świata Masłowskiej jest w tej grze tylko pionkiem, do tego dość brutalnie i stereotypowo przedstawionym przez Kaczanowskiego.

## Szczęśliwa rodzinka

Bohaterką powieści jest trzyosobowa rodzina. Każdemu jej członkowi poświęcono tu osobny rozdział. Robert występuje jako pierwszy, a jego opowieść jest sporo dłuższa od reszty. Pracuje w agencji reklamowej, czyli „wciska komuś gówno przy pomocy gówna”. Do tego masturbuje się do kamery, myjąc jednocześnie zęby, w trakcie seksu z żoną udaje psa, a w firmie inicjuje grę polegającą na wysyłaniu sobie nagich zdjęć. „Robert nie jest szczęśliwy, ale nie jest też nieszczęśliwy” – tak twierdzi narrator, ale czytelnik może mieć wątpliwości. Robert to postać dynamiczna – zaczyna zdawać sobie sprawę z bezsensu świata w którym żyje, ma poczucie braku autentyczności, jest bezradny i zrezygnowany. Jego nieszczęście jest odczuwalne.

Żoną Roberta jest Alicja, „zmęczona, wkurwiona i znudzona”. Nie jest szczęśliwa z Robertem, ale też jest bierna. Nie robi nic, co mogłoby poprawić jej sytuację. Może to zmęczenie rodziną spotęgowało fascynację wytatuowanym kasjerem z Żabki? Alicję „wkurwia własna irytacja” i pięcioletnia córka Mika, która także dostaje w powieści swoje pięć minut. To ona w dosłowny sposób obnaża absurdy świata, zasady, które nim rządzą i pracę swoich rodziców. W sposób symboliczny ucieka do swoich zabawek, bo są bardziej bezpieczne od tego, co nazwać możemy „normalnym życiem”. Ostatecznie kładzie się na ziemi i „umiera”, czekając na pomoc zagubionych rodziców. Sama w tym świecie przecież sobie nie poradzi.

### Utrata autentyczności

Kaczanowski już samym tytułem sugeruje nam kierunki interpretacji swojej powieści. Zielona okładka książki ze słowem „utrata” umieszczonym w logotypie sieci sklepów Żabka wygląda jednoznacznie. W książce pada ono kilkakrotnie. Jako „Robert Utrata” przedstawia się bohater recepcjoniście hotelu, utratę czują ludzie, którzy zażywają preparat farmaceutyczny klientów Roberta i o skojarzenia właśnie z tym słowem pyta Robert Alicję którejś nocy. Bohaterowie kluczą wokół tego terminu. Ale o tym, że życie nie ma sensu, przecież już wiedzą i zdają sobie sprawę z utraty życiowej energii i radości. Chodzi o coś innego. W tej powieści Robert i Alicja prawdopodobnie w sposób nieświadomy próbują odzyskać autentyczność, którą gdzieś utracili. Robert w trakcie seksu z żoną wyznaje: „Pokażę ci moją skrywaną twarz”. Alicja ma jeszcze większą potrzebę obnażenia się i odzyskania autentyczności (pozornie niezrozumiałe sceny jej rozbierania się do naga w przymierzalniach czy spektakularne wyjście całkowicie nago z Żabki na ulicę).

Dziwaczny i nieoczywisty pomysł miał Kaczanowski na przedstawienie tej chęci „odkrycia siebie” na nowo, odnalezienia autentyczności przez bohaterów. A gdzie zgubiła się autentyczność, której tak rozpaczliwie szukają Robert i Alicja? Może w konsumpcyjnym świecie, gdzie każdy upodabnia się do każdego i wykonuje te same czynności, by podolać comiesięcznej spłacie raty kredytu? Może w świecie, w którym stajemy się szarą masą, tak szarą w swej szarości, jak zielone w swej zieleni stały się sklepy Żabka, pojawiające się wszędzie zamiast dawnych lokalnych sklepików?

W powieści nie daje już pocieszenia życie rodzinne, nie daje pokrzepienia sentymentalny powrót do dzieciństwa, strój chłopca na dniu przedszkolaka, sojowe latte w bufecie ani akty perwersji i ciągle żarty. Kaczanow-

ski – podobnie jak we wcześniejszej powieści *Bez końca* – zniekształca świat, gorzko-ironicznie go diagnozuje, uwypukla niedoskonałości współczesnych realiów i nie pozostawia żadnej nadziei. W *Utracie* jesteśmy niczym „gotowe dania” z Żabki, które, już przeterminowane, ale jeszcze niewyrzucone, leżą w zapchanych lodówkach kuchni naszych korpoprac. Gnijemy powoli, bo nikomu nie chce się posprzątać i wyrzucić nas na śmietnik. Kaczanowski jest dobry w beznadzieli.

Kinga Sabak

Adam Kaczanowski, *Utrata*, seria Proza Biura Literackiego, Biuro Literackie, Stronie Śląskie 2021.

### Paweł Jaskulski

## OPERACJE NA MARTWYCH DUSZACH

Odbiorcy, którzy najpierw sięgnęli po *Krótkie wywiady z paskudnymi ludźmi* Davida Fostera Wallace’a, będą zaskoczeni stroną formalną *Niepamięci*. Wallace nadal ma swoje ulubione tematy, motywy, nieprzepracowane obsesje. Nadal posługuje się oryginalnym stylem, ale radykalnie innym sposobem konstrukcji. *Niepamięć* zawiera utwory napisane bardziej tradycyjnie niż *Krótkie wywiady z paskudnymi ludźmi*. Czytelnikowi tym razem będzie o wiele łatwiej zapamiętać teksty Wallace’a już po jednokrotnej lekturze, ponieważ *Niepamięć* to proza fabularna, a tym samym relatywnie prosta do okiełznania. W *Krótkich wywiadach...* poza wyjątkami (np. *Na zawsze w górze; Samobójstwo jako forma prezentu*) Wallace skutecznie zwodzi odbiorcę, dezorientuje, zasypuje lawiną długich przypisów (niekiedy dłuższych niż tekst właściwy), których przecież był królem, co dla większości czytelników ozna-

cza albo jednorazową przygodę z tym pisarstwem, albo konieczność ponownej lektury. Być może pisarz uznał, że wyczerpał formułę quasi-opowiadań i postanowił pójść w bardziej klasycznym kierunku. Wszak utwory opublikowane w *Niepamięci* oryginalnie ukazały się pięć lat po pierwszym wydaniu *Krótkich wywiadów...*

W poprzednim zbiorze Wallace potrafił skondensować opowieść do pół strony, jak w otwierającej tom *Radykalnie zwięzłej historii życia postindustrialnego*. W *Niepamięci* nie stawia na redukcję, lecz na dłuższe, rozbudowane teksty, które mogłyby funkcjonować jako osobne powieści. Dopiero jednak we własnym sąsiedztwie opowiadania Wallace'a pokazują swoją prawdziwą moc i kunsztowność zamysłu autora. Każdy utwór stanowi na pozór odrębną całość, ale nie ma przeciwskazań, żeby spojrzeć na nie jak na jedno, spójne dzieło, w którym świat przedstawiony zamieszkuje osobowości neurotyczne, będące na skraju wyczerpania nerwowego.

Na kartach *Niepamięci* próżno szukać choćby jednej postaci, o której z pełną odpowiedzialnością można byłoby powiedzieć, że wiedzie szczęśliwe życie osobiste. Równie trudnym zadaniem będzie wskazanie bohatera, który czułby się spełniony zawodowo. Mimo że bohaterowie opowiadań *Mister Squishy* czy *Kanału cierpienia* robią zawrotną karierę zawodową, to wydają się być totalnie zagubieni w korporacyjnym chaosie. Są raczej ofiarami odtwarzanego codziennie rytuału, a nie ludźmi sukcesu, pod którego płaszczykiem ukryte jest niewypowiedziane cierpienie. W sondzie ulicznej utrzymanej w poetyce „gadających głów” postaci powołane do życia przez Wallace'a prawdopodobnie nie udzieliłyby ani jednej szczerzej odpowiedzi odnośnie do własnej sytuacji.

Ten wszechogarniający kryzys przekłada się również na niemożność stworzenia dłuższej relacji miłosnej. Najczęściej taki stan rzeczy kończy się przywyknięciem

do samotności i starannie zaprogramowanym aktem autoerotyzmu (*Mister Squishy*) lub totalnym rozkładem życia małżeńskiego, podważającym sens formalizowania związków (*Niepamięć*). Nawet gdy w opowiadaniach Wallace'a pojawiają się dzieci – zazwyczaj w formie wspomnień narratora – nie przynosi to żadnego ukojenia. Być może pisarz zakpił z przypisywania większego znaczenia niektórym traumom z dzieciństwa, co nie zmienia faktu, że bohatera dziecięcego konstruuje na własnych zasadach, przez co są to zazwyczaj osoby naznaczone piętnem marazmu, wkraczające w dorosłe życie ze świadomością własnych wad i słabości (*Stary dobry neon*).

Tom jest świetnie skomponowany. U Wallace'a nawet najmniejszy ruch, np. spoglądanie na własne paznokcie, nie pozostaje bez komentarza. W moim odczuciu arcydziełem jest opowiadanie *Jeszcze jeden pionier* – znakomite, alegoryczne studium władzy, wpływu jednostki na zbiorowość. Wallace analizuje w nim źródła podziału na elity i masy społeczne.

Proza autora *The Broom of the System* jest przynębiająca. Jej bohaterowie błądzą, a ich zagubienie podkreśla również język. Translatorskie zdolności Jolanty Kozak są powszechnie chwalone, a jej przekłady Wallace'a uchodzą za kongenialne, ale warto pamiętać, że inny tłumacz, Michał Tabaczyński, znalazł w nich sporo punktów spornych. Być może niektóre kwestie rzeczywiście wypadają zbyt zawile, a może po prostu brzmią dziwnie w języku polskim. Wielopiętrowe zdania mogą nastęrczyć niektórym odbiorcom problemów, niemniej w odróżnieniu od *Krótkich wywiadów...* w *Niepamięci* Wallace częściej operuje konkretem, który powinien być bliższy czytelnikom – to destrukcyjna rzeczywistość korporacyjna i charakterystyczna dla niej terminologia, wielkomięjska przestrzeń, psychoterapia (przedstawiona, rzecz jasna, w krzywym zwierciadle) etc. Nowoczesna literatura Wallace'a zachowuje coś ze Stendha-

lowskiego zwierciadła, ale nie przechadza się już po gościńcu; raczej po *open space*'ie.

W czym pisarz – i czy w ogóle – dostrzeżał szansę dla współczesnego człowieka? Konkretny porad udziela w książce *This is Water* będącej rozszerzoną wersją przemówienia wygłoszonego przez niego podczas rozdania dyplomów w Kenyon College. Wielkiej szansy upatrywał w trudnym wyzwaniu, jakim jest nauka samodzielnego myślenia. Odczytanie refleksji zawartych w *Niepamięci* powinno pomóc czytelnikom w osiągnięciu lub w przybliżeniu się do tego, wcale nieoczywistego, celu.

Paweł Jaskulski

David Foster Wallace, *Niepamięć*, przełożyła Jolanta Kozak, Wyd. W.A.B. Warszawa 2017.

Joanna Najbor

## PROSIMY O DOTYKANIE EKSPONATÓW

Na początek taka zabawa: zgodnie z sugestią redaktorki naczelnej „Dwutygodnika”, Zofii Król (a poniekąd także samego autora, Marcina Wichy) *Kierunek zwiedzania* stanie się w niej budynkiem. Oczywiście, mowa o budynku muzealnym – w tej grze dopuszczalne jest podążanie za strzałkami, ale uprzedzam, więcej frajdy da przeszlizgnięcie się przez tylne wejście dla personelu i wędrowka pod prąd. Taka lektura ma liczne zalety: pozwala na zmianę trasy w dowolnym momencie, czytanie jednej strony dwadzieścia razy, albo zgubienie zakładki i rozpoczęcie całej gry od nowa. Słowem – wszystkie czytelnicze oszustwa dozwolone. (Pan Wicha byłby z tej zabawy zadowolony).

Pierwsza wersja wycieczki przeznaczona jest dla tradycjonalistów, grup szkolnych

i tych, którzy na wystawę trafili przypadkiem, urzeczeni atrakcyjną oprawą wizualną zaprojektowanych przez Przemka Dębowskiego drzwi wejściowych. Poznamy tu mniej język autora *Jak przestatem kochać design*, a bardziej samego Kazimierza Malewicza – artystę, wizjonera oraz, a może przede wszystkim, oszusta. Przewodnik zapowie temat wycieczki lekko znudzonym głosem: „był twórcą polskiego pochodzenia, o którego upominają się też Ukraina i Białoruś”. A potem namalował obraz, punkt zero, czarny kwadrat rozłożony równiutko na białym tle; niezręczną dziurę w całym, „po której – doda przewodnik – nie już nie będzie takie samo”. Idźmy w to, jeśli mamy ochotę, wędrując zgodnie z kolejnością sal, przyjmijmy rytm tej paramuzealnej narracji (Państwo to sobie wyobrażają?), zatrzymując się przy obrazach celowo przez kuratora wyeksponowanych. Ale także przy innych, bo to jest właśnie taka książka: zostawiająca miejsce na domysły, spekulacje i inspirowanie się. Książka hołdująca wyobraźni na opak, która otwiera w głowie wiele drzwi – także te do Nowego, Lepszego Muzeum.

Dru ga (i ostatnia) z proponowanych ścieżek ma swój początek, oczywiście, na końcu. To znaczy: w bieli czwartej strony okładki, na dnie niezmaconym biogramami, pospieszonymi streszczeniami i poleceniami pań z telewizji. To miejsce, w którym ważne będą wrażenia haptyczne i emocje płynące z dotknięcia czystego eksponatu; należy koniecznie sprawdzić, jak zareaguje pod palcami gładkie, białe płótno okładki (czego nie można w muzeum, jest wskazane tutaj). A potem wyciągnąć z tej emocji wnioski.

Ta wersja trasy przeznaczona będzie dla znudzonych linearnym schematem przyczynowo-skutkowym, albo tych, którzy do książki powracają, ceniąc sobie wrażenia literackie bardziej niż prawdę i realizm opisu. Życie i sztuka Malewicza posłużą tu za materiał do dyskusji o granicach sztuki. W programie będzie też o: sile wyobraźni, złudzie wspo-

mnień, a także licznych domysłach, które biografie starają się aż nazbyt ekspansywnie zawłaszczać. Należy przy tym zwrócić uwagę na pozornie nieistotne anegdoty, drugoplanowe postaci i wyrwane z kontekstu kadry, opowiedziane (w końcu to Marcin Wicha!) czułym i zwięzłym językiem.

Wybierając tę trasę, skupmy się na fragmentach zapisanych kapitalikami i charakterystycznej formie wypowiedzi narratora, występującego tym razem w roli przewodnika-komentatora-ironisty. Chyba nie będzie przesadą stwierdzenie, że autor – dla wielu osób już przecież kultowych – *Rzeczy, których nie wyrzuciłem* – znów wyznacza reguły pisarskiej mistyfikacji, grając z oczekiwaniami czytelniczki i kreując nowe schematy narracyjne, do których trzeba się dostosować (nigdy na odwrót). Po raz kolejny będziemy więc mieć do czynienia ze szpargałami pamięci, odpadkami życiorysów czy też – zestawem znakomicie oprawionych w ramę dygresji, prowadzących aż do czasów współczesnej Warszawy i, *nomen omen*, narastającego kryzysu klimatycznego.

Ta wersja lektury to także prowokacja, mająca zainspirować czytelniczkę do wyogłowania życiorysu malarza i samodzielnie wygrzebania ciekawostek w archiwach codzienności byłego Imperium Radzieckiego. Historia w wersji DIY – na podstawie podanych elementów odwórz całość, przypomnij sobie mity o pozornych wielkościach Twórców i Narodów – i wyrzuć je do kosza. Na końcu nie będzie puenty, lecz okładka: labirynt ze słów o grubych nogach, bieg przez designerski font Tor Grotesk z czarnym czworokątem na miecie (który w prawdziwym świecie na pewno byłby dostępny w sklepie z pamiątkami w formie breloczków i lakierowanych podkładek pod kubki).

To, oczywiście, tylko propozycja i można do tej lektury (a także samego procesu pisania recenzji) podejść bardzo serio. Tylko jak można inaczej pisać o książce bojkotującej tradycyjne typologie, której autor hołduje

świeżości wypowiedzi artystycznej i nawołuje do przekraczania gatunków literackich? Czy przewodnikowa forma recenzji będzie tu choć odrobinę bardziej właściwa niż standardowy korowód pochwalnych epitetów, których Wicha – jestem pewna – i tak dostanie teraz bardzo wiele?

Możemy już chyba otwarcie mówić o fenomenie tego autora, o swoistym wichizmie, w którym stopniowo pogrąża się polski świat krytyki; wichizmie, prowadzącym też do dyskomfortu, czy może nawet lęku, związanego z nieudolnością, daremnością interpretacji jego nowych języków. Pokrzepieniem wydaje się być propozycja samego pisarza: skoro, *per analogiam*, biografia nie musi koniecznie być biografią, także recenzja nie musi być tekstem krytycznym; może być podobna do rebusa, fraszki lub przewodnika po zaniedbanym skrzydle muzealnego budynku. Wierzę, że *Kierunek zwiedzania*, oprócz szczerzej wartości literackiej, może też funkcjonować jako apel o więcej luzu w literackich strukturach i precyzji (ale i rozwagi) w słowach. Tym bardziej, że zarówno punktem wejścia, jak i wyjścia jest w tej opowieści „nic szczególnego, naprawdę, nic szczególnego”. To „nic” w interpretacji Wichi znów okazało się Wszystkim, na co w ogóle można w literaturze liczyć.

Joanna Najbor

---

Marcin Wicha, *Kierunek zwiedzania*, Wydawnictwo Karakter, Kraków 2021.

Przemysław Głuchowski

## GROZA ODCZŁOWIECZENIA

Jeżeli chodzenie tam nie było dla nich grzechem, to czym było? Ratunkiem przed skrajną biedą i możliwą śmiercią? To nie jest argument bezpodstawny. Szybkim zarobkiem, dającym wyróżnienie wśród społeczności? To z kolei argument płytki i małostkowy. Czy w ich mniemaniu było coś, co usprawiedliwiało ten grzech? Owszem, było. Człowiek, niezależnie spod jakiej jest szerokości geograficznej, zawsze znajdzie sposób na racjonalizację swojego najbardziej wstrętnego czynu. Nawet jeżeli nie mówiłoby się o grzechu, czyli czymś bezpośrednio związanym ze światopoglądem religijnym, a o czynie po prostu złym moralnie, to wciąż w mocy pozostaje pytanie: Skąd bierze się ta destruktywna wola odczłowieczająca innych? Nie ma na to prostej odpowiedzi. Są natomiast skomplikowane mechanizmy polityczno-społeczno-psychologiczno-lingwistyczne, mające w swoim mianowniku tezę, że my jesteśmy dobrzy, a oni są źli. W ten sposób wypierali przekonanie, że mogą robić coś wątpliwego etycznie. A więc wypierali. Dystansowali się. Spróbuj zacząć raz jeszcze. Ale tym razem nie będę się od tego dystansował. Jeżeli chodzenie tam nie było dla nich grzechem, to czym było?

Paweł Piotr Reszka zapoznaje nas z mieszkańcami Bełżca i Sobiboru, wsi zlokalizowanych w okolicach byłych obozów zagłady, którzy byli tak zwani kopaczami, przeszkubającymi po II wojnie światowej kości, proch zmieszany z ziemią oraz niezupełnie rozłożone ciała ofiar, aby znaleźć w nich złote zęby, kolczyki, zegarki i inne kosztowności, dające możliwość zarobku. Proceder wykopywania szczątków zamordowanych Żydów

w mniemaniu większości osób bezpośrednio w to zaangażowanych, jak i ich potomków, nie był działaniem zbezczeszczającym. Kopali. To już wiemy. Dlaczego kopali?

Powodów jest co najmniej kilka. Niektóre wydają się prozaiczne. Kopali, ponieważ miejsca, w których leżały ciała pomordowanych Żydów nie były w żaden sposób oznaczone. Nie stało tam żadne ogrodzenie, żadna tablica czy pomnik. To wszystko pojawiło się dopiero później, a nawet i to nie wszystkich odstraszyło. Bez symboli, wyznaczających granicę między *sacrum* a *profanum*, mieli do czynienia – odwołując się do terminu ukutego przez Martina Pollacka – ze skażonymi krajobrazami. Wobec tego nikt nie czuł się winny, gdy kopał doły, czy gdy nogą odgarniał ziemię, licząc na znalezienie jakichś precjozów. Ta bezduszna postawa to zmora ludzkości, rodząca się w społecznej anomii, gdzie nie ma miejsca na moralność wewnętrzną, refleksyjną, wywodzącą się z podejścia humanistycznego, tylko na moralność nakazaną z zewnątrz regulacjami biurokratycznymi albo drutem kolczastym.

Niektórzy kopali także z powodu „niskiego poziomu umysłowego”, co jednocześnie stanowiło zmniejszenie stopnia ich winy. W ten sposób skwitował postawę oskarżonych jeden z sędziów przywołanych w *Pluczkach*. Ale najważniejszym powodem kopania było odczłowieczenie Żydów przez nazistowskie Niemcy. Propaganda ta udało im się znakomicie, ponieważ spowodowała wdrukowanie Polakom przeświadczenia, że mają do czynienia nie z ludźmi, a z nieznaczącymi Żydkami. Przekonanie to stało się tak silne, że niektórzy jeszcze dziś w nie wierzą. To jest wielki problem, z którym spotykamy się także współcześnie, bo co rusz jakiś polityk młaska jęzorem, że ktoś nie jest człowiekiem. Takie stwierdzenia budzą grozę.

Po przeczytaniu *Pluczek*... czuję zmęczenie i ulgę. Nie dlatego, że zmierzylem się z dziełem obszernym, o skomplikowanej strukturze i napisanym wymagającym językiem, lecz

dlatego, że jego autor wejrzał w głąb polskiej mentalności (której częścią przecież i ja jestem) i wyłożył na wierzch brud skrywany przez jej reprezentantów pod dywanem hipokryzji. Ot co! Ponowne jego zamiecenie jest bezcelowe. Na to już za późno. Stałem w szranki ze stwierdzeniem o winie Polaków. Teraz mi najwyczejniej wstyd, bo dowiaduję się, że kilkadziesiąt lat po wojnie dalej nie widzimy nic złego w szabrowaniu wśród szczątków zamordowanych Żydów. Książka zarówno ta, jak i wiele innych o podobnej tematyce, powinna być dla nas przestroga, katalizatorem zmian mentalnych i społecznych; politycznych i lingwistycznych także. Zacznijmy się uczyć na własnych błędach.

Przemysław Głuchowski

Paweł Piotr Reszka, *Pluczki. Poszukiwacze żydowskiego złota*, Wydawnictwo Agora, Warszawa 2019.

Izabela Jabłońska

Debiut

## PRZERWAĆ CYKL DZIEDZICZENIA TRAUMY

Czytam *27 śmierci Toby'ego Obeda* Joanny Gierak-Onoszko. Jest tu mnóstwo rzeczy do przemyślenia, a moje myśli szybko umykają. Myślę jednocześnie o ludobójstwie rdzennych dzieci w kanadyjskich szkołach z internatem i o tym, jak powinnam ocenić konfederację barską (jutro, o 11.50 mam sprawdzian). O tym, jak oceniać Targowicę myśleć nie muszę, tutaj – wiadomo. W szkole, przed Targowicą i Barem, uczyłam się o „zdobyciach kolonialnych” – „wielcy”, „mądrzy” osadnicy z Europy, zachęcani najnowszymi odkryciami nauki, wyruszają w podróż w nieznanne. Piękna historia o mężczynach w perukach, z busolami w rękę na

tnących ocean karawelach. Przy okazji mordują 56 milionów rdzennych mieszkańców Ameryk, ale to nie jest ważne. Ważny jest syfilis! Przecież to na niego (sprowadzonego właśnie z Nowego Świata) zmarło cztery miliony Europejczyków. To wielka liczba, fakt historyczny, jest na niego miejsce w moim podręczniku. 56 milionów rdzennych Amerykanów nie ma, to czternaście razy więcej, fakt historyczny, ale o nim w mojej książce nie ma nic. Szukam informacji, przewracając kolejne strony podręcznika: „Temat II: PRZEMIANY GOSPODARCZO-SPOŁECZNE W EUROPIE”. Jak widać – fakt faktowi nierówny.

Sięgam po książkę Joanny Gierak-Onoszko, bo czegoś mi brakuje. Sprawdziłam liczbę w internecie (stąd te 56 milionów), do kolejki na YouTube dodałam wszystko, co znalazłam po wpisaniu *Indigenous Peoples*. Ale to tylko fragmenty, a ja, zmuszona do samodzielnej nauki, chcę kogoś, kto mnie poprowadzi przez tę historię, o której już wiem, że nie będzie łatwa. Tym kimś będzie tytułowy Toby Obed oraz Phil Fontaine, Henry Pitawankwata, Toby Sicks i wszyscy inni, których spotkam w szesnastu rozdziałach tej niesamowitej książki.

Przed lekturą na wewnętrzną stronę okładki naklejam zielone karteczki samoprzylepne. Będę nimi zaznaczać wszystko to, co wyda mi się istotne, wszystkie rzeczy do zapamiętania. Naklejam ich dziesięć. Zaznaczam też ołówkiem inne ważne zdania i wypowiedzi. Tyle że jeśli zaznaczam „to, co ważne”, powinnam zaznaczyć każdą stronę. Jeśli chciałabym zaznaczyć to, co muszę zapamiętać, wszystkie słowa książki zostałyby podkreślone. Więc czytam tę książkę niezwykle uważnie, choć tak bardzo mnie wciąga. Staram się zapamiętać jak najwięcej, bo przecież w szkole, choć mam „rozszerzoną historię”, nikt mi o niej nie opowie.

I właśnie o szkołach traktuje większa część tej opowieści. W kanadyjskich szkołach zamknięto co najmniej sto pięćdziesiąt

tyścy dzieci, ale nie tylko one ucierpiały. Ucierpieli wszyscy, nie tylko pojedyncze społeczności, ale wszyscy ci, których powinniśmy nazywać *Indigenous Peoples* – Rdzenne Narody, które na terenie dzisiejszej Kanady żyły na długo przed pojawieniem się tam białego człowieka.

To jest pierwsza rzecz, która mnie uderza – język. Kanadyjczycy nie uważają go wyłącznie za „zbiór słów i reguł ich łączenia w wypowiedzenia, służący do porozumiewania się ludzi między sobą” (definicja *Wielkiego słownika języka polskiego*). „W Kanadzie umówiono się, że język ma znaczenie wykraczające poza dosłowny przekaz, ma moc sprawczą. Uważa się, że procesy społeczne zaczynają się od słów, a język jest narzędziem, jak inne”. Mieszkając w Polsce, ma się z tym problem, bowiem „dyskusje o tym, jak zwracać się do mniejszości, często nas omijają”. Ostatnio plakat *Stop calling me murzyn* obiegł internet i prasę, ale na tym się skończyło. O słowie „Indianin” nie było dyskusji. Kto miałby ją zresztą zacząć? W szkole nikt z nami o tym nie rozmawia. A przecież trzeba! Nawet jeśli Pierwsze Narody, Inuici i Metysi mieszkają siedem tysięcy kilometrów stąd, czy usprawiedliwia to nas, byśmy we własnym języku porozumiewali się za pomocą słów przypominających „czasy, w których biały człowiek próbował narzucić autochtonom, kim mają być i jakie imię mają nosić”? Nie odpowiadajmy: „To nas nie dotyczy”. Jeśli chcemy pracować nad naszą lokalną wrażliwością (kto nie chce?), pracujmy też w skali globalnej. Nawet jeśli nigdy nie będzie nam dane pokonać tych siedmiu tysięcy kilometrów, naucmy się języka dla wszystkich, nie tylko dla wybranych.

Kanada odrabia zaległe ćwiczenia z wrażliwości, ale z niektórymi wciąż nie umie sobie poradzić lub dopiero niedawno sobie poradziła. Joanna Gierak-Onoszko przybliży nam wielkie procesy, które wstrząsnęły Kanadą. Pokazuje sceny pojednania, takie jak przeprosiny premiera Trudeau, złożone na

ręce Toby’ego Obeda, ale nie przemilcza zapomnianych akt z Cochrane, które Kanada ukrywała przed światłem dziennym. Oprócz rozmów z „ocaleńcami” *Indigenous Peoples* oraz ich adwokatami, usłyszymy też rozmowy z tymi, którym błędy zostały wytknięte.

Szczególnie skłonił mnie do myślenia watek malarki, która zafascynowała się twórczością Norvala Morisseau, wywodzącego się z Pierwszych Narodów. Artystka, która „kochała Norvala” i jego malarstwo, nie mogła zrozumieć, dlaczego inni zamiast podzielać jej uczucia, krytykowali je za brak wrażliwości. Dlaczego? Sami musimy odpowiedzieć sobie na to pytanie. Joanna Gierak-Onoszko pozostawia nas z wieloma pytaniami płynącymi z przeprowadzonych przez nią rozmów. Odpowiedzi na nie szukała także autorka, która opowiada o tym, że sama popełniała błędy, ale uczyła się, jak nie robić ich w przyszłości. Tak jak wszyscy powinniśmy, zaczęła odrabiać zadania, których nigdy nie zadano nam w szkole.

Rozdział szesnasty, kończący książkę, jest idealnym podsumowaniem wszystkich historii tworzących tę opowieść. Uświadamia, że procesy rozpoczęte dwieście lat temu uruchomiły machinę, mającą zniszczyć tych, którzy byli w Kanadzie od wieków. Bici bili. Gwałceni gwałcili. A ci, nad którymi się znęcano, znęcali się nad innymi. System szkół założonych w 1828 roku dla edukowania dzieci rdzennych mieszkańców Ameryki rozpoczął cykl dziedziczenia traumy. Evelyn Korkmaz ma nadzieję, że jest w stanie go zatrzymać: „Myślę, że może po to (się urodziłam), by zatrzymać ten cykl”. I chyba tak można najprościej opisać tę książkę: opowiada o cyklu dziedziczenia traumy, o tym, jak się rozpoczął i jak Kanada próbuje sobie z nim poradzić. I o tym wszyscy powinniśmy wiedzieć.

Izabela Jabłońska

---

Joanna Gierak-Onoszko, *27 śmierci Toby’ego Obeda*, Fundacja Instytut Reportażu, Wydawnictwo Dowody na Istnienie, Warszawa 2019.



# KRONIKA

## GIGANT (WSPOMINANIE MICHAŁA FOSTOWICZA)

*Nieobecność trwa nieukończona*

*w służbie wieczności*

*dzięki niej kształt pusty może być użyteczny*

Michał Fostowicz-Zahorski, *Życie bez końca*

W Międzygórzu, nad potokiem Bogoryja znajduje się ośrodek wczasowy pod nazwą Gigant 1882. Architektonicznie tkwi wyraźnie w epoce kształtowania się miejscowości jako jednego z centrów terapii klimatycznej. Dobie narodził ogólnoeuropejskiego ruchu „czarodziejskich gór”. W swoim obecnym stanie emanuje również nostalgią dekad minionych, kiedy to służył jako jeden z domów wczasowych w centralnym systemie dystrybucji wypoczynku. Dzięki akcji Stowarzyszenia Międzygórze Reaktywacja oraz szczególnie zaangażowaniu osobistemu Agnieszki Wierszałowicz i Marka Karwowskiego (międzygórzanina, niegdyś aktywnego uczestnika dolnośląskiego życia młodoliterackiego), a także wsparciu wielu ludzi dobrej woli, zrealizowano tutaj 12 czerwca 2021 roku przedsięwzięcie *Miejsce po Michale*, upamiętniające Michała Fostowicza-Zahorskiego (1948–2010). Ze względu na pandemię dziesięciolecie jego śmierci obchodzono z półrocznym spóźnieniem (zmarł w grudniu 2010 roku).

Zgodnie z oczekiwaniami spotkanie okazało się niezwykle ważne dla kultury, czyli samoświadomości mikroświata Gór Śląskich, której może właśnie Michał Fostowicz pozwolił przejawić się najistotniej, zakorzenić najgłębiej. Karol Maliszewski przedstawił go jako poetę, w drugiej części swej wypowiedzi śledził zaś jego ślad w wierszach Jacka Podsiadły i Krzysztofa Śliwki, którzy swego czasu odbyli również pielgrzymkę do międzygórskiego Domu Wśród Róż. Zofia Mirska odczytała obszerny autoreferat, jaki Fostowicz przygotował z racji obrony swojej pracy habilitacyjnej. Przedstawiony został film TVP Wrocław *Wolna miłość* (1996), z udziałem Agnieszki Mazanek, jego realizatorki (wspólnie z Krzysztofem Landsbergiem). Odbył się spektakl Marcina Czerwińskiego, który w zaciemnionym wnętrzu odczytywał przy świetle kolejno zapalanych świec fragmenty esejów. Na zakończenie, już w pobliskiej pizzerii, zagrała Grupa Eksperymentalna, luźno inspirowana się dziełem Fostowicza.

W ogólnej rozmowie po filmie, a także w pogwarkach kulturalowych, obraz poety i filozofa dopełniały anegdoty przyjaciół o „czasach marnych”, o jego perypetiach rodzinnych i surowości bytowania w górach. Ale przede wszystkim o emanacji jego niezwyklej osobowości

(w symbiozie z osobowością żony, Alicji Zahorskiej). Prócz wymienionych obecni byli także inni przedstawiciele dolnośląskiego środowiska kulturalnego: Mirosław Awiżeń, Roman Gileta, Leszek Kopcio, David Magen (Tomasz Leśniowski), Iwona Matuszkiewicz, Bogusław Michnik, Krystyna Oniszczyk-Awiżeń, Krzysztof Śliwka i Stanisław Zydlik. Jako starosta powiatu kłodzkiego wystąpił oficjalnie poeta Maciej Awiżeń. Wydarzeniu towarzyszyła obszerna wystawa obrazów Fostowicza i oryginalny katalog, operujący środkami wynikającymi z koncepcji ukazania nieobecności – zderzeniem ekspresyjnej kolorystycznie przestrzeni obrazu Fostowicza z pustką niezadrukowanego prostokąta, przeźroczystością kart, na których umieszczono kilka wybranych pod tym kątem jego wierszy, szarością i nieostrością przetworzonego graficznie zdjęcia autora. W publikacji znajduje się również szkic wspomnieniowy Henryka Wańka pt. *Dom Michata* („Jeśli dla wielu, w tym i dla mnie, Michał był żywą legendą, to jeszcze bardziej się nią stawał, gdy się zobaczyło, gdzie mieszka”).

Trzeba powiedzieć, że podczas całego spotkania dało się wyraźnie słyszeć głos samego artysty. Kiedy w skondensowanej formie jego myśli zabrzmiały w autoreferacie, kiedy słyszeliśmy jego samego wypowiedziającego się w plenerze „czarodziejskiego międzygórza”, kiedy po ekranie wędrowały, słowo po słowie, maszynopisy jego wierszy, wreszcie gdy słuchaliśmy jego słów interpretowanych przez aktora. Pozostawało wrażenie towarzyszenia w dotykaniu rzeczywistości na głębszym, intuicyjnym i paradoksalnym poziomie, właściwym dla duchowości Wschodu. Z charakterystyczną dla buddyzmu konsekwencją i bezwzględnością konfrontowania się z centralną problematyką kultury europejskiej, z takimi jej pojęciami jak miłość, wolność, sztuka, sprawiedliwość etc.

Obcowało się nie z ekwilibrystyką umysłu, lecz odkrywaniem świata w jego postaci nieoczywistej („Realność Świata Wizji” – tak się nazywało, wspomniane też przy tej okazji, świdnickie sympozjum, którego duszą był Michał Fostowicz). To właśnie całościowość wizji, jej koherentność, sprawdzalność w rozmaitych dziedzinach i sytuacjach, narzucająca się konieczność wyrazu, sprawiała, że poeta, filozof, badacz kultury odbierany był jako mędrzec. Mądrość jest ową wiedzą najogólniejszą, wiedzą o „wszystkim”, ale nie w sensie analitycznym, tylko syntetycznym. Kiedy jednostka zdaje się być jedyną istnieniem, zaś świat przestaje być myślą o świecie. W tym tkwi zasada jej uniwersalności i w tym tkwi moc Fostowiczowego przekazu, niezależnie od tego, czy zetknęło się z nim za jego życia, czy po śmierci. Prawda bytu w „świecie bez prawdy”, jak zatytułował swą książkę eseistyczną.

Antoni Matuszkiewicz

## WALKA O NAJWAŻNIEJSZE SPRAWY (NIE TYLKO) LITERATURY – III EDYCJA KONKURSU NA RECENZJĘ LITERACKĄ IM. T. KARPOWICZA

Czy pandemia SARS-CoV-2 sprzyjała młodym krytykom? Mieli więcej czasu na lekturę książek, refleksję o nich, pisanie? A może już przy trzeciej edycji ten unikatowy, adresowany do młodych krytyków konkurs na recenzję literacką (im. Tymoteusza Karpowicza, organizowany przez Wrocławski Dom Literatury, ale wymyślony przez Olę Tokarczuk i jej męża Grzegorza Zygadłę z myślą o festiwalu Góry Literatury w Nowej Rudzie, gdzie co roku w lipcu odbywa się jego rozstrzygnięcie), stał się bardziej znany i przyciągnął więcej osób, które w sposób świadomy i odpowiedzialny próbują swoich sił w krytycznym pisaniu?

Źródło: <https://pl-pl.facebook.com/festiwalgoryliteratury/photos>



Wręczenie nagród laureatom III edycji konkursu na recenzję literacką im. T. Karłowicza. Od lewej stoją: Maciej Karabon, Anna Fiałkowska, Aleksandra Górecka, Maria Magierska, Igor Kierkosz, Irek Grin i Magdalena Rabizo-Birek, Festiwal Góry Literatury, Pod Wiatami, Włodzice 24.07.2021.

Na pewno magnesem przyciągającym do konkursu zainteresowanych literaturą młodych ludzi jest także możliwość bliskiego spotkania z Noblistką i gośćmi festiwalu Góry Literatury 2021 (przysłowiowe „wspólne zdjęcie”). Nie bez znaczenia dla jego atrakcyjności jest wyborowe grono jurorów i jurerek, złożone z gwiazd krytyki i dziennikarstwa: Kingi Dunin, Grzegorza Gaudena, Karola Maliszewskiego, Wojciecha Orlińskiego i Kazimierzy Szczuki. To silne osobowości z wyrazistymi poglądami i zainteresowaniami, o wyrobionym literackim guście. Mają ogromne doświadczenie krytyczne i redaktorskie: długie lata czytania książek, pisanie, mówienia i dyskusowania o nich, redagowania pism i wydawania publikacji, udziału w gremiach jurorskich najważniejszych literackich konkursów. Przecież od dawna miejscem pracy krytyków nie są wyłącznie papierowe i elektroniczne media, ale także uczelnie i szkoły, wydawnictwa oraz instytucje kultury. Moja skromna osoba w tym znacym gronie reprezentuje – tak chciałabym to widzieć – nurt krytyki akademickiej, „konstruktywnej”, może nawet lekko konserwatywnej, a na pewno „pozycjonowanej” faktem bycia przeze mnie od wielu lat redaktorką kwartalnika literacko-artystycznego. Podobnie jak Grzegorz Gauden czy Wojciech Orliński czytając konkursowe prace, myślę przede wszystkim o tym, czy nadają się do publikacji i współbrzmia z zainteresowaniami redakcji „Frazy” (np. czy dotyczą szerokiego grona naszych autorek i autorów oraz przykuwających uwagę „książek i nazwisk gorących”); często też sprawdzam, czy traktują o literackich nowościach.

W tegorocznej edycji konkursu, podczas jak zawsze żywej dyskusji w gronie jurorów, aspekt „nowościowy” omawianych przez nas prac konkursowych nieco pominęliśmy. W rezultacie, dwie z nagrodzonych i wyróżnionych prac (Aleksandry Góreckiej o wydanym w 2017 roku *Trawersie* Andrzeja Sosnowskiego i Macieja Karabona o wydanym w 2019 *Bailout* Tomasza Bąka) oraz kilka z recenzji nominowanych do nagród dotyczą książek sprzed dwóch i więcej lat. Czy jednak miały one wiele recenzji i czy na pewno zostały wszechstronnie zin-

terpretowane? Nam, jurorkom i jurorom, wydawało się, że nie i że prace konkursowe wnoszą sporo nowego do ich recepcji. Niekiedy – tak bywa w dobrych, uskrzydłonych natchnieniem recenzjach – udaje się ich autor(k)om, opierając się na jednej tylko książce, przenikliwie (i zwięźle!) przedstawić fenomen twórczości danego pisarza (to był mocny argument za wyróżnioną trzecią nagrodą pracą Aleksandry Góreckiej o *Trawersie* Sosnowskiego).

Wszystkie pozostałe nagrodzone i wyróżnione prace, na czele z uhonorowaną I nagrodą recenzją Igora Kierkosza z najnowszej książki Marcina Wichy *Kierunek zwiedzania*, także są popisami sztuki krytycznego czytania i pisania o książkach (to moja propozycja definicji recenzji). W nagrodzonym zestawie spotykamy recenzje bardziej „rozważne” (analityczne – jak wspomniane prace Kierkosza i Karabona oraz tekst Łukasza Żurka o powieści *B. Bomb* Marty Kozłowskiej) i bardziej romantyczne (czytaj: emocjonalnie zaangażowane, krytyczne – przykładem uhonorowana drugą nagrodą recenzja Marii Magierskiej z powieści *Serce pełne skorpionów* Wojciecha Engelkinga i wyróżniona recenzja Anny Fiałkowskiej z *Cukrów* Doroty Kotas). Wszystkie budzą podziw odwagą zmierzenia się młodych krytyków z lekturami trudnymi, wymagającymi wszechstronnych kompetencji – od genologicznych i poeologicznych, po kulturowe, psychologiczne, filozoficzne, społeczne, czy nawet polityczno-ekonomiczne – jak było w przypadku recenzji Karabona i Żurka.

W tym roku wybierając prace nagrodzone i wyróżnione, postawiliśmy przede wszystkim na krytyczny profesjonalizm i niektórym z nas (zwłaszcza jurorkom) żal było tekstów wskazanych przez nas do nagród za osobisty ton, swoistą autobiograficzność recenzenckich opinii i sądów. To były recenzje-dzienniki z lektury, konfrontujące omawiane książki z własnymi doświadczeniami i obserwacjami autorów i autorek; recenzje „serdeczne”, nieukrywające wywołanych lekturami żywych emocji. I na takie teksty jest miejsce w krytyce, zwłaszcza w tej jej części, w której łączy się ona i przenika z literaturą piękną. Cieszę się, że mogą nadrobić ten brak na łamach „Frazy”, prezentując teksty: Darii Zmiejewej, Elizy Cichockiej, Przemysława Głuchowskiego i debiutującej na naszych łamach licealistki (w trakcie pisania recenzji) Izabeli Jabłońskiej. Ich recenzje dotyczą książek, które, skądinąd, wywołują żywe emocje czytelników, bowiem poruszają sprawy trudne i bolesne: alkoholizmu bliskich (Aleksandry Zbroi *Mirzeczek. Patoopowieść o moim ojcu*), tajemnic dojrzewania (picturebook Joanny Concejo *M jak morze*), ukrywanych dekadami przestępstw kościołów chrześcijańskich (na czele z katolickim) i społeczeństwa ludzi białych wobec kanadyjskich Rdzennych Ludów (Joanny Gierak-Onoszko *27 śmierci Toby'ego Obeda*), polskich „poszukiwaczy złota” w zbiorowych mogiłach ofiar Holokaustu (Pawła Piotra Reszki *Pluczki. Poszukiwacze żydowskiego złota*).

Pozostałe konkursowe prace, które prezentujemy w tej „Frazie” – Joanny Najbor o *Kierunku zwiedzania* Marcina Wichy, Kingi Sabak o *Utracie* Adama Kaczanowskiego, Pawła Jaskulskiego o *Niepamięci* Davida Forstera Wallace'a – są udanymi przykładami recenzji „konstruktywnych” – wyrastających z pełnej akceptacji autorów dla (wysokiej) wartości omawianych książek, które starają się wszechstronnie przedstawić, by w puencie wyłonić to, co w nich najważniejsze, ich sens „głęboki” i własną, interpretacyjną hipotezę, niekiedy wskazaną tytułem recenzji – a warto zauważyć, że wszystkie nagrodzone, wyróżnione i wybrane do publikacji we „Frazie” teksty mają (co istotne dla tej formy krytyki) błyskotliwe tytuły – także ten drobny, ale ważny element świadczy o recenzenckiej klasie ich autorów i autorek.

Podczas rozstrzygnięcia konkursu, w ostatni dzień festiwalu Góry Literatury Nowa Ruda 2021 – 24 lipca na Scenie pod Wiatami we Włodowicach – poprosiłam laureatów o krótkie przedstawienie się. Okazało się, że kilku z nich jest absolwentami/studentami poznańskiej polonistyki. Zbiegło się to z udziałem w tej edycji festiwalu profesora Piotra Śliwińskiego – guru poznańskiej szkoły krytyki, który (notabene) znakomicie poprowadził tego samego dnia

finałowe spotkanie z bułgarskim pisarzem Georgim Gospodinowem, laureatem nagrody Silesius 2019 za powieść *Fizyka smutku* (mamy nadzieję opublikować zapis tej rozmowy w następnym numerze „Frazy”). W pierwszej edycji konkursu dwójka laureatów głównych nagród była absolwentami kierunku Krytyka literacka wrocławskiej polonistyki. We wszystkich edycjach zawsze jakaś nagroda lub wyróżnienie przypada/ło studentom/absolwentom krakowskiej i warszawskiej polonistyki. Wydaje się, że dziś najważniejsze szkoły krytyczne, kuźnie młodych recenzentów znajdują się we Wrocławiu, Poznaniu, Warszawie i Krakowie. Poza nimi są indywidualiści i indywidualistki z różnych miejsc Polski, także honorowani nagrodami i wyróżnieniami tego konkursu, gdyż w krytyce, jak w pisarstwie, liczy się przede wszystkim wyrazista pisarsko-krytyczna indywidualność.

Zwycięska recenzja Igora Kierkosza, przedstawiciela „poznańskiej szkoły krytyki”, zgodnie z regulaminem konkursu ukazała się na łamach miesięcznika „Książki”, w innym internetowym piśmie opublikował swą wyróżnioną pracę Łukasz Żurek.

Pozostaje mi żałować, że pewne efektywne i ważne fragmenty pracy jury konkursu na recenzję literacką im. T. Karpowicza nie są dostępne szerszej publiczności – swoistym rytuałem stała się już zażarta, choć prowadzona w nader spokojnym, dyplomatycznym tonie, dyskusja o nominowanych do nagród recenzjach, którą toczą między sobą Kinga Dunin i Kazia Szczuka. Oczywiście nie one decydują o kolejności nagród (pozostali jurorzy mogą je łatwo przegłosować), ale wprowadzają do obrad rzetelność uzasadnienia werdyktu oraz niezbędną w poważnej krytyce „wojowniczość”. Krytyka bowiem to także walka o najważniejsze sprawy (nie tylko) polskiej literatury współczesnej. Walka, która dotyczy w ogóle „spraw najważniejszych”, gdyż to o nich traktują książki, poruszające młodych krytyków i krytyczki do poznawczego wysiłku.

Magdalena Rabizo-Birek

### *Trzy wspomnienia o Wiesławie Kulikowskim (1935-2021)*

## NAD URNĄ Z PROCHAMI WIESŁAWA K.

– co powiedziałem, a czego nie

No więc tak, Wiesławie Drogi, a precyzyjniej mówiąc: Droga Duszo Wiesławowa, nosiłaś to swoje, czyli Wieskowe ciało 86 lat. Aż wyfrunęłaś. Ty, Wiesku, dobrze wiedziałaś, co się stanie, byleś przygotowany i my też już od kilku miesięcy nie mieliśmy złudzeń. Stąd modlitwa, żebyś tylko nie cierpiał. I stało się. Zgodnie ze słowami z Twojego wiersza: „odjechałeś do innego świata, do wielkiego spełnienia”. A tu teraz smutno i żal do Pana Boga, że tak nam urządził to życie, że trzeba odjeżdżać. Ty, zahartowane w ekstremalnych warunkach dziecko wojny, po tułaczce z wołkowysko-grodnieńskiej macierzy, byłeś silny jak dąb, dziwny, bo z olbrzymią wrażliwością i wyobraźnią. W wywiadzie dla „Nowin” z 1996 roku powiedziałeś, że Twoje pisanie zaczęło się „od duchowej gorączki, z wielkiej potrzeby miłości do ludzi, do świata”. A pamiętasz, jak w niejednej rozmowie uwierał nas ten dualizm: ciało – dusza, dusza – ciało. Dopiero niedawno znalazłem jakieś wyjście z tego zakłętego kręgu. W Trenach Jeremiasza. Posłuchaj: „Wyprzedali wszystkie kosztowności, żeby mieć na jałdo dla posilenia duszy”. Wniosek: Nie muszę nic wyprzedawać, wystarczy sięgnąć po któryś Wójcik, żeby mi dusza się najadła. Wtedy nie tylko jej kondycja, ale i elegancja – murwane.

(Tu zadziałała cenzura w postaci deszczu. Ani chybi zamówił go Wiesiek K., żebyśmy za dużo nie gadał.) Tak, bez kultury, bez duchowości żyjemy tylko w połowie, i to w tej gorszej;

choć tu, na Ziemi, jest ona warunkiem istnienia tej lepszej. (Tu zadziałała cenzura domowa pod groźbą aresztu w WC na 48 g.). Dopiero zmasakrowany pooperacyjnym cierpieniem wyznałeś w telefonie ze szpitala: – Nie chcę już żyć. Tak napisałeś. – Błagam, podrzyj tę kartkę – wołałem – jak chcesz, to zeżrę za Ciebie! Ale Ty jak zwykle swoje: – Tylko poczja się liczy! – A dobroć to pies?! – ripostowałem jako jeszcze późniejszy praprapraprwnuk Norwida, żeby przywrócić Ci chociaż odrobinę witalności.

Znaliśmy się z pięćdziesiąt lat, ale tak na serio zbliżył nas karnawał „Solidarności”, stan wojenny, rozwiązanie naszego ZLP, wstąpienie do SPP. No i to dojmujące poczucie prowincjonalności miejsca, w którym przyszło nam żyć. Nam, polskim obywatelom świata i nieba.

No, ale Ty już masz te wszystkie ziemskie problemy z głowy, żeby tylko, z całego swojego długiego ciała. Wiem, nie umieliśmy sprawić, aby Twoja twórczość została należycie doceniona i upowszechniona. Przez lata odczuwałeś na własnej skórze, jak w naszej Polsce traktuje się kulturę. Że żyjemy pod presją ignorancji, obskurantyzmu, w bezustannym ataku komercyjnej maskulturki. Jak ponuro brzmią w tym kontekście słowa Noblisty: „Szczęśliwy naród, który ma poetę”. Tak, Mielec miał to szczęście, i Rzeszów, i Kraków. Miał, mieli, mieliśmy. Ale czy umieliśmy cieszyć się tym szczęściem – przelożyć je na konkretne działania?

(Tu znowu zadziałała cenzura w postaci deszczu. Uzasadnienie: jak wyżej.) Oczywiście, marcowa wystawa w mieleckiej Bibliotece z okazji Międzynarodowego Dnia Poezji pod tytułem *Wiesław Kulikowski, nasz poeta* była bardzo wartościowa, ale czy to wszystko, na co nas stać? (Tu zadziałała autocenzura. Uzasadnienie: Z litości!) A dzisiaj bodaj na mały nekrolog

Fot. Włademar Lenkowski



K. Lenkowska, W. Kulikowski i M. Pękala, Europejskie Dni Dziedzictwa, Muzeum Okręgowe w Rzeszowie, 7 września 2019 r.

nie stać było ani mieleckiego, ani rzeszowskiego ratusza, ani władzy wojewódzkiej, nie mówiąc o ministerstwie kultury. A może to i lepiej, niech ci wszyscy radni, urzędnicy, łącznie z ministrami, myślą, że Ty, Wieśku, nadal żyjesz, tworzysz, nadal jesteś solą w ich oku. I cóż po pocie w czasie marnym, gdy poeta wybitny, a czas coraz marniejszy. Czy teraz trzeba będzie nam bić się z władzami Mielca, Rzeszowa o ulicę dla Kulikowskiego lub inny sposób upamiętnienia?

Dziękuję mieleckiemu „Korsu” i tarnobrzeskemu Radiu „Leliwa” – za informacje o odejściu Poety. Dziękuję Polskiemu Radiu Rzeszów, które jako jedyne wojewódzkie medium szybko i godnie powiadomiło o tej wielkiej stracie dla kultury regionu. (Jak ustaliła Prywatna Służba Śledcza „Niuch”, to zasługa dr. Stanisława Dłuskiego i red. Iwony Piętak). (Autocenzura. Uzasadnienie: z miłosierdzia.) Bo trudno tę dzisiejszą notatkę z czwartej strony „Super Nowości” uznać za rzetelną, oddającą wymiar straty. Nie dziękuję więc, tak samo jak TVP Rzeszów, „Nowinom”, czy lokalnej „Gazecie Wyborczej”, bo nie ma za co. Za to koleczy z Krakowa stanęli na wysokości zadania. Zacytujmy dwa fragmenty:

„Smutny to dzień dla Oddziału Krakowskiego Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Z żalem i niedowierzaniem przyjmujemy wiadomość o śmierci naszego Kolegi, znakomitego Poety [...]. Człowieka serdecznego, niezwykle skromnego, niedocenianego przez krytykę, wyjątkowo zainteresowanego problemami środowiska literackiego. [...]”.

Dziękuję Ci, Poeto Niebotyczny, za wiersze, które nadal mnie rozwijają. Za koleżeństwo i pokrewieństwo duchowe, które leczyły z traumy samotności.

Coraz trudniej się nam rozmawiało – słyszałeś coraz gorzej, czytać nie mogłeś, bo oczy coraz słabsze, a jedno bolesne. Chciałem, aby na okładce nowego – jak się okazało – ostatniego tomu, który pojawił się przed trzema miesiącami, był skan z fragmentem Twojego rękopisu, ale rozedrgana dłoń już nie dała rady. Zapadałeś się. No to błysnął pomysł: – Wieśku, będziesz mi dyktował po jednym wersie, jeden wers na dzień, aż napiszesz cały wiersz. A potem następny. Zapaliłeś się, ale któregoś dnia: – Wiesz, już nie umiem. – Bo Ci się nie chce! – mobilizowałem. I po kilku dniach, a było to siódmego maja, Twój Anioł Stróż o imieniu Agata przysłał maila z Twoim wierszem. Ostatnim. Posłuchajcie:

*Sad opuszcza drzewa  
aż stają się złote  
po wszystkich latach,  
po których wspinamy się  
– po zielonych schodach  
do końca, do zachodu słońca,  
po zielonych schodach,  
na których spotykam Ciebie  
i jeszcze tych, których nie ma.*

Więc już wspiąłeś się swą duszą, już jesteś po tamtej stronie – ze swoją ukochaną Anną i innymi bliskimi. Resztę niech dopowie fragment wiersza Leszka Elektorowicza:

*Bo wszystko się kończy  
lecz to co się kończy jest najmniej skończone  
[...]  
i dzieło Boże nie jest skończone  
staje się bezustannie  
i człowiek – na podobieństwo  
bo wszystko się kończy lecz  
kończy się nieskończenie*

Jeszcze dziś słyszę to Twoje miękkie: – Cześć, Marku... No to, cześć, Wiesku Drogi, Wiesku z międzygwiazdnej drogi, cześć – czekaj tam na mnie, czekaj na nas. Do zobaczenia, cześć.

W imieniu pani Agaty Wróblewskiej i całej Rodziny śp. Wiesława – wielkie, serdeczne dzięki dla Wszystkich, którzy przybyli na uroczystość. Dziękuję również w imieniu koleżanek i kolegów po piórze z regionu i kraju.

Marek Pękała

5 sierpnia AD 2021, Cmentarz Parafialny w zadeszczonym Mielcu

Ps.

Jak ustaliła PSS „Niuch”, środowisko akademickie Rzeszowa reprezentowali na pogrzebie Poety: dr Ewelina Radion, dr hab. Kazimierz Maciąg i dr Stanisław Dłuski.

## CI, KTÓRZY USŁYSZELI JEGO MILCZENIE (wspomnienie o poecie Wiesławie Kulikowskim)

Kiedy weszłam w środowisko literatów Podkarpacia i okolic, słyszałam wielokrotnie nazwisko Wiesław Kulikowski. Zaczęłam czytać jego wiersze publikowane w pismach literackich, we „Frazie” i „Nowej Okolicy Poetów”. Nie pamiętam szczegółów, raczej wrażenie bardzo dobrej poezji. Zdobyłam jego mielecki adres pocztowy i napisałam do poety list z za-



Fot. W. Lenkowski

K. Lenkowska, W. Kulikowski, Europejskie Dni Dziedzictwa,  
Muzeum Okręgowe w Rzeszowie, 7 września 2019 r.



prośbami na moje Preteksty Literackie. I tak Wiesław Kulikowski stał się po raz pierwszy gościem dwunastego wydarzenia pod tym hasłem. Odbyło się 2 grudnia 2002 roku w piwnicach Prohibicji, Rynek 5 w Rzeszowie. Dziś to miejsce nazywa się Česká Hospoda. Słowo wstępne wygłosił profesor Józef Nowakowski.

Od tamtej pory poeta regularnie do mnie telefonował, wysyłał kartki, listy. Także każdy kolejny tom poetycki, a – jak wiemy – był to poeta płodny. Kulikowski prywatnie chyba nikomu nie oszczędził czasu na rozmowy telefoniczne, korespondencję, a nawet podróże na trasie Mielec–Rzeszów, kiedy celem było wydarzenie literackie czy spotkanie z osobą będącą orędownikiem jego poezji. Byłam szczególnie wzruszona, kiedy przyjechał autobusem z Mielca do Rzeszowa na promocję mojej powieści *Babeliada*.

7 września 2019 roku w Muzeum Okręgowym w Rzeszowie moderowałam jego autorskie spotkanie, które zorganizowaliśmy wspólnie z pracownikami muzeum pod hasłem Europejskie Dni Dziedzictwa „Polski splot”. W ciągu tych siedemnastu lat, które minęły od 2002 roku, Wiesław postarzał się, naturalnie, w tym sensie pierwsze i ostatnie spotkanie różniły się znacząco od siebie. Nie pod względem jakości poezji; ta do końca trzymała swój wysoki głos.

Miałam wrażenie, że z wiekiem poeta łapał każdy dzień coraz bardziej kurczowo, jakby czuł namacalnie, że czas mu się wymyka. Podobnie kurczowo trzymał się ludzi, którzy się z nim kontaktowali. Samo spotkanie autorskie, nawet zapięte na ostatni guzik, nie wystarczało mu. Poprzedzały je częste i długie telefony, podróże do Rzeszowa i rozmowy w realu. Okazywało się jednak, że to, co poeta chciał opowiedzieć, nie dotyczyło przygotowanego wydarzenia ani jego wierszy. Rozmowy zawsze schodziły na tematy lokalnego życia literackiego, w Mielcu i Rzeszowie, oraz dramatycznych, według Wiesława, niedomagań tego życia. Mógł o tym rozmawiać godzinami. Był mizantropem.

Także w trakcie spotkania w Muzeum Okręgowym parł w kierunku narzekania na rzeczywistość. Jako moderatorka starałam się odwrócić jego uwagę od tematów niekoniecznych na spotkaniu poetyckim. Chciałam, aby jak najwięcej wierszy Kulikowskiego zabrzmiało w muzealnym refektarzu, aby ci, którzy go do tej pory nie znali, zachwycili się jego poezją, jak ja kiedyś. Czulałam też, że to może być jego ostatnie spotkanie autorskie. O ile wiem, tak się stało.

Po zakończeniu wieczoru mój mąż Waldek odwiózł Wiesława na stację i wsadził do autobusu relacji Rzeszów–Mielec. Następnego dnia jego siostrzenica Agata poszukiwała wuja telefonicznie, co nas wszystkich zmroziło w obawie, że nie dotarł do domu, tym bardziej, że niedawno przeszedł udar. Na szczęście wszystko się dobrze skończyło. Wiesław był w domu, ale nie otwierał drzwi. Może nie słyszał pukania i dzwonienia, a może miał chandrę. Na ile go poznałam w ciągu około dwudziestu lat znajomości, mógł się zatopić w melancholii. Dopiero po kilku tygodniach od muzealnego wydarzenia zadzwonił do mnie z podziękowaniem za udany wieczór autorski. Tyle czasu zajęło mu boczenie się na świat, na siebie, na mnie, że nie dałam mu wystarczającej przestrzeni do publicznego ponarzekania na nasze środowisko literackie.

W recenzji zbioru *Milcząca na złotej kładce* (2010), nazwałam Kulikowskiego „milczącym na złotej kładce”. Ten tekst wciąż wydaje mi się aktualny: „Czytając Kulikowskiego, za każdym razem doświadczam ciekawego uczuciowego zjawiska. Czuję, jakby ktoś przerzucił tęczę między mną a moją pamięcią. Jakby zasłyszana kiedyś i zapamiętana muzyka, która ma znajomy kolor i kształt, rozpinała się nade mną i pode mną, niczym mosty szukające drugiego brzegu. Podmiot liryczny tej poezji, choć gra na czarownym, homeryckim flecie, jakże odległym od basów i dysonansów platońskiej orkiestry, chwaleb słowami jak nutami piękno świata, paradoksalnie nigdy nie popada w pięknoduchostwo. Pod urokiem «mgieł idących za Brueglem», «koni zaplątanych w powoje, różowe lejce», «fiołków ściekających z rynien», «drzwi

z klamkami jak brylanty» ta poezja przybliży mnie do granicy sentymentalizmu, ale nigdy jej nie przekracza. Chwali świat, oczarowuje nim, ale nie wprost. To *laudum*, hymn ku czci piękna, które rodzi się we mnie czytającej wiersz.

W człowieku jest taka okliwa nuta, którą każdy projektuje na swój sposób. Wyzwalanie się «sentymentalnego» zewu w trakcie obcowania z poezją Kulikowskiego nie ma nic wspólnego z afektowaną czułościowością. Wręcz przeciwnie, ono delikatnym gestem prowadzi ku sublimacji uczuć, wyrafinowaniu kreowanego świata, kiedy wciąż jedną nogą, jednym okiem, sercem, trzymamy się swojskiej, bliskiej, bezpiecznej, znanej skądinąd, może z dzieciństwa Arkadii, której wizja przesądza o obrazie rzeczywistości. Prędzej można tę poezję przypisać dziedzictwu sentymentalizmu jako umysłowemu i literackiemu kierunkowi europejskiemu, który ukształtował się w drugiej połowie XVIII wieku w opozycji do klasycyzmu. Kulikowski, osobny, współczesny sentymentalista niesentymentalny, w centrum zainteresowania stawia człowieka i jego uczucia, skupia się na indywidualizmie, wewnątrz, czułości. Próżno tu także szukać nastrojów religijnych; dominuje smutek i melancholia, często przeżywana na łonie natury, z dala od cywilizacji. Sentymentalizm kojarzy się niekiedy z przesadą, łzawą afektacją. Poezja Kulikowskiego w tym względzie stoi na jego antypodach. Prędzej można przypisać ją do preromantyzmu, który wyrażał prawdziwe uczucia, a nie bal maskowy. W tym sensie Kulikowski był (i pozostanie) we współczesnej poezji polskiej XX i XXI wieku prekursorem kolejnego «nowego» romantyzmu, który zawsze w końcu nadchodzi.

Poezja Kulikowskiego nie jest poezją intelektu i rozumu. Uczucia, doświadczenia zmysłowe są dla niego ważniejsze od wszelkich konceptów. Materia tej poezji jest natura i nastrój; z jednej strony dziecięca prostota, z drugiej zaskakująco subiektywny odbiór przez poetę kultury. Na przykład obcowanie z «łubinowym polem» nie różni się od obcowania z «cieniem Franza Kafki», tak jakby obie te figury liryczne mogły funkcjonować wymiennie, bez względu na to, że jedna z nich wywodzi się z tradycji kultury, a druga odnosi się do kontaktu z przyrodą. To pogranicze prostoty natury i obecności sztuki, świata realnego i tego drugiego, wykreowanego przez uczucia, instynktownego, pobożnego życzenia zachowania w pamięci naturalnego piękna, stanowi o oryginalności, wiarygodności i sile wierszy Wiesława Kulikowskiego. Jest przesłaniem i ocalaniem mitu prawdy o uniwersalnej formie piękna, która została w człowieku zakodowana, odciśnięta w matrycy pamięci tak mocno, że pokolenia dadaistów, katastrofistów i turpistów nie są w stanie jej odkształcić. Równocześnie nie ma w Kulikowskim piętna akademizmu i formalizmu, żadnego przestrzegania rygorów estetycznych. Choć zdarzało się, że bawił się w małe gry lingwistyczne, «*le toit – tła*», «łubin – lubi», nie miał nigdy zapędów do rewolucjonizowania języka ani aspiracji do nowocześnieści pod jakkolwiek postacią, niemal nie ma u niego gadżetów słownych świadczących o tym, że wiersz powstał w XXI wieku. Jednak w tej poezji nie ma też epigoństwa, choćby namiastki czegokolwiek na starą modłę. Trudno o nim również powiedzieć, że jest poetą klasycyzującym.

Na swój osobny i cichy (tak cichy, że aż milczący) sposób, poeta chciał nam podszeptać, że rodzimy się z uniwersalnym obrazem piękna, który jest punktem wyjścia do życia i sztuki. I że ten zachwyt nigdy nie ustaje.

Uważam, że Kulikowskiemu bez wysiłku, bez zadyszki «cierpień twórczych» udaje się zachować naturalne, równomierne tętno czystej poezji, podobnej czystej duszy, nieskalanej pokrętnością cywilizacji. «Trzymam się jednego głosu» – mówił metaforycznie w wierszu pod tytułem *Trzymam barwy głosu, trzymam się*, co brzmi z jednej strony jak deklaracja wiary i wierności, a z drugiej jak rozpaczliwa obietnica trzymania się «potarganej» nadziei, «chwicznej» przyszłości. Każdy bez wyjątku, nawet poeta bezkompromisowego piękna roz-

pacza w obliczu nagłej śmierci i samotności. Wydaje się jednak, że osobista tragedia, ba! całe lata obcowania z dramatyczną chorobą najbliższej osoby, nie pokruszyły szkła jego delikatnej, nieśmiałej, płóchej afirmacji świata muzyki i koloru. Może rzeczywiście dzieje się tak, że zajęty życiem, jego realnym smutkiem, nie szukał wierszy tak, jak nie szukał piękna, ale «wiersze same go znajdowały», jak pisał o nim arcytrafnie inny świetny poeta, Krzysztof Lisowski. A piękna strona świata (mam wrażenie, że chodzi tu właśnie o stronę świata, a nie stronę życia; nie w sensie geograficznym, lecz filozoficznym), tak jak wiersze, cały czas Kulikowskiego dopadała, był na nią skazany. Żeby kochać piękno, trzeba mieć dotkliwą świadomość jego drugiej strony. Trzeba, nie raz, dojść do granicy, gdzie próbuje się odrzucić po to, aby mu nihilistycznie nie zaprzeczyć.

W poezji Kulikowskiego, jego antymanifestach, nie ma mocniejszych deklaracji niż obwieszczenie przynależności do koloru, dźwięku, kawałka przestrzeni, a wszystkie one są znakami na drodze, po której poeta stąpał bardzo ostrożnie – jak po strunie światła, nad łąką, kopnym śniegiem lub po «chmurach jak bryły węgla»<sup>1</sup>.

Pamiętam wspólną z Ewelina Radion, która pracowała wtedy nad doktoratem z poezji Kulikowskiego, podróż do Mielca w 2003 roku i fetę z okazji uhonorowania poety odznaką *Albertus* Towarzystwa Kulturalno-Charytatywnego im. św. Brata Alberta, Adama Chmielowskiego. Lokalni oficjele, mieleccy czytelnicy i wielbicieli, przemówienia, laudacje, zastawione stoły. Mili ludzie, dumni ze swojego ziomka, świetnego poety. Zapamiętałam szczególnie pana Skalskiego i jego opowieść o krewnym, słynnym pilocie, Stanisławie Skalskim, wtedy jeszcze żyjącym. Nigdy nie mogłam zrozumieć, dlaczego Wiesław narzekał na swoje miasto. Żył w stałym poczuciu niedoceny. Pisał:

*bo już wiadomo, że to on dźwiga pod górę te owoce cierpkie,  
aby nakarmić swój cień.  
Przechodzi przez głęboką mgłę.  
Już jest dalej,  
gdy przychodzą rankiem  
ci, którzy usłyszeli jego milczenie<sup>2</sup>.*

Z jednej strony Mielec, Rzeszów i Kraków nie zapomniały o nim nigdy. Był stale na ustach miłośników poezji i poetów, którzy – jak wiadomo – są na ogół najbardziej wnikliwymi czytelnikami cudzych wierszy. Biblioteki i domy kultury zabiegały o jego poetycką obecność. Krakowski Oddział Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, do którego należał, regularnie organizował mu spotkania autorskie przy ul. Kanoniczej w Krakowie, wydawano jego książki w Bibliotece SPP. Lublin również go celebrował, bo przecież Wiesław Kulikowski był bodaj ostatnim dziecidcem Józefa Czechowicza.

Jednak fakt mieszkania w Mielcu sprawiał, że zainteresowanie krytyków jego poezją na ogół nie sięgało dalej niż do Krakowa i Lublina. Mam wrażenie, że ostatnio, poza „Frazą”, „NOP-em” i „Akcentem”, nie drukowano wierszy Kulikowskiego i niezbyt często recenzowano jego książki poetyckie. Krytyka literacka powinna przynosić rzetelną ocenę całej współczesnej literatury, ale tak się nie dzieje, zaś akademicy są często zbyt zajęci zdobywaniem stopni naukowych. Podejmują tematy bezpieczne, zajmują się autorami i tak sówicie przez historię nagrodzonymi. W tym sensie Kulikowski był poetą niedoceny.

<sup>1</sup> Fragmenty recenzji, która ukazała się na portalu [www.pisarze.pl](http://www.pisarze.pl) w marcu 2011 r.

<sup>2</sup> W. Kulikowski, *Niepogodzony, który sam siebie już dawno odrzucił* [w:] tegoż, *Milcząca na złotej kładce*, Kraków 2010.

Nie był też tłumaczony na języki obce. Kiedyś namawiałam Magdalenę Gilewicz, profesorkę literatury z California State University, rzeszowiankę z urodzenia, od kilkudziesięciu lat mieszkającą w USA, aby zajęła się przekładami wierszy Kulikowskiego na angielski. Wiedziałam, że poszukuje nieznaney jeszcze w Ameryce dobrej polskiej poezji współczesnej, którą mogłaby zainteresować tamtejszych czytelników. Zorganizowałam ich spotkanie w Rzeszowie w restauracji Muza w Teatrze im. W. Siemaszkowej. Nie wiem dlaczego nic z tego nie wyszło.

Wiesław telefonował do mnie często i regularnie. Czasem nie mogłam odebrać telefonu. Często narzekał, że za rzadko się kontaktujemy. Wolałam pisać listy lub kartki. Potem, kiedy ktoś założył mu skrzynkę mailową, próbowaliśmy mailować, bo Wiesław po powrocie z Białorusi postanowił nie tracić kontaktu z poznaną tam Wiesną – jak mi opowiadał – i nawet jego adres zawierał jej imię: wiesna1@interia.pl. Można było pomyśleć, że skrót „wies” pochodził od jego imienia.

Zostałam obdarowana pięknym lirykiem *Muzyczna historia jednej kartki z lasów olsztyńskich od poetki Krystyny L., opiekunki przyłaszczek*, który miał aż cztery wersje. Wiesław pytał mnie, czy słyszę w tym wierszu muzykę Schuberta i Griega. Dwie pierwsze redakcje są znacząco inne od wersji trzeciej i czwartej, mają też dodatkowy człon w tytule. Finalna wersja została opublikowana w książce *Poranek odnajdzie zaginioną* (Sandomierz 2008). Poniżej zamieszczam jedną z pierwszych wersji, którą poeta przepisał wiecznym piórem na papierze czerpanym i przysłał mi tradycyjną pocztą:

#### **Kartka z lasów olsztyńskich od poetki Krystyny, opiekunki przyłaszczek**

*Przyłaszczka z kartką od Krystyny*

*z lasów olsztyńskich.*

*Otworzyły się wszystkie drzwi jednego zdania.*

*Przyszedł wiatr, duch kartek – obrazy jak franki poodstaniał,*

*Gałczyński ze strony 144.*

*To on, już szelest liści*

*może prosił, błagał*

*Krystynę jak siostrę wiewiórek*

*o pozostanie na dłużej*

*– razem z mężem (i bratem wysokich drzew) Waldkiem –*

*w miejscu, w którym się złamała*

*jedna bardzo ważna gałąź.*

*Trzeba było odnaleźć śpiewające ślady,*

*to wszystko, co najważniejsze*

*dla imienniczki księżniczki, ten czas tylko jeden*

*(przeszły jak terazniejszy).*

*jeden orzech trudny do zgryzienia, zdanie pierwsze*

*i jednocześnie ostatnie.*

*Zdarzenie było z wiatrem, nie ze smutkiem,*

*jakby nie było poważnych zmartwień, spraw poplątanych,*

*a czas nie był inny, za odległymi snami,*

*nie jak Pstrąg Schuberta*

*i nie były już ważne manuskrypty, istotne szczegóły,*

*znaki szczególne.*

*Później, już przez sen, mój własny, wszyscy do mnie przyszli*

*z mrozem jak z malarzem Holbeinem,  
przez wiersz znany prawie na pamięć.  
Ustały śmiechy, również pięknej młynarki,  
odpadły rymy, sosny znieruchomiały.  
Było poważnie, jakby nie można było przejść przez pola białe,  
przez zasypane litery –  
i przypomniał mi się o jednej bardzo ważnej zgubionej rzeczy,  
należącej do muzyki.  
Zaszyliśmy się w środku zimy  
jak w zeszytach z pytaniami.  
Śnieg padał na dłonie –  
nie tej, która była księżniczką w Mediolanie,  
więc nie we śnie –  
i zakwitł nawet na jednym palcu.  
Słowa zaczynały wracać na swoje miejsca,  
ale nikt nie słyszał tych najczystszych.  
Zapadły się w śnieg harmonijki ustne  
i nawet opowieści wędrownego waltornisty.  
Jednak kilka kartek z nutami się odnalazło,  
bardzo ważnych dla Ani, grającej na fortepianie,  
i z jedną żółtą okładką.  
Dużo nawet znaczyły ich plamy, zagięcia.*

*Otrzymałem dzwonki prawdziwe od Krystyny  
przed Podróżą zimową do wiersza,  
podobne do tych od sanek,  
którymi może jechał anioł,  
który był kiedyś Holbeinem,  
może nawet kiedyś z nami na ślizgawce,  
na zamrożonej rzeczce Rosi.  
Zostały w wieczności koleiny.*

*Śnieg zasypał leśniczówkę Pranie, dawną ślizgawkę,  
każdą plamę,  
wszystkie rymy, dzwonki dawne.  
Jedno przejście zostało koło fletu – wiele znaczeń opadało,  
zasypywało drogi.  
Jeden cień się zesunął ze śniegu, zatałamało się światło.  
Można było jechać skrzypcami  
do jednej bardzo ważnej dla nas drobnostki.  
Został jeszcze Król Olszyn.  
Na Waldka Krystyna zawsze mogła liczyć,  
gdy trzeba było jechać dla niej po jedną nutę jak po lekarstwo.  
Jeden wiersz wypadł z koleiny,  
wiersz dla Krystyny, z podziękowaniem za jedną przyłasczkę,  
uratowaną w wypadku, gdy zaczynała się już Wiosna Griega  
i już Euterpe wrzucała do skrzynki pocztowej kartkę białą.*

Ostatni raz Wiesław zadzwonił do mnie jesienią 2020 roku. Oddaliśmy się telefonicznej rozpaczce po śmierci Janusza Szubera. Wiesław był też zatrwożony pandemią. Od kwietnia tego roku miałam regularne wieści o nim od Marka Pękali. Kontaktowaliśmy się w sprawie ostatniego – jak się okazało – tomu poetyckiego Wiesława *Powrót do zburzonego domu w zamieci bżów* (Carpathia, Rzeszów 2021); rozmawialiśmy o wspaniałym wstępie Marka do tej

książki oraz o pogarszającym się stanie zdrowia jej autora. Marek odradzał mi telefonowanie do hospitalizowanego Wieska, trudno było zrozumieć jego niewyraźną mowę.

1 lub 2 sierpnia zauważyłam na Facebooku wpis Marka o śmierci Wiesława Kulikowskiego. Byłam wtedy na wakacjach nad morzem. 5 sierpnia 2021 roku pochowano poetę w Mielcu. Trzy dni później, w Sanoku, odbył się, odłożony o dziewięć miesięcy pogrzeb Janusza Szubera. Nie dane mi było uczestniczyć w ostatnich ziemskich drogach żadnego z tych dwóch świetnych poetów Podkarpacia. To, że połączyła mnie z nimi bliska znajomość, traktuję jako łut szczęścia.

Krystyna Lenkowska

## MGŁA – I INNE PIĘKNO<sup>1</sup>

### O Wiesławie Kulikowskim wspomnienie

Wiadomość o śmierci, która zawsze definitywnie wszystko zmienia, w sposób naturalny skłania do wspomnień. Kiedy w 2002 roku zapadła decyzja o pisaniu przeze mnie pracy doktorskiej o poezji Wiesława Kulikowskiego pod kierunkiem prof. Gustawa Ostasza, przyjechałam do Mielca poznać środowisko, w którym poeta żył i tworzył. Spotkałam się z Markiem Skalskim, dyrektorem Samorządowego Centrum Kultury, oraz z Marią Błażków, dyrektorką miejskiej biblioteki. Rozmawiałam z regionalistami skupionymi wokół Towarzystwa Miłośników Ziemi Mieleckiej im. Władysława Szafera: Józefem Witkiem, Janem Szepniem i dr. Jackiem Krzysztofikiem. Wszyscy moi rozmówcy z pewnym, trzeba przyznać, zakłopotaniem przyznawali, że podejmowane przez nich działania, zmierzające do wydawania kolejnych tomów wierszy czy organizowania spotkań poetyckich były dla pisarza niesatysfakcjonujące. Mieli nadzieję, że moja planowana dysertacja przynajmniej w jakiejś mierze przyczyni się do utwierdzenia poety w przekonaniu, że jego twórczość jest ceniona. Dla mnie zaś rozmowy z zaangażowanymi w życie kulturalne mielczanami były tym cenniejsze, że wtedy jeszcze ani Kulikowskiego, ani jego wierszy nie znałam, chociaż interesowałam się poezją dwudziestowieczną, a z Mielcem łączą mnie więzy rodzinne.

Przychyłość środowiska mieleckiego odczułam również podczas organizacji mojego pierwszego spotkania z poetą. Dzięki gościnności Marii Błażków odbyło się ono w czytelni biblioteki. Wówczas pisarz chętnie przyznawał się do swoich związków z Lublinem, gdzie studiował polonistykę i historię w Uniwersytecie Marii Curii-Skłodowskiej oraz debiutował poetycko. Opowiadał, że z radością przebywał w miejscu, w którym tworzyli jego wielcy poprzednicy, a przede wszystkim Józef Czechowicz, z którego obecności, jak się wyraził, czerpał także za pośrednictwem znajomości z Jerzym Pleśniarowiczem. Zwierzał się jak dużo, jako poeta, zawdzięcza Janowi Bolesławowi Ożogowi, Stanisławowi Piętakowi, Stanisławowi Grochowiakowi czy Jarosławowi Iwaszkiewiczowi, o którym napisał pracę magisterską pod kierunkiem dr Eugenii Łoch, gdy kończył studia polonistyczne w Wyższej Szkole Pedagogicznej. Przyznawał się do przyjaźni z bibliofilem Ryszardem Ziembą i profesorem Józefem Nowakowskim, u którego na zajęciach w Studium Nauczycielskim w Rzeszowie napisał pracę o twórczości Stanisława Piętaka.

Dopiero moje kolejne spotkanie z Kulikowskim miało miejsce w jego niedużym mieszkaniu, a dokładniej w stylowym saloniku, który dość mocno kontrastował z architekturą pe-

<sup>1</sup> Cytat z wiersza *Z samochodu wysiadł Walek* z tomu *Dawna rozmowa z igliwem* Wiesława Kulikowskiego (Rzeszów 1997, s. 21).

erelowskiego osiedla Lotników w Mielcu. Tam poeta odnalazł pośród książek, czasopism, nut i winylowych płyt kopie skrzętnie gromadzonych przez siebie recenzji i omówień swoich wierszy. Wtedy przedstawił mnie także żonie, Annie, która, przewlekłe chorując, pozostawała pod jego opieką.

Wiesław Kulikowski w Rzeszowie był bardzo dobrze znany. W tutejszej prasie debiutował w połowie lat sześćdziesiątych XX wieku. Na jego spotkania autorskie przybywali nie tylko miłośnicy poezji, ale także znawcy jego twórczości, a wśród nich profesorowie rzeszowskiej uczelni Czesław Kłak i Piotr Żbikowski. Poeta pozostawał w przyjacielskich stosunkach ze środowiskiem artystów i naukowców, skupionym wokół „Frazy”, między innymi z Andrzejem Salnikowem, Stanisławem Dłuskim, Janem Wolskim i Grzegorzem Kociubą. Jego wiersze znalazły się w pierwszym numerze tego pisma, gdy młodzi redaktorzy, tworzący w 1991 roku „Frazę”, poszukiwali uznanych poetów i prozaików, którzy wsparliby ich ambitne plany. Kulikowski udzielał także swego wsparcia powstającej w 1998 r. „Nowej Okolicy Poetów”, na łamach której drukował swoje utwory. Został też laureatem nagrody tego pisma w 2006 roku.

Stowarzyszenie Literacko-Artystyczne „Fraza” stało się wydawcą kilku jego tomów, a Kazimierz Maciąg, asystent w rzeszowskiej WSP, był ich redaktorem technicznym, który cierpliwie przepisywał w obecności poety wiersze, miał okazję obserwować, jak do ostatniej chwili zmieniały się one, przybierając coraz to inne kształty. Zbiory poezji Kulikowskiego wydawał również rzeszowski Oddział Towarzystwa Literackiego im. Adama Mickiewicza, czy Podkarpacki Instytut Książki i Marketingu. Druk książek dotowały nie tylko mieleckie instytucje: Samorządowe Centrum Kultury, Starostwo Powiatowe, Urząd Miejski, TMZM. Pamiętał o nim również Rzeszów. Spotkania z jego poezją odbywały się z inicjatywy Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej, Muzeum Okręgowego czy Towarzystwa Literackiego im. Stanisława Piętaka. Przedstawicielami tych instytucji były osoby, którym bardzo zależało na uhonorowaniu Kulikowskiego, na choćby częściowym przeciwstawieniu się współczesnej tendencji do detronizacji poetów. Byli wśród nich animatorzy życia kulturalnego i poeci: Barbara Chmura, Mieczysław A. Łyp, Jerzy Fąfara, Marek Pękala, Janusz Koryl, Jacek Napiórkowski, Barbara Balicka. W mieście rodzinnym poetę wspierali także Joanna Kruszyńska i Jacek Tejcchama – kolejni dyrektorzy Samorządowego Centrum Kultury, Jolanta Strycharz – dyrektor mieleckiej biblioteki, dr Jerzy Skrzypczak – dyrektor Muzeum Regionalnego, Janusz Chojecki – prezes TMZM, Aleksandra Piguła – prezes Mieleckiej Grupy Literackiej „Słowo”, a także Krystyna Philipp, Bogumiła Gajowcowa, Grzegorz Kruszyński, dr Włodzimierz Gąsiewski oraz Ewelina Nycz, autorka wyboru utworów publikowanych w tomie *Odloty białych żurawi. Wybór wierszy wczesnych, niedawnych i najnowszych* (2019).

Poeta lubił otaczać się ludźmi, z którymi mógł podejmować dyskusje – dość często przerażające się w monologi – o kondycji kultury współczesnej. Uważał, że instytucje kultury powinny stwarzać artystom odpowiednie warunki do zaistnienia. Sam zaś niechętnie brał udział w konkursach poetyckich; nie ścigał się z innymi o laur zwycięstwa. Niemniej jego poezja po jakimś czasie – szczególnie za sprawą recenzji i omówień Krzysztofa Lisowskiego i Grzegorza Kociuby – zaczęła być postrzegana jako dziedzictwo ponadlokalne. O jego wierszach pisali także badacze i krytycy spoza podkarpackiego środowiska: Helena Zaworska, Jerzy Narbutt, Lesław Bartelski, Gabriela Matuszek i wielu innych autorów zarówno starszego, jak i młodszego pokolenia, choćby Michał Piętiewicz czy Jacek Hnidiuk. Jednakże on wciąż ubolewał nad znikomą rolą poetów, którzy po roku 1989 przestali być otaczani nimbem bohaterów, walczących o wielkie sprawy. Trzeba przy tym zaznaczyć, że jedyną sprawą, o którą, według Kulikowskiego, warto było się bić, była poezja. Taka poezja, która dba o pamięć historyczną,

dostrzeżać znaczenie imponderabiliów, a także otwiera odbiorców na inne wymiary rzeczywistości, na „inne”, głębsze piękno.

Kulikowski nigdy nie ustawał w próbach zetknięcia się z niemożliwą do osiągnięcia pełnią, z doskonałością, przekraczającą niemalże ludzkie możliwości. Niejednokrotnie podejmował te wątki w rozmowach, które – trzeba o tym wspomnieć – dla wielu interlokutorów stawały się uciążliwe. Doświadczało tego wielu znajomych poety, którzy niejednokrotnie przyznawali, że w czasie przedłużających się rozmów Kulikowski powracał wciąż do tych samych ulubionych wątków. Nie sposób nie zauważyć, że kiedy mówił, korzystał z tej samej metody, którą stosował przy pisaniu wierszy, tyle, że zamiast pozytywnych recenzji, w których krytycy chwalili go za konsekwencję i doprecyzowanie poetyckiego świata, spotykał się często z irytacją przyjaciół i znajomych, których cierpliwość wystawiał na próbę, gdy akurat zajmowało ich coś innego niż poezja.

Dla Kulikowskiego poezja była najbardziej realną rzeczywistością. Stąd też chętnie wprowadzał do wewnętrznego świata swoich wierszy przyjaciół i znajomych, z którymi niekiedy spotykał się tylko przypadkowo, czasami incydentalnie, a nawet wyłącznie w wyobraźni. Przeciwnie także gdy relacjonował swoje rzeczywiste bądź imaginacyjne podróże, nie przywiązywał wagi, jak się przyznawał, do faktów i dokumentarnej dokładności. Ważniejsze dla niego było poetyckie wrażenie, gra skojarzeń, dzięki której powstawały obrazy, będące integralną częścią jego wyobraźni, wpisujące się w przemyślaną i spójną rzeczywistość, którą tworzył na granicy jawy i snu.

Należy na końcu odnotować, że zarówno twórczość, jak i biografia Kulikowskiego skoncentrowane były nie tylko na silnym pragnieniu dotarcia do niemal boskiej doskonałości, ale także na tworzeniu swoistej mgły, która była również znaczącym elementem scenerii wielu jego utworów. Poeta wszystko osnuwał mgłą, aby odebrać jasność przekazu swoim myślom – i tym notowanym w wierszach, i tym artykułowanym w czasie spotkań autorskich. Dzięki tej mgłę unosiła się nad nim aura tajemniczości i niedostępności. Dzięki niej mógł chronić się przed zrozumieniem, a przede wszystkim przed obnażaniem najbardziej osobistych doznań. O wielu sprawach Wiesław Kulikowski mówić nie chciał, wolał, jak wyznawał, żeby nad jego słowami pozostawała aura niedopowiedzenia. Ale ta mgła także sprawiała, że jego pragnienia niekiedy trudno było spełnić. Również dlatego, że wykraczały one niejednokrotnie poza świat realny, stając się bliższe światu platońskich idei.

Tematem moich rozmów z Wiesławem Kulikowskim była jego twórczość i biografia. Kiedy napisałam jego życiorys, dość długo nad nim pracowałam, autoryzując go, odsyłając mi kolejne wersje pocztą tradycyjną, poszerzając go – co miał w zwyczaju, także pisząc wiersze – o nowe zapiski, wspomnienia i coraz bardziej szczegółowe informacje. W tym okresie wysłał mi również swoisty album, na który złożyły się rękopisy jego utworów, opatrzone wklejonymi fotografiami rodzinnymi. Ofiarował mi także tomy wierszy z dedykacjami, które świadczyły o akceptacji moich dociekań literaturoznawczych, dotyczących jego poezji. Na bieżąco starał się powiadamiać mnie o przedsięwzięciach, w których uczestniczył. Dzięki temu wiedziałam, że wyjeżdżał na imprezy poetyckie do Sandomierza, na spotkania autorskie do Dębicy, Padwi Narodowej, Radomyśla Wielkiego, czy na wieczory literackie organizowane przez krakowski Oddział Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, do którego wstąpił po 1989 roku.

Jednakże po jakimś czasie rozważania badaczy i recenzentów, zajmujących się jego twórczością, stawały się dla niego coraz mniej satysfakcjonujące. Telefonował do mnie, żeby wyrazić swoje niezadowolenie, gdy któryś z krytyków zestawiał jego poezję z innymi pisarzami lub przypisywał ją do jakiejś tradycji literackiej. Również moje rozmowy z poetą z biegiem



czasu stawały się coraz trudniejsze; tym bardziej, że chciał wywierać wpływ na ostateczny kształt moich ustaleń historycznoliterackich. Odnosiłam coraz częściej wrażenie, że ma mi za złe, że splendor, który w całości powinien spływać na niego, w jakimś sensie stawał się też moim udziałem, gdy mówiłam o jego poezji, na przykład występując z referatami na konferencjach naukowych. Zdawał się w tej rozgrywce konkurować z własną twórczością. Dlatego nasze kontakty stawały się coraz rzadsze, by w końcu zupełnie ustać. Chcąc pisać o tej poezji, nie mogłam i nie chciałam stać się jej częścią.

Kiedy w 2011 roku odbyło się w Bibliotece Uniwersytetu Rzeszowskiego uroczyste spotkanie poetyckie z Kulikowskim – jego inicjatorem był profesor Gustaw Ostasz, organizatorami Instytut Filologii Polskiej i Stowarzyszenie Literacko-Artystyczne „Fraza”, a prowadzącym dziekan Wydziału Filologicznego, profesor Zenon Ożóg – poeta stanowczo wyraził niechęć do naukowych rozważań. Nie chciał się zgodzić na to, że, by zrozumieć jego poezję, odkrywać w niej zarówno to, co wywodzi się z kształtującej go tradycji kulturowej, jak i to, co decyduje o niepowtarzalności jego dykcji poetyckiej.

Myślę, że granicą czasową, od której coraz trudniej było mi porozumieć się z poetą, a także od której zaczął się odcinać od literackich mistrzów, był rok 2009, może 2010, a więc czas odchodzenia i śmierci jego żony. Wtedy ból, który Kulikowski próbował zagłuszać rzeczywistymi podróżami – między innymi do Włoch i Chorwacji – uzewnętrznił się zastępczo w zamiarze odcięcia się od wszelkiej przynależności. Wtedy zaczął go trapić niemal Bloomowski „lęk przed wpływem”, który – co można tylko przypuszczać – wynikał z faktu, że samotność, która wcześniej była udziałem artysty, mianującego się strażnikiem wartości, przeciwstawiającym się bezcereemonialnej „wyprzedaży muzyki” (nawiązując do tytułu jego tomu), teraz stała się udziałem człowieka żmagającego się z żałobą.

Kiedy zaś zgromadziliśmy się na cmentarzu w dniu pogrzebu Wiesława Kulikowskiego, musieliśmy stać w strugach deszczu, właściwie w całej „ulewie czasu” (cytat z wiersza *Od-wiedziny u siostry* z tomu *Zakwita już powrót*), która, tym razem, przywracała pamięć o jego życiu. Trwaliśmy w deszczu, który był – jak czytamy w jego wierszach – przede wszystkim obmywający, oczyszczający, prowadzący do innych światów, między innymi do złotego przystanku „z kroplami deszczu” (cytat z wiersza *Przystanek z kroplami deszczu* z tomu *Przystanek dla kilku osób*). Staliśmy w ulewie, będącej w poezji Kulikowskiego znakiem niesprzyjających okoliczności, które mimo wszystko nas – nie tylko tych, którzy przyszli go pożegnać – nie zniechęcały do propagowania jego twórczości.

Ewelina Radion

# AUTORZY „FRAZY” ZAPROSILI NAS, PUBLIKACJE NADESŁANE, KOMUNIKATY

## ISA ASP

(1853–1872) jest nazywana pierwszą fińską poetką. Zmarła na gruźlicę w wieku dziewiętnastu lat, pozostawiając po sobie około stu wierszy, z których najbardziej znanym jest publikowana we „Frazie” *Kotylanka dla fali*. Wiersz powstał wiosną lub latem ostatniego roku życia poetki, która, chorując, odczuwała niepokój podczas burzowych nocy. Po śmierci Asp jej utwory zostały opublikowane, ukazało się też kilka biografii.

## MICHAŁ BZINKOWSKI

Ur. w 1975 r. Filolog klasyczny i neohellenista, literaturoznawca, eseista, tłumacz literatury nowogreckiej. Dr hab., prof. UJ. Pracuje w Katedrze Filologii Greckiej i Nowogreckiej Instytutu Filologii Klasycznej Uniwersytetu Jagiellońskiego. Redaktor naczelny periodyku naukowego „Classica Cracoviensia”, współpracownik krakowskiego kwartalnika „Czas Literatry”. Przełożył wiersze Jorgosa Seferisa (Nobel 1963), Konstandinos Kawafisa, Kiriakosa Charalambidisa, Janisa Ritsosa, Titosa Patrikiosa oraz eseje podróżne Nikosa Kazantzakisa. Nominowany do Nagrody dla Tłumacza Europejskiego Poety Wolności za przekład *Czasowników* Pandelisa Boukalasa (2013). Opublikował przekłady powieści *Pandemonium* Kostasa Akrivos (2016) oraz uhonorowanej Nagrodą Literacką Unii Europejskiej (2014) *Bóg mi świadkiem* Makisa Tsitasa (2018). Ostatnio ogłosił przekłady dzienników, poezji i esejów Seferisa: *Dni 1941–1956* (2019), *Król Asine i inne wiersze* (2020), *Róża losu. Eseje wybrane* (2020). Przekłady, szkice i wiersze publikował m.in. w „Zeszytach Literackich”, „Odrze”, „Przeglądzie Politycznym”, „Słasku”, „Almanachu Prowincjonalnym” i „Poezji Dzisiaj”.

## ELIZA CICHOCKA

Ur. w 1998 r. w Toruniu. Studentka filologii polskiej na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu. Publikowała w „Teksturze. Roczniku Filologiczno-Kulturoznawczym” Wydziału Humanistycznego UMK i „Dzienniku Teatralnym”.

## KIRSTI ELLILÄ

Ur. w 1958 r. Fińska pisarka. Publikuje powieści, książki adresowane do młodego czytelnika, opowiadania i sztuki teatralne. Ukończyła filozofię ze specjalizacją z religioznawstwa. Jest laureatką kilku nagród literackich.

## JUHANA HEIKKI (Johan Henrik) ERKKO

(1849–1906). Poeta, pionier fińskiego aforyzmu, jedna z najważniejszych postaci kultury fińskiej końca XIX wieku. Na podstawie jego wierszy powstało wiele znanych fińskich pieśni.

## ANNA FIAŁKOWSKA

Ur. w 1994 r. Poetka. Debiutowała w 2018 r. tomikiem *lalka bellmera*, w 2021 roku ukazała się jej kolejna książka z wierszami, *gorączka*. Obie pozycje wydano nakładem Wydawnictwa WBPiCAK w Poznaniu. Publikowała wiersze, recenzje i felietony w kilkunastu magazynach internetowych i papierowych, m.in. w „Przekroju”, „ArtPapierze”, „Wakacie on-line”, „Piśmie”, „Fabulariach”, „Kontencie”, na stronie Korporacji Halart. Obecnie pracuje nad debiutem prozatorskim. Tworzy kanał o literaturze i kulturze na platformie YouTube pod pseudonimem Annie Warhol. Mieszka i pracuje w Poznaniu.

## MIKOŁAJ GŁOS

Student filologii polskiej na Uniwersytecie Rzeszowskim. Wiceprezes Sekcji Literaturoznawców działającej w ramach Koła Naukowego Polonistów. Interesuje się literaturą i obyczajowością XIX wieku (kwestia kobieca, zwłaszcza na łamach ówczesnej prasy) oraz współczesną krytyką feministyczną.

## PRZEMYSŁAW GLUCHOWSKI

Ur. 1991 r. w Szydłowcu. Absolwent studiów socjologicznych i filozoficznych UMCS. Pracownik Działu Wydawniczego Warsztatów Kultury w Lublinie. Publikował m.in. w „Kulturze Enter”, „Małkontentach”, Wydawnictwie j. „Niecodzienniku Towarzyskim”, „Helikopterze”. W wolnych chwilach czyta albo pisze. Miłośnik filozofii J. P. Sartre’a. Mieszka w Lublinie.

## ALEKSANDRA GÓRECKA

Absolwentka filologii polskiej na Wydziale Filologii Polskiej i Klasycznej Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu (specjalizacji przekładowej oraz kuratorstwa literatury). Ukończyła studia licencjackie na tym samym kierunku ze specjalizacją nauczycielską oraz artystyczno-literacką. Studentka trzeciego roku matematyki na Wydziale Matematyki i Informatyki UAM (specjalizacja teoretyczna). W pracy naukowej stara się łączyć teorię literatury z elementami matematyki, badając m.in. obecność matematyki w poezji. Początkująca krytyczka literacka, poetka i tłumaczka. Hobbyistycznie tworzy muzykę elektroniczną oraz grafiki. Pracuje we Wrocławskim Domu Literatury w wydawnictwie Warstwy. Była stażystką w Wydawnictwie Dwie Siostry, gdzie debiutowała jako tłumaczka. Była Akela 2. Gromady Poznańskiej w Stowarzyszeniu Federacji Skautów Europy.

## VIRPI HÄMEEN-ANTTILA

Ur. w 1958 r. Fińska pisarka i tłumaczka. Jej powieści kryminalne znajdują się na listach fińskich bestsellerów. Wykłada sanskryt i historię sztuki indyjskiej na Uniwersytecie w Helsinkach. W 2004 r. otrzymała tytuł „Naukowca Roku”, nadany przez Fiński Związek Naukowców i Nauczycieli Uniwersyteckich. Wraz z mężem Jaakko zostali uhonorowani w 2002 r. nagrodą Eino Leino za tłumaczenia oraz promocję literatury wielokulturowej, a w 2008 r. Nagrodą Kulturalną miasta Vantaa.

## JUHA ITKONEN

Ur. w 1975 r. Jeden z najbardziej znanych fińskich pisarzy swojego pokolenia. Laureat wielu nagród, kilkakrotnie nominowany do najważniejszej krajowej nagrody literackiej „Finlandia”. Pisze utwory dla dorosłych i dzieci. Jego książki zostały przetłumaczone na kilka języków.

## IZABELA JABŁOŃSKA

Absolwentka XXXVII LO w Warszawie, studentka University of Amsterdam. Pisze od zawsze, choć zazwyczaj dla siebie. Mieszka w Zalesiu Górnym.

## ANNA JAMROZEK-SOWA

Literaturoznawczyni i teatrolożka. Dr hab., prof. UR w Zakładzie Literatury Polskiej XX i XXI wieku Instytutu Polonistyki i Dziennikarstwa Uniwersytetu Rzeszowskiego (w kadencji 2020–2024 wicedyrektorka IPiD). Zajmuje się dwudziestowieczną i najnowszą literaturą, biografistyką, dokumentacją literacką oraz teatrem awangardowym. Opublikowała monografie *Życie powtórzone. O pisarstwie Zofii Romanowiczowej* (2008) oraz *Maski historii, strzepy współczesności. Studium o biografii i twórczości Władysława Lecha Terleckiego* (2018). Redagowała i współredagowała tomy poświęcone literaturze XX wieku oraz teatrowi XX i XXI wieku. Należy do redakcji kwartalnika literacko-artystycznego „Fraza” i Rocznika Naukowego Wydziału Sztuki Uniwersytetu Rzeszowskiego „Warstwy”. Bierze udział w realizowanym od 2019 r. ogólnopolskim projekcie artystycznym „Latający Teatr Kantorowi”, w ramach którego przygotowano cztery spektakle (w dwóch z nich także zagrała): *Żródło* (reż. Leszek Mądzik), *Gość Specjalny* (spektakl plenerowy), *Ważne okno. Hommage dla Marii Stangret* (koncepcja reżyserska Paweł Passini), *Kantor tu jest* (reż. Magdalena Miklasz). Mieszka w Rzeszowie.

## PAWEŁ JASKULSKI

Starszy asystent w Instytucie Polonistyki Stosowanej Uniwersytetu Warszawskiego, adiunkt-instruktor w Oddziale Doboru i Selekcji Księgozbiorów w Bibliotece Publicznej m. st. Warszawy – Bibliotece Głównej Województwa Mazowieckiego. Należy do Polskiego Towarzystwa Badań nad Filmem i Mediami. Współorganizator wielu konferencji, m.in. ogólnopolskiej „O poprawie kina polskiego” oraz międzynarodowej „Edukacja filmowa i medialna w Polsce i świecie. Rozwiązania systemowe oraz studia przypadków”. Interesuje go nowy kanon kina polskiego, kino gatunkowe, edukacja medialna,

literatura współczesna i muzyka rockowa. Współredaktor interaktywnego tomu *Różne oblicza edukacji audiowizualnej* (2016). Publikował w „Kwartalniku Filmowym”, „Twórczości” i „Odrze”.

#### MACIEJ KARABON

Absolwent kierunku psychologia w zarządzaniu na Uniwersytecie Jagiellońskim, aktualnie student drugiego stopnia na kierunku filozofia oraz podyplomowych Studiów Literacko-Artystycznych. Interesuje się filozofią człowieka, przede wszystkim narracyjną koncepcją tożsamości, którą wykorzystuje do interpretacji współczesnej polskiej prozy, głównie nurtu chłopskiego. W wolnych chwilach pisze, tańczy swinga i jeździ autostopem po świecie.

#### RIINA KATAJAVUORI

Ur. w 1968 r. Fińska pisarka i poetka, autorka książek dla dzieci. Jej wiersze zostały przetłumaczone na ponad dwadzieścia języków. W 2013 r. zbiór jej utworów poetyckich ukazał się w prestiżowej angielskiej antologii *Oxford Poets*.

#### DANIEL KATZ

Ur. 1938 r. Fiński pisarz żydowskiego pochodzenia, autor wielu powieści, zbiorów opowiadań, słuchowisk, sztuk teatralnych i telewizyjnych. W Polsce ukazały się trzy jego powieści: *Gdy dziadek do Finlandii na nartach szedł* (Wydawnictwo Akademickie Dialog 2005, przeł. Sebastian Musielak), *Kobieta pułkownika* (Czarne 2007, przeł. S. Musielak) oraz *Córka pana Lota* (Wolny Tor 2017, przeł. Justyna Polanowska). Łączy uniwersalizm przesłania, wisielczy humor i zamilowanie do absurdu. Pierwszą z wymienionych powieści Katz debiutował w roku 1969, druga – uważana za jedno z jego najlepszych dokonanych prozatorskich – opisuje przemiany Europy po wojnie w Jugosławii i była nominowana do najważniejszej fińskiej nagrody literackiej „Finlandia” w 2001 roku, trzecia – nawiązująca do biblijnej historii stworzenia – jest rozrachunkiem Katza z dziejami boskości.

#### IWONA KIURU

Ur. w 1980 r. w Bytowie. Absolwentka filologii fińskiej i filologii polskiej UAM (specjalność krytycznoliteracka), tłumaczka literatury fińskiej. Autorka około 40 przekładów literatury dla dzieci, młodzieży i dorosłych, m.in. filozoficznej bajki Miki Waltariego *Chiński kot* (wyd. Bona, 2011, ilustracje Maria Ekier). Jej tłumaczenia były nominowane do nagrody w konkursie „Przecinek i Kropka” oraz wyróżnione w konkursie „Duży Dong”, a przełożona przez nią *Huštawka* Tima Parveli doczekała się adaptacji teatralnej na deskach Teatru Lalek Arlekin w Łodzi.

#### ALEKSIS KIVI

(1834–1872), fiński pisarz, autor pierwszej ważnej powieści powstałej w języku fińskim, *Siedmiu braci* (*Seitsemän veljestä*, 1870). Jest uważany za narodowego pisarza Finlandii. Jego urodziny, 10 października, obchodzone są jako Dzień Literatury Fińskiej.

#### RYSZARD KOŁODZIEJ

Ur. w 1967 r. w Krynicy, poeta i krytyk. Debiutował w „Twórczości”; publikował również w „Akencie”, „Arkuszu”, „Nowej Okolicy Poetów”, „Toposie” i „Wyspie”. W 2001 r. ogłosił tomik poetycki *Po tej stronie*. Mieszka w USA.

#### ZYGMUNT KRUKOWSKI

(1951–2013). Poeta, felietonista, dramaturg i tłumacz. Pracował w Kopalni Węgla Kamiennego „Nowa Ruda”. Wielokrotnie nagradzany w konkursach poetyckich i dramaturgicznych. Debiutował w prasie literackiej w latach siedemdziesiątych. W 1993 r. ogłosił arkuszyk poetycki *Kosztowna esencja* (Noworudzki Klub Literacki „Ogma”), w 2012 roku *Rzeczy R* (II wyd. 2018 w serii Biblioteka „Toposu”, staraniem Karola Maliszewskiego). Tłumaczył poezję francuską i angielską. Szczególnie cenione są jego przekłady utworów Williama Blake’a.

#### KIRSI KUNNAS

Ur. 1924 r. Fińska pisarka, uhonorowana wieloma nagrodami, członkini Fińskiej Akademii Nauk (w dziedzinie sztuki). Pionierka nowoczesnej fińskiej literatury dla dzieci. Przełożyła na język fiński tomiki poezji i książki dla dzieci (m.in. Tove Jansson i Astrid Lindgren). Brała udział w pracach specjalnej komisji powołanej do przetłumaczenia na język fiński 21 biblijnych psalmów.

#### MAREK KUSIBA

Ur. w 1951 r. w Krośnie. Poeta, reportażysta, dziennikarz, krytyk literacki, tłumacz, wydawca, wykładowca akademicki, pilot miękkołłatów, instruktor narciarski. Ukończył filologię polską na UMCS

w Lublinie. Od 1984 r. przeżywa na emigracji w Kanadzie. W Polsce pracował m.in. w ogólnopolskim miesięczniku literatury faktu „Kontrasty” w Białymstoku, w Kanadzie m.in. w „Books in Canada” (z-ca red. naczk.), tygodniku „Związkowiec” i „Dzienniku”. W nowojorskim „Przeglądzie Polskim” (tygodniowy dodatek kulturalny „Nowego Dziennika”) pisał stały felieton *Żabką przez Atlantyk*. Ostatnio wydał opowieść biograficzną *Ryszard Kapuściński z daleka i z bliska* (Kraków 2018); przetłumaczył także na angielski (wraz z Dianą Kuprel) wiersze reportera – ukazały się w tomach *I Wrote Stone. The Selected Poetry of Ryszard Kapuściński* (Emeryville, Ontario 2007) oraz w dwujęzycznej edycji *Wiersze zebrane / Collected Poems* (Lublin–Toronto 2012). Jest autorem zbiorów poezji: *Tratwa* (1976), *Wszystkie działa na mnie* (1983), *Samobójstwo Marsjan* (1987), *Rozwiązać siebie* (1995), *Inne powody* (Biblioteka „Frazy” 2005), *Admiral Road* (2006), *Alassio* (2011). Wydał tomy felietonów *Podręcznik do kobiet. 100 felietonów (nimnal)* (Lublin 2011) i *Cymbał w świecie. Felietony flâneura* (2012), biografię w języku angielskim *Janusz Żurkowski: From Avro Arrow to Arrow Drive* (2003) oraz dwie sztuki: *Eksmisja* (współautor J. Muszyński, 1983) i *Próba Atmy. Rzecz o Szymanowskim* (premiera: Montreal 1989). W roku akademickim 2004/2005 wykładała dziennikarstwo w Wyższej Szkole Komunikowania i Mediów Społecznych im. J. Giedroycia w Warszawie, gdzie założyła Instytut Badań i Dokumentowania Emigracji/Migracji (IBiDEM). W 2007 r. wraz z Franciszkiem Piątkowskim zainicjował Wakacyjną Akademię Reportażu im. R. Kapuścińskiego w Siennicy Różanej. Jest wiceprezesa Polskiego Funduszu Wydawniczego w Kanadzie, członkiem Stowarzyszenia Pisarzy Polskich oraz PEN Canada. Mieszka w Mississaudze (część metropolii Toronto) z żoną Barbarą oraz synami Mateuszem i Mikołajem.

#### DOROTA KYNTAJA

Ur. 1976 r. Tłumaczka, poetka. Ukończyła studia doktoranckie na krakowskiej Akademii Ekonomicznej. Przez kilka lat redagowała i tłumaczyła wiadomości i artykuły ekonomiczne w firmie PMR w Krakowie. Od 2005 r. mieszka w Finlandii, gdzie tłumaczy na język polski dokumenty socjalne oraz literaturę, głównie poezję. Brała udział w zorganizowanych przez Ośrodek Promocji Fińskiej Literatury warsztatach tłumaczeniowych tekstów poetyckich, pod okiem Sebastiana Musielaka kończy program mentorski dla tłumaczy fińskiej prozy. Prowadzi na Facebooku „Leśne runo” – stronę z przekładami wierszy fińskich poetów. Zafascynowana twórczością Kirsi Kunnas przełożyła na język polski około sto jej wierszy, z których część została zaprezentowana podczas Wrocławskiego Festiwalu Teatrów Szkolnych Zielona Gęś w 2016 r. Przetłumaczona przez nią wierszem bajka dla dzieci *Mata duża historia o jutrze* została dwukrotnie nagrodzona w konkursie portalu granice.pl. Nagradzana była także jej poezja – w konkursie na wiersz roku 2015 zorganizowanym przez Polish American Poets Academy oraz w III Ogólnopolskim Konkursie Poetyckim im. Zygmunta Krasińskiego. Kontakt: dorota.kyntaja@gmail.com.

#### EINO LEINO

(1878–1926), właśc. Armas E. Leopold Lönnbohm. Jeden z twórców poezji fińskiej, przedstawiciel neoromantyzmu, niezwykle popularny i ceniony w swoim kraju. Nawiązywał do tradycji ludowej, zwłaszcza *Kalevali*, łącząc ją z odniesieniami do czasów mu współczesnych. Był autorem m.in. zbioru *Kantyczki* i poematu *Pieśni księcia Jana i Katarzyny Jagiellonki*. Tłumaczył klasykę światową, m.in. *Boską komedię*.

#### KRYSTYNA LENKOWSKA

Poetka, tłumaczka, krytyczka, animatorka życia literackiego. Opublikowała trzynaście tomów poezji (w tym dwa dwujęzyczne polsko-angielskie i jeden polsko-ukraiński), m.in. *Tato i inne miejsca* (2010), *Kry i wyspy* (2013), *Zaległy list do przyszczonego anioła / An Overdue Letter to a Pimple Angel* (2014), *Troska / Typōma* (Lwów 2014), *Carte Orange* (przeł. na j. francuski K. Wojewoda, 2017), *Kiedy byłam rybą (lub ptakiem)* (2020). Wiersze, prozę, tłumaczenia, eseje, noty i wywiady opublikowała w wielu pismach literackich w Polsce (m.in. w „Akcencie”, „Frazie”, „Nowej Okolicy Poetów”, „Pracowni”, „Toposie”, „Twórczości”, „Tygu Kultury”, „Zeszytach Literackich”), w USA, w tłumaczeniu Ewy Hryniewicz-Yarbrough (m.in. „Absinthe”, „Boulevard”, „Chelsea”, „Confrontation”), w Ukrainie, Rumunii i Czechach. Jest członkinią Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. W 2016 r. zadebiutowała tomem prozy *Babeliada* wydany w serii Biblioteka „Frazy”. W 2018 r. ukazał się w wydawnictwie Oficyna w jej przekładzie tom Emily Dickinson *Jest pewien ukos światła. Poezje wybrane*. Wkrótce ukaze się jej bajka *Krysia od Rysia. Niestychane historie o życiu (i nie tylko)*. Mieszka w Rzeszowie.

**KATARZYNA LEWANDOWSKA**

Studiowała oligofrenopedagogikę oraz sztukę na Uniwersytecie Rzeszowskim. Od wielu lat pracuje z dziećmi o specjalnych potrzebach edukacyjnych. Umiejętności pisarskie doskonalila na kursach w Pasji Pisania. Laureatka konkursów literackich. Obecnie pracuje nad zbiorem opowiadań i pierwszą powieścią. W wolnym czasie, oprócz pisania, maluje, fotografuje i podróżuje.

**ROOPE LIPASTI**

Ur. w 1970 r. Fiński pisarz, dziennikarz i publicysta, tworzy dla dorosłych i dzieci. Parokrotnie nagrodzony, jego książki zostały przetłumaczone na kilka języków obcych.

**MAREK ROMAN LIPIŃSKI**

Ur. w 1947 r. w Warszawie. Hydrobiolog i biolog morski, dr habilitowany, absolwent biologii na Uniwersytecie Warszawskim, studiował także japonistykę. Pracował w redakcji miesięcznika „Morze” (1970–1971), a także jako pracownik naukowy Morskiego Instytutu Rybackiego w Gdyni w latach 1970–1985. Po roku 1985 był zatrudniony na Wydziale Zoologii University of Cape Town (1985–1992); Sea Fisheries Research Institute (1992–2012); Rhodes University i South African Institute of Aquatic Biodiversity (od 2012 r.). Jest autorem ponad dwustu artykułów naukowych oraz licznych artykułów popularnonaukowych i esejów. Organizator i kierownik ponad 20 rejsów badawczych na różnych statkach, głównie na Atlantyku. Współautor *Zoologii* pod redakcją Czesława Błaszaka (t. 1) i *Wielkiej Encyklopedii Gór i Alpinizmu* (t. 5: *Afryka*; t. 6: *Ludzie Gór*). Opublikował książki: *Haiku; Człowieku co chciałbyś wiedzieć? (Testament biologa z dodatkiem esejów o literaturze polskiej i japońskiej); What would you like to know?* (anglojęzyczna wersja *Testamentu biologa*), które zostały wydane w 2019 r. przez Bogucki Wydawnictwo Naukowe w Poznaniu.

**TADEUSZ FRANCISZEK MACHNOWSKI**

(1937–2020). Poeta, prozaik i publicysta związany z Ostrołką. Debiutował w prasie w 1965 r., jego pierwsza książka – *Wiersze* – ukazała się w 1971 r., nakładem Ludowej Spółdzielni Wydawniczej. Był członkiem Związku Literatów Polskich, Związku Kurpiów i Stowarzyszenia Twórców Ludowych. Współtworzył Grupę Literacką „Narew”. Honorowy Obywatel Gminy Kadzidło. Opublikował m.in. tomy wierszy: *Za podwójną gardą* (1982), *Las* (1984), *Wieżowce* (1985), *Małe mauzoleum* (1987), *Niebieski prom* (1991), *Nagle łódź się zachwiała i Mały koncert ziołowy* (1999), *Jutro będzie inaczej* (2012), *Odmarz rówieśników* (2014), *Monogramy i ornamenty* (2018) oraz książki prozatorskie: *Legenda Narwi* (2001), *Nadnarwiańskie niezapominajki* (2003).

**MARIA MAGIERSKA**

Doktorantka Europejskiego Instytutu Uniwersyteckiego we Florencji, absolwentka prawa i filologii polskiej w ramach MISH Uniwersytetu Warszawskiego. Współprowadzi bloga o książkach „Wodzirejki”.

**KAROL MALISZEWSKI**

Ur. w 1960 r. Poeta, prozaik, krytyk, tłumacz, animator kultury. Opublikował dziewięć książek krytycznoliterackich (ostatnia z nich to *Bez zaszeregowania. O nowej poezji kobiet*, Kraków 2020), osiem książek prozatorskich (ostatnia to *Czarownica nad Włodzicą. Baśnie z Nowej Rudy i okolic*, 2021), oraz czternaście tomów wierszy (ostatni to *Piosenka o przymierzaniu*, 2019), a także przekład wyboru poezji Jiříego Červenki *Teoria przekładu* (2016) i edycję *Wierszy zebranych* Anny Zelenay (Biblioteka Zapomnianych Poetów, t. 15, Lublin 2019). Laureat nagród im. Marka Jodłowskiego, im. Barbary Sadowskiej, im. Ryszarda Miłczewskiego-Bruno; za tom szkiców *Rozproszone głosy* nominowany do nagrody Nike 2007. Absolwent filozofii, dr hab. w dziedzinie literaturoznawstwa. Pracuje w Instytucie Dziennikarstwa i Komunikacji Społecznej Uniwersytetu Wrocławskiego. Mieszka w Nowej Rudzie.

**ANTONI MATUSZKIEWICZ**

Ur. w 1945 r. we Lwowie. Poeta, prozaik, eseista, tłumacz, animator życia kulturalnego na polsko-czeskim pograniczu. Od 1946 mieszka na Dolnym Śląsku. Ukończył historię na Uniwersytecie Wrocławskim i podyplomowe studia w zakresie muzealnictwa na Uniwersytecie Jagiellońskim. Pracował m.in. w Muzeum Dawnego Kupiectwa w Świdnicy i Muzeum Okręgowym w Wałbrzychu. W 1981 r. członek zarządu Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego NSZZ „Solidarność” Woj. Wałbrzyskiego, organizator i redaktor naczelny pisma „Niezależne Słowo” (1980–1981 i 1989–1990). Internowany 13 XII 1981 r. W latach 80. zaangażowany w działalność Klubów Inteligencji Katolickiej, także w ruch *Communione e liberazione*, organizował poetyckie spektakle w świdnickich kościołach. Debiutował

w 1972 r. w miesięczniku „Odra”. Jest autorem ponad trzydziestu książek poetyckich i prozatorskich oraz redaktorem kilku almanachów literackich. W 1996 r. zamieszczał na Ziemi Kłódzkiej (Stronie Śląskie, Stary Gieraltów), gdzie założył i redagował pismo Związku Gmin Śnieżnickich „Stronica Śnieżnicka” (1999–2000). Ostatnio opublikował: prozę *Znad Czarnego Wierchu* (2015), książkę eseistyczną *Bezustanny. Wobec pisarstwa Mariana Jachimowicza* (2016), *Wiersze o ziemi i niebie* (2017) i wspólny z Věřą Kopecką polsko-czeski zbiór wierszy we wzajemnych tłumaczeniach A. Matuszkiewicz, *Pod Wielką Sową / V. Kopecká, Echa z Gór Sowich* (2017). Członek założyciel Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, członek honorowy Polsko-Czeskiej Grupy „Pocci 97”. Od 2008 r. mieszka w Martínkovicach koło Broumova w Czechach.

#### KINGA MATUSZKO

Studentka filologii polskiej Uniwersytetu Rzeszowskiego. Prezesa Sekcji Literaturozawców działającej w ramach Koła Naukowego Polonistów. Interesuje się literaturą i prasą XIX wieku, współczesną literaturą popularną (głównie fantastyką i jej obecnością w polskim literaturoznawstwie) a także postkolonializmem/postzależnością i krytyką feministyczną.

#### SEBASTIAN MUSIELAK

Ur. w 1970 r. Absolwent filologii fińskiej UAM. Tłumacz. Pracował z Finami w fabryce autobusów we Wrocławiu i stoczni Aker Yards w Helsinkach. Przekłada literaturę fińską i angielską. Przełożył na język polski pisma i prozę: Dalajlamy, Thich Nhat Hanha, Jacoba G. Rosenberga, Chigoziego Obiomy i Rebeki Makkai. Z fińskiego przetłumaczył utwory: Johanny Sinisalo, Leeny Krohn, Daniela Katza, Miki Waltariego, Sofi Oksanen, Tommiego Kinnunena, Pajtima Statovciego i in. Laureat nagrody „Literatury na Świecie” i nagrody Ministerstwa Kultury Finlandii.

#### JOANNA NAJBOR

Doktorantka w Szkole Doktorskiej Nauk Społecznych UJ, absolwentka dziennikarstwa, filmoznawstwa i romanistyki UJ. Wyróżniana w konkursach eseistycznych i krytycznofilmowych – m.in. „Powiększeniu” Filmwebu i Konkursie o Nagrodę im. Krzysztofa Mętraka. Gra na wiolonczeli. Pochodzi z Zakopanego, mieszka w Warszawie.

#### NATALIA NORDLING

Ukończyła filologię fińską na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, studia podyplomowe dla tłumaczy środowiskowych w Turku oraz licencjat z germanistyki i translatoryki na Uniwersytecie w Tampere. Miłośniczka miejskiego ogrodnictwa, jazzu, współczesnej ilustracji, architektury i sztuki XIX wieku. Od kilku lat mieszka w Finlandii, gdzie pracuje jako tłumaczka oraz lektorka języka fińskiego i polskiego. Od jesieni 2020 wykłada na Uniwersytecie Gdańskim. Dla Wydawnictwa Widnokrąg przetłumaczyła książki o przygodach niedźwiadki Mru Mru, które oczarowały ją przepięknymi ilustracjami i bardzo ważnym przesłaniem. Kontakt: natalia.nordling@gmail.com

#### KAZIMIERZ NOWOSIELSKI

Ur. w 1948 r. w Rybnie na Kujawach. Profesor w Zakładzie Literatury Polskiej XX Wieku Uniwersytetu Gdańskiego, historyk literatury, poeta, krytyk i eseista. Opublikował kilkanaście zbiorów wierszy, m.in.: *Miejsce na brzegu* (1975), *Stan skupienia* (1977), *Dotkliwa obecność* (1981), *Najbliższa dal* (1989), *Rękopis* (1993), *Z Księgi darów* (1997), *Znikliwa odwieczność* (1999), *12 wierszy* (2001), *Ziarno i wiatr* (2003), *Kamień dla utrudzonego* (2007), *Człowiek rośnie cicho* (2010, wybór wierszy z lat 1989–2009), *Okno od północy* (2012), *Przykładanie ręki* (2015, Nominacja do Nagrody Orfeusz 2016). W stanie wojennym był założycielem i redaktorem podziemnego czasopisma „Podpunkt”. W 1988 r. otrzymał nagrodę POLCUL Foundation „za pomnażanie polskiej literatury niezależnej”. W l. 1991–1992 pełnił funkcję prezesa Gdańskiego Oddziału SPP. Jest autorem książek naukowych i eseistycznych, m.in.: *Ryzyko obecności. Doświadczenie biograficzne i powieść chłopka* (1983), *Przestrzeń oczekiwania. Historia, natura, sacrum we współczesnej poezji polskiej* (1993), *Troska i czas. Szkice o poezji i przemijaniu* (2001), *Dobrze się spotkać. O esejach, listach i rozmowach z pisarzami* (2008), *Przez Ojczyznę i dalej... Szkice o literaturze i wartościach* (Warszawa 2015). Interesują go związki literatury i malarstwa, opublikował antologię *Między słowem a światłem. Poezja a malarstwo współczesnych artystów Wybrzeża* (2006) oraz tom szkiców *Galeria. O wybranych malarzach i malarstwie współczesnym* (2008). Odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi (2002) i Srebrnym Medalem „Zasłużony dla Kultury Gloria Artis” (2015).

## SOFI OKSANEN

Ur. w 1977 r. Pisarka i dramaturżka o korzeniach estońskich, jedna z najsłynniejszych i najbardziej rozpoznawalnych autorek fińskich. Zadebiutowała w 2003 r. powieścią *Krowy Stalina*, która była nominowana do dwóch krajowych nagród literackich. Jest to zarazem pierwsza część niedokończonego „kwartetu estońskiego”, do którego zalicza się napisane w 2008 r. prozomowe dla jej międzynarodowej kariery, obsypane nominacjami i nagrodami *Oczyszczenie* (Warszawa 2010, przeł. Sebastian Musielak) oraz *Gdy zniknęły gołębie* (Wrocław 2015, przeł. S. Musielak). Tworzące go powieści przedstawiają dzieje Estonii od utraty niepodległości przed drugą wojną światową, przez sowiecką okupację (do której pisarka zalicza również czasy radzieckiej Estonii), po czasy najnowsze. W dwóch pierwszych częściach kwartetu oraz w napisanej w 2005 r. powieści *Baby Jane* Oksanen pokazuje wpływ wojen i podbojów na losy kobiet.

## JANUSZ PASTERSKI

Ur. w 1964 r. Prof. dr hab. w Zakładzie Literatury Polskiej XX i XXI Wieku Instytutu Polonistyki i Dziennikarstwa UR. W latach 2012–2016 dyrektor Instytutu Filologii Polskiej, od 2019 dyrektor Instytutu Polonistyki i Dziennikarstwa UR. Historyk literatury, krytyk literacki, poeta. Opublikował *Tristium Liber. O twórczości literackiej Stefana Napierskiego* (2000), *Inne wyzwania. Poezja Bogdana Czaykowskiego i Andrzeja Buszy w perspektywie wielokulturowości* (2011), *Świat wiersza. Szkice o polskiej poezji (nie tylko) współczesnej* (2019) oraz tomy poezji: *Plac Kromera* (2009), *Mity i kamienie* (2013), *Księga Likierka* (2018). Współredaktor publikacji: *Proza polska na obczyźnie*, t. 1 i 2 (2007), *Inne dwudziestolecie 1989–2009*, t. 1 i 2 (2010), *Przyboś dzisiaj* (2017); *Kontynenty*, t. pierwszy: *Studia i szkice o twórczości Andrzeja Buszy* (2019). Redaktor książki *Dwudziestolecie międzywojenne. Nowe spojrzenia* (2019). Od 1997 r. w redakcji „Frazy”, gdzie prowadzi dział poezji. Redaktor tomów poetyckich i antologii poezji studenckiej. Mieszka w Rzeszowie.

## MAREK PĘKAŁA

Ur. w 1949 r. w Skierniewicach, absolwent filologii polskiej rzeszowskiej WSP, poeta i prozaik. Od 1969 r. związany z Rzeszowem. Pracował jako nauczyciel, kierownik literacki (Estrada Rzeszowska, Teatr Lalki i Aktora „Kacperek”), dziennikarz (tygodnik „San”, w latach 1992–2010 w dzienniku „Nowiny”). Debiutował w 1974 r. wierszem w „Życiu Literackim”, publikował także w „Nowym Wyrazie”. Delegat rzeszowskiego oddziału na przełomowy XXI Zjazd ZLP w Warszawie w grudniu 1980 r., członek Komisji ds. Współpracy z NSZZ „Solidarność” przy Zarządzie Głównym ZLP, sekretarz rzeszowskiego oddziału do rozwiązania ZLP w 1983 r. Publikował w podziemnym ruchu wydawniczym, m.in. w kwartalniku „Puls”, współpracował z kwartalnikami „Fraza” i „Nowa Okolica Poetów”. Od ponad 20 lat opiekuje się Wojewódzkim Konkursem Literackim dla Licealistów w ramach Rzeszowskich Dni Kultury Szkolnej. Autor m.in. tomów wierszy: *Życiowy obowiązek* (1977), *Szare zdrowie jutra* (1979), *To nic, to wszystko* (1992), sylw *Kartki rzeszowskie i błękitne* (1998) i *Jak tata reperował słońce* (2017), sztuk teatralnych dla dorosłych i dzieci: *Baśniowisko* (1986), *Melon* (1988), *O Boże, znowu goście!* (2013). Internetowa witryna autorska: Marek Pękała – Terra Marucha.

## SŁAWOMIR PŁATEK

Ur. w 1974 r. Poeta, publicysta, animator kultury. Autor sześciu tomików poetyckich: *Bez imienia* (2010), *Awaria migawki* (2012), *Wiersze dla Sophie Marceau i innych kobiet z którymi spałem* (2013), *Stacja pomiarowa* (2016) oraz pod pseudonimem Anna Kalina Modrakis – *Przeświecenie* (2011), *Elektryczny pyszczek Izdy* (2018). Wielokrotny laureat konkursów poetyckich (m.in. im. M. Kajki, 2010; Miłowy Słup, 2010; Złoty Syfon Stowarzyszenia Żywych Poetów, 2011; Struna Orficka, 2011; im. M. Stryjewskiego, 2013). Juror konkursów i turniejów poetyckich (m.in. O Laur Czerwonej Róży, im. W. Karczewskiej, O Czekan Jacka Bieriezina, Wielki Iluminator). Inicjator i współorganizator cyklicznych warsztatów poetyckich Pomosty w gminie Miastko (od 2009 r.) oraz festiwalu Fala Poprzeczna w Gdańsku. Prezes Stowarzyszenia Salon Literacki. Zastępca redaktora naczelnego „Internetowej Gazety Kulturalnej Salon Literacki” i redaktor „Magazynu Filmowego Cinerama”. Stypendysta Marszałka Województwa Pomorskiego (2015). Publikował m.in. w: „Blizie”, „Czasie Kultury”, „Migotaniach, Przejąsnieniach”, „Frazie”, „Toposie”, „Zeszytach Poetyckich”. Mieszka w Rumii.

## TOMASZ PYZIK

Ur. 1975 r. w Zabrzu. Krytyk literacki, historyk literatury związany z Uniwersytetem Śląskim. Na-



uczyciel w I LO w Gliwicach, współpracuje z International Baccalaureate Organization. Autor książek *Predestynacja w twórczości Aleksandra Wata* (2004) i *Twórczość poetycka Wojciecha Bąka* (2007). Publikował artykuły i szkice krytyczne w pracach zbiorowych i czasopismach. Stale współpracuje z pismem „Topos”.

#### MAGDALENA RABIZO-BIREK

Ur. w 1964 r. w Kamieńsku. Literaturoznawczyni, krytyczka literacka i krytyczka sztuki. Dr hab. prof. UR, w latach 2016–2019 kierowniczka Zakładu Literatury Polskiej XX i XXI Wieku Uniwersytetu Rzeszowskiego, w kadencji zaczynającej się w 2020 r. wybrana do Komitetu Nauk o Literaturze PAN. Od 1998 r. redaktorka naczelna „Frazy”. Autorka książek: *Czytanie obrazów. Teksty o sztuce z lat 1991–1996* (1998), *Między mitem a historią. Twórczość Włodzimierza Odojewskiego* (2002), *Romantyczni i nowocześni. Formy obecności romantyzmu w polskiej literaturze współczesnej* (Rzeszów 2012). Kuratorka wystaw w Galerii Sztuki Współczesnej w Przemysłu *Bez końca a człowieku* (2003, 2008) i *Refleksje o naturze w sztuce ponowoczesnej* (2009). Współautorka (z Józefem Ambrozowiczem) albumu *Józef Mehoffer – artysta dwóch epok* (Rzeszów 2010). Redaktorka pracy zbiorowej *Boom i kryzys. Nowe polskie czasopisma literacko-artystyczne i społeczno-kulturalne po roku 1980* (2012). Współredaktorka m.in. książek: *Poeta czułej pamięci. Studia i szkice o twórczości Janusza Szubera* (2008), *Światy Olgi Tokarczuk* (2013), *Przyboś dzisiaj* (2017), *Miejsca, ludzie, opowieści. O twórczości Andrzeja Stasiuka* (2018), *Obroty liter. Szkice o twórczości Tomusza Różycykiego* (2019). Redaktorka i autorka szkiców czterech tomów *Sztuki Podkarpacia* (2010, 2011, 2013, 2015). Członkini Podkarpackiego Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych, Stowarzyszenia Literackiego im. K.K. Baczyńskiego w Łodzi, Stowarzyszenia Góry Babel w Nowej Rudzie. Laureatka Nagrody Fundacji Turzańskich (Toronto 2004). Mieszka w Rzeszowie i Jedlinie-Zdroju.

#### EWELINA RADION

Dr nauk humanistycznych, absolwentka filologii polskiej (WSP Rzeszów 2000) oraz podyplomowych studiów interdyscyplinarnych i komparatystycznych (UJ Kraków 2007). Autorka pracy doktorskiej o twórczości Wiesława Kulikowskiego, prac z zakresu akustyki muzycznej i akustyki mowy, szkiców o melancholii w poezji i melancholii ponowoczesnej. Publikowała m.in. w „Archives of Acoustics”, „Ruchu Muzycznym”, „Acta Humana” i we „Frazie”. Mieszka w Rzeszowie.

#### RADEK RAK

Ur. w 1987 r. w Dębicy. Absolwent Uniwersytetu Przyrodniczego w Lublinie. Lekarz weterynarii, pisarz. Krótkie formy prozatorskie publikował m.in. na łamach „Nowej Fantastyki”, „Lampy”, „Frazy” (2013, nr 3, opowiadanie *W domu czasu przeszłego*), „Fenixa”, „Esensji”. Zadebiutował powieścią *Kocham cię, Lilith* (2014). Następnie opublikował powieść *Puste niebo* (2016, Złote Wyróżnienie Nagrody Literackiej im. Jerzego Żuławskiego oraz nominacja do Nagrody im. Janusza Zajdla). Znany z projektu *Legends polskie. Allegro* realizowanego dla wydawnictwa Powergraph i Allegro. Jego trzecia powieść *Baśń o węzowym sercu albo wtóre słowo o Jakobie Szeli* (2019) została uhonorowana nagrodą Nike 2020 (także nagrodami im. J. Zajdla, im. J. Żuławskiego, „Nowej Fantastyki” w kategorii Polska Książka Roku, Krakowską Książką Miesiąca, nominacją do Nagrody Gdynia w kategorii proza). Mieszka w Krakowie.

#### KATRIINA RANNE

Ur. w 1981 r. w Noormarkku. Pisarka, afrykanistka, tłumaczka poezji. Studiowała w Helsinkach i Londynie. Autorka pierwszej w Finlandii antologii poezji afrykańskiej, za którą otrzymała wiele nagród oraz m.in. tomu *Ohikulkijan tuoksi (Zapach przechodnia)*, (2014), z którego pochodzą wiersze opublikowane w tej „Frazie”.

#### PAULIINA RAUHALA

Ur. 1977 r. Pisarka, nauczycielka języka fińskiego. Jej debiutancka powieść o współczesnej laestadiańskiej rodzinie, *Taivaslaulu* (2013), została nagrodzona i wyróżniona m.in. tytułem Chrześcijańskiej Książki Roku. Druga powieść Rauhali, *Synninkantajat (Obciążeni grzechem)*, (2018), kandydowała do najbardziej prestiżowej nagrody literackiej „Finlandia”.

#### KINGA SABAK

Ur. 1993. Absolwentka polonistyki na Uniwersytecie Warszawskim. Współpracuje z działem kultury tygodnika „Newsweek” i pisze teksty reklamowe we własnej agencji. Mieszka w Warszawie.

## ROMAN SABO

Ur. w 1957 r. w Lesku. Studiował filologię polską na Uniwersytecie Śląskim. Poeta, tłumacz, eseista. W 1980 r. wyjechał z Polski i po rocznym pobycie w Europie Zachodniej przeniósł się do Vancouver w Kanadzie. Uzyskał doktorat po studiach slawistycznych na UBC (Uniwersytecie British Columbia) i na Uniwersytecie w Toronto. Wiersze, eseje, przekłady poezji publikował m.in. w „Twórczości”, „Akcentie”, „Przeglądzie Polskim” (Nowy Jork), „Nowym Prądzie” (Toronto). Opublikował tomy wierszy: *Niech będzie* (2005), *Cienie* (2011) i *Podwórko* (Biblioteka „Frazy”, Toronto – Rzeszów 2015). W przygotowaniu znajduje się wybór wierszy Seamusy Heaney w jego przekładach. Mieszka w Vancouver.

## JOANNA SARNECKA

Antropolożka kultury, animatorka, opowiadaczka w założonej przez siebie grupie Opowieści z Walizki ([www.opowiescizwalizki.pl](http://www.opowiescizwalizki.pl)), performerka; praktykuje taniec butoh. Brała udział w spektaklach teatralnych, m.in. spektaklu *Czarna Mańka królowa przedmieścia* – jako tancerka i aktorka – teatr Scena Lubelska (Warszawa), *Mamuna – czyli baba-dziwo* (aktorka i współautorka scenariusza), grupa Furu Kolektyw (spektakl zrealizowany na Rok Tuwima ze środków MKiDN). Pracuje teatralnie ze społecznościami lokalnymi, także osobami niepełnosprawnymi. Od kilku lat działania, także teatralne, gdzie prowadzi projekty kulturalne z dziedziny ochrony dziedzictwa żydowskiego oraz edukacji międzykulturowej. Aktywnie działa w Stowarzyszeniu Sztetl Dukla oraz jako trenerka Szkoły Dialogu. Stypendystka Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego – projekt „Spódnica ze wszystkich kwiatów świata” (badania terenowe wśród Romów Karpackich i wspólne z nimi działania, także teatralne). Otrzymała wyróżnienie w konkursie „Tygodnika Powszechnego” na opowiadanie oraz konkursie na prozę kryminalną (Festiwal Kryminatu we Wrocławiu). Wyłowiona w połowie poetyckim Biura Literackiego 2016. Doktorantka w Kolegium Humanistycznym UR. Zadebiutowała tomem prozy *Dziennik uciekiniera* (wyd. Oficynka, 2017).

## (ERNST) RUNAR SCHILDT

(1888–1925). Fiński pisarz, dramaturg, krytyk literacki i tłumacz. Pisał w języku szwedzkim – drugim języku urzędowym Finlandii. Wywodził się z rodziny arystokratycznej. Na uniwersytecie w Helsinkach studiował estetykę, literaturę i historię. Pracował w bibliotece uniwersyteckiej, był reżyserem w Szwedzkim Teatrze w Helsinkach i redaktorem w wydawnictwie swojego kuzyna Holgera Schildta. Debiutował w 1912 r. zbiorem nowel *Den segrande Eros* (*Zwycięski Eros*). Jego dorobek obejmując kilkadziesiąt nowel i kilka sztuk teatralnych. W swoich utworach przedstawia przede wszystkim nowoczesne miasto i kręgi helsińskiej bohemy. Wiele z jego utworów doczekało się adaptacji filmowych.

## SALLA SIMUKKA

Ur. w 1981 r. w Tampere. Pisarka, tłumaczka, krytyczka literacka. Należy do najpopularniejszych fińskich autorek książek z nurtu YA, a jej trylogia o przygodach Lumikki Andresson została przetłumaczona na blisko czterdzieści języków i wydana także w Polsce nakładem Grupy Wydawniczej Foksal (*Czerwone jak krew i Białe jak śnieg* w przekładzie Sebastiana Musielaka oraz *Czarne jak heban* w tłumaczeniu Edyty Jurkiewicz-Rohrbacher). Powieści *Jäljellä*, której fragment przełożyła dla „Frazy” Iwona Kiuru, oraz jej kontynuacja zatytułowana *Toisaalla* zostały uhonorowane Nagrodą Topeliusa, którą od 1946 r. przyznaje się najlepszym twórcom literatury dziecięcej.

## GRZEGORZ STRUMYK

Ur. w 1958 r. w Łodzi, gdzie mieszka. Prozaik, poeta, artysta sztuk wizualnych. Uczył się w szkole zawodowej stolarstwa, ukończył Liceum Sztuk Plastycznych w Łodzi. Pracował jako rysownik w muzeum, modelator w teatrze lalek, dekorator i grafik w empiku, domach kultury i bibliotekach, plastyk w miejskich kinach, scenograf przy filmach krótkometrażowych. Debiutował w 1992 r. wydanym przez Stowarzyszenie Literackie im. K.K. Baczyńskiego w Łodzi zbiorem opowiadań *Zagłada fasoli*. Ostatnio opublikował zbiór opowiadań *Kra* (2016). Wyróżniony w Konkursie Fundacji Kultury za powieść *Łzy* (1999, adaptacja w Teatrze Telewizji w reżyserii F. Zylbera z M. Bonaszewskim w roli głównej), dwukrotnie nominowany do Paszportu „Polityki” (za powieści *Łzy* oraz *Pigment*). Prace malarskie i fotograficzne prezentował na kilku wystawach indywidualnych i zbiorowych w Łodzi.

## ROBERT SUWAŁA

Ur. w 1971 r. w Tychach. Z wykształcenia prawnik, ukończył Wydział Prawa i Administracji Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. Publikował swoje teksty w „Aspektach Filozoficzno-Prozatorskich”,

z którymi stale współpracuje, w „Kresach”, „Twórczości i „Akcencie”. Miłośnik twórczości Brunona Schulza.

#### ANDRZEJ SZUBA

Urodzony w 1949 r. w Gliwicach, poeta i tłumacz poezji angielskojęzycznej. W ostatnich latach opublikował m.in. *Walt Whitman, 400 wierszy i poematów* (2014), *Wiersze z Walii* (2015), *Wiersze ze Szkocji* (2015), *Obraz i wir. Antologia anglo-amerykańskiego imagizmu* (2016; z Leszkiem Engelkingiem), Emily Dickinson, *333 wiersze*, Ron Padgett, *Bezczynność butów* (2018), D.H. Lawrence'a *Kici, kici* (2019) oraz zbiory własnych utworów: *44 strzępy* (2015), *33 strzępy* (2016), *Milczysz* (wybór; 2016), *22 strzępy* (2016), *11 strzępów* (2017), *Jest tam kto?* (2017), *444 strzępy* (wybór; 2018); *Wygasić* (2020). Mieszka w Katowicach.

#### GRAŻYNA SZYMCZYK

Poetka i teoretyczka literatury. Ukończyła polonistykę (1969) i studia doktoranckie (1973) na Wydziale Filologicznym Uniwersytetu Łódzkiego. W latach 1972–2006 pracowała jako nauczycielka akademicka w Instytucie Teorii Literatury, Teatru i Sztuk Audiowizualnych (obecnie: Instytut Kultury Współczesnej) UL. Jest autorką szeregu artykułów naukowych z zakresu teorii literatury. Opublikowała utwory poetyckie: *Ek(o)logi* (Wydawnictwo biblioteka, Łódź 1995), *33 szare plamki* (1997; ten zbiór i następne w Wydawnictwie Miniatura, Kraków), *Myslniki* (2000), *Rynki* (2009), *Rytmie nowe i najnowsze. Wiersze z lat 1994–2009* (2009), *Kantata o miłości i szczęściu* (2010), *Nigdy go nie było* (2014), *Nie ma zasięgu* (2020) oraz pisane prozą *Bajki dla dorosłych dzieci* (2011, wyd. II zmienione 2014). Mieszka w Łodzi.

#### AGATA TEPEREK

Ur. w 1988 r. w Warszawie. Absolwentka skandynawistyki na Uniwersytecie im. Humboldtów w Berlinie i studiów regionu Morza Bałtyckiego na Uniwersytecie w Turku. Tłumaczka z języka szwedzkiego i niemieckiego. Literaturoznawczyni i kulturoznawczyni.

#### TERESA TOMSIA

Poetka, eseistka, animatorka kultury. Pochodzi z ziemiańskiej rodziny kresowian, urodzona w Wołowie na Dolnym Śląsku, wychowała się w pomorskim miasteczku przesiedleńców, co opisuje w książce *Świdwin przypomniany* (2018). Absolwentka polonistyki UAM i studium reżyserii. Publikowała w pismach literackich: „Czas Kultury”, „W Drodze”, „Kultura” (Paryż), „Zeszyty Literackie”, „Topos”, „Gazeta Malarzy i Poetów”, „Tygiel Kultury”, „Wyspa”, „Akcent”, „Fraza”, w antologii *Poznań Poetów* (2011), albumie *Homo homini res sacra* wydanym na 40-lecie Centrum Dialogu w Paryżu (2016). Jej książki poetyckie ukazały się w tłumaczeniu na język niemiecki: *Wieczna rzeka / Der ewige Fluss* (1996) oraz na język niemiecki i francuski *Schöner / Piękniejsze / C'est plus beau* (2000). Wydała prozę dokumentalizowaną o deportacjach z ziemi nowogrodzkiej *Dom utracony, dom ocalony* (2009) oraz szkice literackie *Z szarego notatnika* (2015) i *Niedosyt poznawania* (2018). Ostatnio ogłosiła tomiki wierszy *Gdyby to było proste* (2015) i *Kobieta w kaplicy* (2016). Uehonorowana m.in. Medalem „Zasłużony dla Kultury Polskiej Gloria Artis” (2007) i Medalem Wojewody Wielkopolskiego im. W. Celińskiego (2015). Od 1981 r. mieszka z rodziną w Poznaniu. Należy do Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

#### KATARZYNA TURAJ-KALIŃSKA

Poetka, eseistka, nowelistka; autorka książek: *Klasztor żeński* (1988), *Stabość* (1992), *Innocenty Białe Piórko* (2008), *Bracia Strach i inne opowiadania* (2009; Krakowska Książka Miesiąca), *Szept nad szeptami* (2016). Laureatka kilkunastu ogólnopolskich konkursów literackich w dziedzinie poezji, prozy, dramatu i twórczości dla dzieci – wśród nich: im. Poświatowskiej, Grochowiaka, Żeromskiego, Tuwima. Eseje, opowiadania i wiersze drukowała w „Dekadzie Literackiej”, „Nowej Dekadzie Krakowskiej”, „Zadrze” i „Frazie” (cykl podróży *Wielki Brat Zachód*). W tłumaczeniach publikowana m.in. w czasopiśmie: „The Rialto”, „Verse” (Wielka Brytania), „Iton 77”, „Pseyfas”, „Gag” (Izrael).

#### KATRI VALA

(1901–1944). Fińska poetka, nauczycielka, członkini grupy literackiej Tulenkantajat (Niosący ogień).

#### JUKKA VIIKILÄ

Ur. w 1973 r. Fiński pisarz, dramaturg i poeta, absolwent Akademii Teatralnej w Helsinkach. Nauczytel kreatywnego pisania, autor słuchowisk radiowych i tekstów piosenek, współtwórca poetyckiej *Encyklopedia* (2011, wyd. Poesia). Zdobył uznanie krytyków i publiczności po publikacji tomów poezji

*Runoja i Runoja II (Wiersze I, 2008, i Wiersze II, 2010, wyd. Gummerus). Jego debiutancka, oparta na słuchowisku radiowym powieść Akvarelleja Engelin kaupungista (Akwarele miasta Engela, 2016, wyd. Gummerus) zdobyła najważniejszą nagrodę literacką w Finlandii. Doceniono ją za zajmujący obraz dziewiętnastowiecznych Helsinek oraz poetycki język. W roku 2018 opublikował w wydawnictwie Otava zbiór anegdot o Finach i fińskości *Suomalainen vuosi (Fiński rok)*, a jesienią 2021 ukazała się jego druga powieść *Taivaallinen vastaanotto (Niebiańskie przyjęcie)*.*

#### KRYSTYNA WALC

Ur. w 1961 r. Historyczka literatury, uprawia także malarstwo, które prezentowała na kilku wystawach indywidualnych oraz wielu zbiorowych. Zajmuje się literaturą okresu Młodej Polski oraz zagadnieniami z kręgu literatury popularnej (postać wampira, horror, legenda Draculi). W 2006 r. obroniła pracę doktorską *Z problemów młodopolskiego antyurbanizmu*. Autorka hasła w *Słowniku literatury popularnej* pod red. T. Żabskiego. Współpracowniczka „Frazy”, od ponad 10 lat przewodnicząca Zarządu Stowarzyszenia Literacko-Artystycznego „Fraza”. Pracuje w Bibliotece Uniwersytetu Rzeszowskiego, w Pracowni Polonistycznej Pigionianum. Mieszka w Rzeszowie.

#### MIKA WALTARI

(1908–1979). Najsłynniejszy obok Tove Jansson fiński pisarz. Pracował także jako dziennikarz i krytyk. Światowy rozgłos przyniosły mu wielokrotnie wznawiane powieści historyczne, a wśród nich *Egipcjanin Sinuhe*, znany także z hollywoodzkiej ekranizacji (polski przekład autorstwa Zygmunta Łanowskiego ukazał się po raz pierwszy w 1978 r.). W Finlandii niesłabnącą popularnością cieszą się także adaptacje filmowe jego cyklu kryminałów, które po polsku ukazały się w tłumaczeniu Sebastiana Musielaka nakładem Wydawnictwa Literackiego: *Kto zabił panią Skrof?*, *Bląd komisarza Palmu* oraz *Tak mówią gwiazdy, panie komisarzu*. Waltari jest także twórcą znanych utworów dla dzieci, m.in. filozoficznej bajki *Chiński kot*, która ukazała się w wydawnictwie Bona w tłumaczeniu Iwony Kiuru z ilustracjami Marii Ekier.

#### DARIA ZMIEJEWA

Ur. w Warszawie, z pochodzenia Rosjanka i Żydówka. W 2019 r. obroniła licencjat z historii sztuki na WZKW, wkrótce zdobędzie tytuł magistra edukacji artystycznej na Akademii Pedagogiki Specjalnej w Warszawie. Niegdyś kucharka i edukatorka kulinarna, obecnie zatrudniona w pracowni ceramicznej. Jej ulubionymi zajęciami są wspinaczka, karmienie ludzi, tworzenie w dowolnej technice plastycznej oraz zgłębianie historii medycyny. Od niedawna próbuje swoich sił także w pisaniu. Mieszka w Warszawie.

#### EDWARD ZYMAN

Ur. w 1943 r. w Dobromierzu (woj. kieleckie), dorastał w Radomsku. Poeta, prozaik, krytyk literacki, publicysta, wydawca. Absolwent socjologii UJ. Do chwili wyjazdu z Polski dziennikarz Polskiego Radia w Katowicach oraz redaktor wydawanego poza cenzurą „Tygodnika Katowickiego”. Internowany w nocy z 12 na 13 grudnia 1981, rok spędził w więzieniach. Od marca 1983 w Kanadzie. Wydał kilka tomików poetyckich, m.in. *Z podręcznego leksykonu* (2006), *Jasność* (2011), *Poemat współczesny* (2014), *Bez prawa azylu* (wybór poezji, 2018), *Z dziecięcej fabryki złudzeń* (2018), *Bluźniąc bez umiaru. Wierszyki wszeteczne* (2019) oraz powieści dla młodzieży *Gdy krzywe jest proste* (2011) i *Ściana pełna jerzyków* (2011, wyróżnienie w III edycji Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego Wydawnictwa Telbit, Warszawa 2011). Jest także autorem monografii Fundacji im. Władysława i Nelli Turzańskich *Scalić oddalone* (Toronto 2008) oraz *Mosty z papieru. O życiu literackim, sytuacji pisarza i jego dzieła na obczyźnie na przykładzie działalności Polskiego Funduszu Wydawniczego w Kanadzie w latach 1978–2008* (2010, Nagroda Stowarzyszenia Pisarzy Polskich na Obczyźnie 2011). Prezes Polskiego Funduszu Wydawniczego w Kanadzie, jeden z członków założycieli Fundacji Turzańskich działającej w Toronto. Mieszka w Mississauga w Kanadzie.

## ZAPROSILI NAS

**Stowarzyszenie Międzygórze Reaktywacja** na spotkanie upamiętniające Michała Fostowicza-Zahorskiego (1948–2010) *Miejsce po Michale*: wernisaż wystawy malarstwa, projekcję poświęconego jego osobie i twórczości filmu *Wolna miłość* (TVP Wrocław 1996), *Chwila nad wierszem* – opowieść Karola Maliszewskiego o jego poezji; *Świat bez prawdy* – czytanie w ciemności tekstów przez Marcina Czerwińskiego (plazaciemnia.pl); koncert Grupy Eksperymentalnej utworów inspirowanych jego twórczością – D.W. Gigant w Międzygórzu 11.06.2021.

**Kurator Roman Bromboszcz** na festiwal sztuki komputerowej *Permutacje 2021* (zaproszeni twórcy: Maciej Drabik, Przemysław Jasielski, Szymon Kaliski, Łukasz Sienkiewicz, Marek Straszak, Łukasz Szalankiewicz, Voices of the Cosmos, Marcelo Zammenhoff, Arek Zub) – CKiS w Koninie, Galeria Wieża Ciśnień, 11.06.–30.06.2021.

**Galeria Sztuki Współczesnej w Przemyślu** na: wystawę z cyklu „Artyści z naszego podwórka... 30” – Beata Jędruch *Dialog. Fotografia* – 11.06.–30.06.2021; otwarcie wystawy pokonkursowej Nagrody im. Mariana Strońskiego Przemysł 2021 połączone z wernisażem wystawy *Dzień za dniem. Grafika* Łukasza Cywickiego, laureata Nagrody im. M. Strońskiego 2019 – Muzeum Narodowe Ziemi Przemyskiej w Przemyślu 13.06.2021; wykład multimedialny Grażyny Niezgody – wieczór 62 z cyklu „Wieczorne rozmowy o sztuce” *Na marginesie. O sztuce kobiet* – 22.06.2021; z cyklu „Artyści bez granic / Artists without borders. Paper no limit” – Zbigniew Grzyb, Leonard Konopelski, Marek Majewski *Rzeka dziecinstwa* – 2.07.–17.09.2021; Łukasza Cywickiego *Przestrzeń czasu. Grafika* – Kresowy Dom Sztuki w Dubiecku 11.07.–8.08.2021; rysunku Marii Ferenc – Kresowy Dom Sztuki w Dubiecku 14.08.–15.09.2021; poplenerowej wystawy 40. Międzynarodowego Pleneru Malarskiego *Genius loci* (artyści: Wolfgang Brenner, Małgorzata Dawidiuk, Jan F. Ferenc, Maria Ferenc, Helena Jacyno, Grzegorz D. Mazurek, Roderick Murray, Rena Wota, Marzanna Wróblewska, Andrzej Zalecki, kurator: Janusz J. Cywicki) – Dom Ludowy w Słonnem 1.–17.09; *40 x Słonne 1981–2021* (artyści: Vioara Bara, Tadeusz Błoński, W. Brenner, V. Bronishevsky, Ł. Cywicki, M. Dawidiuk, Agata Drogowska, Wiktor Dżochowski, Antoni Fałat, J. F. Ferenc, M. Ferenc, Helen Ganly, Elena Garstea, H. Jacyno, Marek E. Janicki, Anna Jańska-Maciuch, Konrad Jarodzki, Zbigniew Karaszewski, Edward Kmiciec, Stanisław Korytko, Barbara Lis, Jurek Lis, Jerzy Matuszewski, G. D. Mazurek, Leon Michna, R. Murray, Grażyna Niezgoda, Andrzej Płoski, Krystyna Rokowska, Vinay Sharma, Dariusz Sobociński, Waldemar Szysz, Rosa Tarruella, Karola Teschler, Dušan Todorović, Antonia Vila, Francesco Vila Sole, Kazimierz Wiśniak, R. Wota, M. Wróblewska, Stanisława Zacharko-Łagowska, Grażyna Zajęc-Sowa, A. Zalecki, Roman Żygulski, J. J. Cywicki – kurator) – 3.09.–20.10, 2021; projekt interdyscyplinarny *Centrum światów jest tutaj (w Przemyślu)* (kuratorzy: Liliana Kalinowska, Paweł Korbus, Tomasz Pudłocki, Jadwiga Sawicka, współpraca Ewa Zarzycka) – 10.–11.09.2021 (w programie m.in. otwarcie wystawy zaproszonych artystów w przestrzeni miejskiej i oprowadzenie kuratorskie, performanse Jerzego Norkowskiego, Ewy Zarzyckiej i Petra Riaski, wykłady Jerzego Franczaka, Andrzeja Juszczyka, Tomasza Kośka, Izabeli Wodzińskiej, Katarzyny Trzeciak, Hiberna Bilewicz, Lothara Quinkensteina, prezentacja filmu *Gutta* Ludomira Franczaka); wykład multimedialny Grażyny Niezgody – wieczór 63 cyklu „Wieczorne rozmowy o sztuce” *Naród i ideologia. O sztuce totalitarnej* – 21.09.2021.

**Biuro Wystaw Artystycznych w Krośnie** na: konferencję „Edukacyjne projekty filmowe i artystyczne jako narzędzia promocji dziedzictwa kulturowego” – 17.–18.06.2021; *Artyści dostępne* – projekt artystyczny Aguli Swiabody i Ewy Gorol – 21.–25.06.2021; wystawę *Pracownie. Fotografia* – 22.–27.06.2021; Video Mapping 3D Jakuba Hadera *Kurator* – 21.08.2021; *Synesthesia* – performance Joanny Sarneckiej i J. Hadera łączący taniec butoh z nowymi technologiami – 28.08.2021; *Hutę poezji*. Weekend z warsztatami i spotkaniami poetyckimi (z Edwardem Pasewiczem, Katarzyną Szwedą, Pawłem Kusiakiem) – 17.–19.09.2021; wernisaż wystawy *Bardzo młodzi kuratorzy wystaw*; podsumowanie projektów „ObudźMy Miasto” i „Promocja i ochrona dziedzictwa na obszarze Krosna i Użhorodu” – 23.09.2021; Festiwal KinoLub – 26.–29.09.2021.

**Galeria Instytutu Sztuk Pięknych UR im. prof. Włodzimierza Kotkowskiego** na spotkanie *Artysta – kurator – wystawa* – z Waławem Kuczma, kuratorem wystawy Mariny Abramović *Do czysta* w CSW Znaki Czasu w Toruniu – 24.06.2021.

**BWA Galeria Sanocka** na wernisaż wystaw: malarstwa Jana Szczepkowskiego *Peryferia* – 26.06.2021; Marii Piątek i Sabiny Twardowskiej *Wojny domowe i inne strategie radzenia sobie ze stresem* – 3.09.2021.

**Teatr im. Jerzego Szaniawskiego w Wałbrzychu** na Dni Młodego Teatru 2021 – spektakl Trzeciego Teatru ... *gdzie mnie nie posiali* według poczyj Danuty Góralskiej-Nowak w reżyserii Grzegorza Stawiaka – 30.06.2021.

**Jan Pastula (Kolekcja/Sammlung)** do Galerii Sztuki Współczesnej Pastuła w Porębach Kupieńskich na wernisaż wystaw: malarstwa Sławomira Tomana *Trzy po trzy* – 3.07.2021; Krystyny Piotrowskiej *Już niczego nie zmiemiam* – 2.10.2021.

**Galeria Sztuki Widnokrąg w Sandomierzu i Rzeszowski Dom Sztuki** na wernisaż wystawy Juliusza Joniaka *Malarskie podróże na południe* (muzyka i słowa Anna i Jacek Przybysz) – 8.07.2021

**Teatr Przedmieście w Rzeszowie** na: spektakle *Podróż* – 17.07.2021; *Święto* – 24.07.2021 – Letnia Siedziba Teatru; festiwal Źródła Pamięci Szajna – Grotowski – Kantor – 11–14.08.2021 – Teatr Przedmieście, Teatr Maska w Rzeszowie (w programie spektakle i performanse: Latający Teatr Kantorowi *Gość specjalny*; Teatr Kana *Gęstość zaludnienia*; Teatr Przedmieście *Kiedys ci opowiem...*, Arti Grabowski *Raport panika*; Teatr Brama *Ghost Dance*; Arti Grabowski/Zbigniew Szumski *Warunki zabudowy*; czytanie performatywne przez aktorów Teatru Maska dramatu Moniki Siary *Miss o zapachu dymu*, spotkanie wokół książki Zbigniewa Osińskiego *Ziemia – Duch – Reduta. Rzecz o Mieczysławie Limanowskim* z udziałem Katarzyny Osińskiej, prowadzenie Tadeusz Kornaś); spektakl *Kiedys ci opowiem...*, scenariusz i reżyseria Aneta Adamska-Szukała – 11, 12, 26.09.2021.

**Biuro Wystaw Artystycznych w Rzeszowie** na wernisaż wystaw: Agaty Woźniak-Niemkiewicz *XXX-lecie pracy twórczej. Malarstwo, rysunek, realizacje konserwatorskie*; Joanna Babuła *Ślady obecności*, Piotr Kukla *Ślady nieobecności* - 5.08.2021; malarstwa Stanisława Ryszarda Kortyki *Obrazy z lat 1981–2021. 50 lat pracy twórczej*; malarstwa Jerzego Cepińskiego – 9.09.2021.

**Departament Kultury Urzędu Marszałkowskiego w Rzeszowie** na wystawę *The Best of Unesco Art* – najlepszych prac powstałych w podkarpackich obiektach UNESCO podczas akcji promocyjnej UNESCO ART Podkarpackie 2020 online – Pałac Dziedzuszyckich w Zarzeczu 18.07.–20.09.2021.

**Podkarpackie Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych, Miejskie Centrum Kultury w Boguchwale** na wydarzenia XVII Międzynarodowego pleneru malarskiego Boguchwała 2021: koncert Piotra Bukartyka i Krzysztofa Kawalki – 14.08.2021 i wernisaż wystawy poplenerowej – 20.08.2021.

**Teatr im. W. Siemaszkowej, Wirtualne Muzeum Antropocenu, Fundacja Walizka** na performance butoh Joanny Sarneckiej i Jakuba Hadera *Synesthesia* w ramach cyklu „Przeźrzenie sztuki” – Sala Industrialna Galerii Rzeszów 25.08.2021.

**Rzeszowski Dom Sztuki** – Adam Rajzer na wystawę *Alfons Karpiński w 9 obrazach* – 1.–14.09.2021.

**Krośnińska Biblioteka Publiczna** na wernisaż wystawy Anny Habrat, Natalii Kwolek, Błażeja Kłonka *NasTroje* – Salonik Artystyczny KBP 8.09.2021; spotkanie z Igiorem Bredjdyngantem z cyklu „W sieci tajemnic... i książek” (prowadzenie Zofia Bartecka-Prorok) – 6.10.2021.

**Muzeum Diecezjalne w Rzeszowie** na wernisaż wystawy malarstwa i rzeźby Zbigniewa Warpechowskiego – 15.09.2021.

**The Polish Arts and Poetry Associaton in Chicago i Garaż Cafe-Whiskey-Beer** w Świdnicy na spotkanie poetyckie z Adamem Lizakowskim pt. *20 wierszy o Świdnicy znad Bystrzycy* – 8.10.2021.

**Ornamental Far Bukowiec, Dom Pracy Twórczej u Hrabiny** na spotkanie autorskie z Antonim Matszkiewiczem *Znikąd z miłości...* (prowadzenie Miłosz Kamiński) – 2.10.2021.

## PUBLIKACJE NADESŁANE

## CZASOPISMA

- „Afront” 2021, nr 1 (13)  
„Akcent” 2021, nr 2 (164), 3 (165)  
„Elewator” 2021, nr 1 (35) (numer tematyczny „Cyprian Kamil Norwid”)  
„Odra” 2021, nr 5 (703), 6 (704), 7–8 (705), 9 (706)  
„Polonus. Czasopismo na rzecz języka polskiego” 2020, nr 01  
„Polski w Niemczech/Polnisch In Deutschland” 2019/2020, nr specjalny  
„Schulz /Forum” 2020, nr 16  
„Topos” 2021, nr 2 (172), 3 (178)  
„Twórczość” 2021, nr 6 (907), 7–8 (908–909), 9 (910)

## POEZJA

- Eugeniusz Biały, *Brat Cierpiślaw albo ponowoczesnego pustelnika przypadki*, grafiki Andrzej Żurek, Wydawnictwo Dominika Księskiego Wulkan, Żnin 2021.  
Alina Biernacka, *Wiersze wybrane (1977–2020)*, Wydawnictwo Forma, Dom Kultury „13 Muz”, Szczecin, *Bezrzecze* 2021.  
Maria Bigoszcwska, *Złodziejska kieszeń*, seria „21”, Wydawnictwo Forma, Dom Kultury „13 Muz”, Szczecin, *Bezrzecze* 2021.  
Kazimierz Brakoniecki, *Biografie wiersza*, Biblioteka „Toposu”, t. 197, Sopot 2021.  
Jolanta Cywińska, *Władcy czterech ścian*, Wyd. Oddział Warszawski SPP, Warszawa 2021.  
Michał Czorycki, *Ciąg dalszy*, Biblioteka „Toposu”, t. 198, Sopot 2021.  
Marek Czuku, *Róbita, co chceta*, seria „15”, Wydawnictwo Forma, Fundacja Literatury imienia Henryka Berezy, Szczecin, *Bezrzecze* 2021.  
Michał Dąbrowski, *Wszystko wydaje się niepełne*, Wyd. Oddział Warszawski SPP, Warszawa 2021.  
Ewa Eysmontt, *Con-cordia i inne wiersze*, Wyd. Oddział Warszawski SPP, Warszawa 2021.  
Zygmunt Ficek, *Noc, która nie śpi*, Biblioteka „Toposu”, t. 199, Sopot 2021.  
Sylwia Gibaszek, *Układy izolowane*, Wyd. Oddział Warszawski SPP, Warszawa 2021.  
Tomasz Hrynac, *Pies gończy*, seria „21”, Wydawnictwo Forma, Dom Kultury „13 Muz, Szczecin, *Bezrzecze* 2021.  
Maciej Krzyżan, *33 wiersze albo powidoki*, Biblioteka „Toposu”, t. 196, Sopot 2021.  
Bernadetta Kuczera-Chachulska, *Miniatury liryczne / Lyrische Miniaturen*, przekład i posłowie Rolf Fieguth, Fundacja Terytoria Książki, Wydawnictwo słowo / obraz / terytoria, Gdańsk 2020.  
Małgorzata Kulisiewicz, *Sprzedawcy jaśminu*, Wyd. SIGNO, Kraków 2021.  
Joanna Matlachowska-Pała, *Bezpowrotne*, seria „21”, Wydawnictwo Forma, Dom Kultury „13 Muz”, Szczecin, *Bezrzecze* 2021.  
Piotr Michałowski, *Dzień jest wierszem, świat kolorem*, seria „21”, Wydawnictwo Forma, Dom Kultury „13 Muz”, Szczecin, *Bezrzecze* 2021.  
Piotr Mitzner, *Mucha!*, Tehu, Dom Wydawniczy, Warszawa 2021.  
Dariusz Muszer, *Dzieci krótszej nogi Syzyfa*, Wydawnictwo Forma, Dom Kultury „13 Muz”, Szczecin, *Bezrzecze* 2021.  
Eryk Ostrowski, *Wolne fale*, Wyd. Oddział Krakowski SPP, Kraków 2021.  
Marek Pacukiewicz, *Wieki średnie*, seria „21”, Wydawnictwo Forma, Dom Kultury „13 Muz”, Szczecin, *Bezrzecze* 2021.  
Jan Polkowski, *Pomieszane języki*, Biblioteka „Toposu”, t. 2021, Sopot 2021.  
Tomasz Różycki, *Ijasz*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2021.

- Karol Samsel, *Autodafe 4*, seria „21”, Wydawnictwo Forma, Dom Kultury „13 Muz”, Szczecin, Bezzecze 2021.
- Bartłomiej Siwice, *Domysły na temat Ruxa*, Biblioteka „Toposu”, t. 195, Sopot 2021.
- Lucyna Skompka, *Czarne wewnątrz czarny dach*, seria „Białe kruki, czarne owce”, Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział w Łodzi, Dom Literatury w Łodzi, Łódź 2021.
- Iwona Suwała, *Szron*, Wydawnictwo Arka, Gliwice 2021.
- Krzysztof D. Szatravski, *Wszędzie*, Wyd. Oddział Warszawski SPP, Warszawa 2021.
- Tadeusz Wrona, *Chodząc po swoich śladach*, Wyd. Tygodnik Katolicki „Niedziela”, Częstochowa-Warszawa 2021.
- Szczęśny Wroński, *Czas się weselić*, Wyd. Oddział Warszawski SPP, Warszawa 2021.
- Zofia Zarębianka, *Majaki*, Wyd. Oddział Warszawski SPP, Warszawa 2021.
- Waldemar Żyszkiewicz, *Wertep historii / piruet stulecia*, Wyd. Oddział Warszawski SPP, Warszawa 2021.

## PROZA

- Roman Ciepliński, *Życie zastępcze*, seria „Kwadrat”, Wydawnictwo Forma, Dom Kultury „13 Muz”, Szczecin, Bezzecze 2021.
- Marek Czuku, *Wędrowniczek*, Wyd. Oddział Krakowski SPP, Kraków 2021.
- Jacek Durski, *Okno. Druga część tryptyku*, Wyd. Norbertinum, Lublin 2021.
- Elżbieta Łapczyńska, *Bestiariusz nowohucki*, Biuro Literackie, Stronie Śląskie 2020.
- Północ / media nox. Zapiski z pamięci. Antologia „Toposu”*, wybór tekstów i redakcja tomu Krzysztof Kuczkowski, Biblioteka „Toposu”, t. 194, Sopot 2021.
- Michał Trusewicz, *Przednówki*, seria „Kwadrat”, Wydawnictwo Forma, Dom Kultury „13 Muz”, Szczecin, Bezzecze 2021.

## INNE

- Mirosław Dzień, *O męczeństwie rozumu i zarazie świata*, Biblioteka „Toposu”, t. 201, Sopot 2021.
- Jerzy Madejski, *Poetyka ekstremalna oraz inne noty o liryce i krytyce współczesnej*, seria Granice wyobraźni, pod redakcją Pawła Próchniaka, Wydawnictwo Pasaż, Kraków 2021.
- Polityki/Awangardy*, pod redakcją Agnieszki Karpowicz, Jakuba Kornhausera, Marty Rakoczy, Aleksandra Wójtowicza, Ośrodek Badań nad Awangardą, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego 2021.
- Dorota Rucka-Marmaj, *Trwaj naturo, jesteś piękna! Wystawa malarstwa z prywatnej kolekcji*, katalog wystawy lipiec–październik 2020, Muzeum Okręgowe w Rzeszowie, Rzeszów 2020.
- Ryszard Gancarz (1955–2017), *Martwa natura*, Muzeum Okręgowe w Sandomierzu, Sandomierz 2019.

## KOMUNIKATY

### 4. Bieszczadzki Turniej Jednego Wiersza o nagrodę im. Ryszarda Szocińskiego „O żurawie pióro”

Jury konkursu w składzie: Józef Bilski, Tomasz Kowalczyk, Magdalena Rabizo-Birek (przewodnicząca) postanowiło przyznać pierwszą nagrodę za wiersz *Odmienny stan* **Dorocie Nowak** z Nowego Tomysła. Dwie równorzędne trzecie nagrody otrzymały **Katarzyna „Darsky” Ligocka** z Lublina za wiersz *Schylek lata* i **Wiesława Ptaszky** z Poznania za wiersz *Jesienne impresje*. Dwa wyróżnienia przyznano **Dorocie Chology** z Opola Lubelskiego za wiersz *Neutralna jest noc* i **Krzysztofowi Zielińskiemu** z Lublina za wiersz *Odkrycie*. Konkurs odbywał się w ramach 4. festiwalu „Bieszczady. Trombita. Folk – poezja – blues”, Smerek, 9 października 2021 r.